

MARK SOŁONIN

**23 CZERWCA
DZIEŃ „M”**

PRZEŁOŻYŁ JERZY REDLICH

„Największą wartością w Robotniczo–Chłopskiej Armii Czerwonej jest nowy człowiek Epoki Stalinowskiej. Do niego należy decydująca rola w walce. Bez niego wszystkie techniczne środki walki są martwe, w jego rękach zaś stają się groźną bronią”.

punkt 6. Regulaminu bojowego Armii Czerwonej

PRZEDMOWA

„Współcześni pisarze, tacy jak Solonin, w swoich książkach opowiadają się tylko za jedną stroną prawdy. Że wszyscy uciekli, porzucili broń i uciekli. Gdyby Solonin miał rację, to ponieśliśmy klęskę. Na tym polega logika życia, logika wydarzeń dziejowych i jeżeli ktoś tego nie widzi, to nie ma sensu, żeby zajmował się historią”.

M. A. GARIEJEW, WYWIAD DLA AGENCJI RIA–NOWOSTI

Cóż mogę odpowiedzieć? Machmud Achmetowicz Gariejew jest prezydentem Akademii Nauk Wojskowych, członkiem Rosyjskiej Akademii Nauk Przyrodniczych, członkiem korespondentem Akademii Nauk Federacji Rosyjskiej, doktorem nauk wojskowych (wyobraźcie sobie, że są również tacy doktorzy), doktorem historii, profesorem, byłym zastępcą szefa Sztabu Generalnego Armii Sowieckiej do spraw naukowych oraz *„zarządcą innych włości”*. Siedzi wysoko, spogląda daleko i z tej racji uprawia historię z wielkim pożytkiem. Osobistym. Partia i rząd hojnie doceniły jego wkład w rozwój sowieckiej historii wojskowości. Oprócz wszystkiego innego Machmudowi Achmetowiczowi nadano rangę generała armii. Tym, którzy zapomnieli, przypomnę, że jest to ostatni szczebel przed szczytem, na którym połyskują gwiazdy marszałkowskie. Swego czasu w randze generała armii na czele Sztabu Generalnego Armii Czerwonej stali K. Mierieckow i G. Żukow, a spośród pięciu dowódców zachodnich pogranicznych okręgów wojskowych Związku Sowieckiego tylko jeden, D. Pawłow, w czerwcu 1941 roku miał tak wysoką rangę.

Generał armii Gariejew też miał okazję uczestniczyć w dowodzeniu wielkimi formacjami wojskowymi. W latach 1970–1974 służył jako szef sztabu głównego doradcy wojskowego przy dowództwie armii egipskiej. Pod jego bezpośrednim kierownictwem została rozpracowana i wykonana potężna operacja, która weszła do historii pod nazwą wojny Sądneho Dnia (październik 1973 roku). Wojna ta, jak wiadomo, zakończyła się tym, że zdecydowane i nadzwyczajne działania Związku Sowieckiego ocaliły wówczas Egipt od całkowitego rozgromienia (aczkolwiek żołnierze egipscy — zgodnie z *„logiką życiową”* — porzucili broń i uciekli, bo nie chcieli za

Brezniewowskie awantury płacić własnym życiem). Po raz ostatni generał Gariejew musiał się oderwać od pracy naukowej w 1989 roku. Wtedy to, po wycofaniu wojsk sowieckich z Afganistanu, został mianowany głównym doradcą wojskowym rządu Nadżibullaha. Nieubłagana „logika zdarzeń dziejowych” doprowadziła do klęski marionetkowy reżim kablowski. Dla samego Nadżibullaha ta historia skończyła się karą śmierci, a Machmud Achmetowicz wrócił do Moskwy i otrzymał Order Lenina. Wydawałoby się, że osobiste doświadczenia z wojny bliskowschodniej i afgańskiej powinny dobitnie przekonać generała Gariejewa, że ani ogromna przewaga liczebna, ani przygniatająca przewaga techniczna nie mogą ocalić armii, której żołnierze nie chcą się bić. Niestety „pożyteczne zajęcia” z zakresu historii na sowiecką modłę nie pozwoliły towarzyszowi Gariejewowi dostrzec i uznać tej „życiowej logiki”.

Powiem szczerze: dla mnie — i nie tylko dla mnie — nazwisko M. A. Gariejewa stało się znane dopiero dzięki Wiktorowi Suworowowi, który w swojej książce **Ostatnia republika** przytoczył kilka przykładów zdumiewającej ignorancji głównego historyka wojskowego Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich. Od tego czasu takie perełki jak „opium wojny” i „38-tonowe czołgi” (w ten to pospolity sposób nasz potrójny członek akademii rozszyfrował niemieckie oznakowanie czołgu produkcji czeskiej PzKpfw 38(t)) stały się utartym dowcipem w wąskim kręgu historyków wojskowości. Pomny jednak, że nie godzi się lżyć tego, czego się samemu nie przeczytało, postanowiłem przekartkować najświeższe (wydane już po pierestrojce) prace M. A. Gariejewa. Tak, tak — właśnie „najświeższe”. Rzecz w tym, że mimo czcigodnego wieku (w 2003 roku obchodził osiemdziesięciolecie urodzin) generał Gariejew nie jest byłym „szacownym”, ale jak najbardziej czynnym prezydentem Akademii Nauk Wojskowych. W oficjalnej biografii wybitnego uczonego wymieniono 250 (!!!) publikacji naukowych.

Od pierwszych chwil lektury stało się jasne, że Machmud Achmetowicz nie starzeje się duchem i nie „zdradza zasad”. Co oczywiście godne jest szacunku. Zresztą komu by nie było przyjemnie, przynajmniej w myślach, przynajmniej z książką w ręce, przenieść się do niezapomnianej krainy dzieciństwa? Dziesiątki i setki stron tekstu zapełniają ogólniki, jedynie z rzadka przerywane takimi oto konkretami: „*Sowieckie siły zbrojne rozgromiły*

507 niemieckofaszystowskich dywizji oraz 100 dywizji Niemiec i ich sojuszników (...). Na froncie sowiecko–niemieckim zniszczono podstawową część sprzętu wojskowego Wehrmachtu: 70 tysięcy samolotów, około 50 tysięcy czołgów i dział szturmowych, ponad 2,5 tysiąca okrętów wojennych, transportowców i statków pomocniczych”.

Mocne słowa, 507 dywizji. Kiedy to „*niemieckofaszystowska*” Rzesza miała tak liczną armię? Czy główny wojskowy historyk Rosji wie o tym, ilu ludzi i koni, dział artyleryjskich i wyszkolonych dowódców wymagało skompletowanie jednej dywizji piechoty Wehrmachtu? Ilu ludzi w jednostkach korpuśnych i armijnych, w służbach zaplecza, transportowych i sanitarnych miało zapewniać bojowe działania tej dywizji? Na wiosnę 1940 roku cała armia lądowa Niemiec liczyła 156 dywizji. 22 czerwca 1941 roku na zachodniej granicy Związku Sowieckiego w składzie grup armii „*Północ*”, „*Środek*” i „*Południe*” skupiono 115 dywizji Wehrmachtu i jednostek Waffen SS. Potem zgrupowanie niemieckich wojsk na froncie wschodnim wzrastało o dziesiątki dywizji, ale bynajmniej nie kilkakroć. Najbardziej godne uwagi jest to, że dwa akapity dalej Gariejew (albo ci aspiranci trójkowicze, którzy za niego pisali kolejne, 251 „*dzieło naukowe*”) donosi: „*W czerwcu 1944 roku przeciwko Armii Sowieckiej występowało 181,5 niemieckich dywizji (...). Przed końcową kampanią 1945 roku wojska sowieckie miały przeciwko sobie 179 niemieckich dywizji*”. Gdzie i kiedy zatem zostało rozgromionych „*507 dywizji niemieckofaszystowskich*”? Nie chcę się bawić we wróżkę, ale może doktor habilitowany nauk wojskowych miał na myśli coś takiego: „*straty wojsk niemieckich na froncie wschodnim przez cztery lata wojny były tak ogromne, że z tyłu żołnierzy można by skompletować 507 dywizji*”? Nie mówiąc już o tym, że taka ocena liczebności wojsk przeciwnika nadaje się do gazetki ściennej fabryczki odzieżowej, to i tak liczby się nie zgadzają. 507 dywizji piechoty Wehrmachtu to 8 milionów ludzi, a wszystkie bezpowrotne straty Wehrmachtu i jednostek Waffen SS (zabici, zaginieni, wzięci do niewoli) w ciągu sześciu lat wojny na wszystkich frontach (!) szacuje się na 4,6 miliona.

Jedno z dwojga: Gariejew ma zepsutą maszynę do pisania albo arytmometr. W nie lepszym stanie jest również jego kurwimetr. Proszę się nie gorszyć — jest to taki kijek zakończony małym korkiem. Za pomocą tego przyrządu mierzy się długość krzywych na mapie geograficznej

(topograficznej). Dlaczego o tym mówię? Oto dlaczego: „*Rozmach przestrzenny walki zbrojnej na froncie sowiecko–niemieckim był niebywały w dziejach. Od pierwszych dni walka toczyła się na rubieżach o łącznej długości 4 tys. km*”. W pierwszych dniach wojny Wehrmacht nacierał na froncie od ujścia Niemna na północy do Karpat na południu. Od Kłajpedy do Sambora. Jest to około 800 kilometrów w linii prostej. Jednakże granica przed wojną (i linia frontu na początku wojny) nie przebiegała po linii prostej. Jest to przedziwnie zapętlona krzywa. Jej długość została zmierzona jeszcze na długo przed pierwszymi salwami armatnimi na granicy. Wyniki pomiarów publikowano wielokrotnie. Przypominam: Front Północno–Zachodni (8. i 11. Armia) — 300 km, Front Zachodni (3., 10. i 4. Armia) — 470 km, Front Południowo–Zachodni (5., 6. i 26. Armia) — 410 km. W sumie 1180 km frontu. W zaokrągleniu 1200, ale w żadnym razie nie 4000. Dobrze, założmy, że w Akademii Nauk Wojskowych nie ma sprawnego kurwimetru. Jest to całkiem prawdopodobne. Czyżby jednak generał armii, zastępca szefa Sztabu Generalnego ogromnego kraju nie rozumiał, że mówiąc o „4 tys. km” frontu, sam się wychłostał bardziej niż nieszczęsna wdowa po podoficerze¹? Machmudzie Achmetowiczu, ileż wojska trzeba mieć, żeby z powodzeniem nacierać na froncie długości 4 tysięcy kilometrów? Czy do tego wielkiego przedsięwzięcia wystarczy nawet tych „507 dywizji Wehrmachtu”, których doliczyli się pańscy asystenci? Czyżby w całej Akademii Nauk Wojskowych nie było ani jednego egzemplarza przedwojennego Regulaminu bojowego Armii Czerwonej PU–39?

Paragraf 98 tego fundamentalnego dokumentu przewiduje następującą szerokość szyku bojowego podczas natarcia: „*Przy ataku na silnie umocnione pasy i rejonny umocnione — 2 km na dywizję, na kierunkach drugorzędnych — 5 do 6 km*”. Jeśli nawet uważać nienaruszalne rubieże Związku Sowieckiego, wzdłuż których było 15 rejonów umocnionych (Telszeński, Szawleński, Kowieński, Olicki, Grodzieński, Osowiecki, Zambrowski, Brzeski, Kowelski, Włodzimierskwołyński, Rawskoruski, Strumiłowski, Przemyski, Górnego Prutu i Dolnego Prutu), za żaloszny „drugorzędny kierunek” broniony przez trzeciorzędą armię, to i w tym wypadku do natarcia na froncie o długości 4 tysięcy kilometrów potrzeba 666 dywizji. Skąd się one miały wziąć? No

1

— Z Rewizora Gogola.

dobrze, zgódźmy się, że dowódców Wehrmachtu nie obowiązuje PU–39. Zobaczmy, jak Niemcy walczyli w praktyce.

10 maja 1940 roku niemieckie dowództwo skoncentrowało 77 dywizji na froncie o długości około 350 kilometrów. Przeciętnie przypadało 4,5 kilometra na dywizję. Przeciętnie. Na kierunku głównego uderzenia, w stutrzydziestokilometrowym pasie od Liège do Sedanu, nacierały dwie niemieckie armie (4. i 12.) składające się z 23 dywizji piechoty, 7 dywizji pancernych i 5 zmotoryzowanych. Po 3,7 kilometra na dywizję. Po dwóch tygodniach, od 10 do 24 maja, niemieckie czołgi doszły do kanału La Manche, pokonując 300–350 kilometrów. Średnie tempo natarcia jednostek zmotoryzowanych wyniosło 26 kilometrów dziennie. Rodzimi historycy po dziś dzień nie wstydzą się nazywać tego „*tryumfalnym marszem Wehrmachtu przez Francję*”. Jeżeli natomiast uwierzymy profesorowi Gariejewowi, to w czerwcu 1941 roku Wehrmacht nacierał (jeszcze szybciej!) na froncie o jedenastokrotnie większej długości, mając przy tym zaledwie o połowę więcej dywizji. Jak to było możliwe, skoro M. A. Gariejew stanowczo odrzuca wersję, że żołnierze i dowódcy Armii Czerwonej „*porzucili broń i uciekli*”?

Po takich „*perłach*” jakoś już łagodniej traktujemy zgoła feeryczne rewelacje, że na liście „*zniszczonego sprzętu bojowego Wehrmachtu*” znajduje się również „*70 tys. samolotów*” (liczba ta jest przesadzona co najmniej pięciokrotnie), a nawet „*2,5 tys. okrętów bojowych, transportowców i statków pomocniczych*”. Nawet baron Münchhausen, przelatując na kuli armatniej nad Morzem Czarnym i Bałtykiem, nie potrafiłby wykryć tam takiego mnóstwa okrętów bojowych Niemiec. Przyczyna jest zupełnie prosta: na Morzu Czarnym wielkich okrętów nie było wcale. Turcja, zachowując lojalność wobec Anglii i ZSRS, nie zezwoliła niemieckiej flocie przepłynąć przez Bosfor i Dardanele, wskutek czego pod banderą z faszystowską swastyką na Morzu Czarnym pływało jedynie to, co udało się przewieźć z Niemiec do portów rumuńskich koleją lub ciężarówkami: małe okręty podwodne, kutry torpedowe, składane barki desantowe, również składane samobieżne promy itp. Na Bałtyku dużo było do zatapiania, ale nie miał kto zatapiać. Odznaczona Orderem Czerwonego Sztandaru Flota Bałtycka od pierwszych godzin wojny stała zablokowana przez niemieckie pola minowe w Zatoce Fińskiej, a po nieszczęsnym przepłynięciu do Tallina i stracie wszystkich baz, oprócz zablokowanego od lądu Leningradu (Kronsztadu),

szlak bojowy Floty Bałtyckiej, z grubsza biorąc, się zakończył. Co do rzeczywistej liczby zniszczonych przez sowiecką marynarkę okrętów przeciwnika, to ogólny obraz jest mniej więcej taki. W 1957 roku został opracowany tajny raport o działaniach bojowych sowieckiej marynarki wojennej, w którym stwierdza się, że w ciągu całej wojny na wszystkich morzach zostało zatopionych 17 niemieckich niszczycieli i 6 dużych okrętów (krążowników, pancerników obrony wybrzeża). Co prawda po dokładniejszym przebadaniu tych danych, co stało się możliwe dopiero w czasach posowieckich, okazało się, że większa część „*zniszczonych okrętów bojowych przeciwnika*” albo została wysadzona w przeddzień kapitulacji Niemiec i zatopiona przez własne załogi, albo zatopiona przez lotnictwo alianckie, albo też szczęśliwie pływała do lat pięćdziesiątych, a nawet sześćdziesiątych. Ostatecznie rzeczywiście zatopiono 7 niszczycieli, 1 krążownik i 1 fiński pancernik obrony wybrzeża.

Sowieckiej nauki historyczno wojskowej nie mogły oczywiście zadowolić takie mizerne wyniki działań bojowych ogromnej sowieckiej marynarki wojennej (liczącej w okresie działań: 4 pancerniki, 8 ciężkich i 5 lekkich krążowników, 83 lidery i niszczyciele, 51 eskortowców, 212 okrętów patrolowych, 6 stawiaczy min, 76 trałowców, 260 baterii artylerii brzegowej). Sytuację poprawiono w sposób dla tej „*nauki*” tradycyjny, a mianowicie za pomocą spójnika „*oraz*”. Metoda ta jest i uniwersalna, i skuteczna. „*Podczas ataków powietrznych na nieprzyjacielskie kolumny zostało zniszczonych 736 czołgów, transporterów opancerzonych oraz wozów konnych*”. Na morzu natomiast zatopiono mnóstwo „*okrętów bojowych, transportowców oraz jednostek pomocniczych*”. Jeżeli do tej ostatniej kategorii zaliczymy wszystkie statki spacerowe, kutry rybackie i szalupy ratunkowe, którymi setki tysięcy uchodźców (2 miliony, jak twierdzą niemieccy historycy) na wiosnę 1945 roku usiłowały opuścić okrażone Prusy Wschodnie i Pomorze, to można by otrzymać każdy wynik. Ale akademia towarzysza Gariejewa postanowiła (albo tylko otrzymała wytyczne z góry) pozostać przy „*skromnej*” liczbie 2,5 tysiąca.

Całkowicie szczerze życząc Machmudowi Achmatowiczowi, by dożył dziewięćdziesiątych urodzin w dobrym zdrowiu, pośród wnuków i prawnuków, ja, szeregowy obywatel Rosji i rzetelny podatnik, nie mogę pogodzić się z tym, żeby świątynia nauki, czym powinna być Akademia Nauk

Wojskowych, przekształciła się w zamknięty, elitarny przytułek dla nomenklaturowych emerytów. Taki już jestem złośliwy Salieri. „*Nie śmiesz mnie, gdy malarz mamy kala madonnę Rafaela. Nie śmiesz mnie, gdy kuglarz nędzny parodią bezcześci Alighieriego (...)*”. Trochę mnie jedynie śmiesz, gdy towarzysz Gariejew i spółka zaczynają głośno się oburzać. „*Przestańcie pisać historię od nowa!*” Co pisać od nowa, jaką „*historię*”? Wasze jawnie fałszywe wymysły o 507 niemieckich dywizjach i 70 tysiącach strąconych samolotów, o „*nagłej napaści*” i „*beznadziejnie przestarzałych*” niemieckich czołgach, o wybitnie pokojowym imperium stalinowskim i wielokrotnej przewadze liczebnej przeciwnika? A jeżeli chodzi o skrupulatne, niestrannicze badania wydarzeń Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, to jakże można pisać od nowa to, co dopiero zaczyna się dziać.

I ostatnia uwaga, zanim wyłożę podstawowy materiał. Jest pewien delikatny niuans, którego wiele osób szczerze nie rozumie, a niektóre osoby świadomie na nim spekulują. Są dwa słowa: „*beznamiętny*” i „*bezstronny*”. Mimo podobieństwa są to różne wyrazy.

Sens również mają odmienny.

Totalitarny reżym komunistyczny rzeczywiście był krwawy i antyludzki. Wcześniej lub później jego niebywałe przestępstwa zostaną poznane i potępione nawet w tym kraju, z którego ta śmiertcionośna zaraza rozpełzła się na cały świat. To, że reżym stalinowski rozpętał wojnę światową, że wplątał w tę wojnę naród sowiecki, jest chyba najkrwawszym z jego przestępstw. Badać te wydarzenia i pisać o nich ze spokojnym sercem, beznamiętnie, może tylko maszyna elektroniczna. Człowiek tak nie potrafi. Wcale jednak przy tym nie trzeba kłamać. Zresztą nie ma po co — rzeczywistość praktycznie zawsze okazuje się straszliwsza i bardziej wyrazista niż jakikolwiek wymysł. Tak więc nie ma żadnego bezpośredniego związku między namiętnością wykładu i stronniczym wyborem samych tylko wygodnych dla autora faktów. Nie ma tego związku w badaniach historycznych, nie ma go również w życiu powszednim. Każdy z nas z własnego doświadczenia wie, że bywają namiętne, emocjonalne natury, które jednak nie wezmą cudzego grosza. Są też do gruntu flegmatyczni, opanowani krętacze i łotry. Nie udało się na razie zauważyć żadnego związku między emocjami a złodziejstwem. Jest jednak związek między przekonaniami politycznymi autora a wiarygodnością jego dzieła. Związek bardzo zauważalny. Dziś jakoś zapomnieliśmy, że jeszcze

całkiem niedawno towarzysz Gariejew i jego koledzy bez cienia wstydu nazywali siebie żołnierzami frontu ideologicznego. Nauczono nas — a my potulnie się z tym pogodziliśmy — aby przypominać, że niektórzy (liczni? wszyscy?) „*historycy*” komunistyczni byli zarazem współpracownikami pewnej znanej firmy, która (czyżbyście i o tym zapomnieli?) znów bez cienia wstydu nazywa siebie zbrojnym ramieniem partii. A na wojnie, szanowni państwo, jak na wojnie. Powiedzenie prawdy to zdrada. Oszukanie — to czyn bohaterski. Wcale nie wątpię, że towarzysz Gariejew, podpisując sporządzony przez jego podwładnych tekst o 507 rozgromionych dywizjach Wehrmachtu i 70 tysiącach strąconych samolotów, czynił to z czystym sumieniem, ze świadomością, że spełnia patriotyczny obowiązek. *„Opiewa bohaterstwo żołnierza Armii Czerwonej. Godnie przeciwstawił się burżuazyjnym fałszerzom pomniejszającym rolę dziejową tego żołnierza. Dopomógł w komunistycznym wychowaniu młodzieży”*.

Będąc człowiekiem o demokratycznych, „*zachodnich*”, liberalnych przekonaniach, czynię swoją powinność inaczej. Po prostu brak mi bodźców moralnych i materialnych, żeby głosić ci kłamstwo, szanowny czytelniku. Nie tylko nie ukrywam swoich poglądów, ale wprost i bez ogródek komunikuję to już na pierwszych stronach tej książki. Tak, ja do tamtych nie należę. Jestem z tych drugich. Na następnych stronach przedstawię wam nie tylko — i nie tyle — wnioski, ile argumenty i fakty. Odnośniki do źródeł są przy każdej znaczącej liczbie. Kto chce, może sprawdzić, chociaż uczciwie i szczerze radzę: nie traćcie czasu na próżno.

CZEŚĆ 1. SOWIECKI KOŁOS

ROZDZIAŁ 1. GŁÓWNA PRZYCZYNA KLĘSKI

Zgodnie z przyjętym zwyczajem tak zatytułowany rozdział powinien się pojawić na końcu pracy poświęconej wydarzeniom 1941 roku. Jednakże nauczony doświadczeniem dwu poprzednich książek postanowiłem więcej nie ryzykować. Nie wystawiać się na ciosy. Tak się jakoś dzieje, że najbardziej hałaśliwa część czytelników, nie mając cierpliwości, żeby doczytać tekst do końca (albo do połowy, albo dalej niż do dziesiątej strony), natychmiast odkłada książkę i bierze pióro do ręki. Oto na przykład znany dziennikarz Leonid Radzichowski już od dwóch lat terroryzuje mnie trzema tysiącami czołgów. Wszystko zaczęło się od tego, że 22 czerwca 2005 roku pan Radzichowski postanowił opowiedzieć wykształconej publiczności o mojej skromnej pracy. Pokrótkę scharakteryzował autora książki, która go poruszyła („*jakiś historyk amator z Samary, którego nie znam i znać nie chcę*”), po czym ten rasowy mistrz pióra zakomunikował, że Sołonin przytoczył wiele nowych i ciekawych faktów.

Między innymi o tym, że na początku wojny w Armii Czerwonej, jak się okazuje, były trzy tysiące najnowszych czołgów T-34 i KW. To bardzo ciekawe. Liczba czołgów w armii okazała się niemal dwa razy większa, niż ich wyprodukowano w fabrykach. Minął rok. Wszelkie moje usiłowania kontaktu z panem Radzichowskim i prośby, żeby otworzył książkę na stronie 499, spełzły na niczym. Nastął następny smutny jubileusz — 22 czerwca 2006 roku. Panu Radzichowskiemu zachciało się napisać kolejny „artykuł okolicznościowy”. Uśmiejecie się, ale znowu wspomniał o „*pewnym historyku amatorze z Samary, jakimś nikomu nie znanym Marku Sołonie*”! I znów ogłosił „*miastu i światu*”, że rzekomo znalazłem 3 tysiące najnowszych T-34 i KW. Cóż to było? We wszystkich wydaniach książki **Beczka i obręcze** (dział marketingu wydawnictwa EKSMO zamienił autorski tytuł na bardziej, jego zdaniem, zrozumiały dla czytelnika **22 czerwca**), poczynając od 2003 roku, na ostatnich stronach widnieje przypis nr 2. Jest to tabela, w której wymieniam wszystkie 20 korpusów zmechanizowanych Armii Czerwonej, które uczestniczyły w działaniach bojowych pierwszych tygodni wojny. W każdym korpusie wskazuję numery dywizji pancernych i zmotoryzowanych, które wchodziły w jego skład, podaję liczbę czołgów, osobno starych typów i

osobno najnowszych T-34 i KW. Liczby zsumowałem według frontów i kierunków. Wymieniam też ogólną liczbę: 12 379 czołgów, w tym 1600 T-34 i KW. Liczby te podałem tłustym drukiem. Prawdopodobnie panu Radzichowskiemu nie chciało się przekartkować książki „*amatora z Samary*” do przedostatniej strony. I, co najbardziej (dla mnie) zadziwiające, przez półtora roku nikomu nie chciało się poprawić tej nedorzecznosci, aczkolwiek oba artykuły Radzichowskiego były burzliwie dyskutowane w Internecie.

Wrogów ma każdy, ale strzeż nas Boże od przyjaciół... Jakiś nie znany mi Andriej Krotkow postanowił pochwalić mnie na łamach „*Niezawisimoj gaziety*”. Albo zapracować na swoje srebrniki, fałszywie wykorzystując moje nazwisko do nieuzasadnionej krytyki Wiktora Suworowa (którą bardzo lubi ta tak zwana niezależna gazeta).

Jak się okazuje, „*operując dokumentami resortów obronnych, Sołonin dowodzi tego co najważniejsze: nie było żadnych planów «uderzenia uprzedzającego» (na czym zostały skonstruowane wszystkie książki Wiktora Suworowa). Istniał i był wykonywany (bardzo kiepsko) plan rozwinięcia strategicznego i osłony mobilizacyjnej*”. Takie perełki sprawiają, że człowiekowi, który przeczytał moją książkę — albo przynajmniej jest obeznany z terminologią wojskową — okulary i włosy stają dęba. Co najmniej trzy rozdziały **22 czerwca** poświęciłem planom Stalina ataku na Europę. Jeden z tych rozdziałów zatytułowałem „*Ostatnia twoja godzina nastaje, burżuju*”. Ażeby to lepiej uzmysłwić, załączyłem kolorową mapę południowej Polski z czerwonymi strzałkami skierowanymi na zachód. Czego więcej można chcieć? Ale pan Krotkow dalej mnie „*wychwala*”: „*W książce Sołonina liczb jest wiele i zasługują one na zaufanie (...). Wystarczy wczuć się w liczbę: w okresie czterech lat kraj stracił 43,5 miliona obywateli — poległych i zmarłych. Piątą część ludności*”. W książce Sołonina jest rzeczywiście wiele liczb. I oczywiście godne są one zaufania. Ale po co do tych liczb dodaje się brednie?

Przyznam się, że zupełnie się nie spodziewałem, iż więcej niż czytelników mamy pisarzy (pod tym określeniem rozumiem osobę, która potrafi przeczytać i adekwatnie odebrać tekst napisany prostym językiem bez najmniejszych pretensji do pseudonaukowości). Moja pierwsza książka miała podtytuł: *Kiedy zaczęła się Wielka Wojna Ojczyźniana?* Znak zapytania to

nie błąd drukarski. Jest to główne pytanie, na które napisałem około 500 stron odpowiedzi. Aby to, co najważniejsze, nie uszło uwagi czytelnika:

- zdublowałem pytanie w tytule ostatniej części książki,
- umieściłem konkretną odpowiedź dosłownie na ostatnich stronach ostatniego rozdziału oraz — wytluszcilem: „*jesień 1942 — wiosna 1943 roku*”.

Kilka akapitów wyżej przytoczyłem również argumenty na rzecz takiej odpowiedzi. Przypuszczałem, że zaproponowana przeze mnie metodyka (analiza struktury strat składu osobowego, stosunku procentowego strat sanitarnych i bezpowrotnych) wyda się komuś z czytelników dziwna, błędna, niestosownie ekstrawagancka itp. Gotów byłem do dyskusji na ten temat, ale się jej nie doczekałem. Widocznie mało który dzięcioł doleci do 490 strony, natomiast zawsze gotów jest ten dzięcioł kukuryknąć (wbrew prawom przyrody) coś niedorzecznego.

Oto na przykład docent katedry rodzimej historii czasów najnowszych Rosyjskiego Państwowego Uniwersytetu Humanistycznego Aleksiej A. Kiliczenkow opublikował („*Nowyj istoriczeskij wiestnik*” nr 15) ogromną, miażdżącą recenzję, w której długo i z bólem oburzał się na „*hipotezę rozpoczęcia Wielkiej Wojny Ojczyźnianej 17 czerwca*”, którą rzekomo wysunął Sołonin. No, jeżeli chodzi o docenta katedry rodzimej historii, wszystko można zrozumieć, o takich się mówi: „*ranga pozbawiła go rozumu*”. Dziwi i smuci co innego: nawet pewna część normalnych ludzi, którzy dyskutowali o mojej książce (w druku i w Internecie), zakomunikowała, że „*według Sołonina Wielka Wojna Ojczyźniana rozpoczęła się 17 czerwca 1941 roku*”. Rozumiem, skąd wzięła się ta data: pierwszy rozdział książki był zatytułowany „*Wtorek, 17 czerwca*”. Sam jestem sobie winien. Nie pomyślałem, że „*pisarze*” wiecznie się spierają i nie będą mieli czasu przeczytać pierwszego rozdziału i następnych. Pewien towarzysz po prostu zaszokował mnie stwierdzeniem, że wojna, jak twierdzi Sołonin, rozpoczęła się po zawarciu paktu Ribbentrop–Mołotow. O ile pamiętam, to wśród 138 tysięcy słów składających się na pełny tekst książki, wyraz „*pakt*” (i wszystko z nim związane) ani razu nie został użyty. Współczesny historyk Aleksiej Isajew przeczytał moją książkę, zobaczył... i wyraził oburzenie, że „*M. Sołonin za datę faktycznego rozpoczęcia Wielkiej Wojny Ojczyźnianej uważa wydarzenia z okresu wojny domowej oraz kolektywizacji i represji, które po niej nastąpiły*”. Mocne słowa.

Z tych powodów postanowiłem na pierwszych stronach pierwszego rozdziału zakomunikować wszystkim „pisarzom”, że znam najgłówniejszą przyczynę klęski 1941 roku. Przyznaję bez zastrzeżeń. Proszę ze mną nie dyskutować na ten temat. Bez wszelkich dodatkowych dowodów całkowicie zgadzam się z tym, że „*główną przyczyną klęski był uzbrojony nieprzyjaciel*”.

Przyznaję się również do tego, że sam tego nie wymyśliłem. Podpowiedzieli mi to pisarze krytycy. Ale nawet po wielokrotnej podpowiedzi nie od razu pojąłem, co też oni mają na myśli. Na przykład wspomniany już A. Isajew gniewnie pouczał mnie, że Armia Czerwona nie rozpadła się sama. „*Rozgromili ją żołnierze w mundurach feldgrau*”. Co znaczy słowo „*feldgrau*”, mogę się jeszcze domyślić („*połowy szary*” kolor bluz Wehrmachtu, na rosyjski tłumaczono zazwyczaj „*mysi*”, ale pan Isajew lubi demonstrować, że zna „*zagraniczne źródła*”). Natomiast trudniej mi było zrozumieć tajemniczy sens uwagi krytycznej. Oczywiście, że nie rozpadła się sama z siebie. Beczka też się nie rozpada sama przez się, ale dopiero wtedy, gdy silnym uderzeniem strąci się z niej obręcz. Na polu walki (operacji, wojny) ścierają się jednak dwie armie. W innym wypadku nie jest to walka ani wojna. Obecności przeciwnika w mundurze „*feldgrau*” (albo jakimkolwiek innym) nie należy, jak mi się wydawało, uważać za sytuację nadzwyczajną na wojnie. Armia Czerwona także była tworzona, uzbrajana, wyposażana nie tylko na defilady, ale przede wszystkim po to, żeby podczas starcia z nią rozpadła się każda armia nieprzyjacielska. „*Każdy wróg rozbije swe miedziane czoło o sowiecki słup graniczny*” (z przemówienia Mołotowa na inauguracji XVIII Zjazdu WKP(b)).

Aleksiej Isajew wyraził się uprzejmie. Ale niezrozumiale. Bezimienny krytyk na jednej ze stron internetowych wyraził się brutalnie, ale zrozumiale: „*Autor jest idiotą. Nie rozumie, że tych 66 900 dział i moździerzy, o których pisze, nie zostało porzuconych, ale utraconych podczas wycofywania się*”. Tak właśnie napisał, dwukrotnie podkreślił. Od razu zrozumiałem, czego ode mnie chcą. Chcą mi wytłumaczyć, że gdyby nie było wojny, to Armia Czerwona nie utraciłaby ani jednej armaty. A gdyby w czas wojny nieprzyjaciel nie przeszkadzał w natarciu, to nawet wówczas Armia Czerwona nie straciłaby takiej masy sprzętu. Ale przeciwnik bezczelnie, bezceremonialnie, a — co najważniejsze — zupełnie niespodziewanie przeszkadzał. Nie pozwalał Armii Czerwonej walczyć spokojnie, z

wycuciem, z sensem, z pauzami. To z powodu takiego właśnie wstrętnego nieprzyjaciela trzeba się było cofać. A wypowiedzenie na głos tego przeklętego słowa zdaniem mojego anonimowego bluźniercy i legionu jego zwolenników jest zaklęciem, które za jednym zamachem zwalnia wszystkich od przysięgi, od obowiązku stosowania się do rozkazów, regulaminów, poleceń. Pytanie (które moim zdaniem samo się nasuwa), co było przyczyną, a co skutkiem, nawet nie podlega dyskusji. Nieszczęsne „*cofanie się*” jest traktowane jak jakaś klęska żywiołowa, jak nieuzasadniona, „*obiektywna*” (czyli niezależna od działań albo zaniechań ludzkich) przyczyna, która usprawiedliwia stratę astronomicznej ilości broni. Zresztą moi krytycy też nie sami to wszystko wymyślili. Po prostu kontynuują dawną tradycję. Pierwszy tekst (z tych, które znam, nie wykluczam, że są i wcześniejsze wzorce) o podobnej treści został napisany 6 lipca 1941 roku. Jest to rozkaz nr 2 dla wojsk 11. Armii (Front Północno–Zachodni). Rozkaz podpisali wszyscy trzej członkowie rady wojennej tej armii (jej dowódca generał porucznik Wasilij Iwanowicz Morozow, szef sztabu armii generał major Iwan Szlemin i członek rady wojennej komisarz brygady Zujew). Zgodnie z przyjętym w Armii Czerwonej trybem sporządzania rozkazów, po dacie (6 lipca 1941 roku) zostało podane miejsce, gdzie znajduje się sztab 11. Armii. Miejscem tym była Idrica, osada i stacja kolejowa na południu obwodu pskowskiego, około 80 km na północ od białoruskiego Połocka. Ściśle biorąc, to mówi już o wszystkim. Piętnastego dnia wojny sztab 11. Armii znalazł się o 450 kilometrów w linii prostej od granicy państwa. Nie sposób odejść na taką odległość w ciągu piętnastu dni. Można odbiec, ale i to jest skrajnie męczące, jeżeli się nie porzuci wszystkich ciężkich przedmiotów, które przeszkadzają maratończykowi (karabiny, granaty, karabiny maszynowe, moździerze, armaty...).

Szczegółowa analiza okoliczności i chronologii rozgromienia Frontu Północno–Zachodniego wykracza poza ramy tej książki, ograniczmy się więc jedynie do bardzo krótkiego zacytowania monografii **1941 rok — nauki i wnioski**, wydanej w 1992 roku przez grono historyków wojskowości Sztabu Generalnego wówczas jeszcze Zjednoczonych Sił Zbrojnych WNP: „26 czerwca sytuacja wycofujących się wojsk gwałtownie się pogorszyła (...). 11. Armia straciła do 75 proc. sprzętu i do 69 proc. składu osobowego. Jej dowódca generał porucznik W. I. Morozow zarzucał dowódcy frontu

generałowi pułkownikowi F. J. Kuzniecowskiemu brak działania (...). W Radzie Wojennej frontu uważano, że Morozow nie mógł meldować w tak brutalnej formie, a przy tym F. J. Kuzniecowski wyciągnął błędny wniosek, że sztab armii wraz z W. I. Morozowem dostał się do niewoli i działa pod dyktando wroga (...). Wśród dowódców zapanował rozdzwięk”.

Tego samego dnia, 26 czerwca 1941 roku, w rejonie Dyneburga poddał się do niewoli szef zarządu operacyjnego sztabu Frontu Północno-Zachodniego generał major Fiodor Iwanowicz Truchin (później Truchin aktywnie współdziałał z Niemcami, stanął na czele sztabu „armii Własowa”, i zakończył życie na szubienicy 1 sierpnia 1946 roku). Resztek 11. Armii oraz jej sztabu szukało lotnictwo zwiadowcze. Nie niemieckie, ale nasze. 30 czerwca poszukiwania zakończyły się pewnym sukcesem. Tego dnia z Moskwy pod adresem dowódcy Frontu Południowo-Zachodniego wysłano telegram podpisany przez Gieorgija Konstantinowicza Żukowa: „*W rejonie stacji Dowgiliszki, Kortyniany, lasów na zachód od Świącian została odnaleziona 11. Armia Frontu Północno-Zachodniego, wycofująca się z rejonu Kowna. Armii brak paliwa, amunicji, furazu. Armia nie zna sytuacji i nie wie, co ma robić*”. Inaczej mówiąc, resztki armii znajdowały się o 150–200 kilometrów od granicy, ale jeszcze 100 kilometrów na zachód od Dźwiny. Na wschód, do Połocka i Idricy, przez Dźwinę, mógł się przeprawić praktycznie tylko sztab 11. Armii. Można dojść do takiego wniosku na podstawie raportu, który 4 lipca 1941 roku wysłał do Moskwy nowy szef sztabu Frontu Południowo-Zachodniego generał porucznik Nikołaj Watutin (poprzedni szef sztabu, Klonow, został aresztowany i w październiku 1941 roku rozstrzelany). Watutin podał w nim Żukowowi pełną listę jednostek i zgrupowań frontu, które udało mu się odnaleźć.

W tym wielostronicowym raporcie są wymienione nawet te dywizje, po których pozostał tylko numer, sztandar i pół tysiąca żołnierzy z dwiema armatami. W sprawie 11. Armii mowa dosłownie co następuje: „*O 11. Armii (XVI Korpus Strzelecki, XXIX Korpus Strzelecki, 179. i 184. Dywizja Strzelecka, 84. Dywizja Zmotoryzowana, 2. Dywizja Pancerna, 5. Dywizja Pancerna, 10. Brygada Artylerii Przeciwpancernej, 429. pułk artylerii haubic, 4. oraz 30. pułk pontonowy) brak jakichkolwiek wiadomości*”.

Wszystko to można sprowadzić do dwóch krótkich słów: całkowita klęska. I oto 6 lipca 1941 roku dowódca tej rozgromionej armii wydaje następujący rozkaz:

„I. Wojska armii zakończyły wykonywanie wielkiego i odpowiedzialnego zadania wyjścia z nieprzyjacielskiego okrążenia i koncentrują się za linią naszych wojsk w nowych rejonach. Od pierwszego dnia wojny skład osobowy armii wykazał się bezgranicznym oddaniem naszej wielkiej Sowieckiej Ojczyźnie i Partii Komunistycznej. Wszystkie nasze formacje i jednostki mężnie i niezłomnie odpierały zdradzieckie natarcie wroga, zadając mu ogromne straty. Liczne nasze oddziały nie straciły zimnej krwi i z honorem wykonywały swoje zadania, będąc okrążone przez przeważające siły nieprzyjaciela. Oddziały armii w pierwszych walkach osiągnęły to, że wróg w następnych dniach ostrożnie i bojaźliwie posuwał się w ślad za wycofującymi się naszymi jednostkami.

II. ROZKAZUJĘ:

a) Wszystkim dowódcom i czerwonoarmistom obszernie przedstawić sytuację i warunki wychodzenia wojska z okrążenia. Wszystkim żołnierzom i dowódcom obszernie wytłumaczyć, że jednostki wojskowe przez okres działań bojowych pod naciskiem nieprzyjaciela cofały się dopiero podczas niespodziewanej napaści 22 czerwca br. W żadnej z walk, które następnie jednostki armii prowadziły z przeważającymi siłami nieprzyjaciela, nie potrafił on osiągnąć sukcesu. Cofaliśmy się z powodu powstałej ogólnej sytuacji”. (Podkreślenia moje — M. S.)

Tak właśnie powiedziano. To nie chaotyczny odwrót w tempie forsownego marszu (po 25 km dziennie), to nie straty w sprzęcie i masowa dezercja (a czymże innym można wytłumaczyć stratę „60 procent składu osobowego cofających się wojsk” po pięciu dniach odwrotu i niemal całkowity brak żołnierzy w trzynastym dniu tego dziwnego „odwrotu”?) stworzyły na froncie nad Bałtykiem całkiem określoną „sytuację”. „Ogólna sytuacja” wytworzyła się sama przez się, i to ona stała się przyczyną wszelkich nieszczęść. Można pojąć logikę generała Morozowa: wojna dopiero się zaczęła, więc chciał on podnieść na duchu tych niewielu żołnierzy, którzy pozostali w szeregach. Rozkaz nr 2 jest w istocie dokumentem propagandy wojennej, która z definicji nie ma prawa być prawdomówna. Z tego punktu widzenia wydaje się usprawiedliwione wręcz farsowe stwierdzenie o

nieprzyjacielu, który „*ostrożnie i bojaźliwie*” skradał się w ślad za Armią Czerwoną uciekającą z powodu „*powstałej sytuacji*”.

Generała Morozowa można zrozumieć. O wiele trudniej zrozumieć marszałka Georgija Konstantinowicza Żukowa, gdy w całkowicie pokojowej sytuacji, po kilkudziesięciu latach od zakończenia wojny, rozważając w swoich wspomnieniach przyczyny „*chwilowych niepowodzeń*”, postanowił poskarżyć się na nieprzyjaciela:

„Ani ludowy komisarz obrony, ani ja, ani moi poprzednicy Borys Michajłowicz Szaposznikow i Kirył Afanasjewicz Mierieckow, ani kierownictwo Sztabu Generalnego nie liczyliśmy się z tym, że nieprzyjaciel skoncentruje taką masę wojsk pancernych i zmotoryzowanych i rzuci je już w pierwszym dniu zwartymi wielkimi ugrupowaniami na wszystkie strategiczne kierunki w celu dokonania druzgocących uderzeń rozcinających”.

Proszę zwrócić uwagę, jak zbudowane jest powyższe zdanie. Marszałek Żukow doskonale rozumie całą absurdalność i kłamliwość swoich słów, toteż natychmiast bierze sobie za współautorów marszałków Timoszenkę, Szaposznikowa, Mierieckowa, którzy dawno odeszli do lepszego świata, a pod koniec również hurtem wymienia „*kierownictwo Sztabu Generalnego*” (czyli Watutina, Wasilewskiego i innych). Co tak zdumiało Wielkiego Marszałka Zwycięstwa? Nie spodziewał się pan, że nieprzyjaciel stworzy potężne ugrupowanie uderzeniowe na korzystnych dla siebie — a nie dla nas — kierunkach strategicznych? Nie spodziewał się pan, że nieprzyjaciel postara się dokonać „*miażdżących rozcinających uderzeń*”? A czego się pan spodziewał? Delikatnych klapsów po pupie? Tego, że Niemcy pozbierają parę kompanii rekonwalescentów z każdego lazaretu i wyślą ich rzadziutką tyralierą prosto na moczary Polesia? I skąd się wzięły takie błogie oczekiwania?

Głównym aksjomatem sztuki wojennej jest koncentracja sił. Wie o tym każdy absolwent szkoły podoficerskiej. Każdy rekrut przekonuje się o tym na własnej skórze przy pierwszym wejściu na pole walki. Drobnny komar ważący mniej niż gram miażdżącym rozcinającym uderzeniem przebija grubą skórę człowieka. Dlaczego mu się to udaje? Dlatego, że znikoma siła komara koncentruje się na mikroskopijnym ostrzu komarzej kłujki. Do lata 1941 roku każdy specjalista wojskowy wiedział, że dowództwo Wehrmachtu świetnie rozumie i po mistrzowsku stosuje w praktyce podstawową zasadę koncentracji

sił. Wehrmacht miał już doświadczenie z Polski, miał za sobą błyskotliwie przeprowadzoną operację we Francji. Ostatni przykład można uznać za szczególnie wyrazisty.

Na poziomie strategicznym Niemcy wykazali przywiązanie do idei koncentracji wszystkich sił dla rozwiązania głównego zadania w ten sposób, że spośród posiadanych 156 dywizji do wojny z Francją i jej sojusznikami wydzielili 136 (87 procent). Na ogromnych przestrzeniach Danii, Polski, Czechosłowacji, Austrii i w samych Niemczech pozostało zaledwie 13 dywizji (pozostałych 7 toczyło walki w Norwegi). Koncentracja wszystkich sił Luftwaffe na jednym jedynym odcinku miała charakter rosyjskiej ruletki. Z okręgów obrony przeciwlotniczej Królewca, Wrocławia, Drezna, Norymbergi, Wiednia zostały wycofane wszystkie co do jednego myśliwce. W strefie obrony powietrznej Berlina pozostawiono sztab 3. eskadry myśliwskiej oraz jedną z grup (pułków) myśliwskich (II/JG-3). Zaledwie 49 samolotów, z czego — według stanu na 10 maja 1940 roku, tylko 39 sprawnych.

Na poziomie operacyjnym zasada koncentracji sił została zastosowana z taką samą nieugiętą konsekwencją. Łączna długość zachodniej granicy Rzeszy wynosiła 659 kilometrów (od Bazylei na południu do Arnhem na północy). Na drugorzędnych kierunkach o łącznej długości 300 kilometrów pozostawiono zaledwie 17 dywizji. Natomiast w pasie natarcia (na granicy z Holandią, Belgią i Luksemburgiem) już w pierwszym rzucie (nie licząc odwołu Naczelnego Dowództwa) Niemcy w pierwszych dniach wojny wprowadzili do walki 77 dywizji, w tym wszystkie pancerne i zmotoryzowane. Na kierunku głównego uderzenia, na froncie o długości 130 kilometrów, od Liège do Sedanu, skoncentrowali 7 spośród 10 dywizji pancernych oraz 5 dywizji zmotoryzowanych, czyli wszystkie. Co więcej, 15 maja na odcinek wyłomu przerzucili jeszcze jeden korpus pancerny (dwie dywizje czołgów) z Belgii. Miażdżące uderzenie przełamało obronę armii francuskiej i brytyjskiej. Po dwóch tygodniach, 24 maja 1940 roku, niemieckie czołgi doszły do kanału La Manche.

Pisały o tym wówczas wszystkie gazety świata (w tym „*Prawda*” oraz „*Izwestija*”). W wielkonakładowych gazetach (nie mówiąc już o specjalistycznych wydawnictwach) publikowano mapy ze strzałkami. No dobrze, założmy, że szef Sztabu Generalnego Armii Czerwonej nie miał czasu czytać gazet. Ale przecież nie musiał, bo do zbierania informacji on oraz

ludowy komisarz (minister) obrony Timoszenko mieli inne źródła. Między innymi, aż do samego rozpoczęcia wojny, w Moskwie znajdowały się ataszaty wojskowe: zwycięskich Niemiec i pokonanej Francji. Było z kim podyskutować o przebiegu i wyniku kampanii na Zachodzie...

Ale może nie o to się spieramy? Może Żukowa nadspodziewanie zadziwiło nie to, że wstrętny nieprzyjaciel utworzył zgrupowania uderzeniowe, które miały dokonać „*miażdżących, rozcinających ataków*”, lecz że do tych ugrupowań wcielił „*taką masę wojsk pancernych i zmotoryzowanych*”? Na to właśnie pytanie możemy dziś odpowiedzieć zupełnie jednoznacznie. Rzeczywiście „*takiej masy*” nie spodziewali się ani Żukow, ani Timoszenko, ani sam Stalin.

Na początku lat pięćdziesiątych opublikowano pewne dokumenty dotyczące sowieckiego planowania strategicznego, które umożliwiają całkiem konkretną odpowiedź na pytanie, jakie mianowicie siły nieprzyjaciela, jakie „*masy wojsk pancernych i zmotoryzowanych*” spodziewały się napotkać w pierwszych walkach najwyższe wojskowo–polityczne władze Związku Sowieckiego. Brak mi dokładnej odpowiedzi jedynie na pytanie, jak resort towarzysza Gariejewa mógł dopuścić do opublikowania takich materiałów? Zresztą to też nie jest wielką zagadką. Pamiętniki Żukowa zostały opublikowane w kilkuset tysiącach egzemplarzy, zacytowano je w kilkudziesięciu milionach publikacji w gazetach i czasopiśmie, opowiedziano kilkuset milionom widzów kina i telewizji w tak zwanych filmach dokumentalnych. Cytowane później dokumenty zostały opublikowane w znanej bardzo wąskiemu kręgowi specjalistów „*malinówce*” (dwutomowy zbiór **Rosja — XX wiek. Dokumenty. 1941 rok**, którego nazwa pochodzi od koloru okładki). „*Malinówka*” od dawna jest bibliofilskim unikatem. Tak więc Gariejew i jego sympatycy niczego specjalnie nie ryzykowali...

Wróćmy jednak do sedna sprawy. Każdy ze znanych dokumentów dotyczących planowania strategicznego rozpoczynał się od rozdziału poświęconego ocenie możliwego składu ugrupowania wojsk nieprzyjaciela (nieprzyjaciół). Liczba mnoga będzie tu bardziej stosowna, ponieważ władze sowieckie niezmiennie włączały w skład nieprzyjaciół ZSRS na Zachodzie Finlandię, Rumunię, Węgry, Włochy, przy czym co do liczebności sił zbrojnych tych ostatnich snuły zupełnie fantastyczne domysły. I tak, według planu z marca 1941 roku, w składzie ugrupowania armii węgierskiej

zakładano 20 dywizji, gdy tymczasem Węgry rozwinęły w Karpatach, na granicy z sowiecką Ukrainą, zaledwie 3 brygady, co odpowiada 1,5 „*dywizji umownej*”. Biorąc pod uwagę, że wartość bojowa dywizji Wehrmachtu i na przykład dywizji rumuńskiej były po prostu nieporównywalne, ograniczymy się tylko do porównania spodziewanej i rzeczywistej liczebności sił zbrojnych głównego przeciwnika — Niemiec. Dla łatwiejszej percepcji ujęliśmy te informacje w tabelę.

Dywizje piechoty	Dywizje pancerne	Dywizje zmotoryzowane	czołgi	samoloty
1. „Przypuszczalne podstawy rozwinięcia strategicznego Sił Zbrojnych ZSRS”, 18 września 1940 r.				
145	17	8	10 000	13 000
2. „Skorygowany plan rozwinięcia strategicznego Sił Zbrojnych ZSRS”, 11 marca 1941 r.				
165	20	15	10 000	10 000
3. „Przewidywania według planu rozwinięcia strategicznego sił Związku Sowieckiego w razie wojny z Niemcami i ich sojusznikami”, 15 maja 1941 r.				
141	19	15		
4. Faktyczny skład Grup Armii „Północ”, „Środek” i „Południe”, 22 czerwca 1941 r.				
84	17	14	3628	2500

Uwagi:

- w liczbie 84 dywizji piechoty znalazły się 4 dywizje piechoty lekkiej, 2 dywizje strzelców górskich oraz 1 kawaleryjska;
- w liczbie 14 dywizji zmotoryzowanych znajdują się 4 dywizje zmotoryzowane Waffen SS;
- 900. Brygada Zmotoryzowana i pułk zmotoryzowany „*Gross-Deutschland*” zostały uwzględnione jako jedna „*umowna*” dywizja zmotoryzowana.

Uważny czytelnik zwrócił chyba uwagę na pewną dziwną rzecz: faktyczna liczba dywizji pancernych Wehrmachtu była nieco mniejsza od spodziewanej (17 zamiast 19–20), ale czołgów, jak się okazało, było trzy razy mniej. To nie jest błąd w druku. Jest to, z jednej strony, dowód jakości pracy sowieckiego wywiadu, który zakładał, że w jednej dywizji pancernej może być do pół tysiąca czołgów, z drugiej zaś strony — to, co w sowieckiej historiografii nazywano „*cechami szczególnymi przygotowania Wehrmachtu do napaści na ZSRS*”. W ramach tych przygotowań Hitler postanowił dwukrotnie zwiększyć liczbę dywizji pancernych. „*Szczególna cecha*” polegała na tym, że uczyniono to tak, jak w kołchozach niezmiennie osiągnano rekordowe udoje mleka: metodą rozcieńczania. Etatowy skład dywizji

pancernej Wehrmachtu został zmieniony i zamiast dwóch pułków pancernych w dywizji zostawiono jeden (co prawda w niektórych dywizjach pułk pancerny składał się z trzech batalionów zamiast dwóch, jak przedtem). Ostatecznie rano 22 czerwca 1941 roku liczba czołgów na froncie wschodnim wahała się od 265 (7. Dywizja Pancerna) do 143 (9. i 10. Dywizja). Stalin tak się nie bawił. Mimo gwałtownego wzrostu liczby dywizji pancernych Armii Czerwonej (do 61 na początku wojny) etatowa liczba czołgów w jednej dywizji zmniejszyła się całkiem nieznacznie: z 413 według etatu z lipca 1940 roku do 375 według etatu z lutego 1941 roku.

Najbardziej fantastyczne były wyobrażenia wywiadu sowieckiego o składzie bojowym Luftwaffe. I tak według „*Specjalnego doniesienia Zarządu Wywiadu Sztabu Generalnego Robotniczo–Chłopskiej Armii Czerwonej*” z 11 marca 1941 roku Niemcy mogli mieć na froncie wschodnim 3820 myśliwców, 4090 bombowców dwusilnikowych, 1850 nurkujących Ju 87.

Rzeczywista liczba samolotów bojowych według stanu na 22 czerwca 1941 roku wynosiła: myśliwców trzyipółkrotnie mniej, bombowców — czterokrotnie, bombowców nurkujących siedmiokrotnie mniej. Siły niemieckiego lotnictwa były tak wątle — zarówno w porównaniu z siłami powietrznymi Armii Czerwonej, jak i prognozami sowieckiego wywiadu — że w raporcie nr 3 sztabu Frontu Północno–Zachodniego, podpisanym o dwunastej 22 czerwca 1941 roku, stwierdzono dosłownie: „*Nieprzyjaciel nie wprowadził jeszcze do walki znacznych sił powietrznych, ograniczając się do działań poszczególnych grup i pojedynczych samolotów*”. I to zostało napisane 22 czerwca 1941 roku. Tego samego dnia, kiedy to rzekomo lotnictwo nieprzyjacielskie w ciągu pół doby zniszczyło całe lotnictwo sowieckie wprost na ziemi. Na „*lotniskach pogrążonych we śnie*”.

Prawdopodobnie po to, by omawiany fragment wspomnień G. K. Żukowa nabrał sensu i wiarygodności, należałoby usunąć z niego wszystkie zbędne słowa i dodać trzy potrzebne. I wtedy wyszłoby coś zupełnie rozsądnego. Na przykład:

„*Ani ludowy komisarz obrony, ani ja, ani moi poprzednicy, B. M. Szaposznikow i K. A. Mierieckow, ani kierownictwo Sztabu Generalnego nie spodziewaliśmy się, że nieprzyjaciel tak małymi siłami potrafi dokonać miażdżących uderzeń rozcinających*”. Uwzględniając rzeczywisty stosunek sił, byłoby to zupełnie słuszne stwierdzenie.

ROZDZIAŁ 2. „NATARCIE JEST WYRAZEM PRZEWAGI”

Pierwsze publikacje, w których podano rzeczywistą liczebność Armii Czerwonej w przededniu wojny, przytaczające dane o produkcji czołgów i samolotów, ukazały się jeszcze w końcu lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Niemal dwadzieścia lat temu. I nic, nikt niczego nie zauważył. Na przykład „*Wojenno–istoriczeskij żurnal*” (oficjalny, zauważmy, organ prasowy Ministerstwa Obrony ZSRS) w odległym 1989 roku w numerze 4 wydrukował tabelkę, w której wymieniono korpusy zmechanizowane rozwinięte w zachodnich okręgach pogranicznych i podano, ile liczyły czołgów. Zero emocji. Wystarczyło jednak, by kilku „*historyków amatorów*” zwróciło uwagę wykształconej publiczności na to, że korpusów zmechanizowanych było w Armii Czerwonej, jak się okazuje, więcej, niż Niemcy mieli dywizji pancernych; wystarczyło, żeby ci „*amatorzy*” wzięli do ręki zwykły kalkulator i zakomunikowali czytelnikom, że na przykład wojska Frontu Południowo–Zachodniego i Południowego miały 5826 czołgów, a niemiecka Grupa Armii „*Południe*” — zaledwie 728; wystarczyło, że niektórzy szczególnie rozzuchwaleni „*falszerze historii*” głośno oświadczyli, że 5826 to więcej niż 728... I tu się zaczęło... Ile krzyku, ile pretensji... „*To niemożliwe, bo... niemożliwe! Skąd to wzięliście? Pokażcie dokumenty! Nie takie! Mają być oryginały z osobistym podpisem Stalina! Przecież jeszcze w szkole pani od historii opowiadała o wielokrotnej przewadze liczebnej nieprzyjaciela...*”

Droży towarzysze, szanowni panowie, dlaczego od nauczycielki nie żądaliście dokumentów z podpisem Stalina? Dlaczego nie zauważacie publikacji dokumentów i faktów, a tak hałaśliwie reagujecie na oczywiste wnioski wyciągnięte na podstawie tych faktów?

Jeżeli natomiast idzie o rzeczywiście najważniejsze pytanie o wiarygodność przytoczonych tu i dalej liczb, to trzeba zwrócić uwagę na dwie kwestie. Pierwsza: w moim prywatnym archiwum nie mam dokumentów z własnoręcznym podpisem Stalina. Dokumenty, które studiowałem w archiwach państwowych i wojskowych (na przykład tak zwane tajne teczki protokołów z posiedzeń Politbiura, które przechowywane są w archiwach, lub

protokoły posiedzeń Komitetu Obrony, które niedawno zostały odtajnione), to w większości kopie maszynopisów. Rozważając teoretycznie, w minionych sześćdziesięciu latach można je było nawet sfalszować. Tak samo mogą być sfalszowane dokumenty opublikowane w „*malinówce*” (4, 6) oraz 42 tomy **Zbioru dokumentów bojowych**, a także dane przytoczone w stale cytowanych przeze mnie monografiach wydanych przez zespoły historyków wojskowych Sztabu Generalnego. Tak czy owak dysponowały nimi osoby i struktury, które w żadnym razie nie były zainteresowane wyolbrzymianiem składu i uzbrojenia Armii Czerwonej rozgromionej latem 1941 roku. Dlatego też sądzę, że przytoczone poniżej liczby śmiało można traktować jako minimalną (najpewniej pomniejszoną) granicę oceny ilościowej.

Druga kwestia wiąże się z tym, że dokładnych liczb określających liczebność i uzbrojenie Armii Czerwonej (podobnie jak armii jakiegokolwiek innego mocarstwa owych czasów) w zasadzie nie sposób wymienić. Z prostego powodu: w przededniu wojny ZSRS, Niemcy, Francja, Anglia nieprzerwanie powiększały swój potencjał militarny. Tworzono coraz to nowe jednostki i formacje, gwałtownie odnawiano sprzęt pancerny i lotniczy, maszyny technicznie przestarzałe były kasowane albo przesuwane do jednostek tyłowych i szkolnych, zmieniały się etaty i struktury jednostek, zmieniały się sposoby przestawiania armii ze stanu pokojowego na stan czasu wojny. Skutkiem tego nie można podać liczb dokładnych co do przecinka, ale nie stwarza to badaczowi — jak wynika z dalszej relacji — większych problemów, ponieważ przy takiej przewadze liczebnej, jaką miała Armia Czerwona, niewielkie „*błędy pomiaru*” nie mają już zasadniczego znaczenia.

Pierwsza wojna światowa zakończyła się wersalskim traktatem pokojowym, zgodnie z którym Niemcy nie tylko utraciły pewne terytoria (zamieszkałe przez Niemców, potencjalnych rekrutów), lecz również — co o wiele ważniejsze — zakazano im tworzenia i utrzymywania lotnictwa bojowego, wojsk pancernych, artylerii średniej i ciężkiej. Ogółem niemiecka armia lądowa, Reichswehra, mogła liczyć najwyżej 10 dywizji. Kraje Ententy nawet nie ukrywały, że ich celem jest osłabienie potencjału militarnego Niemiec do takiego poziomu, który nigdy im nie pozwoli wrócić do „*klubu*” wielkich mocarstw europejskich. Z drugiej strony na Rosję Sowiecką nie nałożono żadnych ograniczeń — mimo że zdradziła swoich sojuszników w Brześciu, mimo że nowa władza rosyjska bez orzeczenia sądowego

zlikwidowała majątek obywateli angielskich, francuskich i amerykańskich, a także ich przedsiębiorstw. Państwo „zwycięskiego proletariatu” wcale nie stało się (jak Libia czy Korea Północna we współczesnym świecie) państwem wyklętym. Nic podobnego. Zwycięzcy „proletariusze” (wywodzący się z byłych sklepikarzy, lumpeninteligentów, a nawet po prostu typów spod ciemnej gwiazdy, w rodzaju Haneckiego², jeździli sobie po najważniejszych stolicach świata, skupowali broń i technologie wojskowe, niemal otwarcie werbowali agentów wpływu, wabili bajecznymi pieniędzmi specjalistów wojskowych i technicznych. Na 101 procent sprawdziło się genialne proroctwo Lenina, że na zdemoralizowanym burżuazyjnym Zachodzie znajdują się — i to całkiem liczni — „użyteczni dla nas idioci”.

Tak więc zgodnie z odwiecznymi lamentami propagandy komunistycznej, że „*historia dała nam za mało czasu*”, osławiona „*historia*” (czyli „*użyteczni idioci*” w Londynie, Paryżu i Waszyngtonie) dała Związkowi Sowieckiemu znacznie więcej niż Niemcom czasu na przygotowania do wielkiej wojny. Czas jest bardzo ważnym zasobem. W niektórych sprawach decydującym. Jak głosi znany aforyzm: „*Nawet dziewięć kobiet w ciąży zebranych w jednym miejscu nie urodzi dziecka w jeden miesiąc*”. Przygotowanie specjalistów wojskowych (czołgistów, artylerzystów, lotników, nawigatorów) wymaga jeszcze dłuższego czasu niż normalna ciąża. Aby zgromadzić wielomilionowe zasoby wyszkolonych rezerwistów, potrzebne są długie lata. Niemcy tych lat nie miały, a ZSRS miał. Jednakże do utworzenia wysoce sprawnej armii w połowie XX wieku nie wystarczało już tylko dużo czasu oraz ogromne zasoby ludzkie i naturalne. Potrzebny był jeszcze nowoczesny przemysł oraz kadry inżynierskie i naukowe. Z tymi zasobami było w kraju bardzo krucho. Bolszewicy nieostrożnie wyniszczyli albo zmusili do ucieczki za granicę większą część uczonych i inżynierów. Za morzami i oceanami projektowali swoje maszyny latające Igor Sikorski, Aleksandr Siewierski czy Aleksandr Kartweli, samoloty angielskie i amerykańskie tankowały wysokooktanową benzynę lotniczą produkowaną według technologii inżyniera Ipatiewa... Stalin zaś miał do dyspozycji utalentowaną młodzież (ale ona wciąż jeszcze musiała się uczyć, uczyć i uczyć) oraz miliony więźniów mogące najwyżej wydobywać niewyobrażalne ilości rudy, którą trzeba było zasypać ogromne

² — Jakub Hanecki, a właściwie Jakub Fürstenberg, człowiek Lenina od nielegalnych interesów i finansowania partii; w 1918 roku został zastępcą ludowego komisarza finansów (przyp. red.).

kanały wykopane przez innych więźniów. Aha, można jeszcze było sprzedać tę rudę za granicę i otrzymać w zamian ładne papierki z wizerunkami mądrych prezydentów, a nawet złoto. Ale złoto jest nieużytecznym metalem. Z niego nawet dobrego gwoźdźcia nie da się zrobić. A tym bardziej — śmiech mówić — bagnetu (za ciężki i za miękki).

Rozwiązanie problemu znów znaleziono na Zachodzie. W wyniku wielkiego kryzysu gospodarczego końca lat dwudziestych i początku trzydziestych wielka burżuazja przemysłowa rozwiniętych krajów świata, cisnąc się na wyprzódki do sowieckiego żłobu i odpychając nawzajem od niego, zaczęła sprzedawać Stalinowi sprzęt wojskowy, technologie, obrabiarki, laboratoria, stacje prób, całe kompletne fabryki. Szaleńcza, niemoralna i samobójcza polityka Zachodu umożliwiła Stalinowi przekształcenie gigantycznych zasobów finansowych (zarówno tych, które siłą odebrano poprzednim właścicielom, jak i nowo powstałych dzięki pracy wielomilionowych rzesz niewolników kołchozów i gułagów) w góry broni i sprzętu wojskowego. W gigantycznych zakładach wyposażonych w najnowsze oprzyrządowanie amerykańskie i niemieckie angielski czołg Vickers E rozmnażano w tysiącach sztuk pod nazwą T-26, a konstrukcję amerykańskiego inżyniera Christiego przekształcano w tysiące sowieckich czołgów BT. Na niemieckiej licencji opanowano produkcję dział przeciwpancernych kalibru 37 mm oraz 76 mm i sławetnych „czterdziestekpiątek” (działo przeciwpancerne 45 mm). Francuskie silniki lotnicze pod skromnymi proletariackimi nazwami M87 i M88 wznosiły w powietrze bombowce dalekiego zasięgu DB-3 wyposażone w amerykańskie autopiloty firmy Sperry, natomiast inne francuskie silniki, którym nadano nazwy M100 i M103, montowano w sowieckich bombowcach SB; najlepsze na świecie myśliwce Polikarpowa I-15 oraz I-16 były napędzane silnikami M25 i M62 (panieńskie amerykańskie nazwisko — Wright-Cyclone); w zakładach lotniczych Fili pod Moskwą (koncesja firmy Junkers) produkowano pierwszy na świecie ciężki czteromotorowy bombowiec TB-3 z silnikami M-17 (BMW-6)...

Szanowny czytelniku, jeśli ci to nie sprawi trudności, postaraj się nie wyczytać w mojej książce tego, czego w niej nie ma. Nie mówię, że łatwo jest zorganizować masową produkcję skomplikowanych technicznie rodzajów

uzbrojenia, nawet jeśli się ma importowane wyposażenie, importowaną technologię, pomoc zagranicznych specjalistów i zagraniczne licencje.

Najłatwiej jest nic nie robić i marnotrawić spadek wnuków tudzież prawnuków, pompując surową ropę rurociągami zbudowanymi przez ojców i dziadów. Ale też nie ma żadnego „*bezprzykładnego cudu*” w dziejach sowieckiej industrializacji lat trzydziestych. Takie same „*cuda*” za naszych czasów zdarzały się (i wciąż się zdarzają) w Korei Południowej, na Tajwanie, w Malezji, Indonezji, Tajlandii. Z tą jedynie różnicą, że „*siermiężna Rosja*” na długo przed dojściem bolszewików do władzy już produkowała własne szyny i własne parowozy, samochody i samoloty, ciężkie krążowniki i lekkie jak piórko lampy radiowe. Mówiąc prościej, Rosja z 1916 roku nie była ani Malezją, ani Singapurem.

Stalin i awansowani przezeń „*mianowańcy*” umieli zmusić ludzi do pracy. Można dyskutować, na ile racjonalne były te wielkie wyczyny z punktu widzenia kryterium koszt — wynik. Bardzo możliwe, że efekty kolosalnych inwestycji lat trzydziestych byłyby znacznie większe w normalnej gospodarce rynkowej, bez pośpiechu, „*szturmowszczyzny*” i pokryzysowej depresji. W każdym razie Stalin mało przejmował się „*kosztami*” (więźniowie w kołymskich kopalniach płukali złoto na trzy zmiany bez dni wolnych), a wynik był imponujący. Sowieccy uczniowie niewątpliwie przerośli swoich zachodnich mistrzów. Przytoczymy jedynie dwa charakterystyczne świadectwa. W 1936 roku zakłady lotnicze ZSRS odwiedził Louis Charles Breguet, założyciel największej francuskiej firmy produkującej samoloty (do dziś we współpracy z firmą Dassault wytwarza ona odrzutowce Mirage). Gdy wrócił do domu, napisał: „*Wykorzystując pracę dziesięciokrotnie większej liczby robotników, sowiecki przemysł lotniczy produkuje dwadzieścia razy więcej samolotów*”. W tej opinii jest oczywiście więcej emocji niż statystyki. Ciekawe, że podobne emocje opanowały również młodego sowieckiego konstruktora Aleksandra Jakowlewa, gdy w tym samym roku zwiedził francuskie wytwórnie samolotów: „*Zwiedzając zakłady lotnicze we Francji, mimo woli porównywałem je z naszymi. Za każdym razem z wielką satysfakcją dochodziłem do wniosku, że żadna oglądana przeze mnie francuska fabryka nie może się równać z którymkolwiek z naszych przeciętnych zakładów, jeśli chodzi o rozmiary i jakość wyposażenia*”.

A teraz przejdźmy od emocji do suchych liczb. Już w 1937 roku sowieckie lotnictwo wojskowe uzbrojone było w 8139 samolotów bojowych. Mniej więcej tyle samo po dwóch latach miały wzięte razem: Niemcy (4093), Wielka Brytania (1992) oraz USA (2473). Do 1 października 1939 roku sowieckiemu lotnictwu wojskowemu przybyło pięćdziesiąt procent maszyn (12 677 i wtedy już miało ono więcej samolotów niż wszyscy uczestnicy rozpoczętej wojny światowej. W 1940 roku walczące Niemcy wyprodukowały 1877 myśliwców jednosilnikowych i 3012 bombowców, ZSRS — odpowiednio 4179 i 3301. Nawet w 1941 roku, po utracie bądź ewakuacji wielu przodujących zakładów, Związek Sowiecki zbudował dwuipółkrotnie więcej myśliwców niż Niemcy (7080 wobec 2852), choć pozostał w tyle, jeśli chodzi o dwusilnikowe bombowce (2861 wobec 3783). Później wskaźniki ilościowe produkcji samolotów bojowych w Związku Sowieckim były zawsze wyższe. Z jednym wyjątkiem: w 1944 roku, usiłując przeciwstawić się zmasowanym uderzeniom strategicznego lotnictwa bombowego sojuszników, Niemcy wyprodukowały 23 805 myśliwców jednosilnikowych (ośmiokrotnie więcej niż w 1941 roku), a ZSRS owego roku — zaledwie 16 703 myśliwców. Taki skok w produkcji myśliwców był jednak już ostatnim wysiłkiem niemieckiego przemysłu lotniczego...

Równie ogromna była też produkcja czołgów. Już na początku 1939 roku pod względem liczby czołgów — 14 540, i to nie licząc przestarzałych T-27 oraz lekkich pływających T-37 i T-38 — Armia Czerwona miała równo dwukrotnie więcej czołgów niż Niemcy (3420), Francja (3290) i Anglia (550) łącznie. Na 22 czerwca 1941 roku sowieckie siły zbrojne mogły się pochwalić niewyobrażalną dla jakiegokolwiek innego kraju świata liczbą 21 447 czołgów (i to znowu nie licząc 2,6 tysiąca przestarzałych tankietek T-27 oraz 3,8 tysiąca lekkich pływających T-37, T-38 i T-40). Wehrmacht w czerwcu 1941 roku miał na uzbrojeniu tylko 5440 czołgów i dział samobieżnych wszystkich typów (nie wliczając 1122 tankietek PzKpfw I). Czterokrotnie mniej niż Armia Czerwona. Skala produkcji czołgów w ZSRS, nawet w katastrofalnym roku 1941, wynosiła 6590 sztuk (w tym 1360 ciężkich KW oraz 3010 średnich T-34). Natomiast Niemcy, na które „*rzekomo pracowała cała Europa*”, w 1941 roku wyprodukowały o połowę mniej czołgów i dział samobieżnych (4110, w tym 700 czeskich PzKpfw 38(t)). W następnym, 1942 roku przemysł pancerny ZSRS wypuścił już 24 720 czołgów (w tym 2550

KW i 12 530 T–34), co czterokrotnie przewyższało produkcję czołgów i dział samobieżnych w Niemczech (6090, w tym 1560 tankietek i czołgów lekkich).

Ogromny potencjał przemysłu zbrojeniowego, niewyczerpane zasoby surowców naturalnych, wielomilionowa rzesza rezerwistów, którzy odbyli zasadniczą służbę wojskową — wszystko to umożliwiło Stalinowi utworzenie największej armii świata. Do lata 1939 roku Armia Czerwona liczyła 100 dywizji strzeleckich (licząc 5 brygad za dwie „*dywizje umowne*”), 18 dywizji kawalerii i 36 brygad pancernych. Armia lądowa agresora — Niemiec — liczyła wówczas zaledwie 51 dywizji (w tym 5 pancernych i 4 zmotoryzowane). Według ostatniej zatwierdzonej wersji planu mobilizacyjnego MP–41 zamierzono rozwinąć Armię Czerwoną w składzie: 198 dywizji strzeleckich (w tym 19 dywizji górskich), 61 dywizji pancernych, 31 zmotoryzowanych, 13 dywizji kawaleryjskich. W sumie 303 dywizje. Jak również 94 pułki artylerii korpusnej, 72 pułki artyleryjskie i 10 brygad artylerii przeciwpancernej odwodu Naczelnego Dowództwa, 16 brygad powietrznodesantowych. Zgodnie z utartą tradycją do ogólnej listy nie wliczamy wojsk NKWD, których liczebność (154 tysiące ludzi) odpowiadała 10 „*dywizjom umownym*”. Zresztą wszystkie te ugrupowania 22 czerwca 1941 roku już istniały w rzeczywistości. Szkielety 303 dywizji zostały utworzone, 5,6 miliona osób powołano pod broń jeszcze w ramach „*armii czasu pokoju*”. Przy czym w armiach zachodnich okręgów pogranicznych „*szkielety*” zostały już w zasadzie zabudowane. W 99 dywizjach strzeleckich zachodnich okręgów wojskowych (w tym w Leningradzkim OW) liczbę żołnierzy (przy etacie 14,5 tysięcy) doprowadzono do: 21 dywizji — po 14 tysięcy, 72 dywizje — po 12 tysięcy oraz 6 dywizji po 11 tysięcy żołnierzy.

Podczas — już jawnej — mobilizacji przewidziano przede wszystkim uzupełnienie jednostek i ugrupowań wcześniej sformowanych do norm etatowych i utworzenie niewielkiej (w porównaniu z gigantyczną liczebnością Armii Czerwonej czasu pokoju) liczby nowych dywizji: w ciągu pierwszych trzech miesięcy zamierzano sformować dodatkowo 30 nowych dywizji strzeleckich. Przyjęty w ZSRS tryb rozwinięcia mobilizacyjnego różnił się zasadniczo od tego, co obowiązywało w innych krajach Europy. Na przykład Francja latem 1939 roku miała zaledwie 33 dywizje kadrowe przy wojskach lądowych liczących 550 tysięcy żołnierzy. Podczas rozwinięcia mobilizacyjnego sformowano przeszło 50 nowych, zupełnie „*surowych*”

dywizji. Większa część ich składu osobowego nigdy przedtem nie służyła w wojsku. W Wehrmachcie na wiosnę 1939 roku było zaledwie 35 kadrowych dywizji piechoty, podczas jawnej mobilizacji liczba dywizji piechoty na początku następnego roku zwiększyła się do 86. Właśnie te „nowo narodzone” dywizje miały zmiażdżyć takąż młodą, słabo wyszkoloną i źle uzbrojoną armię francuską...

W kwietniu 1941 roku dywizje strzeleckie Armii Czerwonej przestawiono na nowy etat. Ich skład osobowy trochę (o 16 procent) się zmniejszył i wynosił teraz 14,5 tysiąca ludzi wobec 16,9 tysiąca w dywizji piechoty „*pierwszej fali formowania Wehrmachtu*”. Nieco większy skład osobowy niemieckiej dywizji piechoty oznaczał jedynie bardziej rozwinięte służby pomocnicze i tyłowe. Jeśli chodzi o siłę ognia, dywizja strzelecka Armii Czerwonej ani trochę nie ustępowała niemieckiej dywizji piechoty. Według stanu etatowego w kwietniu 1941 roku w dywizji strzeleckiej było 166 cekaemów i 392 erkaemów (w niemieckiej dywizji piechoty — odpowiednio 138 i 378). Wiele napisano o tym, że na dywizję piechoty Wehrmachtu przypadało ledwie 767 pistoletów maszynowych, a pozostali żołnierze byli uzbrojeni w zwykłe karabiny (11,5 tysiąca — co prawda na reżyserów i producentów tak zwanych filmów historycznych na razie to nie podziałało). Co więcej, dywizja strzelecka Armii Czerwonej, uzbrojona w 10 420 karabinów, przezbrajała się z „*trzyliniówki*” Mosina na samopowtarzalny karabin Tokariewa (SWT), co dawało nad nieprzyjacielem znaczną przewagę siły ognia strzeleckiego. Po to, żeby nigdy więcej nie wracać do dyskusji nad zupełnie bzdurnym wymysłem, że w Armii Czerwonej przed rozpoczęciem wojny (podkreśl sobie te trzy słowa, czytelniku szanowny, trzema grubymi kreskami) brakowało nawet karabinów, zauważmy, że w istocie bronią strzelecką z czerwca 1941 roku można by obdzielić następującą liczbę dywizji:

- ciężkimi karabinami maszynowymi: 460;
- karabinami maszynowymi: 435;
- karabinami: 743.

Tradycyjnie potężna była sowiecka artyleria — ten bezlitosny „*bóg wojny*” XX stulecia. Na dywizję strzelecką Armii Czerwonej przypadały dwa pułki artyleryjskie. Prócz tego każdy z trzech pułków strzeleckich miał po 6 lekkich „*pułkowych*” armat kalibru 76,2 mm. W sumie 18 krótkolufych armat

pułkowych 76,2 mm, 16 dywizyjnych (o większej masie, dłuższej lufie i odpowiednio większej prędkości początkowej pocisku) kalibru 76,2 mm, 32 haubice kalibru 122 mm oraz 12 haubic kalibru 152 mm. Dla porównania przytoczmy liczbę i kaliber dział oraz tak zwany ogólny lub łączny ciężar salwy artylerii polowej polskiej, francuskiej i niemieckiej dywizji piechoty (ciężar pocisków w systemach porównywalnego kalibru rozmaitych armii nieco się różnił, toteż podane niżej wartości należy traktować jako orientacyjne).

	75/76,2 mm	100/105 mm	122 mm	150/152,2 mm	ciężar salwy w kg
ZSRS	34	—	32	12	1395
Niemcy	20	36	—	18	1384
Francja	36	—	—	24	1183
Polska	30	15	—	3	531

Jak widzimy, pod względem liczby luf oraz łącznego ciężaru salwy artyleria sowieckiej dywizji strzeleckiej co najmniej nie ustępowała „najlepszym standardom światowym”. Wbrew szeroko rozpowszechnianemu błędnemu pogładowi, w Związku Sowieckim nie zapomniano też o moździerzach. Według etatu dywizji strzeleckiej należały się 84 moździerze kompanijne kalibru 50 mm i 54 moździerze kalibru 82 mm (w dywizji piechoty Wehrmachtu — odpowiednio 93 i 54). Tę niewielką (9 sztuk) różnicę na niekorzyść Armii Czerwonej, jeśli chodzi o wyposażenie w lekkie moździerze kompanijne, z naddatkiem kompensowało to, że sowiecka dywizja strzelecka była ponadto uzbrojona w 12 potężnych moździerzy kalibru 120 mm. Pod względem masy pocisku i siły rażenia broń ta była w pełni porównywalna z niemiecką haubicą 105 mm.

Wszystko, co podałem wyżej, dotyczy etatu z kwietnia 1941 roku. Może jednak „*historia dała Stalinowi za mało czasu*” i wszystkich tych armat i moździerzy po prostu nie było w naturze? Policzmy sami, ażeby rozwiać wątpliwości. Sięgamy po wydany przez Główny Zarząd Artylerii w 1977 roku (obecnie już odtajniony) zbiór statystyczny **Wyposażenie artyleryjskie w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej 1941–1945**, bierzemy sprawny kalkulator i dzielimy wykazane w tomie liczby armat, moździerzy i haubic przez etat uzbrojenia dywizji strzeleckiej. W wyniku otrzymujemy pewną umowną

liczbę dywizji, które można było wyposażyć w posiadane uzbrojenie artyleryjskie. Oczywiście w ten sposób nie sporządza się planu mobilizacyjnego, ale aby otrzymać ocenę „ogólnej sytuacji”, taka metoda jest dopuszczalna. Tak więc:

	posiadane w tys. sztuk	liczba na dywizję
moździerze 50 mm	36 324	432
moździerze 82 mm	14 524	269
moździerze 120 mm	3872	323
armaty pułkowe 76 mm	4701	261
armaty dywizyjne 76 mm	8513	523
haubice 122 mm	8124	254
haubice 152 mm	3817	318

Jak wynika z powyższej tabeli, mobilizująca się Armia Czerwona miała zapewnione całkowite wyposażenie w podstawowe rodzaje uzbrojenia artyleryjskiego. Dywizyjnych „trzycałówek” była nawet taka nadwyżka, że niekiedy uzbrajano w nie baterie pułkowe, gdzie zgodnie z etatem powinny być lekkie krótkolufy armaty kalibru 76 mm. Najbardziej uważnemu czytelnikowi wyjaśnijmy, że etat wyposażenia dywizji górskich, pancernych, zmotoryzowanych i kawaleryjskich przewidywał znacznie mniej dział niż dla dywizji strzeleckich. Między innymi haubic kalibru 122 mm dywizja strzelców górskich powinna mieć 24 (a nie 32, jak strzelecka), pancerna — 12, zmotoryzowana — 16, kawaleryjska — 8.

Jeszcze bardziej wyraziste jest porównanie liczby dział w Armii Czerwonej według stanu na początek czerwca 1941 roku z uzbrojeniem nieprzyjaciela:

	ZSRS	Niemcy
moździerze 82 mm (81 mm)	14 524	11 767
armaty wszystkich typów 76 mm (75 mm)	15 298	4176
haubice 105 mm	—	7076
haubice 122 mm	8124	—
armaty 107 (105 mm)	862	760
armaty 122 mm	1255	—
haubicoarmaty 152 mm (150 mm)	6458	3802
haubice 203 mm (210 mm)	871	403

Zapoznaliśmy się już z ilością, powiedzmy zatem parę słów również o jakości. Z łącznej liczby 56,7 tysiąca dział (w tym 23,5 tysiąca przeciwlotniczych i przeciwpancernych), w które była uzbrojona Armia Czerwona na początku czerwca 1941 roku, 52,4 tysiąca (92 procent) zostało wyprodukowanych w latach 1937–1941. O armatach i haubicach, których okres służby liczy dziesiątki lat, można w takim wypadku powiedzieć „*prawie nowe*”. Co się tyczy nowości taktyczno–technicznych, to najnowsze systemy wzoru lat 1936–1939 stanowiły już znaczną część parku artyleryjskiego Armii Czerwonej. I tak na przykład w wojskach Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego z łącznej liczby 2203 armat kalibru 76,2 mm nowe systemy stanowiły połowę (1069). Jeśli idzie o haubice i armaty 122 mm, było to 27 procent, a 152 mm — 73 procent. W sąsiednim, znacznie słabszym, Odeskim Okręgu Wojskowym odpowiednie wskaźniki wynosiły 35, 13 i 65 procent. Praktycznie nowe (jeśli chodzi o datę opracowania i produkcji) były wszystkie moździerze, znaczna część dział przeciwlotniczych i przeciwpancernych. Sowieckie władze wojskowo–polityczne nie zamierzały jednak na tym poprzestać.

I tak zatwierdzony 7 lutego 1941 roku plan produkcji uzbrojenia strzeleckiego i artyleryjskiego przewidywał wyprodukowanie 4 tysięcy dział przeciwlotniczych kalibru 85 mm, 2600 dział kalibru 122 mm, 2500 kalibru 152 mm, 2060 moździerzy kalibru 120 mm, 1,8 mln karabinów...

Jeżeli pod względem ilości i jakości uzbrojenia artyleryjskiego Armia Czerwona nie ustępowała żadnej armii świata, to poziom mechanizacji sowieckiej artylerii był zupełnie unikatowy. Zgodnie z etatem z kwietnia 1941 roku w pułku artylerii haubic dywizji strzeleckiej (nie zmotoryzowanej!) na 36 haubic przypadły 72 ciągniki (gąsienicowe), 90 samochodów ciężarowych, 9 specjalnych oraz 3 osobowe. Dwa ciągniki na jedną haubicę — to stuprocentowa rezerwa mechanicznych środków pociągowych, bynajmniej nie świadectwo nadmiernej masy dział. Haubica kalibru 122 mm ważyła około 2,5 tony, a kalibru 152 mm — 4,2 tony. Do holowania haubic dywizyjnych przeznaczano zwykle traktory produkcji zakładów w Stalingradzie i Czelabińsku (ST–3, S–60, S–65, „*panieńskie nazwisko Catterpillar*”). To właśnie ten środek transportu, który w deszczu i śniegu mógł poruszać się po rosyjskich drogach. Do holowania dział w dywizji piechoty wcale nie jest potrzebna duża prędkość, wystarczy, żeby artyleria nie

pozostawała w tyle za żołnierzami poruszającymi się pieszo. Tak czy owak nasz przeciwnik nawet nie mógł marzyć o 72 ciągnikach gąsienicowych w pułku artylerii. W jedynym pułku artyleryjskim dywizji piechoty Wehrmachtu wszystkie działa (włącznie z haubicami 150 mm) były ciągnięte przez sześciokonne zaprzęgi. W pułku artyleryjskim niemieckiej dywizji piechoty samochodów ciężarowych, według etatu, było nawet mniej niż w pułku haubic dywizji sowieckiej (80 wobec 90). Łącznie na całą dywizję piechoty Wehrmachtu przypadało 615 ciężarówek, było to jednak więcej niż etatowo w sowieckiej dywizji strzeleckiej (529 samochodów ciężarowych i specjalnych). Niemiecka dywizja zdecydowanie górowała nad dywizją Armii Czerwonej, jedynie jeśli chodzi o liczbę samochodów osobowych (394 wobec 19). Większa część dowódców w sowieckiej dywizji strzeleckiej musiała się przemieszczać pieszo lub konno (etat dywizji przewidywał 616 koni pod siodło). Niemiecki oficer pokonywał przestrzeń z nieporównanie większym komfortem... dopóki tę przestrzeń stanowiły drogi bite starej dobrej Europy. Na szlakach, które w Rosji nazywano drogami, kobyła okazywała się o wiele bardziej przydatna.

Dywizja strzelecka Armii Czerwonej nie ustępowała dywizji piechoty Wehrmachtu również pod względem wskaźnika bardzo ważnego w armiach połowy XX wieku, jakim były środki obrony przeciwpancernej. W skład niemieckiej dywizji piechoty wchodził dywizjon przeciwpancerny uzbrojony w 36 armat kalibru 37 mm. Prócz tego w każdym z trzech pułków dywizji piechoty była kompania obrony przeciwpancernej z 12 armatami 37 mm. Uwzględniając jeszcze trzy takie armaty w batalionie rozpoznawczym dywizji, łącznie miała ona 75 dział przeciwpancernych. Analogiczny schemat podziału broni przeciwpancernej obowiązywał również w Armii Czerwonej: samodzielny dywizjon armat przeciwpancernych oraz jeszcze po 12 „czterdziestekpiątek” w każdym z trzech pułków strzeleckich. Razem 54 armaty przeciwpancerne. Oprócz tego — i na tym polegała istotna różnica struktury uzbrojenia artyleryjskiego — do zwalczania czołgów dowódca dywizji mógł ściągnąć również 16 długolufych dział 76,2 mm z pułku artylerii. Najnowsze (opracowane w latach 1936–1939) armaty dywizyjne konstrukcji Wasilija Grabina F–22 i USW kalibru 76,2 mm, przy możliwej do przyjęcia dla broni przeciwpancernej masie (1620–1480 kg), pod względem parametrów przebijania pancerza znacznie przewyższały niemieckie armaty

przeciwpancerne PaK 36 i PaK 37 kalibru 37 mm oraz nie ustępowały najlepszej w połowie 1941 roku niemieckiej armacie przeciwpancernej PaK 38 kalibru 50 mm. Z odległości do 1000 m F-22 przebijała czołowy, czyli najgrubszy, pancerz każdego niemieckiego czołgu. Przed rozpoczęciem wojny Armia Czerwona otrzymała 4038 „dywizjonek” F-22 i USW, co niemal czterokrotnie przewyższało liczbę tych niemieckich czołgów (439 PzKpfw IV i 707 PzKpfw III serii H i J), na które trzeba było poświęcić pocisk kalibru 76 mm. Warto zauważyć, że to właśnie zdobyczne armaty F-22 Wehrmacht najskwapliwiej brał sobie na uzbrojenie. Pół tysiąca F-22 zdobytych w lecie 1941 roku, po nieznacznych przeróbkach (Niemcy rozwiercali komorę ładowniczą z uwagi na większą długość łuski swojego naboju przeciwpancernego tego kalibru), zainstalowano na podwoziu lekkiego czeskiego czołgu PzKpfw 38(t). Tak oto powstało zaimprovizowane działo samobieżne *Marder*, które w 1942 roku (obok nowej armaty przeciwpancernej PaK 38 kalibru 50 mm) stało się głównym środkiem walki z sowieckimi czołgami.

Armata przeciwpancerna jest znaczącym, ale bynajmniej nie jedynym składnikiem obrony przeciwpancernej. Nie mniej ważny jest szybki terenowy środek transportu dział na pozycję ogniową. Problem polega na tym, że 1,5–2 km od podstawy natarcia do linii nieprzyjacielskich okopów czołg powoli pokonuje w ciągu 5 minut. Tak więc dywizjon przeciwpancerny, który przybyłby na miejsce przerwania frontu spóźniony o pół godziny, nie wykonałby zadania bojowego i już nie mógłby go wykonać, bo nieprzyjacielskie czołgi schowałyby się za zasłoną dymu i kurzu. Problem ten w Wehrmachcie został rozwiązany znakomicie. Do holowania dział PaK 36 i PaK 37 dywizjonu przeciwpancernego wykorzystano trzyosiową ciężarówkę Krupp Kfz. 69 *Protze*. Ten dość lekki (2450 kg przy silniku o mocy 1110 KM) samochód pędził szosą 70 km/h. Co prawda bez działa, bo holując je, nie mógł się poruszać szybciej niż 30–35 km/h, tak więc duża prędkość Kfz. 69 nie mogła być w praktyce wykorzystana. Co się zaś tyczy „terenowości”, to ciężarówkę z napędem na dwie tylne osie można było nazwać terenową na autostradach Belgii i Francji, ale nie na rosyjskich bezdrożach.

W Związku Sowieckim wybrano inny sposób. Dowództwo Armii Czerwonej od razu postanowiło, że środek transportu dział przeciwpancernych powinien mieć walory trakcyjne nie gorsze niż czołg. Mówiąc prościej,

potrzebny był pełnowartościowy ciągnik gąsienicowy. Taki pojazd — niezbyt duży, choć opancerzony — został stworzony w końcu 1936 roku przez zespół konstruktorów pod kierownictwem Nikołaja Astrowa na bazie podzespołów lekkiego czołgu pływającego T-37. Nazwano go komsomolec. Pancierz chronił kierowcę przed pociskami karabinowymi i odłamkami pocisków armatnich. Samochód ten mógł holować działo o masie do 2 ton (czyli wszystkie armaty przeciwpancerne i dywizyjne, w jakie była wtedy i później wyposażona Armia Czerwona), pokonywał rów o szerokości 1,4 m, bród 0,6 m, ścianę o wysokości 47 cm, łamał też drzewka o średnicy do 18 cm, bez przyczepy wspinał się na zbocze o nachyleniu do 45 stopni, nawracał na placu o średnicy 5 metrów. W sumie, przy nacisku gąsienic na grunt 0,58 kg/cm²; (0,9–1,0 w niemieckich czołgach średnich), komsomolec pod względem możliwości jezdnych górował nad wszystkimi nieprzyjacielskimi ciągnikami. A prędkość? Znacznie mniejsza niż wspomnianej ciężarówki Kruppa: 47 km/h na szosie, bez ładunku i przyczepy, 8–11 km/h z pełnym obciążeniem w terenie pofałdowanym. To właśnie przykład „wystarczającej racjonalności”. Narzekania na wyjątkową zawodność sowieckiego sprzętu pancernego stały się po prostu frazesem w pisanie współczesnych historyków (nawiasem mówiąc, z każdym rokiem ronią oni coraz obfitsze łzy). Usilnie namawiają publiczność, by uwierzyła, że wszystkie nasze czołgi, ciągniki, samochody pancerne rozsypały się już w pierwszych dniach wojny, i dlatego... Pozwalamy sobie nie wierzyć tym histerycznym historykom — komsomołce oczywiście się rozpadały, ale nie od razu. W armii fińskiej zdobyczne ciągniki tego typu sprawnie działały jeszcze do 1961 (tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego) roku. Bez fabrycznie nowych części zamiennych i wymiany silnika. Od 1937 do 1941 roku włącznie wyprodukowano 7780 tych cudownych maszyn (światowej sławy firma Krupp wyprodukowała w tym okresie 7 tysięcy ciężarówek Kfz. 69), na początku wojny w jednostkach Armii Czerwonej było 6700 tych ciągników. Czy to dużo — 6700 ciągników opancerzonych do dział przeciwpancernych? Wszystko wyjaśni nam porównanie. W 17 dywizjach pancernych Wehrmachtu na froncie wschodnim było dwukrotnie mniej czołgów (3266). Dział przeciwpancernych w całej Armii Czerwonej było dwa razy więcej (14,9 tysiąca). Według planu etatowego z kwietnia 1941 roku dywizjon przeciwpancerny dywizji strzeleckiej miał być wyposażony w 21

komsomolców. Tak więc w posiadane przez armię sowiecką ciągniki można było wyposażyć 319 dywizji strzeleckich i zmotoryzowanych (w rzeczywistości rozwijano, jak już podałem, 229 takich dywizji). Warto również zauważyć, że obok ciągników opancerzonych „*skonstruowanych na podwoziu czołgu pływającego*” w dywizjach strzeleckich Armii Czerwonej były również owe pływające czołgi T-37, T-38 i T-40. W pojazdy te wyposażono bataliony zwiadu dywizji strzeleckiej i zmotoryzowanej — był to luksus niedostępny żadnej innej armii świata. Według etatu dywizji należało się 16 czołgów pływających, faktycznie zaś według stanu na 1 czerwca 1941 roku, w okręgach wojskowych było 3447 czołgów T-37, T-38 i T-40. Przeciętnie po 15 czołgów na dywizję. Przeciętnie, bo na kierunku głównego uderzenia, w okręgach kijowskim i odeskim, były dywizje strzeleckie, które miały po 20–27 czołgów pływających (30., 51., 58., 97., 99., 130., 140., 156. i 169. DS). Czołgi te oczywiście pływały kiepsko, gorzej niż statki spacerowe, ale potrafiły sforsować leśną rzeczkę bez brodu i mostu albo odholować lekką armatę przeciwpancerną na pozycję ogniową.

Największe możliwości manewrowe miały wojska powietrznodesantowe Armii Czerwonej (pięć korpusów powietrznodesantowych po trzy brygady oraz jedna brygada specjalna). Zauważmy od razu, że na froncie wschodnim w 1941 roku nie było ani jednego niemieckiego ugrupowania powietrznodesantowego. Zmyślone są wszystkie liczne wzmianki o „*spadochroniarzach nieprzyjaciela*” pojawiające się nie tylko na łamach literatury pamiętnikarskiej, ale i w raportach polowych z lata 1941 roku. Co się zaś tyczy sowieckich korpusów powietrznodesantowych, to nazywanie ich korpusami było grubą przesadą. Liczyły one zaledwie po 8020 ludzi, czyli były znacznie mniejsze od dywizji strzeleckiej. Komunistyczni historycy starali się nie wspominać o tworzeniu w „*niezmiennie pokojowym*” Związku Sowieckim wojsk powietrznodesantowych, w których służyło więcej ludzi, niż było jeźdźców w ordzie Batu–chana. Natomiast w ostatnich latach, za sprawą Wiktora Suworowa, tradycyjnie narzeka się, że wspaniale przygotowanych i mężnych dywersantów z samym tylko komandoskim nożem w rękach „*rzucano pod niemieckie czołgi...*” Aczkolwiek jest w tym cząstka prawdy, to po dokładnym zaznajomieniu się z etatem sowieckiego korpusu powietrznodesantowego powstaje zasadnicza wątpliwość, dlaczego w zwykłej ogólnowojskowej walce taki korpus był aż tak bezbronny. Prócz

spadochronów i noży miał on być uzbrojony w: 4500 karabinów samopowtarzalnych, 1257 pistoletów maszynowych, 440 karabinów maszynowych (więcej niż w dywizji strzeleckiej), 60 moździerzy, 864 plecakowe miotacze ognia (!), 18 pułkowych armat 76,2 mm, 50 czołgów pływających T-38 i T-40, 241 samochodów. Na dobrą sprawę pod nazwą „*korpus powietrznodesantowy*” tworzono bardzo mobilne, doskonale uzbrojone brygady strzeleckie, które można było desantować na tyłach wroga na spadochronach, a część składu osobowego i uzbrojenia wysadzić tam prosto z samolotów lub szybowców.

Innym mitem wbijanym masom w głowę jest łączność, a raczej jej brak, co podobno stało się przyczyną wszelkich nieszczęść. Dlaczego właśnie ten mit okazał się bodaj najbardziej żywotny we wszystkich utworach sowieckich historyków propagandystów? Prawdopodobnie dlatego, że to niemal prawda.

Łączności rzeczywiście zabrakło. W pierwszych godzinach, dniach i tygodniach wojny wszelka wymiana informacji pomiędzy sztabami a jednostkami wszystkich szczebli praktycznie została całkowicie sparaliżowana. Dowództwo z reguły nie miało żadnych wiadomości o sytuacji, działaniach, stratach swoich podkomendnych. Dowództwa wyższego szczebla szukały własnych wojsk za pomocą lotnictwa zwiadowczego! Nieprawdopodobne, ale prawdziwe. Nieprzyjaciela niespodziewanie wykrywano kilkadziesiąt (a w pierwszych dniach wojny kilkaset) kilometrów od linii frontu, którą — sądząc ze spóźnionych doniesień — nasze wojska rzekomo jeszcze utrzymywały (to właśnie takie zdarzenia wywołały liczne pogłoski o „*niemieckich desantach z powietrza*”). Wszystko to najprawdziwsza prawda. Następnie sowieccy „*historycy*” ze zręcznością, której mogliby im pozazdrościć rasowi szulerzy, szachrowali tą prawdą, zastępując informacje o braku łączności między instancjami dowódczymi jawnie fałszywą tezą o „*braku technicznych środków łączności*”. Ale to wcale nie jest to samo.

Do nawiązania łączności potrzebne są:

- ktoś, z kim chce się nawiązać łączność;
- chęć tego kogoś do nawiązania łączności;
- i dopiero jeżeli zaistnieją dwa pierwsze warunki, powstaje zapotrzebowanie na techniczne środki łączności (na przykład bębny, tamtamy, rogi myśliwskie, rakiety sygnalizacyjne i inne).

Zilustrujmy tę niewyszukaną historię prostym przykładem z życia. Jeżeli nie masz dziecka, to nie uda ci się do niego dodzwonić. Jeżeli już masz dziecko, ale poszło ono na urodziny do przyjaciela i nie chce w porę wrócić do domu, to nie pomogą nawet dwie komórki (plus telefon stacjonarny w mieszkaniu przyjaciela). Telefon wciąż będzie „zajęty”, w komórce „wysiądzie bateria”, naciśnie się „nie ten klawisz”... Napoleon, Suworow i Kutuzow dowodzili ogromnymi armiami z liczną artylerią, obywając się bez telefonu. Podczas pierwszej wojny światowej w wielomilionowych armiach, uzbrojonych już w czołgi i aeroplany, łączność z powodzeniem utrzymywano za pomocą telefonów przewodowych, radiostacje były wówczas czymś egzotycznym. Znakomitym wreszcie „*technicznym środkiem łączności*” był i pozostanie goniec, na koniu, motocyklu, w aucie, w łódce, w czołgu, lekkim samolocie, śmigłowcu...

„22 czerwca o 6.50 przeprowiłem się przez Bug na łodzi szturmowej (...) poruszając się śladami czołgów 18. Dywizji Pancерnej, dojechałem do mostu na Desnie (...) w ciągu całej pierwszej połowy dnia 22 czerwca towarzyszyłem 18. Dywizji Pancерnej (...). 23 czerwca o godz. 4.10 opuściłem swój punkt dowodzenia i udałem się do XII Korpusu Armijnego, z tego korpusu pojechałem do XLVII Korpusu Pancерnego, do wsi Bildejki, w odległości 23 km na wschód od Brześcia Litewskiego. Następnie udałem się do 17. Dywizji Pancерnej, dokąd przybyłem o godz. 8 (...). Potem pojechałem do Prużan, dokąd został przeniesiony punkt dowodzenia grupy pancерnej (...). 24 czerwca o godz. 8.25 opuściłem swój punkt dowodzenia i pojechałem w kierunku Słonima. Po drodze natknąłem się na rosyjską piechotę, która trzymała drogę pod ogniem (...) byłem zmuszony interweniować i ogniem karabinu maszynowego z czołgu dowodzenia zmusiłem nieprzyjaciela do opuszczenia pozycji (...) o godz. 11.30 przybyłem na punkt dowodzenia 17. Dywizji Pancерnej, ulokowany na zachodnim przedmieściu Słonima, gdzie oprócz dowódcy dywizji spotkałem dowódcę XLVII Korpusu”.

Tak oto, bardzo przystępnie, Heinz Guderian tłumaczy, dlaczego Armia Czerwona na własnym terytorium znalazła się „*bez łączności*”, a niemiecka armia na naszym terytorium miała łączność. Dowódca 17. Dywizji Pancерnej Wehrmachtu po prostu nie musiał nigdzie telefonować. Jego bezpośredni przełożony — dowódca XLVII Korpusu Pancерnego — wraz z nim na jednym punkcie dowodzenia kieruje walką, a najgłówniejszy ich przełożony —

dowodzący grupą pancerną generał Guderian — po kilka razy dziennie, pod nieprzyjacielskim ogniem, przebija się do każdej ze swoich dywizji.

I odwrotnie — nawet obfite wyposażenie sztabów Armii Czerwonej w terminale łączności satelitarnej absolutnie nic by nie zmieniło, gdy dowódcy już się rozbiegli albo nie chcieli się porozumieć z przełożonymi po prostu dlatego, że nie mogli im zameldować niczego pomyślnego. I nie 22 czerwca 1941 roku „*niespodziewanie*” napadnięto na Armię Czerwoną. „*Po wyjeździe na miejsce wydarzeń tow. Blücher na wszelkie sposoby unikał bezpośredniej łączności z Moskwą (...) przez trzy doby, mimo że łączność telegraficzna działała normalnie, nie można było uzyskać rozmowy z tow. Blücherem*”. Jest to wyjątek z rozkazu ludowego komisarza obrony Woroszyłowa nr 0040 z 4 września 1938 roku, a rozkaz ten był poświęcony lokalnemu konfliktowi zbrojnému nad jeziorem Chasan. Z początkiem Wielkiej Wojny Ojczyźnianej sytuacja była nieporównanie gorsza. Żadne przewody, żadne radiostacje nie mogły już nawiązać łączności w armii, w której dowódcy i sztabowcy znikali setkami i tysiącami.

A przewody były. W ogromnej ilości. I tak w samym tylko Zachodnim Specjalnym Okręgu Wojskowym (według meldunku jego szefa sztabu generała majora Władimira Klimowskich z 19 czerwca 1941 roku) służba łączności dysponowała 117 tysiącami izolatorów, 78 tysiącami haków do nich i 261 tonami przewodów. Łącznie Armia Czerwona według stanu na 1 stycznia 1941 roku miała 343 241 km kabli telefonicznych i 28 147 km kabli telegraficznych. Tą ilością można było dziewięciokrotnie owinąć Ziemię na równiku. Aparatów telefonicznych wszystkich typów było 252 376. Przeciętnie ponad 800 aparatów na dywizję. Aparatów telegraficznych było oczywiście znacznie mniej — „zaledwie” 11 049, w tym 247 aparatów BODO do łączności szyfrowanej. Według powszechnego zdania sowieckich historyków było to zupełnie „*nie to, co trzeba*”. Armia Czerwona absolutnie nie mogła walczyć bez radiostacji. Wszyscy wiedzą dlaczego: niemieccy dywersanci w pierwszych godzinach wojny poprzecinali wszystkie kable. I właśnie dlatego... Dywersanci rzeczywiście byli. Każda z czterech grup pancernych Wehrmachtu otrzymała po kompanii dywersantów z pułku do zadań specjalnych „*Brandenburg*”. W kompanii było po 2 oficerów oraz 220 podoficerów i szeregowych, wśród nich 20–30 znających język rosyjski. Ta nieprzeliczona chmara wrogów miała do dyspozycji zaledwie parę godzin (ze

względu na tajność Niemcy zaczęli ciąć przewody dopiero tuż przed świtem 22 czerwca 1941 roku). Na Białorusi przed rozpoczęciem w czerwcu 1944 roku operacji „*Bagration*” sowieckich partyzantów było, jak się szacuje, przeszło 200 tysięcy. Czas na przecinanie przewodów mieli praktycznie nieograniczony — wojna trwała już trzeci rok, więc nie było trzeba ukrywać wrogich działań i zamiarów. Czyż wtedy, w czerwcu 1944 roku, na tym samym obszarze, udało się poprzecinać „*wszystkie przewody*” i pozbawić armię niemiecką łączności?

Armia Czerwona miała także radiostacje (toteż pozbawienie jej łączności tylko nożycami było niemożliwe). Jako ilustrację rzeczywistego wyposażenia Armii Czerwonej w środki łączności radiowej podajmy dane z planu mobilizacyjnego MP-41 (będziemy jeszcze wielokrotnie wracać do tego niezwykle ważnego dokumentu), podpisanego przez Timoszenkę i Żukowa 12 lutego 1941 roku. Według stanu na 1 stycznia 1941 roku Siły Zbrojne ZSRS miały:

- radiostacji frontowych (RAT) — 40 (przeciętnie po 8 na każdy z przyszłych frontów);
- armijnych i korpuśnych (RAF, RSB) — 1613 (przeciętnie po 18 na korpus strzelecki i zmechanizowany);
- pułkowych (5-AK) — 5909 (przeciętnie po 4 na pułk).

Łącznie — 7566 radiostacji wszystkich typów. Oczywiście w tej liczbie nie uwzględniono radiostacji czołgowych i samolotowych. Był to stan na 1 stycznia 1941 roku. Zakłady radiotechniczne kontynuowały „*pokojową pracę*” i do 22 czerwca środków łączności bezprzewodowej musiało być jeszcze więcej. I tak, plan na 1941 rok przewidywał wyprodukowanie 33 RAT, 940 RSB i RAF, 1000 5-AK. W notatce do planu mobilizacyjnego MP-41 z jakichś powodów brak danych o stanie posiadania poprzedniczki RAF-u — potężnej, pięćsetwatowej radiostacji 11-AK, aczkolwiek w wojsku było wiele tych zestawów. I tak, w Kijowskim Okręgu Wojskowym (58 dywizji) według stanu na 10 maja 1941 roku było 5 radiostacji RAT, 6 RAF, 97 RSB, 126 11-AK oraz 1012 pułkowych 5-AK. Nawet nie uwzględniając tych ostatnich, wychodzi przeciętnie po 4 silne radiostacje na dywizję.

Teraz warto wytłumaczyć, co oznaczają te wielkie litery. Najśłabsza spośród wymienionych radiostacji, 5-AK, miała promień działania 25 km w łączności głosowej oraz 50 km w łączności telegraficznej. Czyli, chociaż

uważano ją w Armii Czerwonej za „radiostację pułkową”, jej rzeczywisty promień działania kilkakrotnie przewyższał regulaminową szerokość dywizji rozwiniętej do obrony! 5-AK miała wymiary wielkiego kufra i można ją było przewozić zarówno samochodem, jak i konną dwukółką. Radiostację RSB standardowo instalowano na podwoziu samochodowym, miała ona moc do 50 watów i zapewniała łączność telefoniczną na dystansie do 300 km, czyli faktycznie w pasie działania armii, a nawet frontu. RAF to o wiele mocniejsze urządzenie (400–500 W), instalowane na dwóch ciężarówkach ZIS–5. Za prawdziwy cud techniki lat czterdziestych mógł uchodzić RAT. Ogromna moc (1,2 kilowata) umożliwiała łączność głosową na odległość 600 km, a telegraficzną — do 2000 km. Nadajnik umożliwiał pracę na 381 kanałach z automatycznym nastawianiem częstotliwości. Do przewożenia RAT wraz z autonomicznym zespołem zasilania używano trzech samochodów ZIS–5, załogę stacji stanowiło 17 osób. Ciekawe, że według planu mobilizacyjnego MP–41 Armii Czerwonej miało być 117 (!!!) stacji RAT. Armia Czerwona doszła jednak do Berlina, nigdy nie mając więcej niż pół setki RAT jednocześnie.

Oprócz wyżej wymienionych silnych samochodowych radiostacji Armia Czerwona była wyposażona w kilkadziesiąt tysięcy przenośnych radiostacji szczebla batalionu, a nawet kompanii (RB, RBK, RBS, RBM), o mocy 1–3 watów i promieniu działania 10–15 km. Według stanu na 1 stycznia 1941 roku było ich 35 617.

Ponad 100 radiostacji szczebla taktycznego na dywizję. Oczywiście to bardzo, ale to bardzo mało. W obszernym artykule o wiele mówiącym tytule *Źródła klęski na Białorusi* autor, gorzko wzdychając, donosi czytelnikom, że wojska Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego były wyposażone „w radiostacje pułkowe — w 41 proc., batalionowe — w 58 proc., kompanijne — w 70 proc.”. Ma całkowitą rację. Wyposażenie odbiegało od etatowego. Według planu etatowego dywizji strzeleckiej Armii Czerwonej z kwietnia 1941 roku w jednym pułku artylerii haubic miało być 37 radiostacji (na 36 haubic), a w pułku artylerii armatniej — 25 (na 24 działa). 3 radiostacje w pułku strzeleckim i po 5 radiostacji w każdym z trzech batalionów pułku.

Wbrew plotkom kolportowanym w milionowych nakładach, radiostacje były i w pociągach pancernych, i w czołgach.

Jeszcze w 1933 roku rozpoczęto seryjną produkcję specjalnej radiostacji czołgowej 71–TK–1. Ta krótkofalówka zapewniała łączność głosową w ruchu w promieniu do 15 km, na postoju — do 30 km, telegraficzną — do 50 km. W radiostacje te wyposażano też samochody pancerne BA–10 i BA–20. Jako minimum stacja miała być instalowana na każdym czołgu dowódcy plutonu (czyli na co trzecim). Faktycznie na początku wojny 35–40 procent czołgów było wyposażonych w radiostacje nadawczo–odbiorcze. Na przykład wcale nie najlepiej wyposażona (163 czołgi, czyli połowa stanu etatowego, i ani jednego T–34 lub KW) 19. Dywizja Pancerna 10 czerwca 1941 roku miała:

- 2 silne radiostacje RSB;
- 4 radiostacje pułkowe 5–AK;
- 16 batalionowych RB;
- 85 czołgowych 71–TK–1.

Oto, jaka była Armia Czerwona w czerwcu 1941 roku. Czyż można się dziwić, że ani Żukow, ani Timoszenko, ani Szaposznikow, ani Mierieckow, ani całe „kierownictwo Sztabu Generalnego” nie spodziewali się „miażdżących rozcinających uderzeń nieprzyjaciela”? Sami przecież konsekwentnie szykowali się do zadania takich ciosów. Na 25 czerwca 1941 roku wyznaczono kolejne posiedzenie Głównej Rady Wojennej Robotniczo–Chłopskiej Armii Czerwonej, na którym miał zostać wreszcie zatwierdzony ostateczny wariant Regulaminu bojowego PU–39. Całkiem wyraźnie zostały w tym dokumencie sformułowane zadania dla Armii Czerwonej:

„Jeżeli wróg narzuci nam wojnę, to Robotniczo–Chłopska Armia Czerwona będzie najbardziej ofensywna ze wszystkich kiedykolwiek nacierających armii. Wojnę będziemy prowadzić agresywnie, mając zdecydowany cel całkowitego rozgromienia nieprzyjaciela na jego własnym terytorium. Działania bojowe Armii Czerwonej będą zmierzały do całkowitego zniszczenia wroga. Podstawowym celem Armii Czerwonej będzie osiągnięcie zdecydowanego zwycięstwa i całkowite zniaczenie wroga (...).

Cały skład osobowy Robotniczo–Chłopskiej Armii Czerwonej powinien być przepojony duchem nieprzejednanej nienawiści do wroga i niezłomną wolą zniszczenia go. Dopóki wróg nie złoży broni i się nie podda, będzie bezlitośnie tępiący (...).

Każdy bój — ofensywny czy obronny — zmierza do zadania klęski nieprzyjacielowi. Ale tylko zdecydowane natarcie na głównym kierunku,

kończone okrążeniem i uporczywym pościgiem, prowadzi do całkowitego zniszczenia sił i środków wroga. Walka ofensywna jest podstawowym rodzajem działań Robotniczo–Chłopskiej Armii Czerwonej (...).

W jakichkolwiek warunkach i w każdym wypadku potężne uderzenia Armii Czerwonej powinny zmierzać do całkowitego zniszczenia wroga i szybkiego osiągnięcia ostatecznego zwycięstwa kosztem małego rozlewu krwi (...).

Ofensywa jest podstawowym rodzajem walki, zapewniającym zniszczenie nieprzyjaciela i osiągnięcie całkowitego zwycięstwa (...). Ofensywa jest wyrazem przewagi nad nieprzyjacielem”.

ROZDZIAŁ 3. „PANCERZ JEST MOCNY, A CZOŁGI NASZE SZYBKIE”

Oświadczyć po prostu, że *„Armia Czerwona będzie najbardziej ofensywna spośród wszystkich kiedykolwiek nacierających armii”* — to za mało. Należało stworzyć narzędzia odpowiednie do tego zadania. Główną siłą uderzeniową armii lądowych XX wieku były wojska pancerne. Żaden kraj na świecie nie dołożył tak ogromnych wysiłków — i nie osiągnął w tym dziele tak wielkich sukcesów — by stworzyć ten uderzeniowy element sił zbrojnych, jak Związek Sowiecki. Żaden kraj w Europie nie miał takich przeszkód i trudności w tworzeniu wojsk pancernych jak Niemcy, którym — powtórzmy to jeszcze raz — zgodnie z warunkami traktatu wersalskiego całkowicie zabroniono produkcji czołgów i zakupu ich za granicą. W wyniku tego wówczas — na początku lat trzydziestych — gdy w Związku Sowieckim rozpoczęto seryjną produkcję czołgów i utworzono pierwsze na świecie wielkie formacje pancerne, niemiecka Reichswehra prowadziła ćwiczenia z tekturowymi makietami nie istniejących czołgów. Po dojściu Hitlera do władzy i odmowie (najpierw faktycznej, a potem też formalnej) stosowania się przez Niemcy do warunków traktatu wersalskiego rozpoczęto projektowanie pierwszych niemieckich ćwiczebno–bojowych pojazdów opancerzonych. Oto, jak opisuje historię pracy nad nimi główny pomysłodawca i twórca niemieckich wojsk pancernych Heinz Guderian:

„Uważaliśmy za konieczne stworzenie na razie takich czołgów, które mogłyby zostać użyte do celów ćwiczebnych (...).

Czołgi takie, nazwane PzKpfw I, można było wyprodukować do 1934 r. i wykorzystywać jako maszyny ćwiczebne do czasu, kiedy będą gotowe czołgi bojowe (...). W 1932 r. nikt oczywiście nie sądził, że z tymi niewielkimi ćwiczebnymi czołgami będziemy musieli przystąpić do boju”. Nawiasem mówiąc, PzKpfw I miały też zalety. Tenże Guderian pisze w pamiętnikach: *„Uczniowie, którzy przedtem dziurawili nasze makiety ołówkami, żeby zobaczyć, co tam jest w środku, byli zachwyceni nowymi pojazdami pancernymi”.*

Gdy ciekawscy (i na swoje szczęście nieświadomi, co ich czeka w niedalekiej przyszłości) niemieccy chłopcy dłubali w plamistych tekturowych

atrapach, Armia Czerwona uzbrojona już była w 3460 prawdziwych czołgów. Jeżeli do liczby tych prawdziwych (czyli uzbrojonych w działa i miotacze ognia) czołgów dodać również tankietki z karabinami maszynowymi (podobne do niemieckich PzKpfw I), to sowiecki tabor pancerny liczył 7574 pojazdy. Tak mało było ich 1 stycznia 1934 roku. Trzy lata później, 1 stycznia 1937 roku, dzięki „*pokojowej twórczej pracy społeczeństwa sowieckiego*” liczba czołgów w Armii Czerwonej była już większa o 10 tysięcy i wynosiła 17 280. Ogromna (nieporównanie przewyższająca liczbę czołgów we wszystkich armiach świata łącznie) ilość sprzętu pancernego umożliwiła przejście do tworzenia jednostek i formacji pancernych bądź zmechanizowanych. W 1930 roku została sformowana 1. Samodzielna Brygada Zmechanizowana. W 1932 roku rozwinięto ją w korpus zmechanizowany. 1 stycznia 1933 roku Armia Czerwona miała 2 korpusy zmechanizowane, 5 pułków zmechanizowanych, 15 samodzielnych batalionów pancernych, 69 dywizjonów zmechanizowanych i dywizjonów tankietek. Samodzielne bataliony i dywizjony były oczywiście jedynie pierwszymi nieśmiałymi krokami na drodze do utworzenia wojsk pancernych. Linia generalna prowadziła do tworzenia wielkich, samodzielnych operacyjnie formacji. Już w 1932 roku przyjęto instrukcję *Wprowadzanie do walki samodzielnych formacji zmechanizowanych*, a w końcu 1935 roku w Armii Czerwonej były cztery korpusy zmechanizowane i 18 brygad pancernych. W następnym roku liczba brygad pancernych wzrosła do trzydziestu.

A tymczasem... Czytajmy dalej pamiętniki Guderiana:

„*Ponieważ uruchomienie produkcji podstawowych typów czołgów przeciągało się bardziej, niż się spodziewano, generał Lutz zdecydował o zbudowaniu jeszcze jednego, pośredniego typu czołgu, uzbrojonego w armatkę automatyczną 20 mm i karabin maszynowy*”.

„*Armatka*” kalibru 20 mm pod względem charakterystyki balistycznej nieco ustępowała sowieckiej rusznicy przeciwpancernej kalibru 14,5 mm konstrukcji Diegtiariowa (oczywiście była znacznie bardziej szybkostrzelna). Tak więc odpowiedniejszą nazwą dla nowego niemieckiego „*czołgu*” PzKpfw II byłaby samobieżna rusznica przeciwpancerna z kaemami. Do wykonania podstawowego zadania czołgu — niszczenia środków ogniowych, umocnień i siły żywej — mały pocisk o masie 120–145 g zawierający (w różnych wersjach) od 4 do 9 g materiału wybuchowego był o wiele za słaby. Przed

wojną w ZSRS działka takiego kalibru montowano tylko w samolotach myśliwskich, ale bynajmniej nie na sprzęcie pancernym. Zresztą próby i zastosowania bojowe działek lotniczych 20 mm wykazały, że „*razenie siły żywej na otwartej przestrzeni*” możliwe jest przy trafieniu na wprost, natomiast oddziaływanie odłamkowe pocisku kalibru 20 mm jest znikome. I takich oto „*najnowocześniejszych czołgów*” PzKpfw II przemysł niemiecki od końca 1935 do marca 1937 roku wyprodukował — strach powiedzieć — 110 sztuk.

Do pierwszego spotkania przyszłych nieprzyjaciół doszło podczas wojny domowej w Hiszpanii. Niemcy dostarczyły frankistom tankietki PzKpfw I, faszystowskie Włochy przysłały to, co miały najlepsze: trzyipółtonowy czołg Fiat–Ansaldo C.V.33 uzbrojony w dwa karabiny maszynowe w przedniej płycie pancernej kadłuba. Rząd sowiecki przekazał republikanom dziesięcotonowe T–26 oraz trzynastotonowe BT–5 uzbrojone w armatę 45 mm. Pocisk przeciwpancerny sowieckiej armaty czołgowej 20K przebijał pancerz tankietek nieprzyjaciela z 1 km (mógłby i z większej odległości, ale trafienie czołgu z takiego dystansu było wówczas praktycznie niemożliwe), a na piechotę buntowników spadał pełnowartościowy pocisk odłamkowo–burzący o masie 2,13 kg, tworzący strefę rażenia o wymiarach 15 na 6 metrów. Spotkanie to wywarło silne wrażenie zarówno na bezpośrednich uczestnikach walk, jak i na zagranicznych specjalistach wojskowych.

„Republikańskie czołgi z uzbrojeniem armatnim, mając przeciwko sobie małe (z karabinami maszynowymi) czołgi nieprzyjaciela, za każdym razem z powodzeniem odpierały jego ataki pancerne (...). Lekkie czołgi buntowników, uzbrojone w jeden karabin maszynowy, były bezsilne w walce z armatnimi czołgami republikanów (...). Czołgi buntowników, bojąc się kontrataków republikańskich czołgów uzbrojonych w działa, przytulały się do nacierającej piechoty (...). Czołgi republikańskie działały zawsze brawurowo i zdecydowanie, zadając piechocie nieprzyjaciela dotkliwe straty, wykorzystując w tym celu siłę ognia i masę czołgu. Niszczyły punkty ogniowe, działa przeciwpancerne, a nawet artylerię dywizyjną”.

„Niemiecki czołg będący podstawą uzbrojenia nowych dywizji pancernych w Niemczech okazał się mierną, niemal bezużyteczną bronią (...). Niemiecki czołg lekki (jak już mówiliśmy i co potwierdzają wszyscy specjaliści — zarówno niemieccy, jak i włoscy) wykazał całkowitą nieprzydatność.

Możliwe, że niekiedy, w szczególnie sprzyjających warunkach, może on być używany do celów czysto zwiadowczych, ale do walki w pełnym sensie, nawet do towarzyszenia piechocie, czołg ten się nie nadaje (...). W walce spotkaniowej czołgi wojsk rządowych górują nad czołgami buntowników”.

Przyszły generał armii Dmitrij Pawłow (był on jednym z pierwszych czołgistów przybyłych w 1936 roku do Madrytu) ocenił walki w Hiszpanii „dobitnie i kategorycznie”, jak wymagał regulamin połowy Armii Czerwonej:

„Doświadczenie wojny w Hiszpanii nauczyło Niemców i wykazało im, jakie powinny być czołgi, gdyż lekkie czołgi niemieckie w walce z republikańskimi czołgami armatnimi okazały się całkowicie niezdatne do walki i były bezlitośnie niszczone”.

Pawłow miał rację. Wojna w Hiszpanii dała Niemcom nauczkę, zrozumieli wreszcie, „jakie mają być czołgi”. Zostały skonstruowane i wprowadzone do produkcji pełnowartościowe maszyny: PzKpfw III uzbrojony w armatę kalibru 37 mm oraz PzKpfw IV z krótkolufą (Niemcy nazywali ją niedopałkiem) armatą 75 mm. Tylko że historia dała Hitlerowi za mało czasu: do końca 1938 roku przemysł niemiecki zdążył wyprodukować 71 (siedemdziesiąt jeden) PzKpfw III i 115 (sto piętnaście) PzKpfw IV. W następnym roku produkcja czołgów odbywała się w tym samym tempie „raz dziennie po łyżeczce do herbaty”. 1 września 1939 roku Wehrmacht miał 98 PzKpfw III oraz 280 zdobycznych czeskich czołgów lekkich PzKpfw 35(t) i PzKpfw 38(t) uzbrojonych w armatę kalibru 37 mm. Z tej liczby bezpośrednio w jednostkach liniowych znajdowało się 87 PzKpfw III, 198 PzKpfw IV oraz 167 wspomnianych czeskich maszyn. Razem — 452 czołgi, w zaokrągleniu — pół tysiąca.

1 stycznia 1939 roku (9 miesięcy przed wybuchem wojny światowej) Armia Czerwona miała 11 765 czołgów uzbrojonych w armatę kalibru 45 mm lub miotacz ognia (T-26, BT-5, BT-7) oraz ponad 412 czołgów uzbrojonych w działo 76 mm (wielowieżowe T-28 i T-35). Ponad — ponieważ pośród 3351 BT-7 była również pewna liczba wyposażonych w krótkolufę działo 76 mm BT-7A. W sumie: 12 tysięcy czołgów z prawdziwym uzbrojeniem artyleryjskim. Do 1 września ich liczba się zwiększyła. Po analizie tej informacji historycy sowieccy doszli do jedynie możliwego (dla nich) wniosku:

„Sytuacja rządu sowieckiego była podobna do sytuacji człowieka, którego coraz bardziej zalewa fala przyływu: oto woda sięga do kolan, oto sięgnęła do pasa, piersi, potem szyi (...). Jeszcze chwila a woda zakryje głowę, jeżeli człowiek nie wykona jakiegoś szybkiego, zdecydowanego skoku, który go wyniesie na skałę niedosięglą dla przyboju”.

Woda (albo jakaś inna ciecz) „zakryła głowę” sowieckich historyków propagandystów i niemal od pół wieku gładzą oni o tym, że Stalina z Mołotowem okropnie przstraszyło pół tysiąca niemieckich czołgów, że drżeli ze strachu, iż te czołgi — gdy przejdą przez całą Polskę (a była ona wtedy dwa razy szersza niż dziś) w październiku 1939 roku — rzucą się na Smoleńsk i Moskwę, w jesiennych deszczach, na przełaj przez bagna Białorusi. I że tylko rozpaczliwe pragnienie „odskoczenia” od nieubłaganej groźby zmusiło ich, by rzucili się w „podstępne objęcia” wiarołomnego Ribbentropa... Nie traćmy jednak czasu na roztrząsanie dzikich bredni komunistycznej propagandy. Zasługuje na omówienie kwestia, jakie wnioski z wojny w Hiszpanii wyciągnęły władze wojskowo-polityczne ZSRS.

Oczytany czytelnik orientuje się zapewne, że „na podstawie błędnej oceny doświadczeń użycia czołgów w Hiszpanii podjęto błędną decyzję o rozformowaniu wielkich formacji pancernych”. W tej obiegowej legendzie każde słowo jest fałszem. Debiut sowieckich czołgów i pancerniaków w Hiszpanii był więcej niż pomyślny. Nie wywołał żadnego poważniejszego zaniepokojenia w Moskwie. Rozwiązano 4 korpusy zmechanizowane (pancerne), pozostały natomiast brygady pancerne. Brygada czołgów lekkich według etatu z 1938 roku składała się z 4 batalionów pancernych (54 czołgi T-26 lub BT oraz 6 „czołgów artyleryjskich”, uzbrojonych w armatę kalibru 76 mm), batalionu piechoty zmotoryzowanej i batalionu zwiadu. Łącznie — 4356 ludzi i 258 czołgów. Chyba nie można tego nazwać „drobną formacją pancerną”. Natomiast wnioski z wojny w Hiszpanii wyciągnięto słuszne i wyważone, sprowadzające się do tego, że „nie należy biec przed parowozem”. Przed wojskami pancernymi nie należy stawiać takich operacyjnych zadań, których wykonanie za pomocą posiadanego sprzętu jest na razie niemożliwe. Aby przełożyć ową niemożność na język konkretnych liczb, rozpatrzmy dwa powiązane ze sobą parametry: zdolność przebijania pancerza najliczniejszych dział przeciwpancernych oraz grubości pancerzy czołgów sowieckich i niemieckich.

	masa pocisku kg	prędkość początkowa m/s	zdolność przebijania pancerza na 100 m	zdolność przebijania pancerza na 500 m
Niemiecka armata kalibru 37 mm	0,68	760	40 mm/34 mm	35 mm/28mm
sowiecka armata kalibru 45 mm	1,43	760	51 mm/43 mm	45 mm/38 mm

Uwaga: pierwsza liczba odnosi się do strzału pod kątem 90 stopni do pancerza, druga — pod kątem 60 stopni.

pancerz, mm	BT-26	BT-7	PzKpfw 38(t)	PzKpfw III	PzKpfw IV
czołowy	15	22	25	30	30
boczny	10	10	15	30	30

Uwaga: wskazana grubość pancerza najliczniejszych w l. 1939–1940 czołgów PzKpfw III D, E, F i PzKpfw IV D, E.

Jak wynika z tych tabel, pancerz żadnego z niemieckich i sowieckich czołgów lat 1939–1940 nie był odporny na ogień artylerii przeciwpancernej. Wszystkie one chroniły tylko przed bronią strzelecką. Różnica polegała jedynie na tym, że pancerz sowieckich czołgów T-26 i BT został opracowany racjonalnie. Dla ochrony przed ogniem strzeleckim płyta pancerna o grubości 10–15 mm była zupełnie wystarczająca (a propos, opancerzenie fotela pilota myśliwca było grube na 7–8 mm, co zupełnie wystarczało do zatrzymania pocisków szybkostrzelnych kaemów lotniczych kalibru karabinowego). Natomiast czołgi niemieckie bezcelowo obciążono pancerzem o grubości 30 mm, który jako ochrona przed ogniem karabinów i cekaemów był nadmiernie mocny, a przed pociskami sowieckich armat przeciwpancernych kalibru 45 mm i czołgowych — niewystarczający. Przy takim stosunku „tarczy i miecza” głęboki wypad pancerny w głąb terytorium nieprzyjaciela mógł się zakończyć całkowitym wytrzebieniem „tabunu” lekkich czołgów, które oderwały się od własnej piechoty i artylerii.

„Czołgi, artyleria, lotnictwo pozostają na razie pomocniczymi rodzajami wojsk, wspomagającymi piechotę skoncentrowaną w dużych formacjach ogólnowojskowych (...). Czołgi bynajmniej nie zastępują artylerii, przeciwnie, natarcie czołgów na zorganizowaną obronę bez silnego wsparcia artyleryjskiego (podkreślenia moje — M. S.) wiąże się z wielkimi stratami (...). Rzucanie samodzielnych grup pancernych w głąb pasa obronnego na

początku ataku piechoty będzie chyba bezcelowe, ponieważ grupy te, działając przeciwko nie zdezorganizowanemu systemowi obrony przeciwpancernej, będą ponosić ogromne straty”.

Czy to, co zostało wyżej zacytowane, należy rozumieć tak, że czołg lekki z osłoną pancerną przeciwko broni strzeleckiej na początku lat czterdziestych stał się łatwą zdobyczą dla artylerii przeciwpancernej, niemal bezużyteczną, choć drogą zabawką? To absurdalne założenie dziarskim piórem sowieckich „*historyków*” uznano za niepodważalną prawdę. Tylko w jednym wypadku jest to prawdą: jeśli idzie o sowieckie T-26 i BT („*beznadziejnie przestarzałe... tekturowe... paliły się jak świece... nadają się do strzelania do wróbli...*”). Dziwne, że nikt nie pisał czegoś takiego o czołgach nieprzyjacielskich. I dziwne, że nikt nie widział, jak lekkie czołgi niemieckie ze zbyt słabym pancernem i kiepskim uzbrojeniem doszły do Moskwy, Tichwina i Rostowa. A przecież nie ma w tym nic dziwnego. Czołg jest tylko narzędziem, a wynik jego zastosowania zależy przede wszystkim od taktyki jego użycia, a ściślej — od tego, czy ta taktyka odpowiada charakterystyce technicznej uzbrojenia.

Co to oznacza w praktyce? „*Beznadziejny*” dla czołgu stosunek między pancernem a zdolnością przebijania pancerza przez pocisk artyleryjski występuje tylko w sytuacji, kiedy na gładkim jak stół polu stoi samotny czołg i czeka, kiedy trafi w niego pocisk. Tak mniej więcej odbywają się próby ogniowe na poligonie artyleryjskim, na podstawie których sporządza się właśnie tabele odporności pancerza na przebicie (przedstawione powyżej). W rzeczywistym boju wszystko wygląda inaczej. Po pierwsze, czołg jest w ruchu. Nawet powoli pełznący po podmokłym polu T-26 pokonuje ostatnie 600 m (trafienie w poruszający się czołg z większej odległości jest praktycznie niemożliwe) do stanowiska ogniowego armaty przeciwpancernej w 3 minuty. Szybkiemu BT, poruszającemu się po wypalonym przez słońce stepie ukraińskim, trzeba na to dwu–trzykrotnie mniej czasu. Teoretycznie załoga działa przeciwpancernego może oddać 5–10 strzałów na minutę. Czołg jednak nie jedzie po prostu przez pole, on jedzie i strzela. Szanse stron w „*pojedyнку*” czołgu i armaty przeciwpancernej nie są jednakowe. Pocisk przeciwpancerny, który przeleci o centymetr od wieży czołgu, nie wyrządzi mu żadnej szkody, a tymczasem pocisk odłamkowy (nawet z sowieckiej armaty czołgowej 20K kalibru 45 mm), który rozerwie się o kilka metrów od

stanowiska ogniowego, nieuchronnie zmusi działo do milczenia (pocisk ten dawał sto odłamków, przed którymi obsługa armaty niczym, oprócz bluzy, nie była chroniona). Toteż owe 5–10 strzałów, o których mówiliśmy wcześniej, w boju jest dla obsługi armaty przeciwpancernej nieosiągalnym marzeniem. Już po pierwszych jej wystrzałach dobrze wyszkolona załoga czołgu wykryje prowadzące ogień działo i kilkoma pociskami odłamkowymi wybije obsługę.

Z tych nieskomplikowanych powodów wynika, że najprostszym i najwydajniejszym sposobem unieszkodliwienia obrony przeciwpancernej jest wciąż ta sama, podstawowa dla całej sztuki wojennej, zasada koncentracji. Brygada pancerna (528 czołgów lekkich T-26 lub BT) rozstawiona w tyralierę na froncie szerokości 2–3 km bez wątpienia przełamie obronę pułku piechoty Wehrmachtu, w którego składzie jest zaledwie jedna kompania przeciwpancerna z 12 armatami kalibru 37 mm. Nawet jeżeli dowództwo dywizji piechoty zdąży w najkrótszym czasie przerzucić do rejonu przełamania frontu dywizjon przeciwpancerny (36 armat 37 mm), nie zdoła on powstrzymać ataku dwustu czołgów. Straty pewnej liczby maszyn są przy tym nieuniknione, ale i przerwanie obrony jest nieuchronne. Ową „*pewną liczbę*” można sprowadzić do minimum (może nawet do zera) dzięki wsparciu artyleryjskiemu ataku czołgów.

Zmasowany ogień artylerii — jakkolwiek paradoksalnie by to brzmiało — pełni funkcję „*dodatkowego opancerzenia*” umożliwiającego czołgom lekkim przetrwanie na polu walki. Słowo „*zmasowany*” pojawiło się w poprzednim zdaniu nieprzypadkowo. Haubica prowadzi ogień stromotorowy, co nie pozwala na celowanie bezpośrednie, trzeba więc wiele razy wystrzelić, zanim jeden z pocisków rozerwie się w pobliżu stanowiska nieprzyjacielskiej armaty. Co to znaczy „*wiele razy*”? Według sowieckich przedwojennych norm dla haubicy kalibru 122 mm — od 70 do 90. W pułku pancernym (albo brygadzie) nie ma jednak żadnych haubic, są one natomiast w pułku haubic dywizji strzeleckiej. Inaczej mówiąc, niezbędne jest współdziałanie. Bardzo proste pojęcie, zrozumiałe, od którego w walce zależy niemal wszystko. Regulamin bojowy PU-39 żądał kategorycznie: „*Żadne działania wojsk na polu walki nie są możliwe bez wsparcia artylerii i bez niej są niedopuszczalne (...). Atak pancerny na pierwszą linię powinien być zawsze zabezpieczony wsparciem artyleryjskim, bez tego wsparcia jest niedopuszczalny*”. Współdziałać należało z dywizją strzelecką, która w pułku haubic (według

etatu z kwietnia 1941 roku) miała 36 haubic. Konieczny do gwarantowanego zniszczenia niemieckiej kompanii obrony przeciwpancernej (12 armat) tysiąc pocisków pułk haubic mógł wystrzelić w ciągu 15–20 minut. Co prawda, aby prowadzić ogień, trzeba wiedzieć najważniejsze: gdzie strzelać? Na jaki mianowicie kwadrat mapy topograficznej należy skierować ten tysiąc pocisków? A zatem niezbędne jest rozpoznanie (w tym najbardziej precyzyjne — rozpoznanie bojem), niezawodna łączność, korygowanie ognia artyleryjskiego i jeszcze wiele innych rzeczy, dzięki którym armaty, czołgi, karabiny maszynowe stają się jednolitym mechanizmem. Najważniejszą częścią tego mechanizmu był, jest i będzie dowódca. Sprawny, doświadczony, śmiały. Gdy się ma takiego dowódcę i przeciwiczyło się współdziałanie z artylerią, formacja pancerna wyposażona jedynie w czołgi lekkie z opancerzeniem chroniącym tylko przed pociskami z broni strzeleckiej nieuchronnie przełamie obronę dywizji piechoty.

Jakkolwiek dobrze mechanizm współdziałania byłby wyregulowany, niechybnie się on rozpadnie kilka godzin później, kiedy tylko czołgi przerwą pierwszą linię obrony nieprzyjaciela i wedrą się w głąb zajmowanego przezeń terytorium. Artyleria i piechota zwykłej dywizji strzeleckiej nie mogą się poruszać tak szybko jak czołg, a pozbawione wsparcia czołgi w głębi szyków przeciwnika mogą liczyć tylko na jednego sojusznika: panikę. W tym sensie szarża pancerna rozwija się zgodnie z prawidłami, które w wojskach poprzedniego stulecia warunkowały sukces lub niepowodzenie szarży kawaleryjskiej. Jeżeli broniących się ogarnęła panika, a dowódcy nie potrafili jej opanować, to zaczynało się wycinanie uciekających — najbardziej niszczycielski sposób działania konnicy. Jeżeli natomiast w tych decydujących chwilach dowódcy utrzymywali w rękach komendę i podwładnych, to praktycznie bezbronna konna ława była bezlitośnie niszczone przez artylerię i broń ręczną piechoty. W istocie to samo, tylko z poprawką na inne techniczne środki walki, dzieje się z grupą lekkich czołgów, które oderwały się od swej piechoty i artylerii.

Ta niewymyślna teoria sprawdziła się podczas wojny w Hiszpanii. Przeanalizowawszy ten konflikt, sowieccy specjaliści wojskowi wyciągnęli zupełnie słuszne wnioski: wyzbyli się „czołgomanii”, a możliwość zadawania „*miażdżących uderzeń rozcinających*” przez samodzielne ugrupowania pancerne odnieśli do przyszłości. Bliskiej, ale nie najbliższej. I zamiast

zajmować się kreśleniem strzałek na mapach i kwadracików struktur organizacyjnych, zajęli się materialno–technicznymi przygotowaniem do tej przyszłości. „*Wyciągając wnioski z doświadczeń wojny w Hiszpanii, należy uwzględnić wszelkie jej specyficzne uwarunkowania (...). Jeżeli w Hiszpanii były zaledwie załączki głębokiej operacji ofensywnej, to w wielkiej wojnie, w związku z ogromnym nasyceniem współczesnych armii technicznymi środkami walki, będą z reguły prowadzone głębokie druzgocące operacje okrążania i niszczenia nieprzyjaciela*”.

Co należało zmienić w wyposażeniu wojsk zmechanizowanych (pancernych), by mogły one prowadzić „*głębokie druzgocące operacje*” na zapleczu operacyjnym nieprzyjaciela, w oderwaniu od zasadniczej masy własnych wojsk, czyli piechoty? Szczegółowa odpowiedź na takie pytanie wymagałaby napisania oddzielnej monografii. W wielkim skrócie i z konieczności w uproszczeniu można sporządzić listę niezbędnych udoskonaleń technicznych:

— wzmocnić opancerzenie czołgów tak, by chroniło ze wszystkich stron przed ogniem artylerii przeciwpancernej najbardziej rozpowszechnionych kalibrów;

— wzmocnić uzbrojenie artyleryjskie czołgów tak, by umożliwiała równorzędną walkę z przeciwpancerną i pułkową artylerią nieprzyjaciela;

— artylerię haubiczną jednostek zmechanizowanych (pancernych) wyposażyć w mechaniczne środki transportu o szybkości i własnościach terenowych porównywalnych do czołgów;

— piechotę jednostek zmechanizowanych posadzić na transportery opancerzone porównywalne pod wymienionymi względami do czołgów.

Żadna armia świata nie zdołała osiągnąć takiego stopnia wyposażenia technicznego ani na początku, ani nawet w końcu II wojny światowej, aczkolwiek poszczególne elementy przyszłościowych formacji pancernych pojawiły się jeszcze podczas niej.

Ogromny dorobek konstruktorski i technologiczny nagromadzony w przemyśle czołgowym ZSRS w latach trzydziestych umożliwił Armii Czerwonej poczynienie kilku kroków ku tej przyszłości wcześniej niż gdziekolwiek indziej na świecie. Głównym elementem skoku jakościowego było stworzenie dwóch nowych typów czołgów z pełnowartościowym opancerzeniem chroniącym przed ogniem artyleryjskim: średniego T–34 oraz

ciężkiego KW. Bojową żywotność nowych sowieckich czołgów zwiększało również wykorzystanie silnika dieslowskiego, który pracuje na paliwie znacznie mniej zapalnym niż benzyna. Jeszcze jedną bezsporną zaletą diesla jest jego ekonomiczność, w wyniku czego wyposażone w nie znacznie cięższe sowieckie czołgi miały znacznie większy zasięg niż ich niemieckie odpowiedniki. I tak zasięg niemieckich czołgów PzKpfw III i PzKpfw IV nie przekraczał 150–200 km, podczas gdy T-34 mógł przejechać na jednym baku 300 km (ostatnie modyfikacje T-34/76 nawet ponad 400 km), a KW — 250 km. Silniki wysokoprężne zamontowano również w lekkich czołgach BT ostatniej wersji 7M, dzięki czemu maszyny te osiągały fenomenalną prędkość 62 km/h i mogły przejechać na jednym baku do 400 km. Nieprawdopodobne, ale nawet w najtrudniejszym terenie czterdziestoośmio-tonowy czołg KW, dzięki zastosowaniu szerokich gąsienic, przewyższał swoich konkurentów (nacisk na grunt zaledwie 0,77 kg/cm² wobec 1 kg/cm² w czołgach niemieckich). Potężnie opancerzone T-34 i KW dostały równie potężne uzbrojenie.

Długo lufa (w odróżnieniu od „*niedopałka*” w niemieckim PzKpfw III) armata kalibru 76 mm F-34c dzięki dużemu zasięgowi skutecznemu i celności umożliwia — ze stosunkowo bezpiecznego dystansu — niszczenie wszystkich niemieckich czołgów oraz lekkich umocnień polowych (z 4 km pocisk armaty F-34 przebijał ścianę murowaną grubą na pół metra).

Niemcy natomiast, jeśli chodzi o przebrojenie wojsk pancernych, pozostawali daleko w tyle: do 22 czerwca 1941 roku nie opracowali żadnego nowego typu czołgu, a całe ulepszenie ochrony przeciwpancernej będących w użyciu modeli ograniczało się do zainstalowania dodatkowej, trzycentymetrowej płyty czołowej w czołgach PzKpfw III wersji H i J oraz zwiększenia do 50 mm grubości pancerza czołowego i przedniej części wieży w PzKpfw IV wersji F. Powierzchnia boczna wieży, szerokie opadające boki i tył niemieckich czołgów, nawet po najnowszych modyfikacjach, wciąż chronił jedynie pancerzem grubości 30 mm, który przebijała sowiecka „*czterdziestkapiątka*” z największej umożliwiającej oddanie celnego strzału odległości 600–700 m. Doskonaląc uzbrojenie czołgów, Niemcy również nie wyszli poza częściową modernizację. A mianowicie: czołgi średnie (według miary Niemców) PzKpfw III, poczynając od serii G, zaczęto produkować z armatą KwK 38 kalibru 50 mm, później tę samą armatę dostały również

„trójki” poprzednich serii E i F. Pocisk odłamkowo–burzący armaty KwK 38 ważył nawet nieco mniej (1,81 kg wobec 2,14 kg) niż odłamkowo–burzący pocisk sowieckiej armaty czołgowej 20K kalibru 45 mm. Inaczej mówiąc, zmodernizowane niemieckie czołgi „średnie” pod względem potencjału uzbrojenia jedynie zbliżały się do poziomu „beznadziejnie przestarzałych” sowieckich T–26 i BT. Istotnym udoskonaleniem jakościowym było jedynie stworzenie i wprowadzenie do uzbrojenia dywizji piechoty Wehrmachtu nowej armaty przeciwpancernej PaK 38 kalibru 50 mm, chociaż i ona nie wywiązywała się w pełni z zadania walki z nowymi czołgami sowieckimi. Oczywiście później artyleria przeciwpancerna Wehrmachtu została radykalnie ulepszona, lecz latem i jesienią 1941 roku sowiecki „miecz” niewątpliwie wyprzedził w rozwoju niemiecką „tarczę”.

pancerz, mm	KW	T–34	PzKpfw IV F
czołowy	75	45	50
boczny	75	40–45	30
wieża	90–75	52	50–30
tył	70–60	45	23

typ i nazwa działa	masa pocisku w kg	prędkość początkowa w m/s	energia początkowa w kilodżulach	zdolność przebicia na 100 m	zdolność przebicia na 500 m
niemiecka armata ppanc PaK 38 kal. 50 mm	2,6	830	710	88 mm/68 mm	75 mm/58 mm
sowiecka dywizyjna F–22 kal. 76 mm	6,30	690	1500	82 mm/69 mm	75 mm/61 mm
niemiecka armata czołgowa KwK 38 kal. 50 mm	2,06	690	490	54 mm/46 mm	46 mm/41 mm
sowiecka armata czołgowa F–34 kal. 76 mm	6,30	662	1380	80 mm/65 mm	69 mm/55 mm

Jak widzimy, sowiecka dywizyjna armata F–22 i czołgowa F–34 niechybnie przebijały pionowy pancerz czołowy najcięższych (latem 1941 roku) czołgów niemieckich. Warto również zauważyć, że wysoka skuteczność sowieckich armat F–22 i F–34 kalibru 76 mm wynikała z dużej masy oraz rekordowo dużej energii kinetycznej pocisku przeciwpancernego (pod względem masy trzykrotnie, a energii — dwukrotnie przewyższającego pocisk niemieckiej armaty przeciwpancernej PaK 38). Wszystko to, w powiązaniu z nadzwyczaj dużą w owych czasach masą ładunku wybuchowego (pociski BR–

350 A/B kalibru 76 mm zawierały 120–155 g trotylu, dziesięciokrotnie więcej niż pociski przeciwpancerne BR–240 kalibru 45 mm), zapewniało bardzo silne oddziaływanie na załogę czołgu po przebiciu jego pancerza. Sytuację pogarszało także zastosowanie we wszystkich bez wyjątku niemieckich czołgach silników gaźnikowych, pracujących na łatwo wybuchającym paliwie — benzynie.

Z drugiej strony najlepsza latem 1941 roku niemiecka armata czołgowa KwK 38 była praktycznie bezużyteczna w walce z KW. Pancerza tego czołgu nie przebijała ona z żadnej strony, nawet przy strzelaniu z niewielkiej odległości. W walce przeciw „trzydziestceczwórce” załoga niemieckiego czołgu „średniego” PzKpfw III mogła liczyć jedynie na superszczeńliwe trafienie w prześwit między kołami nośnymi a podtrzymującymi. W tej strefie korpusu T–34 boczny pancerz jest pionowy i z małej odległości może zostać przebity z armaty KwK 38. Co prawda w tym celu niemiecki czołg musiałby jeszcze jakoś zbliżyć się do T–34, który mógł go zniszczyć z 1 km. Nic dziwnego, że już w czerwcu i lipcu 1941 roku w raportach dowódców dywizji pancernych i korpusów zmechanizowanych Armii Czerwonej pojawiło się wiele doniesień w rodzaju: *„KW wzbudzały popłoch nieprzyjaciela. Za każdym razem jego czołgi wycofywały się... bywało, że jeden czołg KW unieruchamiał 10–14 czołgów nieprzyjacielskich... nasze czołgi pierwszymi dwoma–trzema strzałami niszczyły czołgi nieprzyjacielskie... czołgi nieprzyjacielskie od strzałów z 76 mm armat czołgowych stawały w ogniu... gdy pojawiają się nasze czołgi, zwłaszcza KW, piechota rzuca się do ucieczki, a czołgi też nie podejmują walki...”*.

Przed czołgiem nie można daleko uciec, toteż piechota Wehrmachtu miała walczyć z T–34 i KW. Czołowe siedemdziesięciopięciomilimetrowe płyty pancerne czołgu KW były nachylone pod kątem 65 i 30 stopni. Porównując te liczby z parametrami zdolności przebicia najnowszej długolufej (60 kalibrów, podczas gdy KwK 38 „zaledwie” 42) niemieckiej armaty przeciwpancernej PaK 38 kalibru 55 mm, dojdziemy do wniosku, że niemieccy artylerzyści nie mogli przebić pancerza czołowego tego czterdziestoośmiotonowego potwora. Jediną możliwą taktyką walki z KW mogło być strzelanie w bok, z zasadzki, z bardzo bliskiej odległości. Czołowa płyta T–34, aczkolwiek gruba „zaledwie” na 45 mm (grubość ścian wieży — do 52 mm), była nachylona pod dużym kątem (60 stopni), co nawet czysto

geometrycznie zwiększa efektywną grubość pancerza do 90 mm. W praktyce tak wielkie nachylenie płyty pancernej zazwyczaj powodowało rykoszety. Pocisk z PaK 38 mógł przebić tylko pancerz boczny T-34 (grubość pancerza: 40 mm, kąt nachylenia: 40 stopni) bądź z małej odległości — wieżę. Jeszcze jednym wrażliwym miejscem „trzydziestkiczwórki” przez całą wojnę był umieszczony na płycie czołowej właz mechanika kierowcy, który zapadał się trafiony pociskiem przeciwpancernym wystrzelonym na wprost.

Mimo wszystko ani T-34, ani KW nie były cudowną bronią. Całkowicie odpornych czołgów oczywiście nie ma. Różne bywają pociski. Niemiecka armata 150 mm (nie mylić z haubicą!) pocisk o masie 43 kg rozpędzała do 865 m/s, co daje energię kinetyczną 16 megadżuli, czyli mniej więcej dziesięciokrotnie większą od energii początkowej pocisku wystrzelonego z armaty F-22 i 82 razy większą niż pocisku opuszczającego lufę najliczniejszej w Wehrmachcie armaty przeciwpancernej PaK 35/6. Ale i to jest dalekie od kresu możliwości polowej artylerii lufowej. Sowiecka armata Br-17 kalibru 210 mm (masa bojowa — 44 tony) strzelała pociskami ważącymi 233 kg, nadając im prędkość początkową 800 m/s, czemu odpowiadała lufowa energia 43 milidżuli. Strzał z takiego działa sprawiał wrażenie uderzenia pioruna, przebijał czołg na wylot albo zrywał zeń wielotonową wieżę. Tylko że cała ta „egzotyka” nie ma nic wspólnego z rzeczywistymi działaniami obrony przeciwpancernej.

Samo posiadanie jakiejś broni, która może zniszczyć, nie daje jeszcze żadnych podstaw do wyciągania wniosków taktycznych, a tym bardziej operacyjnych. Wyjaśnijmy to na paru prostych przykładach. Topór niewątpliwie przetnie kręgi szyjne i oddzieli od tułowia głowę najpotężniej zbudowanego człowieka, co jednak nie znaczy, że żołnierze uzbrojeni w topory łatwo pokonają jakąkolwiek armię nieprzyjacielską, choć składa się ona z ludzi, którzy mają głowy na kruchym karku. Trzeba jeszcze wziąć pod uwagę liczbę toporów, liczbę wrogów, ich uzbrojenie, odległość między przeciwnikami w boju i inne. Chociaż w odosobnionych wypadkach, jak nocna napaść na śpiącego wartownika, topór może być bardzo użyteczny. Co więcej, toporem można walczyć z czołgami. Zdarzyło się: „*Śmiałek podczołgał się rowem, szybko wspiął się na czołg i uderzeniami saperskiego topora unieruchomił karabin maszynowy i załogę nieprzyjacielskiego czołgu*”. Jest to fragment wspomnień generała armii Dmitrija Daniłowicza Leluszenki.

ROZDZIAŁ 3. „PANCERZ JEST MOCNY, A CZOŁGI NASZE SZYBKIE” 61

Ten słynny dowódca zakończył wojnę w Pradze, dowodząc 4. Gwardyjską Armią Pancerną, i niemieckie czołgi widywał nie tylko na obrazkach. Zresztą i komsomolec Iwan Pawłowicz Siereda, który dokonał tego wyczynu, to nie postać zmyślona, ale rzeczywisty uczestnik wojny, nagrodzony zań tytułem Bohatera Związku Sowieckiego. Niemniej jednak, mimo wielkiej liczby śmiałków i toporów saperskich, nie udało się tym prostym i tanim sposobem zniszczyć wszystkich niemieckich czołgów...

Jeżeli unieruchomienie czołgu toporem saperskim można zaliczyć do „*cudów, które się czasem zdarzają*”, to o wiele poważniejsze — na pierwszy rzut oka — mogły być następstwa masowego użycia PTAB-ów (przeciwpancernych bomb lotniczych).

W Centralnym Biurze Konstruktorskim nr 22 pod kierownictwem J. A. Łarionowa opracowano, a w połowie 1943 roku wdrożono do produkcji wielkoseryjnej superlekką (1,5–1,7 kg w różnych wersjach) lotniczą bombę przeciwpancerną z ładunkiem kumulacyjnym, który mógł przepalić pancerz o grubości do 60 mm. Próby na poligonie i w boju (po raz pierwszy na Łuku Kurskim) oraz oględziny rozbitych czołgów niemieckich potwierdziły, że ładunek kumulacyjny PTAB-a rzeczywiście przepala górne płyty pancerne każdego niemieckiego czołgu, a strumień roztopionego metalu zabija załogę, wywołuje detonację amunicji i zapalenie się czołgu. Szturmowy Il-2 zabierał w komorach bombowych 192 PTAB-y w 4 kasetach (po 48 w każdej). Przy zrzućie z wysokości 200 m pole rażenia zajmowało pas 15 na 190 metrów, w którym bomby te niszczyły wszelki sprzęt pancerny Wehrmachtu. Inaczej mówiąc, jeden szturmowiec teoretycznie mógł zniszczyć pół tuzina ciężkich czołgów poruszających się w gęstej kolumnie marszowej. Masowa produkcja ładunków kumulacyjnych nie wymagała deficytowych metali kolorowych, a ich podstawowe „*nadzie*nie” — mieszanina heksogenu z trotylem — zostało wprowadzone do uzbrojenia marynarki wojennej ZSRS (jako ładunki min morskich i torped) jeszcze w lutym 1941 roku. No i co? Czy po zastosowaniu PTAB-ów na polu bitwy zniknęły z niego niemieckie tygrysy? Albo czy przynajmniej okazały się zbędne armaty przeciwpancerne i samobieżne niszczyciele czołgów?

Tak, rzeczywiście, niemiecka armata 150 mm, a także używane jako przeciwpancerne działo przeciwlotnicze 80 mm (masa pocisku 9 kg przy początkowej prędkości 820 m/s), przebijały pancerz każdego sowieckiego

czołgu włącznie z T-34, a w sprzyjających warunkach również KW. Ale co to oznaczało praktycznie? Nawet w warunkach „turnieju rycerskiego”, gdzie liczba uczestników z każdej strony jest taka sama, szanse powodzenia artylerzystów byłyby wielce wątpliwe. Masa działa 150 mm przekraczała 12 ton, było ono wyższe niż człowiek, lecz jego obsługi nie osłaniała nawet cienka tarcza czołowa (nic dziwnego, skoro tej dalekonośnej armaty nie przeznaczono do prowadzenia ognia na wprost). Zasadniczo nie sposób było zwrócić tego działa w stronę nacierających czołgów, a tym bardziej zmienić stanowiska ogniowego bez potężnego ciągnika.

Nawet szybkostrzelność teoretyczna tej armaty nie przekraczała jednego strzału na minutę, zresztą praktycznie to ogromne, zauważalne na kilometr działo miało małe szanse na drugi strzał w walce z czołgiem. Nigdy nie planowano, że będzie używane jako broń przeciwpancerna, toteż obsługa nie była szkolona w strzelaniu do czołgów. Niemniej jednak, w razie gdyby — czystym przypadkiem — do ataku czołgów nieprzyjaciela doszło w rejonie stanowiska ogniowego armaty 150 mm, zdołałaby ona, jeżeli obsłudze by się poszczęściło, zniszczyć jeden, a może i dwa czołgi, zanim sama zostałaby zniszczona.

Teraz od „turnieju” przejdźmy do realiów wojny. W każdym pułku dywizji piechoty Wehrmachtu według etatu miały być dwie armaty kalibru 150 mm (co nie znaczy, że były).

Dwie armaty. Nie ma nawet co marzyć, żeby w ciągu kilku minut boju pancernego przerzucić do miejsca przerwania frontu dwunastotonowe armaty sąsiedniego pułku. Niewiele bardziej „mobilne” były też armaty 105 mm o masie 5,6 tony, ciągnione przez szóstkę koni. W batalionie czołgów pułku pancernego dywizji pancernej było mniej więcej 50 czołgów (dokładna liczba zależała od typu pojazdów bojowych). Ściśle mówiąc, na tym można zakończyć dyskusję o możliwości obrony przeciwpancernej za pomocą armat kalibru 150 mm. Swoimi ciężkimi działami pułk piechoty Wehrmachtu mógł zniszczyć jeden pluton (3 czołgi), który przypadkiem natknął się na ich stanowiska ogniowe. Nie mogło być mowy o odparciu zmasowanego ataku czołgów: kompania T-35 lub KW (nie mówiąc już o oddziałach większych) „rozwałkowałaby” te działa, zanim zdążyłyby oddać dziesięć strzałów...

Ściśle biorąc, w pułku piechoty Wehrmachtu znajdowały się (znowu według etatu, nie faktycznie!) zaledwie dwie nowe armaty przeciwpancerne

ROZDZIAŁ 3. „PANCERZ JEST MOCNY, A CZOŁGI NASZE SZYBKIE” 63

PaK 38 kalibru 50 mm. Dość lekkie (986 kg), więc dowództwo dywizji mogłoby (gdyby tych armat było odpowiednio dużo) skoncentrować je w pasie przerwania frontu przez czołgi. Jednak latem 1941 roku dywizja piechoty Wehrmachtu mogła mieć zaledwie 6 PaK38 i 66 PaK36 kalibru 37 mm, to drugie bowiem wciąż jeszcze było najliczniejszym działem przeciwpancernym niemieckiej armii. Warto zauważyć, że właśnie po spotkaniu z „*trzydziestkączwórką*” niemieckiemu PaK 36 nadano przydomek „*kołatka*” (chodziło o to, że PaK 36 może sobie tylko popukać w pancerz, ale do środka nie wejdzie). Nie mniej wymowne są straty „*kołatek*”. I tak do 1 listopada 1941 roku Wehrmacht stracił na froncie wschodnim 2479 przeciwpancernych armat 37 mm, co 1,42 razy przewyższa łączne straty wszystkich dział dywizyjnych i korpuśnych kalibru od 75 mm do 150 mm łącznie.

Co się zaś tyczy niemieckich armat kalibru 88 mm, to w składzie dywizji piechoty Wehrmachtu (oraz dywizji pancernych i zmotoryzowanych) — nie występowały wcale, ponieważ wszystkie baterie przeciwlotnicze należały do Luftwaffe i „*lądowym*” dowództwom nie podlegały. Co więcej, działa takiego kalibru w wojskach lądowych nie miały nic do roboty. Do obrony wojsk na polu bitwy przed szturmowcami i bombowcami nurkującymi potrzeba mobilnych przeciwlotniczych działek szybkostrzelnych o stosunkowo niewielkiej donośności. W takie działka kalibru od 20 do 40 mm były uzbrojone wojska lądowe (według etatu na dywizję pancerną Armii Czerwonej przypadało 12 automatycznych armat przeciwlotniczych kalibru 37 mm). Ciężkie (masa bojowa 5,2 tony) działo przeciwlotnicze 88 mm o donośności pionowej 11–14 km, przeznaczone było do obrony wielkich obiektów przed wysoko latającymi bombowcami dalekiego zasięgu. Zasady strzelania do tego rodzaju szybkich celów nie mają nic wspólnego ze strzelaniem na wprost do czołgów. Wymiary i masa działa przeciwlotniczego 88 mm są dalekie od wymagań stawianych niepozornej, bardzo mobilnej armacie przeciwpancernej. Rzeczywiście Niemcy musieli improwizować, gdy znaleźli się w sytuacji bez wyjścia po spotkaniu z nowymi sowieckimi czołgami, zwłaszcza gdy się pojawił ciężki czołg KW. Taka improwizacja to na przykład zastosowanie pięciotonowych armat przeciwlotniczych i dwunastotonowych armat dalekonośnych do walki z czołgami. Nie warto chyba jednak z biedy czynić cnoty.

Znacznie groźniejszym przeciwnikiem niż wielotonowe niemieckie armaty okazał się dla nowych sowieckich czołgów lekki, o masie 980 g, pocisk podkalibrowy 50 mm. Miał on dość złożoną budowę, składał się z przeciwpancernego rdzenia i wykonanego z miękkiej stali płaszcza. Gdy pocisk trafiał w cel, miękki płaszcz zginał się, a twardy spiczasty rdzeń z wolframu przebijał pancerz. Dzięki takiej konstrukcji w porównaniu ze zwykłym, pełnym pociskiem przeciwpancernym, miał on znacznie mniejszą masę, a w rezultacie znacznie większą prędkość oraz zdolność przebijania pancerza. I tak armata PaK 38 kalibru 50 mm pociskiem PzGr 40 ze 100 m przebijała pancerz o grubości 130 mm. To niewątpliwie wystarczało do unieruchomienia każdego czołgu, również ciężkiego KW. Nawet żalosne działko kalibru 20 mm niemieckiego czołgu lekkiego PzKpfw II ze 100 m pociskiem z rdzeniem karbidowo–wolframowym przebijało pancerz gruby na 49 mm. Jednakże „*i na Słońcu są plamy*”. Tak jak czołg KW nie był „*bronią absolutną*”, tak pocisk podkalibrowy nie rozwiązywał wszystkich problemów obrony przeciwpancernej: nie wyeliminował zwykłego pocisku „*kalibrowego*”, a wkrótce został w ogóle wycofany z uzbrojenia.

Pierwszą i najważniejszą wadą pocisków podkalibrowych był ich niedobór. Wolfram w pocisku przeciwpancernym to kosztowna ekstrawagancja. Podczas długotrwałej wojny Niemcy nie mogły sobie pozwolić na rozrzutność (dosłownie), jeśli chodzi o niezwykle deficytowy wolfram niezbędny do produkcji specjalnej stali. Pociski „*wolframowe*” stanowiły najpierw kilkanaście, potem już tylko kilka procent ogólnej produkcji pocisków przeciwpancernych, a na początku 1944 roku w ogóle zaprzestano ich wytwarzania. Po drugie, wielka prędkość — a zatem i zdolność przebijania pancerza — początkowa tych lekkich małokalibrowych pocisków gwałtownie się zmniejsza w miarę odległości (w uproszczeniu opór aerodynamiczny rośnie bowiem z kwadratem wymiarów liniowych, a energia kinetyczna — z ich sześcianiem, toteż lekki pocisk małokalibrowy szybciej traci prędkość początkową niż ciężki pocisk dużego kalibru). Przy pocisku podkalibrowym działanie tego prawa potęgowała kiepska aerodynamika, w tym wielki opór płaszcza. W efekcie już po 500 metrach zdolność przebicia „*wolframowego*” pocisku kalibru 37 mm zmniejszała się do poziomu zwykłego pocisku, a na dystansie kilometra spadała do zera. Strzelanie pociskiem podkalibrowym do czołgu ciężkiego przypominało rosyjską

ruletkę: załoga działa przeciwpancernego musiała podpuścić KW na niewielką odległość i zniszczyć stalowego potwora pierwszym strzałem. Po trzecie, czołg to nie balonik, który można przekłuć igiełką. W walce z czołgiem ważne jest nie tyle przebicie na wylot pancerza, ile to, co się potem dzieje w czołgu. Zbacząc nieco od chronologii opowieści, zwróćmy uwagę na pewien ciekawy dokument: raport komisji naukowej, która w końcu lipca 1943 roku obejrzała 30 niemieckich panter zniszczonych w bitwie na Łuku Kurskim. Niemal wszystkie trafione i spalone czołgi miały dwa, trzy i więcej otworów (głównie po pociskach 76 mm zawierających potężny ładunek wybuchowy). Pancerz pantery z numerem bocznym 634 został przestrzelony 7 razy (trzykrotnie pociskami 76 mm), zanim czołg spłonął. Na pewno nie łatwiej było podpalić napędzane silnikiem wysokoprężnym KW lub T-34. Natomiast pocisk podkalibrowy w zasadzie nie mógł przenosić ładunku wybuchowego, a masa karbidowo-wolframowego rdzenia była za mała, żeby utworzyć potężny strumień rozżarzonych mikroodłamków przebitego pancerza. Podkalibrowy rdzeń pocisku 20 mm był niczym twardy gwóźdź — mógł poważnie uszkodzić czołg, tylko jeśli trafił w jakiś szczególnie wrażliwy element. Do tych generalnych wad (można je nazwać cechami szczególnymi) pocisków podkalibrowych przy strzelaniu do czołgu T-34 można dodać jeszcze jedną: charakterystyczną dla wszystkich spiczastych i wydłużonych pocisków o małej średnicy skłonność do rykoszetowania lub koziołkowania, a następnie rozpadania się przy uderzeniu w pancerz nachylony pod kątem 30–40 stopni.

Ogólny wniosek należy chyba sformułować następująco: w lecie 1941 roku Wehrmacht nie miał uzbrojenia, za pomocą którego mógłby odpierać zmasowane ataki wielkich grup nowych sowieckich czołgów (T-34 i KW), ale to stwierdzenie nie podważa faktu, że pojedyncze czołgi w warunkach rzeczywiście sprzyjających obronie mogły zostać zniszczone przez armaty przeciwlotnicze, ciężkie działa o dużej donośności i pociski podkalibrowe.

ROZDZIAŁ 4. „CZARODZIEJSKI MIECZ” I „ZŁOTY PODZIAŁ”

Charakterystyki techniczne sowieckich czołgów T-34 i KW (mocny pancerz, potężne uzbrojenie, silnik dieslowski, walory terenowe i duży zasięg bez tankowania) świadczyły, że powstało jakościowo nowe narzędzie wojny. T-34 i KW mogły w znacznej mierze samodzielnie — nie czekając na podejście artylerii — obezwładnić środki ogniowe nieprzyjaciela na pierwszej linii, a następnie wspierać ogniem piechotę podczas przerwania nieprzyjacielskiej obrony na całą głębokość taktyczną. Niemniej „*jeden rodzaj wojsk nie zastąpi drugiego*”. Były liczne zadania, którym armata czołgowa kalibru 76,2 mm nie mogła sprostać. Na przykład zniszczyć baterii moździerzy, która ukryta za wzgórzem nie pozwalała wspiąć się na nie piechocie. Do tego celu potrzebna jest haubica, prowadząca ogień stromotorowy. Dla „*trzycałowego*” pocisku o masie 6,2 kg był niedostępny jeszcze jeden rozpowszechniony rodzaj celów: stałe fortyfikacje ogniowe. Żeby zburzyć nie tylko betonowy schron bojowy, ale nawet prawidłowo zbudowany schron „*na trzy warstwy*” (drewniano–ziemne stanowisko ogniowe — jak się mówi naukowo), potrzebne są pociski kalibru 122 mm albo nawet haubiczne 152 mm (miały one masę odpowiednio 20–22 i 40–45 kg). To właśnie niemożność przeprowadzenia ataku bez systematycznego wsparcia artylerii dywizyjnej czy korpuśnej ograniczała wcześniej głębokość natarcia czołgów. Sowietkie władze wojskowe wraz z konstruktorami i przemysłem wykonały ogromną, wieloletnią pracę, która na początku lat czterdziestych umożliwiła stworzenie takich formacji bojowych, w których to nie czołgi przytulają się do własnej artylerii, ale artyleria — nawet ciężka — posuwa się w ślad za czołgami. Posuwa się, nie gorzej niż one radząc sobie w terenie, chociaż z mniejszą prędkością. Oczywiście dobrze byłoby zapewnić artylerii możliwość poruszania się po bezdrożach jak czołgi. Do tego jednak potrzebny jest pojazd bojowy zwany działem samobieźnym, a na taki luksus jak zastąpienie holowanej artylerii ciężkiej przez samobieżną nie mogło sobie pozwolić żadne państwo uczestniczące w II wojnie światowej.

Do holowania dział formacji zmechanizowanych (pancernych), a także korpuśnych pułków artylerii, w końcu lat trzydziestych opracowano cztery

typy ciągników gąsienicowych, które różniły się mocą silników, siłą uciągu i dopuszczalną masą holowanego działa lub przyczepy, a także złożonością i kosztem. Wszystkie one miały krytą brezentem platformę do przewozu obsługi i amunicji, potężną wciągarkę do „samowciągania”, trzy spośród nich wyposażono w silniki wysokoprężne, czyli pracowały na stosunkowo bezpiecznym paliwie.

model ciągnika	moc silnika (KM)	uciąg (t)	masa przyczepy (t)	prędkość (km/h)
STZ-NATI (STZ-5)	56, benzynowy	?	4,5	21-15
S-2	105, diesel	6,2	10	26-15-10
Komintern	131, diesel	6,8	17	30-?-?
Woroszyłowiec	400, diesel	13-17	22	42-20-16

Uwaga: w rubryce „prędkość” pierwsza liczba — bez przyczepy na szosie; druga — z przyczepą na szosie; trzecia — z przyczepą w terenie pofałdowanym.

Teraz porównajmy liczby wymienione w tabeli z masą najbardziej rozpowszechnionych dział. Jak wiadomo, najcięższe w dywizjach strzeleckich, zmotoryzowanych i pancernych były w Armii Czerwonej haubice 152 mm i armaty przeciwlotnicze 85 mm. Ich masa mieściła się w przedziale 4,3–4,5 t, tak więc nawet najprostszy i najtańszy ciągnik STZ-5 mógł holować każde działo artylerii dywizyjnej. W korpuśnych pułkach artylerii obok haubic 152 mm było znacznie cięższe uzbrojenie: armata A-19 kalibru 122 mm (7,8 t) i haubicoarmata MŁ-20 kalibru 152 mm (7,9 t). Do holowania dział o takiej masie w Czelabińskich Zakładach Traktorowych opracowano i uruchomiono seryjną produkcję potężnego dieslowskiego ciągnika S-2. Ten pojazd gąsienicowy mógł holować praktycznie wszystkie działa artylerii dywizyjnej i korpuśnej, a ponadto ewakuować uszkodzone czołgi lekkie. Mimo że produkcję S-2 trzeba było wstrzymać już w 1942 roku (zakłady w Czelabińsku przestawiono na masową produkcję czołgów), niezawodne i mocne ciągniki tego typu stanowiły uzbrojenie artylerii do początku lat pięćdziesiątych.

W pułkach artyleryjskich i samodzielnych dywizjonach wykorzystywano działa zupełnie innej „kategorii wagowej”: haubice B-4 kalibru 203 mm (19 t), armaty Br-2 kalibru 152 mm (19,51), moździerze Br-5 kalibru 280 mm (19,7 t), haubice Br-18 kalibru 305 mm (45,7 t). Strzelały one pociskami o masie od 100 do 330 kg, którymi miały głównie burzyć fortyfikacje z

żelazobetonu. Masowo — wśród całej tej artyleryjskiej egzotyki — wytwarzana była tylko haubica B-4 (871 sztuk), ale i jej w żadnym razie nie przeznaczono do współdziałania z formacjami zmechanizowanymi. Tak czy inaczej skonstruowane do holowania ciężkich dział ciągniki gąsienicowe odegrały ważną rolę również w formowaniu nowych korpusów zmechanizowanych: ich wysokie walory pociągowe pozwalały im również ewakuować z pola walki uszkodzone czołgi.

Najbardziej rozpowszechnionym ciężkim ciągnikiem gąsienicowym był Komintern, produkowany w Charkowskich Zakładach Parowozowych nr 183 im. Kominternu. Tak, tak, właśnie taką nazwę nosił największy na świecie zakład budowy czołgów. Wyposażony w stutrzydziestokonny silnik komintern na szosie rozwijał prędkość do 30 km/h, a na jednym baku przejeżdżał 220 km. Na najniższym biegu (przy prędkości 2,6 km/h) wciągał ciężkie działa na wzniesienia o nachyleniu 40 stopni. O niezawodności tego ciągnika i o tym, jak łatwo go było remontować, niech świadczy to, że od 1 września 1942 roku aż do końca wojny bezpowrotnie utracono zaledwie 56 kominternów!

W 1940 roku ich produkcja została zmniejszona, a zwolnione moce twórcze zakładu nr 183 przeznaczono do produkcji seryjnej woroszyłowców — ciągników gąsienicowych o zupełnie już fenomenalnej charakterystyce taktyczno-technicznej. Podstawą ich konstrukcji był czterystukonny czołgowy silnik wysokoprężny B-2 (żaden niemiecki ciągnik ani czołg owych czasów nie miał jednostki napędowej o takiej mocy). Bez przyczepy ciągnik rozwijał na szosie prędkość 42 km/h i na jednym baku przejeżdżał 390 km, a z pełnym obciążeniem — 20 km/h i 240 km. Inaczej mówiąc, mógł on od świtu do zmroku i na jednym tankowaniu zaholować ciężką haubicę z jednego skrzydła pasa obrony armii na drugie. Maksymalny uciąż Woroszyłowca — 17 t (zimą z powodu poślizgu gąsienic zmniejszał się on do 13 t) — umożliwiał holowanie najcięższych systemów artyleryjskich. Dwa takie ciągniki dawały radę nawet monstrualnej haubicy Br-18 kalibru 305 mm o masie 45,71 t. Jako ciągnik ewakuacyjny jedna taka maszyna radziła sobie z pięciowieżowym czołgiem T-35, dwie mogły odholować z pola walki uszkodzony KW (48 t). Ów supermocny pojazd okazał się wystarczająco niezawodny i wytrzymały. Mimo że jesienią 1941 roku wstrzymano jego seryjną produkcję, 336 maszyn przetrwało do końca wojny

(niektóre z nich wzięły udział w paradzie zwycięstwa), a potem pełniły one służbę wojskową do początku lat pięćdziesiątych.

Niemcy poszli inną drogą. Do transportu dział i amunicji opracowali całą serię półgąsienicowych ciągników z silnikami gaźnikowymi o mocy od 100 do 185 KM, mogących holować obiekty o maksymalnej masie od 3 do 18 t. Jeżeli idzie o prędkość holowania, to niemieckie ciągniki półgąsienicowe znacznie górowały nad wszelkimi sowieckimi, chyba tylko z wyjątkiem woroszyłowców. To fakt. W ocenie tego faktu — jak zresztą i wszelkich innych — należałoby jednak zachować umiar i nie wyciągać pochopnych wniosków. Haubice prowadzą ogień stromotorowy, co wcale nie wymaga ciągłego ich przemieszczania śladem nacierających czołgów. Szybkość holowania nie jest duża lub mała sama w sobie. Sens praktyczny ma tylko stosunek prędkości poruszania się artylerii do tempa natarcia dywizji pancernej. Najpowszechniejszy i najtańszy ciągnik STZ-5 przez 4 godziny jazdy z prędkością 15 km/h pokona na drodze 60 km. Na kompletnym bezdrożu zajmie mu to 1,5 do 2 razy więcej czasu, czyli 6–8 godzin. Artyleria formacji zmotoryzowanych poruszała się w tempie 30–50 km dziennie, co w natarciu całkowicie wystarcza. Nie należy wreszcie zapominać, że jako ciągniki z powodzeniem wykorzystywano nowe czołgi wyposażone w silniki dieslowskie (KW, T-34, BT-7M), które były o wiele mocniejsze i szybsze niż jakikolwiek ciągnik artyleryjski owych czasów.

Nawiasem mówiąc, od przybytku głowa nie boli i szybkobieżne ciągniki artyleryjskie w Wehrmachcie dawały mu dużą przewagę. Gorzej było z ich dzielnością terenową, bez której prędkość holowania jest li tylko papierową fikcją. Na umiarkowanie kiepskiej drodze gruntowej niemiecki półgąsienicowiec poruszał się sprawnie, jednakże na prawdziwym rosyjskim bezdrożu dwa przednie (pasywne) koła aż po piasty zapadały się w błoto i niczym pług orały grunt, póki silnik się nie udławił. Niemieckie ciągniki półgąsienicowe w pewnym sensie stanowiły przedsmak dzisiejszych „salonowych dżipów”: są piękne, komfortowe, ale przy tym ustępują krytemu brezentem pocziwemu łazikowi UAZ-a, gdy przychodzi do pokonywania naszych bezdroży. Sowieckie traktory i ciągniki gąsienicowe pełzały powoli, ale za to pewnie. Jeżeli natomiast chodzi o ilość, to pod tym względem (chyba jedynym) Niemcy wyprzedziły Związek Sowiecki. Do końca 1939 roku wyprodukowały 5,8 tysiąca półgąsienicowych ciągników różnych typów

ROZDZIAŁ 4. „CZARODZIEJSKI MIECZ” I „ZŁOTY PODZIAŁ” 71

(Sd.Kfz 11, 6, 7, 8, 9), w następnym roku około 6 tysięcy, nie mniej niż 7 tysięcy w 1941 roku, łącznie — około 18,5 tysiąca (nie uwzględniamy tu podwozi półgąsienicowych używanych do produkcji transporterów opancerzonych Sd.Kfz 250 i 251).

Związek Sowiecki wyraźnie się spóźnił z masową produkcją wyspecjalizowanych ciągników artyleryjskich. Do końca 1940 roku wyjechało z fabryk 1798 kominternów oraz około 600 woroszyłowców. Uwzględniając 2839 STZ-5 (i nie licząc S-2, których produkcję w jesieni roku 1940 dopiero zaczynano), zebrano około 5,2 tysiąca ciągników. W 1941 roku planowano wyprodukować jeszcze 5 tysięcy STZ-5, 2 tysiące S-2, 700 woroszyłowców, co zwiększyłoby liczbę ciągników gąsienicowych w Armii Czerwonej ponaddwukrotnie. Wielkie plany wykonywano z powodzeniem. Na początku czerwca 1941 roku armia miała 6,7 tysiąca ciągników STZ-5 i S-2, przeszło 2,5 tysiąca kominternów i woroszyłowców, czyli około 9,2 tysiąca wyspecjalizowanych ciągników artyleryjskich. Było to więcej niż łączna liczba (8,7 tysiąca) ciężkich dział Armii Czerwonej (3817 haubic 152 mm, 2603 haubicoarmaty 152 mm, 1255 armat 122 mm, 871 haubic 203 mm, 147 dział jeszcze większych kalibrów). Prócz tego w wojsku jeszcze przed jawną mobilizacją było około 28 tysięcy ciągników rolniczych, co ponaddwukrotnie przewyższało łączną liczbę dział holowanych, czyli haubic dywizyjnych kalibru 122 mm oraz ciężkich dział przeciwlotniczych kalibru 76 mm i 85 mm. Na takiej oto niezwykle solidnej podstawie materialnej wykonywano plan utworzenia najsilniejszych na świecie formacji pancernych: korpusów zmechanizowanych Armii Czerwonej.

Decyzję o sformowaniu ośmiu korpusów zmechanizowanych nowego wzoru podpisał ludowy komisarz obrony Siemion Timoszenko 9 czerwca 1940 roku, etat korpusu zatwierdzono 6 lipca 1940 roku (luka czasowa wynika zapewne stąd, że w drugiej połowie czerwca Związek Sowiecki zaanektował kraje bałtyckie, co pochłonęło uwagę najwyższych władz kraju). Korpusy zostały rozdzielone całkiem logicznie. Po dwa rozwinięto na głównych kierunkach strategicznych, w Kijowskim i Białoruskim (ten drugi zmienił potem nazwę na Zachodni) Specjalnym Okręgu Wojskowym, po jednym korpusie przydzielono Leningradzkiemu i Odeskiemu Okręgowi Wojskowemu (skrzydła przyszłego frontu), a także centralnemu Moskiewskiemu oraz Zabajkalskiemu Okręgowi Wojskowemu, położonemu

przy niespokojniejszej granicy z okupowanymi przez Japończyków Chinami (w rzeczywistości V Korpus ulokowano znacznie bardziej na południe od Bajkału — w Mongolii). Łącznie było osiem korpusów zmechanizowanych. W październiku 1940 roku podjęto decyzję o sformowaniu jeszcze jednego, dziewiątego z kolei i oznaczonego liczbą IX, korpusu zmechanizowanego w Kijowskim Specjalnym Okręgu Wojskowym. W Zakaukaskim i Środkowoazjatyckim Okręgu Wojskowym sformowano po jednej dywizji pancernej.

Wszystkie korpusy zmechanizowane miały jednolitą strukturę. W skład takiego związku taktycznego wchodziły: — dwie dywizje pancerne;

- dywizja zmotoryzowana;
- samodzielny pułk motocyklowy;
- jednostki organiczne (batalion łączności, batalion mostowy saperów, korpuśna eskadra lotnicza itd.).

Korpus taki składał się w istocie z trzech dywizji „pancernych”, ponieważ sowiecka dywizja zmotoryzowana, która miała w składzie pułk czołgów i etatowo liczyła 275 czołgów, przewyższała pod tym względem niemiecką dywizję pancerną. Faktyczna różnica między dywizją zmotoryzowaną a pancerną polegała na odmiennej strukturze, proporcji między oddziałami czołgów i strzelców zmotoryzowanych. W dywizji pancernej były cztery pułki: dwa pancerne, strzelców zmotoryzowanych i artyleryjski. W skład dywizji zmotoryzowanej również wchodziły cztery pułki: dwa zmotoryzowane, pancerny i artyleryjski.

Prócz tego każda dywizja miała własny, organiczny, batalion łączności, własny batalion zwiadowczy, batalion pontonowo–mostowy, dywizjon artylerii przeciwlotniczej, liczne służby inżynieryjne. W składzie dywizji zmotoryzowanej przewidziano (na wypadek spotkania z nieprzyjacielskimi czołgami) samodzielny dywizjon przeciwpancerny.

Jest oczywiste, że opracowując taką strukturę korpusu, sowieckie władze dążyły do tego, ażeby był on maksymalnie samodzielny pod względem operacyjnym. Dowódca korpusu miał do dyspozycji i pancerny „*taran*” (cztery pułki czołgów, głównie średnich i ciężkich, dywizji pancernej), i własną grupę artyleryjską (trzy pułki artylerii z ciągnikami, które mogły na odcinku natarcia zdusić obronę nieprzyjaciela), i zmechanizowaną „*konną ławę*” (pułk czołgów lekkich dywizji oraz korpuśny pułk motocyklowy), i

ROZDZIAŁ 4. „CZARODZIEJSKI MIECZ” I „ZŁOTY PODZIAŁ” 73

własną piechotę (cztery pułki strzelców zmotoryzowanych, mogące umocnić się na zdobytym terenie i osłonić skrzydła i tyły nacierającego klina pancernego). W korpusie były również własne środki obrony przeciwlotniczej, łączności, rozpoznania. A nawet lotnictwo zwiadowcze: korpuśna eskadra z 15 samolotami U-2 (Po-2) i P-5 („kukurużnik” U-2 startował i lądował na jakiejkolwiek polanie, co rozwiązywało sakramentalny problem „braku łączności”).

Po licznych zmianach etatu uzbrojenie korpusu zmechanizowanego miało się składać z 1031 czołgów, a mianowicie: 126 KW, 420 T-34, 316 BT, 152 T-26 (w tym 108 z miotaczami ognia) oraz 17 uzbrojonych w karabiny maszynowe tankietek T-38, T-40. Czołgi rozdzielono następująco: w dywizji zmotoryzowanej zgodnie z etatem miało być 258 lekkich i szybkich BT-7 oraz 17 czołgów pływających. Łącznie 275. Każdej z dwóch dywizji pancernych należały się 63 ciężkie KW, 210 średnich T-34, 26 BT-7 oraz 76 T-26 (w tym 54 z miotaczami ognia). Razem 375 czołgów. Ponadto 6 czołgów BT-7 było w oddziałach korpuśnych. Prócz tego korpus zmechanizowany wyposażony był w nieobecny w Wehrmachcie rodzaj sprzętu pancernego — kołowe armatnie samochody pancerne, łącznie 152 pojazdy BA-10. Były one uzbrojone w armatę czołgową 20K kalibru 45 mm w standardowej wieży czołgowej, czyli siłą ognia górowały nad niemieckimi PzKpfw I, PzKpfw II, PzKpfw 38(t) i PzKpfw III (pierwszych wersji, z armatą 37 mm), latem 1941 roku wciąż jeszcze stanowiącymi 60 procent czołgów związków pancernych Wehrmachtu. Łącznie zaś (uwzględniając 116 lekkich BA-20 z karabinem maszynowym) w korpusie zmechanizowanym było 1299 pojazdów pancernych. Jeżeli ustawimy cały ten sprzęt korpusu w jedną linię ze standardowym odstępem 15 metrów między pojazdami, to będziemy mieli „stalową wstęgę” o długości 25 kilometrów. Ogólny podział pojazdów pancernych korpusu zmechanizowanego ukazuje poniższa tabela:

	KW	T-34	BT-7	T-26	T-38/T-40	BA-10	BA-20
dywizje pancerne	63	210	26	76	0	56	39
dywizje zmotoryzowane	0	0	258	0	17	18	33
oddziały korpuśne	0	0	6	0	0	22	5
razem	126	420	316	152	17	152	116

126 czołgów ciężkich KW i 420 czołgów średnich T-34 korpusu zmechanizowanego poza wszystkim innym oznaczało, że dysponuje on 546

działami kalibru 76,2 mm, których salwa miała łączny ciężar 3385 kg. Prócz armat czołgowych w składzie korpusu była też „normalna” artyleria holowana, przypisana do zmotoryzowanych pułków strzeleckich i korpuśnych pułków artylerii. Podział był następujący:

	76,2 mm	122 mm	152 mm
dywizje pancerne	4	12	12
dywizje zmotoryzowane	16	16	12
razem	24	40	36

Łączny ciężar salwy artyleryjskiej korpusu zmechanizowanego (nawet bez czołgów i samochodów pancernych) wynosił niemal 6 ton, czyli czterokrotnie więcej niż dywizji piechoty Wehrmachtu. Dmitrij Pawłow z poczuciem uzasadnionej dumy z Armii Czerwonej mógł zameldować w grudniu 1940 roku uczestnikom narady najwyższej kadry dowódczej:

„Przechodząc do środków ogniowych korpusu pancernego, pozwolę sobie ogłosić pewne wyniki. Ogółem korpus posiada dział wszelkich kalibrów oraz miotaczy ognia 1466. Jak widać, jeżeli ten korpus będzie działał nawet na 10–kilometrowym froncie (była to przeciętna szerokość pasa obrony dywizji piechoty — przyp. M. S.), to sam, z takim nasyceniem ognia, może dokonać miażdżącego uderzenia (...). Korpusy pancerne, przy zmasowanym wsparciu lotnictwa, wdzierają się do pasa obrony nieprzyjaciela, niszczą system jego obrony przeciwpancernej, po drodze rozbijają artylerię i wchodzą na głębokość operacyjną. Stosownie do sytuacji taktycznej i operacyjnej wyprzedzają je desanty spadochroniarzy, którzy następnie zostają podporządkowani tym korpusom pancernym. Za korpusami pancernymi podąża piechota zmotoryzowana z własnymi czołgami oraz korpusy strzeleckie (...). Uważamy, że tak działając, co najmniej dwa korpusy pancerne skierowane do rejonu głównego uderzenia powinny dokonać niszczącego uderzenia w ciągu dwóch godzin i opanować całą głębokość taktyczną 30–35 km. Wymaga to zmasowanego użycia czołgów i lotnictwa. Z czołgami nowych typów jest to całkowicie możliwe”.

Do pełnego wyposażenia w czołgi dziewięciu korpusów zmechanizowanych i dwóch samodzielnych dywizji pancernych, które postanowiono utworzyć latem 1940 roku, potrzebnych było „zaledwie” 10 tysięcy czołgów. Granicę tę Armia Czerwona przeskoczyła jeszcze w 1937 roku, a 15 września 1940 roku miała już 17,7 tysiąca czołgów (znów nie

licząc tankietek T-27 i czołgów pływających). Problem stanowiła nie ilość, lecz jakość: produkcja seryjna czołgów nowych typów dopiero się rozpoczynała, a dla pełnego wyposażenia wszystkich 20 dywizji pancernych potrzebne było 1260 KW oraz 4200 T-34. Oczywiście czołgi T-28, T-26, BT, w które tymczasowo wyposażono nowe korpusy, były przynajmniej lepsze od niemieckich makiet z dykty: można było na nich nie tylko szkolić ludzi, formować z nich pododdziały i oddziały, ale też w razie potrzeby użyć ich w walce. Powtórzmy raz jeszcze, że „za technicznie przestarzałe” czołgi te można uważać tylko w porównaniu z T-34 i KW o unikatowych wówczas charakterystykach, ale wcale nie z czołgami nieprzyjaciela.

Wszystko to wcale jednak nie znaczy, że nie należało się spieszyć z przebrojeniem w najnowsze, najlepsze na świecie czołgi.

Toteż sowiecki przemysł czołgowy pracował bez wytchnienia. Według stanu na 31 grudnia 1940 roku armię już wyposażono w 196 KW oraz 97 T-34. Stale zmieniany plan produkcji czołgów w 1941 roku (oczywiście wciąż go zwiększano) przewidywał produkcję rzędu 5,5 tysiąca czołgów nowych typów. I rzeczywiście w 1941 roku wyprodukowano 1358 KW oraz 3014 T-34. Przy czym tę wielkość osiągnięto w takich „warunkach”, które w lecie 1940 roku mogły się przyśnić jako koszmar: utracono jednego z głównych producentów kadłubów czołgów w Mariupolu, dwa najważniejsze zakłady (nr 183 i jedyny w kraju wytwórca czołgowych silników wysokoprężnych Zakład nr 75) pod bombami przewieziono z Charkowa na Ural, dwa ogromne zakłady leningradzkie (nr 185 im. Kirowa i nr 174 im. Woroszyłowa) znalazły się w pierścieniu blokady. Nie ma żadnych rozsądnych podstaw, by wątpić, że w normalnych warunkach przemysł sowiecki zdołałby do końca 1941 roku całkowicie wyposażyć i przebroić w nowe czołgi wszystkie dziewięć korpusów zmechanizowanych, z których każdy pod względem liczby czołgów górował nad którąkolwiek z czterech grup pancernych Wehrmachtu, przy czym sowieckie maszyny miały znacznie lepsze charakterystyki techniczno-taktyczne.

Ogromne „tabuny” czołgów lekkich T-26 również nie poszły w odstawkę i nie groziło im przetopienie w piecach martenowskich.

Jak zdecydowano latem i jesienią 1940 roku, brygady pancerne nie tylko nie zostały rozformowane, lecz przeciwnie, postanowiono zwiększyć ich liczbę do 45. „Nędzne” 11,5 tysiąca czołgów lekkich, niezbędnych do

wyposażenia brygad pancernych, w większości już istniało. Zakładano, że brygada czołgów lekkich operacyjnie zostanie podporządkowana dowódcy korpusu strzeleckiego i będzie wykorzystywana zarówno do bezpośredniego wsparcia piechoty w natarciu, jak i do potężnych przeciwnatarć na piechotę i czołgi nieprzyjaciela, gdyby wtargnął on w głąb taktycznej obrony korpusu. Tak więc kwestię, nad którą przez dziesięć lat łamali sobie głowy teoretycy wojskowi całego świata, w Armii Czerwonej rozstrzygnięto najbardziej radykalnie. Francuzi rozproszyli trzy tysiące swoich lekkich czołgów po jednostkach piechoty i w rezultacie pozbawili się dużych oddziałów uderzeniowych. Niemcy wszystkie swe czołgi przekazali do 10 (potem 20) dywizji pancernych, pozostawiając 100 dywizji piechoty bez czołgów bezpośredniego wsparcia. Związek Sowiecki, oficjalnie zachowując neutralność w rozpoczętej wojnie europejskiej, organizował niemal pół setki brygad pancernych do bezpośredniego wsparcia piechoty, a zarazem spokojnie i zdecydowanie wykuwał 9 potężnych „*toporów*” zdolnych zadawać „*głębokie uderzenia rozcinające*” jakimukolwiek nieprzyjacielowi.

Dwa pokolenia sowieckich — teraz już rosyjskich — historyków prowadziły i prowadzą zacięty bój z sowieckimi korpusami zmechanizowanymi 1941 roku. To zrozumiałe: przez te wszystkie lata oficjalna sowiecka nauka historyczna, ignorując oczywisty i niepodważalny fakt bezprzykładnej masowej dezercji, masowego oddawania się do niewoli i przechodzenia na stronę wroga, musiała szukać i wynajdywać coraz to nowe „*przyczyny klęski Armii Czerwonej w początkowym okresie wojny*”. Najlepsze na świecie czołgi (ciężkie KW, średnie T-34, lekkie BT-7M) po prostu zmieszano z błotem (nie na polu bitwy, oczywiście, ale na papierze). „*Z całą pewnością ustalono*”, że wszystkie te czołgi były popsute, beznadziejnie przestarzałe, wyeksploatowane, ze „*znikomym ostatkiem*” 100–150 godzin rezerwy pracy silników (to, co prawda, oznacza 2000–3000 km przebiegu, wystarczająco, by dojechać z Białegostoku do Barcelony bądź Lizbony). Tryby były zbyt kruche, ogniwa gaśnic zbyt miękkie, filtry nie filtrowały, peryskopy nie peryskopowały...

Na szczęście ów bój historyków był bezkrwawy. Na nieszczęście, miał on całkiem konkretne, odczuwalne następstwa gospodarcze. Dwa pokolenia sowieckich generałów wychowano i wyszkolono w akademiach wojskowych na micie o tym, że do katastrofy 1941 roku doszło z powodu zacofania

technicznego Armii Czerwonej. Generałowie sowieccy nie chcieli, by się ona powtórzyła, i przez pół wieku naciskali na władze partyjne, żądając ostatecznego i nieodwołalnego przebrojenia armii sowieckiej tak, żeby nawet przyjaciele się jej bali. W wyniku tego Związek Sowiecki upadł i zniknął z mapy politycznej, choć był uzbrojony — oprócz wszystkiego innego — w 30 tysięcy doskonałych czołgów.

Nowe czasy, nowe pieśni. W dodatku i czytelnik jest dziś nowy, młody i znacznie bardziej wymagający. Toteż i dzisiejsi kontynuatorzy przesławnych tradycji sowieckiej historiografii wykonują swoją robotę na o wiele wyższym poziomie jakościowym. Mądrzej. Nie ryzykują głoszenia jawnie kłamliwych wymysłów o „wielokrotnej liczebnej przewadze Wehrmachtu”, ale przedkładają wykształconemu czytelnikowi czysto naukowe, z mnóstwem „niemieckich” liter, wyjaśnienia katastrofy wojennej 1941 roku. Najpiękniejszą (moim wielce subiektywnym zdaniem) metodę pseudonaukowego zaśmieciania mózgów zaproponował publiczności Aleksiej Isajew. Warto zauważyć, że w tym wypadku moje zdanie jest całkowicie zbieżne z opinią samego Machmuda Achmetowicza! Towarzysz M. A. Gariejew niedawno oświadczył publicznie: „Skoro będą tacy ludzie jak Aleksiej Isajew, to nasza sprawa nie jest beznadziejna!” Będą, Machmudzie Achmetowiczu, będą. Bez wątplenia. *Mala herba cito crescit* — „Złe ziele szybko rośnie”.

Swoje elukubracje rozpoczyna pan Isajew od twierdzenia absolutnie słusznego:

„Nie należy wyolbrzymiać roli sprzętu technicznego (...). Źródło zdumienia — «Jakże mogliśmy przegrać, mając takie piękne brzękadelka jak KW i T-34?» — tkwi właśnie w pogańskim uwielbieniu bóstw, które w najnowszej historii przekształciło się w hołdy składane technice. Wszelki sprzęt techniczny to zaledwie bezduszny mechanizm, który sam z siebie nie gwarantuje sukcesu lub klęski”.

Złote słowa. Złote, a dalej — jeszcze lepiej:

„Podstawowym błędem, który się popełnia, jest porównywanie jedynie czołgów stron walczących. Ale bitwy nie odbywają się między masami czołgów na zawczasu wybranym polu.

W rzeczywistości ścierają się struktury organizacyjne, skomplikowane mechanizmy złożone z różnych rodzajów wojsk. W nich czołgi są tylko jednym

z «klocków». Istotnym, ale nie jedynym (...). Wyposażenie dywizji pancерnej w czołgi z nieprzebijalnym pancерzem jest oczywiście ważne, ale to tylko połowa roboty. Czołgi trzeba tankować, naprawiać, zaopatrywać w amunicję, muszą mieć one zabezpieczenie zwiadowcze, wsparcie piechoty i artylerii (...). Do tego potrzebna jest mniej więcej taka sama ruchliwość wszystkich trybików jednostki zmechanizowanej, kiedy to i czołgi, i artyleria, i piechota, paliwo i amunicja do czołgów posuwają się z porównywalną prędkością, zapewniając samodzielne działania w głębi obrony nieprzyjaciela”.

Jakże można się z tym nie zgodzić? Nie można. Oczarowany tak poważnym wywodem (doprawdy niezwykłym na tle ogólnie jaskiniowego poziomu „tradycyjnej” rodzimej historiografii wojennej) czytelnik nie zauważy, że zaczynają go leciutko spychać z właściwej drogi do zawczasu przygotowanej pułapki:

„Można z dobrej cegły ułożyć byle szopę albo odwrotnie: wznieść arcydzieło z kiepskich materiałów budowlanych”. Stop! To już jest wyraźne przeinaczenie. Z kiepskich materiałów (na przykład z miliona tomów dzieł Gariejewa i Isajewa) nie powstanie arcydzieło architektury — zgnije od śniegu i deszczu i się rozpadnie. To oczywiste. Mniej oczywiste, lecz ważne dla dalszej relacji, jest zrozumienie prostego faktu, że z rozmaitych „cegiełek” wznosi się różne elementy budynku (z cegły układa się kopułę, z drewnianych belek — dach dwuspadowy, z płyty żelbetowej — płaski). Teza, że można tworzyć arcydzieła z kiepskich materiałów, bardzo jest potrzebna panu Isajewowi — i oto do czego:

„W połowie lat 30. w Niemczech opracowano zasadniczo nowy mechanizm organizacyjno–etatowy wykorzystywania czołgów, który stał się swoistym «czarodziejskim mieczem» Wehrmachtu w kampaniach lat 1939–1942. Pierwszy krok ku temu czarodziejskiemu mieczowi» został uczyniony 12 października 1934 roku, gdy w Niemczech zakończono opracowanie schematu organizacji pierwszej dywizji pancерnej. 18 stycznia 1935 r. inspektor wojsk zmechanizowanych generał Lutz wydał rozkaz formowania trzech dywizji pancерnych. Dzień ten można umownie uznać za datę narodzin nowego mechanizmu prowadzenia wojny. Dywizje miały być wyposażone w żalosne PzKpfw I z dwoma karabinami maszynowymi, ale urodził się pojazd zdolny do czegoś więcej niż po prostu przełamanie obrony przeciwnika. Zamiast PzKpfw I mogły być nawet samochody obite dyktą udające czołgi. Wyprodukowanie

czołgów i wypełnienie formy odpowiednią zawartością było kwestią techniki i czasu”.

Bezspornie: dzień, w którym nieznany starożytny Chińczyk wystrzelił w starożytne chińskie niebo pierwszą raketę prochową, można uznać za datę narodzin kosmonautyki. Załogowy lot na Marsa stał się już później zaledwie „kwestią techniki i czasu”. Widocznie jednak pan Isajew proponuje nam dyskusję o tym, kto bardziej się zbliżył do załogowego lotu na Marsa: Ameryka, która już z powodzeniem wysyłała swoich kosmonautów na Księżyc; Rosja, która seryjnie produkuje potężne (choć niewystarczające na ekspedycję marsjańską) rakiety, czy — powiedzmy — Birma, w której „*technika i czas*” nie posunęły się poza wystrzeliwanie świątecznych petard. W 1935 roku w Niemczech powstał kolejny biurokratyczny świstek, na którym namalowano kwadraciki ze strzałkami oznaczające pułki i bataliony nie istniejącej dywizji pancernych, którą miano wyposażyć w makiety czołgów z dykty. Szkoleniowo–bojowe tankietki PzKpfw I, jak to przekonująco wykazała wojna w Hiszpanii, nie tylko nie były zdolne „*do czegoś więcej niż po prostu przełamanie obrony przeciwnika*”, ale w ogóle nie sprawdziły się jako czołgi. W Związku Sowieckim w tym czasie było już 3,5 tysiąca czołgów uzbrojonych w armaty, a na koniec 1935 roku w Armii Czerwonej sformowano 18 brygad pancernych. Na czym więc polega ta wielka przewaga urodzonego w Niemczech papierka, który ma ważyć więcej niż 3,5 tysiąca czołgów? A oto na czym:

„Najważniejsze, że już zaistniał nowatorski pomysł wykorzystania wojsk pancernych (...). Na czym polegała istota innowacji? Utworzenie struktury organizacyjnej, do której wchodziły czołgi, piechota zmotoryzowana, artyleria, wojska inżynieryjne i służba łączności, umożliwiło nie tylko dokonanie wylotu w obronie przeciwnika, ale i rozwinięcie natarcia w głąb, w oderwaniu od zasadniczej masy własnych wojsk o dziesiątki kilometrów. Jednostka pancerna stawiała się w znacznej mierze autonomiczna i samowystarczalna (...). Czołgi stawały się strategicznym środkiem walki. Teraz pojawiła się możliwość sprawdzenia w praktyce «kamienia filozoficznego» sztuki wojennej, jakim jest przeprowadzenie błyskawicznej wojny z silnym przeciwnikiem”.

Jak mawiał klasyk: „*Ostapa poniosło*”³. Właśnie dlatego, że Armia Czerwona miała nie tylko nowatorski pomysł, ale i oddziały oraz formacje pancerne, pomysł taki można było sprawdzić w praktyce. Otrzymano cenny rezultat ujemny: takie formacje pancerne, na takiej bazie materialnej (czołgi lekkie z opancerzeniem chroniącym przed bronią strzelecką i uzbrojeniem małego kalibru) nie mogą być ani autonomiczne, ani samowystarczalne. Wydawałoby się, że taki sam wniosek należało wyciągnąć w stosunku do dywizji pancernej Wehrmachtu. Bez czołgów z normalnym uzbrojeniem artyleryjskim i pancerzem odpornym na ostrzał armatni, bez odpowiedniej liczby ciągników gąsienicowych dla artylerii i terenowych transporterów przewożących żołnierzy i amunicję niemiecki „*czarodziejski miecz*” byłby jeszcze bardziej bezradny w głębi obrony nieustępliwego przeciwnika niż sowieckie brygady pancerne. Dobrze jest ogłosić nowatorski pomysł, że wszystkie elementy zmechanizowanej formacji uderzeniowej powinny być odpowiednio ruchliwe. Ale to za mało. Trzeba jeszcze ten pomysł zrealizować, nadać mu formę materialną. Nawet Związek Sowiecki nie zdołał tego dokonać w pełnej mierze do 1941 roku. A tym bardziej nie zdołały hitlerowskie Niemcy, którym historia dała na to znikomo mało czasu (od 1935 do 1941 roku). Pan Isajew ogłosił sprzęt techniczny pogańskim totemem, jak się okazuje tylko po to, by stworzyć nowego bożka — struktury organizacyjne. Czterdziestoośmiotonowego KW obwołał żalonym amuletem dzikusów, natomiast świstek ze schematem struktury organizacyjnej niemieckiej dywizji pancerniej nazwał kamieniem filozoficznym i czarodziejskim mieczem. Lekceważąca uwaga — „*wyposażenie dywizji pancerniej w nieprzebijalne czołgi jest oczywiście ważne, ale to tylko połowa roboty*” — okazała się zaledwie wstępem, ogłoszenie zaś, że Wehrmacht nie dysponował „*nieprzebijalnymi czołgami*”, ukoronowało wywód.

I wreszcie pojawia się ów upragniony końcowy punkt, do którego tak zmyślnie prowadzono czytelnika:

„*Kijowski SOW ma 6 formacji, które mogą działać samodzielnie (...), Odeski OW — 3. Ogółem 6 dywizji pancernych i 3 zmotoryzowane (...). Jeżeli porównamy nie liczbę czołgów walczących stron brutto, ale struktury organizacyjne, to ilościowo samodzielne formacje zmechanizowane Kijowskiego OW, Odeskiego OW i 1. Grupy Pancerniej Wehrmachtu są*

³ — Z książki Ilfa i Pietrowa **Dwanaście krzesel** (przyp. tłum.).

całkowicie porównywalne. Pozostałe czołgi strony sowieckiej są zgrupowane w strukturach organizacyjnych, które wskutek niedostatku taboru nie mają mobilności potrzebnej do prowadzenia wojny manewrowej”.

5826 sowieckich czołgów (w tym KW i T-34) = 728 niemieckim (spośród nich 373 to czołgi lekkie i tankietki).

20 pancernych + 11 zmotoryzowanych dywizji Armii Czerwonej = 5 pancernym + 3 zmotoryzowanym dywizjom niemieckim.

Co było do udowodnienia. Zresztą na stronie 663, w zakończeniu swojej książki, pan Isajew oznajmia, że Armia Czerwona nie miała nawet sześciu dywizji pancernych:

„Jeżeli nazwiemy rzeczy po imieniu, to strona sowiecka nie miała efektywnej struktury organizacyjnej typu «dywizja pancerna». Istnienie struktur organizacyjnych o nazwie «dywizja pancerna» nie powinno wprowadzać w błąd — nie były one zdolne do wykonywania zadań samodzielnej formacji pancernej (...). Dywizje te przeciążono czołgami (podkreślenie — M. S.) i niedociążono piechotą zmotoryzowaną i artylerią”.

Niesamowite zdanie o „przeciążeniu dywizji pancernych czołgami” mogłoby się wydawać błędem drukarskim (albo niefortunnym wyrażeniem celowo wyrwanym przeze mnie z kontekstu książki Isajewa), gdyby ta myśl nie przewijała się uporczywie na kilkudziesięciu stronach. Najpotężniejsze wojska pancerne uznane zostały za nieistniejące tylko na tej podstawie, że struktura (stosunek liczby jednostek pancernych, artyleryjskich i piechoty) dywizji pancernych Armii Czerwonej różniła się od struktury niemieckiej dywizji pancernych, przy czym tę ostatnią pan Isajew ogłasza najwyższym ideałem, jakimś „złotym podziałem” umożliwiającym czynienie cudów: *„Niemcy w organizacji wojsk pancernych doszli do swojego «złotego podziału»: na 2–3 bataliony czołgów w dywizji pancernych Wehrmachtu przypadają 4 (lub 5, jeśli włączymy motocyklistów) bataliony piechoty zmotoryzowanej (...). Taka właśnie organizacja wojsk pancernych umożliwiła Niemcom (podkreślenie moje — M. S.) dojście do przedmurza Moskwy, Leningradu i Kijowa”.*

Tak, zachwyty towarzysza Gariejewa można zrozumieć — on i jego koledzy przez pół wieku nie wpadli na taki pomysł... Pan Isajew nawet nie omawia kwestii, dlaczego w 1941 roku korpusy zmechanizowane Armii Czerwonej nie doszły do Berlina, Pragi, Budapesztu. Daje jednak do

zrozumienia: my nie mieliśmy „złotego podziału”. A bez tego „podziału” i „czarodziejskiego miecza” wiele zwojować nie sposób:

„Ze «złotym podziałem» w sowieckiej dywizji pancernej rzeczywiście było kiepsko. Jeżeli porównamy dywizję pancerną sowieckiego korpusu zmechanizowanego i dywizję pancerną Wehrmachtu, to zobaczymy, że na przykład dział przeciwpancernych w sowieckiej dywizji nie ma wcale, liczba lekkich haubic w niemieckiej dywizji pancernej jest dwa razy większa, dział pułkowych w niemieckiej dywizji pancernej jest pięciokrotnie więcej, moździerzy średniego kalibru — niemal o 50 proc. więcej. Ale oczywiście najbardziej dotkliwą różnicę widać w liczebności piechoty zmotoryzowanej w porównaniu z liczbą czołgów (...). Na 375 czołgów sowieckiej dywizji pancernej przypadało około 3 tys. żołnierzy piechoty zmotoryzowanej, a na 150–200 czołgów dywizji pancernej Wehrmachtu przypadało 6 tys. żołnierzy piechoty (...). Dlatego też niemiecka dywizja pancerna łatwiej nacierała i łatwiej się broniła. Miała więcej piechoty, poruszającej się wraz z dywizją i zdolnej do zdobywania i utrzymywania terenu”.

Całą tę dyskusję można by zamknąć jednym prostym przypomnieniem: w Armii Czerwonej była dywizja najprawdziwszego „złotego podziału”. I to nie jedna — było takich dywizji trzydzieści jeden. Oczywiście mowa tu o dywizji zmotoryzowanej według etatu z lipca 1940 roku. Pod względem struktury wszystko jest w niej takie samo jak w dywizji pancernej Wehrmachtu: jeden pułk pancerny, dwa pułki strzelców zmotoryzowanych oraz pułk artyleryjski. Na 3 bataliony czołgów 6 batalionów piechoty zmotoryzowanej. Jest w niej też samodzielny dywizjon artylerii przeciwpancernej (36 „czterdziestekpiątek”). Całkowicie porównywalny jest również zestaw uzbrojenia pułku artylerii. Jedno tylko nieszczęście — nawet sowiecka dywizja zmotoryzowana (nie mówiąc już o pancernej) według etatu jest „przeciążona” czołgami: 258 czołgów szybkich BT-7 na 5904 ludzi w dwóch pułkach strzelców zmotoryzowanych. Ale jeżeli na samym początku pół setki „zbędnych” czołgów porzucić na poboczu, to wyjdzie z tego prawdziwie „czarodziejski miecz”. Z nim można iść na Moskwę albo na Berlin. Można dojść...

Niestety w rzeczywistości do 22 czerwca 1941 roku nie były „przeciążone” czołgami nie tylko dywizje zmotoryzowane, ale i pancerne. Wybiegając nieco do przodu w relacjonowaniu wydarzeń historycznych,

zauważmy, że na wiosnę 1941 roku utworzono nie 9, ale 29 korpusów zmechanizowanych, co doprowadziło do ogromnego braku czołgów (ogromnego w stosunku do etatu, ale nie do liczebności przeciwnika!). Konkretnie w składzie 20 korpusów zmechanizowanych (nie licząc XVII Korpusu Zmechanizowanego i XX Korpusu Zmechanizowanego Frontu Zachodniego, dopiero formowanych), które wzięły udział w działaniach bojowych pierwszych tygodni wojny, znajdowało się 12,5 tysiąca czołgów, czyli przeciętnie po 208 czołgów na dywizję (pancerną lub zmotoryzowaną). Pozbawione czołgów pułki pancerne miano tymczasowo uzbroić w armaty (24 dywizyjne 76 mm + 18 przeciwpancernych 45 mm na pułk) holowane przez samochody (ciężarówki GAZ-AA oraz ZIS-5/6). W efekcie faktyczny skład większej części sowieckich dywizji pancernych okazał się „przeciążony” artylerią i „niedociążony” czołgami. Oto i macie najlepszą postać „złotego podziału”...

Gdyby pan Isajew sam wierzył w to, co pisze (a nie mącił ufnym czytelnikom w głowie według najgorszych przepisów wojny psychologicznej), to zacząłby od głównego pytania: czy struktura organizacyjna znaczy tak wiele, że nie odpowiadające jakiemuś dowolnemu normatywowi („złotemu podziałowi”) dywizje pancerne tracą całą zdolność bojową? To pytanie niechybnie doprowadziłoby go do następnych: „*A co czyni batalion piechoty w dywizji pancerniej batalionem piechoty zmotoryzowanej? Zatwierdzony przez jakiegoś generała „schemat organizacji” czy przede wszystkim środki transportu umożliwiające poruszanie się z taką samą jak czołgi prędkością i zdolnością pokonywania terenu? Do dywizji pancerniej można włączać cokolwiek. Na papierze. Nie jest tajemnicą, że w przededniu 22 czerwca 1941 roku niemieckie dowództwo do grup pancernych Wehrmachtu włączyło dywizje piechoty. Nie piechoty zmotoryzowanej, ale zwykłej. Z artylerią ciągniętą przez konie i z dwunożnymi żołnierzami. Cud się jednak nie zdarzył i po kilku dniach nie nadążająca piechota nie słyszała nawet kanonady dywizji pancernych, które oddaliły się od niej o sto kilometrów.*

O wiele rozsądniejsze było utworzenie w Armii Czerwonej (w teorii i praktyce) tak zwanych grup konno-zmechanizowanych. Oczywiście nie chodzi o to, aby wraz z czołgami konną ławą atakować umocnienia przeciwnika. Koń w kawaleryjskich dywizjach II wojny światowej pełnił

głównie funkcję środka transportu, kilkakrotnie zwiększając ich mobilność w porównaniu ze zwykłą piechotą. Bezpośrednio do boju kawalerzyści z reguły ruszali spieszeni. Pośród lasów i bagien Białorusi i północnego zachodu Rosji kawaleria sowiecka mobilnością co najmniej nie ustępowała niemieckiej piechocie zmotoryzowanej. Poruszając się w tempie 50—60 km dziennie (dla konnicy jest to całkowicie wykonalne), dywizje kawalerii mogły nie pozostawać w tyle za czołgami nawet podczas najszybszego natarcia. Oczywiście żaden koń nie może iść w zawody z pojazdami mechanicznymi pod względem zdolności do nieprzerwanego wielodniowego ruchu. Należy również wziąć pod uwagę wyjątkową wrażliwość kawalerii na uderzenia z powietrza. Rzecz jasna utworzenie grup konno–zmechanizowanych było półśrodkiem, ale w czasach, gdy Armia Czerwona nie miała jeszcze ani gąsienicowych transporterów opancerzonych, ani nawet trzyosiowych amerykańskich studebakerów z ich fantastyczną sprawnością terenową i niezawodnością, połączenie dywizji pancernych i kawaleryjskich w tymczasowe grupy operacyjne było decyzją odpowiedzialną i dość skuteczną. Nawiasem mówiąc, dziewięć (!) dywizji kawaleryjskich wzięło udział nawet w wyzwoleniu Pragi w maju 1945 roku...

Włączenie dywizji piechoty do grup pancernych Wehrmachtu w czerwcu 1941 roku to skrajny przykład biurokratycznego fetyszyzmu. Ale problem zapewnienia przynajmniej porównywalnej do czołgów dzielności terenowej nie został rozwiązany nawet w pułkach piechoty zmotoryzowanej należących do dywizji pancernych i zmotoryzowanych Wehrmachtu. Podstawowa masa tej piechoty wcale nie przemieszczała się w transporterach opancerzonych, jak to pokazywano w sowieckich filmach wojennych, lecz w rozmaitych zdobycznych ciężarówkach i autobusach. Szef sztabu generalnego Wehrmachtu Franz Halder w swoim sławetnym dzienniku odnotował 22 maja 1941 roku, że 17. Dywizja Pancerna należąca do 2. Grupy Pancerniej Guderiana liczyła 240 różnych modeli samochodów. Dywizja ta miała rozpocząć natarcie na prawym skrzydle Grupy Armii „Środek”, po bagnach białoruskiego Polesia. W takim terenie zdobyczny belgijski autobus lub francuski furgon do przewozu pieczywa ze środka transportu szybko zmieniał się w przedmiot wymagający popychania. 3. Grupa Pancerna w pierwszych dniach wojny poruszała się po leśnych drogach Litwy. Niby tam był piasek, a

nie bagno. Niemniej dowódca grupy, Hermann Hoth, tak opisał, co się działo drugiego dnia wojny:

„Pojazdy wciąż grzęzły i wstrzymywały postępującą za nimi kolumnę, ponieważ objazd był na leśnych drogach całkowicie wykluczony. Żołnierze piechoty i artylerzyści musieli przez cały czas wyciągać grzęznące pojazdy (...). Dowództwo z prawdziwą męką patrzyło, jak ich «mobilne» wojsko traci dech (...).

W południe 23 czerwca, gdy pułk pancerny 7. Dywizji Pancерnej wyszedł na drogę Lida–Wilno, pojazdy kołowe dywizji zostały daleko w tyle”.

20 lipca 1941 roku, po przejściu ciepłego letniego deszczu, jakieś trzy miesiące przed nastaniem prawdziwych jesiennych roztopów, F. Halder zapisał w swoim dzienniku:

„11. Dywizja Pancerna posuwa się na Humań w trzech eszelonach: 1) pojazdy gąsienicowe z piechotą; 2) wozy konne z piechotą, które jadą za pojazdami gąsienicowymi; 3) pojazdy kołowe, które nie mogą się poruszać po błotnistej drodze, toteż musiały się zatrzymać”.

Zapis z 3 sierpnia: *„Parszywa pogoda! Walki, które początkowo zapowiadały, że okrążenie zgrupowania nieprzyjaciela (w rejonie Humania — M. S.) się powiedzie, zostały wstrzymane z powodu deszczów, które znacznie zmniejszyły mobilność jednostek zmotoryzowanych”.*

Aby rzeczywiście zapewnić współdziałanie czołgów i piechoty zmotoryzowanej dwudziestu niemieckim dywizjom pancernym w 1941 roku, obok właściwej struktury organizacyjnej potrzebnych było jeszcze około 10 tysięcy półgąsienicowych transporterów opancerzonych Hanomag Sd.Kfz 251. Tylu nie wyprodukowano przez pięć lat wojny (rzeczywista produkcja na koniec 1943 roku wyniosła 6,5 tysiąca, w tym w latach 1939–1940 — zaledwie 569). Przed uderzeniem na ZSRS nie w każdej dywizji pancерnej Wehrmachtu była choćby jedna kompania piechoty zmotoryzowanej wyposażona w etatowe 26 transporterów opancerzonych. Zauważmy nawiasem, że określenie „opancerzony” w wypadku Sd.Kfz 251 nieco wprowadza w błąd. Aby się o tym przekonać, wystarczy spojrzeć na jakąkolwiek fotografię frontową tego pojazdu — nie na barwną ilustrację w czasopiśmie, ale właśnie na fotografię. Jeżeli się uważnie wpatrzymy, ujrzymy głowy i ramiona żołnierzy siedzących w transporterze. Nie dlatego, że w Wehrmachcie służyły dwumetrowe dryblasy, ale dlatego, że Sd.Kfz 251

miął niskie burty. Niskie zaś były dlatego, że miał wysoko osadzoną podłogę — zbudowano go bowiem na wysokim podwoziu półgąsienicowego ciągnika artyleryjskiego Sd.Kfz 11.

Oczywiście autobusem podróżuje się szybciej i wygodniej niż na własnych nogach (nawet jeżeli grzęźnie on na wiejskich drogach po pierwszym deszczu). Muszą jednak zaistnieć odpowiednie warunki. Główny — to brak zorganizowanego oporu przeciwnika. Wówczas oddziały piechoty zmotoryzowanej mogą się nie odrywać od czołgów, jadąc nawet najzwyczajszymi ciężarówkami. Co prawda powstaje tu inna kwestia: czy formacje pancerne w ogóle muszą „zajmować i utrzymywać miejscowości”, dokonując szybkiego rajdu na tyły ogarniętego paniką przeciwnika? A może ważniejsze jest utrzymanie inicjatywy, mostów, przepraw, węzłów kolejowych? I przekazanie w ręce piechoty, idącej śladem czołgów, obowiązku pozbierania łupów i spędzenia jeńców w kolumny marszowe?

„Tylko pościg może umocnić powodzenie osiągnięte w poprzednich walkach. Dlatego też każdy dowódca czołgów powinien dążyć do kontynuacji natarcia wszystkimi pojazdami zdolnymi do walki, póki starcza paliwa (...) tylko tak można ułatwić kolejne walki albo całkiem ich uniknąć (...). Każdy zyskany kwadrans jest cenny i może wywrzeć decydujący wpływ na działania bojowe” — tak pisze Heinz Guderian, wybitny teoretyk wojny pancernej, który wielokrotnie sprawdzał w praktyce słuszność swoich teorii. Całkowicie zgadza się z nim również Hermann Hoth: *„Powodzenie osiągnięte dzięki śmiałym i szybkim działaniom jednostek pancernych należy wykorzystać do utrzymania inicjatywy operacyjnej (a nie miejscowości — M. S.). Wstrzymywanie ruchu jednostek pancernych, który jest ich najlepszą obroną, zatrzymywanie ich przez dłuży czas w jednym miejscu przeczy charakterowi i przeznaczeniu tego rodzaju wojsk”*.

Mityczne „przeciążenie” czołgami sowieckich dywizji pancernych nie było ani zaletą, ani wadą, tak jak nie było ani zaletą, ani wadą „przeciążenie” piechotą niemieckich dywizji pancernych oraz całkowity brak czołgów w dywizjach zmotoryzowanych Wehrmachtu. To są ich cechy szczególne, które należy brać pod uwagę, opracowując — i co najważniejsze — realizując taktykę użycia tych formacji w walce i przydzielając im zadania. To wszystko. Nie ma żadnych rozsądnych podstaw (oprócz wielkiego bezinteresownego pragnienia, by wymyślić jakąś nowinkę w miejsce wyświechtanych teorii o

„beznadziejnie przestarzałych sowieckich czołgach”), aby ogłaszać, że Armia Czerwona nie miała jednostek zmechanizowanych (pancernych), ponieważ ich struktura organizacyjna nie odpowiadała jakiemuś wyssanemu z palca „złotemu podziałowi”.

Przechodząc od abstrakcyjnych schematów i rozważań do tragicznej rzeczywistości czerwca 1941 roku, musimy skonstatować najważniejszy fakt: żadnej dywizji pancernej, żadnemu korpusowi zmechanizowanemu Armii Czerwonej nie było dane oderwać się podczas szybkiego natarcia od własnej „powolnej” piechoty. Żadnemu i nigdy. Przy czym własnej piechoty było bardzo dużo, często oddziały pancerne toczyły walkę „okrążone” przez jej bezradnie cofające się oddziały. Żadnego współdziałania — poza bardzo rzadkimi wyjątkami — nie nawiązano, jednak nie miały z tym nic wspólnego osławione „schematy organizacyjne” oraz „złote podziały”.

„(...) w związku z odwrotem jednostek strzeleckich IV Korpusu Strzeleckiego cały ciężar działań bojowych spadł na jednostki XI Korpusu Zmechanizowanego, zarówno jeśli idzie o osłonę odwrotu jednostek korpusu strzeleckiego, jak i zatrzymanie ofensywy Niemców”.

„(...) 795. pułk strzelecki 228. Dywizji Strzeleckiej, odrywając się od dywizji, wycofywał się bezładnie w kierunku wschodnim. 228. Dywizja Strzelecka oraz jej 485. pułk artylerii haubic bez uprzedzenia opuściły front i bezładnie się wycofały, całkowicie odsłaniając nasze lewe skrzydło. W tej sytuacji 43. Dywizja Pancerna podjęła walkę bez wystarczającego rozpoznania oraz współdziałania z artylerią i sąsiadami”.

„(...) następnie XII Korpus Zmechanizowany kilkadziesiąt razy prowadził częste kontrataki i w zasadzie poniósł cały ciężar osłony wojsk 8. Armii, gdy nieprzerwanie wycofywała się ona na północ. Korpus z poświęceniem ratował piechotę od całkowitego zniszczenia i rozgromienia. Zadanie wykonał dobrze, ale sam się wykrwawił i wymaga natychmiastowego wycofania na tyły i uzupełnienia”.

„(...) o godzinie 10.32 dywizja pancerna dostała rozkaz dowódcy IV Korpusu Zmechanizowanego, zgodnie z którym miała rozwinąć uderzenie nacierającego VI Korpusu Strzeleckiego, ale sztab VI Korpusu Strzeleckiego postawił dywizji pancernej samodzielne zadanie — atak w kierunku silnie umocnionego rejonu przeciwpancernego, gdzie była rzeka i bagna, jednakże nie wsparł działań dywizji ani piechotą, ani artylerią”.

„(...) grupa czołgów kapitana Karpowa o godz. 20 zaatakowała nieprzyjaciela w kierunku Olszanki, jednak nie dostała wsparcia piechoty i o godz. 23 wycofała się. Następnego dnia grupa prowadziła nierówną walkę w tym samym rejonie i w rezultacie ucieczki z frontu 32. pułku strzelców zmotoryzowanych została zniszczona i pozostawiona na polu walki, z wyjątkiem jednego czołgu”.

„(...) w całym okresie działań bojowych zaopatrzenie jednostek strzeleckich nie zostało absolutnie zorganizowane, toteż aby utrzymać piechotę przynajmniej przez pierwszy okres walki, zobowiązano szefów jednostek pancernych do zapewnienia jej, z własnych środków, żywności i amunicji. Wszystkie wymienione przyczyny sprawiły, że piechota zachowywała się chwiejnie i pod najmniejszym naporem przeciwnika z reguły wycofywała się, pozostawiając na polu walki same czołgi”.

Na szczególną uwagę zasługuje ostatni z przytoczonych fragmentów meldunków bojowych dowódców formacji pancernych Armii Czerwonej (są to urywki raportu dowódcy 1. Dywizji Pancerniej, Bohatera Związku Sowieckiego, uczestnika wojny w Hiszpanii i Finlandii, generała W. J. Baranowa). Okazuje się, że dla utrzymania stuprocentowego „złotego podziału” w strukturach organizacyjnych Armii Czerwonej według wzoru z lata 1941 roku ważne było odpowiednie umiejscowienie kuchni i zapasów kaszy perłowej, bez czego okazało się niemożliwe „utrzymanie piechoty przynajmniej w pierwszym okresie walki”.

Drugim z kolei „oskarżeniem” pana Isajewa wobec struktury sowieckich dywizji pancernych jest „niedociążenie” ich artylerią (między innymi całkowity brak artylerii przeciwpancernej). To już jest zarzut poważny i czegoś takiego (jeżeli rzeczywiście tak było!) nie można zaliczyć do „cech szczególnych”. Taktyki walki formacji pancernych nie tworzy się, licząc tylko na efekt psychologiczny łoskotu stalowej lawiny. Poważnych planów wielkiej wojny nie sporządza się w nadziei na „sztuczny tłok”. Towarzysz Stalin doskonale to rozumiał. Jeszcze 17 kwietnia 1940 roku mówił swoim dowódcom: „sztuczka, podstęp, smykałka i inne to rzecz dobra. Ale na sztuczkach polegać się nie da. Raz oszukasz — zajdziesz od tyłu, drugi raz oszukasz, a za trzecim razem nie oszukasz. Armia nie może polegać na samych sztuczkach”. Święta prawda — armia, w tym i jednostki pancerne, musi być gotowa nie tylko do pościgu, lecz i do walki z zaciekle broniącym się

nieprzyjacielem. Ale tu sama tylko śmiałość to za mało: potrzebna jest jeszcze przytłaczająca siła ognia. Regulamin mówi: „*Walka jest w znacznej mierze współzawodnictwem ogniowym walczących stron*”.

W jaki sposób pan Isajew dowodzi, że sowieckie dywizje pancerne były „*niedociążone*” artylerią? Ze zręcznością kuglarza podmienia rzeczywistość ważną kategorię „*siła ognia dywizji*” wcale nie identycznym pojęciem „*liczba luf artylerii ciągnionej*” („*liczba lekkich haubic w niemieckiej dywizji jest dwa razy większa, dział pułkowych w niemieckiej dywizji pancерnej jest pięciokrotnie więcej, moździerzy średniego kalibru — niemal o 50 proc. więcej*”). Nie pozwólmy się jednak tak prymitywnie oszukiwać i po raz kolejny posłużmy się ołówkiem i sprawnym kalkulatorem:

działa	czołgowe 37 mm	czołgowe 45/50 mm	czołgowe 76/75 mm	polowe 76/75 mm	haubice 122/105 mm	haubice 152/150 mm
sowiecka dywizja	0	104	273	4	12	12
niemiecka dywizja pancerna	61	42	26	20	24	16

Uwaga: liczbę dział czołgowych różnych kalibrów w niemieckiej dywizji pancерnej przytoczono jako średnią statystyczną z 17 dywizji pancерnych Wehrmachtu na froncie wschodnim 22 czerwca 1941 roku.

Cóż więc widzimy? Siła ognia sowieckiej dywizji pancерnej, jest ogromna i stanowi o niej uzbrojenie samych czołgów. A to znaczy, że większa część dział sowieckiej dywizji pancерnej jest osłonięta pancерzem, porusza się na terenowym gąsienicowym podwoziu czołgu i dlatego może strzelać do stanowisk ogniowych przeciwnika na wprost, z maksymalnie bliskiego dystansu, czyli jak najskuteczniej. Mówienie o tym, że „*dział pułkowych jest w niemieckiej dywizji pancерnej pięciokrotnie więcej*”, to po prostu śmieszność, biorąc pod uwagę, że takie same „*trzycałówki*”, w liczbie 273, znajdowały się w wieżach silnie opancerzonych czołgów KW i T-34. I dlatego właśnie, że sowiecka dywizja pancerna miała 273 działa czołgowe kalibru 76 mm, zdolne (powtórzmy to jeszcze raz) przebić pancерz czołowy jakiegokolwiek niemieckiego czołgu z kilometra, nie potrzebowała dywizjonu artylerii przeciwpancernej. Sowiecka dywizja pancerna tak była „*niedociążona*” małokalibrowymi armatami przeciwpancernymi, jak każdy zdrowy człowiek jest „*niedociążony*” kulami i drewnianą protezą.

Z różnych materiałów buduje się różne — pod względem konstrukcyjnym — budynki. W lecie 1941 roku jedynym w Wehrmachcie czołgiem z „trzycałową” armatą wciąż był PzKpfw IV.

Po 10 tych czołgów „ciężkich” przydzielono każdemu batalionowi pancernemu: odpowiednio 20 lub 30 na dywizję pancerną. Ogółem w 17 dywizjach pancernych, z którymi Wehrmacht rozpoczął „wyprawę na Wschód”, było:

- 439 czołgów PzKpfw IV uzbrojonych w armatę 75 mm;
- 707 czołgów PzKpfw III z armatą kalibru 50 mm;
- oraz 1039 czołgów z niemal nieużyteczną do walki z piechotą armatą 37 mm (PzKpfw III wczesnych wersji i czeskie PzKpfw 38(t)).

1081 czołgów armii niemieckiej było jeszcze uzbrojonych w działka 20 mm albo same karabiny maszynowe. Tak właśnie „dla Hitlera pracowała cała Europa...” Nic dziwnego, że usiłując czymś zrekompensować słabość uzbrojenia czołgów niemieckich, których dwie trzecie latem 1941 roku uzbrojono w zbyt słabe armaty 37 mm, a nawet działka 20 mm, dowództwo Wehrmachtu włączyło do dywizji pancernych pełnowartościowy pułk artyleryjski, w którym było prawie tyle dział co w pułku artylerii dywizji piechoty (która, przypomnijmy, miała 36 haubic kalibru 105 mm i 18 kalibru 150 mm). Ale i ta próba zrównania siły ognia z dywizją pancerną Armii Czerwonej okazała się daremna. Sowiecka dywizja była uzbrojona w znacznie większą liczbę nieporównanie lepszych czołgów. Co dokładnie ukazuje poniższa tabela łącznego ciężaru salwy:

działa	czołgowe 37 mm	czołgowe 45/50 mm	czołgowe 76/75 mm	łącznie czołgowe	połowe 76/75 mm	haubice 122/105 mm	haubice 152/122 mm	ogółem
sowiecka dywizja pancerna	0	208	1693	1901	25	260	480	2670
niemiecka dywizja pancerna	44	76	151	271	124	360	688	1443

Rzekomo „niedociążona artylerią” sowiecka dywizja Pancerna miała dwukrotnie większą siłę ognia niż niemiecka, przy czym 71 procent łącznego ciężaru salwy sowieckiej dywizji przypadało, mówiąc językiem współczesnym, na „broń precyzyjną” (strzelające na wprost armaty czołgowe,

których celowniczy jest niezawodnie osłonięty stalowym pancierzem). Łącznym ciężarem salwy dział czołgowych sowiecka dywizja pancerna siedmiokrotnie przewyższała niemiecką. A to już taka ilość, która może się przerodzić w nową jakość. Oto, jak meldował w tej sprawie w grudniu 1940 roku na naradzie najwyższych dowódców „główny pancerniak” Armii Czerwonej, szef Głównego Zarządu Samochodowo–Pancernego, Dmitrij Pawłow:

„Jeżeli do zdławienia jednego gniazda karabinu maszynowego w sytuacji polowej potrzeba 120 pocisków kalibru 76 mm lub 80 pocisków z haubicy 122 mm, to proszę obliczyć, ile pocisków powinien wystrzelić czołg, aby zniszczyć jedno gniazdo karabinu maszynowego? Albo żadnego, albo 2–3 pociski z odległości 1–1,5 km. Do zniszczenia armaty przeciwpancernej z reguły używa się haubicy kalibru 122 mm. Wymaga to 70–90 pocisków. Pytam was: ile czołg ciężki musi wystrzelić pocisków, żeby wyeliminować jedną armatę przeciwpancerną? Albo żadnego, albo jeden (...). Twierdzę, że posiadanie wielkiej liczby czołgów ciężkich bardzo pomoże artylerii w pracy i zmniejszy zużycie pocisków”.

Przytoczone powyżej wskaźniki siły ognia odnoszą się do w pełni skompletowanej — według etatu — dywizji pancernych. Ale na początku wojny takich dywizji nie było. Nie było ani jednej. Podjęta w lutym–marcu 1941 roku decyzja o rozwiązaniu XXIX Korpusu Zmechanizowanego doprowadziła do sformowania kilkudziesięciu dywizji pancernych i zmotoryzowanych. Łącznie na początku wojny Armia Czerwona miała — co było niewyobrażalne w każdym innym kraju świata — 92 takie dywizje (61 pancernych i 31 zmotoryzowanych). Czołgi Armii Czerwonej były „rozproszone” po kilkudziesięciu dywizjach, w wyniku czego duża część formacji zmechanizowanych była „niedociążona” czołgami, zwłaszcza nowych typów (KW, T–34) uzbrojonych w działko kalibru 76 mm. W rezultacie rzeczywista siła ognia dywizji okazała się mniejsza niż dywizji umownej! Nie pomijajmy jednak — do czego sowieccy „historycy” są bardzo skłonni — faktu, że nie miały one walczyć z biurokratycznymi „procentami od wielkości etatowej”, ale z nieprzyjacielem. Stosownie do tego również pod względem mocy uzbrojenia sowieckie formacje zmechanizowane należy porównywać z analogicznymi formacjami Wehrmachtu, bynajmniej nie z teoretycznym etatem.

Poprawne porównanie jest dość złożone. Co z czym mamy porównywać? Skoro w lecie 1941 roku na froncie wschodnim spotkało się 17 dywizji Wehrmachtu z 20 korpusami zmechanizowanymi Armii Czerwonej, skoro dywizji pancernej Wehrmachtu stawiano praktycznie takie same zadania, jakie po drugiej stronie frontu powierzano korpusowi zmechanizowanemu, to czy nie należałoby porównać wskaźników ilościowych właśnie tych formacji? Oczywisty jest wynik porównania wskaźników potencjału ogniowego dywizji pancernej Wehrmachtu i korpusu zmechanizowanego Armii Czerwonej: korpus ma nad nią przewagę pod każdym względem. Nie będziemy nużyć czytelnika tak oczywistą arytmetyką. Średni statystyczny korpus zmechanizowany (spośród 20, które wzięły udział w działaniach bojowych pierwszych tygodni wojny) miał 100 czołgów uzbrojonych w armatę kalibru 76 mm (T-28, T-34, KW, T-35) i około 500 czołgów lekkich z armatą 45 mm. Faktyczny stan uzbrojenia artyleryjskiego stanowił przeciętnie połowę etatowego: około 20 haubic kalibru 122 mm i 18 haubic kalibru 152 mm na korpus zmechanizowany. Mimo to uzbrojony tak sowiecki korpus zmechanizowany przewyższał niemiecką dywizję pancerną liczbą czołgów trzykrotnie, a łącznym ciężarem salwy artyleryjskiej dwukrotnie. Również gdy chodzi o stan osobowy (25,5 tysiąca żołnierzy 1 czerwca 1941 roku), niekompletny korpus zmechanizowany był dwa razy większy od całkowicie skompletowanej dywizji pancernej Wehrmachtu.

Niemniej jednak, powie najbardziej wymagający czytelnik, „*jeden rodzaj wojsk nie zastąpi drugiego*”. Trudno temu zaprzeczyć. Niestety trzeba jednak podyskutować, dowodząc oczywistego faktu, że brak pełnowartościowego pułku artylerii haubic w strukturze sowieckiej dywizji pancernej nie świadczy o braku takiego pułku na polu bitwy. Do tego, by pułk ciężkich haubic wspierał ogień natarcie dywizji pancernej, konieczne musi on być pułkiem organicznym, na stałe włączonym do „*struktury organizacyjnej*”, którą pan Isajew proponuje przekształcić w przedmiot jakiegoś pogańskiego kultu. Wystarczy, żeby ten pułk istniał i był wyposażony w środki transportu pozwalające mu nadążać za czołgami.

Armia Czerwona miała samodzielne pułki artylerii ciężkiej (korpusne i odwodu Naczelnego Dowództwa — OND). Specjalnych ciągników gaśnicowych (lub w gorszym razie zwykłych traktorów) nawet przed jawną mobilizacją było już więcej niż dział. Większa część 94 pułków korpusnych i

74 pułków OND do czerwca 1941 roku już znajdowała się w zachodnich okręgach przygranicznych. W Zachodnim i Kijowskim Okręgu Wojskowym przed rozpoczęciem wojny korpuśnych pułków artylerii było więcej niż korpusów, więc po to, by podporządkować operacyjnie pułk ciężkich haubic dowódcy korpusu zmechanizowanego, wcale nie trzeba było „rozbrajać” sąsiedniego korpusu strzeleckiego.

	korpusy strzeleckie	korpusy zmechanizowane	pułki artylerii korpuśnej	pułki artylerii OND
Nadbałtycki Specjalny OW	7	2	8	3
Zachodni Specjalny OW	8	4	15	10
Kijowski Specjalny OW	11	8	22	13
Odeski Specjalny OW	3	2	4	2

Współdziałanie tych pułków artyleryjskich z formacjami pancernymi (zmechanizowanymi) to schemat całkiem normalny i zwyczajny. Pułki i samodzielne dywizjony artylerii właśnie w tym celu przekazywano pod operacyjną komendę dowódców frontów i armii, żeby zmasowanym ogniem wspierały natarcie własnych wojsk na kierunku głównego uderzenia. Jeżeli chodzi o ich skład, strukturę i uzbrojenie, to były one bardzo zróżnicowane. Pułki te mogły być uzbrojone co najmniej w haubice 152 mm. W tym wypadku pułk miał 48 dział, a pod względem łącznego ciężaru salwy (1920 kg) znacznie przewyższał niemiecką dywizję pancerną. Dwa pułki korpuśne (na przykład przyporządkowane w pierwszych dniach wojny IV Korpusowi Zmechanizowanemu pułki 441. i 445. uzbrojone w najnowsze haubicoarmaty MŁ-20 kalibru 152 mm) mogły i powinny były zetrzeć z powierzchni ziemi wszystko co żyje w pasie przerwania frontu przez korpus zmechanizowany.

Uzbrojenie artylerii pierwszego rzutu wojsk Frontu Południowo-Zachodniego bynajmniej nie ograniczało się do haubic kalibru 152 mm należących do pułków korpuśnych. I tak na przykład w Dubnie (pod murami tego właśnie starego miasta Taras Bulba zabił swego syna), które miało się stać epicentrum wielkiej bitwy pancernej na Ukrainie Zachodniej, zainstalował się 330. pułk artylerii haubic. Był uzbrojony w haubice kalibru 203 mm, a dodatkowo w przededniu wojny otrzymał 24 haubice 203 mm.

Ogółem wojska Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego (Frontu Południowo–Zachodniego) na początku czerwca 1941 roku miały 192 haubice tego kalibru. Strzelały one stukilogramowymi pociskami (co odpowiada ciężarowi najbardziej rozpowszechnionej bomby burzącej) na 18 km. 20 salw 330. pułku artylerii haubic odpowiadało zmasowanemu nalotowi pułku bombowców. Dla 330. pułku brak ciągników nie miał żadnego znaczenia praktycznego, ponieważ dywizje pancerne — a potem też dywizje piechoty — nieprzyjaciela same przyszły do Dubna. Pan Isajew bez cienia wstydu twierdzi, że *„bez względu na wielkie walory czołgów (rzeczywiście, po co nadawać znaczenie różnicy jakościowej między niemieckimi tankietkami i sowieckimi KW? — M. S.) o przebiegu walki zmechanizowanych formacji zadecydowały wyniki pojedynku artyleryjskiego”*. Gdyby tak było, to wynik walki pod Dubnem można by z góry przesądzić: sam tylko 330. pułk miał większą siłę ognia niż dwie dywizje pancerne Wehrmachtu.

W rzeczywistości niemiecka 11. Dywizja Pancerna 25 czerwca 1941 roku zajęła Dubno, nawet nie zauważając 330. pułku artylerii haubic. Pół setki jego potężnych dział nie wzięło również żadnego udziału w dalszych walkach w okolicach tego miasta, prowadzonych przez 43., 12. i 34. Dywizję Pancerną Armii Czerwonej. Dlaczego? Czy przeszkodził niewystarczający *„złoty podział”* struktur organizacyjnych? Zabrakło ciągników? Tak wielkie było zaskoczenie zdradziecką napaścią?

„Nie wykorzeniono jeszcze przypadków paniki, tchórzostwa, dezorganizacji i dezercji. Te haniebne zjawiska zdarzają się w wielu jednostkach frontu. Masa żołnierzy i dowódców, w grupach i pojedynczo, z bronią lub bez wciąż ciągnie drogami na tyły i sieje panikę. I tak dowódca 330. pułku artylerii ciężkiej oraz komisarz batalionu podczas nalotu niemieckiego lotnictwa na Dubno i rzekomego ruchu czołgów nieprzyjaciela nakazali porzucić sprzęt i wycofać się z miasta. Już będąc w drodze, dowódcy nakazali powrót i zabranie sprzętu oraz amunicji. Nie zbliżywszy się na 1,5 km do porzuconego sprzętu, dowódca pułku wziął wybuchy pocisków naszej artylerii przeciwlotniczej za spadochroniarzy (tych «spadochroniarzy» do dziś pełna jest rodzima literatura historycznowojskowa — M. S.) i rozkazał zawrócić”.

Innym smutnym faktem z czerwca 1941 roku było to, że bynajmniej nie pułki artylerii ciężkiej podporządkowywano dowódcom wojsk pancernych,

lecz przeciwnie, korpusy zmechanizowane rozszarpywano na kawałki i oddawano wchodzące w ich skład dywizje pod komendę dowódców korpusów strzeleckich. Taka „sztuka operacyjna” raczej nie była optymalnym sposobem wykorzystywania formacji zmechanizowanych, natomiast mityczny problem „niedociążenia” sowieckich formacji pancernych piechotą rozwiązywał się przez to radykalnie.

Na przykład 100 km na północ od Dubna w pasie Włodzimierz Wołyński–Równe rozwijał się XXII Korpus Zmechanizowany.

W jego skład wchodziły dwie dywizje pancerne: 19. i 41.

19. Dywizja swoją pierwszą i ostatnią bitwę (po której z dywizji pozostał tylko numer, ranny dowódca, cztery czołgi i dwa bataliony piechoty) stoczyła 24 czerwca pod osadą Wojnica (na szosie Włodzimierz Wołyński–Łuck) w składzie grupy operacyjnej XXVII Korpusu Strzeleckiego. Korpusowi przydzielono dwa pułki artyleryjskie: 21. (48 haubicoarmat MŁ–20 kalibru 152 mm i dalekonośnych armat kalibru 122 mm) oraz korpuśny 460. pułk artylerii, które teoretycznie powinny zapewnić przytłaczającą przewagę ogniową nad przeciwnikiem (14. Dywizją Pancerną Wehrmachtu). Co więcej, na tej samej szosie i w tym samym rejonie walkę z niemieckimi czołgami toczyła kompletna 1. Brygada Artylerii Przeciwpancernej (120 armat kalibru 76 mm i 85 mm). Zauważmy nawiasem, że po tej bitwie i wielu następnych 6 września 1941 roku bezpowrotne straty 14. Dywizji Pancerniej Wehrmachtu wyniosły 27 czołgów (6 PzKpfw IV, 17 PzKpfw III i 4 PzKpfw II), poza tym 18 czołgów było niesprawnych.

W 41. Dywizji Pancerniej XXII Korpusu Zmechanizowanego początkowo było nadzwyczaj dużo, bo 425 czołgów, w tym 31 KW–2 uzbrojonych w haubicę kalibru 152 mm.

Uwzględniając 4 holowane haubice kalibru 152 mm (dywizja nie osiągnęła pełnego stanu etatowego) oraz 12 haubic 122 mm, w pułku artyleryjskim — nawet nie biorąc pod uwagę setki armat czołgowych kalibru 45 mm — pod względem łącznego ciężaru salwy (1660 kg) dywizja ta górowała nad każdą dywizją niemiecką. Działała ona (dokładniej mówiąc, błąkała się po bagiennych bezdrożach Polesia) przydzielona operacyjnie do XV Korpusu Strzeleckiego, którego artyleria (znowu nie licząc półtorej setki armat dywizyjnych kalibru od 45 mm do 107 mm) liczyła 60 haubic 152 mm. A. Isajew te gigantyczne wskaźniki siły ognia opatruje takim „naukowym”

komentarzem: „*XV Korpus Strzelecki miał dość skromne możliwości bojowe, odpowiadające jednej wzmocnionej niemieckiej dywizji piechoty*”. Taka opinia jest całkowicie zgodna ze szkołą naukową towarzysza Gariejewa, opierającą się na popsutych arytmometrach, natomiast sprawny kalkulator informuje, że pod względem siły ognia (łączy ciężar salwy artyleryjskiej — 4580 kg) XV Korpus Strzelecki 3,3 razy górował nad skompletowaną zgodnie z etatem dywizją piechoty Wehrmachtu. Nie podejmuję się wyjaśnić, co to jest „wzmocniona dywizja”...

Skończyłem już ten rozdział, gdy natknąłem się na taką oto informację:

„23 listopada na Państwowym Rosyjskim Uniwersytecie Humanistycznym w ramach projektu uniwersyteckiego «Wyższa szkoła polityki» odbył się odczyt publiczny historyka wojskowości pisarza Aleksieja Isajewa na temat: «Aspekt polityczny w fałszerstwach historii».

(...) *Na przykładzie interpretacji historii Wielkiej Wojny Ojczyźnianej referent opowiedział o istniejących technologiach fałszowania historii i politycznych przyczynach tego zjawiska*”.

No, cóż, pozostaje nam tylko pozazdrościć studentom i wykładowcom PRUH: mogli usłyszeć opowieść o brudnym rzemiośle fałszowania historii, a najważniejsze — o jego podstawach politycznych — z ust jednego z największych mistrzów tej profesji.

ROZDZIAŁ 5. ZAGADKOWY MP-4

Wróciwszy od schematów struktur organizacyjnych do wydarzeń historycznych, odkrywamy, że wiosną–latem 1940 roku w najwyższych władzach wojskowych ZSRS nastąpiły duże zmiany. Ściślej, skończyła się zakrojona na wielką skalę „zmiana pokoleniowa”, rozpoczęta w 1937 roku. Najwyżsi dowódcy z okresu wojny domowej albo zostali zlikwidowani (Biełow, Blücher, Dybienko, Dubowoj, Jegorow, Primakow, Tuchaczewski, Uborewicz, Fied’ko, Jakir), albo odsunięci na honorowe, ale drugorzędne stanowiska (Apanasienko, Budionny, Woroszyłow, Gorodowikow, Kulik, Tiuleniew). 8 maja 1940 roku Kliment Woroszyłow, „*pierwszy czerwony oficer*”, został usunięty ze stanowiska ludowego komisarza obrony ZSRS. Na stanowisko, które przez 15 lat niezmiennie zajmował ten komisarz polityczny wojny domowej, został mianowany Siemion Timoszenko, dowódca z dużym doświadczeniem bojowym. W latach pierwszej wojny światowej Timoszenko był szeregowym cekaemistą, podczas wojny domowej dowodził dywizjami kawalerii (6., a potem 4.), podczas krótkiej wojny z Polską we wrześniu 1939 roku był dowódcą Frontu Ukraińskiego. 7 stycznia 1940 roku Timoszenko został mianowany dowódcą Frontu Północno–Zachodniego, który rozwinięto na Przesmyku Karelskim. Pod jego osobistym kierownictwem przeprowadzono ogromną operację przerwania „*linii Mannerheima*”; ogromną zarówno pod względem wielkości zaangażowanych w nią sił (21 dywizji strzeleckich, 8 brygad pancernych, 13 pułków artylerii, 40 tysięcy samochodów, 7,1 tysiąca dział i moździerzy, 3 tysiące czołgów), jak i strat (40 tysięcy zabitych, 150 tysięcy rannych). W sierpniu 1940 roku nowym szefem Sztabu Generalnego Armii Czerwonej został Kirył Afanasjewicz Mierieckow. Ten całkiem młody (43 lata) generał armii zdążył już być doradcą wojskowym przy szefie Sztabu Generalnego armii hiszpańskiej, zastępcą szefa Sztabu Generalnego Armii Czerwonej, dowódcą Leningradzkiego Okręgu Wojskowego. On właśnie kierował operacyjnym planowaniem wojny z Finlandią i przygotowaniem teatru działań wojennych, a z początkiem ofensywy i dowodził największą, 7. Armią. 1 lutego 1941 roku na najwyższych szczeblach dowodzenia znowu nastąpiła zmiana. Szefem Sztabu Generalnego został Georgij Żukow, który miał już na koncie operację

rozgromienia wojsk japońskich w mongolskich stepach nad rzeką Chałchyn–goł.

Jakieś dziesięć dni po mianowaniu na stanowisko szefa Sztabu Generalnego Żukow i Timoszenko podpisali dokument niezwyklej wagi i najwyższej klauzuli tajności: plan mobilizacyjny 1941 roku („*Schemat mobilizacyjny rozwijania Armii Czerwonej*”), zwięźle zwany MP–41 (kiedy dokładnie został on podpisany, nie wiadomo, zazwyczaj datuje się go nie później niż na 12 lutego 1941 roku). Oprócz autorów dokumentu musieli go zobaczyć jeszcze dwaj ludzie: Stalin i Mołotow, których wojskowi w końcu raportu prosili, aby „*zatwierdzili liczbę formacji i ogólną liczebność Armii Czerwonej rozwijanej w ramach planu mobilizacyjnego 1941 roku*”. Na pięćdziesięciu stronach nowi szefowie resortu obrony zsumowali wszystko, co ich zdaniem było potrzebne Armii Czerwonej, aby rzeczywiście mogła się stać „*najbardziej ofensywną ze wszystkich kiedykolwiek nacierających armii*”. Między innymi główny składnik — wojska pancerne — miał się zwiększyć trzykrotnie. MP–41 przewidywał sformowanie 30 (trzydziestu) korpusów zmechanizowanych, czyli 60 dywizji pancernych i 30 zmotoryzowanych. Ilość sprzętu pancernego i ciągników gąsienicowych niezbędnych do rozwinięcia Armii Czerwonej wyrażono następującymi liczbami:

- 3907 czołgów ciężkich (głównie KW i 56 pięciowieżowych T–35);
- 12 843 czołgi średnie (głównie T–34 i 411 trzywieżowych T–28);
- 10 942 czołgi lekkie BT;
- 5118 czołgów lekkich T–26 (w tym 3546 z miotaczami ognia);
- 4069 czołgów pływających T–37, T–38, T–40;

Ogółem 36 879 czołgów.

- 6373 średnie samochody pancerne (armatnie BA–10, BA–11);
- 4306 lekkie samochody pancerne (BA–20, uzbrojone w karabiny

maszynowe);

Ogółem 10 679 samochodów pancernych.

- 2693 ciągniki Woroszyłowiec;
- 25 152 ciągniki Komintern;
- 7802 ciągniki opancerzone artylerii przeciwpancernej Komsomolec;
- 55 200 ciągników STZ–5 i traktorów;

Ogółem 90 847 ciągników i traktorów.

Nie ma potrzeby szczegółowo porównywać tego zestawienia z parametrami ilościowymi uzbrojenia innych armii świata. W każdym innym kraju szef sztabu generalnego, który by zażądał 37 tysięcy czołgów i 11 tysięcy pojazdów opancerzonych, zostałby natychmiast zwolniony z pracy i wyprawiony na kurację do szpitala. Główny potencjalny przeciwnik ZSRS, Niemcy hitlerowskie (które już były w stanie wojny z Imperium Brytyjskim i stojącym za jego plecami najpotężniejszym mocarstwem przemysłowym — USA), w czerwcu 1941 roku miały zaledwie 6,58 tysiąca czołgów i samobieżnych dział wszystkich typów (łącznie z 1137 tankietkami PzKpfw I wyposażonymi w karabiny maszynowe). Ogółem — czyli na wszystkich frontach, a nie tylko na jednym, wschodnim, w rezerwie, w bazach remontowych, na uczelniach, w jednostkach formujących się na głębokich tyłach itp. Dopiero jesienią 1944 roku liczba czołgów i dział samobieżnych Wehrmachtu przekroczyła granicę 10 tysięcy. Przez cały okres rządów Hitlera Niemcy wyprodukowali 4,3 tysiąca samochodów pancernych wszystkich typów (absolutna ich większość była uzbrojona w zwykły karabin maszynowy, czyli w kategoriach Armii Czerwonej należała do „*lekkich*”), w tym około 1,5 tysiąca do końca 1940 roku. Półgąsienicowych ciągników artyleryjskich — znów w całym okresie panowania reżimu hitlerowskiego — 38,3 tysiąca. Żukow z Timoszenką chcieli mieć w jednej chwili 35,7 tysiąca wyspecjalizowanych gąsienicowych ciągników artyleryjskich i jeszcze 55 tysięcy lekkich STZ-5 i traktorów!

Wstrzymajmy na chwilę ten męczący potok liczb i zadajmy najprostsze i najbardziej znaczące pytanie: „*Po co?*”

Po co, do jakich zadań tworzono takie cyklopowe siły zbrojne? Na obszarach jakich państw i kontynentów mogło się rozwinąć 30 korpusów zmechanizowanych liczących po tysiąc czołgów, żeby zadać „*głębokie uderzenia rozcinające*”? Uważano, że do przeprowadzenia wielkiej operacji ofensywnej potrzebne są 2–4 korpusy zmechanizowane. Według przyjętego latem 1940 roku planu tworzenia korpusów zmechanizowanych (jak już odnotowaliśmy w poprzednim rozdziale) w Zachodnim Okręgu Wojskowym sformowano dwa korpusy, w Kijowskim OW — trzy. To jeszcze jest zrozumiałe, tyle trzeba do przeprowadzenia dwóch wielkich operacji frontowych. Ale po co aż trzydzieści korpusów zmechanizowanych? Czyżby Żukow z Timoszenką planowali, że jednocześnie przeprowadzą 6–7

zakrojonych na wielką skalę operacji strategicznych? Oczywiście określenie „*najbardziej ofensywna spośród wszystkich kiedykolwiek nacierających armii*” zobowiązywało, ale trzeba znać miarę...

Plan rozwinięcia mobilizacyjnego to oczywiście ważny dokument, lecz i on w gruncie rzeczy jest jedynie dopełnieniem wszechogarniającego planu operacyjnego. Spróbujmy zobrazować tę myśl zwykłym przykładem z życia. Normalni turyści, nim wyruszą na szlak, decydują, kto, dokąd i na ile dni idzie. Dopiero potem robią listę potrzebnych plecaków, roznów, namiotów, kajaków i temu podobnych.

MP-41 został odtajniony i opublikowany. Natomiast na temat planów operacyjnych najwyższych władz polityczno-wojskowych ZSRS możemy tylko snuć mniej lub bardziej prawdopodobne domysły. Nie wiemy, dokąd, kiedy i po co miała wyruszyć Armia Czerwona. MP-41 można przyrównać do „*cienia gigantycznego ptaka, który przeleciał*”. Nie ujrzeliśmy (i najpewniej nigdy już nie zobaczymy) tego ptaka, lecz z rozmiarów cienia możemy sądzić o rozpiętości jego skrzydeł.

Przechodząc od skomplikowanych metafor do prostych faktów, powinniśmy zwrócić uwagę na dwie gry operacyjno-strategiczne na mapach przeprowadzone 2-11 stycznia 1941 roku pod kierownictwem komisarza obrony Timoszenki i szefa Sztabu Generalnego Mierieckowa. Frontami umownych przeciwników dowodzili G. Żukow, D. Pawłow, F. Kuzniecowa, realnie dowodzący wówczas wojskami trzech najważniejszych okręgów (Kijowskiego, Zachodniego i Nadbałtyckiego OW).

W pierwszej grze ćwiczyło ofensywną operację „*Wschodnich*” na terytorium Prus Wschodnich i Polski, w pasie od Warszawy do Królewca, w drugiej ofensywę „*Wschodnich*” z rubieży Wisły i Dunajca (południowa Polska) na Kraków-Budapeszt-Timisoarę. Działania bojowe na własnym terytorium w celu odparcia agresji nie interesowały władz sowieckich nawet jako temat gry operacyjnej. Szczegółowa analiza owych styczniowych gier wykracza poza ramy naszego tematu. Zauważmy jednak tylko jeden, lecz bardzo znamienity fakt: przebieg gier został związany z konkretnymi dniami sierpnia (co prawda nie wiadomo którego roku), a nie z umownym pierwszym dniem operacji, drugim dniem operacji i tak dalej. Najważniejsze natomiast z tego, co nas interesuje w tych styczniowych grach wojennych, to skład ugrupowań walczących stron.

W pierwszej grze „*Wschodni*” dysponowali 9 dywizjami zmotoryzowanymi (czyli 4 korpusami zmechanizowanymi i samodzielną dywizją pancerną) oraz 15 brygadami pancernymi bezpośredniego wsparcia piechoty. Ogółem „*Wschodni*” mieli 8811 czołgów. Przeciwnik („*Zachodni*”) miał 3 dywizje pancerne i 6 brygad pancernych (związków, których w Wehrmachcie praktycznie nie było). W ich uzbrojeniu z jakiegoś powodu znalazło się nieprawdopodobnie dużo czołgów — 3512 (przeciętnie po 600 na „*umowną dywizję pancerną*”, czyli trzykrotnie więcej, niż rzeczywiście miała dywizja pancerna Wehrmachtu). Rozpoczynając 5 sierpnia ofensywę znad Niemna, „*Wschodni** *posunęli się do przodu, ale ugrzęźli na umocnieniach „Zachodnich*” i nie wykonali postawionego im zadania: do 3 września wyjść na rubież Wisły od Warszawy do Bałtyku.

Z większym powodzeniem rozwijała się ofensywa „*Wschodnich*” w drugiej grze. Od 12 do 20 sierpnia „*okrążyli*” i częściowo* „*zniszczyli*” główne siły „*Zachodnich*”, „*Południowo-Zachodnich*”, i „*Południowych*” (nie trudno się domyśleć, że chodziło o wojska armii niemieckiej, węgierskiej i rumuńskiej). „*Wschodni*” zajęli, Katowice, Koszyce i rozwijali wyłom na Budapeszt. Grę wstrzymano 16 sierpnia, o wiele wcześniej niż planowano, ponieważ miażdżący sukces „*Wschodnich*” był już oczywisty. Osiągnęli go oni w następującym ugrupowaniu: 4 korpusy zmechanizowane, 2 samodzielne dywizje pancerne, 12 brygad pancernych, 81 dywizji strzeleckich i 6 dywizji kawalerii. „*Wschodni*” mieli 8840 czołgów, czyli tyle, ile wynosił etat wymienionych formacji. W wojskach „*przeciwnika*” było 100 dywizji piechoty i 4 kawaleryjskie, 5 dywizji pancernych (co, dziwnym trafem, ściśle odpowiada rzeczywistej liczbie dywizji pancernych Wehrmachtu, które 22 czerwca 1941 roku znalazły się w Grupie Armii „*Południe*”), wraz z nieprawdopodobną liczbą czołgów — 3311.

Tak więc „*Wschodni*” mniej więcej skutecznie gromili przeciwnika na „*obcej ziemi*”, mając około 20–25 „*umownych*” dywizji pancernych i zmotoryzowanych (przyjąwszy dwie brygady za jedną dywizję). A przy tym, według warunków gry, liczbę pojazdów pancernych przeciwnika kilkakrotnie zawyżono. Jak widzimy, przebieg i wynik gier nie dają żadnej przekonującej odpowiedzi na pytanie, w jakim celu trzeba było pilnie zdecydować o utworzeniu 30 korpusów zmechanizowanych składających się z 60 dywizji pancernych i 30 zmotoryzowanych.

Jeszcze bardziej znamienne jest doświadczenie realnej wojny i operacji ofensywnych lat 1944–1945, w wyniku których Armia Czerwona doszła i do Krakowa, i do Budapesztu, i Berlina. Czołgów oraz dział samobieżnych (łącznie z pojazdami czasowo niesprawnymi!) Armia Czerwona według stanu na 1 stycznia 1943, 1944 i 1945 roku miała odpowiednio 8100, 5800, 8300. Pięć–sześciokrotnie mniej, niż zażądali autorzy MP–41. W końcowym etapie wojny wielkimi formacjami pancernymi, analogicznymi do korpusów zmechanizowanych z 1940 roku, stały się armie pancerne (a do dywizji pancernych i zmotoryzowanych lat 1940–1941 — korpusy pancerne i zmotoryzowane). W skład armii pancerniej w roku 1944 wchodziły z reguły dwa korpusy pancerne (po 258 czołgów i dział samobieżnych w każdym) i jeden korpus zmechanizowany (246 czołgów i dział), samodzielne pułki i brygady artylerii, jednostki wsparcia, jak na przykład saperzy. W porównaniu z korpusem zmechanizowanym z 1940 roku czołgów i dział samobieżnych miała ona nieco mniej (800 wobec 1031), żołnierzy — półtora raza więcej, dział — wielokrotnie więcej. Pełnego stanu czołgów nigdy nie było — nawet przed rozpoczęciem największych strategicznych operacji ofensywnych. I tak przed operacją berlińską w składzie czterech gwardyjskich armii pancernych (1., 2., 3. i 4.) znajdowało się odpowiednio 709, 672, 572 i 395 czołgów. Wracając do rejonu „działań zbrojnych” drugiej gry strategicznej ze stycznia 1941 roku, zauważmy, że lwowsko–sandomierską operację ofensywną, przeprowadzoną w lipcu–sierpniu 1944 roku, trzy armie pancerne (1., 3. i 4.) rozpoczęły odpowiednio z 419, 490 i 164 czołgami, czyli miały około połowy wielkości etatowej. Na początku operacji jasko–kiszyniowskiej z sierpnia 1944 roku 6. Armia Pancerna liczyła zaledwie 560 czołgów. Takich armii pancernych jak ta (pod względem faktycznej liczby czołgów dwukrotnie mniejszej niż korpus wzoru 1941 roku) w styczniu 1944 roku było sześć. Nie trzydzieści, jak żądali Żukow i Timoszenko w lutym 1941 roku, lecz zaledwie sześć.

Na szczęście dla historyków jeden z głównych bohaterów tej historii pozostawił pamiętniki. Nie po prostu **Wspomnienia**, ale **Wspomnienia i refleksje**. Otwieramy je i czytamy:

„W 1940 roku rozpoczyna się formowanie nowych korpusów zmechanizowanych, dywizji pancernych i zmotoryzowanych Utworzono IX KZmech. W lutym 1941 roku sztab generalny (czyli sam autor wspomnień —

M. S.) opracował jeszcze szerszy plan utworzenia formacji pancernych, niż to przewidziano w decyzjach rządu w 1940 roku. Biorąc pod uwagę ilość wojsk pancernych w armii niemieckiej, wraz z komisarzem ludowym poprosiliśmy, by do sformowania korpusów zmechanizowanych wykorzystać istniejące brygady pancerne, a nawet formacje kawaleryjskie jako najbardziej zbliżone «*duchem manewrowości do wojsk pancernych*. J. W. Stalin w tym czasie widocznie nie miał jeszcze sprecyzowanego poglądu na tę sprawę i się wahał. Czas uciekał, i dopiero w marcu 1941 roku podjęto decyzję o utworzeniu 20 korpusów zmechanizowanych, o które prosiliśmy. Nie wzięliśmy jednak pod uwagę obiektywnych możliwości naszego przemysłu pancernego”.

I to wszystko. G. K. Żukow nie podzielił się z potomkami żadnymi innymi rozmyślaniami na temat przyczyn podjęcia decyzji o utworzeniu trzydziestu korpusów zmechanizowanych. Nie udało mi się dociec sensu tej wypowiedzi Wielkiego Marszałka. „*Biorąc pod uwagę ilość wojsk pancernych w armii niemieckiej*”, nie należało zwiększać, ale może nawet nieco zredukować liczbę korpusów zmechanizowanych w Armii Czerwonej i skupić się na wyposażeniu oraz szkoleniu istniejących już formacji pancernych. Ani rozważania o „*obiektywnych możliwościach naszego przemysłu*”, ani kawaleryjski „*duch manewrowości*” nie mają nic wspólnego z pytaniem: „*Po co?*” Godne uwagi, że w 1998 roku w „*malinówce*” został opublikowany fragment jakichś wspomnień Żukowa (z powołaniem się na: Rosyjskie Główne Archiwum Wojskowe, f. 41107, op. 1, d. 48. ł. 1–58). Z przytoczonego tekstu wynika, że jeszcze na wiosnę 1941 roku nadmierne apetyty władz wojskowych wywołały, łagodnie mówiąc, zdziwienie nie tylko dyletantów:

„*Mimo że niejednokrotnie prosiliśmy o rozpatrzenie i zatwierdzenie planu przemysłu krajowego na pierwszy rok wojny, opracowany przez Sztab Generalny i w zasadzie uzgodniony z komisarzami przemysłu, plan ten nie został zatwierdzony przez władze, za co znaczną część odpowiedzialności ponosi przewodniczący Komisji Planowania N. A. Wozniesiński i przewodniczący Komitetu Obrony przy Radzie Komisarzy Ludowych ZSRS K. Woroszyłow. Byli oni przerażeni mobilizacyjnym zapotrzebowaniem Sztabu Generalnego*”.

W kanonicznym tekście wspomnień i rozmyślań Żukowa czytamy: „*Gdy przypominam sobie, jak i czego my, wojskowi, żądaliśmy od przemysłu w*

ostatnich miesiącach pokoju, widzę, że niekiedy nie do końca braliśmy pod uwagę realne możliwości gospodarcze kraju. Aczkolwiek z naszego, że tak powiem, resortowego punktu widzenia mieliśmy rację”. Nie jestem pewien, czy współczesny czytelnik rozumie, co napisał towarzysz Żukow. Wyrazy „resortowość”, „resortowe podejście do sprawy” były znanymi eufemizmami sowieckiej nowomowy. Pamiętam, że długo nie mogłem dociec ich sensu, a dokładniej — dlaczego wymawiano je z odcieniem potępienia.

Cóż w tym złego, że szewc uważa swe rzemiosło za najważniejsze na świecie, a cukiernik — swoje? W rzeczywistości określenie „podejście resortowe” zastępowało inne o wiele mniej eleganckie powiedzenie: „chronić własny tyłek”. Wysuwając nadmierne, niczym nie uzasadnione, niewykonalne żądania wobec przemysłu obronnego, szefowie „resortu” wojskowego szykowali sobie usprawiedliwienie na wypadek przyszłej klęski: „Cóż mogliśmy uczynić wobec takiego nieprzygotowania do wojny?” I w tym „resortowym sensie” mieli całkowitą słuszość.

Jeżeli jednak za punkt wyjścia wziąć rację sprawy powierzonej Ludowemu Komisariatowi Obrony, to zadanie staje się zupełnie inne, znacznie bardziej skomplikowane. Uwzględniając zasoby siły roboczej i mocy produkcyjnych, należało określić listę uzbrojenia, sprzętu, wyposażenia i amunicji, których produkcja zapewniała maksymalną — stosownie do możliwości przemysłu — zdolność bojową armii. Zadanie bardzo trudne. Zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę poziom wykształcenia ogólnego ludzi, którzy mieli się z tego zadania wywiązać. Woroszyłow zaczął się uczyć, gdy miał 12 lat, i zaliczył dwie klasy szkoły ludowej. Na stanowisku komisarza obrony ZSRS zastąpił go Timoszenko, absolwent cerkiewnej szkółki parafialnej. Komisarzem przemysłu obronnego był Michaił Kaganowicz (rodzony brat bardziej żywotnego Łazara Kaganowicza) z dwoma klasami szkoły podstawowej. Znacznie lepiej wykształcony (cztery klasy szkoły średniej) był zastępca ludowego komisarza obrony, szef Głównego Zarządu Artylerii G. Kulik. Do trzech klas szkółki parafialnej ograniczało się wykształcenie ogólne szefa Sztabu Generalnego, Żukowa. Na tym tle po prostu nieprzyzwoicie wyedukowany wydaje się poprzednik Żukowa na tym stanowisku, Kirył Mierieckow: na koncie edukacyjnym miał on cztery klasy szkoły ludowej i wieczorową szkołę dla dorosłych w Moskwie. Toteż nie należy się dziwić, że na przykład gigantyczna liczba czołgów ujęta w MP-41

idzie w parze z brakiem dział samobieżnych; że znalazło się w nim 11 tysięcy samochodów pancernych, a nie ma jednego transportera opancerzonego dla piechoty; że na stworzenie pancерnej ordy liczącej więcej czołgistów, niż miał jeźdźców Dżyngis–chan, zasoby — przynajmniej teoretycznie — by się znalazły, tyle że połowę planowanej liczby samochodów użytkowała gospodarka, a w armii miałyby się one pojawić (jeśli wszystko przebiegałoby według planu) dopiero po ogłoszeniu jawnej mobilizacji... Rozwiązanie zadania optymalnego podziału zasobów surowcowych i produkcyjnych wymagało, oczywiście, innych intelektualnych zasobów na daczach Stalina. Są jednak w MP-41 również takie problemy, które trudno wytłumaczyć nawet dwuklasowym wykształceniem autorów owego planu mobilizacyjnego.

Praktycy wojskowi (Timoszenko, Mierieckow, Żukow) musieli wiedzieć, że do prowadzenia działań bojowych potrzebna jest amunicja. W ostatecznym rachunku to pocisk jest „*ładunkiem użytecznym*”, na który, żeby osiągnął cel, pracuje ogromny kompleks czołgów i innych pojazdów opancerzonych, armat, ciągników, ciężarówek... Co w planie mobilizacyjnym powiedziano na temat amunicji? Nic. Nie ma o niej w MP-41 żadnego rozdziału, ustępu, nie ma nawet jednego wersu. Są manierki, onuce, watowane portki, kalesony, łopaty do traktorów. Podano nawet liczbę samodzielnych kompanii jucznych osłów i wielbłądów. Wspomniano o „*centralnej szkole łączności dla psów i gołębi*”. Wyszczególniono drobne elementy odzieży. A o amunicji nie ma ani słowa.

Ma się rozumieć, że w Związku Sowieckim planowano nie tylko produkcję kalesonów, ale i amunicji. Nie mogło być inaczej w kraju, który w drodze rewolucji skończył z „*anarchią rynku kapitalistycznego*”.

Były plany produkcji amunicji, były uchwały Politbiura, które te plany zatwierdzały i wprowadzały w życie, był nawet osobny komisariat amunicji. „*Niedociągnięciem kancelaryjnym*” można by nazwać to, że o posiadaniu rezerw, planowanym zużyciu oraz produkcji amunicji nie ma mowy w fundamentalnym dokumencie, jakim dla „*resortu*” wojskowego jest plan mobilizacyjny. Jednakże analiza innych dokumentów wywołuje jeszcze więcej wątpliwości.

14 lutego 1941 roku, czyli zaledwie kilka dni po podpisaniu planu mobilizacyjnego MP-41, Rada Komisarzy Ludowych ZSRS i KC WKP(b)

przyjęła uchwałę nr 305145 **O planie zamówień wojskowych amunicji na 1941 r.**

Bardzo długa lista, a wszystko liczone w milionach:

„4 mln nabojów odłamkowo–smugowych do armaty przeciwlotniczej 37 mm;

— 10,47 mln nabojów do armaty 45 mm, w tym 2,3 mln przeciwpancernych;

— 4,2 mln nabojów do armat 76 mm (pułkowych, górskich, dywizyjnych);

— 2,5 mln nabojów do armaty przeciwlotniczej 76 mm;

— 2,5 mln nabojów do armaty przeciwlotniczej 85 mm;

— 2,6 mln nabojów do haubicy 122 mm model 1938 r.;

— 1,0 mln nabojów do haubicy 122 mm model 1910/1930 r. (...)

Ogółem 17,3 mln nabojów artyleryjskich średniego i dużego kalibru (76 mm i większych), a z uwzględnieniem granatów moździerzowych — 22,8 mln. Liczby astronomiczne. Na pierwszy rzut oka. Na drugi — porównując z wielkością produkcji w latach poprzednich — wydają się one jeszcze większe. I tak w ciągu czterech lat (od roku 1936 do 1939) wyprodukowano „zaledwie” 13,52 mln nabojów artyleryjskich średniego i dużego kalibru. Wrażenie kosmicznej skali znika, gdy tylko podzielimy gigantyczne liczby produkcji amunicji przez wcale nie mniejsze liczby dział:

	liczba dział	plan produkcji w 1941 r. nabojów, mln	na działo	miesięcznie na działo
moździerze 50 mm	36 324	16,0	440	37
moździerze 82 mm	14 524	4,0	275	23
moździerze 120 mm	3 872	0,915	236	20
armaty polowe 76 mm	15 298	4,2	275	23
armaty plot 76 mm	4 571	2,5	547	46
haubice 122 mm	8 124	3,6	443	37
haubice 152 mm	3 817	0,565	148	12

Od 12 do 46 nabojów na lufę miesięcznie. Oto, co się kryje za wielomilionowymi liczbami planu produkcji amunicji na rok 1941. Jakkolwiek szokujące by one były, są nie tylko dokładne ale też w pełni logiczne. Produkcja amunicji jest najbardziej (nie jedną z najbardziej, ale po prostu najbardziej) kapitałochłonną dziedziną przygotowań do wojny. Przynajmniej tak było w armiach pierwszej połowy XX wieku, gdy nieprecyzyjność dział kompensowano gigantycznym zużyciem amunicji

(proszę sobie przypomnieć przytoczone w poprzednim rozdziale liczby: „do zdławienia jednego gniazda karabinu maszynowego w sytuacji polowej potrzeba 120 pocisków kalibru 76 mm”). Ogółem w latach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej całościowy ciężar wyprodukowanej amunicji artyleryjskiej dziesięciokrotnie przewyższył ciężar wyprodukowanych dział. Trzeba jeszcze przy tym wziąć pod uwagę, że jeśli masywne podstawy i lawetę działa wyrabia się ze zwykłej stali, to na produkcję pocisków artyleryjskich zużywa się wielce deficytowe materiały: mosiądz, miedź, brąz oraz kosztowne rodzaje prochu. Oto dlaczego do dużej wojny trzeba się sposobić zawczasu, nie polegając, broń Boże, na tym, że zwiększone zużycie amunicji zrekompensuje bieżąca produkcja.

Gromadzenie amunicji do przyszłej wojny sprawiało Niemcom szczególne trudności: według warunków traktatu wersalskiego zwycięskie kraje ustaliły dla nich ostre ograniczenia: po 1000 nabojów na każde z 204 dział kalibru 75 mm oraz po 800 na każdą z 84 haubic kalibru 105 mm. I to wszystko. Niemcom zabroniono posiadania dział większego kalibru. W sumie — 0,27 mln nabojów średniego kalibru i zero dużego kalibru. Dopiero na wiosnę 1935 roku Hitler ogłosił, że Niemcy wypowiadają warunki traktatu wersalskiego. Do rozpoczęcia wojny światowej pozostało nieco więcej niż cztery lata. Historia dała Hitlerowi za mało czasu, a natura jeszcze mniej surowców. Z wydobyciem w Niemczech miedzi, ołowiu, cyny było i jest, jak wiadomo, kiepsko. Teraz pozostaje tylko porównać, jak dwa totalitarne reżimy wykorzystały dany im czas oraz zasoby:

amunicja do:	Niemcy ogółem, mln	Niemcy na lufę	ZSRS ogółem, mln	ZSRS na lufę
moździerzy 81 mm (82 mm)	12,7	1100	11,3	781
armat polowych 75 mm (76 mm)	8,0	1900	16,4	1100
haubic 105 mm (122 mm)	25,8	3650	6,7	800
haubic 150 mm (152 mm)	7,1	1900	4,6	700
ogółem nabojów artyleryjskich	40,9	2729	29,8	999
ogółem nabojów artyleryjskich (w tym granatów moździerzowych)	53,6	2004	41,1	1000

Uwaga: bez uwzględnienia amunicji dla artylerii korpusnej (haubicoarmaty MŁ-20 kalibru 152 mm i armaty A-19 kalibru 122 mm).

Przytoczone w tabeli liczby — 40,9 mln nabojów do dział pułkowych i dywizyjnych zgromadzonych na 1 czerwca 1941 roku w Niemczech i 29,8 mln w ZSRS — nie obrazują jeszcze całości. Pocisk pociskowi nierówny. Najpowszechniejszy w Niemczech był nabój do haubicy polowej 105 mm, którego ciężar wynosił 14,81 kg. Najpowszechniejszy w ZSRS był nabój do armaty 76 mm, znacznie lżejszy — 6,23 kg. Jeżeli od liczby nabojów artyleryjskich przejdziemy do zsumowanej masy pocisków, to okaże się, że Niemcy zgromadziły 716 kiloton „masy użytecznej” artylerii średnich kalibrów (od 75 mm do 150 mm), a Związek Sowiecki — 432 kilotony. 1,66 razy mniej. I to w sytuacji, gdy — pod względem liczby dział wszystkich kalibrów — Armia Czerwona miała znaczną przewagę nad Wehrmachtem (patrz rozdział drugi). Sytuacji, jak widzimy, dość paradoksalnej. W rodzimej historiografii przyjął się i zakorzenił następujący obraz: Niemcy miały ogromny potencjał przemysłowy i naukowo-techniczny, ale ograniczone zasoby surowcowe, podczas gdy „młoda republika Sowieków”, dopiero co wkroczywszy na drogę industrializacji, nie mogła na równi współzawodniczyć z nimi w dziedzinie „zaawansowanych technologii”. W rzeczywistości wszystko było na odwrót: Związek Sowiecki wyprodukował znacznie więcej bardziej nowoczesnych czołgów, wyprzedził Niemcy pod względem liczby dział i moździerzy, lecz przy tym znacznie odstawał w rutynowej masowej produkcji amunicji, mimo nieporównanie większych zasobów metali kolorowych i surowców do produkcji chemicznej.

Generał pułkownik (później — marszałek artylerii) Nikołaj Dmitriewicz Jakowlew, który kilka dni przed rozpoczęciem wojny został szefem Głównego Zarządu Artylerii Armii Czerwonej, w swoich pamiętnikach rzucił od niechcienia takie zdanie: „*Powiem szczerze: tak ostre postawienie kwestii zapewnienia wojsku broni i amunicji dla wielu z nas stanowiło po prostu niespodziankę. Owszem, zasoby okazały się nieznaczne. Ale dlaczego? Mało komu chciało się zagłębiać w tę delikatną i zapowiadającą duże przykrości sprawę*”.

Ja niestety też nie mam żadnego racjonalnego wytłumaczenia, dlaczego doszło do tak dziwnej sytuacji, w każdym razie w tej sprawie towarzysz Stalin jest poza wszelkim podejrzeniem. On bez wątpienia rozumiał i tłumaczył swoim wozdom rolę i znaczenie amunicji artyleryjskiej na wojnie:

„Artyleria decyduje o losach wojny, masowa artyleria. Toteż gadanina, że trzeba strzelać do celu, a nie po obszarze, skąpić pocisków — jest niestworzoną bzdurą, która może uśmiercić sprawę. Jeżeli trzeba wystrzelić dziennie 400–500 tys. pocisków, żeby rozbić tyły nieprzyjaciela albo jego linię frontu, żeby był niespokojny, żeby nie mógł spać, nie należy żałować pocisków i kul. Jak się wystrzeliwiuje więcej pocisków, więcej kul, to mniej ludzi się straci. Jak będziecie skąpić pocisków i kul, to będzie więcej strat. Trzeba wybierać. Dawać więcej pocisków i kul, szczenić własną armię, zachowywać siły, sprawiać, żeby było jak najmniej zabitych, albo oszczędnąć bomby, pociski (...). Trzeba wystrzelać więcej pocisków i kul do przeciwnika, oszczędnąć własnych ludzi. Jeżeli będziecie oszczędnąć bomby i pociski, a nie ludzi, to ludzi będzie mniej. Jeżeli chcecie, żeby wojna była mniej krwawa, nie żałujcie granatów”.

I tak w czasie całego przemówienia na naradzie wyższego dowództwa w kwietniu 1940 roku: *„Nie oszczędnajcie pocisków, oszczędnajcie ludzi...”* Nie pomogło. Wodzowie (włącznie z Marszałkiem Zwycięstwa) planowali utworzenie 30 korpusów zmechanizowanych po tysiąc czołgów, ale na jedno działło zgromadzili przy tym 2–3 razy mniej naboju niż nędzny Wehrmacht. Prócz wszystkiego innego, ograniczone zasoby amunicji nieuchronnie ograniczały szkolenie artylerzystów. Według planów Ludowego Komisariatu Obrony w 1941 roku na strzelania praktyczne w wojsku wydzielono 1,51 mln naboju artyleryjskich i 0,66 mln granatów moździerzowych. W przeliczeniu na liczbę dział (uwzględniając przeciwlotnicze i przeciwpancerne armaty 76 mm) wypadają: 22 pociski na działło i 12 granatów na moździerz. Rocznie. Rzecz jasna, liczba obslug dział, które powinny uczyć się strzelać, praktycznie jest znacznie mniejsza od łącznej liczby dział i moździerzy, ale i to niezbyt poprawia obraz ogromnej, po zęby uzbrojonej armii, która nie umie strzelać...

Aby uniknąć niezrozumienia, należy uściślić: nie o to chodzi, że Armia Czerwona była całkowicie bezbronna.

Co więcej, po maksymalnym zintensyfikowaniu produkcji na potrzeby wojska (w dodatku uwzględniając dostawy prochu od sojuszników zachodnich) nigdy nie była ona tak dobrze zaopatrzona w amunicję jak w czerwcu 1941 roku. Poniższa tabela obrazuje stan zasobów amunicji wyrażony w jednostkach) ognia na działło.

	22 czerwca 1941 r.	
moździerze 50 mm	3,3	1,4
moździerze 82 mm	8,7	1,7
armaty przeciwpancerne 45 mm	4,2	2,8
armaty pułkowe 76 mm	7,0	2,0
armaty dywizyjne 76 mm	6,5	2,0
haubice 122 mm	10,0	4,1
haubicoarmaty 152 mm	12,2	3,6
armaty przeciwlotnicze 76 mm	7,3	3,5

Posiłkując się kilkoma konkretnymi przykładami, zobrazujemy również wielkość zapasów amunicji zgromadzonej przed rozpoczęciem wojny.

Według normatywów ustalonych na podstawie doświadczeń wojennych (normatywy te były nad wyraz „rozrzutne”: Niemcy walczyli, mając znacznie mniejsze nasycenie artylerią) do zniszczenia wszystkich stanowisk ogniowych dywizji piechoty Wehrmachtu, która zajęła pozycje obronne i wzniosła fortyfikacje polowe, potrzeba było 50 tysięcy nabojów do haubic 122 mm. Nagromadzonego na 1 czerwca 1941 roku zapasu tych nabojów (6,7 mln) umownie starczyło na 134 dywizje. W sam raz na całą armię ofensywną. Oczywiście jest to rachunek „z grubsza”, ale pozwala on ocenić rząd wielkości. Przez całą, trwającą 201 dni, bitwę stalingradzką wystrzelono 15,2 mln granatów moździerzowych i pocisków artyleryjskich wszelkich kalibrów, w ciągu 50 dni bitwy na Łuku Kurskim — 14 mln. Przed rozpoczęciem wojny zgromadzono trzykrotnie więcej amunicji (41,1 mln), i to nie licząc wielkokalibrowej artylerii korpusnej. Za jeszcze jedną znaną liczbę można uważać zużycie amunicji Wehrmachtu podczas kampanii na froncie zachodnim w maju i czerwcu 1940 roku. Francję i jej sojuszników Niemcy rozgromili, zużywając „zaledwie” 88 kiloton amunicji. Bardzo skromne zużycie. Co prawda armia francuska słabo się broniła... Armia Czerwona stawiała większy opór, toteż Wehrmacht zużył na froncie wschodnim 583 tysiące ton amunicji wszelkiego typu. Armia Czerwona, jak wykazano później, przystąpiła do wojny z 432 kilotonami amunicji do artylerii pułkowej i dywizyjnej. Nie należy zapominać, że oprócz artylerii lufowej były też granaty ręczne, karabiny maszynowe i bomby lotnicze...

Zdumienie budzi jedynie ustalony w ZSRS w przededniu wojny podział zasobów między produkcję uzbrojenia a amunicję do niego. Może lepiej byłoby produkować mniej dział, ale z większym zapasem amunicji na wojnę i zużywając więcej amunicji do szkolenia bojowego w czasie pokoju. W

każdym razie Armii Czerwonej nie groził „*głód amunicyjny*” z tą ilością amunicji, którą nagromadziła do czerwca 1941 roku.

Jeżeli tylko ta amunicja istniała w naturze.

Tu zbliżamy się — po raz pierwszy i jedyny w tej książce — do pewnego dziwnego tematu, który po raz pierwszy, o ile wiem, poruszył Jewgienij Temieznikow, a następnie rozwinął doktor filologii B. Sokołow. Czy w rzeczywistości istniały te góry broni, o których mowa we wszystkich raportach, sprawozdaniach, rocznikach statystycznych, monografiach naukowych? Stanowczość takiego prowokującego pytania ewidentnie wynika z poniższej tabeli:

amunicja do:	zużycie bojowe w 1941 r., mln	zapasy 1.01.1942 r., mln	współczynnik zapasy /zużycie
moździerzy 50 mm	4,06	14,74	3,63
moździerzy 82 mm	3,80	6,95	1,83
armat przeciwpancernych 45 mm	4,74	20,80	4,39
armat pułkowych 76 mm	2,21	1,71	0,77
armat dywizyjnych 76 mm	2,47	5,99	2,43
haubic 122 mm	1,78	5,08	2,85
haubic 152 mm	0,63	2,33	3,70
armat przeciwlotniczych 76 mm	0,59	5,30	8,98

A zatem oficjalne dane statystyczne (korzystałem z informatora Głównego Zarządu Artylerii) świadczą o tym, że w drugiej połowie 1941 roku artyleria Armii Czerwonej po prostu nie nadążała zużywać nadmiernych zapasów amunicji. Zużycie bojowe w ciągu pierwszych miesięcy wojny okazało się mniejsze od pozostałości na koniec roku (z wyjątkiem amunicji do armaty pułkowej kalibru 76 mm). Przy czym było mniejsze nie odrobinę, nie na kilka procent, ale po wielokroć. W tym wypadku nie jest ważne, co było przyczyną takiego nadmiaru amunicji — brak godnego przeciwnika, ogromna produkcja, mizerna liczba samych armat i haubic czy jeszcze coś innego. Najważniejsze jest to, że faktyczna (lepiej byłoby powiedzieć: statystyczna) pozostałość była kilkakrotnie większa od zużycia bojowego, czyli działa Armii Czerwonej mogły strzelać nieprzerwanie... Niestety sam szef Sztabu Generalnego, który w październiku 1941 roku został dowódcą Frontu Zachodniego, w swoich wspomnieniach doszczętnie burzy ten błogi obraz:

„Szczególnie kiepska była sytuacja z amunicją. I tak z zaplanowanej na pierwszą dekadę stycznia 1942 r. ilości amunicji dla naszego Frontu Zachodniego dostarczono: granatów moździerzowych kalibru 82 mm — 1 procent, naboju artyleryjskich — 20–30 procent... Z powodu braku amunicji do artylerii raketowej trzeba ją było odesłać na tyły. Zapewne trudno uwierzyć, że musieliśmy ustalać normę zużycia amunicji 1–2 wystrzały na dobę na jedno działo. I to, proszę zauważyć — podczas ofensywy!”

Poprzednik Żukowa na stanowisku szefa Sztabu Generalnego Kirył Afanasjewicz Mierieckow zimą 1941/1942 roku dowodził Frontem Wołchowskim. Jak tam wyglądała sprawa — ujętych statystycznie — zapasów amunicji wielokrotnie przewyższających zużycie bojowe? *„Mój notes świadczy o tym, że zapasy amunicji w armii pozwalały nam zużywać dziennie przeciętnie 7 pocisków na moździerz 120 mm i haubicę 122 mm oraz 14 na moździerz 82 mm”.*

Marszałek Jakowlew, w latach wojny szef Głównego Zarządu Artylerii, w swoich pamiętnikach opisuje między innymi taki epizod z końca listopada 1941 roku:

„Żukow już wówczas dowodził Frontem Zachodnim. Wiadomo, jaką biedę z amunicją klepał ten front w ciężkich pierwszych miesiącach wojny (sądząc z oficjalnej statystyki zużycia i zapasów amunicji, ani cała Armia Czerwona, ani najważniejszy z frontów, broniący Moskwy — nie powinny były „klepać biedy” — M. S.). Z wielkim żalem stwierdzam, że była to gorzka prawda. I oto pod wrażeniem kolejnych trudności Żukow przysłał mi imiennie surowy telegram, w którym oskarżał mnie o kiepskie zaopatrzenie w granaty moździerzowe kalibru 82 mm i 120 mm. Zniecierpliwienie dowódcy frontu było zrozumiałe. Żukow nie wiedział jednak, że zgodnie z ustalonym trybem telegraficzne zamówienia na uzbrojenie i amunicję jednocześnie z adresatem otrzymywali — wedle rozdzielnika — zarówno Głównodowodzący, jak i członkowie Państwowego Komitetu Obrony. I oto dzwoni Poskriebyszew. Jadę na Kreml gotowy na wszystko. Stalin przywitał mnie ozięble i spytał, czy znam telegram Żukowa. Potwierdziłem.

(...) I tu stało się coś nieprzewidzianego. Głównodowodzący wziął nagle z biurka telegram i go podarł. Odczekawszy chwilę, powiedział, że dowódca frontu Żukow po prostu nie rozumie sytuacji z amunicją”.

Rzeczywiście niełatwo było zrozumieć tę „*sytuację*”. Rzecz jasna na dostawy amunicji do walczących wojsk wpływały również trudności transportowe późnej jesieni 1941 roku oraz notoryczne rosyjskie bałaganiarstwo i niedołęstwo. Dumie i drogi mogły pozbawić front amunicji, chociaż w magazynach na tyłach frontu składowano miliony naboju. Niemniej jednak pytania pozostają. Nie próbując zorientować się w tym, czego nie rozumiał generał armii, do niedawna szef Sztabu Generalnego, przejdźmy do innej kwestii, której istotę dokładnie udokumentowano i potwierdzono licznymi świadectwami, toteż nie budzi ona wątpliwości.

Na początku wojny prawie wcale nie było amunicji przeciwpancernej do armat kalibru 76 mm. To „*prawie*” konkretnie wyraża się liczbą 132 tysięcy takich naboju, które Armia Czerwona miała 1 maja 1941 roku. To rzeczywiście prawie nic. W przeliczeniu na jedno działo dywizyjne lub czołgowe kalibru 76 mm to 12,5 naboju. Nawet gdyby rozdzielić te okruchy nad wyraz oszczędnie, pozostawiając wśród odbiorców amunicji przeciwpancernej kalibru 76 mm tylko czołgi T-34 i KW (mniej więcej 1,5 tysiąca tych pojazdów), 10 formujących się przeciwpancernych brygad artyleryjskich (1,2 tysiąca dział) oraz armaty dywizyjne około stu dywizji strzeleckich zachodnich okręgów wojskowych (1,6 tysiąca dział), to otrzymamy śmieszna — a w istocie straszną w obliczu wielkiej wojny — liczbę 31 naboju przeciwpancernych na działo. I to średnio. Średnia temperatura chorych w szpitalu jest, jak wiadomo, wskaźnikiem zwodniczym. Gdyby teoretycznie naboje przeciwpancerne kalibru 76 mm — przynajmniej w liczbie dziesięciu na lufę — istniały, to jeszcze nie znaczyłoby, że są one we wszystkich jednostkach bojowych. I tak 7. Dywizja Pancerna (VI Korpus Zmechanizowany) miała 200 najnowszych czołgów T-34 i KW, ale jej dowódca raportował, że nie ma ani jednego naboju do ich armat przeciwpancernych kalibru 76 mm. 10. Dywizja Pancerna (XV Korpus Zmechanizowany) na 100 czołgów (63 KW i 37 T-34) miała do nich na początku działań bojowych zaledwie 192 naboje przeciwpancerne. Mniej niż dwa na czołg. Zrozumiałe, że w tej katastrofalnej sytuacji nie można było nawet marzyć o uszczuplaniu ich zapasu, by szkolić celowniczych czołgowych dział przeciwpancernych kalibru 76 mm. Zauważmy od razu, że dyletancki pomysł wykorzystania w celach szkoleniowych pocisków odłamkowo-burzących 76 mm (których zapas w Armii Czerwonej wynosił

kilkadziesiąt milionów) był nie do przyjęcia. Ładunek miotający w takiej amunicji jest znacznie słabszy niż w przeciwpancernej, toteż prędkość początkowa pocisku jest mniejsza i wszystkie inne jego charakterystyki balistyczne znacznie się różnią od charakterystyk pocisku przeciwpancernego. Uczyć w ten sposób znaczy wszystko zepsuć...

Brak pocisków przeciwpancernych kalibru 76 mm zwyczajnie spowodował do zera dwie największe zalety taktyczno–techniczne Armii Czerwonej: to, że miała armaty tego kalibru na czołgach T–34 i KW i że dywizja strzelecka była wyposażona w 16 „*dywizjonek*” F–22 lub USW, które mogły pełnić funkcję potężnego dział przeciwpancernego. Bez amunicji przeciwpancernej najnowsze sowieckie czołgi „*spadały*” do poziomu niemieckiego PzKpfw IV z krótkolufym „*niedopałkiem*” kalibru 75 mm. Bez amunicji przeciwpancernej do armaty 76 mm wybór tej właśnie broni jako podstawowego dział dywizyjnego (zamiast lekkiej haubicy 105 mm, jak w Wehrmachcie) stawał się dużą wadą: do walki z piechotą przeciwnika pocisk odłamkowy kalibru 76 mm był znacznie słabszy niż pocisk niemieckiej haubicy, a wykorzystanie armaty dywizyjnej jako przeciwpancernej stawało się niemożliwe z braku amunicji.

Czego brakowało do zorganizowania masowej produkcji naboju przeciwpancernych kalibru 76 mm? Czasu? Zasobów?

Mocy produkcyjnych?

Czołgi T–34 i KW zostały wprowadzone do uzbrojenia Armii Czerwonej 19 grudnia 1939 roku. Co najmniej od tego dnia należało się zatroszczyć o produkcję amunicji pozwalającej wykorzystać unikatowy potencjał bojowy tych czołgów. Dywizyjna armata F–22 kalibru 76 mm została wprowadzona do uzbrojenia jeszcze wcześniej, w 1936 roku. Tak więc czasu było dość.

Moce produkcyjne sowieckiego przemysłu obronnego umożliwiały zgromadzenie do czerwca 1941 roku 16,4 mln naboju odłamkowo–burzących do armat pułkowych 76 mm, dywizyjnych i górskich, a ponadto 4,9 mln naboju do armat przeciwlotniczych tego kalibru. Łącznie — 21,3 mln naboju 76 mm. Należy przy tym wziąć pod uwagę, że jeśli produkcja naboju odłamkowego i przeciwpancernego, gdy chodzi o koszt i kapitałochłonność, jest mniej więcej porównywalna, to nabój przeciwlotniczy jest znacznie bardziej skomplikowany i droższy (potężny ładunek miotający, korpus

pocisku ze stali o dużej wytrzymałości, precyzyjna mechanika w zapalniku). Zresztą najbardziej przekonującą odpowiedzią na pytanie o ówczesne możliwości sowieckiej gospodarki jest to, że na początku wojny Armia Czerwona miała 12,13 mln naboju przeciwpancernych do armat czołgowych 45 mm i przeciwpancernych. Lecz i to uznano za niewystarczające i w planie produkcji na rok 1941 uwzględniono 2,3 mln naboju przeciwpancernych kalibru 45 mm. A o produkcji przeciwpancernych kalibru 76 mm nie ma ani słowa.

Dopiero 14 maja 1941 roku władze uświadomiły sobie palący brak amunicji przeciwpancernej 76 mm. Tego samego dnia rząd i KC WKP(b) podjęły odpowiednią uchwałę. Miesiąc później, 18 czerwca 1941 roku, szef Głównego Zarządu Artylerii, zastępca ludowego komisarza obrony marszałek Kulik, meldował Stalinowi, że wykonanie tej uchwały jest zgoła niepokojące:

„Miniony miesiąc pracy komisariatów ludowych i zakładów całkiem jaskrawo wykazał, że ani Komisariat Amunicji, ani dyrektorzy zakładów, ani obwodowe komitety partii nie zapewniają wykonania tej uchwały, mimo że jest to zamówienie szczególnie ważne i kwestia jego wykonania została postawiona całkiem wyraźnie (...). Grozi pełne fiasko tego zadania. Zakład nr 73 Ludowego Komisariatu Amunicji otrzymał na maj zamówienie na 21 000 naboju przeciwpancernych 76 mm. a na czerwiec — 47 000 (są to liczby dość skromne, zważywszy że w całym kraju produkowano miesięcznie około pół milion naboju 76 mm — M. S.). Zakład nie dostarczył ani jednego naboju w maju, zagrożone jest także zadanie na czerwiec. A tymczasem zakładowi temu zapewniono dostawy metalu i oprzyrządowania, od 1939 r. posiada on też doświadczenie w produkcji 76 mm pocisków przeciwpancernych i w porównaniu z innymi zakładami pod względem produkcyjnym ma najbardziej sprzyjające warunki (...). Zła organizacja w tym zakładzie, który powinien przodować w produkcji pocisków przeciwpancernych, zmusza do opinii, że główną przyczyną fiaska zadania jest sabotaż dyrektora i kierownika zakładu”.

Co to było: głupota czy zdrada? Można sądzić, że zadano wtedy takie pytanie. Następnego dnia po napisaniu tego listu Kulik został zdjęty ze stanowiska szefa Głównego Zarządu Artylerii. Wcześniej, 30 maja, zostali aresztowani: ludowy komisarz do spraw amunicji I. P. Siergiejew i jego

zastępca A. K. Chodiakow. 7 czerwca został aresztowany ludowy komisarz uzbrojenia B. L. Wannikow (późniejszy szef sowieckiego programu atomowego). W tych samych dniach aresztowano G. K. Sawczenkę — zastępcę Kulika. Wreszcie 24 czerwca został aresztowany były szef Sztabu Generalnego generał armii K. A. Mierieckow (wówczas zastępca ludowego komisarza obrony ZSRS). Różne były losy aresztowanych w „*sprawie amunicji*” (która nierozdzielnie splatała się z zakrojonym na jeszcze większą skalę „*spiskiem ludzi z lotnictwa*”). Wannikowa zwolniono z więzienia 2 lipca i wprost z celi wrócił do gabinetu zastępcy ludowego komisarza uzbrojenia (później został mianowany ludowym komisarzem amunicji). Mierieckowa wypuszczono na wolność w początkach września i od razu mianowano przedstawicielem Stawki na Froncie Północno-Zachodnim i Karelskim. Sawczenko został rozstrzelany 28 października 1941 roku z gronem wyższych dowódców sowieckiego lotnictwa (Ryczagowem, Smuszkiewiczem, Proskurowem). 23 lutego 1942 roku wraz z największą grupą aresztowanych w czerwcu 1941 roku generałów i szefów przemysłu obronnego rozstrzelano Siergiejewa oraz jego zastępcę.

Co tu było przyczyną, a co skutkiem? Represje stały się surową karą za przestępcze niedbalstwo czy też powszechny strach i niepewność paraliżowały rozumne działania szefów resortu wojskowego? Nie wierzę w „*spisek wrogich sił*”. Po prostu i zwięźle — nie wierzę. Przy takiej dostępności (mówiąc dokładniej, całkowitej tajności) dokumentów NKWD/NKGB, utrzymywanej po dziś dzień, uczciwy badacz nie może zaproponować publiczności niczego innego oprócz formuły „*wierzę — nie wierzę*”. Zresztą i wówczas, gdy nasi prawnicy dożyją odtajnienia archiwów Łubianki, nie uda się powiedzieć nic więcej jak „*wierzę — nie wierzę*”, biorąc pod uwagę owe „*masowe naruszenia socjalistycznej praworządności*” podczas śledztwa i protokołowania przesłuchań. Na razie jednak można odnotować, że w ZSRS produkcją uzbrojenia artyleryjskiego i amunicji do niego kierowały:

- Ludowy Komisariat Obrony i Sztab Generalny;
- Główny Zarząd Artylerii Armii Czerwonej;
- niezależna od Głównego Zarządu Artylerii inspekcja szefa artylerii Armii Czerwonej;

- Ludowy Komisariat Uzbrojenia (którego zakłady produkowały również wszystkie rodzaje naboju do broni strzeleckiej);
- Ludowy Komisariat Amunicji;
- ludowy komisariat „moździerzowy” (nazwa tego resortu stale się zmieniała).

Do tej listy można jeszcze dodać dwóch–trzech konstruktorów broni artyleryjskiej, którzy mieli dostęp do „Gospodarza” i niekiedy stawiali wymienionych wyżej generałów i marszałków przed faktem decyzji podjętych w gabinecie Stalina. Przy tytu „kucharkach” nie trzeba było żadnego spisku, żeby armia „nie miała co jeść”...

Brak przeciwpancernych pocisków artyleryjskich kalibru 75 mm był rażąca, lecz wcale nie jedyną niedorzecznością przedwojennego planowania mobilizacyjnego. Nadmierne zamówienia wojska na czołgi, ciągniki, samochody pancerne również wzbudzały wiele wątpliwości. Tym, którzy nie mieli szczęścia!; owe „wątpliwości” wyłożono, i to w bardzo przykryj formie. 22 lipca 1941 roku na posiedzeniu Kolegium Wojskowego Sądu Najwyższego ZSRS oskarżonemu Dmitrijowi Grigoriewiczowi Pawłowowi (ważna okoliczność: wątpliwości nie zostały sformułowane w lochu na torturach, ale w sądzie, gdzie Pawłow wycofał się z niektórych zeznań wymuszonych biciem przez „sędziów śledczych”), byłemu szefowi Głównego Zarządu Broni Pancernej Armii Czerwonej, byłemu bohaterowi obrony Madrytu, zadano następujące pytanie:

„Podczas wstępnego śledztwa (s. 88, t. 1) złożyliście takie zeznania: «Aby oszukać partię i rząd, wiem o tym dokładnie, Sztab Generalny ustalił plan dostaw na czas wojny czołgów, samochodów i ciągników na poziomie dziesięciokrotnie wyższym od potrzeb (podkreślenie moje — M. S.). Sztab Generalny uzasadnił to przewyższeniem posiadaniem mocy produkcyjnych, podczas gdy faktyczne moce produkcyjne przemysłu były znacznie niższe. Planem tym Mierieckow zamierzał w czasie wojny zmylić wszelkie obliczenia co do dostaw dla armii czołgów, ciągników i samochodów».

- *Czy potwierdzacie te zeznania?*

Oskarżony Pawłow:

- *W zasadzie tak. Plan taki istniał. Taka bzdura została w nim zapisana (podkreślenie moje — M. S.). Na podstawie tego doszedłem do wniosku, że*

plan zamówień na czas wojny został sporządzony w celu oszukania partii i rządu”.

Mierieckow oczywiście miał bezpośredni związek z opracowaniem MP-41, jednak „*taką bzdurę*” podpisał nie on, lecz Timoszenko i Żukow. Pawłow został rozstrzelany. Mierieckowa jakimś cudem warunkowo wypuszczono na „*wolność*”. Po torturach w lochach NKWD zdrowie byłego szefa Sztabu Generalnego było poważnie nadszarpnięte i troskliwy Stalin, jak głosi legenda, pozwalał nawet Mierieckowowi składać meldunki na siedząco. Żukow natomiast okazał się zupełnie niewinny i do dziś harcuje na spiszowym koniu w centrum Moskwy.

Spróbujmy sami zorientować się w zagadkowych liczbach MP-41. Owszem, rozumiem, że porucznikowi inżynierowi rezerwy nie wypada dyskutować o planie podpisanym przez marszałka i generała armii. Skoro już Timoszenko i Żukow zameldowali Stalinowi, że bez trzydziestu korpusów zmechanizowanych po tysiąc czołgów nie mogą oni ocalić ojczyzny światowego proletariatu — a wielki wódz się z nimi zgodził — to znaczy, że nie ma o czym dyskutować. Trzeba pracować! Kierując się tym nie starzejącym się hasłem, weźmy do ręki kalkulator i po prostu przeliczmy niektóre elementy MP-41. Przecież rachować potrafimy chyba nie gorzej niż marszałkowie?

Według MP-41 dział kalibru 122 mm i większych („*trzycalówki*” i moździerze holowane były przez samochody albo zaprzęgi konne) powinno być 19 451 (faktycznie do czerwca 1941 roku było ich około 18,8 tysiąca). Dodajmy do tego jeszcze 5151 dział przeciwlotniczych kalibru 76 mm oraz 2286 dział kalibru 85 mm. Łącznie planowa liczba dział ciągnionych według MP-41 wynosi 26 889. Nawet według przyjętej w Armii Czerwonej superrozrzutnej normy po dwa ciągniki na jedną armatę potrzebnych było „*zaledwie*” 53 776 takich pojazdów. Autorzy MP-41 żądali ich jednak 83 045 (nie licząc komsomolców). Ciężkich armat kalibru 122 mm, 152 mm, 207 mm, haubic kalibru 203 mm, 280 mm, 305 mm o masie 7 lub więcej ton miało być według planu 6088. Ciężkich ciągników gąsienicowych (S-2, komintemów, woroszyłowców) zaplanowano cztery razy więcej (27 818). Nawet jeśli za normę przyjąć podwójną rezerwę mechanicznych środków pociągowych, to i tak będzie to dwakroć więcej, niż wynosiły rzeczywiste potrzeby.

Rzecz jasna „*tak się nie liczy*”. Pułki artylerii to podstawowy, ale nie jedyny użytkownik ciągników. Maszyny te były potrzebne również dla warsztatów remontowych i samodzielnych batalionów mostowo-pontonowych, a także do ewakuacji z pola bitwy uszkodzonych czołgów. Dlatego też policzmy inaczej, prawidłowo, to znaczy wychodząc od zaplanowanej liczebności oddziałów.

Według etatu z kwietnia 1941 roku batalion przeciwpancerny dywizji strzeleckiej lub zmotoryzowanej na 18 armat przeciwpancernych powinien mieć 21 opancerzonych ciągni ków gąsienicowych Komsomolec. Tak więc do pełnego etatu w 210 takich dywizjach potrzebnych było 4410 komsomolców. W MP-41 figuruje liczba 7820. Od przybytku głowa nie boli? Wspaniale, kontynuujmy nasze ćwiczenia w arytmetyce i oceńmy rozmiary tego zaplanowanego „*przybytku*” w innych kategoriach sprzętu bojowego.

Według MP-41 w Armii Czerwonej formowano 30 korpusów zmechanizowanych. Zgodnie z etatem korpusowi przysługiwały 352 ciągniki. Tak więc do pełnego skompletowania wszystkich korpusów zmechanizowanych potrzeba było 10 560 ciągników. Kolejnym odbiorcą mechanicznych środków pociągowych były brygady artylerii przeciwpancernej. Zaplanowano, że 1 lipca 1941 roku będzie 10 takich brygad, w każdej po 120 armat kalibru 76, 85 i 107 mm, do których transportowania przewidziano 165 ciągników. Na wszystkie brygady artylerii przeciwpancernej potrzebnych było odpowiednio 1650 ciągników. Korpusne pułki artylerii polowej i przeciwpancerne miały różną liczebność i organizację w zależności od tego, w jakie systemy je uzbrojono. W jednym pułku mogło być i 24, i 36, i 48 dział. Przyjmując średnią liczbę 36 dział, otrzymujemy około 6 tysięcy ciężkich dział w 168 pułkach. A zatem całej artylerii ciężkiej potrzebnych było około 12 100 ciągników. I wreszcie główna robotnica wojny — piechota. W każdej ze 179 dywizji strzeleckich powinno być 99 ciągników. Łącznie dla wszystkich jednostek i formacji bojowych całej Armii Czerwonej — według normy „*dwa ciągniki na jedno działo*”, nie do pomyślenia w żadnej innej armii świata — potrzebnych było około 42 tysięcy ciągników. Autorzy MP-41 zażądali dwa razy więcej: 90,8 tysiąca.

Nie leńmy się i podliczmy w ten sposób samochody. I tak dla wszystkich 30 korpusów zmechanizowanych (etat przewidywał 5165 samochodów w korpusie, czyli jeden na sześciu ludzi) trzeba było 155 tysięcy samochodów.

Dla każdej ze 179 dywizji strzeleckich oznacza to więc jeszcze po 558 pojazdów, łącznie zaś około 100 tysięcy. Brygadam artylerii przeciwpancernej przy etacie 718 samochodów na brygadę należało zapewne 7180 aut. Nie zapominajmy też o strzelcach górskich — według etatu w stanie wojny każdej z ich 19 dywizji należało się 340 samochodów, ogółem — 6460. Łącznie jest to 269 tysięcy samochodów. W planie MP-41 zapisano 595 tysięcy. Znowu dwa razy więcej od wymagań etatowych największej i najbardziej zmotoryzowanej armii świata!

Trudno przewidzieć, co by się zmieniło, gdyby na początek działań bojowych plan mobilizacyjny MP-41 został wykonany. Wykonany we wszystkich szczegółach, do ostatniego ciągnika i ostatniej pary watowanych portek włącznie. Nie mam odpowiedzi na to pytanie. Mam tylko hipotezę: przypuszczam, że nic by się nie zmieniło. Natomiast każdy, kto choćby raz wzięty do ręki jakąkolwiek książkę sowieckich historyków wojskowych, bez wątpienia wie, jakież to wspaniały prezent dali im Żukow i Timoszenko.

W każdym artykule, w każdej książce, w każdym talk-show komunistyczni agitatorzy, łkając, komunikowali: *„Historia dała nam za mało czasu. Armia Czerwona, która nie otrzymała przewidzianego w planie mobilizacyjnym uzbrojenia i sprzętu bojowego, była zupełnie nieprzygotowana do wojny. W najlepszym razie byłaby gotowa za pięć lat (...). W ciągniki i samochody dywizje strzeleckie okręgu były zaopatrzone zaledwie w 30 — 40 procentach (...) brak należnych mechanicznych środków pociągowych nieuchronnie prowadził do (...). W czołgi średnie i ciężkie korpus zmechanizowany był wyposażony zaledwie w 20 procentach”*. Sowieccy, a teraz już i rosyjscy, historycy już ponad pół wieku dyskutują, jak mogło do tego dojść. Dawali rozliczne odpowiedzi: *„Stalin był naiwny i ufny, uwierzył w zapewnienia Ribbentropa (...). Stalin był zły i nieufny, nie uwierzył w ostrzeżenia Sorgego i Churchilla (...). Łapciata Rosja nie potrafiła wyprodukować niezbędnej ilości uzbrojenia (...). Historia dała nam mało...”*

Co prawda o sławetnym „braku gotowości” sowieccy historycy rozprawiają zawsze w procentach. W procentach tegoż planu mobilizacyjnego, który Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego usiłowało przedstawić jako „szkodnictwo”, ale oskarżony generał armii gotów był jedynie przyznać, że w planie zapisano „brednie”. Najśmieszniejsze jednak, że sowieccy historycy mają całkowitą rację. Tego, co wynikało z planu — nie

było. Za to przeciwnik był „przygotowany do wojny” w stu procentach. Bez zaglądania do jakiegokolwiek informatora możecie śmiało twierdzić: 22 czerwca 1941 roku niemieckie dywizje pancerne były w pełni wyposażone w czołgi ciężkie i średnie z opancerzeniem odpornym na ostrzał armatni. Wehrmacht był również zaopatrzony w opancerzone ciągniki gąsienicowe dla artylerii przeciwpancernej całkowicie zgodnie z etatem i planem mobilizacyjnym. Był w pełni wyposażony również w samochody pancerne uzbrojone w armatę czołgową kalibru 45 mm. Także w armaty dywizyjne, przebijające pancerz czołowy najcięższych czołgów nieprzyjacielskich. I wyrzutnie raketowe strzelające salwami... Zero w stanie posiadania, zero w planach, wykonanie założeń — sto procent. To jest właśnie ta słynna niemiecka staranność i pedanteria. W dywizjach pancernych Armii Czerwonej na początku wojny było już ponad 1500 czołgów KW i T-34. Dzięki mądrze sporządzonemu planowi MP-41 możemy to z czystym sumieniem określić tak: „*żałosne 9 procent liczby etatowej*”. Wehrmacht nie miał ani jednego czołgu z takim uzbrojeniem, z silnikiem dieslowskim o takiej mocy. W Wehrmachcie haubice dywizyjne ciągnęła szóstka koni. I to się nazywa „*całkowicie zmobilizowana armia, na którą pracował przemysł całej Europy*”. Tak, Halder i Jodl nie byli na tyle mądrzy, żeby sporządzić plan mobilizacyjny, nie przyszło im do głowy, żeby do etatowego składu swoich wojsk włączyć nie istniejący sprzęt, zażądać od Hitlera czterech ciągników na jedną armatę... Toteż sowieccy historycy nie nazywają ich inaczej jak „*doświadczonymi generałami hitlerowskimi*”.

I ostatnia uwaga tego omówienia planu mobilizacyjnego MP-41. Żądając dla Armii Czerwonej takich niebotycznych ilości wyposażenia technicznego, przyszły Marszałek Zwycięstwa wpisał do planu mobilizacyjnego następujące zdanie: „*Potrzeba uzupełnienia przewidywanych strat w jednym roku wojny wśród składu osobowego młodszych dowódców i szeregowych została obliczona na podstawie 100-procentowego odnowienia składu armii*”. Stuprocentowe odnowienie składu szeregowych. W ciągu jednego roku. Jednego roku pomyślnej wojny. O 22 czerwca wtedy nikt nic jeszcze nie wiedział...

**CZEŚĆ 2. „*GDY NAS DO BOJU POŚLE
TOWARZYSZ STALIN...*”**

ROZDZIAŁ 6. HIPOTEZA NR 1

Gdy Żukow i Timoszenko podpisywali projekt MP-41, oczywiście najmniej myśleli o tym, by maksymalnie ułatwić życie przyszłym historykom. Kierowali się innymi względami. Jakimi? Nie pretendując absolutnie do jasnowidztwa, pragnę przedstawić czytelnikom własną hipotezę na temat tego, co się stało. Najbardziej roztargnionym powtórzę raz jeszcze: hipotezę. Nie fakt. Fakty podałem w poprzednich rozdziałach. W tym, i następnym, rozdziale dzielę się jedynie własną subiektywną opinią.

Nadmiernie zawyżone (wobec możliwości przemysłu sowieckiego, rzeczywistej liczebności wojsk, możliwości racjonalnego wykorzystania sił zbrojnych) żądania twórców planu MP-41, jak również samo uchwalenie w lutym 1941 roku programu zakrojonej na szeroką skalę reorganizacji wojsk zmechanizowanych, mają wielkie znaczenie „diagnostyczne”. Przy braku bezpośrednich świadectw dokumentalnych pozwalają one wyrazić uzasadnione domysły zarówno co do strategicznych planów Stalina, jak i nastrojów wśród wyższych władz wojskowych.

Przede wszystkim należy wyraźnie zaznaczyć i rozdzielić dwie bardzo ważne sprawy.

Po pierwsze. Ofensywne ukierunkowanie wojskowej doktryny państwa stalinowskiego jest niewątpliwe, nie podlega dyskusji. To nie hipoteza. To norma regulaminowa, „kategorycznie i plastycznie” wyrażona już w pierwszych artykułach Regulaminu bojowego PU-39: „*Jeżeli wróg narzuci nam wojnę to Robotniczo-Chłopska Armia Czerwona będzie najbardziej ofensywna spośród wszystkich kiedykolwiek istniejących nacierających armii świata. Wojnę będziemy toczyć ofensywnie w zdecydowanym celu całkowitego rozgromienia przeciwnika na jego własnym terytorium*”.

Po drugie. Ofensywne ukierunkowanie planów i systemu szkolenia bojowego Armii Czerwonej żadną miarą nie może służyć za dowód agresywności polityki zagranicznej imperium stalinowskiego. Żadną miarą. Armię jakiegokolwiek wielkiego mocarstwa tworzy się właśnie po to, aby gromić, lub co najmniej osłabiać, siły zbrojne przeciwnika. Najskuteczniejszym sposobem wykonania tego zadania była, jest i będzie ofensywa („*tylko zdecydowane natarcie na głównym kierunku, zakończone*

okrążeniem i uporczywym pościgiem, prowadzi do całkowitego zniszczenia sił i środków wroga”). Co należy potem czynić z tym wrogiem, z jego terytorium, z jego zasobami materialno–produkcyjnymi, z resztkami jego armii — to już jest kwestia polityki. Kwestia, dla której rozwiązania operacyjne zasady prowadzenia wojny nie mają praktycznie żadnego znaczenia. Państwo nie tylko agresywne, ale i pragnące jedynie pokoju i spokoju, powinno dążyć do tego, by zwycięstwo zostało okupione jak najmniejszą ofiarą krwi, przy minimalnych zniszczeniach własnego terytorium i z minimalnymi stratami wśród własnej ludności. Jedyna droga do tego ideału to zdecydowane natarcie w celu „rozgromienia przeciwnika na jego własnym terytorium”. Z mnóstwa przykładów potwierdzających ten aksjomat wojskowy przytoczmy choćby jeden. Siły Obronne Izraela (taka jest oficjalna nazwa armii tego państwa) nawet nie próbowały stanąć do obrony pozycyjnej, samobójczej w tamtejszych warunkach geograficznych (minimalna szerokość tego państwa w granicach ustalonych w rezolucji ONZ z 1947 roku stanowi 18 km). Zarówno w roku 1948, jak i 1967 oraz 1973 strategiczne zadanie obrony kraju rozwiązywano, prowadząc zdecydowane i śmiało — na granicy szaleństwa — działania ofensywne. Przy tym głębokość uderzeń wielokrotnie przewyższała rozmiary samego Izraela. Po zakończeniu aktywnej fazy działań bojowych osiągnięte dzięki niej znaczne osłabienie sił zbrojnych przeciwnika wykorzystywano, by zmusić go do rezygnacji (początkowo tymczasowej, a potem stałej) z agresywnych zamiarów. Następnie zdobyte terytorium (półwysep Synaj) zostało niezwłocznie zwrócone Egiptowi po zawarciu układu pokojowego.

Skrajna i niezmienna agresywność imperium stalinowskiego nie znajdowała wyrazu i potwierdzenia w artykułach Regulaminu bojowego (artykuły te były po prostu rozumne i nic więcej), a nawet w ogromnej Armii Czerwonej (faszystowskie Włochy dokonywały licznych agresji siłami śmiesznie małymi w porównaniu z armią sowiecką), lecz w zupełnie czym innym. Na przykład w tym, że w godle państwowym ZSRS sierp i młot pokrywały całą kulę ziemską, na której granic „państwa proletariatu” nie zaznaczono nawet cieniutką linią. Tego, kto uważa to za mało znaczący szczegół, proszę, żeby mi wymienił choćby jedno państwo o podobnych aspiracjach ukazanych w oficjalnej symbolice. Ja nie znam takiego.

Agresywność państwa stworzonego przez Lenina i Stalina wyrastała z jawnej, demonstracyjnej samowoli i bezprawia w polityce wewnętrznej (*„dyktatura proletariatu jest władzą zdobytą i wspieraną przemocą proletariatu nad burżuazją, władzą nie spętaną żadnymi prawami”* — W. I. Lenin); z nie ukrywanych mesjanistycznych ambicji komunistycznych przywódców: przewrót zbrojny, który doprowadził ich do władzy, ogłoszono *„największym wydarzeniem w dziejach świata”*. Zrodzony na gruzach Rosji totalitarny potwór został okrzyczany *„spełnionym marzeniem ludzkości”*. Agresywność imperium stalinowskiego kształtowała się dzięki niepowstrzymanej państwowej propagandzie, która dniem i nocą wmawiała społeczeństwu — przede wszystkim żołnierzom Armii Czerwonej — że ma ono nie tylko prawo, ale i obowiązek (*„nasz internacjonalistyczny obowiązek”*) zbrojnie *„pomóc”* w ustanowieniu sowieckich porządków w każdym kraju, który wskaże im władza. Zresztą na początku II wojny światowej obłudną gadaninę o *„internacjonalistycznym obowiązku”* zaczęły zastępować hasła jawnie imperialne: *„Nasza partia i rząd sowiecki walczą nie o pokój dla świata, lecz łączą hasło pokoju z interesami socjalizmu, z zadaniem obrony racji stanu ZSRS (...). Gdziekolwiek i w jakichkolwiek warunkach Armia Czerwona będzie toczyć wojnę, zawsze jej natchnieniem będą interesy Ojczyzny, zadanie umacniania siły i potęgi Związku Sowieckiego. I dopiero w miarę rozwiązywania tego podstawowego zadania Armia Czerwona wykona swoje internacjonalistyczne obowiązki”*. Na początku lata 1941 roku sowiecka propaganda wojenna praktycznie zrzuciła wszelki kamuflaż i zaczęła jawnie sposobić armię i naród do zakrojonej na wielką skalę wojny zaborczej. Przygotowana na początku czerwca 1941 roku przez sekretarza KC WKP(b) Aleksandra Siergiejewicza Szczerbakowa dyrektywa O stanie propagandy wojskowo-politycznej zawierała już takie sformułowania:

„Polityka zagraniczna Związku Sowieckiego nie ma nic wspólnego z pacyfizmem, z dążeniem do osiągnięcia pokoju (...). Leninizm uczy, że kraj socjalizmu, korzystając ze sprzyjającej sytuacji międzynarodowej, powinien i ma obowiązek wziąć na siebie inicjatywę ofensywnych działań wojennych (podkreślenia moje — M. S.) przeciwko otoczeniu kapitalistycznemu w celu rozszerzenia frontu socjalizmu. Do niedawna ZSRS nie mógł przystąpić do takich działań ze względu na słabość militarną. Ale teraz ta słabość minęła. W

tej sytuacji hasło Lenina| «na cudzej ziemi bronić własnej ziemi» może w każdej chwili zmienić się w działanie praktyczne”.

Agresywności imperium stalinowskiego na co dzień dowodziła globalna organizacja, która ignorując granice państw i elementarne normy prawa międzynarodowego, bezpośrednio z Moskwy usiłowała (na szczęście bezskutecznie) przeprowadzać zamachy stanu i ustanawiać kontrolowaną przez Stalina dyktaturę w dowolnym kraju świata. Przy czym, jeszcze przed osiągnięciem jakichkolwiek skutków, kontrola NKWD nad działaniami Kominternu była tak silna, że każdy niedba ły, niesumienny, nieposłuszny funkcjonariusz tej organizacji mógł zostać zlikwidowany.

Wreszcie w latach 1939–1940 agresywna polityka zagraniczna imperium stalinowskiego była realizowana bezpośrednio poprzez aneksje terytorialne i obalenie władzy konstytucyjnej, czego ZSRS dokonał przemocą zbrojną albo pod jej groźbą wobec Finlandii, Estonii, Łotwy, Litwy, Polski i Rumunii. Po tych wydarzeniach listek figowy wstępnego zdania z artykułu regulaminu bojowego (*„Jeżeli wróg narzuci nam wojnę”*) mógł wprowadzić w błąd tylko tych, którzy uparcie nie chcieli znać faktów. Władcy Kremla dowiedli, że zdanie to będą interpretować bezgranicznie szeroko.

17 września 1939 roku Polska *„narzuciła wojnę”* i *„zmusiła”* Związek Sowiecki do jednostronnego zerwania układu o nieagresji (zawartego 25 lipca 1932 roku, a pięć lat później prolongowanego do 1945 roku), tak że stała się — według oficjalnego oświadczenia szefa rządu Mołotowa — *„wygodnym polem do wszelkich przypadków i niespodzianek mogących stanowić zagrożenie dla ZSRS”*.

W końcu września 1939 roku Estonia i Łotwa *„zmusiły”* Związek Sowiecki, by zagroził im napaścią zbrojną, a to tym sposobem, że na ich suwerennym terytorium, którego granice zostały zawarowane w 1920 roku w układach pokojowych z Rosją Sowiecką, znajdowały się porty morskie, które bardzo się podobały Stalinowi i Mołotowowi. 24 września 1939 roku Mołotow wprost powiedział ministrowi spraw zagranicznych Estonii Karlowi Selterowi: *„Związkowi Sowieckiemu niezbędne jest wyjście na Morze Bałtyckie (Leningradu za takie „wyjście” już nie uważano? — M. S.). Jeżeli nie zechcecie zawrzeć z nami układu o pomocy wzajemnej, to będziemy zmuszeni szukać innych sposobów zagwarantowania naszego bezpieczeństwa (...). Radzę wam wyjść naprzeciw życzeniom Związku Sowieckiego, żeby*

uniknąć najgorszego”. Obiecane „*najgorsze*” było bliskie i realne. Ludowy komisarz obrony ZSRS w dyrektywie nr 043/op. z 26 września 1939 roku żądał, by „*natychmiast przystąpić do koncentracji sił na granicy estońsko–łotewskiej i zakończyć ją do 26 września*”. Armii Czerwonej postawiono zadanie: „*zadać potężny i zdecydowany cios wojskom estońskim (...) rozbić siły przeciwnika i nacierać na Tartu, a następnie na Tallin i Parnawę (...) szybkim i zdecydowanym uderzeniem po obydwu brzegach Dźwiny nacierać w kierunku Rygi*”. 28 września 1939 roku dowództwo Floty Bałtyckiej otrzymało rozkaz doprowadzenia okrętów do pełnej gotowości bojowej do rana 29 września. Flocie postawiono zadanie: „*zagarnąć flotę Estonii, nie dopuszczając do jej wyjścia na wody neutralne, wesprzeć ogniem artyleryjskim wojska lądowe na brzegu Zatoki Fińskiej, przygotować się do wysadzenia desantu*”. Jedynie „*dobrowolna*” zgoda rządów Łotwy i Estonii na zawarcie układów z ZSRS sprawiła, że zaplanowana operacja zbrojna okazała się zbędna.

Finlandia „*narzuciła wojnę*” Związkowi Sowieckiemu i „*zmusiła*” jego niezwykle pokojowy rząd do złamania umowy pokojowej podpisanej w 1920 roku i układu o nieagresji zawartego między Finlandią a ZSRS w 1932 roku i prolongowanego w roku 1936. Zmusiły ZSRS do tego „*oburzające prowokacje fińskiej soldateski, aż do artyleryjskiego ostrzału naszych wojsk pod Leningradem, który spowodował ciężkie straty w oddziałach czerwonoarmijnych*” (przemówienie Mołotowa z 29 września 1939 roku). Jak dziś wiadomo, użycie przez Mołotowa liczby mnogiej było czystym (to znaczy brudnym) kłamstwem: była tylko jedna prowokacja i jeden ostrzał jednego czerwonoarmijnego oddziału (68. pułku strzeleckiego 70. Dywizji Strzeleckiej pod wsią Majniła), ale w tym oddziale nie było żadnych ofiar (jak wynika z oryginalnej dokumentacji pułkowej i dywizyjnej, którą wprowadził do obiegu naukowy P. Aptekar). Dyskusyjna pozostaje jednak kwestia, czy rzeczywiście doszło do „*ostrzału*” (czyli prowokacji zorganizowanej przez stalinowskie specsłużby), czy też cały ten „*incydent majnilski*” został od początku do końca zmyślony.

Jeszcze gorsze, wręcz bestialskie, były „*prowokacje litewskiej soldateski*”, która „*porywała i torturowała*” szeregowych czerwonoarmistów ze stacjonujących na Litwie od jesieni 1939 roku sowieckich garnizonów, by wydobyć od nich tajemnice wojskowe. 30 maja 1940 roku dziennik

„Izwestija” opublikował oficjalny komunikat Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych ZSRS o tych wołających o pomstę zbrodniach. Co prawda stronie sowieckiej wciąż się plątały nazwiska „porwanych czerwonoarmistów”. Propozycja strony litewskiej, aby wspólnie prowadzić śledztwo, została gniewnie odrzucona (*„władze litewskie pod pozorem dochodzenia i podjęcia sankcji wobec winnych rozprawiają się z przyjaciółmi ZSRS”* — dyrektywa Zarządu Politycznego Armii Czerwonej nr 5258 z 13 czerwca 1940 roku). 15–17 czerwca 1940 roku wszystkie trzy państwa nadbałtyckie — Litwa, Łotwa i Estonia — w całości znalazły się pod sowiecką okupacją, a miesiąc później zostały zaanektowane. Najdziwniejsze, że los „porwanych czerwonoarmistów nigdy nie został wyjaśniony! Po prostu o nich zapomniano, choć ZSRS ustanowił właśnie całkowitą kontrolę wojskową nad wymienionymi państwami i zyskał nieograniczone możliwości „poszukiwania porwanych”, mógł oddać winnych pod sąd, a „zameczonym przez litewską soldateskę czerwonoarmistom” wyprawić pogrzeb. Ani w prasie sowieckiej, ani w tajnych rozkazach sowieckiego dowództwa wojskowego ani słowem nie zakomunikowano żołnierzom i dowódcom Armii Czerwonej, co się stało z ich „zaginionymi” towarzyszami...

Jeśli zaś chodzi o Bukowinę, która nigdy nie wchodziła w skład imperium rosyjskiego (nie była też wspomniana w tajnym protokole o podziale sfer wpływów w Europie Wschodniej między Hitlerem a Stalinem), to przyczynę „zmuszającą” rząd sowiecki do żądania od Rumunii pod groźbą interwencji zbrojnej, aby przekazała mu to terytorium, Mołotow 26 czerwca 1940 roku przedstawił tak: *„słabość wojskowa ZSRS odeszła w przeszłość, a powstała sytuacja międzynarodowa wymaga szybszego rozwiązania nie rozwiązanych kwestii”*. Po czym wyraził nadzieję, że *„odpowiedź zostanie udzielona niezwłocznie, i jeżeli będzie ona pozytywna (podkreślenie moje — M. S.), to kwestia zostanie rozwiązana w drodze pokojowej”*.

Warto odnotować i to, że jedyny z „ocalałych” zachodnich sąsiadów Związku Sowieckiego — Turcja — był bliski tego, by znaleźć się na liście ofiar agresji. 25 listopada 1940 roku sowiecki premier i ludowy komisarz spraw zagranicznych Wiaczesław Mołotow podał ambasadorowi Niemiec w Moskwie hrabiemu Schulenburgowi warunki, na których „ZSRS w zasadzie zgodzi się przyjąć projekt paktu czterech mocarstw o ich politycznej współpracy i gospodarczej pomocy wzajemnej zreferowany przez p.

Ribbentrop w rozmowie z W. M. Mołotowem w Berlinie 13 listopada 1940 roku”. Jako jeden z warunków przyłączenia się ZSRS do tak zwanej osi Rzym–Berlin–Tokio wymieniono „zapewnienie ZSRS bazy sił lądowych i marynarki wojennej pod Bosforem i Dardanelami”. Miało zostać przy tym zastrzeżone, że na wypadek „jeśli Turcja odmówi przyłączenia się do czterech] państw, Niemcy, Włochy i ZSRS ustalają opracowanie i wprowadzenie w życie niezbędnych przedsięwzięć wojskowych (podkreślenie moje — M. S.) i dyplomatycznych, w której to sprawie powinno zostać zawarte odrębne porozumienie”.

Zanim wrócę do kwestii ściśle wojskowych, zauważę jedynie, że cała dyskusja o „wojnie prewencyjnej”, którą przygotowywał czy to Hitler, czy to Stalin, czy to obaj równocześnie, jest bezprzedmiotowa. Ani imperium stalinowskie, ani hitlerowska Trzecia Rzesza — ze względu na przestępczy charakter reżimów oraz j ich polityki wewnętrznej — nie mogły przygotować i przeprowadzić „wojny prewencyjnej”. Dwaj najwięksi przestępcy szykowali i prowadzili agresywne, zaborcze wojny, których wynikiem była aneksja obcych terytoriów, unicestwienie państw oraz narodów, rabunek, przemoc i masowe pozasądowe represje wobec całych grup narodowych czy warstw społecznych podbitych krajów. To, że większa (jeśli chodzi o długotrwałość i liczbę ofiar) część wojny toczyła się na terytorium Związku Sowieckiego, świadczy jedynie o słabości reżimu stalinowskiego, bynajmniej nie o jego wielkim umiłowaniu pokoju.

Zajmijmy się teraz hipotezą numer 1. Przypuszczam, że w lutym i marcu 1941 roku Stalin nie planował rozpoczęcia wielkiej wojny w Europie latem 1941 roku. W innym razie nie przedsięwziąłby wielkiej przebudowy armii, nie zacząłby rozformowywać i reorganizować istniejących korpusów zmechanizowanych i brygad pancernych. Jednym z wielu przykładów jest też ogromny program budowy lotnisk zatwierdzony przez Politbiuro KC WKP(b) 24 marca 1941 roku, zgodnie z którym na 194 lotniskach (61 z nich — w Zachodnim Specjalnym Okręgu Wojskowym, a 63 — w Kijowskim Specjalnym OW) miały być zbudowane betonowe pasy startowe długie na 1200 i szerokie na 100 metrów, podziemne betonowe składy na 300 ton bomb każdy i zbiorniki mieszczące po 225 ton paliwa. Na marginesie zauważmy, że podstawowe sowieckie bombowce (SB, Ar-2, DB-3), nie mówiąc już o znacznie lżejszych myśliwcach, wymagały pasów nie dłuższych niż 500–600

metrów. Dla realizacji tej „budowy stulecia” 27 marca 1941 roku powstał Główny Zarząd Budowy Lotnisk (GUAS), przy czym z nie ukrywanym cynizmem utworzono go w ramach NKWD ZSRS, czyli że od początku liczone na wykorzystanie niewolniczej pracy więźniów. Na praktyczne wyniki tych wszystkich przedsięwzięć można było liczyć najwcześniej w 1942 roku. Wiosną 1941 roku wносиły one tylko chaos do przemysłu, organizacji i bojowego szkolenia wojsk. Nikt rozumny — a Stalin niewątpliwie był człowiekiem trzeźwo myślącym i niezwykle ostrożnym — nie podjąłby się tak ogromnego „kapitalnego remontu” sił zbrojnych na kilka miesięcy przed Wielką Wojną Ojczyźnianą. A zatem jest jakaś część prawdy w zapewnieniach sowieckiej historiografii, że Stalin miał nadzieję, iż uda mu się „odciągnąć napaść Niemiec do lata 1942 roku”. Jest to jednak prawda dziwacznie wypaczona. Nie po to Stalin tworzył największą armię świata, żeby z drzeniem serca wróżyć: „napadną — nie napadną, napadną — nie napadną...” Stalin prowadził własną, aktywną i ukierunkowaną politykę, nie czekał na napaść Hitlera, lecz wybierał najlepszy moment na zadanie przeciwnikowi druzgocącego ciosu. W lutym 1941 roku przewidywał go na rok 1942 albo nawet 1943.

Jeszcze jedną podstawą do takiego przypuszczenia może być wielokrotnie wspomniany tu program utworzenia 30 korpusów zmechanizowanych. „Nie wzięliśmy jednak pod uwagę obiektywnych możliwości naszego przemysłu pancernego — gorzko narzeka w swoich wspomnieniach Wielki Marszałek Zwycięstwa — do pełnego skompletowania korpusów potrzeba było 16 600 czołgów tylko nowych typów (...) takiej liczby czołgów w ciągu jednego roku nie można było dostarczyć nawet w najbardziej dogodnych warunkach”. G. K. Żukow niepotrzebnie robi z siebie skromnisia. Przecież on i jego zastępcy ze Sztabu Generalnego mimo wszystko umieli podliczać słupki. Porównanie produkcji czołgów z kalendarzowym planem kompletowania korpusów zmechanizowanych wcale nie było trudne. Zresztą zrobili to. 22 lutego 1941 roku szef Sztabu Generalnego G. K. Żukow zatwierdził program formowania korpusów. Wszystkie one zostały podzielone na 19 „bojowych”, 7 „zredukowanych” i 4 „zredukowane w drugiej kolejności”. Ustalono jasny plan dostaw czołgów dla każdego korpusu i każdej dywizji. Planowano, że łącznie do końca 1941 roku znajdą się w nich 18 804 czołgi, w tym 16 655 w „bojowych” korpusach zmechanizowanych. O planach uzupełnień w 1942

roku nic nie wiemy. Biorąc pod uwagę, że w rzeczywistości przez dwa lata (1941 i 1942) wyprodukowano 3911 czołgów KW i 15 541 T-34 (w 30 korpusach miało być 3780 KW i 12 600 T-34), można przypuszczać, że zakończenie programu rozbudowy wojsk pancernych zgodnie z MP-41 było planowane na koniec 1942 albo nawet początek 1943 roku.

Gdyby Żukow chciał powiedzieć prawdę, powinien się po prostu przyznać, że nie wziął pod uwagę, iż do wojny z Niemcami może dojść już w lecie 1941 roku. Nawiasem mówiąc, w lutym 1941 roku Hitler nie miał jeszcze skonkretyzowanych planów na resztę roku. Dyrektywa Oberkommando der Wehrmacht nr 050/41 z 31 stycznia 1941 roku została sformułowana bardzo ostrożnie i ogólnikowo: *„W razie gdyby Rosja zmieniła obecny stosunek do Niemiec, należy jako środek ostrożności podjąć szerokie przedsięwzięcia przygotowawcze, które umożliwiłyby zadanie klęski Rosji Sowieckiej w błyskawicznej kampanii, zanim jeszcze zostanie zakończona wojna przeciwko Anglii”*. Jeżeli zaś chodzi o plany Żukowa i Timoszenki, to moim zdaniem zamierzali oni najdłużej jak można odwlekać napaść Związku Sowieckiego na Europę. Jest to wyjątkowo ważna kwestia i należy ją przeanalizować dokładnie.

„Pancerz jest mocny”

„I nasze czołgi szybkie”

„A nasi ludzie pełni męstwa są”

Oto trójelementowa formuła zwycięstwa w bitwie, operacji, wojnie. Wcale nie mniej wyraziście ta myśl została sformułowana w Regulaminie bojowym Armii Czerwonej PU-39. Artykuł szósty głosił: *„Największą wartością w Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej jest nowy człowiek Epoki Stalinowskiej. Do niego należy decydująca rola w walce. Bez niego wszystkie techniczne środki walki są martwe, w jego rękach zaś stają się groźną bronią”*.

Nikt się nie ośmielił podać w wątpliwość, że „nowy człowiek Epoki Stalinowskiej” gotów jest natychmiast oddać życie za partię Lenina-Stalina. Nawet w książkach osłoniętych gryfem „tajne”, przeznaczonych dla dowódców, omawiać ten temat można było jedynie takim językiem: *„żołnierze i dowódcy Armii Czerwonej, którzy doskonale opanowali najnowszy sprzęt wojskowy, uświadomieni politycznie, pełni nienawiści do wroga, sprawni fizycznie, wytrzymali i sprytni, wspaniale znający rzemiosło*

wojenne, oddani bez reszty socjalistycznej ojczyźnie i partii Lenina–Stalina, w przyszłych starciach socjalizmu z kapitalizmem będą czynić cuda, jakich nie zna historia wojskowości”.

Ani Żukow, ani Timoszenko nie odważyli się przy Stalinie wyrazić najmniejszych wątpliwości, jakie to „cuda w przyszłych starciach z kapitalizmem” mogą czynić „nowi ludzie Epoki Stalinowskiej”. Natomiast usilnie przekonywali „wodza”, że ani pancierz nie jest wystarczająco mocny, ani czołgi nie tak szybkie, a najważniejsze — że wszystkiego jest za mało.

Za mało czołgów, za mało armat, za mało ciągników do ich holowania... tak oto pojawił się plan MP-41 z fantastycznym zapotrzebowaniem na uzbrojenie i sprzęt wojskowy. Sporządzając taki dokument, zapisując w nim niewyobrażalne liczby, sowieccy wodzowie mieli nadzieję, że uda się rozwiązać trzy zadania: po pierwsze, ogromną ilością najnowszego sprzętu skompensować — jeśli to w ogóle możliwe — słabe morale armii oraz braki w wyszkoleniu żołnierzy i oficerów. Inaczej mówiąc, umocnić armię. W żadnym razie nie będę podawał w wątpliwość, że Żukow i Timoszenko szczerze pragnęli poprawić jakoś tę sytuację.

Po drugie, narzucając Stalinowi gigantyczny program reorganizacji i przebrojenia armii, skłaniali go do przeniesienia daty ataku na Europę na coraz to dalsze terminy (jak mawiał Hodża Nasreddin: „za dziesięć lat albo mułła umrze, albo osioł zdechnie”). Na przełomie roku 1940 i 1941 można jeszcze było mieć nadzieję, że wojna Niemiec z Imperium Brytyjskim zaogni się i rozgorzeje z nieporównanie większą siłą, że przeciągnie się na długie lata, zrujnuje i wykrwawi przeciwników, a gdzieś tak w 1944 roku Związek Sowiecki będzie mógł przybyć na zgliszcza Europy w roli najwyższego arbitra. Po trzecie, Żukow i Timoszenko, żądając 37 tysięcy czołgów i 90 tysięcy ciągników gąsienicowych, szykowali dla siebie usprawiedliwienie na wypadek przyszłej klęski („cóż mogliśmy począć z niepełną i niemal bezbronną armią?”).

Nie podejmuję się oceny, czy w lutym zakładali oni, że dojdzie do katastrofy na skalę tej z lata 1941 roku, ale mało też mieli nadziei, że Armia Czerwona będzie równorzędnym przeciwnikiem Wehrmachtu. O tym, jak nisko towarzysz Żukow oceniał jej zdolność bojową, można sądzić z kilku linijek, które nakreślił 6 grudnia 1965 roku na rękopisie nie opublikowanego jednak w „**Prawdzie**” artykułu marszałka A. M. Wasilewskiego:

„Sądzę, że Związek Sowiecki zostałby szybciej zdruzgotany, gdybyśmy wszystkie swoje siły w przededniu wojny rozwinęli na granicy, bo wojska niemieckie miały właśnie w pla nach na początek wojny zniszczenie naszych wojsk w rejonie granicy państwowej.

Dobrze, że tak się nie stało, a gdyby nasze główne siły zostały rozgromione w rejonie granicy państwa, wojska hitlerowskie uzyskałyby możliwość skuteczniejszego prowadzenia wojny, a Moskwa i Leningrad zostałyby zajęte w 41 r.”

To wyznanie byłego szefa Sztabu Generalnego jest nad wyraz cenne. Armię Czerwoną traktuje on tylko jako chłopca do bicia — im więcej wojsk się zgromadzi, tym więcej ich wybija. Żukow nawet nie rozpatruje ewentualności, że wojska sowieckie — gdyby miały jeszcze większą przewagę liczebną — mogłyby pobić przeciwnika...

„Oczywiście przede wszystkim przygniatał go, ciążył na wszystkich jego przedsięwzięciach, co odbijało się również na nas, strach przed Niemcami. Bał się niemieckich sił zbrojnych, które bez przeszkód maszerowały po Europie Zachodniej i ją gromiły, a wszyscy przed nimi klękali. Bał się”. Żukow powiedział to o Stalinie, ale w gruncie rzeczy dał całkiem rzetelną charakterystykę nastrojów sowieckiej generalicji. Z tym tylko uściśleniem, że owo „*bał się*” jest tu chyba nie na miejscu. Każdy z nas „*boi się*” położyć na szynach przed jadącym pociągiem, ale tę „*bojaźń*” należy uznać za przejaw rozsądku, a nie tchórzostwa. W odróżnieniu od komisarzy i pacyfikatorów epoki wojny domowej (Stalina, Woroszyłowa, Tuchaczewskiego, Jakira, Blüchera, Gorodowikowa) nowi szefowie armii (Timoszenko, Mierieckow, Żukow, Woronow) widzieli jej stan z bliskiego dystansu. Odnosi się to przede wszystkim do „*pierwszej pary*”, Timoszenki i Mierieckowa, którzy latem 1941 roku stanęli u steru Ludowego Komisariatu Obrony. Obaj wzięli czynny udział w wojnie z Finlandią. Wojskowe rezultaty kampanii fińskiej zszokowały zarówno przyjaciół, jak i wrogów Związku Sowieckiego. Ogromne mocarstwo światowe rzuciło do boju 900 tysięcy żołnierzy wyposażonych w tysiące czołgów i samolotów, a mimo to nie potrafiło — używając języka gazety „**Prawda**” z listopada 1939 roku — „*okiełznać marnej pchły, która skacze i stroi miny na naszych granicach*”.

Po latach wymyślono legendę o „*niezniszczalnych umocnieniach na linii Mannerheima*”, których nie potrafiłaby przełamać żadna armia świata.

Oprócz „niezwyciężonej” i „legendarnej” Armii Czerwonej. Nie mówiąc już o tym, że żaden z kilkudziesięciu rejonów umocnionych na starej i nowej granicy sowieckiej (przez które w lecie 1941 roku Niemcy przeszli albo wcale ich nie zauważając, albo przełamując ich obronę w ciągu paru dni walk) nie ustępował sławetnej „*linii Mannerheima*” pod względem liczby stanowisk ogniowych, uzbrojenia, jakości betonu czy wyposażenia. Nie ma co rozprawiać o tym wszystkim, trzeba jednak wspomnieć, że wojna z Finlandią wcale nie sprowadzała się tylko do walk na Przesmyku Karelskim. Długość granicy sowiecko–fińskiej wynosiła około 1350 km. Linia fińskich umocnień na Przesmyku Karelskim pokrywała około 100 km tej granicy, czyli mniej niż dziesiątą część jej długości. O dziesiątki i setki kilometrów od najbliższego stanowiska ogniowego „*linii Mannerheima*”, w Karelii Północnej i Nadładoskiej, działało ogromne zgrupowanie wojsk sowieckich (8., 9. — i 15. Armia), którego liczebność wynosiła średnio 350 tysięcy ludzi. Jakiż był rezultat jego „*działań*”?

Żadnego z postawionych zadań nie wykonano. W ciągu trzech miesięcy działań bojowych jednostki 8. Armii posunęły się naprzód o 0–70 km od granicy państwa, 9. Armia została praktycznie wszędzie odrzucona na pozycje wyjściowe. Za takie mizerne wyniki zapłacono ogromną cenę. 8., 9. i 15. Armia straciły łącznie 141 tysięcy ludzi, w tym 45 tysięcy bezpowrotnie. Trzy dywizje strzeleckie (18., 163. i 44.) oraz 34. Brygada Pancerna zostały okrążone i całkowicie rozgromione. Cztery inne (75., 139., 168. i 54.) straciły 50–60 procent żołnierzy.

„*Trzeba powiedzieć wprost, że na kierunku pietrozawodskim w połowie grudnia Finowie przejęli inicjatywę i utrzymali ją prawie do końca wojny*” — musiał przyznać szef Sztabu Generalnego Szaposznikow, przemawiając na naradzie wyższego dowództwa Robotniczo–Chłopskiej Armii Czerwonej 16 kwietnia 1940 roku. To bardzo poważne oświadczenie, wziąwszy pod uwagę stosunek sił i uzbrojenie stron. Wśród wielu przemawiających na tej naradzie był również komisarz korpusu Waszugin (jeden z niewielu wyższych dowódców Armii Czerwonej, który sam wydał na siebie bezlitosny wyrok w lecie 1941 roku). Komisarz Waszugin już na wiosnę 1941 roku odnotował, że zachowanie żołnierzy i dowódców jest zupełnie inne, niż oczekiwano:

„*Finowie okrążali nasze dywizje niewielkimi oddziałami. Mnie się wydawało, że po to, by okrążyć dywizję, trzeba mieć trzy dywizje. A jak tam*

się to odbywało? Szczegółowo przeanalizowałem okrążenie 97. pułku strzeleckiego 18. Dywizji. Czym było to okrążenie? Dowódca pułku oznajmił, że od zachodu było około jednej kompanii przeciwnika, od wschodu — mniej niż wzmocniony pluton, od północy regularne wojska — około batalionu, który zajmował umocnione pozycje w obozie. Ostatnio nasi chodzili na zwiad do tego obozu i wcale nie znajdowali tam przeciwnika. Nigdzie go nie widzieli. Od południa natomiast przeciwnik nigdy nawet się nie pojawił. A uważaliśmy, że jesteśmy okrążeni (...). Wnioskowaliśmy bardzo prosto. Przyszli dwaj zwiadowcy, którzy powiedzieli, że pułkowi kazano wyjść z okrążenia. Garnizon wstał i wyszedł”. Niewiele lepiej wyglądały sprawy w również „okrążonej” 54. Dywizji, choć była to stara jednostka kadrowa, specjalnie szkolona do działań na północnym teatrze działań wojennych. „Gusiewski (dowódca dywizji — M. S.) codziennie, a czasem po kilka razy dziennie, przysyłał paniczne telegramy (...). Pod wpływem tych telegramów zaprzepaszczono niemal wszystkie rezerwy 9. Armii, jakie tam były i się zbliżały, rzucono tam mnóstwo ludzi i nie umiano zorganizować żadnego natarcia zmierzającego do uwolnienia okrążonych (...). Przez 45 dni zmuszono lotnictwo, by bombardowało, strzelało, ochraniało go. Dywizję przez 45 dni karmił 80. pułk lotniczy, który w gruncie rzeczy ocalił tę nie prowadzącą działań jednostkę od głodu i zagłady, nie dając Finom spokoju w dzień i w nocy. Codziennie przy najmniejszej aktywności Finów podnoszono panikę i posyłano tam stopniowo przybywające szwadrony oraz bataliony narciarzy (...). Na samego Gusiewskiego w żaden sposób nie umiano wpłynąć a w otoczonym garnizonie nie było porządku”.

Porządek próbowano zaprowadzić w sposób tradycyjny. Na wcale nie kompletnej liście rozstrzelanych dowódców oraz tych, którzy sami się zastrzelili w ciągu trzech miesięcy „wojny zimowej”, figurują: dowódca 44. Dywizji Winogradow, szef sztabu i szef wydziału politycznego tej dywizji Wołkow i Pachomienko, dowódca i komisarz 662. pułku 163. Dywizji Szarow i Podchomutow, dowódca 18. Dywizji Kondraszow, dowódca 34. Brygady Pancerniej Kondratiew, szef sztabu brygady Smirnow, szef wydziału specjalnego brygady Doronin, dowódca LVI Korpusu Strzeleckiego Czerepanow...

W zimnych wodach Bałtyku również nie wykryto żadnej „pływającej linii Mannerheima”. Niemniej wyniki działań Floty Bałtyckiej okazały się

zadziwiająco nikłe. Do portów Finlandii od początku grudnia 1939 roku do połowy stycznia 1940 roku pomyślnie zawiązało 349 (trzysta czterdzieści dziewięć) statków transportowych. Spośród 49 okrętów podwodnych Floty Bałtyckiej tylko 27 okazało się zdolnych do działań bojowych, a z nich tylko 8 choćby raz zaatakowało przeciwnika. Tych 8 okrętów podwodnych zaatakowało łącznie 11 statków, z których 10 nie miało ochrony i jakiegokolwiek uzbrojenia. Spośród 11 tych statków zatopiono zaledwie 5 (pięć), w tym estoński motorowiec *Kassari*, zaatakowany poza strefą oficjalnie ogłoszonej blokady morskiej. Tak więc praktycznie nie napotykając oporu zbrojnego ani na morzu, ani na niebie nad Bałtykiem, siły podwodne Floty Bałtyckiej zdołały zatopić zaledwie 1,1 procent statków, które płynęły do portów Finlandii. Także „*latającej linii Mannerheima*” nikt nie wymyślił, a szkoda. Należało przecież jakoś wytłumaczyć, że wobec finalnego stosunku liczebności samolotów bojowych (26 do 1 na korzyść sowieckiego lotnictwa) stosunek strat (nie licząc wynikających z problemów technicznych) wyniósł 8 do 1 na korzyść małego lotnictwa fińskiego.

Takich „*cudów*” dokonały siły zbrojne stalinowskiego imperium, mając przed sobą małą, kiepsko uzbrojoną, praktycznie nie dysponującą czołgami i bombowcami armię fińską. Czegóż więc można było się spodziewać po Armii Czerwonej w razie starcia zbrojnego z Wehrmachtem i Luftwaffe?

Na to zasadnicze pytanie dano co najmniej trzy różne odpowiedzi.

Hitler był przekonany — i przekonał swoich generałów — że Armia Czerwona jest „*glinianym kolosem bez głowy*”, który się rozleci już przy pierwszym uderzeniu. Wystarczy wspomnieć, że dyrektywę nr 32, określającą działania niemieckich sił zbrojnych „*po tym, jak klęska Związku Sowieckiego stworzy odpowiednie warunki*”, podpisał on 11 czerwca 1941 roku. To nie jest błąd drukarski — 11 czerwca! 11 dni przed rozpoczęciem wojny już sformułowano „*zadania strategiczne, które w wyniku zwycięskiego zakończenia wyprawy na Wschód można będzie postawić przed siłami zbrojnymi na koniec jesieni 1941 r. i zimę 1941/42 r.*”

Żukow i Timoszenko, jak się wydaje, wciąż jeszcze mieli nadzieję, że Armia Czerwona „*nadaje się do remontu*”, i dlatego uporczywie doradzali Stalinowi, żeby nakazał rozpoczęcie zakrojonego na szeroką skalę „*remontu generalnego*”, którego rozdęty kosztorys przedłożyli mu w postaci planu mobilizacyjnego MP-41.

Stalin — jak można sądzić po jego przemówieniach na wielodniowej naradzie wyższego dowództwa Armii Czerwonej w kwietniu 1941 roku — wcale nie był przygnębiony, wstrząśnięty czy choćby zasmucony zdolnością bojową sowieckiej armii.

Przynajmniej taką linię postępowania, taki charakter dyskusji nadał temu wysokiemu zgromadzeniu. Po ojcowsku karmił niegrzecznych, chwalił Armię Czerwoną jako całość, nie zapominając delikatnie wskazać na pewne odosobnione braki, chętnie i sporo dowcipkował. Atmosfera była wybitnie rodzinna — spotkania surowego ojca z kochanymi i kochającymi synami. No, a końcowe akordy jego przemówienia zabrzmiały zgoła jak tryumfalne fanfary:

„Nasza armia mocno stanęła obiema nogami na torach nowej, prawdziwie sowieckiej, nowoczesnej armii (...). Pokonaliśmy nie tylko Finów, zwyciężyliśmy również ich europejskich nauczycieli — pokonaliśmy niemiecką technikę obronną, pokonaliśmy angielską technikę obronną, pokonaliśmy francuską technikę obronną. Pokonaliśmy nie tylko Finów, ale i technikę przodujących krajów Europy. Nie tylko technikę przodujących państw Europy, pokonaliśmy ich taktykę i ich strategię (...). Rozbiliśmy technikę, taktykę i strategię przodujących państw Europy, których przedstawiciele byli nauczycielami Finów. Na tym polega nasze największe zwycięstwo” (burzliwe oklaski, wszyscy wstają, okrzyki „Hurra!”, okrzyki: „Towarzyszowi Stalinowi — Hurra!” Uczestnicy urządają na cześć towarzysza Stalina burzliwą owację). Pierwszy, główny — a faktycznie jedyny — argument na to, że Stalin rzekomo był niezadowolony z działań Armii Czerwonej w wojnie fińskiej, to zmiana kierownictwa Ludowego Komisariatu Obrony w maju 1940 roku, a następnie również Sztabu Generalnego — w sierpniu 1940 roku. Dziwnie jednak ignoruje się co innego: po dymisji Woroszyłowa i Szaposznikowa na zwolnione stanowiska mianowano najgłówniejszych „bohaterów” wojny fińskiej. Tak samo dziwnie z pola widzenia historyków umknęła inna sprawa: dokąd mianowicie Stalin „przepędził na cztery wiatry” Woroszyłowa. A przecież wystarczy otworzyć którykolwiek słownik biograficzny, by się dowiedzieć, że po zwolnieniu z obowiązków ludowego komisarza obrony towarzysz Woroszyłow tego samego dnia, w tej samej najwyższej randze marszałka Związku Sowieckiego, został przewodniczącym Komitetu Obrony przy rządzie ZSRS. 22 czerwca 1941 roku Woroszyłow

(wraz z Mołotowem i Berią) ostatni opuścił gabinet Stalina. 30 czerwca 1941 roku wszedł w skład Państwowego Komitetu Obrony, czyli dołączył do czterech osób — Stalina, Mołotowa, Malenkowa i Berii — które nominalnie skupiały w swoich rękach całą władzę w kraju. Chyba nie można tego nazwać niełaską i banicją...

Rażąca różnica poglądów Hitlera i Stalina na zdolność bojową Armii Czerwonej odegrała, bez przesady, fatalną rolę w tym momencie historii, kiedy Stalin radykalnie zmienił swe plany strategiczne. Na wiosnę 1941 roku podjął on decyzję o znacznym przybliżeniu rozpoczęcia wielkiej wojny. Kiedy dokonał tego ostrego zwrotu? Dziwne, ale możemy to określić z dokładnością do jednego miesiąca, co z braku bezpośrednich świadectw dokumentalnych można uznać za dużą precyzję. Najwcześniej 6 kwietnia, najpóźniej 5 maja 1941 roku.

6 kwietnia 1941 roku jest jednym z najbardziej zagadkowych dni II wojny światowej. Przypomnijmy kanwę wydarzeń. Na wiosnę 1941 roku ośrodkiem najostrzejszego kryzysu wojskowo-politycznego stały się Bałkany. W orbitę wojny zostały wciągnięte Albania i Grecja, Bułgaria pod naciskiem Berlina przyłączyła się do Osi i zezwoliła, by niemieckie wojska wkroczyły na jej terytorium. Potem przyszła kolej na Jugosławię, której rząd 25 marca podpisał w Wiedniu protokół o przystąpieniu do paktu trzech. W nocy z 26 na 27 marca w Belgradzie nastąpił przewrót wojskowy, zainspirowany przez wywiad bądź to angielski, bądź to sowiecki. Nowy rząd generała Simovicia ogłosił, że zdecydowanie odrzuca niemieckie roszczenia, i poprosił o pomoc Związek Sowiecki. 3 kwietnia, zaledwie tydzień od przewrotu, delegacja jugosłowiańska prowadziła już w Moskwie z samym Stalinem rozmowy o zawarciu układu o przyjaźni i współpracy. Mimo że Niemcy, za pośrednictwem ambasadora Schulenburga, przekazały Mołotowowi, że *„moment do zawarcia układu z Jugosławią został wybrany niefortunnie i wywołuje niepożądane wrażenie”*, o 2.30 w nocy 6 kwietnia 1941 roku układ sowiecko-jugosłowiański został podpisany. Kilka godzin potem Luftwaffe zaczęła zaciekle bombardować Belgrad, a wojska niemieckie wkroczyły na terytorium Jugosławii. Związek Sowiecki w żaden sposób nie pomógł nowym przyjaciom. 6 kwietnia, mniej więcej o 16.00 czasu moskiewskiego, Mołotow przyjął Schulenburga i wysłuchawszy oficjalnego doniesienia o ataku Wehrmachtu na Jugosławię, ograniczył się jedynie do melancholijnej

uwagi: „*To bardzo smutne, że mimo wszelkich wysiłków rozprzestrzenienie wojny okazało się nieuchronne*”.

Co to było? Po co demonstracyjnie „*drażniono*” Hitlera, nie mając chęci — i możliwości — udzielenia Jugosławii skutecznej pomocy wojskowej? Tak czy owak w Berlinie to dziwne demarche) przyjęto ze skrajnym rozdrażnieniem. 22 czerwca 1941 roku właśnie te wydarzenia z 5–6 kwietnia Niemcy wykorzystały w memorandum o wypowiedzeniu wojny Związkowi Sowieckiemu jako główny dowód wrogiej polityki, którą rzekomo prowadził on wobec nich („*Wraz z zawarciem układu sowiecko–jugosłowiańskiego, który umacnia tyły belgradzkich spiskowców, ZSRS przyłączył się do anglo–jugosłowiańsko–greckiego frontu wymierzonego przeciwko Niemcom*”). Tak czy owak, jak uważam, można przypuszczać, że 6 kwietnia 1941 roku wojna z Niemcami wydawała się Stalinowi sprawą przyszłości. Bliskiej, ale przyszłości. W przeciwnym razie tak ostentacyjnie nie prowokowałyby Hitlera i nie wzbudzały u niego podejrzeń. Przed samą wojną Stalin trzymał się całkiem innej linii, pieszczotliwie głaszcząc — by użyć porównania Suworowa — germańskiego byka, którego doprowadzono doń na ubój.

5 maja 1941 roku sytuacja całkowicie się zmieniła. Stalin już wiedział, że do rozpoczęcia Wielkiej Wyprawy pozostało parę tygodni. Tylko tym można wytłumaczyć jego decyzję, żeby zająć stanowisko szefa rządu, co zdumiało cały świat. Nie trzeba chyba wyjaśniać, że i przed 5 maja towarzysz Stalin, choć był tylko jednym z wielu deputowanych Rady Najwyższej ZSRS, posiadał pełnię władzy. I przed 5 maja 1941 roku towarzysz Mołotow, nominalny przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych, każdy swój krok, każdą uchwałę rządu podporządkowywał jego woli. Długie lata Stalin rządził krajem, nie czując żadnej potrzeby sformalizowania swojego nieoficjalnego, acz realnego statusu dyktatora. I skoro 5 maja 1941 roku dał jednak takie dziwne przedstawienie, to trudno się doszukać innego powodu niż ten, że nieskromnie pragnął złożyć swój podpis na rozkazach i dokumentach, które miały na zawsze zmienić dzieje świata.

Między 6 kwietnia a 5 maja był jeszcze 13 kwietnia 1941 roku. Tego dnia doszło do wielkiego wydarzenia o światowym znaczeniu (w Moskwie został podpisany pakt o neutralności między ZSRS a Japonią — porozumienie, które rozwiązywało Stalinowi ręce, umożliwiając prowadzenie działań na Zachodzie), a na moskiewskim dworcu kolejowym zdarzył się niewielki

epizod, który przyciągnął uwagę polityków i dyplomatów. W raporcie ambasadora Niemiec wysłanym tegoż dnia z adnotacją „*Pilne! Tajne!*” do Berlina ten dziwny epizod został opisany następująco:

„Zupełnie niespodziewanie zarówno dla Japończyków, jak i Rosjan raptem zjawili się Stalin oraz Mołotow i ostentacyjnie przyjacielsko powitali Matsuokę oraz Japończyków, którzy tam byli obecni, i życzyli im szczęśliwej podróży. Następnie Stalin głośno zapytał o mnie, a gdy mnie odszukał, podszedł, objął mnie za ramiona i powiedział: «Powinniśmy zostać przyjaciółmi, a Pan powinien uczynić w tym celu wszystko!» Następnie Stalin zwrócił się do pełniącego obowiązki niemieckiego attache wojskowego pułkownika Krebsa i upewniwszy się, że to Niemiec, powiedział mu: «Pozostaniemy Waszymi przyjaciółmi w każdej sytuacji». Bez wątpienia Stalin witał tak pułkownika Krebsa i mnie rozmyślnie i tym samym świadomie zwrócił powszechną uwagę licznej publiczności, która tam była obecna”.

Za demonstracyjnymi uściskami poszły wkrótce również inne działania, równie demonstracyjne. W Moskwie zostały zamknięte ambasady i przedstawicielstwa dyplomatyczne krajów rozgromionych i okupowanych przez Wehrmacht.

Nie uczyniono wyjątku również dla ambasady Jugosławii, choć na układzie o przyjaźni ZSRS z tym państwem nie wysechł jeszcze atrament. W maju 1941 roku Związek Sowiecki błyskawicznie i skwapliwie uznał proniemiecki rząd Iraku, który doszedł do władzy w wyniku przewrotu wojskowego. W duchu najbardziej przychylnym wobec Niemiec rozwiązywano również kwestie współpracy gospodarczej. W memorandum MSZ Niemiec z 15 maja czytamy:

„Rozmowy z pierwszym zastępcą ludowego komisarza handlu zagranicznego ZSRS zostały przeprowadzone przez Krutikowa w wielce konstruktywnym duchu (...). Mam wrażenie, że moglibyśmy przedstawić Moskwie żądania gospodarcze wychodzące nawet poza ramy umowy z 10 stycznia 1941 roku (...). Obecnie większość importu surowców objęta umową dostarczana jest przez Rosjan punktualnie, mimo że kosztuje ich to wiele wysiłku; z umów, zwłaszcza dotyczących zboża, wywiązują się znakomicie”.

Stary hrabia Schulenburg był oczarowany uściskami gościnnych moskiewskich gospodarzy (nawiasem mówiąc, w 1944 roku były ambasador Niemiec w ZSRS został stracony za udział w spisku przeciwko Hitlerowi, tak

więc jego „*naiwna ufność*” mogła być nie tak bardzo naiwna jak się wydaje). 24 maja 1941 roku w kolejnym doniesieniu do Berlina napisał:

„Z obserwacji poczynionych tu od czasu, gdy Stalin objął najwyższą władzę w państwie, wynika, że Stalin i Mołotow utrzymują pozycje najważniejsze dla polityki zagranicznej ZSRS. Tego, że ta polityka zmierza przede wszystkim do zapobieżenia starciu z Niemcami, dowodzi stanowisko zajmowane przez rząd sowiecki w ostatnich tygodniach (podkreślenie moje — M. S.), ton sowieckiej prasy, która wszystkie zdarzenia dotyczące Niemiec naświetla w formie nie budzącej zastrzeżeń, oraz przestrzeganie umów gospodarczych”.

Hitler, na nieszczęście, nie był tak ufny. Napływające doń kanałami wywiadowczymi informacje o rozbudowie Armii Czerwonej zestawił z niespodziewaną lojalnością Moskwy i ocenił ten zwrot właściwie. 30 kwietnia 1941 roku ustalił datę rozpoczęcia operacji „*Barbarossa*” (22 czerwca) i przejścia kolei na zmaksymalizowane przewozy dla wojska (23 maja). 8 czerwca dowódcy armii otrzymali zadania wyznaczone im w planie ataku, 10 czerwca zakomunikowano im, kiedy rozpocznie się operacja. 21 czerwca wieczorem w liście do Mussoliniego Hitler tak przedstawił swoją decyzję: „*Po długich rozmyślaniach doszedłem do wniosku, że lepiej rozerwać tę pętlę, zanim zostanie zaciągnięta*”. Zresztą w owym czasie nie musiał się wiele bić z myślami, a całe zdanie o pętli na szyi należy uznać raczej za daninę złożoną gustom Duce, który lubował się w taniej teatralności. Hitler nie miał żadnych wątpliwości, że szybko odniesie wielkie zwycięstwo. Nie miał najmniejszych wątpliwości.

Takim optymistycznym prognozom sprzyjało nie tylko przekonanie, że Związek Sowiecki to „*gliniany kolos bez głowy*”, lecz również więcej niż dziwna praca niemieckich służb wywiadowczych. Jeżeli wywiad sowiecki stale zawyżał liczbę dywizji Wehrmachtu, liczbę czołgów w dywizjach pancernych, taktyczno–techniczne charakterystyki niemieckich czołgów, to ludzie tajemniczego admirała Canarisa (szefa niemieckiego wywiadu wojskowego i prawdopodobnie angielskiego agenta) systematycznie zaniżali wszystkie oceny potencjału militarnego Związku Sowieckiego. 3 lutego na naradzie Hitlera z wyższą generalicją skład Armii Czerwonej oceniano następująco: „*100 dywizji piechoty, 25 dywizji kawalerii, około 30 dywizji zmechanizowanych*”. Jak widzimy, rzeczywiste wielkości zaniżono o 50

procent, a udział kawalerii został niewspółmiernie zawyżony. Nie było nawet najmniejszej wzmianki o sowieckich korpusach zmechanizowanych (pancernych).

Jeszcze dalej poszedł generał porucznik Köstring, attache wojskowy Niemiec w ZSRS, który w marcu 1941 roku zameldował Berlinowi, że Armia Czerwona ma zaledwie 6 tysięcy czołgów, które rozdzielono po jednej kompanii (30 czołgów) między 200 dywizji strzeleckich. O czołgach T-34 i KW, wprowadzonych do uzbrojenia jeszcze 19 grudnia 1939 roku, aż do rozpoczęcia wojny niemieckie dowództwo miało bardzo mgliste pojęcie. Listę podobnych przykładów można kontynuować, lecz od razu przejdźmy do skutków tego powszechnego niedoceny przeciwnika: *„siły wydzielone dla «Barbarossy» były tak małe, iż Stalin w żaden sposób nie mógł uwierzyć, że Hitler zdecydował się na atak”*.

I rzeczywiście w składzie trzech grup armii („Północ”, „Środek”, „Południe”) pod zachodnią granicą Związku Sowieckiego skoncentrowano faktycznie: 84 dywizje piechoty, 17 dywizji pancernych i 14 zmotoryzowanych (do dywizji piechoty wliczyliśmy także 4 lekkie dywizje piechoty, 1 kawalerii i 2 strzelców górskich, do dywizji zmotoryzowanych zaś jednostki Waffen SS, odpowiadające 5 „dywizjom umownym”). Ogółem — 115 dywizji. Jak Stalin mógł uwierzyć, że z takimi siłami Hitler zaryzykuje ofensywę przeciwko Armii Czerwonej, która jeszcze w czasie pokoju liczyła ponad 300 dywizji? Przy czym nawet tych 115 dywizji w maju 1941 roku nie stało się jeszcze u granic ZSRS.

Faktycznie 15 maja 1941 roku Niemcy skoncentrowali na wschodzie 66 dywizji piechoty, 3 pancerne i 1 zmotoryzowaną. Sowiecki wywiad oceniał (z tradycyjną nadwyżką), że przeciwnik ma 119 dywizji, ale i to była mniej niż połowa sił Wehrmachtu, które szacowano (znowu zawyżając rzeczywistą wielkość o 25–30 procent) na 260–285 dywizji. Jakże Stalin mógł uwierzyć, że Hitler rozpocznie inwazję, nie zgromadziwszy przy sowieckiej granicy przynajmniej dwóch trzecich swojej armii?

Jak już odnotowałem w pierwszym rozdziale, wywiad sowiecki i wyższe dowództwo Armii Czerwonej spodziewali się 175–200 niemieckich dywizji z 10 tysiącami czołgów. Niczego podobnego w maju 1941 roku jeszcze nie było. Na ogromnym obszarze od Bałtyku do Karpat Niemcy koncentrowali mniejsze siły niż na granicy z Belgią i Holandią 10 maja 1940 roku. Toteż

Stalin, nie zwracając szczególnej uwagi na dziwne miotanie się swojego berlińskiego konkurenta, kontynuował intensywne przygotowania do Wielkiej Wyprawy.

ROZDZIAŁ 7. HIPOTEZA NR 2

5 maja 1941 roku Stalin oficjalnie objął stanowisko szefa rządu ZSRS, Mołotow zaś został jego zastępcą i zachował funkcję ludowego komisarza spraw zagranicznych. Tego samego dnia w Wielkim Pałacu Kremlowskim odbyła się uroczysta akademii na cześć absolwentów wyższych szkół wojskowych Robotniczo–Chłopskiej Armii Czerwonej. Stalin wygłosił do zebranych czterdziestominutowe przemówienie, które dla skąpego w słowach „*Gospodarza*” było bardzo długie.

Przemówienie to jest tym bardziej znamienne, że zostało wygłoszone tego samego dnia, kiedy Stalin objął stanowisko szefa rządu, co niewątpliwie przyciągnęło uwagę wszystkich, w tym i uczestników owej akademii w Wielkim Pałacu Kremlowskim.

Za życia Stalina tekst jego mowy z 5 maja 1941 roku nigdy nie był publikowany — ani przed rozpoczęciem wojny, ani po jej zwycięskim zakończeniu. Już to daje podstawy do twierdzenia, że w przemówieniu do absolwentów akademii wojskowych Stalin nie wspomniał ani słowem, że Niemcy mogą napaść na ZSRS. W przeciwnym razie nawet uczniowie podstawówki musieliby się nauczyć na pamięć historyjki „*o genialnej przenikliwości wielkiego wodza, który na długo przed zdradziecką napaścią odkrył perfidne zamiary wroga*”. W 1995 roku MSZ Rosji w wielotomowym zbiorze **Dokumenty polityki zagranicznej** (tom 23, księga 2) opublikował tekst tego Stalinowskiego przemówienia. W końcu publikacji, jak należy, powołano się na źródło: pismo „**Iskusstwo kino**” („**Sztuka Filmowa**”) nr 5 z 1990 roku. To rzeczywiście „*kino*”! Ministerstwo Spraw Zagranicznych jest najbardziej oficjalną ze wszystkich oficjalnych instytucji. W zbiorze dokumentów wydanym przez MSZ nie powinno być żadnych innych odsyłaczy oprócz numeru archiwalnego (lub numerów gazety „**Izwestija**”, która była oficjalnym miejscem publikacji komunikatów rządowych). Tam ich nie ma. Publikacja z odsyłaczem do czasopisma filmowej go jest jedynym (przynajmniej w całym 23 tomie) wyjątkiem od reguły. W istocie autorzy zbioru przebiegle umyli ręce, spychając odpowiedzialność za autentyczność zapisu mowy Stalina. na „**Iskusstwo kino**”.

Z punktu widzenia sztuki literackiej opublikowane przemówienie ewidentnie jest niepełne. Dwa ostatnie zdania brzmią tak: *„Każdy polityk, każdy działacz, który ulega samozadowoleniu, może się znaleźć w obliczu zaskoczenia, tak jak znalazła się Francja przed katastrofą. Jeszcze raz gratuluję i życzę wam sukcesu”*. Jest dla mnie oczywiste, że pomiędzy nimi ziele dziura. Wszystkie przemówienia i artykuły Stalina były klarowne, wyraziste, konsekwentne, proste (żeby nie powiedzieć prymitywne) w sposobie ujęcia. Pytanie — odpowiedź, pytanie — odpowiedź. Nic z postmodernistycznego „*strumienia świadomości*”. Wzmianka o klęsce Francji w żadnym razie nie mogła być ostatnim merytorycznym zdaniem (przed tradycyjnymi życzeniami sukcesu) przemówienia Stalina do dowódców Armii Czerwonej. Zresztą i jego opublikowane fragmenty są dość wymowne:

„Czy rzeczywiście armia niemiecka jest niezwyciężona? Nie. Na świecie nie ma i nie było armii niezwyciężonych. Są armie najlepsze, dobre i słabe (...). Z wojskowego punktu widzenia w armii niemieckiej nie ma nic szczególnego ani w czołgach, ani w artylerii, ani w lotnictwie. Znaczna część armii niemieckiej traci animusz, który miała na początku wojny. Poza tym w armii niemieckiej pojawiła się pyszałkowatość, samozadowolenie, zarozumiałość. Myśl wojskowa Niemiec nie posuwa się naprzód, technika wojskowa pozostaje w tyle nie tylko za naszą, ale pod względem lotnictwa Niemcy zaczyna wyprzedzać nawet Ameryka (...). W sensie dalszego rozwoju militarne armia niemiecka straciła ochotę na dalsze ulepszanie techniki wojskowej. Niemcy uważają, że ich armia jest idealna, najlepsza, niezwyciężona. To nieprawda. Armię należy nieustannie, dzień za dniem doskonalić”.

I dopiero po tym passusie nastąpił ów wieloznaczny wywód, że *„Każdy polityk, każdy działacz, który popada w samozadowolenie, może się znaleźć w obliczu zaskoczenia, tak jak znalazła się Francja przed katastrofą”*.

Nawet bez pełnego tekstu przemówienia Stalina nietrudno się domyślić, kogo miał on na myśli, mówiąc o samozadowoleniu polityka, którego może czekać katastrofalne zaskoczenie... I nawet nie trzeba zgadywać, bo wystarczy sięgnąć do zebranych w niemieckich archiwach zeznań jeńców dowódców Armii Czerwonej. Joachim Hoffman (niemiecki historyk, który od 1960 do 1995 roku pracował w ośrodku badawczym historii wojskowości Bundeswehry, a w końcu został jego dyrektorem) w swoim studium przytacza

liczne przykłady na to, że dowódcy w różnym wieku i stopniu, wzięci do niewoli w różnym czasie na rozmaitych odcinkach frontu, praktycznie w jednakowych słowach przekazują wypowiedzi Stalina: „*czy Niemcy tego chcą czy nie, wojna Związku Sowieckiego z Niemcami — będzie*”. Warta nie mniejszej uwagi jest informacja, którą podał w swoich pamiętnikach radca ambasady Niemiec w ZSRS Gustav Hilger. Przyczytał on zeznania trzech sowieckich jeńców oficerów, którzy donieśli, że Stalin podczas bankietu (nieodłącznego od akademii w pałacach kremlowskich) oznajmił mniej więcej co następuje: „*Epoka pokojowej polityki się zakończyła i nastąpiła epoka rozszerzenia frontu socjalistycznego przemocą. Kto nie uznaje konieczności działań ofensywnych, ten jest albo filistrem, albo idiotą*”. Z wyjątkiem ostatniego ordynarnego zdania, te — wywołujące zrozumiałą nieufność — zeznania jeńców są całkowicie zbieżne z zachowanym w Rosyjskim Archiwum Państwowym (f. 558, op. 1, d. 38808, s. 11–12) zapisem toastów wznoszonych na tym bankiecie. Zgodnie z nim Stalin powiedział:

„*Dotychczas prowadziliśmy linię obronną — dopóty, dopóki nie przebroiliśmy naszej armii, nie zaopatrzyli jej w nowoczesne środki walki. A teraz, kiedy naszą armię przebudowaliśmy, nasyciliśmy sprzętem do nowoczesnej walki, kiedy staliśmy się silni — teraz trzeba od obrony przejść do natarcia. Prowadząc obronę naszego kraju, jesteśmy zobowiązani działać w sposób ofensywny. Od obrony przejść do wojennej polityki działań ofensywnych*”.

Od wygłoszonych na rauszu przemówień przejdźmy teraz do konkretnych planów operacyjnych Naczelnego Dowództwa Armii Czerwonej. W pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych odtajniono i opublikowano następujące dokumenty:

— raport ludowego komisarza obrony ZSRS i szefa Sztabu Generalnego Armii Czerwonej dla KC WKP(b) [na ręce] J. W. Stalina i W. M. Mołotowa „*O podstawach rozwinięcia strategicznego Sił Zbrojnych na Zachodzie i na Wschodzie*”, bez numeru, najpóźniej 16 sierpnia 1940 roku (Centralne Archiwum Ministerstwa Obrony, f. 16, op. 2951, d. 239, s. 1–37);

— dokument o takim samym tytule, ale już z numerem (103202) i dokładną datą (18 września 1940 roku) podpisania (CAMO, f. 16, op. 2951, d. 239, s. 197–244);

— raport ludowego komisarza obrony ZSRS i szefa Sztabu Generalnego Armii Czerwonej dla KC WKP(b) [na ręce] J. W. Stalina i W. M. Mołotowa nr 103313 (dokument zaczyna się od słów: *„Do Waszego zatwierdzenia przedstawiam raport o podstawowych wnioskach z Waszych wskazań udzielonych 5 października 1940 roku przy rozpatrywaniu planów rozwinięcia strategicznego Sił Zbrojnych ZSRS na 1941 rok”*, w związku, z czym dokument ten zwykle nazywany jest sprecyzowanym październikowym planem rozwinięcia strategicznego (CAMO, f. 16, op. 2951, d. 242, s. 84–90);

— raport szefa sztabu Kijowskiego Specjalnego OW w sprawie uchwały rady wojennej Frontu Południowo–Zachodniego w związku z planem rozwinięcia na 1940 rok, bez numeru, najpóźniej w grudniu 1940 roku (CAMO, f. 16, op. 2951, d. 239, s. 245–277);

— wyjątki raportu Sztabu Generalnego Armii Czerwonej *„O strategicznym rozwijaniu Sił Zbrojnych ZSRS na Zachodzie i na Wschodzie”*, bez numeru, z 11 marca 1940 roku (CAMO, f. 16, op. 2951, d. 241, s. 1–16);

— dyrektywa ludowego komisarza obrony ZSRS i szefa Sztabu Generalnego Armii Czerwonej dla dowódcy wojsk Zachodniego Specjalnego OW w sprawie opracowania planu rozwinięcia strategicznego wojsk okręgu, bez numeru, kwiecień 1941 roku (CAMO, f. 16, op. 2951, d. 237, s. 48–64);

— *„Opinie dotyczące planu rozwinięcia strategicznego Sił Zbrojnych Związku Sowieckiego w wypadku wojny z Niemcami i ich sojusznikami”*, bez numeru, najwcześniej 15 maja 1941 roku (CAMO, f. 16, op. 2951, d. 237, s. 1–15);

Do dokumentów opisujących plany operacyjne sowieckiego dowództwa należy zaliczyć również materiały z gier operacyjno–strategiczných przeprowadzonych w styczniu 1941 roku przez wyższe dowództwo Robotniczo–Chłopskiej Armii Czerwonej. Do takiego wniosku skłania nas nie tylko zwykła logika, lecz również opublikowany dopiero w 1992 roku artykuł marszałka Aleksandra M. Wasilewskiego (jako zastępca szefa Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego uczestniczył on w opracowaniu wszystkich wyżej wymienionych planów operacyjnych), który napisał wprost, że *„w styczniu 1941 r., kiedy zbliżanie się wojny wyczuwało się już wyraźnie, podstawowe elementy planu operacyjnego zostały sprawdzone w wojennej grze strategicznej z udziałem najwyższych dowódców sił zbrojnych”*.

Ściśle mówiąc, materiałów do przemyśleń jest aż nadto. Historycy mają do dyspozycji pięć wariantów ogólnego planu rozwinięcia strategicznego Armii Czerwonej oraz materiały z operacyjnych planów dwóch najważniejszych frontów: Południowo–Zachodniego i Zachodniego. Operacyjno–strategiczne plany sowieckiego dowództwa zostały już dokładnie przeanalizowane w pracach p. Bobylewa, W. Daniłowa, W. Kisielowa, M. Mieltiachowa, B. Pietrowa i innych historyków rosyjskich. Do naszych badań wystarczy odnotować tylko kilka najważniejszych spraw.

Po pierwsze, Armia Czerwona miała plan operacyjny wielkiej wojny na Zachodzie („*Plan operacyjny wojny przeciwko Niemcom istniał i został opracowany w Sztabie Generalnym, a także uszczegółowiony przez dowodzących wojskami i sztabami zachodnich przygranicznych okręgów wojskowych Związku Sowieckiego*” — A. M. Wasilewski). Dziwne, że trzeba to szczególnie podkreślać, ale niektórzy komunistyczni propagandiści w swojej „gorliwości większej od rozumu” zapędzali się aż do twierdzenia, że „*naiwny i ufny*” Stalin zamiast kreślić plany działań bojowych, kontemplował podpis Ribbentropa na osławionym pakcie o nieagresji. To jasne, że plan wojny z Niemcami istniał przez wiele miesięcy, że pracowano nad nim, nie zastanawiając się nad paktem. Warto zauważyć, że wszystkie znane nam plany operacyjne są praktycznie jednym i tym samym dokumentem, który z wariantu na wariant zmienia się tylko nieznacznie. Zbieżności są nie tylko merytoryczne, lecz i tekstowe — dotyczy to wszystkich planów. Grupa osób dopuszczonych do zaznajomienia się z tymi dokumentami była skrajnie ograniczona i niemal niezmienna: Stalin, Mołotow, Timoszenko, Wasilewski, Watutin i trzech kolejno zmienianych szefów Sztabu Generalnego (Szaposznikow, Mierieckow, Żukow).

Po drugie, wszystkie bez wyjątku plany dotyczą operacji ofensywnej, prowadzonej poza granicami ZSRS, przy czym jako główny przeciwnik niezmiennie wymieniane są Niemcy. Działania bojowych na własnym terytorium nie rozpatruje się nawet jako jednego z możliwych wariantów rozwoju wydarzeń wojennych, całe nazewnictwo teatru przypuszczalnych działań bojowych zawiera nazwy polskich i pruskich miast i rzek. Głębokość natarcia w ramach rozwiązywania „*pierwszego*” lub „*najbliższego*” zadania strategicznego wynosi 250–300 km, czas operacji — 20–30 dni.

Po trzecie, w każdym z wariantów planu rozwinięcia strategicznego znajduje się smutne stwierdzenie, że *„Sztab Generalny Armii Czerwonej nie dysponuje dokumentalnymi danymi o planach operacyjnych prawdopodobnych przeciwników zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie”*. To zdanie zaiste powinno się stać mottem rozmaitych opracowań, zarówno sowieckich, jak i współczesnych rosyjskich „twórców” na ulubiony przez nich temat *„Sekrety Hitlera na biurku Stalina”*.

Po czwarte, wszystkie warianty planu są dość awanturnicze i zapewne odzwierciedlają ukryte starcie opinii między Stalinem a najwyższym dowództwem, o czym była już mowa. Szacunek sił przeciwnika, od którego zaczyna się każdy z rozpatrywanych dokumentów, jest znacznie zawyżony. Wynika więc z tego, że Armia Czerwona powinna przejść do zdecydowanego natarcia, mając nieznaczną przewagę liczebną. Co więcej, według wariantu planu z września 1940 roku Armia Czerwona nawet ustępowała spodziewanym siłom niemieckim — nie Ucząc wojsk sojuszników Rzeszy! — liczbą dywizji piechoty, ale przy tym mimo wszystko zamierzano *„potężnym uderzeniem w kierunkach na Lublin i Kraków, i dalej na Wrocław od razu na pierwszym etapie wojny odciąć Niemcy od krajów bałkańskich i pozbawić je najważniejszych baz gospodarczych”*. Dziwna zarozumiałość — zwłaszcza jeśli zważyć, że sporządzony tego samego dnia, 18 września 1940 roku, plan wojny z Finlandią przewidywał stworzenie trzykrotnej przewagi nad armią fińską, jeśli idzie o liczbę dywizji, i dziesięciokrotnej przewagi w lotnictwie. Powstaje wrażenie, że wojskowi (Timoszenko, Szaposznikow, Mierieckow), celowo zawyżając potencjał militarny Niemiec, usiłowali skłonić *„Gospodarza”* do większej powściągliwości, do przeniesienia początku ataku na Europę na termin późniejszy, gdy uda się osiągnąć znaczną przewagę sił. Towarzysz Stalin jednak z uporem żądał śmiałych działań ofensywnych.

Piąte, i zapewne najważniejsze: dopiero powstały w sierpniu 1940 roku wariant planu uzależnia wybór kierunku głównego uderzenia Armii Czerwonej od prawdopodobnych planów przeciwnika: *„przyjmując, że podstawowe uderzenie Niemców będzie skierowane na północ od ujścia rzeki San, również główne siły Armii Czerwonej należy mieć rozwinięte na północ od Polesia”*. Bardzo, ale to bardzo naciągając logikę, można by to nazwać planowaniem odwzajemnionego przeciwuderzenia. We wszystkich następnych wariantach ustalano kierunek głównego uderzenia ze względu na

operacyjną i polityczną „korzyść” nacierającej Armii Czerwonej, bynajmniej nie uzależniając tego od oceny planów przeciwnika. Konkretniej: począwszy od września 1940 roku, wszystkie warianty planu operacyjnego przewidują zadanie głównego uderzenia w południowej Polsce, z terenu tak zwanego występu lwowskiego w ogólnym kierunku na Kraków–Katowice. Wybór ten autorzy dokumentu uzasadniają tym, że przeciwnik nie ma tam (w odróżnieniu od „wschodniego wariantu” natarcia w Prusach Wschodnich) stałych umocnień obronnych. Ponadto charakter tamtejszego terenu umożliwia wykorzystanie w większym stopniu siły uderzeniowej formacji pancernych (zmechanizowanych). Taki wariant umożliwiał też — już na pierwszym etapie wojny — odcięcie Niemiec od sojuszników w tym rejonie (Rumunii, Węgier i Bułgarii), zasobów surowcowych (ropa naftowa) i żywnościowych Europy Południowo–Wschodniej. Ocena prawdopodobnych planów niemieckiego dowództwa (zadanie głównego ciosu na północ albo na południe od bagien Polesia) kilkakrotnie się zmieniała, co jednak nie miało żadnego wpływu na wybór kierunku głównego uderzenia Armii Czerwonej.

W nie opublikowanym w 1965 roku artykule marszałek Wasilewski, faktyczny autor przedwojennych planów rozwinięcia strategicznego Armii Czerwonej (to właśnie spod jego ręki one wyszły) pisał: „*Mówiąc o błędach, trzeba przede wszystkim powiedzieć, że brak było bezpośredniej odpowiedzi na zasadnicze pytanie — na ile prawdopodobna jest napaść na nas faszystowskich Niemiec, nie mówiąc już o orientacyjnym terminie tej napaści*”. Tę samą myśl można wyrazić jaśniej i prościej: Stalin prowadził własną aktywną grę i nie zamierzał oddawać przeciwnikowi inicjatywy w wyborze czasu i miejsca zadania pierwszego ciosu. Dziś można już z całą pewnością stwierdzić, że włączenie do Regulaminu bojowego tezy, że „*wojnę będziemy prowadzić ofensywnie, w najbardziej zdecydowanym celu całkowitego rozgromienia przeciwnika na jego własnym terytorium*”, wcale nie było zabiegiem propagandowym, ale odzwierciedleniem planów strategicznych najwyższych władz wojskowo–politycznych.

Warto odnotować jeszcze jeden wielce znamienny szczegół. Dokumenty sporządzone w okręgach wojskowych (lub adresowane do ich dowództw) pod względem treści, a często i stylu, w całych akapitach są zbieżne z ogólnym planem rozwinięcia strategicznego Armii Czerwonej i ogólnym planem pierwszych operacji ofensywnych.

Jest jednak również ważna różnica. W pierwszych liniijkach „dokumentów okręgowych” (notatka szefa sztabu Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego z grudnia 1940 roku oraz dyrektywa nakazująca opracowanie planu rozwinięcia Zachodniego SOW z kwietnia 1941 roku) zawarte jest takie zdanie: „pakty o nieagresji między ZSRS a Niemcami oraz między ZSRS a Włochami obecnie, jak można sądzić, zapewniają sytuację pokojową na naszych granicach zachodnich!” Natomiast w dokumentach wyższego dowództwa (raport komisarza obrony dla Stalina i Mołotowa) o osławionym pakcie nie ma ani słowa! Dalej, w kwietniu 1941 roku dyrektywa komisarza obrony tak instruuje dowódcę wojsk Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego:

„ZSRS nie zamierza napaść na Niemcy i Włochy. Te państwa też chyba w najbliższym czasie nie chcą napaść na ZSRS. Jednakże, biorąc pod uwagę (tu lista różnych wydarzeń w polityce zagranicznej — M. S.), przy opracowaniu planu obrony należy uwzględnić nie tylko takich przeciwników jak Finlandia, Rumunia, Anglia, ale i takich ewentualnych przeciwników jak Niemcy, Włochy i Japonia”.

Nawiasem mówiąc, w dokumentach wyższego dowództwa Anglia (przynajmniej od sierpnia 1940 roku) nie była wymieniana jako możliwy przeciwnik ZSRS, za to głównym przeciwnikiem nazywano od tego czasu Niemcy, które hipotetyczny mogły mieć poparcie Włoch, Węgier, Rumunii i Finlandii. więc zamierzona dezinformacja własnych wojsk (jako ważny element ukrywania rzeczywistych planów) sięgała nawet do szczebla dowódców okręgów. Czy zatem można się więc, że sowieccy generałowie i marszałkowie, którzy rozpoczęli wojnę w randze dowódców pułków i dywizji, w pamiętnikach wyrażają opinię (zapewne całkiem szczerze), że „Stalin uwierzył w podpis Ribbentropa na pakcie o nieagresji...”?

Jeżeli naukową dyskusję o ogólnym ukierunkowaniu i konkretnej zawartości planów operacyjnych dowództwa Armii Czerwonej w zasadzie można uważać za zakończoną, to kwestia, na kiedy Stalin zaplanował rozpoczęcie realizacji tych planów, wciąż jest dyskusyjna. Nic dziwnego: jeżeli samo opracowanie planów działań ofensywnych na obcym terytorium można by, z pewnym naciąganiem, nazwać pracą rutynową, którą jako środek ostrożności prowadzi każdy sztab generalny, to ustalenie konkretnej daty zaplanowanej napaści na Europę zmusza do ponownej oceny roli Związku

Sowieckiego w II wojnie światowej. Zrozumiałe, że aby ukryć i wypaczyć informacje w tej sprawie, oficjalna sowiecka i postsowiecka „*nauka historyczna*” dołożyła wszelkich starań.

Sytuacji, która powstała w rodzimej historiografii początkowego okresu Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, nie można nazwać inaczej jak teatrem absurdu. Uważny czytelnik spostrzegł zapewne, że wszystkie wymienione dokumenty dotyczące wojskowego planowania strategicznego znajdują się w jednym miejscu: f. 16, op. 2951 Centralnego Archiwum Ministerstwa Obrony. Zbiór ten nie został odtajniony, co znaczy, że nikt z wyjątkiem historyków związanych z Głównym Zarządem Politycznym nie ma do nich dostępu. Tak więc od ponad dziesięciu lat trwa niedorzeczna sytuacja: liczne dokumenty zostały opublikowane, ale nie odtajnione! Nie możemy ani sprawdzić zgodności opublikowanych tekstów, ani uzupełnić fragmentów, o których publikujący „*zapomnieli*”. Chociaż to nie kto inny jak sam Machmud Achmetowicz Gariejew doniósł w 1995 roku, że do referatu z 11 marca 1941 roku (w tej części określającej tryb działań Frontu Południowo–Zachodniego, która nie znalazła się w „*malinówce*”!) ręka Watutina wpisała zdanie: „*Natarcie rozpocząć 12.6.*”. Jak to należy zrozumieć? Z braku dostępu do f. 1, op. 2951 można tylko zgadywać, czy to prawda...

Wróćmy jednak do opublikowanych dokumentów. W grudniu 1940 roku — jak można wnioskować z raportu szefa sztabu Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego — rozpoczęcie działań bojowych wydawało się sprawą nieskończenie odległej przyszłości („*napaść zbrojna Niemiec na ZSRS jest najbardziej prawdopodobna w sytuacji, gdy Niemcy zwyciężą w walce z Anglią i zachowają decydujące wpływy gospodarcze i wojskowe na Bałkanach*”). Końca wojny Niemiec z Anglią nie było widać, a zatem sowieckie dowództwo miało dość czasu na przygotowanie i zadanie pierwszego ciosu. Wszystkie inne wymienione wyżej plany rozwinięcia strategicznego 1940 roku nie zawierają żadnych wzmianek, kiedy ma do niego dojść. To, że przebieg gier operacyjnych ze stycznia 1941 roku wiązał się z datami sierpniowymi, zwraca uwagę, ale pochopnie byłoby wyciągać z tego daleko idące wnioski. Raport Sztabu Generalnego Armii Czerwonej z 11 marca 1941 roku — wbrew wszelkim pisanim i niepisanim regułom naukowego publikowania dokumentów historycznych — jest przytoczony w formie skrajnie okrojonej. W rzeczywistości wydano tylko przegląd

domniemanych planów i ugrupowań przeciwnika. Plany sowieckiego dowództwa powstały „*poza kadrem*”.

Dyrektywa ludowego komisarza obrony z kwietnia 1941 roku dotycząca nakreślenia planu rozwinięcia operacyjnego wojsk Zachodniego SOW opiera się chyba jeszcze na poglądzie, że Armia Czerwona przystąpi do ofensywy w 1942 roku albo nawet później.

Zgodnie z tą dyrektywą miażdżące, rozcinające uderzenia na Warszawę i Radom powinny być wykonane przez pięć korpusów zmechanizowanych, z których latem 1941 roku kompletny był tylko jeden (VI Korpus Zmechanizowany), dwa (XI i XIV) miały zakończyć się formować dopiero na początku 1942 roku, a pozostałe dwa (XIII i XVII) znalazły się na liście „*zredukowanych*” i na koniec 1941 roku ich planowe wyposażenie w czołgi nie przewyższało 25–30 procent. Chyba nie na takie siły liczone, tworząc plany „*uderzenia lewym skrzydłem frontu w ogólnym kierunku na Siedlce, Radom w celu całkowitego okrążenia (we współdziałaniu z Frontem Południowo–Zachodnim) lubelskiego zgrupowania przeciwnika (...) zdobycia Siedlec na trzeci dzień operacji i piątego dnia przeprawienia się przez Wisłę*”.

Największe podniecenie wywołało opublikowanie „**Opinii o planie rozwinięcia strategicznego**” z maja 1941 roku. Może wynikało to z tego, że ów dokument został opublikowany wcześniej niż wszystkie pozostałe (w numerze 1 i 2 pisma „**Wojenno–istoriczeskij żurnal**” z 1992 roku). Być może publiczność, która nie zdążyła się jeszcze odzwyczaić od tradycyjnych mitów sowieckiej pseudohistorycznej propagandy, była zaszokowana zdaniem: „*Uważam za konieczne w żadnym razie nie oddawać inicjatywy niemieckiemu dowództwu, uprzedzić przeciwnika i zaatakować armię niemiecką w tym momencie, gdy będzie się znajdowała w stadium rozwijania i nie zdąży jeszcze zorganizować frontu i współdziałania rodzajów wojsk*”. Pomysł rozsądny, ale przy tym zupełnie oczywisty i wcale nie nowy dla sowieckich dowódców. I tak jeszcze w kwietniu 1939 roku Kirył Afanasjewicz Mierieckow, w tym czasie dowodzący wojskami Leningradzkiego Okręgu Wojskowego, podczas analizy gry dowódczo–sztabowej przeprowadzanej przez radę wojenną okręgu powiedział: „*W czasie, gdy nasi przeciwnicy będą mobilizować swoje armie, wieść swoje wojska ku naszym granicom, my nie będziemy siedzieć i czekać. Nasze przygotowanie operacyjne, przygotowanie wojsk powinno zmierzać do tego,*

by faktycznie zapewnić całkowitą porażkę przeciwnika już w tym okresie, gdy jeszcze nie zdąży zebrać wszystkich swych sił”.

Niemniej jednak majowe „**Opinie**” — powtarzające wszystkie poprzednie warianty planu rozwinięcia strategicznego, jeśli idzie o cele, zadania, kierunki głównych uderzeń, terminy i rubieże — rzeczywiście zawierają pewien nowy element. Wyrażono go w zdaniu poprzedzającym sformułowanie „*wyprzedzić przeciwnika*”. A mianowicie: „*Niemcy mają możliwość wyprzedzić nas w rozwijaniu i niespodzianie zadać cios*”. We wszystkich innych wariantach planu rozwinięcia strategicznego Armii Czerwonej nie ma podobnego zdania. Oczywiście nie mówimy o „*większej agresywności*” majowych „**Opinii**” — konieczność wyprzedzenia przeciwnika i „*nieoddawania mu inicjatywy*” jest jedynie elementarnym wymogiem zdrowego rozsądku. Nowość polega na tym, że w maju 1941 roku sowieckie dowództwo nie było już tak pewne, że mu się to uda, toteż uparcie radziło Stalinowi, by niezwłocznie dokonał niezbędnych przedsięwzięć, „*bez których nie będzie możliwe zadanie niespodziewanego ciosu przeciwnikowi zarówno z powietrza, jak i na ziemi*”. Wszystko to uzasadnia przypuszczenie, że do połowy maja 1941 roku sowieckie dowództwo wyraźnie zrozumiało, że napaść Niemiec na ZSRS jest możliwa, i to jeszcze przed zwycięstwem Niemiec nad Imperium Brytyjskim. Uświadomiwszy to sobie, zdecydowało się zmienić (czyli przybliżyć!) termin uderzenia na niemieckie wojska.

24 maja 1941 roku odbyła się wielogodzinna narada, w której oprócz Stalina uczestniczyli:

- zastępca szefa rządu i ludowy komisarz spraw zagranicznych Mołotow;
- ludowy komisarz obrony Timoszenko;
- szef Sztabu Generalnego Żukow i jego pierwszy zastępca, szef Zarządu Operacyjnego Watutin;
- szef Głównego Zarządu Sił Powietrznych Armii Czerwonej Żygarijew;
- dowódcy pięciu wschodnich okręgów pogranicznych, członkowie rad wojennych (komisarze) i dowódcy sił powietrznych tych okręgów.

Wszyscy wojskowi wyszli z gabinetu „*Gospodarza*” o 21.20. Pozostał tylko Mołotow, a po pięciu minutach wszedł urzędnik bardzo skromnej (w porównaniu z wyżej wymienionymi) rangi: pierwszy sekretarz sowieckiego

poselstwa w Bułgarii towarzysz Ławriszczew, który spędził w towarzystwie dwóch najwyższych mężów stanu 55 minut!

Skąd o tym wiemy? Na początku pierestrojki, w 1990 roku czasopismo „**Izwestija CK KPSS**” miało nieostrożność opublikować wielostronicową „*Księgę zapisu osób przyjętych przez tow. Stalina*”, w której z dnia na dzień, z roku na rok, odnotowywano wszystkich, którzy wchodzili i wychodzili z gabinetu wodza. W tamtym roku KC KPZR w ogóle wiele rzeczy robił bez zastanowienia... Tylko dzięki tej „*Księdze zapisu osób*” dowiedzieliśmy się o naradzie z 24 maja 1941 roku oraz że innych reprezentatywnych zebrań wyższych władz wojskowo–politycznych nie było ani kilka miesięcy przed 24 maja, ani po tej dacie aż do początku wojny. I to jest właściwie wszystko. Niczego więcej nie wiadomo do dziś. Ani sowiecka, ani postsowiecka historiografia nie uрониły ani słowa o temacie narady i decyzjach podjętych 24 maja. Nieliczni jej uczestnicy, którzy dożyli do śmierci Stalina, też niczego nie zdradzili w swoich wspomnieniach. Autorzy „*malinówki*” w przedmowie do tego dwutomowego zbioru informują, że spośród 10 tysięcy odtajnionych dokumentów wybrali „*600 najważniejszych i najciekawszych*”. Niestety, protokołów narady z 24 maja 1941 roku ani jakiegokolwiek wzmianki! o podjętych wówczas decyzjach za takie nie uznali. Odtajnione już na początku XXI wiekuteczki specjalne protokołów z posiedzeń Politbiura KC WKP(b) w maju 1941 roku (Rosyjskie Archiwum Państwowe, f. 17, op. 162, d. 34, 35) również nie zawierają najmniejszych wzmianek o tej naradzie. I tylko Wasilewski w artykule, który przeleżał w zaciśniętych archiwach niemal 27 lat, wspomina: „*Kilka tygodni przed napaścią na nas faszystowskich Niemiec, dokładnej daty, niestety, nie potrafię podać, cała dokumentacja dotycząca planów operacyjnych okręgów została przekazana przez Sztab Generalny dowództwu i sztabom odpowiednich okręgów wojskowych*”.

Niemniej znamieną jest lista osób, których nie było na naradzie 24 maja. Nie zostali zaproszeni:

- przewodniczący Komitetu Obrony przy Radzie Komisarzy Ludowych ZSRS marszałek Woroszyłow;
- zastępcy komisarza obrony marszałkowie Budionny, Kulik i Szaposznikow, generał armii Mierieckow;
- szef Głównego Zarządu Propagandy Politycznej RKKa Zaporozec;
- ludowy komisarz Marynarki Wojennej Kuzniecowa;

- ludowy komisarz spraw wewnętrznych Beria;
- sekretarze KC WKP(b) Żdanow i Malenkow, którzy po linii partyjnej zajmowali się sprawami wojskowymi i wchodzili w skład Głównej Rady Wojennej.

Jakie zatem wnioski możemy wyciągnąć na podstawie tych urywków informacji? 24 maja 1941 roku odbyła się narada najwyższych władz wojskowo-politycznych kraju. Omawiano sprawę o najwyższym stopniu tajności. Skład uczestników narady był dość dziwny: brakuje marszałków zajmujących nominalnie eksponowane funkcje, obecni są generałowie porucznicy z okręgów. Gdyby w gabinecie Stalina odbywało się rutynowe posiedzenie, coś takiego jak omówienie wyników szkolenia bojowego wojsk i planów ćwiczeń na okres letni, to skład uczestników byłby inny. Pozostaje nam przypuszczać, że Wasilewskiego nie zawiodła pamięć i że właśnie 24 maja *„cała dokumentacja dotycząca planów operacyjnych okręgów została przekazana przez Sztab Generalny dowództwu i sztabom odpowiednich okręgów wojskowych”*. Skoro tak, to dobór uczestników narady staje się całkiem zrozumiały: byli na niej tylko ci, którzy opracowywali ostatni wariant operacyjnego planu wojny, oraz ci, którym ten plan został przedstawiony (Stalin, Mołotow, Timoszenko, Żukow, Watutin), a także bezpośredni wykonawcy, którzy mieli ten plan zrealizować. Partyjnym i wojskowym bonzom z ogromnymi gwiazdami i w lampasach te supertajne informacje na razie nie były potrzebne, toteż nie zaproszono ich na naradę. Pojawienie się w gabinecie Stalina skromnego towarzysza Ławriszczewa też nie było przypadkowe. Na ile można wnosić ze wszystkich dostępnych wariantów Planu rozwinięcia strategicznego Armii Czerwonej, główne uderzenie miało być zadane w południowej Polsce, a następnie oś natarcia zwracała się na południe, przez Węgry na Bałkany.

Prawdopodobnie dlatego po omówieniu głównych, czyli wojskowych, kwestii Stalin i Mołotow wysłuchali informacji o sytuacji politycznej na przyszłym teatrze działań wojennych, których udzielił im ów *„dyplomata”* (najpewniej szef rezydentury wywiadu na Bałkanach).

Jeżeli to przypuszczenie jest słuszne i na naradzie 24 maja 1941 roku zatwierdzony przez Stalina wariant planu operacyjnego został podany do wiadomości dowódcom okręgów (czyli przyszłym dowódcom frontów), to *„rozpiętość możliwych dat”* zaplanowanego rozpoczęcia wojny zmniejsza się

praktycznie do dwóch miesięcy: od początku lipca do końca sierpnia 1941 roku. Wyjaśnijmy pokrótce, co prowadzi do tego dość oczywistego wniosku.

Gdyby uderzenie na Europę wciąż planowano na rok 1942, to w maju roku 1941 tej supertajnej informacji nie podawano by jeszcze do wiadomości dowódcom okręgów. Byłoby to przedwcześnie. I groźne — zwiększałoby możliwość wycieku informacji. Zresztą byłoby również bezsensowne: w ciągu 8–9 miesięcy sytuacja wielokrotnie może się zmienić. Nie tylko na 12, ale i na 22 czerwca 1941 roku rozwinięcie strategiczne było jeszcze bardzo dalekie od zakończenia. Między innymi nie rozpoczęło to jawnej mobilizacji, a bez tego cały kompleks przedsięwzięć związany z rozwinięciem strategicznym byłby w zasadzie niewykonalny. Zresztą i następnego dnia po ogłoszeniu mobilizacji nie sposób rozpocząć ofensywy na wielką skalę. I tak w wariantcie planu rozwinięcia strategicznego z września 1940 roku czytamy: *„W warunkach działania kolei całkowicie zgodnych z planem przewozu wojsk jako dzień przejścia do powszechnego natarcia powinien być ustalony 25 dzień od rozpoczęcia mobilizacji, czyli 20 dzień od rozpoczęcia koncentracji wojsk”*. Analogiczny okres (20 dni) niezbędny do *„koncentracji wojsk i przejścia do natarcia”* został podany również w grudniu 1940 roku w planie sztabu Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego. Co prawda w czerwcu 1941 roku w ramach tajnej mobilizacji udało się wykonać wiele ważnych etapów rozwinięcia mobilizacyjnego i strategicznego (o czym będzie mowa w następnym rozdziale), ale zakończenie wszystkich etapów nie było możliwe bez ogłoszenia jawnej mobilizacji. A zatem wymieniona przez M. A. Gariejewa data 12 czerwca — jeżeli ta informacja w ogóle jest wiarygodna — dotyczy zaledwie jednego ze wstępnych etapów opracowywania planów wojny. Realny termin rozpoczęcia ofensywy, ustalony 24 maja, w żadnym razie nie mógł przypadać wcześniej niż na początek lipca.

Warto porównać wydarzenia w Moskwie z przebiegiem przygotowań do wojny po drugiej stronie przyszłego frontu. Hitler w dyrektywie nr 21 (plan *„Barbarossa”*) obiecał swoim generałom: *„Rozkaz strategicznego rozwinięcia sił zbrojnych przeciwko Związkowi Sowieckiemu wydaję — w razie konieczności — osiem tygodni przed wyznaczonym terminem rozpoczęcia operacji”*. Osiem tygodni. Obietnicy tej, jak wielu innych, Hitler dotrzymał: dzień rozpoczęcia operacji (22 czerwca) został wyznaczony i podany do wiadomości Naczelnemu Dowództwu Wehrmachtu 30 kwietnia

1941 roku. Gdy dodamy osiem tygodni do 24 maja, to wyjdzie nam 19 lipca — całkiem realistyczny termin zakończenia wszystkich przedsięwzięć związanych ze strategicznym i mobilizacyjnym rozwinięciem Armii Czerwonej.

Z drugiej strony w Polsce południowej jesień i zima bywa wilgotna, słotna i mglista, niekiedy pada mokry śnieg. Dla lotnictwa i wojsk zmotoryzowanych jest to znacznie gorsze od „normalnej” rosyjskiej zimy z ostrymi mrozami, która wszystkie „kierunki” zmienia w drogi z twardą nawierzchnią, a wszystkie rzeki i jeziora pokrywa lodowym mostem pontonowym. Planowy czas na wykonanie „pierwszego zadania strategicznego” wynosił, jak już podałem, 25–30 dni. Na wojnie jednak nie wszystko przebiega według planu, zresztą po pierwszym zadaniu powinno następować kolejne. A zatem przełom sierpnia i września można uważać za termin krańcowy, po którym rozpoczynanie ofensywy na szeroką skalę byłoby zbyt ryzykowne.

Pośrednim potwierdzeniem hipotezy, że ustalony przez Stalina moment rozpoczęcia wojny wypada na lipiec–sierpień 1941 roku, mogą być też liczne gesty demonstracyjnej lojalności wobec Niemiec, o których była mowa w końcu poprzedniego rozdziału.

Jak wiadomo, w sowieckiej i postsowieckiej historiografii szeroko była rozpowszechniona wersja, że Mołotowowi polecono środkami dyplomatycznymi „odwlec napaść Niemiec” do jesieni 1941 roku. Całkiem możliwe, że takie zadanie rzeczywiście mu postawiono, ale wcale nie po to, by „wygrać jeszcze jeden rok na umocnienie obronności kraju”. Rzeczywistym zadaniem owej polityki uspokajania było uspienie czujności Hitlera, by latem 1941 roku Armia Czerwona mogła znienacka zadać Wehrmachtowi miażdżące pierwsze uderzenie. 3

Autorzy monografii **1941 rok — nauki i wnioski** pośrednie, za zasłoną zwyczajnej demagogii, także wymieniają połowę lipca 1941 roku jako termin zakończenia rozwinięcia strategicznego Armii Czerwonej: „w realnej ówczesnej sytuacji dowódcy formacji i dowodzący armiami oraz wojskami okręgów trzymali się innych (innych wobec 22 czerwca — M. S.) terminów koncentracji i rozwijania wojsk, przygotowania frontu, pozycji ogniowych artylerii, maskowania lotnisk, składów itd. Uważano, że napaść może nastąpić najwcześniej w pierwszej połowie lipca”.

Wielu wziętych do niewoli dowódców Armii Czerwonej również podawało lipiec–sierpień 1941 roku jako przypuszczalny termin rozpoczęcia wojny. Oczywiście krąg osób dopuszczonych do tak ważnej tajemnicy wojskowej, jaką jest dokładna data niespodziewanej napaści, był skrajnie ograniczony, toteż przytoczone niżej zeznania mogą służyć raczej jako przejaw ogólnych nastrojów panujących w Armii Czerwonej latem 1941 roku. I tak lekarz wojskowy Kotlarewski, powołany 30 maja 1941 roku na czterdziestopięciodniowy obóz szkoleniowy do batalionu sanitarnego 147. Dywizji Strzeleckiej, oznajmił, że *„7 czerwca personelowi medycznemu w zaufaniu zakomunikowano, że po upływie 45 dni nie będzie zwolniony, ponieważ w najbliższym czasie będzie wojna z Niemcami”*. Kapitan Krasko, adiutant dowódcy 661. pułku 200. Dywizji Strzeleckiej, zeznał: *„Jeszcze w maju 1941 r. wśród oficerów krążyła opinia, że wojna rozpocznie się 1 lipca”*.

Według majora Korkowa, dowódcy 25. pułku 44. Dywizji Strzeleckiej, *„sądząc ze skali i intensywności przygotowań do wojny, Rosjanie napadliby na Niemcy maksimum za 2–3 tygodnie”* (po 22 czerwca — M. S.). Pułkownik Gajewski, dowódca pułku 29. Dywizji Pancерnej (w dokumentach tej dywizji brak wzmianki o pułkowniku o takim nazwisku — M. S.) zeznał: *„Wśród dowódców wiele mówiono o wojnie między Niemcami a Rosją. Istniała opinia, że wojna zacznie się około 15 lipca”*. Major Sołowiow, szef sztabu 445. pułku 140. Dywizji Strzeleckiej: *„Konfliktu z Niemcami oczekiwaliśmy w zasadzie po żniwach, mniej więcej w końcu sierpnia — na początku września. Pospieszoną dyslokację wojsk ku granicy zachodniej można wytłumaczyć tym, że termin napaści przyspieszono”*. Podpułkownik Liapin, szef działu operacyjnego 1. Dywizji Strzelców Zmotoryzowanych, oświadczył, że *„sowieckiej napaści spodziewano się na jesień 1941 r.”* Generał major Małuszkin (przed wojną starszy wykładowca, szef kursu Akademii Sztabu Generalnego, następnie szef sztabu 19. Armii Frontu Zachodniego, wzięty do niewoli 11 października w kotle wiaziemskim, jeden z głównych współbojowników Własowa, powieszony 1 sierpnia 1946 roku) oznajmił, że *„Rosja napadłaby w połowie sierpnia, wykorzystując około 350–360 dywizji”*.

Zeznania złożone w niewoli, w dodatku przez osoby współpracujące z okupantem, mogłyby wywołać wiele wątpliwości, gdyby nie potwierdzało ich najważniejsze świadectwo — przebieg rozwinięcia strategicznego Armii Czerwonej w maju i czerwcu 1941 roku.

ROZDZIAŁ 8. ROZWINIĘCIE STRATEGICZNE

Skończywszy — na razie — z wszelkimi hipotezami, wracamy do historii wojskowości, czyli nauki opierającej się na liczbach, datach i dokumentach. Zaczniemy, jak to jest w nauce przyjęte, od terminów i definicji. Co konkretnie znaczy termin „*rozwiniecie strategiczne*”, z którym tak często spotykaliśmy się w poprzednim rozdziale? W języku akademii wojskowych odpowiedź na to pytanie brzmi mniej więcej tak: „*Przez rozwiniecie strategiczne rozumiemy zespół przedsięwzięć i działań zmierzających do przestawienia sił zbrojnych ze stanu pokojowego na wojenny oraz utworzenia ich zgrupowań na terenach działań wojennych*”.

Najważniejszymi elementami składowymi rozwinienia strategicznego są:

- przestawienie sił zbrojnych ze stanu pokojowego na wojenny (rozwiniecie mobilizacyjne),
- rozwiniecie operacyjne (utworzenie i uszeregowanie zgrupowań wojsk na teatrach działań wojennych),
- „*strategiczne przegrupowania wojsk z wewnętrznych rejonów kraju na teatry działań wojennych oraz między nimi*”,
- rozwiniecie najpilniejszych rezerw strategicznych.

W przekładzie z języka akademickiego na ludzki rozwiniecie strategiczne — jeśli idzie o Armię Czerwoną wzoru 1941 (a nie o jakąkolwiek inną armię świata) — polegało na tym, że:

- po pierwsze, należy uzupełnić armię czasu pokoju ludźmi i sprzętem do etatowych norm czasu wojny;
- po drugie, załadować żołnierzy, sprzęt i amunicję do kolejowych eszelonów i odwieźć do zachodnich rejonów ZSRS;
- po trzecie, wyładować żołnierzy, armaty i czołgi z eszelonów i poprowadzić w te rejony, gdzie mają się przysposobić do działań bojowych i czekać na rozkaz.

Rozwiniecie strategiczne Armii Czerwonej miało dwie podstawowe cechy szczególne.

Pierwszą z nich omawialiśmy już w rozdziale drugim, ale ze względu na jej znaczenie nie zgrzeszymy, powtarzając: liczba dywizji (pułków, brygad) Armii Czerwonej już w czasie tajnej mobilizacji przedwojennej została niemal

doprowadzona do planowej liczebności armii czasu wojny. Planowano, że w ciągu pierwszych trzech miesięcy po ogłoszeniu jawnej mobilizacji sformowana zostanie bardzo ograniczona liczba (30, czyli około 15 procent stanu wyjściowego) dywizji strzeleckich. Strzeleckich. Wszystkie dywizje pancerne i zmotoryzowane, samodzielne pułki i brygady artylerii zostały już sformowane podczas dwuletniej tajnej mobilizacji (i były utrzymywane w etatach czasu wojny lub tak zwanych etatach wzmocnionych, stanowiących 80 procent etatu czasu wojny). Tak więc rozwinięcie mobilizacyjne Armii Czerwonej w pierwszym etapie sprowadzało się jedynie do uzupełnienia stanów istniejących jednostek ludźmi, końmi, samochodami i ciągnikami.

Druga cecha szczególna rozwinięcia strategicznego sił lądowych Związku Sowieckiego to ogromne rozmiary kraju. Ze względu na nie wielkość i czas przewozów kolejowych były nadzwyczaj duże. Ogromne rozmiary kraju są niewątpliwą i bardzo znaczącą zaletą w przygotowaniach i prowadzeniu wojny. Niemieccy generałowie byliby szczęśliwi, gdyby mogli o kilka tysięcy kilometrów od granicy ulokować zakłady czołgowe i artyleryjskie, kombinaty chemiczne produkujące materiały wybuchowe i ośrodki szkolące żołnierzy i oficerów. Warunki geograficzne nie dawały im jednak takiego luksusu, toteż na wszystkie bez wyjątku ośrodki przemysłowe Niemiec spadały setki tysięcy bomb lotnictwa anglo-amerykańskiego. To, że w Związku Sowieckim transport czołgów jechał z zakładów w Czelabińsku na front przez tydzień, jest tylko „*cechą szczególną*”, którą należy brać pod uwagę, sporządzając plany rozwinięcia strategicznego, ale nie „*nieszczęściem*”, z powodu którego trzeba głosić jeremiady na kartach książek historycznych.

W liczbach bezwzględnych sytuacja wyglądała następująco na wiosnę 1941 roku w całych Siłach Zbrojnych ZSRS pełniło służbę 4,8 mln ludzi. W maju i czerwcu podczas tak zwanych wielkich zgrupowań szkoleniowych (nie była to improwizacja lecz zawczasu przygotowana operacja, która już znacznie wcześniej otrzymała taką nazwę) ściągnięto do jednostek za pomocą osobistych powołań, bez publicznego ogłoszenia mobilizacji powszechnej, jeszcze 802 tysiące rezerwistów. Przed 23 czerwca 1941 roku łącznie powołano pod broń 5,6 miliona ludzi. Ogółem, po całkowitym zmobilizowaniu wszystkich okręgów wojskowych europejskiej części ZSRS (łącznie z Uralskim i Północnokaukaskim Okręgiem Wojskowym), łączna liczebność sił zbrojnych według planu MP-41 powinna była wynieść 7,85 mln

żołnierzy. Dzieląc jedną liczbę przez drugą, otrzymamy tak zwany współczynnik rozwinięcia, obrazujący skalę wzrostu liczebności armii. W ZSRS był on bardzo mały, wynosił zaledwie 1,40. Czyli, inaczej mówiąc, sowieckie siły zbrojne już w czasie pokoju miały 71 procent liczebności czasu wojny. W innych krajach Europy liczba żołnierzy po mobilizacji wzrastała kilkakrotnie. Na przykład w Niemczech 25 sierpnia 1939 roku, pięć dni przed rozpoczęciem wojny, zmobilizowanych było jedynie 35 procent dywizji wojsk lądowych czasu wojny. We Francji liczebność armii od początku mobilizacji wzrosła czterokrotnie, w biednej Finlandii, która w czasach pokoju nie mogła utrzymać dużej armii — dziewięciokrotnie.

Rzecz jasna zmobilizowanych nie rozdzielano równomiernie. Do zachodnich okręgów przygranicznych kierowano ich znacznie więcej niż do tyłowych — Uralskiego czy Nadwołżańskiego OW. Jeszcze 21 maja 1940 roku (to nie błąd, właśnie tego roku) Politbiuro KC w uchwale nr 160158 postanowiło utrzymywać dywizje strzeleckie na czas pokoju w takiej oto liczebności: 98 dywizji zachodnich okręgów wojskowych po 12 i więcej tysięcy ludzi, 3 dywizje — po 9 tysięcy, a 43 dywizje okręgów wewnętrznych — po 6 tysięcy. Po roku, w maju i czerwcu 1941 roku, zmobilizowane w wyniku „*wielkich zgrupowań szkoleniowych*” 802 tysiące rezerwistów skierowano właśnie jako uzupełnienie do okręgów zachodnich, a także wysuwających się na zachód armii drugiego rzutu strategicznego. „*Przy tym skład dywizji strzeleckich okręgów przygranicznych, przy etacie 14 489 żołnierzy, został doprowadzony: 21 dywizji do 14 tys., 72 dywizji do 12 tys. i 6 dywizji strzeleckich do 11 tys. ludzi*”. Specjalnie przytoczyłem pełny cytat z wydanej w 1992 roku pracy zbiorowej wojskowych historyków Sztabu Generalnego **1941 rok — nauki i wnioski**, gdyż chyba żadnego innego tematu z początku wojny nie przeżuli oni tak zawzięcie. Za modelowy przykład eleganckiego bezwstydu można by uznać słynne, powtarzane w setkach publikacji zdanie Żukowa: „*Natomiast nasze dywizje, nawet w składzie 8-tysięcznym, praktycznie były dwukrotnie słabsze od niemieckich*”. Czy to nie cudowne? Nie sposób zaprzeczyć. Liczba 8 praktycznie (a nawet teoretycznie) jest dwa razy mniejsza od 16. Żukowa można jeszcze zrozumieć — pisał pamiętniki jeszcze w tej epoce, kiedy nikomu nie postało w głowie, że kiedyś zostaną odtajnione oryginalne dokumenty powstałe w przededniu wojny. Dziwi co innego: nawet w 2004 roku ukazywały się

siedmiusetstronicowe monografie, w których celowo umniejszono skład liczebny dywizji strzeleckich w przygranicznych okręgach wojskowych.

Logiczne byłoby porównanie stopnia ukończenia dywizji Armii Czerwonej i wojsk nieprzyjacielskich. Niestety, choć dwadzieścia lat ślęczę nad literaturą wojskowo–historyczną, nie udało mi się znaleźć ani jednej liczby pozwalającej ocenić, jaka była rzeczywista liczba żołnierzy w porównaniu z etatową w dywizjach niemieckich na froncie wschodnim 22 czerwca 1941 roku. Oczywiście jest to moje niedopatrzenie. Przyznaję, ale śmiem przypuszczać, że nie jest ono przypadkowe. Niemieckich generałów i historyków nie interesowało natrętne poszukiwanie jakichś „usprawiedliwionych przyczyn” klęski, oni bowiem w lecie 1941 roku nie ponosili klęsk. Natomiast sowieccy historycy, mający dostęp do zdobytych dokumentów Wehrmachtu, nie chcieli publikować tego, co tam znaleźli, ponieważ dla niemieckiej dywizji walczącej już drugi rok osiągnięcie 85 procent etatowej liczebności było raczej niedościgłym ideałem... Tak czy owak 85 to mniej niż 100, a pełny stan jest lepszy niż prawie pełny. Do przejścia od prawie pełnego do pełnego potrzeba było czasu. Pozostaje nam tylko uściślić miarę tego czasu: tygodnie, miesiące, lata? Powstrzymam się od dalszych dyletanckich rozważań i przytoczę obszerny cytat z monografii generała Władimirskiego (w 1941 roku zastępcy szefa wydziału operacyjnego sztabu 5. Armii Kijowskiego SOW), który z racji stanowiska wiedział prawie wszystko o mobilizacyjnej gotowości swojej armii:

„Wszystkie jednostki strzeleckie miały opracowane plany mobilizacyjne. Były one systematycznie sprawdzane przez nadrzędne sztaby, precyzowane i korygowane (...).

Od 20 maja 1941 r. w celach szkoleniowych cały szeregowy i podoficerski skład rezerwy powoływano na 45–dniowe obozy szkoleniowe przy dywizjach strzeleckich. To umożliwiło doprowadzenie składu osobowego każdej dywizji strzeleckiej do 12–12,5 tys. ludzi, czyli do 85–90 procent etatowego składu czasu wojny (...).

Przewidziany tryb mobilizowania był w zasadzie następujący. Każda jednostka dzieliła się na dwa rzuty mobilizacyjne. Do pierwszego rzutu mobilizacyjnego włączano 80–85 procent składu kadrowego jednostki (...). Termin gotowości pierwszego rzutu do wyjścia na zadanie bojowe został ustalony na 6 godzin (podkreślenia moje — M. S.). Drugi rzut mobilizacyjny

jednostki miał 15–20 procent składu kadrowego, a także cały przypisany skład rezerwy, który przybywał w ramach mobilizacji. Termin gotowości drugiego rzutu został ustalony następująco: dla jednostek dyslokowanych w pa sie przygranicznym, jak również dla wojsk przeciwlotniczych i lotniczych — najpóźniej pierwszego dnia mobilizacji, a dla wszystkich pozostałych formacji — dobę później (...).

Wszystkim jednostkom wyznaczano osłonięte przed obserwacją z powietrza rejony mobilizowania poza punktami ich dyslokacji, a także określano tryb wymarszu jednostek do tych rejonów i osłony ich w czasie mobilizowania. Decyzją komisji sztabów armii i okręgu, które sprawdzały stan gotowości mobilizacyjnej jednostek strzeleckich w maju–czerwcu 1941 r., wszystkie dywizje strzeleckie i jednostki korpusne uznano za gotowe do zmobilizowania w ustalonych terminach”.

A teraz odetchnijmy i przemyślmy to, co zostało napisane.

Tradycyjna wersja sowieckiej historiografii jest znana: „*Armia Czerwona potrzebowała co najmniej roku, aby przygotować się do wojny*”. Niemcy nie zamierzali po rycersku czekać i zdradziecko napadli na „*kraj pogrążony we śnie*”. W nieco szlachetniejszym wariancie te baśnie brzmiały tak: „*szybkie posuwanie się Wehrmachtu w głąb kraju przerwało mobilizację. I z tej przyczyny...*” W rzeczywistości natomiast rozwinięcie mobilizacyjne Armii Czerwonej było bliskie zakończenia. Dywizje strzeleckie zachodnich okręgów wojskowych (czyli kręgosłup armii tamtej epoki i, zauważmy, podstawa obrony!) faktycznie zakończyły mobilizację i planowany czas ich gotowości do działań bojowych liczony był już nie w dniach, ale w godzinach. Niewielka dokładka (drugi rzut mobilizacyjny) miała być doprowadzona do pełnej gotowości bojowej w ciągu jednego–dwóch dni. Jakże szybko musiał się posuwać Wehrmacht, że pozbawił Armię Czerwoną tych godzin? Czyż rozmiary ZSRS były podobne do Luksemburga czy Danii, które Wehrmacht zajął w jeden dzień?

Wszystko, co na razie wymieniliśmy, dotyczy dywizji strzeleckich. Mówiąc prościej — piechoty, której podstawowym uzbrojeniem był karabin i kaem. Rezerwista, który odsłużył dwa lub trzy lata służby zasadniczej, mógł sobie szybko przypomnieć, jak tymi przedmiotami należy się posługiwać. Najprawdopodobniej w kilka godzin. Etaty technicznie złożonych rodzajów wojsk, jak artyleria, wojska pancerne, lotnictwo, gdzie od żołnierzy wymaga

się znacznie większej wiedzy i umiejętności już w czasie pokoju były maksymalnie zbliżone do etatów czasu wojny. Nawet przed wielkimi obozami szkoleniowymi w dywizjach pancernych i zmotoryzowanych, w pułkach artylerii w jednostkach przeciwlotniczych, cały skład osobowy był kompletny. I tak zatwierdzony 6 lipca 1940 roku etat dywizji pancерnej przewidywał 10 493 ludzi w czasie pokoju i 11 343 w czasie wojny. Jak widzimy, współczynnik rozwinięcia był znikomy — 1,08. Z chwilą ogłoszenia mobilizacji należało powołać tylko pewną liczbę personelu politycznego, administracyjno–technicznego i tyłowego. Taki sam stan gotowości mobilizacyjnej był również w lotnictwie i obronie przeciwlotniczej.

„Siły powietrzne miały łatwiejsze warunki mobilizacji, ponieważ personel latający jednostek w zasadzie był utrzymywany według etatów czasu wojny (...). Dlatego też czas doprowadzenia do gotowości bojowej pułków lotniczych był nie dłuższy niż 2–4 godziny. Bataliony obsługi lotnisk i bazy lotnicze mobilizowano w dwóch rzutach. Termin gotowości pierwszego rzutu odpowiadał terminowi obsługiwanej jednostki, a drugiego przypadał na 3–4 dobę mobilizacji (...).

Mobilizowanie wojsk obrony powietrznej także planowano w rzutach. Pierwszy rzut musiał osiągnąć stałą gotowość bojową w czasie do 2 godzin. Termin gotowości drugiego rzutu ustalony był na 1–2 dobę mobilizacji (...).

Tak więc spośród 303 dywizji, które miały być zmobilizowane według planu MP–41, 172 dywizje musiały osiągnąć pełną gotowość w 2–4 dobie mobilizacji, 60 dywizji w 4–5 dobie, a pozostałe w 6–10 dobie.

Wszystkie pozostałe jednostki bojowe, zaplecze frontowe i uczelnie wojskowe mobilizowano w 8–15 dobie. Przewidywano, że Siły Zbrojne zostaną całkowicie zmobilizowane w 15–30 dobie”.

Do kwestii rozwinięcia mobilizacyjnego można podejść również z innej strony. Aby 198 dywizji strzeleckich, 13 kawaleryjskich, 61 pancernych i 31 zmotoryzowanych osiągnęło pełny stan osobowy, potrzeba około 4 mln ludzi. A tymczasem Siły Zbrojne ZSRS już 22 czerwca liczyły 5,6 mln ludzi, spośród nich 4,4 mln (79 procent) — w wojskach lądowych. Na pierwszy rzut oka „ludzi było już więcej niż potrzeba”. Po co więc powoływać jeszcze 2,25 mln (7,85 minus 5,6)? Dokąd ich skierować? Rzecz jasna ludzie ci wcale nie byli zbędni w armii, aczkolwiek nie pomyliliśmy się też w zwykłej arytmetyce. Rzecz w tym, że siły zbrojne to organizm złożony,

wieloogniowy, wielopoziomowy. Wyrażenie „*powołać pod broń*” jest tylko tradycyjną metaforą. Nawet na tym „*poziomie*”, który jest bezpośrednio zwrócony ku przeciwnikowi, czyli w dywizji strzeleckiej, nie wszyscy pełnią służbę z bronią w rękę. I tak według etatu z kwietnia 1941 roku w dywizji strzeleckiej powinno służyć:

- 22 szewców (marszowe warsztaty naprawy obuwia),
- 19 listonoszy (wydział poczty polowej),
- 11 weterynarzy (wydzielony szpital weterynaryjny),
- 9 pastuchów (poganiacze koni),
- 11 duszpasterzy (wydział propagandy politycznej).

Wszystkie te służby i wszyscy ci ludzie są potrzebni, aczkolwiek i bez nich dywizja może powalczyć jeden do trzech dni, które są potrzebne do całkowitego jej uzupełnienia.

Liczebność służb pomocniczych, administracyjnych, gospodarczych gwałtownie wzrasta na innych „*poziomach*” maszyny wojennej. W skład armii, obok dywizji i samodzielnych jednostek (przede wszystkim artyleryjskich i przeciwlotniczych), wchodzi też liczne służby i pododdziały transportowe, sanitarne, drogowe, remontowo–techniczne, zaopatrzeniowe. Na przykład w 1941 roku Wehrmacht na froncie wschodnim miał 3,3 miliona ludzi, co o 50 procent przewyższało etat wszystkich dywizji wyznaczonych do działań na tym froncie. Ale i armia frontowa to tylko część sił zbrojnych. Ogromna liczba ludzi pełni służbę wojskową na dalekich tyłach. W Związku Sowieckim w dwóch ostatnich latach wojny liczebność armii frontowych (około 6,5 mln ludzi) stanowiła jedynie 57–58 procent stanu osobowego sił zbrojnych. To właśnie służby pomocnicze, sanitarne, tyłowe — wcale nie dywizje na granicy zachodniej — były głównym „*odbiorcą*” rezerwistów powołanych w ramach jawnej mobilizacji. Powtórzmy jeszcze raz z naciskiem: w maszynie wojennej nie ma zbędnych części. Wszystkie są potrzebne i nie na próżno je stworzono. Jednakże braki w obsadzie poligonu pancernego pod Czelabińskiem albo szkoły artylerii w Tomsku zapewne nie miały żadnego wpływu na wynik przygranicznego starcia na Białorusi Zachodniej.

Podsumujmy pierwszy wynik. Nie było żadnych problemów z uzupełnieniem stanu osobowego. Jednostki bojowe okręgów zachodnich na 22 czerwca 1941 roku miały dość ludzi, by mogły prowadzić zorganizowane

działania bojowe. Znacznie gorzej było ze środkami transportu, w tym ciągnikami artyleryjskimi. A to co najmniej z dwóch przyczyn.

Pierwsza — to stalinowska (a w bardziej ogólnym sensie, właściwa wszystkim wschodnim despotom) gigantomania. Gigantomania we wszystkim: zarówno gdy wziąć pod uwagę liczbę jednocześnie formowanych jednostek zmotoryzowanych (dywizje pancerne i strzelców zmotoryzowanych, brygady artylerii przeciwpancernej, pułki artylerii ciężkiej), jak i monstrualne, bezmyślnie zawyżone etaty mechanicznych środków pociągowych (co dokładnie omówiliśmy w rozdziale piątym). Być może wtedy (w maju 1941 roku), kiedy podjęto decyzję o przeniesieniu daty napaści na Europę z wiosny 1942 roku na koniec lata 1941 roku, warto było wstrzymać formowanie 20 nowych korpusów zmechanizowanych, a wszystkie zasoby wykorzystać na uzupełnienie dziewięciu już istniejących. A może i nie — nawet skompletowany w jednej trzeciej sowiecki korpus zmechanizowany był formacją uderzeniową przewyższającą większością parametrów „zapiętą na ostatni guzik” dywizję pancerną Wehrmachtu. To skomplikowane pytanie i żeby na nie odpowiedzieć, trzeba specjalistycznej wiedzy wojskowej. W każdym razie takiej decyzji nie podjęto i posiadany sprzęt nadal rozpraszano po stu formacjach zmotoryzowanych. Po drugiej, tajna mobilizacja — dzięki której dywizje okręgów zachodnich miały niemal pełny skład osobowy — niewiele dała, jeśli chodzi o wyposażenie wojsk w samochody. Zasoby Związku Sowieckiego (jak zresztą każdego innego kraju tamtych czasów) nie pozwalały na wycofanie z gospodarki kilkuset tysięcy ciężarówek i kilkudziesięciu tysięcy ciągników bez poważnych konsekwencji i, najważniejsze, tak żeby nie było to widoczne na zewnątrz. Prawdopodobnie chodziło też o to, by nie pozostawić kolchozów bez traktorów przed zakończeniem najważniejszych prac polowych.

W rezultacie powstała następująca sytuacja. W lutym 1941 roku Armia Czerwona już miała 34 tysiące traktorów (ciągników gąsienicowych), 201 tysięcy samochodów ciężarowych i specjalnych, 12,6 tysięcy osobowych. To nie mało. Jak zauważyłem wcześniej, już tyle ciągników przewyższało liczbę dział ciężkich Armii Czerwonej. Do pełnego stanu według wymagań planu MP-41 było jeszcze daleko. Z drugiej strony w lutym 1941 roku wyposażanie Armii Czerwonej w sprzęt wojskowy wcale się nie skończyło. Zakłady pracowały na trzy zmiany, w 1940 roku sowiecki przemysł wyprodukował 32

tysiące ciągników wszystkich typów. Zamówienie wojskowe wynosiło 13 150 ciągników. Liczba samochodów w Armii Czerwonej do czerwca 1941 roku zwiększyła się do 273 tysięcy. Wreszcie 23 czerwca została ogłoszona jawna mobilizacja i mimo całego chaosu i bałaganu, katastrofalnego na początku wojny, już do 1 lipca 1941 roku z gospodarki Armia Czerwona otrzymała dodatkowo 31,5 tysiąca ciągników i 234 tysiące samochodów. Przeciętnie na każdą z 303 sowieckich dywizji (we wszystkich okręgach) przypadało teoretycznie po 220 ciągników i 1670 samochodów. Przeciętnie. A to znaczy, że w dywizjach zachodnich okręgów przygranicznych powinno być ze dwa razy więcej sprzętu — przecież nie na Syberię wyprawiano zmobilizowane samochody i ciągniki...

Rodzimi historycy wojskowi w żaden sposób jednak nie mogą powściągnąć lamentów: Za mało... za mało... za mało... Oburzająca niegotowość... Brak należnych środków transportu... W Uralским Okręgu Wojskowym mobilizacyjne zapotrzebowanie na środki transportu zaspokojono tylko w 9–45 procentach... Straszna sprawa. Gdy się przeczyta coś takiego, oj razu staje się zrozumiała przyczyna niebywalej klęski: za Uralem zabrakło traktorów. A teraz zamieńmy procenty na sztuki. Nawet 9 procent etatu to 6 traktorów w pułku haubic na najdalszych tyłach, wiele tysięcy kilometrów od którejkolwiek granicy. Sześć traktorów w pełni wystarczy, aby mechanicy kierowcy od rana do wieczora ćwiczyli holowanie dział, a obsługi baterii haubic w pełnym składzie (4 działa) trenowały marsz i wyjście na pozycje ogniowe. Wszystkie pozostałe działa pułku stoją tam, gdzie powinny stać: w ochranianych składach, fabrycznie nasmarowane. Po co je dokądś ciągnąć? No, a 45 procent etatu to już są 32 ciągniki. Wystarczy, by pułk załadować na platformy i zza Uralsu wyprawić na front. Cztery haubice bez ciągników nie będą zbędne. Można je na przykład wykorzystać jako rezerwę do natychmiastowego uzupełnienia strat. Haubicę kalibru 122 mm (która waży mniej więcej tyle co samochód Wołga) z powodzeniem mogła holować ciężarówka ZIS-5, w charakterze ciągnika można też było wykorzystać lekkie czołgi ze składu batalionu rozpoznawczego dywizji strzeleckiej.

Niemniej jednak w tym wypadku sowieccy historycy mają całkowitą rację. Nawet po przeprowadzeniu pierwszej mobilizacji Armia Czerwona nie otrzymała należytej ilości środków pociągowych. Według planu MP-41

potrzebowała 90,8 tysiąca traktorów i 595 tysięcy samochodów. Tyle nie udało się zgromadzić. Braki samochodów i ciągników wynosiły prawie 28 procent potrzeb mobilizacyjnych. Potrzeb dwukrotnie przewyższających normy etatowe, które z kolei przewidywały podwójną rezerwę środków pociągowych. Według tradycyjnej wersji to właśnie to „oburzające nieprzygotowanie do wojny” doprowadziło w lecie 1941 roku do astronomicznych strat w sprzęcie artyleryjskim.

Rozwinięcie mobilizacyjne (mobilizacja) jest ważnym, lecz nie jedynym elementem całego kompleksu rozwinięcia strategicznego. Zobaczmy teraz, jak wykonywano trzy inne powiązane zadania (strategiczne przegrupowanie wojsk z wewnętrznych rejonów kraju na teatry działań wojennych, utworzenie i uszeregowanie ugrupowań wojsk na teatrach działań wojennych, rozwinięcie najpilniejszych rezerw strategicznych).

Ostatni ze znanych przedwojennych dokumentów — informacja „*O rozwijaniu Sił Zbrojnych ZSRS na wypadek wojny na Zachodzie*”, podpisana przez zastępcę szefa Sztabu Generalnego Armii Czerwonej Nikołaja Watutina 13 czerwca 1941 roku, przewidywała następujący podział wojsk lądowych (CAMO, f. 16A, op. 2951, d. 236, s. 65–69):

— 186 dywizji (spośród 303), 10 (spośród 10) brygad artylerii przeciwpancernej, 5 (spośród 5) korpusów powietrznodesantowych, 53 (spośród 74) pułków artylerii odwodu Naczelnego Dowództwa w składzie działających frontów;

— 51 dywizji w składzie pięciu (22., 19., 16., 24., 28.) armii odwodu ND, rozwijanych w pasie od granicy zachodniej do linii Briańsk–Rzew;

— 31 dywizji na Dalekim Wschodzie (w składzie wojsk Zabajkalskiego Okręgu Wojskowego i Frontu Dalekowschodniego);

— 35 dywizji „na drugorzędnych odcinkach granicy państwowej” (tak w tekście — M. S.) w tym 3 dywizje na Krymie.

Ze 186 dywizji włączonych w skład frontów zachodnich 100, czyli przeszło połowa, rozwijało się na Ukrainie, w Mołdawii i na Krymie. Tam też powinna być ześrodkowana połowa wszystkich dywizji pancernych (20 z 40) i zmotoryzowanych włączonych do frontów. Z 51 dywizji odwodu Naczelnego Dowództwa bezpośrednio za Frontem Południowo–Zachodnim (Kijowski SOW) ześrodkowywało się 23.

Gdyby nawet ten dokument był jedynym źródłem informacji o Związku Sowieckim tuż przed wojną, to i wówczas na jego podstawie można by kategorycznie zaprzeczyć jakiegokolwiek „strategicznemu zaskoczeniu” wojną rozpoczętą 22 czerwca 1941 roku.

Armia Czerwona oczekiwała wojny, do wojny się sposobila i to Przygotowanie przyjęło charakter zakrojonego na wielką skalę przegrupowania sił. Rozlokowanie tworzonych ugrupowań bynajmniej nie jest przypadkowe. Zupełnie oczywista jest ogromna koncentracja sił na kierunku zachodnim, a w ramach tego kierunku — na południowym (ukraińskim) teatrze działań wojennych. Dokument nie daje jeszcze podstaw do przypuszczeń na temat ukierunkowania — ofensywnego czy obronnego — tej koncentracji, ale nie budzi wątpliwości, że istniał jakiś Wielki Plan, do którego realizacji wystawiono właśnie takie ugrupowanie.

W informacji podpisanej przez Watutina 13 czerwca 1941 roku nie ma ani jednej wzmianki o zadaniach i planach działania wojsk. Tylko liczby, numery armii, stacje wyładunku wojsk, potrzebna liczba wagonów i eszelonów. Mamy jednak możliwość porównania faktycznego rozwinięcia 1941 roku ze znanymi wariantami planu operacyjnego. Na przykład powstałymi:

	„Opinie” maj 1941 r.	„Informacja” 13 czerwca 1941 r.	faktyczne ześrodkowanie 22 czerwca 1941 r.
Front Północny	3 armie 21/4/2	3 armie 22/4/2	armie: 14., 7., 23.; 21/4/2
Front Północno–Zachodni	3 armie 23/4/2	3 armie 23/4/2	armie: 27., 8., 11.; 25/4/2
Front Zachodni	4 armie 45/8/4	4 armie 44/12/6	armie: 3., 10., 4., 13.; 44/12/6
Front Południowo–Zachodni	8 armii 122/28/15	8 armii 100/20/10	armie: 5., 6., 26., 12., 18., 9.; 80/20/10
odwód Naczelnego Dowództwa	5 armii 47/12/8	5 armii 51/11/5	armie: 22., 20., 21., 19., 16., 24., 28.; 17/5/2

Uwagi:

— pierwsza liczba — ogółem dywizji, druga liczba — w tym pancerne, trzecia — w tym zmotoryzowane;

— 21 czerwca wojska rozwinięte na południowym teatrze działań wojennych były podzielone na dwa fronty: Południowo–Zachodni i Południowy, w tabeli podano łączną liczbę dywizji na dwóch frontach i na Krymie;

— według planu osłonowego z początkiem działań bojowych dwie dywizje Frontu Północno-Zachodniego, rozwinięte w Estonii, przekazano Frontowi Północnemu, ale w tabeli tego nie ujęto.

W maju 1941 roku *„Opiniami o planie rozwinięcia strategicznego sił Związku Sowieckiego na wypadek wojny z Niemcami i ich sojusznikami”*, o których jednoznacznie ofensywnym charakterze była mowa w poprzednim rozdziale. Naruszając nieco chronologiczny porządek relacji, od razu przedstawmy również faktyczną sytuację wojsk Armii Czerwonej według stanu na 22 czerwca 1941 roku.

Nietrudno się przekonać, że realne Ześrodkowanie wojsk w zachodnich rejonach ZSRS odbywało się zgodnie z majowymi *„Opiniami o planie rozwinięcia strategicznego”*. W trzech okręgach (Leningradzkim, Nadbałtyckim, Zachodnim), które przekształciły się odpowiednio we Front Północny, Północno-Zachodni i Zachodni, zbieżność majowego planu z czerwcowym stanem faktycznym jest niemal całkowita. Rozbieżność o cztery dywizje pancerne i dwie zmotoryzowane, czyli pozorne zwiększenie zgrupowania Frontu Zachodniego o korpusy zmechanizowane, jest najprawdopodobniej wynikiem czysto kancelaryjnego zabiegu. Żadne nowe korpusy zmechanizowane na Białorusi się nie pojawiły, po prostu formujące się XVII i XX Korpus Zmechanizowany, nieuwzględnione w majowych *„Opiniach”*, włączono do łącznego wykazu według *„Informacji”* z 13 czerwca. Znacznie większa rozbieżność była na południu, chociaż i tam zmiany zaszły głównie na papierze, a nie w terenie. Zasadnicze ugrupowanie uderzeniowe Frontu Południowo-Zachodniego tworzone nie w drodze osłabienia trzech innych frontów, lecz na skutek przegrupowania do Kijowskiego SOW 20 dywizji z Charkowskiego, Orłowskiego i Nadwołżańskiego OW. Jednakże w drugiej połowie czerwca nastąpiło kolejne przegrupowanie sił między pierwszym i drugim rzutem strategicznym. Wojsk okręgów wewnętrznych nie przekazywano organizacyjnie w skład Kijowskiego SOW (Frontu Południowo-Zachodniego), lecz wykorzystano do rozwinięcia armii rezerwowej (drugiego rzutu strategicznego). A zatem pojawiły się dwie nowe armie, które nie zostały uwzględnione w *„Informacji”* z 13 czerwca: 20. i 21. Łączna liczba dywizji w armiach odwodu Naczelnego Dowództwa zwiększyła się z 51 do 77, natomiast ugrupowanie pierwszego rzutu strategicznego na południowym teatrze działań wojennych (Front Południowo-Zachodni i Południowy) okazało się o 20

dywizji strzeleckich mniejsze, niż przewidywano 13 czerwca 1941 roku. Niemniej jednak koncentracja sił na kierunku południowym była tak samo wyraźnie zaznaczona: na tyłach Frontu Południowo–Zachodniego rozwijały się teraz trzy armie rezerwowe (16. w rejonie Proskurów–Szepietówka, 19. w rejonie Czerkas, 21. w rejonie Czernihowa).

O wiele bardziej znaczący niż papierowy, wtórny podział tych samych korpusów i dywizji między jedną armią a drugą, jest faktyczny przebieg przegrupowania wojsk z rejonów wewnętrznych kraju na przyszły teatr działań wojennych. 22 czerwca daleko było jeszcze do jego zakończenia. Spośród 77 dywizji drugiego rzutu strategicznego do planowanych rejonów rozwinięcia operacyjnego przybyło nie więcej niż 17–20 dywizji. *„Łączna wielkość przewozów formacji wojskowych wynosiła 939 eszelonów kolejowych. Wydłużenie ruchu wojsk i opóźnienia w ześrodkowaniu wynikały z konieczności maskowania i zachowania reżymu pracy kolei w czasie pokoju. Do rozpoczęcia wojny tylko 83 eszelony wojskowe przybyły do wyznaczonych punktów, 455 znajdowało się w drodze”*. Zdanie o „konieczności maskowania i zachowania reżymu pracy kolei w czasie pokoju” zasługuje na szczególną uwagę. Dla wielomilionowych armii pierwszej połowy XX wieku kolej była niezwykle ważna, w dużej mierze decydowała o wyniku głównych bitew dwóch wojen światowych. W związku z tym wszystkie kraje — zwłaszcza dysponujące tak wielkimi siłami zbrojnymi jak Niemcy i ZSRS — miały, opracowane jeszcze w czasie pokoju, plany przestawienia ruchu kolejowego na reżym „maksymalnych przewozów wojskowych”. Sens tej definicji i tego procesu jest zrozumiały: wszystkie pociągi, ładunki i pasażerowie stoją i czekają, dopóki eszelony z wojskami sprzętem i amunicją nie przejadą w zadanym kierunku. Prócz tego uruchamia się mobilizacyjne rezerwy węgla, parowozów, wagonów, wzmacnia się ochronę stacji kolejowych i odcinków międzyprzystankowych. Harmonogram przewozów wojskowych w europejskiej części ZSRS wprowadzono (12 września 1939 roku) nawet na etapie rozwinięcia strategicznego Armii Czerwonej przed wojną z Polską, na w pół pokonaną wskutek niemieckiego ataku. Jednakże w czerwcu 1941 roku niczego takiego nie zrobiono!

Według obliczeń zawartych w przedwojennych planach sowieckiego dowództwa, do zrealizowania wszystkich przewozów niezbędnych do strategicznego rozwinięcia wojsk przeciwnik (Niemcy) potrzebował od 10 do

15 dni, Armia Czerwona zaś — od 8 dni dla Frontu Północnego do 30 dni dla Frontu Południowo–Zachodniego. W rzeczywistości Niemcy i ZSRS nie forsowały, lecz przeciwnie, odwlekały terminy ześrodkowania wojsk. Odwlekały w całkiem zrozumiałym celu: żeby przedwcześnie nie spłoszyć przeciwnika.

Trudno powiedzieć, jakie mianowicie zdarzenie należy uważać za początek koncentracji niemieckich wojsk na granicach ZSRS (pierwsze dywizje Wehrmachtu zostały przerzucone na Wschód praktycznie tuż po zakończeniu walk we Francji), w każdym razie rozwinięcie strategiczne do operacji „*Barbarossa*” zostało rozciągnięte co najmniej na cztery miesiące. Przegrupowanie rozłożono na pięć etapów, przy czym na etapach wcześniejszych objęło ono tylko jednostki piechoty. Na początku kwietnia Niemcy mieli na wschodzie zaledwie 43 dywizje piechoty oraz 3 dywizje pancerne i jakkolwiek sowiecki wywiad tradycyjnie zawyżył ich liczbę niemal o sto procent (do 70 dywizji piechoty, 7 pancernych i 6 zmotoryzowanych), tego rodzaju „*koncentracja*” nie skłaniała do żadnych przypuszczeń o rychłym ataku.

W połowie maja niemieckie zgrupowanie zwiększyło się o 23 dywizje piechoty i 1 zmotoryzowaną. Sowiecki wywiad tego też nie przeoczył, ale i to całkowicie się zgadzało z rozpowszechnianym przez Niemców wyjaśnieniem, że chodzi o „*minimalne środki ostrożności*” podejmowane wobec niepewnego „*partnera*” w dzieleniu Europy. Jak zauważyliśmy wyżej, datę ataku (22 czerwca 1941 roku) Hitler ustalił 30 kwietnia, wtedy też podjęto decyzję o przestawieniu kolei od 23 maja na harmonogram maksymalnych przewozów wojskowych. Ale i po tym niemal do ostatniej chwili zwlekano z demaskującym cały zamiar operacji przerzutem dywizji pancernych i zmotoryzowanych. Na przykład pięć dywizji pancernych Grupy Armii „*Południe*” załadowano do eszelonów w okresie od 6 do 16 czerwca a przybyły one na stacje docelowe w południowej Polsce (Lublin Sandomierz, Rzeszów) dopiero 14–20 czerwca. Trzy dywizje (13., 14. i 11. Pancerna) weszły do rejonu koncentracji i rozwinięcia, w odległości 25–40 km od granicy sowieckiej, dosłownie w ostatnich godzinach przed atakiem, a dwie inne (16. i 9. Pancerna) wieczorem 21 czerwca były jeszcze w drodze, oddalone o 100–150 km od granicy.

Nie ma nic dziwnego w tym, że do niedzielnego poranka 22 czerwca 1941 roku koncentracja wojsk sowieckich drugiego rzutu strategicznego nie była jeszcze zakończona. Dowództwo Armii Czerwonej działało wtedy według własnego harmonogramu, który nie przewidywał niemieckiego uderzenia. *„Przerzut wojsk został tak zaplanowany, aby Ześrodkowanie w rejonach wyznaczonych przez plany operacyjne zakończyć między 1 czerwca a 10 lipca 1941 r.”* Autorów pracy zbiorowej **1941 rok — nauki i wnioski** już tylko za to jedno zdanie, od razu w 1992 roku, należałoby odznaczyć medalem *„Za odwagę”*...

Na zachód najwcześniej ruszyły znajdujące się w Zabajkalu i w Mongolii jednostki 16. Armii oraz V Korpusu Zmechanizowanego 26 kwietnia Sztab Generalny wydał w tej sprawie wstępne polecenie radom wojennym Zabajkalskiego i Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego. 22 maja rozpoczął się załadunek pierwszych jednostek do eszelonów, które — uwzględniając ogromną odległość i obowiązujący harmonogram pracy kolei w czasie pokoju — miały przybyć do rejonu Berdyczów–Proskurów–Szepietówka w okresie od 17 czerwca do 10 lipca. Między 13 a 22 maja Sztab Generalny nakazał ruszyć ku granicy zachodniej jeszcze dwóm armiom odwołu Naczelnego Dowództwa. 22. Armię przerzucono do rejonu Wielkie Łuki–Witebsk, gdzie miała zakończyć koncentrację 1–3 lipca, 21. Armia natomiast otrzymała rozkaz koncentracji w rejonie Czernihów–Homel–Konotop do 2 lipca. 29 maja podjęto decyzję o sformowaniu, z jednostek Orłowskiego i Moskiewskiego Okręgu Wojskowego, jeszcze jednej, 20. Armii, która miała się skoncentrować pod Smoleńskiem do 3–5 lipca. Powtórzmy jeszcze raz, że wszystkie te przewozy zaplanowano *„przy zachowaniu reżymu pracy kolei w czasie pokoju”* i z zachowaniem bezprecedensowych środków najwyższej tajności. I tak 12 czerwca 1941 roku ludowy komisarz obrony w dyrektywie nr 504206 dał takie oto wskazówki dowódcy Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego: *„O przybyciu jednostek 16. Armii nie powinien wiedzieć nikt, prócz Was, członka Rady Wojennej i szefa sztabu okręgu (...). Kategorycznie zakazuję otwartych rozmów telefonicznych i telegraficznych na temat przybycia, wyładowania i dyslokacji wojsk, nawet bez wymieniania nazw jednostek (...). W każdej korespondencji, w tym w kopertach dokumentów ściśle tajnych, stosować nazwy umowne”*.

Wśród mnóstwa przedsięwzięć z terminem wykonania „do 1 lipca 1941 roku” nie powinna również ujść naszej uwagi uchwała podjęta 4 czerwca na posiedzeniu Politbiura KC WKP(b): „zatwierdzić utworzenie w ramach Armii Czerwonej jednej dywizji strzeleckiej ze składem osobowym narodowości polskiej i znającym język polski”. Narodowościowe formacje w Armii Czerwonej zostały do tego czasu dawno zlikwidowane. W dodatku uchwała Politbiura nie mówi po prostu o ludziach pochodzenia polskiego, ale wymaga, by znali oni język polski (co w wielonarodowym Związku Sowieckim, z jego wielką liczbą mieszanych małżeństw i zasymilowanych grup narodowościowych, wcale nie było tym samym). Coś podobnego przeprowadzono tylko raz, 11 listopada 1939 roku. Wówczas, dwadzieścia dni przed rozpoczęciem zaplanowanego „wyzwalania” Finlandii, przyjęto uchwałę o utworzeniu 106. Dywizji Strzeleckiej, która miała być sformowana wyłącznie z osób władających językiem fińskim lub karelskim. Zaciekli „obalacze” wersji Suworowa zmarnowali mnóstwo papieru na swoje makulaturowe dzieła, na wszystkie te „antysuworowy”, „mity lodotamaczowe” i inne, ale nie raczyli odpowiedzieć na zwykłe pytanie: po co Stalinowi na 1 lipca 1941 roku potrzebna była dywizja mówiąca po polsku? Czyżby do obrony nienaruszalnych granic Związku Sowieckiego pilnie potrzebni stali się Polacy?

Fala przegrupowania na wielką skalę toczyła się z odległego Dalekiego Wschodu przez okręgi wojskowe europejskiej części ZSRS do pogranicznych okręgów zachodnich. W połowie czerwca przyszła kolej i na takie przedsięwzięcia, które przed wywiadem przeciwnika najtrudniej ukryć: rozpoczęto zagęszczanie operacyjnych szyków wojsk pierwszego rzutu strategicznego. Od 12 do 15 czerwca dowództwo pogranicznych okręgów zachodnich otrzymało rozkazy wysunięcia okręgowych (frontowych) dywizji rezerwy w pobliże granicy państwa. Tak więc ludowy komisarz obrony w dyrektywie nr 504205 z 13 czerwca 1941 roku wystosowanej do Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego nakazał: „*W celu podniesienia gotowości bojowej wojsk okręgu do 1 lipca (podkreślenie moje — M. S.) wszystkie dywizje z głębi kraju wraz z jednostkami korpuśnymi przenieść do nowych obozów w pobliże granicy państwa (...). Przemieszczenie wojsk zachować w ścisłej tajemnicy. Marsz wykonywać z ćwiczeniami taktycznymi, nocą. Wraz z wojskami całkowicie wyprowadzić przewoźne zapasy amunicji, paliwa i*

smarów. Rodzin nie zabierać. O wykonaniu meldować przez umyślnych do 1 lipca 1941 r.”.

Rozkaz został natychmiast przyjęty do wykonania. Oto jak w swoich pamiętnikach opisuje to marszałek Bagramian (podówczas szef wydziału operacyjnego i zastępca szefa sztabu Kijowskiego SOW):

„15 czerwca otrzymaliśmy rozkaz, aby do 17 czerwca rozpocząć wysuwanie wszystkich pięciu korpusów strzeleckich drugiego rzutu ku granicy. Mieliśmy do tego wszystko przygotowane (podkreślenia moje — M. S.): jeszcze na początku maja na polecenie Moskwy przeprowadziliśmy poważną pracę — przygotowaliśmy rozkazy dla korpusów, przeprowadziliśmy rozpoznanie marszrut i rejonów ześrodkowania. Teraz pozostało tylko wydać rozkaz wykonawcom (...). Dywizje zabierały z sobą wszystko, co jest niezbędne do działań bojowych. W celu zachowania tajemnicy wojska miały się przemieszczać tylko w nocy. Plan został szczegółowo opracowany (...). Aby hitlerowcy nie zauważyli przemarszu, rejony koncentracji korpusów wybrano nie przy samej granicy, ale o kilka dni marszu na wschód”.

Dyrektywa o identycznej treści i z podaniem tej samej daty zakończenia koncentracji — do 1 lipca — nadeszła też do Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego. Do 15 czerwca ponad połowa dywizji stanowiących drugi rzut oraz rezerwę zachodnich okręgów wojskowych została wprawiona w ruch. W przeddzień wojny 32 dywizje okręgów zachodnich nocą, przez lasy i bagna szły (przekradały się) ku granicy. Pułkownik Nowiczkow, który na początku wojny był szefem sztabu 62. Dywizji Strzeleckiej 5. Armii Kijowskiego SOW, wspomina: *„Jednostki dywizji wymaszerowały z obozu w Kiwercach (około 80 km od granicy — M. S.) i pokonawszy dwa nocne odcinki marszowe, rankiem 19 czerwca wyszły na pas obrony, jednak nie zajęły rubieży obronnej, lecz ześrodkowały się w lasach (podkreślenie moje — M. S.) w jej pobliżu”.*

15 czerwca dowodzący wojskami Nadbałtyckiego Specjalnego Okręgu Wojskowego generał pułkownik F. J. Kuzniecowa wydał rozkaz nr 0052, w którym przypomniał swoim podwładnym, że *„to właśnie dziś, jak nigdy, powinniśmy być w pełnej gotowości bojowej (...) wszyscy muszą to stanowczo i jasno zrozumieć, bo w każdej chwili musimy być gotowi do wykonania każdego zadania bojowego”.* Mimo że rozkaz nr 0052 żadnych konkretnych zadań operacyjnych nie zawierał, został opatrzony pieczęcią *„Ścisłe tajne.*

Specjalnego znaczenia”. Podany do wiadomości starszych dowódców (od dowódcy dywizji wzwyż), kończył się taką wskazówką: „*Nie wydawać żadnych rozkazów i poleceń, które stanowiłyby rozwinięcie tego rozkazu*”. Troska o zachowanie tajności doszła do tego, że szef zarządu propagandy politycznej Nadbałtyckiego SOW towarzysz Rabczyj wieczorem 1941 roku rozkazał: „*wydziałom propagandy korpusu i dywizji nie wolno dawać pisemnych dyrektyw dla jednostek, a zadania pracy politycznej mają stawiać ustnie za pośrednictwem swoich przedstawicieli*”.

Dziwne to wszystko, bardzo dziwne. Oczywiście sowieckie normy tajności bardzo się różnią od ogólnoludzkich, ale czyż nie wolno było powierzyć papierowi takich zadań, jak „*być gotowym do obrony pokojowej pracy ludzi sowieckich*” czy „*nie chcemy ani piędzi obcej ziemi*”? W związku z tym należy odnotować, że w pierwszym dniu wojny, 22 czerwca 1941 roku, w miasteczku Szaki (na Litwie) Niemcy zajęli magazyn z ulotkami w języku niemieckim skierowanymi do żołnierzy Wehrmachtu.

Najdziwniejsze jest jednak co innego. Do dziś są pismacy, którzy twierdzą, że Stalin ze wszystkich sił starał się „*odwlec napaść*” Hitlera na Związek Sowiecki. A przecież po to nie trzeba było chować dywizji po lasach, taplać się nocą po bagnach, ale w jasny słoneczny dzień czerwcowy wezwać do tychże Kiwerców dziennikarzy wszystkich gazet centralnych i nakazać im sfotografowanie kolumn marszowych. I dać te zdjęcia na pierwsze kolumny pod wspólnym tytułem: „***Granica zamknięta na kłódkę!***” A obok — wywiad z dowódcą czołgu, który przybył ze swoimi towarzyszami broni z upalnych stepów Mongolii do Szepietówki. I niech sobie niemieccy analitycy myślą, o co tu chodzi... „*Mając do czynienia z groźnym wrogiem, należy pokazywać mu przede wszystkim własną gotowość do oporu. Gdybyśmy Hitlerowi zademonstrowali naszą prawdziwą potęgę, to możliwe, że w owej chwili powstrzymałby się on od wojny z nami*” — pisze w pamiętnikach generał armii Siemion Pawłowicz Iwanow, wielce doświadczony oficer sztabowy. Właśnie tak Stalin powinien był zrobić, gdyby myślał, jak odwlec wojnę, a nie o tym, by nie spłoszyć przeciwnika w tych kilku tygodniach i dniach, które pozostały do ataku na Europę.

Gdy naniesiemy na mapę rozmieszczenie dywizji pierwszego rzutu strategicznego, które sformowano podczas tajnego wielo miesięcznego rozwinięcia strategicznego, znikną ostatnie wątpliwości co do ofensywnego

ukierunkowania Wielkiego Planu. Dzięki przewidująco narysowanej we wrześniu 1939 roku „*linii rozgraniczenia interesów państwowych ZSRS i Niemiec na terytorium byłego Państwa Polskiego*” (tak właśnie nazywało się to, co we wszystkich książkach i podręcznikach nazywa się zachodnią granicą ZSRS), „*granica*” ta miała dwa głębokie (na 120–170 km) występy „*ostrzem*” zwrócone na Zachód. Występ białostocki na Białorusi Zachodniej i lwowski na Ukrainie Zachodniej. Obu towarzyszą cztery „*zagłębienia*”. Z północy na południe te „*zagłębienia*” u podstaw występów znajdowały się w rejonach Grodna, Brześcia, Włodzimierza Wołyńskiego, Czerniowców. Gdyby Armia Czerwona zamierzała prowadzić obronę, to na szpicach „*występów*” pozostawiono by minimalne siły osłonowe, a zasadnicze ugrupowania obronne byłyby ustawione u podstaw, w „*zagłębieniach*”. Takie uszeregowanie daje gwarancję uniknięcia okrążenia własnych wojsk na terenie występów, umożliwia skrócenie frontu (długość podstawy trójkąta zawsze jest krótsza niż suma pozostałych boków) i osiągnięcie największej gęstości obrony na najbardziej prawdopodobnych kierunkach natarcia przeciwnika.

W czerwcu 1941 roku wszystko zrobiono na odwrót. Główne siły uderzeniowe ugrupowania „*stłoczyły się*” na szpicach występu białostockiego i lwowskiego. U podstawy tych występów, w rejonie Grodna, Brześcia i Czerniowców, zostały rozmieszczone nieporównanie mniejsze siły. Opis całego ugrupowania zająłby zbyt wiele czasu i miejsca, toteż omówimy jedynie dyslokację głównej siły uderzeniowej Armii Czerwonej — korpusów zmechanizowanych (pancernych). To, że były one formowane w pośpiechu i niejednocześnie, sprawiło, że czołgami, samochodami pancernymi i ciągnikami obdzielono je bardzo nierównomiernie. Podobnie było z czołgami. Większa część korpusów nie miała nawet najnowszych T-34 i KW; niektóre (X, XIX i XVIII Korpus Zmechanizowany) uzbrojono w mocno zużyte BT-2 i BT-5 wyprodukowane w latach 1932–1934, a nawet lekkie tankietki pływające T-37 i T-38. Na tym tle bardzo się wyróżnia „*piątka mocarzy*”, pięć korpusów uzbrojonych w 700 do 1000 czołgów, w tym ponad 100 najnowszych T-34 i KW, setki ciągników, tysiące samochodów. Były to, wymieniając z północy na południe, III, VI, XV, IV i VIII Korpus Zmechanizowany. Nawet wśród tych najlepszych z najlepszych wyróżniały się korpusy VI i IV. Miały o 452 T-34 i 414 KW więcej niż łącznie wszystkie

pozostałe (a pozostałych było 27) korpusy zmechanizowane Armii Czerwonej. Na początku działań bojowych VI Korpus miał 1131 czołgów (czyli nawet więcej, niż wynosił etat), 294 ciągniki (zaszczytne drugie miejsce wśród wszystkich korpusów zmechanizowanych), a pod względem liczby samochodów i motocykli (odpowiednio 4479 i 1042) był lepszy od któregośkolwiek innego korpusu zmechanizowanego Armii Czerwonej. Dość dobrze wyposażony przed rozpoczęciem wojny był też VIII Korpus Zmechanizowany. Miał on 171 T-34 i KW, 359 ciągników i 3237 samochodów.

Gdzież stacjonowali owi „mocarze”? IV Korpus Zmechanizowany rozwinął się w okolicach Lwowa. Obok niego, nieco bardziej na południe, stanął VIII Korpus, nieco na wschód od Lwowa, w rejonie Złoczowa–Krzemieńca, znajdował się XV. Tylko te trzy korpusy liczyły 721 czołgów KW i T-34, co dziwnym zbiegiem okoliczności niemal dokładnie równało się łącznej liczbie czołgów wszystkich typów w stojącej po drugiej stronie granicy 1. Grupie Pancерnej Wehrmachtu. Nie oddawszy ani jednego strzału, grupa uderzeniowa sowieckich korpusów zmechanizowanych zawisła już nad skrzydłem i tyłami niemieckich wojsk ściśniętych w międzyrzeczu Wisły i Bugu. Dwa dni przed rozpoczęciem wojny wszystkie trzy dywizje IV Korpusu Zmechanizowanego rozpoczęły marsz na zachód, na sam czubek występu lwowskiego. 22 czerwca o 5.40 dowództwo VIII Korpusu Zmechanizowanego otwarło „czerwoną kopertę” i zgodnie z wydanym przez dowódcę 26. Armii rozkazem nr 002 z 17 maja korpus ruszył na zachód i po południu doszedł do granicznej rzeki San na zachód od Sambora. „Czerwona koperta” z rozkazem sztabu Kijowskiego SOW nr 0013 z 31 maja została otwarta przez dowódcę XV Korpusu Zmechanizowanego o 4.45, po czym dywizje korpusu ruszyły w stronę Radziechowa (34 km od granicznego Krystynopola, obecnie Czerwonograda). I tu chyba najbardziej znamieny był wybór miejsca dyslokacji VI Korpusu Zmechanizowanego — schowano go w głębi głuchych lasów pod Białymstokiem. Można się domyślić, jak ten korpus wraz z ogromnym „bagażem” trafił do tego miasta: linia kolejowa prowadzi tam przez wiekowe bory i nieprzebyte bagna. Natomiast o własnych siłach z Białegostoku korpus mógł udać się tylko w jedną stronę: szosą na Warszawę, do której od „granicy” pozostawało zaledwie 80 km. Porządnej szosy z Białegostoku na wschód, ku Białorusi, jak nie było wtedy, tak nie ma do dziś.

Nie mniej znamienne było też miejsce dyslokacji III Korpusu Zmechanizowanego (672 czołgi, w tym 110 T-34 i KW, 308 ciągników, 3897 samochodów). Korpus ten podlegał 11. Armii rozwiniętej na południu Litwy, na styku Frontu Północno-Zachodniego i Frontu Zachodniego. Linia granicy wyglądała tu jak długi i wąski jezior wcinający się od Suwałk w głąb sowieckiego terytorium w rejonie Grodna. Faktycznie na owym „*występie suwalskim*” i na północ rozwinęły się naraz dwie niemieckie grupy pancerne (4. i 3.) złożone z 7 (!) dywizji pancernych. Dowództwo sowieckie mogło o tym nie wiedzieć, ale już sam przebieg granicy pod Grodnem stanowił poważną groźbę. Niemniej III Korpus Zmechanizowany znalazł się znacznie bardziej na północ od Grodna, nawet na wschód od Kowna, oddzielony od „*występu suwalskiego*” Niemnem. Dziwne to położenie wobec konieczności odbicia prawdopodobnego uderzenia nieprzyjaciela od Suwałk na Grodno, natomiast całkiem zrozumiałe i racjonalne przy planach ataku na Tylżę i dalszego posuwania się aż do wybrzeża Bałtyku. A tymczasem bezpośrednio pod Grodnem znajdował się XI Korpus Zmechanizowany, słabo wyposażony (331 czołgów, w tym zaledwie 27 T-34 i KW), ze znikomą liczbą samochodów i ciągników. Niewiele lepiej (518 lekkich T-26, ani jednego czołgu średniego i ciężkiego) był uzbrojony również XIV Korpus Zmechanizowany, na który przy południowej podstawie „*występu białostockiego*”, w rejonie Brześćcia-Kobrynia, zważyło się uderzenie 2. Grupy Pancerniej Guderiana. Analogiczny (główne siły skupione na zwróconym ku przeciwnikowi szpicu „*występu*”) był też podział samodzielnych (korpuśnych i odwodu Naczelnego Dowództwa) pułków artylerii. W składzie 3. Armii, osłaniającej kierunek grodzieński, były zaledwie dwa korpuśne pułki artylerii (152. i 444.), a w 10. Armii (szpic „*występu białostockiego*”) — cztery pułki korpuśne (130. 156., 162. i 315.) oraz trzy pułki odwodu Naczelnego Dowództwa (311., 124. i 375.).

Jakkolwiek dziwnie to brzmi, ale dopiero po ukazaniu się znakomitej książki Wiktora Suworowa **Lodołamacz** trzeba było udowodnić ofensywne ukierunkowanie sowieckich planów operacyjnych i — uwarunkowane tymi planami — uszeregowanie wojsk. Wcześniej sowieccy historycy i pamiętnikarze ze spokojem i chętnie stwierdzali, że „*na uszeregowanie pozycji i wojsk wpłynął ofensywny charakter planowanych działań strategicznych (...) zamiar strategicznego rozwinięcia i uszeregowania*

operacyjnych ugrupowań wojsk w większym stopniu odzwierciedlał cele ofensywne”. Co prawda tego rodzaju wynurzeniom zawsze towarzyszyło zastrzeżenie, że „z powodu mylnej oceny sytuacji dopuszczono do...” Wiktor Suworow zaproponował tylko, żeby przestano uważać sowieckich generałów za idiotów nie rozumiejących abecadła strategii i sztuki operacyjnej. Zwrócił przy tym uwagę na umysłowe, a zwłaszcza etyczne cechy sowieckich historyków. Oczywiście „*historycy*” mu tego nie wybaczyli. Dziwne, ale i zrehabilitowani przez Wiktora Suworowa generałowie sowieccy nie wystąpili w jego obronie.

ROZDZIAŁ 9. „NIECH SIĘ MARTWIĄ INNI”

Nasze społeczeństwo, jak wiadomo całemu światu, jest dobre, wielce cierpliwe i niepamiętliwe. Do dziś żadna z partii reprezentowanych w Dumie Państwowej nie wpadła na pomysł, żeby podjąć poważne śledztwo parlamentarne w sprawie przyczyn i okoliczności tej największej tragedii Rosji, jaką była wojna. Wojna, która pozbawiła życia miliony naszych współobywateli. Nikt nie został osądzony. Żadnego z wielkich prominentów, którzy przeżyli Stalina i Berię (Mołotowa, Woroszyłowa, Timoszenkę, Żukowa, Golikowa), nawet nie przesłuchano. A co najbardziej zadziwia, wszystko to nikogo nie dziwi. Natomiast dobrowolnych — i, chciałoby się wierzyć, bezinteresownych — adwokatów Stalina z każdym rokiem jest coraz więcej i więcej. Z małpim piskiem, szyderczo się zgrywając, donoszą nam, że w latach Wielkiego Terroru rozstrzelano „zaledwie” 681 tysięcy osób (a podczas „śledztwa” w więzieniach i łagrach w ciągu dwóch lat zmarło „zaledwie” 115 tysięcy osób), tak więc *diermokraty*⁴ kłamią o milionowych ofiarach. A 800 tysięcy w ciągu dwóch lat — to mało? A czy eksterminacja własnego społeczeństwa rozpoczęła się dopiero w 1936 roku? I czy w 1938 roku się zakończyła? Trudno uwierzyć, ale pojawiła się nawet „*liberalnodemokratyczna*” wersja planów Stalina: rzekomo zamierzał on latem 1941 roku „*wyzwolić Europę od faszystowskich barbarzyńców*”. Owszem, nie udało się, owszem „*historia dała mu za mało czasu*”, natomiast jakież dobre miał oczy! I plany — „*wybitnie wyzwoleńcze*” (a nie „*wybitnie obronne*”, według starej wersji sowieckiej).

Niestety, muszę was rozczarować: żadnych dokumentów i faktów potwierdzających „*wyzwoleńcze zamiary*” Stalina na razie nie odnaleziono. Można natomiast stwierdzić inny oczywisty fakt: towarzysz Stalin nie podjął najmniejszej próby poprawienia stosunków z rzeczywistymi przeciwnikami Hitlera w przededniu rozpoczęcia Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Aczkolwiek, zgodnie ze zdrową logiką, właśnie od tego trzeba było zacząć, gdyby Stalin naprawdę sposobił się do „*bezinteresownego*” wyzwolenia ujarzmionej Europy. Co więcej, szorstkość — żeby nie powiedzieć: chamska buta —

⁴ — Gra słów: *diermo* = gówno (przyp. tłum.).

wobec walczącej Brytanii i jej sojusznika zza oceanu coraz bardziej się nasilała. Szczegółowa analiza międzynarodowych wydarzeń dyplomatycznych z wiosny i lata 1941 roku daleko wykracza poza ramy tej książki. Nie próbując ogarnąć tego, co nieogarnione, przytoczymy jednak kilka dość wymownych dokumentów.

Cytaty będą bardzo obszerne, lecz inaczej nie uda się zrozumieć „*tonu i stylu*”, którym stalinowscy dyplomaci kontaktowali się ze swoimi przyszłymi sojusznikami w koalicji antyhitlerowskiej.

18 kwietnia 1941 roku ambasador Wielkiej Brytanii w Związku Sowieckim Stafford Cripps spotkał się z zastępcą ludowego komisarza spraw zagranicznych Andriejem Januariewiczem Wyszynskim. Godna uwagi jest prehistoria tego spotkania. Winston Churchill po objęciu stanowiska premiera w maju 1940 roku zmienił dotychczasowego brytyjskiego ambasadora w ZSRS na najbardziej „lewicowego”, najbardziej lojalnie nastawionego do sowieckiej Rosji człowieka, jakiego miał w swej ekipie, i wyprawił go do Moskwy („*raz tylko wygwizdano mnie w parlamencie; było to podczas mojego przemówienia przychylnego Związkowi Sowieckiemu*” — mówił Cripps Wyszynskiemu). 1 lipca 1940 roku Cripps zdołał uzyskać spotkanie ze Stalinem (rzadki honor w owych czasach: ambasador takiego kraju jak USA, Steinhardt, ani razu przez Stalina nie został przyjęty) i przekazał mu osobiste przesłanie Churchilla. Dokument ten mówi, między innymi:

„W przeszłości, bardzo niedawnej przeszłości, na nasze stosunki, trzeba przyznać, padał cień wzajemnych podejrzeń; w sierpniu ub.r. rząd sowiecki doszedł do wniosku, że racja stanu Związku Sowieckiego wymaga, aby przerwać negocjacje z nami, i nawiązał bliskie stosunki z Niemcami. W ten sposób Niemcy stały się waszym przyjacielem niemal w tej samej chwili, kiedy zostały naszym wrogiem (...).

Obecnie przed całą Europą, w tym i oboma naszymi krajami, staje problem, jak państwa i narody Europy będą reagowały na perspektywę ustanowienia przez Niemcy hegemonii nad kontynentem (...). W porównaniu z innymi, mniej pomyślnie położonymi krajami, mamy lepsze możliwości, ażeby oprzeć się dążeniu Niemiec do hegemonii i, jak Pan wie, rząd brytyjski żywi niezłomny zamiar wykorzystania w tym celu swojego położenia geograficznego oraz własnych zasobów. W gruncie rzeczy polityka Wielkiej Brytanii skupia się na osiągnięciu dwóch celów: po pierwsze, uratować się od

dominacji Niemiec, którą chce wprowadzić nazistowski rząd, a po drugie — uwolnić resztę Europy od panowania, które Niemcy właśnie nad nią ustanawiają.

Rząd sowiecki sam potrafi rozważyć, czy obecne dążenie Niemiec do hegemonii nad Europą zagraża interesom Związku Sowieckiego, a jeśli tak, to w jaki sposób najlepiej zapewnić te interesy. Ja jednak uważam, że kryzys, który obecnie przeżywa Europa, jest tak poważny, że daje mi prawo szczerze wyłożyć Panu, jak ten stan rzeczy widzi rząd brytyjski”.

Wtedy, 1 lipca 1940 roku, Stalin zajął dość dwuznaczne stanowisko: nie wyraził najmniejszej chęci, by w czymkolwiek pomóc Wielkiej Brytanii; nie chciał przyznać, że hitlerowska agresja w Europie jest groźna dla ZSRS, ale — wyraźnie inaczej niż ówczesna gazetowa retoryka — nie zademonstrował też przyjaznego stosunku do Niemiec. Tak więc drzwi do współpracy Anglii i ZSRS pozostały uchylone. W protokolarnym zapisie sowieckim brzmi to tak:

„Tow. Stalin mówi, że jeśli pan Premier chce wiedzieć o naszych stosunkach z Niemcami, to możemy oznajmić, że nie mamy porozumienia z Niemcami w sprawie wojny przeciwko Anglii. Mamy tylko pakt o nieagresji. Co się tyczy kwestii równowagi, tow. Stalin mówi, że chcemy zmienić obecną równowagę w Europie, która rzeczywiście jest niekorzystna dla ZSRS (...).

Dalej tow. Stalin przechodzi do rzeczy najważniejszej — panowania Niemiec w Europie. Tow. Stalin mówi, że uważa za przedwczesne mówienie o panowaniu Niemiec w Europie.

Rozbić Francję to jeszcze nie znaczy panować w Europie. Po to, by panować w Europie, trzeba panować na morzach, a Niemcy na nich nie panują i chyba nie będą panować (...). Jeżeli idzie o subiektywne oceny dotyczące panowania w Europie, to tow. Stalin uważa za obowiązek oznajmić, że podczas wszystkich spotkań, jakie odbył z przedstawicielami Niemiec, nie zauważył z tej strony pragnienia, by panować nad całym światem (...). Tow. Stalin mówi, że nie jest tak naiwny, aby wierzyć poszczególnym ustnym oświadczeniom rozmaitych przywódców, iż nie pragną panować w Europie i na całym świecie. Te dwa rodzaje łączą się w jedno, ponieważ nie można panować w Europie, nie panując nad całym światem. Ale jeśli, mówi tow. Stalin, nadal wierzę, że przywódcy Niemiec nie pragną panować w Europie, to dlatego, iż wiem, że Niemcy nie mają sił do panowania nad całym światem (...).

Tow. Stalin mówi, że musi szczerze oświadczyć, iż ZSRS będzie zaopatrywał Niemcy w metale kolorowe do produkcji przeznaczonych dla ZSRS, i jeżeli ta okoliczność stanowi przeszkodę do zawarcia porozumienia handlowego między ZSRS a Anglią, to, mówi tow. Stalin, muszą stwierdzić, że takiego porozumienia nie będzie”.

I to było najlepsze, co usłyszał Cripps w ciągu roku pracy w Moskwie. Później stosunki tak ochłodziły, że Cripps po kilka miesięcy bezskutecznie starał się uzyskać spotkanie z ludowym komisarzem spraw zagranicznych ZSRS, Mołotowem. Gdy się przekonał, że te zabiegi są daremne, postanowił (należy sądzić, że zgodnie z instrukcją z Londynu) przekazać prośbę Mołotowowi na piśmie przez jego zastępcę. W wyniku tego 18 kwietnia 1941 roku odbyła się następująca rozmowa:

„Na początku rozmowy Cripps oświadczył, że chciałby odwiedzić Mołotowa Wiaczesława Michajłowicza i w tym celu przygotował przekład ustnego oświadczenia na piśmie dla Mołotowa W. M., ale ponieważ tow. Mołotow go nie przyjął, musiał przedstawić to oświadczenie mnie. Dalej Cripps oznajmił, że dziś, gdy prosił o spotkanie z tow. Mołotowem, otrzymał «niezwykłą odpowiedź» sekretariatu tow. Mołotowa: «Ludowy komisarz nie może pana przyjąć» — bez jakichkolwiek wyjaśnień. Cripps uważa taką odpowiedź za niezwykłą, ponieważ może ona oznaczać, iż nie ma żadnej możliwości zobaczenia się z ludowym komisarzem (...). Cripps przekazał mi napisany odręcznie przekład «ustnego oświadczenia w formie pisemnej», jak je nazwał, na 14 stronach. Tekst tego oświadczenia przeczytałem i oznajmiłem Crippsowi, że ponieważ ten dokument jest przeznaczony dla tow. Mołotowa W. M., to przekażę go adresatowi i postąpię zgodnie z instrukcją, jaką otrzymam od tow. Mołotowa W. M. Co zaś do mnie osobiście, to tę notatkę, na ile mogę sądzić po pierwszej lekturze, uważam za niepoważną i po to, aby ją omówić, brak nam odpowiednich z rządem angielskim stosunków, jak to już z analogicznego powodu tłumaczyłem Crippsowi w rozmowach z nim 22 marca. Co więcej, notatka zawiera nawet punkty, które są dla nas zupełnie nie do przyjęcia (...). W sprawie nietykalności i bezpieczeństwa ZSRS powiedziałem Crippsowi, że o to zatroszczy się sam ZSRS, bez pomocy doradców (...). Odrzuciłem próby kwestionowania przez Crippsa naszego prawa do handlu z Niemcami i z każdym innym państwem. Oświadczyłem, że jest to sprawa nasza i tylko nasza (...). Prócz tego nie możemy dopuścić, by stawiano nam jakieś

warunki: kwestia bałtycka (chodzi o odmowę Anglii uznania za legalną aneksji państw nadbałtyckich) i inne kwestie powinny być rozwiązywane bez jakichkolwiek warunków, samo postawienie tej sprawy zdecydowanie odrzucamy”.

W notatce, która wywołała takie oburzenie towarzysza Wyszynskiego, Cripps napisał:

„Od chwili, gdy miałem przyjemność rozmawiać z Waszą Ekszelencją, upłynął czas brzemienny w wydarzenia (...). dotyczy natomiast stosunków między naszymi dwoma krajami, to nie nastąpiły w nich zmiany. Rząd Wielkiej Brytanii wciąż jeszcze czuje się zmuszony do traktowania Związku Sowieckiego jako głównego źródła zaopatrzenia Niemiec zarówno w towary bezpośrednio wywożone ze Związku Sowieckiego, jak i przewożone przez jego terytorium z Dalekiego Wschodu w ilościach około 1000 ton na dobę. Rząd Stanów Zjednoczonych prawdopodobnie w pewnej mierze podziela nasz pogląd (...).

Przewidując, że Hitler obecnie ma zamiar prowadzić wojnę trwającą kilka lat, musi on — jak sam oznajmił — zapewnić sobie dostawy wystarczającej ilości żywności i surowców z innych źródeł niż te, którymi teraz dysponuje. Jeżeli nie uda mu się osiągnąć przewagi na morzach — a to będzie dla niego chyba nieosiągalne — będzie mógł otrzymywać te materiały w ilościach mniej więcej odpowiadających jego potrzebom, tylko ze Związku Sowieckiego lub przez obszar Związku Sowieckiego (...). Inaczej mówiąc, Hitler mógłby zaspokoić swoje potrzeby w sposób dwojaki: albo w drodze porozumienia ze Związkiem Sowieckim, albo też, gdyby nie zdołał zabezpieczyć sobie zawarcia i wykonania takiego porozumienia, próbując zdobyć to, czego potrzebuje, siłą (...). Sądząc z wielu doniesień, które otrzymaliśmy ze źródeł zazwyczaj wiarygodnych, takie zdobycie siłą źródeł zaopatrzenia na wschodzie wcale nie jest hipotezą, lecz przeciwnie, stanowi część opracowanego przez Niemcy planu kampanii na wiosnę tego roku (...).

Gdyby Związek Sowiecki zamierzał przyjąć pierwszy wariant i tym samym stał się źródłem zaopatrzenia Niemiec do granic własnych możliwości również na pozostałą część wojny, to rząd Wielkiej Brytanii musiałby oprzeć swoją politykę na takiej opinii. Gdyby natomiast, przeciwnie, Związek Sowiecki miał zamiar oprzeć się takiemu żądaniu (...), to rząd brytyjski mógłby, oczywiście, zechcieć wziąć za podstawę politykę o zupełnie innym charakterze i

zapropozować Stanom Zjednoczonym wybranie polityki idącej w tym samym kierunku co jego własna polityka.

Nie zamierzam pytać Waszej Ekscelelencji o zamiary Rządu Sowieckiego, w pełni bowiem zdaję sobie sprawę, z jakimi trudnościami wiązałyby się odpowiedź na takie pytanie. Pragnąłbym jednak zapytać, w świetle wyrażonych wyżej opinii, czy Rząd Sowiecki jest obecnie zainteresowany natychmiastowym poprawieniem jego stosunków politycznych i gospodarczych z rządem brytyjskim, czy też przeciwnie, Rząd Sowiecki zadowoli się tym, żeby te stosunki zachowały obecny, całkowicie negatywny, charakter do zakończenia wojny. Jeżeli odpowiedź na pierwszą część pytania jest zadowalająca, to moim zdaniem nie należy tracić czasu i trzeba dążyć do tego, by taka poprawa wyszła na korzyść jednej i drugiej stronie”.

Warto zauważyć, że Cripps — jak wielu jemu współczesnych oraz ich potomków — nie doceniał towarzysza Stalina, widział bowiem tylko dwa możliwe warianty rozwoju wydarzeń: Związek Sowiecki zgadza się zaopatrywać walczące z Anglią Niemcy „do granic swoich możliwości” albo Niemcy siłą zawłaszczają sowieckie źródła surowców i żywności. Wygląda na to, że Cripps i jego zwierzchnicy w Londynie nawet nie przypuszczali, że Stalin może mieć też własny, aktywny plan udziału w europejskiej wojnie.

S. Cripps szybko otrzymał wyraźną odpowiedź na swoją interpelację. W Moskwie po prostu przestano z nim rozmawiać. 5 czerwca 1941 roku odbyła się krótka pożegnalna rozmowa ambasadora Wielkiej Brytanii z Wyszynskim.

„Na prośbę Crippsa przyjąłem go o godz. 16.30. Cripps oznajmił, że na wezwanie swojego rządu w piątek rano, 6 czerwca br. wylatuje samolotem z Moskwy do Sztokholmu, aby stamtąd udać się do Londynu na konsultacje ze swoim rządem (...). Następnie Cripps oświadczył, że nie uznał za możliwe prosić o spotkanie z ludowym komisarzem, ponieważ swego czasu prosił on tow. Mołotowa, by go przyjął, ale spotkał się z odmową i teraz nie chciał się narazić na kolejną odmowę (...).

Wychodząc, Cripps wyraził mniemanie, że jest to chyba jego ostatnia wizyta w Ludowym Komisariacie Spraw Zagranicznych, i podziękował mi za życzliwy stosunek do niego podczas całego «bezowocnego» roku pobytu w Moskwie. Życzyłem Crippsowi szczęśliwej drogi”.

Jednak na tym się nie skończyło. Sławetne oświadczenie TASS z 13 czerwca 1941 roku zaczynało się od bezpośrednich oskarżeń pod adresem Crippsa:

„Jeszcze przed przyjazdem angielskiego ambasadora p. Crippsa do Londynu, a zwłaszcza po jego tam przyjeździe, w angielskiej i w całej zagranicznej prasie zaczęto rozdmuchiwać pogłoski o «bliskiej wojnie między ZSRS a Niemcami». Pogłoski te są nieudolnie zmajstrowaną propagandą sił wrogich ZSRS i Niemcom, zainteresowanych dalszym rozszerzaniem i rozpętywaniem wojny”.

W jakimkolwiek celu wydano to dziwaczne oświadczenie, nie było absolutnie żadnego powodu, żeby wspominać brytyjskiego ambasadora w bezpośrednim związku z *„propagandą sił (...) zainteresowanych dalszym rozszerzaniem i rozpętywaniem wojny”*. W preambule oświadczenia można się było powołać na jakąkolwiek gazetę, ponieważ w połowie czerwca 1941 roku rychłe rozpoczęcie wojny sowiecko–niemieckiej żywo omawiała cała prasa światowa. Według wszelkich pisanych i niepisanych praw dyplomacji ambasador reprezentuje państwo, które go wysłało. Obrażliwe stwierdzenia pod adresem ambasadora Anglii wyraźnie więc demonstrowały, że Moskwa stara się jeszcze bardziej pogorszyć stosunki z Wielką Brytanią.

I to bez żadnej rozsądnej przyczyny. Było to, że tak powiem, takie *„wierzgnięcie z przyzwyczajenia”*.

Jak wiadomo, *„do boksera po chamsku najlepiej odzywać się telefonicznie”*. Anglia podówczas nie znajdowała się w sytuacji w której mogłaby stosownie odpowiedzieć na obelgi wobec swego ambasadora. Churchill we wspomnieniach pisze:

„Punkt kulminacyjny nastąpił 1 maja, gdy rozpoczęły się na loty na Liverpool i Merseyside, które trwały siedem nocy z rzędu. 76 tysięcy osób straciło dach nad głową, a 3 tysiące zabito i raniono. Spośród 144 nabrzeży 69 jest zniszczonych, a statki znajdujące się okresowo w portach zostały w trzech czwartych zdewastowane (...). 10 maja nieprzyjaciel znów zrzucił na Londyn bomby zapalające. W mieście wybuchło ponad 2 tysiące pożarów, przy czym nie mogliśmy ich gasić, ponieważ bombardowania zniszczyły około 150 magistrali wodociągowych. Uszkodzono 5 doków i ponad 70 najważniejszych obiektów, z których połowę stanowiły zakłady przemysłowe. Wszystkie największe stacje kolejowe, z wyjątkiem jednej, unieruchomiono na

kilka tygodni, a rozjazdy kolejowe udało się całkowicie otworzyć dla ruchu dopiero na początku czerwca. Zabito i raniono około 3 tysięcy osób. Nalot ten był historyczny jeszcze z innego powodu: w jego wyniku została zburzona Izba Gmin. Jedna bomba spowodowała zniszczenia, których nie udało się zlikwidować w ciągu kilku lat”.

Z tej bądź jakiejś innej przyczyny pełniący obowiązki Crippsa sekretarz ambasady angielskiej pan Baggallay na spotkaniu z Wyszynskim zachowywał się, wedle relacji tego drugiego, niemal przypochebnie:

„Na prośbę Baggallaya przyjąłem go o 17.00. Baggallay oświadczył, że przyszedł do mnie jako do zastępcy ludowego komisarza z pierwszą wizytą. Baggallay od razu dodał, że z wielkim zadowoleniem przeczytał oświadczenie TASS opublikowane w sowieckich gazetach 14 czerwca br., które zaprzeczyło pogłoskom rozpowszechnianym w prasie zagranicznej, że zbliża się wojna między ZSRS a Niemcami. On, Baggallay, jednak nie całkiem rozumie i jest nieco zdziwiony tym, że w oświadczeniu wymieniono nazwisko Crippsa (...). Dlaczego w oświadczeniu TASS pogłoski te i ich rozpowszechnianie wiążą się z przyjazdem Crippsa do Londynu?

Odpowiedziałem Baggallayowi, że oświadczenie TASS konstatuje fakty, takie jakie są. A fakty są takie, że po przybyciu Crippsa do Londynu prasa angielska zaczęła szczególnie rozdmuchiwać pogłoski o rychłej napaści Niemiec na ZSRS (...).

Następnie Baggallay oznajmił, że oświadczenie TASS, jego zdaniem, zawiera dwie zasadnicze tezy:

po pierwsze, w oświadczeniu stwierdzono, że między ZSRS i Niemcami żadnych rokowań nie było, a po drugie, że nie ma żadnych podstaw do wyrażania niepokoju w związku z ruchami wojsk niemieckich. Na moje pytanie, kogo Baggallay ma na myśli, mówiąc o wyrażeniu niepokoju, Baggallay odpowiedział: ZSRS.

Na to ja odpowiedziałem Baggallayowi, że jak wynika z oświadczenia TASS, ZSRS nie ma żadnych powodów do niepokoju. Niech się martwią inni”.

Następne spotkanie towarzysza Wyszynskiego z Baggallayem odbyło się już 22 czerwca mniej więcej o 11.30.

„Baggallay oznajmił, że nie otrzymał jeszcze instrukcji od swojego rządu, ale stwierdził, iż uwzględniając obecną sytuację, można by nawiązać współpracę, w pewnej mierze, jeszcze przed otrzymaniem instrukcji od jego

rządu (...). *Angielskie siły powietrzne mogłyby udzielić Związkowi Sowieckiemu pomocy, bombardując niemieckie siły zbrojne na Bliskim Wschodzie. Rząd angielski mógłby pomóc zaopatrywać ZSRS przez Władywostok lub Zatokę Perską, a także dla wsparcia dowództwa sowieckiego posłać do ZSRS angielskich oficerów z doświadczeniem w walce przeciwko niemieckim czołgom”.*

22 czerwca 1941 roku Wyszynski też nie otrzymał nowych instrukcji od swojego rządu. O 11.00 jeszcze nie wiedział, że „*starą płytę*” czas już wyrzucić i nastawić nową: oskarżać i żądać, oskarżać i żądać, żądać i besztać za to, że nowi sojusznicy anglo–amerykańscy za mało pomagają Związkowi Sowieckiemu.

O tym wszystkim Wyszynski jeszcze nie wiedział, toteż kontynuował rozmowę z brytyjskim przedstawicielem w tym samym duchu, do którego przywyknął w minionych miesiącach:

„(...) oznajmiłem Baggallayowi, że jego informacje przekazę mojemu rządowi i gdy otrzymam odpowiednie wskazówki, zawiadomię Baggallaya.

Baggallay oznajmił, że w obecnych warunkach uważałby za konieczne poznać się i nawiązać kontakt z tow. Mołotowem.

Obiecałem (o, to już nowe słowo — przyp. M. S.) Baggallayowi, że o jego prośbie poinformuję tow. Mołotowa.

Podczas rozmowy z Baggallayem rozpoczęło się przemówienie radiowe tow. Mołotowa. Baggallay poprosił o zgodę na wysłuchanie przemówienia tow. Mołotowa. W moim gabinecie Baggallay wysłuchał mowy tow. Mołotowa; jego tłumacz przetłumaczył główne tezy mowy tow. Mołotowa. Baggallay poprosił, abym mu dostarczył pełny tekst przemówienia tow. Mołotowa.

Odpowiedziałem Baggallayowi, że teraz nie mam pełnego tekstu przemówienia tow. Mołotowa, ale w radiu będzie jeszcze powtarzana mowa tow. Mołotowa i że zostanie ona wydrukowana”.

Tak oto rozmawiano tego przedpołudnia z pełnomocnym przedstawicielem przyszłych sojuszników: „*Kup pan sobie w kiosku gazetę i czytaj...*”

Jeżeli sytuację, w której Anglia znalazła się na wiosnę 1941 roku, można uznać za tragedię, to sowiecko–amerykańskie kontakty dyplomatyczne w tym czasie nabierały charakteru farsy. Wszystko zaczęło się od dwustu skrzyń

amerykańskiego ambasadora w Polsce, Beaddle'a, a ściślej mówiąc — jego żony, damy z bardzo bogatej rodziny. Podczas „wyprawy wyzwoleńczej” we wrześniu 1939 roku w budynku konsulatu amerykańskiego we Lwowie „zaginięła” kolekcja antyków należąca do żony Beaddle'a. Dwa lata bez mała Amerykanie czepiali się sowieckiego resortu spraw zagranicznych, prosząc o załatwienie tej sprawy. Bardzo byli zadziwieni, że w kraju, gdzie nie tyle zbiory sztuki, ile wręcz rower i patefon ściągały czujne spojrzenia sąsiadów, mogło zagiąć bez śladu dwieście skrzyń z obrazami, futrami, dywanami, srebrami stołowymi i tak dalej. Koniec końców cierpliwość sowieckich dyplomatów się wyczerpała i 5 czerwca 1941 roku (tego samego dnia, kiedy Cripps jak niepyszny opuścił Moskwę) zastępca ludowego komisarza spraw zagranicznych towarzysz Łozowski oznajmił ambasadorowi USA Steinhardtowi dosłownie co następuje:

„Pan Ambasador niepotrzebnie nadaje takie wielkie znaczenie kwestii rzeczy byłego ambasadora amerykańskiego w Polsce p. Beaddle'a. Na Zachodniej Ukrainie i Zachodniej Białoruś w owym czasie trwała rewolucja (niezwykle ciekawe sformułowanie, uwalniające rządców Kremla od wszelkiej odpowiedzialności za życie i własność ludności Polski, którą Związek Sowiecki okupował z użyciem siły zbrojnej — przyp. M. S.). Pan Ambasador widocznie sądzi, że gdy ludzie robią rewolucję, to akurat myślą o tym, jak zabezpieczyć czyjąś własność.

Pan Beaddle sam jest sobie winien, że jego majątek się nie zachował, ponieważ nikomu z przedstawicieli władzy sowieckiej nie przekazał tego majątku. Rząd sowiecki nie jest stróżem majątku p. Beaddle'a i nie może ponosić odpowiedzialności za jego zaginięcie”.

Rozmowa dyplomatów nie ograniczyła się oczywiście tylko do „wyjaśnienia” sprawy skrzyń Beaddle'a. Towarzysz Łozowski porządnie „skarcił” (właśnie tego określenia używa w swoim sprawozdaniu) ambasadora.

„Rząd USA skonfiskował złoto należące do Banku Państwowego ZSRS (tak towarzysz Łozowski nazwał rezerwy złota i walut państw nadbałtyckich przechowywane w amerykańskich bankach — przyp. M. S.), aresztował parowce republik nadbałtyckich i nie tylko nie zlikwidował misji i konsulatu Litwy, Łotwy i Estonii, ale uznaje ich marionetkowych ambasadorów i konsulów za przedstawicieli nie istniejących rządów. Taki stosunek rządu USA

do praw i interesów Związku Sowieckiego naturalnie powoduje, że rząd sowiecki nie może nawet przystąpić do rozpatrywania pretensji majątkowych zawartych w licznych notach ambasady USA w Moskwie (...). Pan Ambasador) powiedział, że niektórzy dyplomaci chcą wystąpić w Kongresie przeciwko ZSRS. Nie niepokoją nas tego rodzaju wystąpienia. Skoro są deputowani, którzy chcą narobić hałasu i awantury w Kongresie, to niech hałasują, ich sprawa (...).

Po tym, jak «skarcilem» Steinhardta, zaczął się on skarżyć, że się go nie zaprasza do omawiania kwestii dotyczących stosunków między obiema stronami, i tym się częściowo tłumaczy obecna sytuacja. Ani razu nie rozmawiał on z tow. Stalinem, a z tow. Mołotowem mówił dwa–trzy razy i tylko na mało znaczące tematy (...). W tym czasie, gdy sowieccy inżynierowie odwiedzają amerykańskie zakłady, jemu, Steinhardtowi, dotychczas nie pozwolono odwiedzić jakiegokolwiek wielkiego zakładu sowieckiego (...). Zdaniem Steinhardta w najbliższych 12 miesiącach, a niektórzy uważają, że w najbliższych 2–3 tygodniach, Związek Sowiecki będzie przeżywał największy kryzys. Dziwi go, że w takich ciężkich czasach Związek Sowiecki nie chce umocnić swoich stosunków ze Stanami Zjednoczonymi (...).

Następnie Steinhardt przeszedł do kwestii gromadzenia się wojsk niemieckich na zachodniej granicy ZSRS. Jest pewien, że Niemcy są gotowi do napaści na Związek Sowiecki (...). Niemcy stają się coraz bezczelniejsi i coraz trudniej z nimi się rozmawia. Będą żądać coraz więcej i więcej. W tym roku jest bardzo poważna sytuacja ze zbiorami i to może popchnąć Niemców do wystąpienia przeciwko ZSRS.

Na to odpowiedziałem, że Związek Sowiecki ze spokojem traktuje wszelkiego rodzaju pogróżki o napaści na jego granice. Gdyby znaleźli się tacy, którzy spróbowaliby to uczynić, to dzień napaści na Związek Sowiecki byłby najniezwyklejszym w historii kraju, który by napadł na ZSRS”.

I tu towarzysz Łozowski się nie pomylił. Dzień 22 czerwca 1941 roku stał się najniezwyklejszym dniem w historii...

ROZDZIAŁ 10. PLAN OSŁONOWY

Zakrojone na wielką skalę przegrupowanie sowieckich wojsk rozpoczęte w maju 1941 roku stworzyło skomplikowaną i groźną sytuację. W gruncie rzeczy rozwinięcie strategiczne — pod względem formy i treści — podobne jest do znanej chyba każdemu przeprowadzki z jednego mieszkania do drugiego. Po dwóch tygodniach od przeprowadzki życie wejdzie na właściwe tory i jak się wszyscy spodziewają, stanie się lepsze, niż było na dawnym miejscu. Ale to będzie potem. Podczas krótkiego okresu przeprowadzki nawet taka prosta sprawa jak znalezienie nici, igły i odpowiedniego guzika urasta do rozmiarów nierozwiązywalnego problemu. Taka sytuacja powstaje też podczas dyslokacji wojsk. Dywizja pancerna (370 czołgów, 11 tysięcy żołnierzy) w szyku bojowym stanowi straszną siłę. Ta sama dywizja załadowana na wagony zamaskowane dyktą staje się bezradna jak niemowlę. Gorzej, staje się łatwym celem dla nieprzyjaciela. Może ją powstrzymać, byle złoczyńca, który odkręci śrubę na przejeździe kolejowym, eskadra wrogich bombowców może zmienić transport wojskowy w kupę gorejących szczątków. Odpowiednio, po to, by krótki okres gromadzenia rezerwistów, „przeprowadzki” i operacyjnej rozwinięcia wojsk nie był dla nich ostatni, należy przeprowadzić cały szereg przedsięwzięć, które w języku wojskowym nazywają się osłoną mobilizacji i rozwinięcia. Lub po prostu – osłoną.

Niekiedy (zdarza się to niestety również w dokumentach i specjalistycznej literaturze wojskowej) precyzyjny termin „*osłona mobilizacji, ześrodkowania i rozwinięcia*” zastępuje się na pozór podobnym: „*osłona granicy*”. To drobne na pierwszy rzut oka niedbalstwo terminologiczne było i pozostanie kamieniem węgielnym, na którym buduje się wielkie kłamstwo o początku wojny. Granicy, podobnie jak drzwi do mieszkania, nie przymyka się, ale zamyka szczelnie. Każde państwo po to tworzy siły zbrojne, by jego granice były skutecznie bronione. Zawsze. Osłona zaś to krótkotrwała operacja ograniczona w czasie, a także pod względem charakteru wykonywanych zadań. Czas operacji osłonowej dyktują terminy mobilizacji, ześrodkowania i rozwinięcia wojsk. Jest to kilka dni lub, w najgorszym razie, kilka tygodni. Obiektem osłony nie jest linia granicy (choć utrzymanie tej linii jest pożądane), ale proces mobilizacji, ześrodkowania i rozwinięcia

wojsk. Znaczy to, że zapewnienie nieprzerwanej pracy stacji kolejowej położonej 100 km od granicy jest nieporównanie ważniejsze niż utrzymanie każdego słupa granicznego. W skrajnym przypadku na etapie osłony od słupa można się nawet odsunąć. Nie to jest najważniejsze. Zmobilizowana i rozwinięta do boju armia na powrót osadzi wszystkie słupy graniczne.

Z tych prostych stwierdzeń wynikają przynajmniej dwa proste i bardzo ważne wnioski. Po pierwsze, osłanianie mobilizacji i rozwinięcia zawsze będzie w istocie operacją obronną. Ale z tego w najmniejszym stopniu nie wynika, że celem samej mobilizacji i rozwinięcia strategicznego (dla których ukrycia prowadzi się właśnie obronną operację osłonową) zawsze jest obrona linii granicy i słupów. Nic podobnego. Każdy agresor (tak Hitler, jak i Stalin) potrzebuje osłony mobilizacji i ześrodkowania swoich wojsk przed każdym kolejnym aktem rozboju międzynarodowego.

Drugi wniosek polega na tym, że osłona mobilizacji, koncentracji i rozwinięcia wojsk z definicji nie może być wykonywana wszystkimi wojskami, którymi dysponuje dowództwo, i jeszcze do tego całkowicie zmobilizowanymi. Osłony zawsze dokonuje się częścią sił. Inaczej być nie może. W żadnym garnizonie wojskowym nocnej warty nie obejmują wszyscy. Służbę wartowniczą (której odpowiednikiem na szczeblu strategicznym jest osłona mobilizacji i rozwinięcia) zawsze pełni niewielka część żołnierzy. Niestety, szeroka publiczność nie zawsze zna tę najprostszą zasadę, na czym spekulowali i spekulują zawodowi kłamcy od historii wojskowości.

Żałośnie sławetnym przykładem takiej demagogii jest seria publikacji w piśmie „**Wojenno–istoriczeskij żurnal**” (nr 2, 3, 4, 56 z 1996 roku) pod krzykliwym tytułem *Koniec globalnego kłamstwa*. Publikując (55 lat po ich napisaniu) plany osłony zachodnich okręgów wojskowych, godni następcy Głównego Zarządu Propagandy Politycznej usiłowali zdezinformować czytelników jawnie kłamliwym stwierdzeniem, że wyłącznie tylko do tych — obronnych z definicji — planów osłony ograniczał się cały plan operacyjny Armii Czerwonej z 1941 roku. Nasuwa się oczywiste pytanie: po cóż więc, poczynając od maja 1941 roku, prowadzono strategiczne rozwinięcie Sił Zbrojnych Związku Sowieckiego? Czyżby tylko po to, by przysporzyć sobie problemów z jego osłoną? Odpowiedź na to pytanie pozostała „za kadrem”. Rzadko już dziś można się zetknąć z tak oczywistą bezczelnością, jaką wykazali autorzy „*globalnego kłamstwa*”. Niemal każda publikacja

poświęcona wydarzeniom lata 1941 roku zawiera gorzkie żale, że „*nie zmobilizowane wojska okręgów zachodnich, które nie zdążyły dotrzeć do granicy, nie potrafiły, a zresztą nie mogły, odeprzeć niespodziewanej napaści przeważających sił wroga*”. A przecież w tym zdaniu, tak dobrze znanym uszom człowieka sowieckiego, co słowo, to nieściskość, błąd lub rozmyślne oszustwo.

Dywizje strzeleckie okręgów przygranicznych zostały uzupełnione do 85–90 procent przewidzianego składu osobowego i uzbrojenia (dokładniej była o tym mowa w poprzednim rozdziale). Brak etatowej — czyli ogromnej — ilości taboru samochodowego i ciągników (ulubiony temat stronników „*globalnego kłamstwa*”) nie miał zasadniczego znaczenia w ramach operacji osłonowej, bardzo ograniczonej co do terminów i zadań. Czas jej trwania dyktowany był właśnie terminami zmobilizowania podstawowych sił Armii Czerwonej rozwijanych na Za chodzie. Terminy te w czerwcu 1941 roku mierzono — jak już wspomiano — nawet nie w tygodniach, ale w dniach („*spośród 303 dywizji, które miały być zmobilizowane zgodnie z planem MP-41, 172 musiały osiągnąć pełną gotowość w 2–4 dobie mobilizacji, 60 dywizji — w 4–5 dobie...*”). Najważniejsze tu jest to, że osłona mobilizacji i rozwijanie wojsk nie ma nic wspólnego z hasłami „*Ani kroku wstecz*” i „*Bronić się aż do śmierci*”. Ostatniego tygodnia czerwca od dywizji strzeleckich wykonujących operację osłonową wymagano, by w ciągu kilku dni powstrzymały natarcie przeciwnika, zmniejszyły tempo tego natarcia i nie dopuściły do wdarcia się wielkich jednostek w głąb obrony operacyjnej wojsk okręgu. I to wszystko. Ani mniej, ani więcej.

Obrona ruchoma to całkiem „*uprawniony*” rodzaj walki przewidziany wprost w Regulaminie bojowym PU-39.

„*Celem obrony ruchomej jest, kosztem utraty terenu, wygrać czas konieczny do zorganizowania nowej rubieży, do rozpoczęcia koncentracji wojsk na danym kierunku (...). Wojska broniące rubieży pośredniej powinny nacierającemu przeciwnikowi zadać straty, zmusić go do rozwinięcia, do utraty czasu na zorganizowanie natarcia i nie wdając się z nim w zaciętą walkę, uchylić się przed ciosem*”.

Nawet planowy, zorganizowany i sterowany odwrót (nie mylić z obroną ruchomą, a tym bardziej z chaotyczną paniczną ucieczką) o 30–50 km od linii słupów granicznych w ciągu pierwszego tygodnia działań bojowych nie

stwarzał żadnych problemów dla mobilizacji w Mińsku czy dla wyładunku 20. Armii pod Smoleńskiem. Ściśle biorąc, wycofanie się o 40–50 km niezbyt zakłócało nawet przebieg mobilizacji w Białymstoku (75–90 km od granicy). Taką to mieliśmy geografię, nie mającą nic wspólnego z geografią Czech, Belgii czy Danii, zajętych przez Wehrmacht w ciągu kilku dni.

Czy wojska okręgów zachodnich miały możliwość wykonania zadania osłonowego? Postawiono tu całkowicie błędne pytanie i nie ma sensu na nie odpowiadać. Możliwość oporu nie jest jakąś wielkością stałą, niezależną od woli i postępowania ludzi. Teoretycznie armia fińska w grudniu 1939 roku nie miała żadnej szansy powstrzymania stalowej lawiny Armii Czerwonej. Praktycznie — powstrzymała. Przy czym, posunąwszy się w ciągu trzech miesięcy i 12 dni o 150 km w stronę Wyborga (średnie tempo natarcia — 1,5 km dziennie), wojska sowieckie straciły 365 tysięcy żołnierzy, w tym 127 tysięcy bezpowrotnie. Gdyby jednostki zachodnich okręgów przygranicznych Związku Sowieckiego, których liczebność (149 dywizji) dziesięciokrotnie przekraczała maksymalną liczebność armii fińskiej, w czerwcu 1941 roku zadały Wehrmachtowi takie straty i zmniejszyły tempo jego natarcia do 1,5 km dziennie, to operację osłonową można by uznać za wspaniale przeprowadzoną. Na dyskusję zasługuje inna kwestia: jakie plany osłonowe, jakie siły i środki do wykonania tych planów miały wojska okręgów zachodnich w czerwcu 1941 roku.

Pierwszym i najskuteczniejszym sposobem osłony mobilizacji i operacyjnego rozwinięcia wojsk jest wybór przeciwnika na tyle słabego, żeby nie zaryzykował on oddania pierwszego strzału i zakłócenia tym samym planowego rozwijania naszych wojsk. Jest to możliwe. Tak było właśnie w wojnach, które ZSRS prowadził w latach 1939–1940. Ani Polska, której armia we wrześniu 1939 roku była związana walką z Wehrmachtem, ani Finlandia, posiadająca niewielką i kiepsko uzbrojoną armię, nawet nie próbowały aktywnymi działaniami bojowymi uniemożliwić rozwinięcia wojsk Armii Czerwonej na ich granicach. Za swoistą „osłonę” operacyjnego rozwinięcia Armii Czerwonej (według bardzo słusznej definicji profesora Kilina) posłużyły polityczne negocjacje z delegacją fińską, które w październiku i listopadzie 1939 roku toczyły się w Moskwie przy udziale Stalina i Mołotowa.

To nieprawdopodobne, ale prawdziwe. Według takiego mniej więcej scenariusza władze kremlowskie zamierzały rozpocząć wojnę przeciwko

Niemcom. Opracowanie poszczególnych konkretnych planów operacji osłony mobilizacji i rozwinięcia nie zaczęło się we wrześniu 1939 roku, po ustaleniu linii rozgraniczenia wojsk niemieckich i sowieckich; nie późną jesienią roku 1940, kiedy już na całego wypracowywano plany natarcia na Kraków, Katowice i wszędzie dalej — ale dopiero w maju 1941 roku! Zdumiewające, że sowieccy „historycy” ze szczególną gorliwością uwypuklają tę okoliczność, widocznie nie rozumiejąc, że brak planu osłony mobilizacji i rozwinięcia (przy równoczesnym tworzeniu planów uderzenia na Europę z głębokością natarcia do 300 km na etapie wykonania „*pierwszego zadania*”) wcale nie świadczy o szczególnym umiłowaniu pokoju, lecz o bezgranicznym zadufaniu najwyższych władz wojskowo–politycznych kraju. I tak według planu sztabu Frontu Południowo–Zachodniego z grudnia 1940 roku przejście do ofensywy sił lądowych planowano dopiero „*od rana trzydziestego dnia mobilizacji*”. A cóż miałyby robić przeciwnik w ciągu tych 30 dni? Hitler, jak wiadomo, był paranoikiem, nie był jednak masochistą i chyba nie czekałby cierpliwie na poranek trzydziestego dnia mobilizacji. Nie można powiedzieć, że tak prosta myśl w ogóle nie znalazła wyrazu w grudniowym planie sztabu Frontu Południowo–Zachodniego. Wśród 5,5 tysiąca słów, które zawiera ten niezwykle szczegółowo opracowany plan ofensywy w Polsce południowej, jest również takie zdanie: „*Nie dopuścić do wtargnięcia przeciwnika na sowieckie terytorium, a jeżeli wtargnie, zniszczyć go i zapewnić Ześrodkowanie i rozwinięcie armii frontu do natarcia. Obronę na umocnionej rubieży wykonują wojska przeznaczone do osłony rozwinięcia, zgodnie z planem wytyczonym na mapie*”. I jest to absolutnie wszystko, co zostało powiedziane o operacji osłonowej. W żaden sposób w planie nie oznaczono ani składu sił osłonowych, ani ich dyslokacji, ani rubieży obrony i ewentualnego odwrotu, ani materialnego zabezpieczenia operacji.

Jeżeli taki plan miał jakikolwiek sens, to polegał on zapewne na nadziei, że wojnę przeciwko Niemcom uda się rozpętać w „*najłatwiejszym wariantcie*”, a mianowicie, że główne siły Wehrmachtu albo odejdą na Bliski Wschód, albo (co byłoby jeszcze pewniejsze i lepsze) wylądują na Wyspach Brytyjskich. Gdyby tak rozwinęły się wydarzenia, pozostawione na Wschodzie 20–30 trzeciorzędnych dywizji niemieckiej piechoty albo wcale nie zaryzykowałyby przeciwdziałania strategicznemu rozwinięciu Armii Czerwonej, albo zostałyby łatwo „*zniszczone przy próbie wtargnięcia na*

terytorium sowieckie”. Inne, o wiele bardziej niepokojące oczekiwania pojawiły się dopiero na wiosnę 1941 roku. Tak więc już w kwietniowej dyrektywie opracowania planu rozwinięcia strategicznego armii Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego znajdujemy zdanie: *„możliwe jest przejście przeciwnika do ofensywy, zanim zakończymy własne ześrodkowanie*”. To chyba nieprzypadkowa zbieżność, że opracowanie pełnowartościowych planów osłony rozpoczęło się właśnie w maju (odpowiednie instrukcje komisarza obrony zostały wystosowane do okręgów 5–14 maja 1941 roku), czyli równocześnie z przeniesieniem terminu rozpoczęcia realizacji planu wojny z 1942 roku na koniec lata 1941 roku. Prawdopodobnie właśnie w maju 1941 roku Stalin w końcu zrozumiał, że Hitler odłożył inwazję na Wyspy Brytyjskie na czas nieokreślony i Armię Czerwoną czeka starcie z głównymi, najsprawniejszymi siłami Wehrmachtu i Luftwaffe. Odpowiednio do tego zmienił się stosunek do stopnia złożoności i znaczenia operacji osłonowej.

Plany osłony mobilizacji, ześrodkowania i operacyjnego rozwinięcia wojsk opracowano w sztabach zachodnich okręgów przygranicznych i posłano do zatwierdzenia Sztabowi Generalnemu Armii Czerwonej od 6 do 19 czerwca. Ponieważ plany osłonowe powstawały w okręgach na podstawie tych samych wskazówek Naczelnego Dowództwa, to i zadania we wszystkich tych planach sformułowano w takich samych słowach.

„Nie dopuścić do ataków zarówno lądowych, jak i powietrznych sił przeciwnika na terytorium okręgu. W zacieklej obronie na linii granicy państwa i na rubieżach powstających rejonów umocnionych odeprzeć natarcie przeciwnika i zabezpieczyć mobilizację, koncentrację i rozwinięcie wojsk okręgu. Obroną przeciwlotniczą i działaniami lotnictwa zapewnić nieprzerwaną pracę kolei, Ześrodkowanie wojsk okręgu i prace magazynów. Wszystkie rodzaje zwiadu w porę określą charakter koncentracji i zgrupowań przeciwnika”.

Są to zadania zrozumiałe i w pełni odpowiadające sensowi operacji osłonowej. Jednakże w Armii Czerwonej wzoru z maja 1941 roku nawet plany osłonowe nie sprowadzały się tylko do tych działań obronnych na własnym terytorium! We wszystkich okręgach zawierały one instrukcję, by prowadzić aktywne, ofensywne, nie ograniczone do własnego terytorium działania lotnictwa: *„Zdobyć panowanie w powietrzu i uderzeniami na główne zgrupowania wojsk, węzły kolejowe, mosty i linie kolejowe zakłócić oraz*

powstrzymać koncentrację i rozwijanie sił przeciwnika”. Na szczególną uwagę zasługują ostatnie słowa. „*Zakłócić oraz powstrzymać koncentrację i rozwijanie sił przeciwnika*” można w tym i tylko w tym wypadku, kiedy plan osłonowy uruchamia się przed pierwszym wystrzałem przeciwnika; co więcej, nawet przed rozpoczęciem przygotowań przeciwnika do owego pierwszego wystrzału (czyli zanim zacznie on rozwijać ugrupowanie uderzeniowe swoich wojsk przy naszej granicy). To jeszcze jedno potwierdzenie bezspornego faktu, że plan osłonowy (w postaci, w jakiej został opracowany w maju 1941 roku) w żadnej mierze nie był „*planem odparcia agresji*”. Był to plan osłonięcia (zabezpieczenia) przygotowań Armii Czerwonej do zadania miażdżącego ciosu wojskom niemieckim.

Warto też zauważyć, że wszystkie okręgowe plany działań osłonowych zawierają takie lub to samo znaczące zdanie: „*Konsekwentnymi uderzeniami lotnictwa bojowego na wyznaczone bazy i działaniami bojowymi w powietrzu zniszczyć lotnictwo nieprzyjacielskie...*” W pierwszych godzinach i dniach wojny uderzyć na „*wyznaczone bazy*” (z kontekstu wynika, że chodzi o lotniska bazowe) wrogiego lotnictwa można tylko w tym wypadku, gdy położenie tych lotnisk i podejścia do nich zostały zawczasu rozpoznane. Taką żmudną pracę przygotowawczą rzeczywiście przeprowadzono. Na przykład załącznik do planu osłonowego Zachodniego SOW „*Załoga bombowca w grupie samolotów przeznaczonych do uderzenia na lotnisko przeciwnika*” zajmuje trzy kartki. Natomiast w samym tekście planu osłonowego o zadaniach sił powietrznych zapisano, między innymi, co następuje:

„*a) uderzyć jednocześnie na wyznaczone lotniska i bazy przeciwnika położone w pierwszej strefie do rubieży Wystruć, Olsztyn, Mława, Warszawa, Dęblin (100–130 km od granicy — M. S.), osłaniając działania lotnictwa bombowego samolotami myśliwskimi. Do wykonania tego zadania potrzebnych będzie 138 kluczy, mamy 142 klucze, czyli wykorzystując całe posiadane lotnictwo bombowe, możemy to zadanie wykonać jednocześnie;*

b) w drugim wylocie lotnictwo bombowe uderza na lotniska i bazy przeciwnika położone w drugiej strefie do rubieży Królewiec, Malbork, Toruń, Łódź (200–250 km od granicy — M. S.). W tym celu można wykorzystać samoloty typu SB, Pe-2, Ar-2, których mamy 122 klucze, do wykonania tego zadania potrzeba 132 kluczy, brakuje nam 10 kluczy (...).

c) (...) *do uderzenia na mosty kolejowe można wykorzystać tylko samoloty typu Pe-2 i Ar-2, które mogą bombardować z lotu nurkowego. Ponieważ mamy mało bombowców nurkujących, trzeba wziąć na cel tylko najważniejsze mosty (przez Wisłę — M. S.), a mianowicie w Toruniu, Warszawie i Dęblinie”.*

Powtórzmy jeszcze raz: to nie są plany rozgromienia Niemiec i zwycięstwa w wojnie światowej. To zaledwie pojedyncze operacje, które miały być przeprowadzone na wstępnym, w istocie, etapie osłony mobilizacji i rozwinięcia głównych sił...

Jak należało oczekiwać, w planie osłonowym Odeskiego Okręgu Wojskowego już na etapie mobilizacji i rozwinięcia postawiono siłom powietrznym zadanie „*systematycznego niszczenia baz paliwowych i rafinerii*” na terytorium Rumunii. Znamienne, że w tym planie osłonowym pojawia się zadanie (z odpowiednią tabelą) o końcu sierpnia („*do końca sierpnia zdolność bojowa sił powietrznych okręgu powinna się wyraźnie polepszyć pod względem ilościowym i jakościowym*”). Również w planie osłonowym Kijowskiego SOW wielokrotnie powtarza się takie lub podobne zdanie: „*W lipcu i sierpniu br. planuje się dostarczyć dodatkowo 50 tys. min przeciwpiechotnych (...), 200 ton drutu kolczastego (...)*”.

Plany osłonowe Kijowskiego i Leningradzkiego OW przewidywały działania ofensywne nie tylko sił powietrznych, ale i wojsk lądowych: „*W sprzyjających warunkach wszystkie broniące się wojska i rezerwy armii oraz okręgu mają być gotowe na rozkaz Naczelnego Dowództwa do zadania szybkich ciosów w celu rozgromienia ugrupowań przeciwnika, przeniesienia działań bojowych na jego terytorium i zdobycia korzystnych rubieży*”. Tak więc w pasie przewidywanego głównego uderzenia Armii Czerwonej (Ukraina Zachodnia) zacierała się granica między osłoną rozwinięcia i początkiem zasadniczej operacji ofensywnej. Leningradzkiemu Okręgowi Wojskowemu stawiano aktywne zadania, licząc zapewne na domniemaną słabość przeciwnika (armii fińskiej).

Wszystko, co powiedziałem o aktywnym (jeżeli nawet nie ofensywnym) ukierunkowaniu planów osłony okręgów pogranicznych, wcale nie znaczy, że podstawowemu zadaniu — obronie terytorium okręgu — nie poświęcono w tym planie należytej uwagi. Obronne operacje armii i okręgu (frontu) zostały w zasadzie przećwiczone bardzo dokładnie i bez żadnej buńczuczności.

Wbrew zupełnie absurdalnym, ale głęboko zakorzenionym mitom głoszącym, że „*Stalin zabronił się cofać i dlatego...*”, plany osłonowe wszystkich okręgów uwzględniały również wymuszony odwrót (przy czym nie o 30–40 km), i możliwość wtargnięcia zmechanizowanych jednostek przeciwnika na głębokość operacyjną. Plan osłonowy Okręgu Odeskiego dopuszczał możliwość wycofania się z rubieży granicznej rzeki Prut na rubież wschodniego brzegu Dniestru (ponad 100 km). Plan osłonowy Nadbałtyckiego SOW wymagał „*przygotowania do zaciętej obrony przyczółka na lewym brzegu Niemna po rubieżę (...)*” (50–100 km na wschód od granicy). „*W tym celu należy natychmiast rozpocząć budowę potężnych umocnień (...). W rejonie tego przyczółka na zachód i wschód od Kowna przygotować przeprawy przez Niemen (...), należy położyć mosty pontonowe przez Niemen w rejonie Wilki, Rumszyszki*” (50–60 km od granicy). „*Należy mieć co najmniej trzy przeprawy dla czołgów przez rzekę Wilię na odcinku Skorej, Janów*” (100–120 km). W planie osłonowym Zachodniego SOW wskazano warianty działań wojsk okręgu (frontu) w razie wtargnięcia dużych zmotoryzowanych sił przeciwnika w pięciu możliwych kierunkach operacyjnych w tym również do rubieży Woronowo–Lida (ponad 100 km na wschód od granicy). Nawet w planie osłonowym Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego, mimo wielkiej koncentracji sił Armii Czerwonej na tym teatrze działań wojennych, przewidywano utworzenie licznych rubieży obronnych na tyłach „*z wszechstronnym ich rozwojem w okresie koncentracji wojsk*”, Na przykład do budowy umocnień nad rzeką Styr na linii Łuck, Stanisławczyk, Toporów (północna podstawa „*występu lwowskiego*”, 70–90 km od granicy państwa) planowano „*ściągnięcie z armii i spośród ludności miejscowej około 30 tysięcy osób i 1500 furmanek. Biorąc pod uwagę istnienie rubieży wodnej, liczba pracujących została zredukowana o połowę. Gotowość pasa obronnego M–10 — 50 proc., M–15⁵ — 100 proc.*” W Kijowskim SOW planowano zakrojone na szeroką skalę niszczenie dróg i mostów na wypadek wtargnięcia przeciwnika: „*Z początkiem działań bojowych wysadza się lub niszczy w inny sposób wszystkie odcinki kolejowe sąsiadujące bezpośrednio z granicą państwa na głębokości od 5 do 15 kilometrów, szlaki kolejowe znajdujące się od linii frontu dalej niż 5–15 km przygotowuje się do zniszczenia (...). Średnie mosty o wysokości ponad 15*

⁵ — M z liczbą oznacza kolejne dni mobilizacji (przyp. tłum.).

metrów, duże mosty i tunele zostają zaminowane, ale wysadza się je na specjalny rozkaz dowódcy armii”.

We wszystkich planach osłonowych szczególną uwagę poświęcono obronie przeciwpancernej. Nie znaczy to jednak, że czerwonoarmistom kazano się rzucać z butelkami pod czołgi. Obronę przeciwpancerną zamierzano zbudować na rozsądnych podstawach, korzystając z ogromnych zasobów technicznych i organizacyjnych Armii Czerwonej: *„W razie przerwania frontu obrony przez duże jednostki zmotoryzowane przeciwnika walka z nimi i ich niszczenie będzie kierowane bezpośrednio przez dowództwo okręgu (...). Zadaniem armii osłonowych (czyli dywizji i korpusów strzeleckich — M. S.) w tym wypadku będzie: zamknięcie wyłomu i niedopuszczenie do wkroczenia weń piechoty zmotoryzowanej i innych wojsk przeciwnika. Zadanie brygad artylerii przeciwpancernej będzie polegało na tym, by na przygotowanych rubieżach przywitać czołgi przeciwnika potężnym ogniem artyleryjskim i wspólnie z lotnictwem powstrzymać ich posuwanie się oraz uniemożliwić ich kontratak na nasze korpusy zmechanizowane”.* Jest to ogólny schemat działań. A oto jedna z konkretnych decyzji włączonych do planu osłonowego Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego:

„4. W razie przerwania frontu przez wielkie jednostki zmotoryzowane przeciwnika z frontu Sokołów, Siedlce w kierunku na Bielsk, Wołkowysk 100. Dywizja Strzelecka wspólnie z 7. Brygadą Artylerii Przeciwpancernej (BAP), 43. Mieszana Dywizją Lotniczą (MDL) i 12. Dywizją Lotnictwa Bombowego (DLB) trwale zajmują na tyłach rubież na froncie Gródek, Hajnówka (60 km od granicy w rejonie słynnej Puszczy Białowieskiej — M. S.), niszczą nacierające czołgi i piechotę zmotoryzowaną przeciwnika, nie dopuszczając ich na wschód od tej rubieży. VI KZmech z rejonu Białegostoku uderza w ogólnym kierunku na Gdańsk, Ciechanowiec i we współdziałaniu z 9. MDL i 12. DLB niszczą przeciwnika. XIII KZmech pod osłoną środków obrony przeciwpancernej 100. DS z rejonu Hajnówka, Czeremcha, Kalenkowicze we współdziałaniu z 43. MDL uderza w ogólnym kierunku na Dziakowice, Ciechanowiec, niszcząc przeciwnika i odcinając mu drogę odwrotu. Resztki wojsk przeciwnika zostają zepchnięte pod uderzenie VI KZmech i 100. DS”.

Wszystkie wymienione w tym fragmencie MDL-e, DLB-y, BAP-y — i nie tylko one — istniały w rzeczywistości.

W składzie wojsk Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego były cztery korpusy zmechanizowane (XI, VI, XIII i XIV) oraz trzy brygady artylerii przeciwpancernej (6., 7. i 8.). Jako ruchoma jednostka przeciwpancerna mogły i powinny być wykorzystane formujące się korpusy zmechanizowane XVII i XX („*przed uzupełnieniem czołgami zostają uzupełnione w sprzęt artyleryjski, który zwolnił się po sformowaniu brygad artylerii i jest wykorzystywany jako jednostka przeciwpancerna*”). Ta decyzja dowódcy Zachodniego SOW Dmitrija Grigoriewicza Pawłowa nie była owocem „*inicjatywy lokalnej*”. Jeszcze 14 maja 1941 roku na polecenie szefa Zarządu Samochodowo–Pancernej Armii Czerwonej J. N. Fiodorenki postanowiono uzbroić pułki pancerne dywizji pancernych i zmotoryzowanych formujących się korpusów zmechanizowanych w działa przeciwpancerne i wykorzystać je jako ruchomą rezerwę obrony przeciwpancernej armii bądź frontu. W instrukcji rozesłanej 16 maja 1941 roku do okręgów szczególnie podkreślano, że metoda strzelania na wprost z armat czołgowych i przeciwpancernych jest jednakowa, toteż szkolenie nie nastęrcza jakichś dodatkowych trudności. Do uzbrojenia takich „*przeciwpancernych pułków pancernych*” wydzielono 1200 armat kalibru 76,2 mm oraz 1000 armat kalibru 45 mm, po 46 (24 x 76,2 mm + 18 x 45 mm) na pułk, czyli przeszło 200 dodatkowych dział przeciwpancernych na korpus zmechanizowany. Do holowania dział przekazano 1200 samochodów ZIS–5 i 6 i 1500 GAZ. Termin wykonania tej instrukcji wyznaczono na 1 lipca 1941 roku.

Jeżeli natomiast chodzi o duże „*zmechanizowane jednostki przeciwnika*”, to o tak wielkich masach czołgów, jakich oczekiwało dowództwo sowieckie (około 3,5 tysiąca na jednym kierunku strategicznym, około 10 tysięcy na całym froncie sowiecko–niemieckim), nie było nawet mowy. W pierwszych dwóch–trzech dniach na całym terytorium Białorusi (w kierunku Brześć–Słonim) operowały tylko dwa korpusy pancerne (XLVII i XXIV) 2. Grupy Pancernej Guderiana, które miały łącznie około 800 czołgów. Dywizje 3. Grupy Pancernej, jak wiadomo, nacierały z „*występu suwalskiego*” nie na południowy wschód, na Grodno, lecz na północny wschód. Na szosę mińską weszły dopiero 25 czerwca 1941 roku, zataczając ogromny łuk przez Olitę, Wilno, Mołodeczno o długości ponad 250 km.

Najważniejszą częścią składową potencjału obronnego Armii Czerwonej był pas rejonów umocnionych wzdłuż całej granicy zachodniej. To właśnie

system rejonów umocnionych w decydującym stopniu zapewniał rozwiązanie głównego zadania operacji osłonowej: częścią sił powstrzymać natarcie przeciwnika na czas niezbędny do ześrodkowania i rozwinięcia głównych sił Armii Czerwonej. Gdy spojrzemy na mapę zachodnich rejonów Związku Sowieckiego, to zobaczymy, że teren był tam w znacznej mierze „przeciwpancerny”. Tym gorzej dla Wehrmachtu z roku 1941, którego zmotoryzowane jednostki strzeleckie nie poruszały się opancerzonymi transporterami gaśnicowymi (jak w starym sowieckim filmie), ale „cywilnymi” ciężarówkami i zdobycznymi autobusami. Zresztą i niemieckie czołgi na swoich wąskich gaśnicach już po pierwszym silnym deszczu grzęzły w tym, co w Rosji nazywano drogą.

Grupę Armii „*Północ*” zaraz po przekroczeniu granicy zatrzymał w swym dolnym, najszerszym biegu Niemen. Dalej, po sforsowaniu mnóstwa rzeczek i rzeczulek, niemieckie dywizje mniej więcej 250 km od granicy wyszły na brzeg szerokiej, spławnej Dźwiny, znowu w dolnym biegu. I to była najlepsza z tras, jakie stworzyła natura. Grupę Armii „*Środek*” czekały o wiele poważniejsze przeszkody. Teren w pasie natarcia 3. i 2. Grupy Pancerniej (południowa Litwa i Białoruś Zachodnia) jest całkowicie „przeciwpancerny”. Od północy „*występ białostocki*” pokrywa pas nieprzebytych bagien w dolinie leśnej rzeki Biebrzy. Na południu granica przebiegała brzegiem spławnego Bugu Zachodniego (znów w jego dolnym biegu). Po sforsowaniu tej rzeki Niemców czekały bagniste brzegi Narwi i gęsta sieć leśnych dopływów Prypeci i Niemna (Świsłocz, Jasiołda, Zelwianka, Szczara). Nieliczne drogi pośród gęstych lasów i bagien Białorusi Zachodniej do dziś są niczym górskie zleby: czołowego pojazdu kolumny, który ugrzązł albo został uszkodzony, nie sposób ani objechać, ani wyminąć.

1. Grupa Pancerna (Grupa Armii „*Południe*”) mogła rozpocząć uderzenie praktycznie jedynie przez wąski na 100–120 km „*korytarz*” między Kowlem a Brodami. Od północy ów „*korytarz*” zagraża obustronnie nieprzebyty pas bagien Polesia, od południa — Karpaty. Na tej trasie dywizje pancerne miały sforsować Bug, a następnie położone jeden po drugim, niemal w równych odstępach co 50–60 km, południowe dopływy Prypeci (Turia, Stochód, Styr, Horyń, Słucz). Na południe od Karpat, w Mołdawii i na południu Ukrainy teren jest, wydawałoby się, o wiele korzystniejszy dla nacierających wojsk — nie ma tam ani lasów, ani bagien. Są natomiast trzy rzeki: Prut, Dniestr, Bug

Południowy — szerokie, bo to ich dolny bieg! W istocie tylko na wschód od Dniepru i Dźwiny niemieckie formacje zmotoryzowane wkraczały na teren umożliwiający wykonanie szerokiego i szybkiego manewru operacyjnego. Ale od granicy do Dniepru trzeba było przebyć ponad 450 km. To odpowiada mniej więcej wymiarom całych Niemiec od ich zachodniej do wschodniej granicy.

Przeszkody, które stworzyła sama natura, uzupełniały i wielokrotnie wzmacniały przeszkody tworzone ręką człowieka.

Od Bałtyku do Morza Czarnego rozpościerał się gęsty pas fortyfikacji Linii Mołotowa — rejonu umocnione: Telszeński, Szawelski, Kowieński, Olicki, Grodzieński, Osowiecki, Zambrowski, Brzeski, Kowelski, Włodzimierskowołyński, Rawskoruski, Strumiłowski, Przemyski, Prutu Górnego i Prutu Dolnego. Samo istnienie tego potężnego pasa obronnego tak bardzo nie pasowało do odgórnie zatwierdzonej koncepcji „nieprzygotowania do wojny” i „uzasadnionej klęski”, że sowieccy „historycy” wydali mu wieloletnią, wyniszczającą wojnę. Grube na kilka metrów mury z żelazobetonu runęły pod naporem tysiącokrotnie powtarzanej mantry, jak to naiwny i ufny Stalin pogruchotał wszystkie umocnienia na starej (z 1939 roku) granicy państwowej, a na nowej niczego porządnego nie zbudował. Wszyscy to wiedzą... tego uczą w szkole. Ale szydło nie wytrzymało i wrywa się z worka.

„Wojenno–istoriczeskij żurnal” — organ prasowy Ministerstwa Obrony ZSRS — w numerze 4 z 1989 roku zamieścił tabelę z liczbami ilustrującymi stan rejonów umocnionych na nowej granicy. Na tabelę tę redakcja hojnie przeznaczyła 5,5 x 2,5 cm powierzchni czasopisma. Mikroskopijnymi literami złożono informację, że tylko w jednym, Zachodnim Specjalnym Okręgu Wojskowym do 1 czerwca 1941 roku zbudowano 332 bunkry, a ponadto 2130 (dwa tysiące sto trzydzieści) było w budowie. Małe wymiary tabelki nie pozwoliły zakomunikować czytelnikom, że terminem zakończenia budowy był znowu 1 lipca 1941 roku i praca wrzała od świtu do nocy. Jak pisze Sandałow (podówczas szef sztabu 4. Armii Zachodniego SOW) *„do budowy Brzeskiego Rejonu Umocnionego zostały ściągnięte wszystkie jednostki saperskie 4. Armii i 33. pułk inżynieryjny okręgu (...). W marcu–kwietniu dodatkowo ściągnięto 10 tys. osób ludności miejscowej z 4 tys. furmanek (...), od czerwca na rozkaz okręgu do prac obronnych ściągano już po dwa*

bataliony z każdego pułku strzeleckiego dywizji”. Dwa bataliony z pułku to dwa spośród trzech. Niemal cała armia stała się ogromnym „*batalionem budowlanym*”. 16 czerwca 1941 roku temu „*budowlanemu szalowi*” dodała bodźca uchwała KC WKP(b) i Rady Komisarzy Ludowych ZSRS W sprawie szybszego doprowadzenia do gotowości bojowej rejonów umocnionych. Na wyposażenie nowych rejonów umocnionych pozwolono zabrać 7700 karabinów maszynowych z żelaznej i mobilizacyjnej rezerwy, zakłady miały wyprodukować 5500 celowników kazamatowych, 1340 peryskopów — i to tylko w czerwcu i w lipcu...

Nawiasem mówiąc, rejonów umocnionych na dawnej granicy przed wojną nikt nie wysadzał i nie zasypywał ziemią. Przeciwnie, 25 maja 1941 roku rząd wydał kolejną uchwałę o odbudowie rejonów umocnionych Linii Stalina. Niektóre jej fortyfikacje ocalały i stoją do dziś. Nikt nie planował przeniesienia z nich uzbrojenia na Linie Mołotowa, zresztą byłoby to niemożliwe: schrony bojowe na „*dawnej*” granicy były obliczone na 9–10 karabinów maszynowych, podczas gdy na nowej połowa miała być uzbrojona w nowe działa z najnowszą optyką, automatycznym ładowaniem, nowymi podstawami, chroniące załogę przed miotaczami ognia.

Chyba nie bardzo się pomylimy, jeżeli założymy, że do 22 czerwca — tydzień przed planowanym terminem zakończenia budowy — znaczna część odbudowywanych bunkrów była już gotowa albo prawie gotowa. Dokładnych liczb nikt nie zna. Jednak według tabeli ze wspomnianego artykułu w „**Wojenno–istoriczeskim żurnale**” było ich 332, a na sąsiedniej stronie, w tekście: głównym, jest mowa o tym, że do czerwca 1941 roku zbudowano 505. Dowódca okręgu Dmitrij Grigoriewicz Pawłow podczas rozprawy sądowej mówił o 600 bunkrach. Georgij Konstantinowicz Żukow w swoich pamiętnikach wymienia jeszcze większe liczby: „*Przed rozpoczęciem wojny udało się wybudować 2500 żelbetowych bunkrów, z których 1000 zostało wyposażonych w działa forteczne, a pozostałe 1500 tylko w karabiny maszynowe*”. Tak czy owak przeciętnie na każdym kilometrze granicy zachodniej stały 2–3 żelbetowe bunkry w różnym stopniu gotowości: od gotowych, ale jeszcze nie odebranych przez komisję, do takich, które ledwie wyłaniały się z betonowych fundamentów. A wszystko to „*przeciętnie*”. Faktycznie wśród starych borów i grząskich bagien Białorusi Zachodniej bądź ukraińskiego Polesia nie było żadnej potrzeby budowania bunkrów w

gęsty, równy łańcuszek. Węzły obrony skupiały się na niewielu drogach i dostępnych dla czołgów odcinkach terenu, co powodowało jeszcze większą koncentrację umocnień. Nawet zwyczajne rozmieszczenie w tych betonowych „szopach” (których ściany wytrzymywały bezpośrednie trafienie pocisku ciężkiej haubicy polowej) zwykłych plutonów piechoty z karabinami maszynowymi umożliwiało stworzenie zwartej strefy rażenia.

Co to znaczy pod względem taktycznym? Znowu sięgnijmy do podstawowego dokumentu — Regulaminu bojowego. Rozdział piąty „*Podstawowe szyki bojowe*”, artykuł 98: „*Podczas ataku na silnie umocnione pasy i rejonu umocnione szerokość frontu natarcia dywizji może być skrócona do 2 km*”; artykuł 105: „*Przy obronie rejonu umocnionego frontu mogą być szersze, dochodząc do 3–5 km na batalion*”. Do wyparcia batalionu, który broni się w rejonie umocnionym, potrzebna jest dywizja. A dywizja to dziewięć batalionów piechoty i dwa pułki artylerii. Rzecz jasna wszystkie te normy regulaminowe odnoszą się do obrony schronu całkowicie wyposażonego i uzbrojonego. Oczywiście 22 czerwca 1941 roku do tego było jeszcze daleko. Z drugiej jednak strony gdzież — na całej długości frontu — od Bałtyku do Karpat stosunek sił wynosił 9 do 1 na korzyść Wehrmachtu? Najbardziej niekorzystny dla nas stosunek sił powstał właśnie w pasie Frontu Zachodniego. Tam nacierało najpotężniejsze ugrupowanie przeciwnika (Grupa Armii „*Środek*”), a broniły się nie najliczniejsze wojska Zachodniego SOW. Najbardziej niekorzystny stosunek sił był taki: 48 niemieckich dywizji (31 piechoty, 1 kawaleryjska, 9 pancernych, 5 zmotoryzowanych i 2 zmotoryzowane Waffen SS) przeciwko 44 dywizjom Armii Czerwonej (24 strzeleckie, 2 kawaleryjskie, 12 pancernych i 6 zmotoryzowanych). Ale to znowu średnia w okresie operacji (niestety, operacja ta zakończyła się w pierwszych dniach lipca okrażeniem i rozgromieniem głównych sił Frontu Zachodniego). Faktycznie (nie według planu osłony, lecz dlatego, że nie został on wprowadzony w życie we właściwym czasie) pierwszego dnia wojny pierwszy rzut Wehrmachtu (24 dywizje piechoty, 1 kawaleryjska, 4 pancerne) zderzył się z pierwszym rzutem wojsk Zachodniego SOW (12 dywizji strzeleckich, 2 kawaleryjskie, 4 pancerne i 2 zmotoryzowane). Liczebna przewaga przeciwnika jest oczywista, ale wcale nie wyraża się ona w proporcjach „*dywizja przeciwko batalionowi*”.

Czy to, co napisałem wyżej o możliwościach i zaletach stałych fortyfikacji, nie jest sprzeczne z faktami — z tym, że o wiele doskonalsza Linia Maginota, Wał Atlantycki czy Wał Zachodni nie spełniły pokładanych w nich nadziei? Nie, nie ma sprzeczności. Dlaczego? Nadzieje były różne. Francuskie władze wojskowo–polityczne miały nadzieję, że rozwiążą strategiczne zadanie obrony kraju, budując kosztowny „mur chiński XX wieku”. Poroniony to pomysł. W końcu lat trzydziestych średnie dwusilnikowe bombowce (sowiecki DB–3, angielski *Wellington*, niemiecki He 111) przenosiły bomby o ciężarze jednostkowym do 2 ton. Wraz z pojawieniem się amunicji o takiej mocy odwieczne starcie „miecza i tarczy” zostało ostatecznie i bezpowrotnie przesądzone na korzyść „miecza”. Ściślej mówiąc, zużywając niewyobrażalne ilości betonu i stali, można zbudować schron, który wytrzyma bezpośrednie trafienie ciężkiej bomby lotniczej, ale żaden kraj nie może sobie pozwolić na marnotrawstwo budowy grzbietów górskich. Wraz z jawieniem się lotnictwa bombowego stałe fortyfikacje można było uznać za „słabe” tylko w tym sensie, że czas potrzebny do zburzenia jakiegokolwiek pasa umocnień przestał być „długi” w skali strategicznej.

Operacja osłony mobilizacji, ześrodkowania i rozwinięcia nie powinna jednak trwać długo. Z założenia liczy ona dni, które można zyskać, straciwszy wcześniej miesiące i lata na budowanie stałych umocnień. Tę prostą teorię całkowicie potwierdziła praktyka. Nie mówiąc już o podręcznikowym przykładzie „linii Mannerheima” (rzadki szereg schronów bojowych z bronią maszynową i wyposażeniem fortecznym albo i bez niego), której przerwanie zajęło ponad 30 dni w lutym–marcu 1940 roku. Garnizony wielu umocnionych rejonów — w Grodnie, Osowcu, Brześciu, Rawie Ruskiej, Przemyślu — stawiały zacięty opór aż do 26–27 czerwca. Kilka bunkrów w Rawie Ruskiej broniło się do 29 czerwca, odpierając liczne ataki piechoty przeciwnika, który wykorzystał ciężką artylerię, armaty kalibru 88 mm i czołgi z miotaczami ognia. Niemcy zajęli już Mińsk i Bobrujsk, ale 3. kompania 17. batalionu artyleryjsko–cekaemowego Brzeskiego Rejonu Umocnionego utrzymywała cztery bunkry na brzegu Bugu pod Siemiatyczami do 30 czerwca 1941 roku. Osiem dni. Do całkowitego zmobilizowania i rozwinięcia wojsk Frontu Zachodniego nie trzeba było więcej...

Wracając do początkowego punktu tego rozdziału, należy jeszcze raz podkreślić to, co najważniejsze: osłona rozwinięcia i obrona granicy (kraju, okręgu) są operacjami różnymi co do treści, celów i terminów. W tej kwestii gotów jestem całkowicie zgodzić się z opinią towarzysza Gariejewa, kiedy pisze: „*Wojska pogranicznych okręgów wojskowych nie otrzymały rozkazu prowadzenia operacji obronnych, ale jedynie osłony rozwinięcia wojsk*”. Ta różnica znajduje oczywisty wyraz również w sowieckich planach operacyjnych. W dyrektywie z kwietnia 1941 roku nakazano opracować:

- „a) *plan osłony i obrony na cały okres ześrodkowania;*
- b) *plan ześrodkowania i rozwinięcia wojsk frontu;*
- c) *plan wykonania pierwszej operacji 13. i 4. Armii oraz plan obrony 3. i 10. Armii*”.

Jak widzimy, autorzy (i wykonawcy) tej dyrektywy zupełnie wyraźnie rozdzielają pojęcia „*plan osłony*” i „*plan obrony*”. Osłonę należało wykonać na całej długości frontu w okresie ześrodkowania i rozwinięcia wojsk. Obronę na odcinkach pasywnych (3. i 10. Armia) organicznie włączono do wspólnego planu operacyjnego pierwszych operacji Frontu Zachodniego (natarcie siłami 4. i 13. Armii od Bielska–Brześcia na Warszawę–Radom i obrona siłami 3. i 10. Armii w centrum i na północnym skrzydle frontu).

Wśród mnóstwa różnic między planami osłony i planami obrony strategicznej najważniejszy (i mający w czerwcu 1941 roku najcięższe następstwa) był tryb realizacji tych planów. Wróciwszy do porównania osłony ze służbą wartowniczą, od razu dostrzeżemy tę zasadniczą różnicę. Warty chronią obiekt nieprzerwanie, całą dobę przez okrągły rok. Nie trzeba do tego żadnych dodatkowych „*wskazówek z Moskwy*”. Tryb działania wartownika w razie napaści (czy nawet próby napaści) na obiekt chroniony jest znany i prosty:

- a) Stój, kto idzie?
- b) Stój, będę strzelał!
- c) Strzał ostrzegawczy w powietrze, a potem strzał do napastnika.

Nie trzeba żadnych dodatkowych instrukcji. Żadnych rozkazów dowództwa. Wartownik nie tylko ma prawo, ale i obowiązek podjęcia samodzielnej decyzji o użyciu broni.

Z planem osłony jest dokładnie na odwrót. To nie przypadek i nie błąd. Operacja osłony nie jest niczym innym jak początkiem wojny. To jest dzin,

którego już się nie da z powrotem wcisnąć do butelki. I to nie tylko dlatego, że sowieckie plany osłonowe z lata 1941 roku przewidywały zadanie zmasowanych uderzeń lotniczych na ościenne terytoria. Sam kompleks działań polegających na zmobilizowaniu, ześrodkowaniu i operacyjnym rozwinięciu wojsk — dla osłony których właśnie wprowadza się w życie odpowiedni plan osłonowy — jest tak obszerny i zauważalny, że przeciwnik nieuchronnie zaczyna reagować na jego rozpoczęcie. Mobilizacja to wojna. A wprowadzenie w życie planu osłony nie jest niczym innym jak rozpoczęciem wojny, którego nie sposób ukryć przed przeciwnikiem. Nie byłoby w tym nic strasznego, gdyby planowano prowadzenie wojny obronnej. Niech przeciwnik widzi, niech wie: granice są zamknięte! *„Niech pamięta wróg, co ukrył się w zasadzce: jesteśmy czujni, śledzimy przeciwnika”*. Piękna pieśń. Ale następna jej zwrotka: *„cudzej ziemi ani piędzi nie chcemy, ale i własnej nawet garstki nie oddamy”*, do lata 1941 roku stała się nieaktualna. Stalin planował inną wojnę, wojnę, która miała się rozpocząć miażdżącym, niespodziewanym ciosem Armii Czerwonej. Prawo wyboru zadania tego ciosu najwyższe władze kraju naturalnie pozostawiły sobie. I tylko sobie.

„Plan osłony wprowadza się w życie po otrzymaniu podpisanej przeze mnie, członka Głównej Rady Wojennej, szefa Sztabu Generalnego, zaszyfrowanej depechy o następującej treści: «Przystąpić do wykonania planu osłony 1941 r.»” Tym standardowym zdaniem kończyły się dyrektywy do opracowania planu osłony rozesłane przez ludowego komisarza obrony ZSRS do sztabów okręgów wojskowych. Bez sankcji najwyższego dowództwa generałowie dowodzący armiami, korpusami i dywizjami nie mieli prawa nie tylko wprowadzić planu w życie, ale nawet zapoznać się z zawartością *„czerwonej koperty”*. *„Teczki i koperty z dokumentami dotyczącymi osłony należy otworzyć na pisemne lub telegraficzne polecenie: w armiach — rady wojennej okręgu, w dywizjach i korpusach — rady wojennej armii”*. Tak więc przy braku operacyjnych planów obrony możliwość zorganizowanego odparcia niespodziewanego uprzedzającego uderzenia przeciwnika zależała od tego, czy najwyższe władze zdążą przekazać sztabom okręgów te krótkie słowa: *„Przystąpić do wykonania planu osłony”*. Czy taki rozkaz wydano? A jeżeli nie, to dlaczego? Rzecz nie do pomyślenia nawet po 66 latach nie mamy dokładnej odpowiedzi na te proste pytania. Wszystko, co mogę zaproponować czytelnikowi, to kolejna hipoteza, którą omówię w następnym rozdziale.

ROZDZIAŁ 11. 22 CZERWCA — DZIEŃ „M”

Nim zacznę omawiać tajemnicze wydarzenia dni pokoju 1941 roku, wyjaśnię, co dzisiaj nazywa się ceną pytania. Przedtem jednak muszę przeprosić za wymuszony cynizm, z jakim będę referował sprawę. Rzecz jasna z normalnego, ludzkiego punktu widzenia nie ma „nieznaczących strat”. Śmierć nawet jednego człowieka jest tragedią, toteż dla wszystkich rodzin czerwonoarmistów, do których domów przyszły zawiadomienia o śmierci na froncie, stała się ona największym w ich życiu nieszczęściem. Rozumiejąc to, proszę czytelników, by pojęli, że historię wojny pisze się w jej własnym, dość specyficznym języku. Żywych ludzi nazywa się „składem osobowym”, zabitych — „stratami siły żywej”, wspólne mogiły — „pochówkiem sanitarnym”. I w tym języku wynik pierwszego dnia wojny (22 czerwca 1941 roku) może być opisany tak: wykorzystując czynnik taktycznego zaskoczenia, przeciwnik na kilku kierunkach wyparł wojska sowieckie. I to wszystko. 22 czerwca nie stało się nic historycznego. I nie mogło się stać. Ani na szczeblu operacyjnym, ani — tym bardziej — strategicznym. To nie była ta skala wydarzenia. To nie był ten rozmach przestrzenny. Armię Czerwoną, rozśrodkowaną na gigantycznych przestrzeniach Związku Sowieckiego, liczącą trzysta dywizji, dysponującą tysiącami żelazobetonowych schronów bojowych, kilkuset lotniskami, kilkudziesięcioma tysiącami dział, czołgów i samolotów, można było zniszczyć, a przynajmniej znacznie osłabić w pierwszym starciu tylko w jeden sposób: zmasowanym uderzeniem raketowo–nuklearnym.

Na szczęście dla nas wszystkich Hitler nie miał bomby atomowej. Balistyczne rakiety V–2 i bombowce odrzutowe latem 1941 roku istniały jedynie w formie rysunków technicznych. Spośród 115 dywizji armii, która miała uderzyć na ZSRS, trzy czwarte stanowiły dywizje piechoty. Z artylerią ciągniętą przez konie. Żołnierze Wehrmachtu przekraczali rzeki graniczne piechotą albo na rowerach. Po mostach, które jeszcze trzeba było przerzucić bądź też zdobyć i utrzymać. Standardowe tempo marszu — marszu, a nie natarcia! — dywizji piechoty wynosi 20 km dziennie. Bez uwzględnienia czasu potrzebnego na sforsowanie rzek oraz oporu Armii Czerwonej, która 22 czerwca również uczestniczyła w działaniach bojowych. Dodajmy do tego

maksymalny zasięg ognia artylerii polowej (10–20 km), a otrzymamy wielkość największej możliwej głębokości „strefy rażenia” w pierwszym dniu wojny: 20–30 km. Co najmniej cztery piąte wszystkich dywizji Armii Czerwonej znajdowało się poza tą strefą, w odległości 50–500–5000 kilometrów od granicy. O rozpoczęciu wojny ludzie nie dowiedzieli się z trafiających wokół nich pocisków niemieckiej artylerii, ale z radiowego przemówienia Mołotowa (tak o tym opowiadają w setkach pamiętników). Nawet całkowita utrata tych 30–35 dywizji, które pierwszego dnia znalazły się w pasie przygranicznym, nie mogłaby mieć katastrofalnych następstw dla Armii Czerwonej z jej potencjałem posiadanym i mobilizacyjnym. Ale Niemcy, choć bardzo tego pragnęli, nie mogli ogniem broni piechoty zniszczyć 30 dywizji w jeden dzień. Gdyby coś takiego było możliwe, gdyby dywizja piechoty (strzelecka) lat czterdziestych dysponowała taką siłą ognia, to cała II wojna światowa zakończyłaby się w ciągu miesiąca. A to dlatego, że przeciwnicy wybiliby się nawzajem do nogi. Nie zapomnijmy też, że największych klęsk 1941 roku (kocioł kijowski i wiaziemski) Armia Czerwona nie poniosła w pierwszym dniu, nie w pierwszym tygodniu i nawet nie w pierwszym miesiącu wojny, a rozgromione w tych kotłach dywizje (z rzadkimi wyjątkami) nie były ofiarami „zaskakującej napaści”: wiele z nich jeszcze nie istniało 22 czerwca. Nie mniej miazdzące niż klęski 1941 roku były też pogromy wojsk sowieckich na Krymie i pod Charkowem wiosną 1942 roku, choć przecież w drugim roku wojny na pewno nie można już było mówić o „lotniskach pogrążonych we śnie” i o „niezmobilizowaniu armii”...

Oto dlaczego omówienie zagadki 22 czerwca żadną miarą nie jest główną częścią pytania o przyczynę katastrofalnego rozgromienia Armii Czerwonej w lecie 1941 roku. Ta „zagadka” — aczkolwiek historycy i publicyści poświęcają jej wiele uwagi — jest zaledwie jednym z problemów historiografii początkowego okresu wojny. Problem ten, moim zdaniem, zasługuje na dyskusję, ale ta dyskusja powinna być od początku uwolniona od aureoli nadzwyczajności dziejowej.

Ustaliwszy „cenę pytania”, zastanówmy się, jak można najdokładniej sformułować jego istotę. Problem sprowadza się do tego, że w ostatnich dniach pokoju (orientacyjnie od 13 do 22 czerwca 1941 roku) najwyższe władze wojskowo–polityczne ZSRS wszczynały działania (lub wykazywały nie mniej zdumiewające zaniechania) zupełnie nieadekwatne do powstałej

sytuacji. I to mimo że — jak dziś bardzo dobrze wiemy — Stalin, Mołotow, Timoszenko, Żukow dysponowali więcej niż wystarczającymi informacjami o zbliżającej się niemieckiej napaści.

Na czym konkretnie polegały te „nieadekwatne” działania lub ich zaniechanie?

Pierwsze i najważniejsze: wspomniane cztery słowa nie zostały jednak wypowiedziane. Dyrektywa („*podpisana przeze mnie, członka Głównej Rady Wojennej, szefa Sztabu Generalnego*”) o wprowadzeniu w życie planu osłony nie dotarła do sztabów pogranicznych okręgów przed rozpoczęciem działań bojowych. Zamiast zwięzłego, wcześniej ustalonego zdania „*Przystąpić do wykonania planu osłony*”, późnym wieczorem 21 czerwca 1941 roku Timoszenko i Żukow — a w istocie Stalin — wysłali do okręgów całe wypracowanie, które trafiło do historiografii jako dyrektywa nr 1. Oto jej pełny tekst:

„1. W ciągu 22–23 czerwca 1941 r. możliwa jest niespodziewana napaść Niemców na frontach Lwowskiego OW, Nadbałtyckiego SOW, Zachodniego SOW, Kijowskiego SOW Odeskiego OW. Napaść może się rozpocząć od działań prowokacyjnych.

2. Zadanie dla naszych wojsk: nie ulegać żadnym działaniom prowokacyjnym mogącym wywołać wielkie komplikacje. Równocześnie wojska Leningradzkiego, Nadbałtyckiego, Zachodniego, Kijowskiego i Odeskiego Okręgu Wojskowego mają być w pełnej gotowości bojowej, przyjmując ewentualne niespodziewane uderzenie Niemców lub ich sojuszników.

ROZKAZUJĘ:

a) nocą na 22 czerwca 1941 r. potajemnie zająć pozycje ogniowe rejonów umocnionych na granicy państwa;

b) przed świtem 22 czerwca 1941 r. rozproszyć po lotniskach polowych całe lotnictwo i dokładnie je zamaskować;

c) wszystkie jednostki doprowadzić do gotowości bojowej. Wojska powinny być rozproszone i zamaskowane;

d) obronę przeciwlotniczą doprowadzić do gotowości bojowej bez dodatkowego składu osobowego, podjąć wszystkie przedsięwzięcia związane z zaciemnieniem miast i obiektów;

e) bez osobnego polecenia nie podejmować żadnych innych działań”.

Już pół wieku trwają dyskusje i analizy tego tekstu, wieloznacznego niczym proroctwa Nostradamusa. Jedni twierdzą, że najważniejszy w dyrektywie nr 1 jest rozkaz, by nie ulegać prowokacjom. Inni nie bez racji oponują, wskazując na zdanie „*przyjąć ewentualne niespodziewane uderzenie Niemców*”. Jeszcze inni słusznie wskazują na ewidentną dwuznaczność dyrektywy nr 1: jak można „*przyjąć uderzenie Niemców*”, nie podejmując przy tym „*żadnych innych działań*” oprócz rozproszenia i zamaskowania? I co to znaczy „*przyjąć uderzenie*”? Gdzie przyjąć? Jak przyjąć? Na jakich rubieżach, w jakim szyku bojowym, według jakich planów operacyjnych? Z jakimi ograniczeniami działań? Powstaje wrażenie, że naczelne dowództwo dało swoim podwładnym jakiś rebus do odgadnięcia. W warunkach ostrego deficytu czasu (i z bardzo dużym prawdopodobieństwem aresztowania i rozstrzelania przy podjęciu niewłaściwej decyzji) dowódcy okręgów mieli odgadnąć, czym różnią się „*działania prowokacyjne*” od „*niespodziewanego uderzenia*”... A wszystko to zamiast prostego, jasnego i jednoznacznego rozkazu: „*Przystąpić do wykonania planu osłony*”.

Co więcej, nawet wówczas, gdy napaść stała się faktem, Moskwa mimo wszystko nie wydała bezpośredniego i jasnego rozkazu o realizacji planu osłony. Oto jak opisał wydarzenia pierwszych chwil wojny zeznający przed sądem były dowódca Frontu Zachodniego Dmitrij Grigoriewicz Pawłow (protokół pierwszego przesłuchania z 7 lipca 1941 roku):

„O pierwszej w nocy 22 czerwca br. na rozkaz ludowego komisarza obrony zostałem wezwany do sztabu frontu. Wraz ze mną zjawili się tam: członek Rady Wojennej korpusny komisarz Fominych i szef sztabu frontu generał major Klimowskich. Ludowy komisarz zadał telefonicznie pierwsze pytanie: «No, jak tam u was, spokojnie?» Odpowiedzieliśmy, że na prawym skrzydle zaobserwowano bardzo duży ruch wojsk niemieckich: według relacji dowódcy 3. Armii, Kuzniecowa, w ciągu półtorej doby na «występ suwalski» posuwały się nieprzerwanie niemieckie kolumny zmotoryzowane. Według jego raportu na odcinku Augustów–Sopoćkinie, w wielu miejscach od strony Niemców, zostały zdjęte zasieki z drutu kolczastego (...).

Na mój raport ludowy komisarz odpowiedział: «Bądźcie spokojni, nie panikujcie, jednak sztab zwołajcie na wszelki wypadek na dziś rano, może coś nieprzyjemnego się jednak wydarzy (podkreślenie moje — M. S.), ale

uważajcie, żadnej prowokacji nie ulegajcie. Jeżeli będą pojedyncze prowokacje, zadzwońcie». Na tym rozmowa się zakończyła”.

A zatem, jak w setkach innych doniesień, które napływały do Sztabu Generalnego Armii Czerwonej, dowódca pogranicznego okręgu wojskowego melduje, że przeciwnik usunął zasieki, a ku granicy nieprzerwanie posuwają się kolumny jego czołgów oraz piechoty zmotoryzowanej. Łączność między Mińskiem a Moskwą istnieje i działa bez przeszkód. Ludowy komisarz nakazuje: nie panikować. A przy tym Timoszenko z jakiegoś powodu wyraża przypuszczenie, że rano 22 czerwca „może się zdarzyć coś przykrego”. Czyżby mówił on o uderzeniu trzymilionowej armii niemieckiej?

„O 3.30 ludowy komisarz obrony ponownie do mnie zatelefonował i zapytał, co nowego.

Odpowiedziałem mu, że teraz niczego nowego nie ma, łączność z armiami mam nawiązaną i dowódcom wydałem odpowiednie instrukcje”. Jeszcze raz zauważmy, że łączność działa bez zarzutu; nikt (ani w Moskwie, ani w Mińsku, ani w Grodnie, ani w Białymstoku, ani w Kobryniu) nie śpi; rozkaz do natarcia już ponad 10 godzin wcześniej został podany do wiadomości trzech milionów żołnierzy i oficerów Wehrmachtu (co powinien był zauważyć również wojskowy wywiad sowiecki); co najmniej dwaj zbiegowie niemieccy, ryzykując życie własne i rodzin, przepłynęli Bug i donieśli dowódcom Armii Czerwonej o rozpoczęciu wojny. Ale Moskwa z uporem nie chce wymówić tych zaklętych słów: „*Wprowadzić w życie plan osłony*”.

Dziwne „*zahamowania*” ludowego komisarza obrony ZSRS wyraźnie kontrastują z działaniami jego kolegi — ludowego komisarza Marynarki Wojennej Nikołaja Gierasimowicza Kuzniecowa. W swoich wspomnieniach tak opisuje on noc z 21 na 22 czerwca:

„Okolo 11 wieczór (21 czerwca) zadzwonił telefon. Usłyszałem głos marszałka S. K. Timoszenki:

— Mam bardzo ważną informację. Proszę do mnie przyjść.

Szybko włożyłem do teczki ostatnie dane o sytuacji w marynarce i wezwawszy Ałafazowa (zastępca szefa Głównego Sztabu Morskiego — M. S.), poszedłem razem z nim (...). Nasze resorty znajdowały się nieopodal siebie (...). Po kilku minutach już wchodziliśmy na 1. piętro niewielkiej willi, gdzie tymczasowo znajdował się gabinet Siemiona Konstantinowicza Timoszenki Marszałek, chodząc po pokoju, dyktował. General armii G. K.

Żukow siedział przy stole i coś pisał (...). Siemion Konstantinowicz zauważył nas i się zatrzymał. Pokrótce, nie wymieniając źródeł, powiedział, że możliwe, iż Niemcy napadną na nasz kraj. Żukow wstał i pokazał nam telegram, który sporządził dla okręgów nadgranicznych. Przejrzałem tekst telegramu i spytałem:

- Czy w razie napaści zezwala się na użycie broni?
- Zezwala się.

Zwracając się do kontradmirała Ałafazowa:

- Biegnijcie do sztabu i natychmiast wydajcie rozkaz flotom o pełnej faktycznej gotowości, czyli gotowości numer jeden. Biegnijcie!

Tu już nie było czasu na rozważania, czy admirałowi wypada biegać po ulicy. Władimir Antonowicz pobiegł (podkreślenie moje — M. S.). Ja sam zatrzymałem się jeszcze na chwilę, upewniłem się, czy dobrze zrozumiałem, że napaści można się spodziewać dziś w nocy. Tak, właśnie 22 czerwca (...).

Zameldowano mi: rozkaz nadzwyczajny został już przekazany. Jest on całkiem krótki — sygnał, po którym we flotach wiedzą, co robić. Mimo to, zanim telegram przejdzie, trzeba czasu, a czas jest drogi. Chwytam za słuchawkę telefonu. Pierwszy telefon do Bałtyckiej:

- Nie czekajcie na telegram, który już wam posłano, przestawiajcie flotę na gotowość numer jeden — bojową. Powtarzam jeszcze raz — bojową! (...)

Nastał dla mnie czas dręczącego oczekiwania. We flotach wiadano, co należy przedsięwziąć. Działania na wypadek nadzwyczajny zostały dokładnie określone i przeciwiczone... Generał Moltke miał chyba rację, mówiąc, że wydawszy rozkaz mobilizacji, można iść spać. Teraz maszyna działała już sama”.

Na podobne przypadki sowieccy „historycy” mają od dawna przygotowane wytłumaczenie: „przyjęto błędne założenie”. Ale ten przypadek jest szczególny: przeciągał, przeciągał, ale jednak nie wydał rozkazu o wykonaniu planu osłony (i to gdy Niemcy, nie kryjąc się, usuwali zasieki na granicy) nie „tępak” Woroszyłow, ale sam Żukow, Wielki i Groźny Żukow nie wydał rozkazu! Na szczególny przypadek wymyślono szczególny wykręt: okazuje się, że nie chodziło o rozsądek, ale o „odwagę”. N. G. Kuzniecowa rzekomo nie bał się naruszyć jakiegoś „rozkazu Stalina” (jakiego? w jakiej sprawie?), a Niezwyciężony Marszałek... no, powiedzmy, oszczędził

siebie w imię przyszłych zwycięstw... Do zdumiewającego na pierwszy rzut oka kontrastu pomiędzy działaniami dowódców sił morskich i lądowych jeszcze wrócimy, a teraz kontynuujmy lekturę protokołów przesłuchania Pawłowa:

„Zatelefonował do mnie Kuzniecowa (przypadkowa zbieżność nazwisk z admirałem Nikołajem Gierasimowiczem Kuzniecowa — przyp. tłum.), zameldował: «na całym froncie trwa strzelanina z dział i kaemów. Nad Grodnem do 50–60 samolotów, bombardują sztab, muszę zejść do piwnicy». Telefonicznie przekazałem mu: wykonać «Grodno–41» (umówione hasło do realizacji planu osłony) (podkreślenie moje — M. S.), i działać, nie krępując się, zając ze sztabem wyznaczone miejsce (...). Mniej więcej o 4.10–4.15 rozmawiałem z Korobkowem (dowódcą 4. Armii — M. S.), który także odpowiedział: «U nas jest spokojnie». Po jakichś 8 minutach Korobkow podał, że nad Kobryń nadleciały samoloty, na froncie wściekła kanonada. Kazałem Korobkowowi wykonać «Kobryń–41» i nakazałem trzymać wojska w rękę, zaczynać działać z całą odpowiedzialnością. Wszystko, co zameldowali mi dowódcy, natychmiast i dokładnie przekazałem ludowemu komisarzowi obrony. Ten odpowiedział: działajcie tak, jak tego wymaga sytuacja”.

Po co? Po co w takim razie jest Sztab Generalny, Komisariat Obrony, po co pisano („Ścisłe tajne”, „Specjalnego znaczenia”, „Jedyny egzemplarz”) wielostronicowe plany. Czy tylko po to, by w decydującej chwili zająć się twórczą improwizacją („działajcie tak, jak wymaga tego sytuacja”)? Analogiczną odpowiedź otrzymał od Żukowa również dowódca Floty Czarnomorskiej admirał F. S. Oktiabrski. To właśnie na Sewastopol zważyło się pierwsze uderzenie niemieckiego lotnictwa. Flota Czarnomorska została już do tej chwili przestawiona w stan gotowości bojowej numer jeden, ale dowódca floty — nie wiadomo dlaczego — postanowił zapytać ludowego komisarza obrony o pozwolenie na użycie broni. (Marynarka wojenna Komisariatowi Obrony formalnie nie podlegała, miała własnego komisarza ludowego i własny sztab generalny.) Żukow bez żadnego zakłopotania tak opisuje tę rozmowę:

„O godz. 3.07 zadzwonił do mnie linią «WCz» dowódca Floty Czarnomorskiej admirał Oktiabrski i poinformował:

— *System obserwacyjny melduje, że od strony morza zbliża się wielka liczba nieznanymi samolotów; flota znajduje się w pełnej gotowości bojowej. Proszę o instrukcje.*

Zapytałem admirała:

— *Jaka jest wasza decyzja?*

(Wstrząsająca odpowiedź dowódcy wyższego rangą i stanowiskiem! Zamiast dodać otuchy admirałowi, który stracił głowę, krótkim, ale ostrym przypomnieniem, że «działania na wypadek nadzwyczajny zostały dokładnie określone i przeciwiczone», a dowództwo floty — już przestawionej na gotowość operacyjną numer jeden — doskonale wie, «co należy przedsięwziąć», Żukow natychmiast chowa się za cudzą decyzję — M. S.).

— *Jedyna decyzja: przyjąć samoloty ogniem obrony przeciwlotniczej floty.*

Porozumiawszy się z S. K. Timoszenką, odpowiedziałem admirałowi Oktiabrskiemu:

— *Działajcie i zameldujcie swojemu komisarzowi ludowemu (czyli uwolnijcie mnie i Timoszenkę od odpowiedzialności za tę decyzję — M. S.)”.*

Wróćmy ponownie do zeznań Dmitrija Grigoriewicza Pawłowa. Dowódca Zachodniego SOW (jak każdy inny dowódca okręgu, czyli frontu) nie miał prawa z własnej inicjatywy wydać rozkazów o wprowadzeniu w życie planów osłony, które wydał dowódcom 3. i 4. Armii (a potem również 10.). Niemniej jednak Timoszenko wcale nie zareagował również na tę „samowolę” podwładnego, praktycznie odmawiając podjęcia decyzji. Nawiasem mówiąc, zachowany w archiwach (CAMO, f. 208, op. 2454, d. 26. s. 76) pierwszy rozkaz bojowy dowództwa Frontu Zachodniego składa się zaledwie z dwóch zdań i nie zawiera żadnej wzmianki o planie osłony: „Z powodu podjętych przez Niemców masowych działań bojowych rozkazuję: *Poderwać wojska i działać po bojowemu*”. Na dokumencie widnieje adnotacja: „Wysłane 22 czerwca 1941 r. o 5.25” (a nie o 4.25, jak wynika z zeznań Pawłowa). Literatura pamiętnikarska zawiera dowody na to, że w wielu jednostkach „czerwone koperty” zostały otwarte w pierwszych godzinach wojny, a nawet przed jej rozpoczęciem, o 2–3 w nocy 22 czerwca. Nieporównanie więcej informacji świadczy o całkowitym chaosie i bałaganie. Poczynając od banalnego epizodu z **Dziennika wojennego** Franza Haldera — „mosty graniczne na Bugu i innych rzekach wszędzie zostały zdobyte przez

nasze wojska bez walki i w stanie nienaruszonym (...) jednostki czołowe znienacka zaatakowane przez nasze wojska pytały dowództwo, co mają robić” — kończąc na o wiele mniej znanych wspomnieniach generała porucznika Władimira Pietrowicza Bułanowa, który rozpoczął wojnę jako nawigator załogi bombowca Ar-2 w 46. pułku lotniczym (Nadbałtycki SOW):

„O 4.30 poderwał nas alarm.

— Co się dzieje?

Nic nie mówią. Około 5. dano pierwsze zadanie: bombardować Niemców forsujących Niemen w rejonie Tylży. Wylatuje pierwsza eskadra, wylatuje druga — po dziewięć samolotów. My lecimy jako trzecia eskadra. Pierwsza dziesiątka zrzuciła bomby, druga też (...). Zbliżaliśmy się do Niemna i raptem komenda — wracać. Wracamy z pełnym obciążeniem bojowym. Lądujemy (...)”. Lądowanie samolotu z bombami jest najcięższym naruszeniem wszelkich reguł. Taki rozkaz — czy jeszcze bardziej zdumiewający nakaz powrotu z wyprawy bojowej — mógł wydać ktoś całkowicie niepoczytalny...

A zatem pierwsza i najważniejsza spośród „zagadek 22 czerwca”: brak rozkazu wprowadzenia w życie planów osłony, chociaż leżały one w sejfie każdego dowódcy, dokładnie opracowane i wielokrotnie korygowane.

Brak rozkazu o wprowadzeniu w życie planu osłony mobilizacji i rozwinięcia wojsk dodatkowo ograniczył brak rozkazu o rozpoczęciu jawnej mobilizacji. Mobilizacji w ZSRS nie ogłoszono przed rozpoczęciem wojny, ale następnego dnia — 23 czerwca 1941 roku. Jest to całkowicie niemożliwa, nieprawdopodobna sytuacja. Czegoś takiego nie było nigdzie: Niemcy i Polska, Francja i Finlandia, Włochy i Belgia — wszystkie te kraje rozpoczęły mobilizację kilka dni, a nawet kilka tygodni przed rozpoczęciem wojny. Jedynym odstępstwem od reguły okazał się Związek Sowiecki, czyli kraj, który przez wiele lat z rozmachem — nie do pomyślenia dla sąsiadów — sposobił się do zakrojonej na wielką skalę wojny. Brak rozkazu o powszechnej mobilizacji przed rozpoczęciem działań bojowych można jeszcze wytłumaczyć tym, że nie chciano „spłoszyć Hitlera” przed ustalonym w Moskwie terminem ataku. Ale niewydanie rozkazu mobilizacji 22 czerwca jest fenomenem przekraczającym wszelkie normy. Przedsięwzięcia przewidziane na pierwszy dzień mobilizacji (dzień „M”) rozpisano na godziny. Każda godzina zwłoki dawała przeciwnikowi dodatkową przewagę. Niemniej podajemy pełny tekst dekretu mobilizacyjnego:

„Na podstawie artykułu 49 punkt Ł Konstytucji ZSRS Prezydium Rady Najwyższej ogłasza mobilizację na terytorium okręgów wojskowych: Leningradzkiego, Nadbałtyckiego Specjalnego, Zachodniego Specjalnego, Kijowskiego Specjalnego, Odeskiego, Charkowskiego, Orłowskiego, Moskiewskiego, Archangielskiego, Uralskiego, Syberyjskiego, Nadwołżańskiego, Północnokaukaskiego i Zakaukaskiego.

Mobilizacja dotyczy osób podlegających obowiązkowi służby wojskowej urodzonych od 1905 do 1918 roku włącznie.

Za pierwszy dzień mobilizacji uważa się 23 czerwca 1941 r. (podkreślenia moje — M. S.).

Przewodniczący Prezydium RN ZSRS M. Kalinin Sekretarz Prezydium RN ZSRS A. Gorkin Moskwa, Kreml, 22 czerwca 1941 r.”

Jest to pełny tekst dekretu mobilizacyjnego. Od początku do końca. Ogłoszenie mobilizacji z dniem 23 czerwca jest pociągnięciem tak nieprawdopodobnym, że autorzy wielu książek historycznych, bez dłuższych rozważań, jako datę rozpoczęcia mobilizacji wymieniają: „*naturalny i zrozumiały*” dzień 22 czerwca. Niemniej jednak tekst dekretu został opublikowany we wszystkich gazetach centralnych i każdy, kto chce, może przeczytać to zadziwiające zdanie „*za pierwszy dzień mobilizacji uważa się 23 czerwca*”, jeśli sięgnie do zszywki pożółkłych gazet z 1941 roku. Georgij Konstantinowicz Żukow również świetnie rozumiał cały absurd nieogłoszenia mobilizacji w dniu wybuchu wojny, toteż kłamie jak najęty w swoich wspomnieniach:

„S. K. Timoszenko zatelefonował do J. W. Stalina i poprosił o pozwolenie przyjazdu na Kreml, aby zreferować projekt Dekretu Prezydium Rady Najwyższej ZSRS o przeprowadzeniu mobilizacji i utworzeniu Kwatery Głównej Naczelnego Dowództwa, a także szereg innych zagadnień. J. W. Stalin odpowiedział, że jest zajęty na posiedzeniu Politbiura i może go przyjąć dopiero o godzinie 9. (Ciekawe, co też wczesnym rankiem 22 czerwca mogło być ważniejsze dla osławionego Politbiura niż raport dowództwa sił zbrojnych? Czym w owych godzinach zajmowało się Politbiuro? Czytaniem na głos korespondencji Kautskiego z Beblem? — M. S.) (...). Krótki dystans od komisariatu do Kremla samochody komisarza i mój przebyły z maksymalną szybkością. Przywitał nas A. N. Poskriebyszew i od razu zaprowadził do gabinetu J. W. Stalina”.

Jak myślisz, szanowny czytelniku, ile czasu mogła zająć ta podróż „z maksymalną prędkością” od jednego budynku w centrum Moskwy do drugiego? Gdyby to twierdzenie Żukowa było prawdziwe, to Poskriebyszew otworzyłby przed Timoszenką i Żukowem drzwi gabinetu „Gospodarza” około 9.20. Jazda od domu do domu w centrum Moskwy, okazanie dokumentów wartownikom i wbiegnięcie po schodach nie wymagało więcej niż 20 minut. Niestety, księga wejść i wyjść milcząco, ale stanowczo dowodzi, że Żukow kłamie: do gabinetu Stalina on i Timoszenko weszli o czternastej. O drugiej po południu. Samochód marszałka mknął pięć godzin. Przez ten czas „z maksymalną prędkością” można było dojechać nawet do sztabu Frontu Zachodniego w Mińsku...

O 16.00 Timoszenko, Żukow, Kulik, Watutin i Szaposznikow opuścili gabinet Stalina. *„Depeszę o ogłoszeniu mobilizacji ludowy komisarz obrony podpisał 22 czerwca 1941 roku o godz. 16.00. Do Centralnego Telegrafu Ministerstwa Łączności depesza została przekazana o godz. 16.40. Przekazanie depeszy mobilizacyjnej do wszystkich centrów republikańskich, krajowych, obwodowych i rejonowych, przewidziane schematem zawiadomienia o mobilizacji, zajęło 26 minut (od godz. 16.47 do 17.13)”*.

Wracając do tekstu owego historycznego dekretu (bo rzeczywiście przesądził on o losie milionów ludzi), odkrywamy, że nie ma w nim jakiegokolwiek wzmianki o trwającej już ofensywie wojsk niemieckich, o zdradzieckiej napaści wroga, o świętym obowiązku obrony ojczyzny... Sam przez się ów brak emocji w oficjalnym dokumencie można by uznać za naturalny. Można by, gdybyśmy nie mieli do dyspozycji innych, nie mniej oficjalnych dokumentów z 22 czerwca. Już pierwsze porównanie wykazuje, że taki zimny, kancelaryjny styl wcale nie był typowy tego dnia. Wcale. Oto przykład, w jakich słowach było utrzymane przemówienie radiowe Mołotowa wygłoszone w południe 22 czerwca 1941 roku:

„Ta niesłychana napaść na nasz kraj stanowi bezprzykładną zdradę w dziejach narodów cywilizowanych (...). Cała odpowiedzialność za tę rozbójniczą napaść na Związek Sowiecki spada na faszystowskich przywódców (...). Naszym wojskom został wydany rozkaz — odeprzeć zbójczą napaść i wypędzić niemieckie wojska z terytorium naszej Ojczyzny (...). Ta wojna została nam narzucona nie przez naród niemiecki, nie przez

niemieckich robotników, chłopów i inteligencję, których cierpienie doskonale rozumiemy, ale przez klikę krwiożerczych, faszystowskich władców Niemiec”.

Emocjonalność przytoczonego powyżej tekstu jest zrozumiała i, że tak powiem, „usprawiedliwiona funkcjonalnie”. Ale oto mamy przed sobą dyrektywę nr 2, wysłaną do okręgów zachodnich kwadrans po siódmej rano 22 czerwca. Jest to już ściśle tajny dokument, adresowany do rad wojennych okręgów. Nie mógł go przeczytać nikt poza piętnastoma adresatami i trzema autorami: Timoszenką, Malenkowem i Żukowem). Nie jest to bynajmniej dokument propagandowy. Ale jakże emocjonalnie został napisany!

„22 czerwca 1941 r. o czwartej rano niemieckie lotnictwo bez żadnego powodu dokonało nalotów na nasze lotniska i miasta wzdłuż granicy zachodniej i zbombardowało je. Jednocześnie w różnych miejscach niemieckie wojska otwały ogień artyleryjski i przekroczyły naszą granicę.

W związku z tą niesłychanie bezczelną napaścią Niemiec na Związek Sowiecki

ROZKAZUJĘ:

1. Wojska wszelkimi siłami i środkami uderzą na wrogie siły i zniszczą je w tych rejonach, gdzie naruszyły one granicę sowiecką.

2. Lotnictwo rozpoznawcze i bojowe ustali miejsca ześrodkowania lotnictwa przeciwnika i jego sił lądowych.

Potężnymi uderzeniami lotnictwa bombowego i szturmowego zniszczyć samoloty na lotniskach przeciwnika i zbombardować zgrupowania jego wojsk lądowych.

Uderzenia z powietrza zadawać na głębokość 100–150 km niemieckiego terytorium.

Zbombardować Królewiec i Kłajpedę.

Na terytorium Finlandii i Rumunii nalotów nie przeprowadzać do czasu otrzymania specjalnej instrukcji”.

Dyrektywa nr 2 ani pod względem formy, ani treści zupełnie nie odpowiada regulaminowym normom sporządzania rozkazów bojowych. Istnieje standard, który powinien być przestrzegany. Tego standardu nie ustalono z uwagi na czyjeś gusta literackie, ale narzucał go artykuł 90 Regulaminu bojowego PU–39 („Pierwszy punkt rozkazu zwięźle charakteryzuje działania i ugrupowania przeciwnika (...). W drugim punkcie wskazuje się zadania sąsiadów i granice z nimi. W trzecim punkcie formułuje

się zadanie formacji i decyzję dowódcy wydającego rozkaz (...). W następnych punktach stawia się szczegółowe zadania (najbliższe i kolejne) podległym formacjom”). Z punktu widzenia tych wymagań regulaminu dyrektywa nr 2 jest nie więcej niż emocjonalnym (żeby nie powiedzieć histerycznym) okrzykiem: „*Bij drania!*” Uderzyć i zniszczyć — to nie jest rozkaz bojowy. Gdzie jest przeciwnik? Jakie są jego siły? Jakimi siłami i w jakim ugrupowaniu należy nań uderzyć? W jakich kierunkach? W jakim terminie trzeba coś zniszczyć? Na jakich rubieżach? Dlaczego głównym zadaniem lotnictwa stało się zbombardowanie Królewca i Kłajpedy? I od kiedy to w rozkazie bojowym omawia się niesłychaną „*bezczelność przeciwnika*”?

Na tle takich dokumentów musi dziwić wielce chłodny styl dekretu mobilizacyjnego Prezydium Rady Najwyższej. Chociaż, powtórzmy to jeszcze raz, najbardziej niesamowity nie jest styl, ale to, że mobilizację ogłoszono dopiero w drugim dniu wojny!

Niewydanie rozkazu wprowadzenia w życie planu osłony i spóźnione ogłoszenie mobilizacji to dwa największe „*dziwactwa*”, główne i niewytłumaczalne przejawy beczynności najwyższych władz kraju. Oprócz tych podstawowych wydarzeń (beczynność to też wydarzenie) jest jeszcze mnóstwo innych faktów i dokumentów, które ze względu na swą typowość i powtarzalność muszą budzić domysły. Te dziwne fakty umownie można podzielić na dwie grupy:

— takie, które można zinterpretować jako potajemne wprowadzenie w życie planu osłony;

— świadczące o faktycznym albo demonstracyjnym obniżeniu gotowości bojowej sił zbrojnych.

Zgodnie z normalną ludzką logiką punkt pierwszy w żaden sposób nie łączy się z drugim. Albo — albo. Albo rozwijamy armię do boju, albo trąbimy do powszechnego odwrotu. Niemniej jednak, wbrew wszelkiej logice, oba procesy przebiegały równocześnie!

Najbardziej znaczącym przejawem „*potajemnego i stopniowego*” wprowadzania w życie okręgowych planów osłony jest tworzenie sztabów frontów i przenoszenie ich na polowe stanowiska dowodzenia. Formowanie czynnych frontów z wojsk okręgów, wyprowadzenie sztabów frontów z siedzib okręgów (z Rygi, Mińska, Kijowa, Odessy) w teren — to jest wojna. Ogromna i hałaśliwa armia „*antysuworowców*” na razie jeszcze nie

wymyśliła żadnego innego wytłumaczenia tych zdarzeń. W czasach pokoju w ZSRS nigdy nie tworzone frontów (powstały w końcu lat trzydziestych Front Dalekowschodni może służyć jedynie za przykład wyjątku potwierdzającego regułę — na granicy z okupowanymi przez Japonię Chinami bez przerwy wybuchały raz większe, raz mniejsze konflikty zbrojne). I — przeciwnie — fronty i ich sztaby tworzone przed każdą „wyprawą wyzwoleńczą” (11 września 1939 roku — sześć dni przed napaścią na Polskę; 7 stycznia 1940 roku — po tym, jak „tryumfalny marsz na Helsinki” zmienił się w prawdziwą wojnę; 9 czerwca 1940 roku — dziewiętnaście dni przed zajęciem Besarabii i północnej Bukowiny). To wszystko nie jest nowe. Piętnaście lat temu został opublikowany własnoręcznie napisany przez Malenkowa projekt uchwały Politbiura KC WKP(b) z 21 czerwca. Dokument ten, między innymi, głosił:

„Dowódcą Frontu Południowego mianować (...). Powierzyć tow. Żukowowi ogólne kierowanie Frontem Południowo-Zachodnim i Południowym (...). Powierzyć tow. Mierieckowowi ogólne kierowanie Frontem Północnym (...). Mianować do Rady Wojennej Frontu Północnego (...)”. Jak widzimy, 21 czerwca o frontach pisano w tajnych dokumentach jako o jednostkach już istniejących. Wtedy też, 21 czerwca, podjęto także decyzję o sformowaniu jeszcze jednego frontu, Rezerwowego. W Briańsku przewidziano utworzenie sztabu „armii drugiej linii”, dowódcą tych armii mianowano marszałka Budionnego, a członkiem ich rady wojennej — samego autora projektu uchwały, sekretarza KC Malenkowa.

Ciekawsze jest co innego: po opublikowaniu w 1996 roku planów osłony okręgów zachodnich pojawia się możliwość, by „nanieść” faktyczne daty wyprowadzenia sztabów na chronologiczną „siatkę” planów osłony.

Wyłania się z tego następujący obraz.

Zakończenie wyprowadzenia sztabów frontów na polowe stanowiska dowodzenia we wszystkich okręgach planowano na M-3 (czyli na trzeci dzień mobilizacji). We wszystkich okręgowych planach osłony tę datę wymienia się jako termin wyprowadzenia sztabów sąsiadów. Na przykład w planie osłony Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego czytamy: *„Na prawo — Nadbałt. SOW. Sztab od M-3 — Poniewież. Na lewo — dowództwo Kijowskiego SOW. Sztab od M-3 — Tarnopol”*. Ale dzień M-3 jest terminem zakończenia procesu. Sztab frontu to wielu ludzi, mnóstwo sprzętu, środków łączności, zabezpieczenia. Na przegrupowanie tego wszystkiego (a tym

bardziej na przegrupowanie potajemne) potrzeba było od jednego do dwóch dni. Odpowiednio: pierwsze transporty sztabu rozpoczynały przeprowadzkę w dniu M-1. Na przykład w planie osłony Nadbałtyckiego SOW zapisano: „6 godzin po rozpoczęciu wojny lub ogłoszeniu mobilizacji transport operacyjny sztabu wyjeżdża do miejsca stacjonowania sztabu Frontu Północno-Zachodniego, do lasu — 8 km od Poniewieża”. Nie całkiem zrozumiała jest tylko sytuacja z miejscem stacjonowania sztabu Frontu Zachodniego. W planie osłony Kijowskiego SOW o północnym sąsiedzie mówi się: „Sztab okręgu od 3. dnia mobilizacji — Baranowicze”. Ten sam rejon (dokładniej — stacja Leśna pod Baranowiczami) wymieniono również w kwietniowej dyrektywie do opracowania planu operacyjnego rozwinięcia Zachodniego SOW, ale w samym planie osłony tego okręgu nie ma mowy o przeniesieniu sztabu z Mińska i faktycznie — sztab okręgu (frontu) w pierwszych dniach wojny pozostawał w tym mieście.

Rozkazy wyprowadzenia do 22–23 czerwca sztabów frontów na polowe stanowiska dowodzenia wydano najpóźniej 19 czerwca. Tak więc w telegramie z 19 czerwca 1941 roku szef Sztabu Generalnego polecił dowódcy Kijowskiego SOW: „Ludowy komisarz obrony rozkazał: do 22.06.1941 r. sztab ma się udać do Tarnopola, pozostawiając w Kijowie podległe wam dowództwo okręgu (...). Oddzielenie i przerzucenie sztabu frontu zachować w największej tajemnicy, o czym należy uprzedzić skład osobowy sztabu okręgu”. Znamienne, że tego sensacyjnego faktu wskutek niedbalstwa nie wycięto ze wspomnień marszałka Bagramiana, choć książka ta przeszła przez wszystkie rodzaje cenzury:

„Rano 19 czerwca z Moskwy nadszedł telegram od G. K. Żukowa, mówiący, że ludowy komisarz obrony rozkazał utworzyć sztab frontu i do 22 czerwca przerzucić go do Tarnopola (...). Mieliśmy już wszystko zawczasu obmyślane (...). Dowódca okręgu kazał wyprawić transport kolejowy z Kijowa wieczorem 20 czerwca, a główną sztabową kolumnę samochodową nazajutrz przed południem”.

Dowódcy Zachodniego i Nadbałtyckiego Specjalnego Okręgu Wojskowego nie napisali pamiętników. Wyższa kadra dowódcza Frontu Zachodniego (dowódca frontu Pawłow, szef sztabu Klimowskich, zastępca dowódcy sił powietrznych frontu Tajurski, szef artylerii frontu Klicz, szef łączności frontu Grigoriew) została aresztowana i rozstrzelana. Dowódca sił

powietrznych Frontu Zachodniego Kopiec zastrzelił się bądź został zabity w służbowym gabinecie 22 czerwca. Szef sztabu Frontu Północno–Zachodniego (Nadbałtycki SOW) Klonow i dowódca sił powietrznych frontu Jonow zostali aresztowani i rozstrzelani, szef wydziału operacyjnego sztabu (taką właśnie funkcję pełnił w okręgu kijowskim Bagramian) Truchin oddał się do niewoli 26 czerwca 1941 roku i został powieszony 1 sierpnia 1946 roku. Dowodzący wojskami Nadbałtyckiego SOW (Frontu Północno–Zachodniego) F. J. Kuzniecowa dożył do końca wojny na stanowisku dowódcy Akademii Wojskowej Sztabu Generalnego, ale wspomnień nie opublikował.

Pamiętników nie ma, lecz są dokumenty. Na przykład informacja nr 01 z 22.00 21 czerwca 1941 roku. Sztab, w którym powstała, wciąż jeszcze nazywany jest sztabem Nadbałtyckiego SOW, chociaż numer najwyraźniej świadczy o tym, że dokument został sporządzony przez nową instancję dowódczą — sztab Frontu Północno–Zachodniego. Ważniejsze jest jednak co innego: miejsce postoju sztabu — *„las 12 km na północny wschód od Poniewieża”*. A zatem wieczorem 21 czerwca sztab okręgu (frontu) już znajdował się w tym miejscu, gdzie miał być dnia M–3. Tam też, w Poniewieżu, 22 czerwca 1941 roku dwadzieścia pięć minut po północy została podpisana informacja wywiadu nr 02. Jeszcze jeden godny uwagi dokument sporządzony został 21 czerwca o 14.30. Postawiono w nim zadanie: *„zaczynając od dzisiejszej nocy, do czasu specjalnego rozporządzenia wprowadzić maskowanie zaciemniające w garnizonach i miejscach rozmieszczenia wojsk”*. Nie byłoby w tym niczego zadziwiającego bądź nowego, gdyby nie podpis: *„zastępca dowodzącego wojskami F. Pn.–Zach. do spraw obrony plot pułkownik Karlin”*. Istnienie Frontu Północno–Zachodniego tak źle się kojarzyło z wymysłami o *„kraju pogrążonym we śnie”*, że wydawcy dokumentu postanowili ten fakt poprawić (choć prościej i lepiej byłoby tego dokumentu nie publikować). W wyniku tego zabiegu dokument sporządzony w sztabie frontu zatytułowano tak: *„Rozporządzenie sztabu Nadbałtyckiego Specjalnego Okręgu Wojskowego”*.

Przegrupowanie wojsk nie ograniczyło się tylko do sztabów. Na przykład w planie osłony Nadbałtyckiego SOW zapisano: *„do 2–4 dnia mobilizacji (podkreślenia moje — M. S.) ześrodkowują się pierwsze eszelony mobilizacyjne 126. DS — w rejonie Kozłowa Ruda, 23. DS — w rejonie*

Kowna i wkroczą do rejonu Kozłowa Ruda”. A w informacji operacyjnej nr 1 z godziny 22.00 21 czerwca czytamy:

„b) 23. *Dywizja Strzelecka w nocy na 22.6.41 r. wychodzi z rejonu Pageliza (20 km na południowy zachód od Wilkomierza), a dalej ma się posuwać do rejonu lasów na południe i południowy wschód od Kowna;*

c) 126. *Dywizja Strzelecka w nocy na 22.6.41 r. wychodzi ze Znieźmor i posuwa się do rejonu lasów pod Prenami*”.

W przekładzie na język mapy geograficznej znaczy to, że dwie wymienione dywizje już posuwają się do rejonów rozwinięcia wskazanego w planie osłony i po dwóch–trzech dniach marszu wkroczą do tego rejonu.

Również w sąsiednim, Zachodnim SOW odbywało się przegrupowanie wojsk odpowiadające zadaniom postawionym w planie osłony na dni M–3 — M–5. Tak więc o XXI i XLVII Korpusie Strzeleckim w planie osłony Zachodniego SOW zapisano: „*XXI Korpus Strzelecki w składzie 17. i 37. Dywizja Strzelecka od M–3 koncentruje się przy linii kolejowej w rejonie (...).*

XLVII Korpus Strzelecki w składzie 55., 121. i 155. Dywizja Strzelecka od M–3 do M–10 samochodami, pieszo oraz koleją koncentruje się w rejonie (...). Początek przewozów koleją 155. i 55. Dywizji Strzeleckiej — od rana M–4 po zakończeniu ich mobilizacji”.

A teraz porównajmy to z rozporządzeniem sztabu Zachodniego SOW z 21 czerwca 1941 roku:

„*Do dowódcy XLVII Korpusu Strzeleckiego. Sztab i jednostki wyprawić koleją eszelonami nr 17401–17408 w tempie 4. Początek przewozu 23.6.41 r.*

Zapewnijcie załadunek w terminie i zgodnie z planem. Przejazd zachować w tajemnicy. W dokumentach przewozowych nie podawać stacji przeznaczenia”.

Na dokumencie adnotacja: „*Analogiczne instrukcje 21.6.41 r. dano dowódcom 17. DS, 121. DS (...)*”.

Zebrawszy te rozproszone urywki wyjątkowo ważnych informacji, dochodzimy do wniosku, że „*potajemne i częściowe*” wprowadzenie w życie planu osłony odbyło się 19–20 czerwca, a zdarzenia z 21–22 czerwca 1941 roku można zinterpretować jako jego wykonanie. Niemniej znamienne są też inne decyzje i działania dowództwa sowieckiego, które — choć nie sposób ich powiązać ze znanymi dziś planami operacyjnymi — jednoznacznie świadczą o napiętych przygotowaniach do działań bojowych. Do działań, które mogą

się rozpocząć nie kiedyś tam w 1942 roku, a nawet nie w końcu lata 1941 roku, ale w najbliższych dniach. Oto jakie, na przykład, rozkazy i rozporządzenia wydawało dowództwo Nadbałtyckiego SOW (daty podkreślone przeze mnie — M. S.).

Rozkaz dowódcy Nadbałtyckiego SOW nr 0052 z 15 czerwca 1941 roku:

„Zakładanie min przeciwczołgowych i zasieków z drutu kolczastego przed pierwszą linią pasa umocnień przygotować w takim tempie, ażeby w ciągu trzech godzin pole minowe zostało założone (...). Zasięki zacząć ustawiać natychmiast (...). Od pierwszej godziny działań bojowych organizować ochronę tyłów, a wszystkie osoby podejrzane natychmiast zatrzymać i szybko ustalać ich personalia (...). Samoloty na lotniskach rozproszyć i zamaskować w lasach, krzakach, nie dopuszczając do uszeregowania ich w linię, ale zachować przy tym pełną gotowość do wylotu. Parki jednostek pancernych i artyleryjskich rozproszyć, rozlokować w lasach, skrupulatnie zamaskować, zachowując możliwość, by w ustalonym czasie stawiły się na alarm (...). Dowódca armii, dowódca korpusu i dywizji sporządzi kalendarzowy plan wykonania rozkazu, który ma być wykonany w całości do 25 czerwca br.”

Dyrektywa rady wojennej Nadbałtyckiego SOW nr 00224 z 15 czerwca 1941 roku:

„Na wypadek naruszenia przez przeciwnika granicy, niespodziewanej napaści wielkich jego sił lub przelotu przez granicę jednostek lotniczych ustalam następujący tryb powiadamiania (...). Doniesienia wysyłać jednocześnie przez radio, telefon, telegraf, samolotem i za pośrednictwem łącznika samochodem, mając na celu jak najszybsze poinformowanie Rady Wojennej Okręgu. Doniesienia radiowe słać otwartym tekstem, który należy poprzedzić hasłem «SŁOŃ» i cyfrą szyfrującą stanowisko meldującego (...). W celu sprawdzenia prawdziwości doniesienia na jego końcu powinien być odzew «POCISK». Doniesienie należy wysłać przez radiostację 11-AK lub RSB na fali 156. W celu terminowego odbioru doniesienia odbiorniki wszystkich sztabów jednostek od 17.6.41 r. powinny być nastawione na falę 156”.

Rozkaz dowódcy Nadbałtyckiego SOW nr 00229 z 18 czerwca 1941 roku:

„Szef strefy obrony przeciwlotniczej do końca 19 czerwca 1941 r. doprowadzi do pełnej gotowości bojowej całą obronę przeciwlotniczą okręgu

(...). Do 1 lipca 1941 r. zakończyć budowę punktów dowodzenia, począwszy od dowódców baterii (przeciwlotniczych — M. S.) aż do dowódcy brygadowego rejonu obrony przeciwlotniczej (...). Najpóźniej rano 20.6.41 r. na frontowe i armijne punkty dowodzenia wysłać ekipy ze sprzętem niezbędnym do zorganizowania w nich węzłów łączności (...).

Systematycznie sprawdzać łączność z punktami dowodzenia (...). Zorganizować i systematycznie sprawdzać pracę radiostacji zgodnie z ustalonym przeze mnie harmonogramem (...). Wybrać i przygotować ekipy łącznościowców, które powinny być gotowe do rana 20.6.41 r. Na rozkaz dowódców jednostek wziąć pod kontrolę zatwierdzone przeze mnie węzły łączności (...). Na odcinku każdej armii wydzielić punkty zakładania polowych składów min przeciwczołgowych, materiałów wybuchowych i zasieków przeciwpiechotnych. Wymienione mienie skoncentrować w składach do 21.6.41 r. (...). Na kierunkach Telsze, Szawle, Kowno i Kalwaria utworzyć ruchome oddziały przeciwpancernej walki minowej. W tym celu należy mieć zapasy min przeciwczołgowych przewożone samochodami. Gotowość oddziałów — 21.6.41 r. (...). Plan burzenia mostów mają zatwierdzić rady wojenne armii. Termin wykonania — 21.6.41 r. Odebrać jednostkom okręgu (oprócz zmechanizowanych i lotniczych) wszystkie cysterny na benzynę i przekazać je po 50 proc. do III i XII Korpusu Zmechanizowanego. Termin wykonania — 21.6.41 r.”.

Na okładce **Zbioru dokumentów bojowych nr 34** (ZDB nr 34), z którego zacytowaliśmy te rozkazy, widnieje niebieska pieczęć „Odtajniono”. Numer dyrektywy Sztabu Generalnego o odtajnieniu i data: „30.11.65 r.” Sześćdziesiątego piątego roku. Od kilkudziesięciu lat szamani oficjalnej wojskowej „nauki” historycznej znali — lub przynajmniej powinni byli znać — dokumenty z czerwca 1941 roku, a mimo wszystko wciąż opowiadali nam bajki o „niespodziewanej napaści” i „kraju Sowietów pogrążonym we śnie...”

Niestety ZDB nr 34 jest jedynym zbiorem dokumentów bojowych okręgów (frontów), do którego włączono przynajmniej kilka dokumentów z okresu przed 22 czerwca 1941 roku.

Wszystkie inne zbiory (jak również, nawiasem mówiąc, wszystkie dostępne dla niezależnych badaczy zbiory Centralnego Archiwum Ministerstwa Obrony — CAMO) zaczynają się od razu od 22 czerwca, od „niespodziewanej napaści”. Wszystko, co poprzedzało tę potworną

„niespodziankę”, szczęśliwie pominięto milczeniem. Ale nie ma reguł bez wyjątków. W ZDB nr 33 (bojowe dokumenty korpusów zmechanizowanych) jakimś cudem „zaplątał się” (przy czym nawet nie na samym początku, ale na ósmym miejscu, po dokumentach z lipca 1941 roku) rozkaz dowódcy XII Korpusu Zmechanizowanego Szestopałowa nr 0033 z 18 czerwca. Dokument zdobi napis „Ścisłe tajne. Szczególnego znaczenia”, co jak na dokumenty szczebla korpusu stanowi wielką rzadkość. Rozkaz nr 0033 zaczyna się od takich słów: „Po otrzymaniu niniejszego rozkazu wszystkie jednostki doprowadzić do gotowości bojowej. Jednostki doprowadzić do gotowości bojowej zgodnie z planami stawiania się na alarm bojowy, ale samego alarmu nie ogłaszać (podkreślenia moje — M. S.). Brać z sobą tylko to, co niezbędne do życia i walki”. Dalej następuje wskazówka, żeby przemarsz do rejonów ześrodkowania rozpocząć 18 czerwca o 23.00, przy czym wszystkie końcowe punkty marszruty znajdują się w lasach!

XII Korpus Zmechanizowany także wchodził w skład Nadbałtyckiego SOW, ale nie widzę żadnych podstaw, by uznać sytuację tego okręgu za wyjątkową. Po prostu w innych okręgach odpowiednie dokumenty albo zaginęły, albo zostały w odpowiednim czasie zniszczone, albo sumiennie utajnione. Dowódca Nadbałtyckiego SOW (Frontu Północno–Zachodniego) F. J. Kuzniecowa również — jak noszący to samo nazwisko admirał N. G. Kuzniecowa i dowódca 3. Armii W. J. Kuzniecowa — nie naruszał samowolnie żadnych „rozkazów Stalina”, ale działał w ścisłej zgodzie z poleceniami, które otrzymywał z Moskwy. Rozkazy te, takie same jak w Nadbałtyckim Specjalnym Okręgu Wojskowym (o postawieniu wojsk w podwyższonej gotowości bojowej, o maskowaniu lotnisk i rozpraszaniu samolotów, o przeniesieniu sztabów do polowych punktów dowodzenia i rozwijaniu łączności radiowej według harmonogramu bojowego), były wydawane we wszystkich pozostałych pogranicznych okręgach. Jeżeli o świcie 22 czerwca 1941 roku nawet zdarzyło się coś „niespodziewanego” dla dowódców średniego i wyższego szczebla, to ową oszałamiającą niespodzianką było niewydanie rozkazu rozpoczęcia działań bojowych. Długo wyczekiwany „SŁOŃ” jakoś się spóźniał...

Co więcej, dzień–dwa przed praktycznym rozpoczęciem wojny „SŁONIOWI” zaczęto aktywnie przeszkadzać. W zachodnich okręgach pogranicznych zaczęło się dziać coś naprawdę zagadkowego, co trudno

nazwać inaczej jak tylko rozmyślnym obniżeniem gotowości bojowej. Informacji na ten temat nie jest wiele, są one rozrzucone głównie w literaturze pamiątkarskiej, dlatego też mogą wywoływać pewną nieufność. Niemniej jednak nie można zignorować świadectw uczestników wydarzeń. Tym bardziej że niemożność ich potwierdzenia dokumentami wynika przede wszystkim z braku dostępu do odpowiednich zbiorów archiwalnych.

W 1977 roku, w latach największego zastoju, opublikowano wspomnienia pułkownika Bielowa — dowódcy jednej z trzech rozgromionych dywizji lotniczych (10.) Frontu Zachodniego — o pierwszym dniu wojny.

Tytuł eseju: *Gorące serca*. Intonacja opowieści odpowiada tytułowi. Niemniej jednak na pięciu stroniczkach tekstu znalazła się zupełnie nieoczekiwana informacja:

„20 czerwca otrzymałem telegram z rozkazem dowódcy sił powietrznych okręgu: doprowadzić jednostki do gotowości bojowej, zakazać urlopów kadrze dowódczej, urlopowanych odwołać do jednostek (...). Dowódcy pułków otrzymali też mój rozkaz: samoloty rozproszyć poza obręb lotniska, składu osobowego nie wypuszczać poza teren obozu”.

W świadectwie tym nie ma niczego sensacyjnego. Co prawda całkowicie przeczy ono tradycyjnemu mitowi o „lotniskach pogrążonych we śnie”, natomiast jego treść w pełni odpowiada wszystkim dokumentom ostatnich dni przed wojną. Zadziwiające jest to, co następuje potem, 21 czerwca o 16.00. Ryk silników niemieckich pojazdów zbliżających się do Buga słyhać już było gołym uchem, gdy dowódca 10. Dywizji otrzymał nową szyfrówkę ze sztabu okręgu: cofam rozkaz z 20 czerwca o doprowadzeniu jednostek do pełnej gotowości bojowej! Pułkownik Bielow pisze, że nawet nie przekazał tego polecenia podkomendnym. Ale po cóż taki rozkaz wydano?

Prawdziwość relacji pułkownika Bielowa pośrednio potwierdza we wspomnieniach podpułkownik P. Cupko, który przed wojną był młodym lotnikiem w 13. pułku bombowym tegoż Okręgu (Frontu) Zachodniego. Oto, co pisze:

„Na niedzielę 22 czerwca w pułku wyznaczono dzień wolny. Wszyscy się ucieszyliśmy: od trzech miesięcy nie odpoczywaliśmy (...). W sobotę wieczorem, pozostawiwszy jako dyżurnego szefa sztabu kapitana Własowa, dowództwo pułku, wielu lotników i techników wyjechało do rodzin do Rosi.

Cały garnizon został pod opieką służby wewnętrznej, na której czele był dyżurny obozu podporucznik (!!!) Usenko”.

Dziwne rzeczy w Zachodnim SOW działały się nie tylko w lotnictwie. Bezpośrednio przed rozpoczęciem działań bojowych dowództwo okręgu zabrało artylerię przeciwlotniczą armii pierwszego rzutu na okręgowy poligon.

Między innymi ze wspomnień dowódcy 86. Dywizji Strzeleckiej (należącej do 10. Armii) Zaszybałowa wynika, że dywizjon przeciwlotniczy jego dywizji na początku wojny znajdował się na poligonie w odległości 130 km od miejsca pobytu dywizji. Dywizjony przeciwlotnicze VI Korpusu Zmechanizowanego i całej 4. Armii znalazły się nie obok granicy, z której Niemcy usuwali już zasieki, ale na okręgowym poligonie w rejonie wsi Krupki, 120 km na wschód od Mińska. Generał armii Siemion Pawłowicz Iwanow (przed wojną szef wydziału operacyjnego sztabu 13. Armii Zachodniego SOW) podaje bardzo ciekawe wytłumaczenie takich działań naszego dowództwa:

„Stalin dążył do tego, żeby poprzez samo zachowanie się wojsk okręgów pogranicznych dać Hitlerowi do zrozumienia, że panuje u nas spokój, a nawet niefrasobliwość (dziwne u kogoś, kto boi się napaści przeciwnika — M. S.). Przy czym odbywało się to w sposób całkiem naturalny. Na przykład jednostki przeciwlotnicze były na poligonie...

W wyniku tego, zamiast umiejętnie, poprzez działania dezinformacyjne, wprowadzić agresora w błąd co do gotowości bojowej naszych wojsk, rzeczywiście obniżyliśmy ją do stopnia skrajnie niskiego”.

Na uwagę zasługuje też „wielki wieczór teatralny” 21 czerwca 1941 roku. Wiadomo, że dowództwo Zachodniego SOW wieczór ów spędziło w mińskim Domu Oficerskim, na którego scenie grano komedię **Wesele w Malinowce**. Tylko najbardziej leniwi nie „kopali” Pawłowa za to, że zamiast doprowadzić wojska do gotowości bojowej, oddawał się rozrywce. Naszym po dziecięcemu naiwnym dziennikarzom nie przyszło nawet do głowy, że po przeczytaniu doniesienia wywiadu z 21 czerwca („zasadnicza część niemieckiej armii w pasie naprzeciw Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego zajęła pozycje wyjściowe”) Pawłow wcale się w teatrze nie relaksował (jeśli w ogóle nasza go taka chętka). Ciekawe jest co innego:

nawet pobieżny przegląd literatury wspomnieniowej dowodzi, że wieczorem 21 czerwca na imprezę kulturalną wybrał się nie tylko Pawłow...

„W sobotę 21 czerwca czterdziestego pierwszego roku w garnizonowym Domu Armii Czerwonej, jak zwykle, odbyła się wieczornica. Z okręgu przyjechał czerwonoarmijny zespół pieśni i tańca. Po koncercie, jak nakazuje tradycyjna żołnierska gościnność, wraz z dowódcą Dmitrijem Iwanowiczem Riabyszewem zaprosiliśmy członków zespołu na kolację. Do domu wróciłem dopiero po drugiej w nocy” — komisarz VIII KZmech (Kijowski SOW) N. K. Popiel.

„21 czerwca zastępca dowódcy do spraw politycznych 98. pułku bombowców dalekiego zasięgu, komisarz batalionowy Wasilij Jegorowicz Mołodcow, zaprosił mnie na lotnisko Szatałowo, gdzie w miejscowym Domu Armii Czerwonej miał się odbyć wieczór zespołu amatorskiego (...). Widzowie z ujmującą serdecznością podejmowali artystów i wielu zapamiętało na długo ten wieczór amatorski, który odbył się w przededniu wojny. Około 22.30 wyjechałem, wciąż odczuwając ciepło tego wspaniałego wieczoru. Przybyłem do Smoleńska już w nocy. Zgodnie z ustalonym trybem udałem się do sztabu” — dowódca III Korpusu Bombowców Dalekiego Zasięgu N. S. Skripko.

„Wieczorem 21 czerwca całą rodziną byliśmy w teatrze. Razem z nami w łóży siedział szef wydziału politycznego armii, też z rodziną. Po powrocie z teatru do domu, po pierwszej w nocy zostałem wezwany do sztabu dywizji, gdzie otrzymałem rozkaz, aby ogłosić w pułku alarm bojowy” — dowódca 57. pułku pancernego (29. DPanc II KZmech, Zachodni SOW) J. G. Czeriapkin.

„Mam pewną przyjemną propozycję: o 8ej na otwartej scenie Domu Armii Czerwonej odbędzie się przedstawienie artystów Białoruskiego Teatru Operetki — chodźmy obejrzyć...

— Z przyjemnością — zgodziłem się. — Mam nadzieję, że spektakl mińskiej operetki nie będzie gorszy niż koncert artystów moskiewskiej estrady w Brześciu, na który pojechali Szłykow z Rożkowem.

— Zdradziłeś! — roześmiał się dowódca. — A mnie jakoś do głowy nie przyszło, po co oni tak się wrywają do Brześcia”.

To szef sztabu 4. Armii (Zachodni SOW) Ł. M. Sandałow relacjonuje rozmowę, jaką odbył wieczorem 21 czerwca 1941 roku z dowódcą armii Korobkowem. A Szłykow, który pojechał na koncert do Brześcia — to członek rady wojennej 4. Armii. Od Brześcia do Kobrynia jest zaledwie 45

km, tak więc już około północy wszyscy zebrali się w siedzibie armii. *„Ostatnią noc przed wojną starsza kadra dowództwa armii spędziła w siedzibie sztabu armii. Niepokojni i zdenerwowani chodziliśmy z pokoju do pokoju, półgłosem omawiając kryzysową sytuację. Co godzina dzwoniliśmy do brzeskiej straży granicznej i do dywizji”*.

Oto, jaki dziwny był 21 czerwca 1941 roku dla wielu dowódców Armii Czerwonej. Wieczorem, na oczach publiczności, w teatrze. Głęboką nocą — w sztabie, przy aparacie telefonicznym.

O co tu chodziło?

ZBĘDNY ROZDZIAŁ

„21 czerwca wieczorem wszyscy członkowie Politbiura KC WKP(b) znajdowali się w gabinecie Stalina. W ogromnej komnacie o wysokim łukowym sklepieniu i ścianach wyłożonych na wysokość człowieka jasną dębową boazerią przy długim stole pokrytym zielonym suknem siedzieli Mołotow, Woroszyłow, Malenkow, Beria i inni. W gabinecie panowała napięta cisza. Wszyscy czekali, co powie Stalin. A on z nie zapaloną fajką w ręku powoli spacerował po długim chodniku dywanowym... Wreszcie Stalin się odezwał:

— Sytuacja zaostrza się z każdym dniem i bardzo możliwe, że możemy zostać niespodziewanie napadnięci przez Niemcy... Powiedzcie, towarzyszu Timoszenko, ile wojsk mamy do dyspozycji w zachodnich okręgach pogranicznych?”

Przyznam, że za każdym razem, gdy czytam coś podobnego, dostaję ataku palącej — a często nawet niegodziwej — zawiści. No, dlaczego? Dlaczego oni tak mogą, a ja nie? Dlaczego muszę miesiącami ślęczeć nad papierami, sprawdzając numery pułków i dokładną datę ich wysunięcia na wzgórze nr 238/6?

I dopiero dziś mnie olśniło — mogę! Kto powiedział, że nie mogę?

A zatem:

21 czerwca 1941 roku wieczorem w gabinecie Stali* na, w ogromnej komnacie o wysokim łukowym sklepieniu i ścianach wyłożonych na wysokość człowieka jasną dębową boazerią przy długim stole pokrytym zielonym suknem siedziały dwie osoby: ludowy komisarz obrony ZSRS Timoszenko i szef Sztabu Generalnego Armii Czerwonej Żukow. W gabinecie panowała napięta cisza. Stalin ze zgaszoną fajką w ręku powoli spacerował po długim chodniku dywanowym. W dalekim kącie gabinetu szkiełkami binokli połykiwał Beria.

Wreszcie Stalin się odezwał:

— Trzeba pamiętać to, co najważniejsze: filozofię Lenina. Jest ona niedościgniona i dobrze by było, gdyby nasi bolszewicy opanowali tę filozofię zasadniczo sprzeczną z filozofią filistrów. Dlaczego niemieccy generałowie przysłali nam tego feldfebla? Dlatego, że boją się potęgi Armii Czerwonej i

chcą nas sprowokować do przedwczesnego uderzenia. Dlatego właśnie przysłali nam zdrajcę z kłamliwym doniesieniem, że wojna rozpocznie się jutro. To oni chcą, żebyśmy rozpoczęli wojnę jutro, żebyśmy przeszli do natarcia przed zakończeniem mobilizacji armii, przed zakończeniem ześrodkowania wojsk, zanim front armii rezerwowych towarzysza Budionnego podejdzie do Dniepru. Oto, czego chcą niemieccy generałowie, i oto, do czego wy, towarzyszu Żukow, chcecie sprowokować Komitet Centralny. Ale Komitet Centralny nie tak łatwo sprowokować, jak o tym sądzą nasi wrogowie...

Dlaczego nie powinniśmy wierzyć temu zdrajcy? Dlatego, że Hitler nie jest takim durniem, aby nie rozumieć, że Związek Sowiecki to nie Polska, to nie Francja, to nawet nie Anglia i oni wszyscy razem wzięci. Hitler wie, że przegrupowanie niemieckich wojsk w pobliże naszych granic wcale się jeszcze nie zakończyło. Ono, można powiedzieć, dopiero się naprawdę zaczęło dwa tygodnie temu. Takimi siłami, jakie Niemcy skoncentrowali na wschodzie, można było nacierać na Francję – chociaż i przeciw Francji zgromadzili wiele lotnictwa — ale nie na wielki Związek Sowiecki. Teraz, kiedy odbudowaliśmy naszą armię, nasyciliśmy nowoczesnym sprzętem bojowym, kiedy staliśmy się silni — teraz Hitler nie zaryzykuje natarcia, dopóki nie zgromadzi u naszych granic 200–220 dywizji i nie będzie miał potężnego wsparcia lotniczego. Kto jest silny w powietrzu, ten jest silny w ogóle, i Hitler też to rozumie. Na razie jednak sił niemieckiego lotnictwa skupionych na lotniskach byłej Polski i Prus Wschodnich w żadnym wypadku nie można porównywać z naszymi siłami powietrznymi. Hitler nie jest takim durniem, żeby pójść na taką awanturę.

Dlatego też powinniśmy, nie ulegając żadnym prowokacjom, zakończyć strategiczne rozwinięcie naszej armii. Jak już wiecie, w poniedziałek, 23 czerwca, zostanie ogłoszona powszechna mobilizacja. Lotnictwo okręgów zachodnich rozpocznie operację, której celem jest zniszczenie niemieckich samolotów na lotniskach i szlaków komunikacyjnych na tyłach operacyjnych przeciwnika. Nie pozwolimy Niemcom zgromadzić przy naszych granicach 200 dywizji. Jeżeli lotnictwo dobrze się spisze, możemy rozpocząć „Burzę” najpóźniej 1 lipca, mając przy tym znaczną przewagę sił. Trzeba bić wroga mocną pięścią. To, co teraz proponujecie, jest po prostu popchnięciem

Niemców rozczapierzoną dłonią. Komitet Centralny nie pogodzi się z taką głupotą...

Stalin zamilkł, podszedł do stołu, otworzył paczkę papierosów Hercegowina Flor. Żółtymi od nikotyny palcami przełamał kilka sztuk, nabił fajkę, nieśpiesznie zapalił. Pod wysokim łukowym sklepieniem zawisła martwa cisza. Binokle Berii błysnęły jeszcze mocniej.

— Słuchamy was, towarzyszu Żukow. — Stalin znów pomaszerował po chodniku dywanowym. — Co możecie powiedzieć na swoje usprawiedliwienie?

Generał armii wstał, obciągnął bluzę i mocnym głosem wyrecytował:

— Towarzyszu Stalin, wywiad donosi, że Hitler uważa naszą niezwyciężoną Armię Czerwoną za glinianego kolosa bez głowy. Czyli że setki naszych dywizji, dziesiątki tysięcy naszych czołgów przyrównuje on do dziecięcej glinianej zabawki, a mnie, towarzysza Timoszenkę i was, towarzyszu Stalin, ma po prostu za nic. Uważam, że Hitler ma rację.

Już wojna fińska wykazała, że nasza rzekomo niezwyciężona Armia Czerwona to ogromny i niemal niesterowalny tłum. Po to, by osiągnąć minimalne sukcesy na froncie wojny z fińskimi białogwardzistami, musieliśmy stworzyć pięciokrotną przewagę w sile żywej, przytłaczającą przewagę w artylerii, broni pancernej i lotnictwie. Nie mamy jednak możliwości stworzenia takiej przewagi liczebnej nad armią niemiecką na ogromnym froncie od Morza Czarnego do Bałtyku. Nasza armia to półgłodni i prawie nie wyszkoleni chłopci kołchozowi, którzy okrutnie was nienawidzą, towarzyszu Stalin. Już po pierwszych porażkach — a takie będą nieuchronne w starciu z takim przeciwnikiem jak niemiecki Wehrmacht — nasza armia zacznie gwałtownie zmieniać się z uzbrojonego tłumy w tłum bezbronny, który pod ochroną kilkudziesięciu niemieckich konwojentów pomaszeruje do niewoli. Czeka nas niebywała katastrofa wojskowa. Rozmiary i wynik tej katastrofy zależą głównie od tego, czy Hitler jest idiotą czy nie.

— Co macie na myśli, towarzyszu Żukow? — Zdumiony Stalin wstrzymał swój nie kończący się marsz wokół ogromnego stołu przykrytego zielonym sukniem.

— Melduję Komitetowi Centralnemu, że nasz wywiad wojskowy zdobył część tekstu rozkazu Keitla, który ustala tryb postępowania z wziętymi do niewoli oficerami politycznymi Armii Czerwonej. Keitel żąda, aby oddzielać

ich od masy pozostałych jeńców. Ale na razie nie wiemy, po co chce ich oddzielać. Nasz agent Justin Aleksowicz Stirlitz już otrzymał instrukcję, aby za wszelką cenę zdobyć pełny tekst osławionego „*rozkazu o komisarzach*”. Jeżeli Hitler jest idiotą, to Niemcy oficerów politycznych Armii Czerwonej będą rozstrzeliwać. To zmusi naszych komisarzy, by sami walczyli i uciekając się do bezwzględnych rozstrzeliwań, zmuszali do walki szeregowych czerwonoarmistów. Jeżeli jednak Hitler nie jest idiotą, to wziętych do niewoli oficerów politycznych będą oddzielać od żołnierskiej masy po to, żeby karmić ich befsztykami, pić zdobyczym francuskim koniakiem i agitować, by wstąpili do partii narodowosocjalistycznej, obiecując im ciepłe posadki w administracji okupacyjnej. Uważam, że w tym wariantcie rozwoju wydarzeń niemieckie dywizje do końca lata tego roku mogą dotrzeć do linii Archangielsk–Astrachań.

— A na czymże to oni dotrą? — dał głos Beria. — Na nogach tyle się nie przejdzie, a dywizji zmotoryzowanych mają co kot napłakał...

— Ciebie nie pytają, mądralo — zabuczał przeziębionym basem Timoszenko. — Przejdą, jak biali Czesi przeszli latem 1918 roku, pociągami i ze śpiewem.

— Poczekaj, Lawrentij — w głosie Stalina dały się słyszeć nutki żywego zainteresowania. — Co proponujecie, towarzyszu Żukow? Odpowiadajcie wprost i uczciwie, jak komunista komuniście.

Żukow rzucił przelotne spojrzenie na Timoszenkę, ale ten milczał jak zakłęty, majestatyczny i nieruchomy jak kurhany Scytów. Żukow odkaszlnął i wymówił nieprawdopodobne słowa:

— Melduję: nadzwyczajna sytuacja, niebywałe zagrożenie, które zawisło nad naszą Ojczyzną, wymaga podjęcia działań nadzwyczajnych. Pierwsze i najważniejsze: należy natychmiast aresztować i oddać pod sąd najbardziej zawziętych wrogów ludu, podłych agentów Abwehry i Gestapo: Stalina, Mołotowa, Woroszyłowa, Berię. Proces przeprowadzić zgodnie z ustawą z 1 grudnia 1939 roku, bez wzywania aresztowanych, bez przedstawiania oskarżenia, bez postanowienia o zakończeniu śledztwa i werdyktu końcowego, z zastosowaniem wobec zdemaskowanych wrogów ludu wyjątkowego wymiaru kary — publicznej kaźni pod gołym niebem. Wyrok wykonać na placu Czerwonym w Moskwie.

W ślad za tym należy zerwać wszystkie umowy z faszystowskimi Niemcami zawarte przez przestępczą klikę antypartyjną Stalina–Mołotowa i zwrócić się do Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej z propozycją utworzenia koalicji antyhitlerowskiej. W dziedzinie polityki wewnętrznej pierwszym zadaniem Wszechzwiązkowego Komitetu Nadzwyczajnego będzie zwolnienie więźniów GUŁagu, zorganizowane rozwiązywanie kolchozów i zwrot ziemi chłopom...

— Dobrze by było poprosić Churchilla, żeby został premierem — odezwał się w zamyśleniu Timoszenko.

Stalin rzucił fajkę. Miętko stąpając po chodniku dywanowym w swoich kaukaskich butach bez obcasów, podszedł do ogromnej tajnej mapy na ścianie i zaciągnął na nią czarną atlasową zasłonę. Potem milcząco i nieśpiesznie opieczętował mapę osobistą pieczęcią i usiadł na poczesnym miejscu za ogromnym stołem przykrytym zielonym suknem. Spoglądając żółtymi nie mrugającymi oczami na Żukowa, cicho i wyraziście powiedział:

— Dla nas, bolszewików leninowców, racja stanu jest ponad wszelkie osobiste urazy. Powiedzcie, towarzyszu Żukow, czy po straceniu towarzysza Stalina Armia Czerwona zwycięży przy niewielkim przelewie krwi? Na obcej ziemi?

Żukow zaczął się podnosić, ale tu Timoszenko ogromną łapą wcisnął swojego nadmiernie gadatliwego szefa sztabu w fotel i nie wstając z miejsca, przemówił sam:

— Nie uda nam się minimalnym przelewem krwi. Żołnierz nie jest wyszkolony. A już o naszych generałach w ogóle nie chcę mówić. To twoja robota, Gutasinie⁶, ty tych lizusów sobie wybrałeś i z błota wyniosłeś na wyżyny. Oczywiście, gdy rozwiążemy kolchozy i wypuścimy niewinnych z Kołymy, ludzie inaczej będą oddychać. Z innym sercem pójdą na wojnę. Ale samą tylko świadomością teraz miast się już nie zdobywa. To jest inna wojna — wojna motorów, wojna techniki. Ludzi trzeba szkolić przez lata. A co my mamy? Ropy wydobywamy najwięcej w Europie, a szkoleniowe naloty pilotów ograniczamy limitami benzyny. Czołgów narobiliśmy góry, a na szkolenie mechaników oszczędzamy paliwa. Na kraje bałtyckie poszliśmy zeszłego lata i — sromota — niemal połowę czołgów pogruchotaliśmy. I to

⁶ — Przewisko Stalina nadane od pasty używanej przez pucybutów, którymi było w tych czasach wielu Gruzinów (przyp. red.).

bez przeciwnika, bez bombardowań.. . Co tam czołgi — kaemiści przez trzy lata służby trzy razy w polu strzelali, a cały pozostały czas poszedł na prace gospodarcze i pogadanki o partii Lenina–Stalina... Nie, to nie będzie kosztować mało krwi. I za zwycięstwa, i za porażki drogo zapłacimy...

Stalin znowu zaczął spacerować po gabinecie, podszedł do swojego biurka, długo w milczeniu kręcił w palcach ostro zaostrzony czerwony ołówek. Następnie odwrócił się do wojskowych i wrzasnął:

— To znaczy, że nas z Ławrentijem na pał, tak?! Mnie na pał, tak?! Zaraz! Nastraszyłeś jeża gołą dupą! Ja nie takich jak wy, suki, spuszczałem do kibla...!

Beria zdjął binokle i z rozpaczliwą stanowczością zaczął gryźć jasną dębową boazerię w kącie gabinetu. Speszeni wojskowi ze zdumieniem spoglądali na Wielkiego Wodza Narodów, Najlepszego Przyjaciela Sportowców, który z zawrotną szybkością przemieniał się w zwykłego kryminalistę. I w tej chwili...

Uwaga, uwaga!

Mówi Moskwa

Nadają wszystkie rozgłośnie Związku Sowieckiego

Nadajemy nadzwyczajny komunikat z ostatniej chwili

Jak się dowiadujemy z doniesień sprzedajnych i kłamliwych agencji burżuazyjnych Havas i Reuters, dziś o godzinie drugiej po południu w swoim gabinecie zastrzelił się kanclerz Rzeszy Niemieckiej, wielki przyjaciel Związku Sowieckiego, zbójcki herszt krwiożerczej klikki faszystowskich władców, towarzysz Hitler. Przyczyny, które pobudziły Hitlera do popełnienia samobójstwa, na razie nie są znane. W przedśmiertnym liście adresowanym do przywódcy włoskich faszystów Benito Mussoliniego napisał dosłownie co następuje: „Duce, piszę do Pana ten list w chwili, gdy trwające od miesięcy rozmyślenia zakończyłem podjęciem najtrudniejszej w moim życiu decyzji”.

— A to ci heca — wymamrotał w kącie Beria. Przestał gryźć boazerię i teraz czołgał się po podłodze w poszukiwaniu binokli. Głos Lewitana nadal niósł się jak bicie dzwonu:

W kołach dyplomatycznych Berlina uważa się, że przyczyną samobójstwa mógł być wczorajszy raport generała Guderiana, w którym podał on Hitlerowi dokładną liczbę sowieckich czołgów i dywizji pancernych. Zarazem berliński

korespondent gazety „Washington Post”, tej kłamliwej tuby rekinów finansowych z Wall Street, twierdzi, że Hitler się zastrzelił, bo nie mógł się wypłatać ze szkodliwego związku z drobnomieszczańską artystką Evą Braun...

Cztery osoby w ogromnym gabinecie o wysokim łukowym sklepieniu zamieniły się w słuch, co negatywnie wpłynęło na inne zmysły: wzrok i węch. Nikt nie zauważył, jak od dymiącej fajki Stalina zajął się zielony dywanowy chodnik, jak płomyki zaczęły lizać ciężkie kotary w oknach. Gabinet napelniały kłęby dymu i tylko stary zegar dziejów obojętnie wybijał ostatnie minuty 21 czerwca 1941 roku...

A tymczasem na placach Moskwy było mnóstwo ludzi. Męczący upał, który przez cały dzień wisiał nad miastem ustąpił dopiero koło północy, a teraz woń kwitnących lip wywabiła moskwian na ulice. Tłumy uczniów dziesiątej klasy, zupełnie obojętnych wobec zmyśleń i doniesień Havasu i Reutersa, spieszyły, by wyjaśnić z koleżankami ważne dla nich kwestie — w stołecznych szkołach odbywały się tego dnia wieczory maturalne. Spacerowicze okupowali balustrady bulwarów nad rzeką Moskwą i co drugi uważał za swój obowiązek zwrócić uwagę na niegasnące światło w jednym z okien Kremla. *„To gabinet towarzysza Stalina, on tam przez całą długą noc myśli o szczęściu naszego narodu!”* Każdy myślał, że tym niegasnącym gabinetem najpewniej jest kremlowski wychodek, ale bał się to powiedzieć. *„Tato, tato!”* — dziewczęcy głosik szczególnie dźwięcznie zabrzmiał w nocnej ciszy. — *„Tato, spójrz! Z okna towarzysza Stalina dym wali!”* Ojciec nadmiernie spostrzegawczej dziewczynki przestraszony obejrzał się na boki i odciągnął ją od ludzi. *„No co ty, co ty, co tak wrzeszczysz? No dym, cóż to, dymu nie widziałaś? Nie ma dymu bez ognia... To znaczy, że towarzysz Stalin wypalił się w robocie”*.

ROZDZIAŁ 12. HIPOTEZA NR 3

Dziwne wydarzenia ostatnich dni przed wojną można jednak wytłumaczyć, powiązać w jednolity ciąg logiczny w ramach pewnej hipotezy. Od razu przyznam, że pierwszy wysunął tę hipotezę kijowski historyk Kiejstut Zakoriecki. Główny dokument, jaki przytoczył na jej potwierdzenie, jest dość wątpliwy, ponieważ jednak znane fakty Zakoriecki układa bardzo precyzyjnie — niczym w łódce nabożowej — to gotów jestem nie tylko całkowicie się z nim zgodzić, ale i spróbuję twórczo rozwinąć tę wersję wydarzeń.

A zatem przypuścimy, że w połowie czerwca (gdzieś między 10 a 20) data napaści na Europę została jeszcze raz przesunięta (po raz pierwszy zrobiono to w kwietniu–maju 1941 roku) i znów wyznaczono wcześniejszy termin rozpoczęcia wojny. Ten trzeci z kolei (i ostatni w rzeczywistości) kalendarzowy plan Stalina rozpoczęcia wojny wyglądał następująco:

1. W jasny, słoneczny dzień 22 czerwca odbywa się prowokacja lub cała seria prowokacji — zainscenizowane bombardowanie sowieckich miast przez niemieckie lotnictwo.

2. Zaraz potem (w dzień lub wieczorem 22 czerwca) realizowany jest plan osłony. Realizowany w całości — włączając działania sił powietrznych Armii Czerwonej na terytoriach Państw sąsiednich.

3. 23 czerwca zostaje ogłoszona powszechna jawna mobilizacja.

4. Mniej więcej po tygodniu (1–3 lipca) zmobilizowane i rozwinięte zgodnie z planem operacyjnym (zatwierdzonym w Moskwie na naradzie z 24 maja 1941 roku) Front Północno–Zachodni, Zachodni, Południowo–Zachodni i Południowy przechodzą do natarcia na pełną skalę.

Oczywiście nie ma bezpośredniego dokumentalnego potwierdzenia, że istniał ten harmonogram. I nikt go nigdy nie znajdzie. Już pierwszy punkt — wielka prowokacja — wymagał dochowania najściślejszej tajemnicy. Jakikolwiek wyciek informacji nie tylko sprowadziłby do zera efekt prowokacyjnej inscenizacji, ale i zmieniałby znak efektu na ujemny. Z nieszczęsnej ofiary zdradzieckiej napaści Stalin stałby się (w razie ujawnienia tajemnicy) przestępcą, podłym podżegaczem wojennym. Tego nie miał w planach. Oto dlaczego pisemnych dokumentów najpewniej nie było nigdy, a bezpośredni wykonawcy najpewniej zostaliby zlikwidowani. Gdyby nawet

istniały jakieś rozkazy na piśmie, zostałyby bez wątplenia zniszczone zaraz po tym, jak plan stracił cały sens i znaczenie, czyli 22 czerwca. W sytuacji, gdy brak bezpośrednich świadectw dokumentalnych, historycy muszą analizować zawikłane strzępy informacji związanych z trzema planami Stalina (rozpocząć wojnę w 1942 roku, w końcu lata 1941 roku, 1 lipca 1941 roku) i rozpaczliwymi próbami ratowania sytuacji podjętymi wieczorem 21 czerwca 1941 roku. Niemniej jednak przedstawiona powyżej hipoteza w zasadzie umożliwia rozplątanie całego tego kłęбка.

Dlaczego po raz drugi zmieniono termin rozpoczęcia wojny? Odpowiedź na to pytanie jest całkowicie zrozumiała. Tajnych planów Hitlera Stalin nie miał wprawdzie na biurku, ale sowiecka agentura, rozpoznanie lotnicze i nasłuch radiowy śledziły wystarczająco uważnie ruchy niemieckich wojsk. Na podstawie tych informacji sporządzono programy prawdopodobnych planów przeciwnika. Aż do początku czerwca 1941 roku władze sowieckie nie sądziły, by niemiecki atak mógł nastąpić w najbliższych tygodniach. Nie dlatego, że Stalin błędnie ocenił informację wywiadu, lecz dlatego, że przy zachodniej granicy ZSRS rzeczywiście nie było ugrupowania uderzeniowego Wehrmachtu. Tak więc „*Doniesienie specjalne*” Zarządu Wywiadu Sztabu Generalnego Armii Czerwonej nr 660569 z 31 maja 1941 roku mówiło o następującym podziale sił zbrojnych Niemiec: 122–126 dywizji przeciwko Anglii, 120–122 dywizje przeciwko ZSRS, 44–48 dywizji w rezerwie. Błędne — jak teraz wiadomo — było przypuszczenie, że Wehrmacht ma tak wiele dywizji, co doprowadziło do znacznego zawyżenia liczebności niemieckich wojsk na Zachodzie. Natomiast ocena zgrupowania niemieckich wojsk przy granicach Związku Sowieckiego, nawet w takim zawyżonym o 50 procent rozmiarze (w rzeczywistości na wschodzie Niemcy mieli 84 dywizje), nie dawała jeszcze podstaw do przypuszczenia o rychłym rozpoczęciu niemieckiego uderzenia.

Według bardzo celnego, obrazowego porównania Wiktora Suworowa zarówno Hitler, jak i Stalin „*polowali*” w Europie niczym lew na sawannie: drapieżnik początkowo długo i bez hałasu podczołguje się do swojej ofiary i dopiero w ostatniej chwili rzuca się na nią z ogłuszającym, paraliżującym rykiem. Dla Hitlera momentem przejścia od stadium nieśpiesznego skradania się do ostatniego, decydującego skoku był okres 6–10 czerwca. W tych dniach Wehrmacht rozpoczął załadunek do wagonów kolejowych pancernych i

zmotoryzowanych dywizji przerzucanych na wschód. Przebazowanie Luftwaffe na lotniska na szeroką skalę zaczęło się kilka dni wcześniej.

I tak dwie najświetniejsze jednostki myśliwskie 2. Floty — Jagdgeschwader 53 i 51 — przeleciały na lotniska okupowanej Polski odpowiednio 12–14 i 13–15 czerwca 1941 roku. 10 czerwca Naczelne Dowództwo Wehrmachtu podało dowódcom armii dzień i godzinę inwazji (22 czerwca, 3.30 rano) oraz poinformowało ich o trybie powiadomienia wojsk („w razie zmiany tego terminu odpowiednia decyzja zostanie podjęta najpóźniej 18 czerwca...”)

„O 13.00 21 czerwca do wojsk zostanie nadany sygnał «Dortmund». Oznacza on, że natarcie, tak jak zaplanowano, rozpocznie się 22 czerwca i że można przystąpić do jawnego wykonywania rozkazów”.

I tym razem wywiad sowiecki (zarówno wojskowy, jak i NKGB — Ludowego Komisariatu Bezpieczeństwa Państwowego), chociaż nie dostał żadnej udokumentowanej informacji o decyzji podjętej w Berlinie, odnotował przegrupowanie niemieckich wojsk na wielką skalę. Na tej podstawie przyjęto decyzję o maksymalnym przybliżeniu terminu rozpoczęcia ofensywy Armii Czerwonej. Fatalnego błędu dopuszczono się tylko w określeniu daty rozpoczęcia natarcia, kiedy uderzenie wojsk sowieckich wyprzedzałoby atak niemiecki. Rozpoczęcie jawnej mobilizacji wyznaczono na poniedziałek 20 czerwca 1941 roku. Kiedy przyjęto taką decyzję? Z książki wejść wynika, że w czerwcu 1941 roku (przed rozpoczęciem wojny) Żukow i Timoszenko byli w gabinecie Stalina siedem razy:

3, 6, 7, 9, 11, 18 i 21 czerwca. Pierwsze trzy daty można od razu odrzucić — wtedy nie było jeszcze podstaw do rewizji planów. 9 czerwca Timoszenko i Żukow byli u Stalina dwa razy: w dzień (dla Stalina z jego nawykiem pracy po nocach było to raczej „rano”), od 16.00 do 17.00, i wieczorem. Wieczorna narada ciągnęła się bardzo długo — pięć i pół godziny. W gabinecie Stalina był także zastępca ludowego komisarza obrony marszałek Kulik, sekretarz KC WKP(b), członek Głównej Rady Wojennej Malenkow, przewodniczący Państwowego Komitetu Planowania ZSRS, zastępca przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych Wozniesiński, przewodniczący Komitetu Obrony przy Radzie Komisarzy Ludowych marszałek Woroszyłow i szef wydziału mobilizacyjno-planowego Komitetu Obrony I. Safonow. Nad czym debatowało tak wysokie gremium przez pięć godzin? Myślę, że gdyby

chodziło o nadzwyczajną zmianę planów operacyjnych, to skład uczestników narady byłby inny. Najpewniej zdecydowano o rzeczywiście szerokich i złożonych kwestiach mobilizacyjnego rozwijania przemysłu wojennego. To przypuszczenie może potwierdzać i to, że podczas obrad w gabinecie Stalina spędzili kilka godzin komisarz przemysłu lotniczego Szachurin i „komisarz od czołgów” Małyszew. 11 czerwca Timoszenko i Żukow przebywali w gabinecie Stalina zaledwie godzinę, i to w bardzo dziwnym towarzystwie.

Razem z nimi w naradzie wzięli udział: ludowy komisarz bezpieczeństwa ZSRS Mierkułow, szef Głównego Zarządu Propagandy Politycznej A. G. Zaporozec, a także dowódca okręgu Kuzniecowa i członek rady wojennej Nadbałtyckiego SOW komisarz Diborow. Co się na niej działo? Niedługi czas trwania narady i różnorodni skład uczestników nie dają podstaw do domysłów, że właśnie 11 czerwca przyjęto historyczne decyzje. Można domniemywać, że 11 czerwca odbyło się zaledwie pierwsze spośród czterech zaplanowanych spotkań instruktażowych z dowództwem okręgów zachodnich, które już się przekształciły we fronty.

Jeszcze jednym — i chyba najbardziej przekonującym — argumentem przeciwko temu, że 11 czerwca uchwalono coś superważnego, jest fakt, że po 11 czerwca wojskowi nie byli u Stalina całych sześć dni. Najpewniej uchwałę o przesunięciu daty uderzenia na Europę podjęto — po długich debatach — 18 czerwca 1941 roku. Tego dnia Timoszenko i Żukow spędzili w gabinecie Stalina przeszło cztery godziny, od 20.25 do 0.30. Niemal jednocześnie z nimi do gabinetu „Gospodarza” weszli: Mołotow (ludowy komisarz spraw zagranicznych, zastępca Stalina w Radzie Komisarzy Ludowych (RKL) i w owym czasie najbliższy jego współpracownik) oraz Malenkow (sekretarz KC, członek Głównej Rady Wojennej). To właśnie jest ten najważniejszy krąg osób, który mógł podjąć decyzję o takiej skali. Znamienne, że właśnie po 18 czerwca zaszły takie znaczące zdarzenia jak utworzenie sztabów frontów i wyprowadzenie ich na polowe punkty dowodzenia; do okręgów nadchodzą rozkazy maskowania lotnisk i doprowadzenia wojsk pierwszego rzutu do gotowości bojowej; w marynarce wojennej wprowadza się stan gotowości operacyjnej nr 2.

Decyzja o rozpoczęciu jawnej powszechnej mobilizacji od Poniedziałku 23 czerwca była logiczna. W Związku Sowieckim ośrodkiem życia było miejsce pracy. Zakład. Tam właśnie koncentrowały się „kontyngenty

rekrutacyjne”, tam też rano 22 czerwca miały się odbyć „*spontaniczne wiece*” ludzi pracy oburzonych podłą napaścią faszystowskich jastrzębi na sowieckie miasta. Na tę chwilę miały już być gotowe miliony ulotek z tekstem dekretu Prezydium Rady Najwyższej ZSRS o ogłoszeniu mobilizacji. Oglądając fotokopię jednej z takich ulotek na stronie 452 wydanej w nakładzie 500 tysięcy egzemplarzy **Encyklopedii Wielkiej Wojny Ojczyźnianej** (Moskwa 1985, pod redakcją M. M. Kozłowa), K. Zakoriecki zwrócił uwagę na datę uchwalenia dekretu. Fotokopię wydrukowano taką techniką, że szkło powiększające nie pomaga — cyfry w końcu się rozpadają na kropki. Niemniej jednak pierwsza cyfra rzeczywiście bardziej podobna jest do jedynki niż do dwójki. Ale to nie wyczerpuje zagadek ulotki o mobilizacji. Jak twierdzi Zakoriecki, „w specjalnym katalogu **Ulotki Wielkiej Wojny Ojczyźnianej** (wydanym w Moskwie w 1958 roku) nie ma wzmianki o tej ulotce. Nie ma nic o niej również w innym katalogu: **Bohaterowie i ich czyny. Sowieckie ulotki Wielkiej Wojny Ojczyźnianej** (Moskwa 1958). Sama ulotka znajduje się w *Ukraińskim Muzeum Państwowym WWO (Kijów)*, ale papier jest podejrzanie biały, zwłaszcza na tle umieszczonych obok dokumentów na mocno pożółkłym papierze”.

Nie zagłębiając się w tę na wpół kryminalną historię o zaginięciu bez śladu gigantycznego nakładu ulotek z dekretem o mobilizacji, zauważmy, że sama treść dekretu (czyli brak w jego tekście jakiegokolwiek wzmianki o rozpoczętej wojnie, o zdradzieckiej napaści Niemiec na ZSRS — o czym była już mowa w poprzednim rozdziale) dość przekonująco potwierdza wersję Zakorieckiego. Niekoniecznie musimy oglądać „*jedyneczkę*” pod mikroskopem. À propos, gdyby tekst dekretu został zatwierdzony dopiero o 16.00 22 czerwca, to wątpliwe, czy zdążono by go wydrukować w milionach egzemplarzy na rano 22 czerwca — chaos i zamieszanie ogarnęły wtedy wszystkie ogniwa maszyny państwowej, z drukarniami włącznie. Wystarczy wspomnieć bezsporny fakt, że centralna gazeta rządowa „**Izwestija**” z informacją o rozpoczęciu wojny ukazała się dopiero we wtorek 24 czerwca!

Poprzedzający dzień „*M*” 22 czerwca 1941 roku jak żaden inny pasował do wykonania ukartowanej prowokacji. Wcale nie żartuję. 22 czerwca to najdłuższy dzień w roku (najdłuższa jasna część doby). W 1941 roku wypadał on w niedzielę — dzień wolny od pracy. Bombardowanie w takich warunkach pozwalałoby zmaksymalizować liczbę ofiar wśród ludności cywilnej: ciepły,

słoneczny dzień wolny, ludzie wyspani po ciężkim tygodniu pracy wyszli na ulicę, do parków czy na skwery na spacer z dziećmi. Między jedenastą a dwunastą latem w Rosji (i na Białorusi) podwórka i ulice zapełniają się matkami z wózkami. Rozkład czasu jest następujący:

- o 11.00 bomby spadają na spokojnie odpoczywające miasto;
- o 12.00 komisarz obrony wysyła do okręgów dyrektywę składającą się z czterech słów („*przystąpić do realizacji planu osłony*”);
- w ciągu godziny rozkaz dociera do wszystkich jednostek sił powietrznych okręgów (frontów);
- w ciągu następnej godziny rozkaz otrzymują nawet w najbardziej gapiowatych sztabach i jednostkach;
- jeszcze jedna godzina na rozgrzanie silników i podwieszenie bomb.

Wynik: o 16.00 lotnictwo jest gotowe do wykonania zadań wynikających z planu osłony („*uderzyć jednocześnie na ustalone lotniska i bazy przeciwnika położone w pierwszej strefie do rubieży Wystruć, Olsztyn, Mława, Warszawa, Dęblin (...). Następnym rzutem lotnictwa bombowego uderzyć na lotniska i bazy przeciwnika położone w drugiej strefie do rubieży Królewiec, Malbork, Toruń, Łódź*”). A kiedy słońce zachodzi 22 czerwca? W europejskiej części ZSRS w rejonie Białegostoku i Lwowa ostatecznie ściemnia się nie wcześniej niż o jedenastej wieczorem. Inaczej mówiąc, sowieckie lotnictwo ma do dyspozycji co najmniej 6–7 godzin jasnego dnia. Gdy zaś przeciwnik oprzytomnieje i spróbuje kontratakować z powietrza, nadchodząca noc lepiej niż wszelkie siatki maskujące ukryje lotniska, bazy, miasteczka wojskowe, stacje kolejowe. Czyż to nie wspaniały „prezent” na początek wojny? Były możliwości techniczne tej inscenizacji: jeszcze w 1940 roku w Niemczech kupiono dwa bombowce Do 215, dwa Ju 88 i pięć wielozadaniowych Me 110, nie mówiąc już o tym, że na wysokości 5–6 km nikt oprócz specjalistów najwyższej klasy nie rozpoznałby sylwetek samolotów...

Czy w ogóle można się było obejść bez prowokacyjnej inscenizacji? Tak. Rozkaz Stalina zostałby wykonany w każdej sytuacji. Nikt, ani Timoszenko w Moskwie, ani dowódcy eskadr na pogranicznym lotnisku, nie śmiałyby zadać pytania: A po co mamy bombardować Wystruć, Olsztyn i Mławę? Na czym więc opiera się przypuszczenie o prowokacji przygotowanej i wyznaczonej na 22 czerwca?

Na najważniejszym: bacznej analizie osobowości i postrzegania rzeczywistości przez główną postać tego światowego dramatu. Tak, rozumiem, że uporczywe próby przeniknięcia do tajemnych myśli i pragnień Stalina wydadzą się może komuś próbą zastąpienia rzeczowych studiów nad tomami archiwaliów wróżeniem z fusów. Dobrze rozumiem logikę tych sprzeciwów, ale nie mogę się z nimi zgodzić właśnie dlatego, że musiałem przeczytać kilka tysięcy stron „*specjalnych teczek*” protokołów posiedzeń stalinowskiego Politbiura; właśnie dlatego, że mogłem na podstawie oryginalnych dokumentów przekonać się, że w imperium stalinowskim bez woli i zgody „*Gospodarza*” nie zdecydowano nawet o przeniesieniu pięciu frezarek z zakładu X do zakładu Y albo o zamianie podnośnika w zestawie narzędzi czołgu T-34 — właśnie dlatego uważam, że wszelkie badania polityki zagranicznej Związku Sowieckiego lat trzydziestych i czterdziestych w oderwaniu od analizy osobowości i motywów postępowania Stalina do niczego nie prowadzą.

Czy KC WKP(b) miał taką władzę, by zatwierdzić listę nazwisk dojarzek, pastuchów i ślusarzy, którzy będą się gromadzić w Moskwie na imprezie zwanej sesją Rady Najwyższej ZSRS? Oczywiście, miał. Niemniej jednak farsę „*bezpośrednich, powszechnych, tajnych*” wyborów do rad wszystkich szczebli odgrywano w Związku Sowieckim przez długie lata. Od Stalina do Gorbaczowa. Po co? Po co? Dla opinii publicznej Zachodu? Ależ skąd, kogo w krajach o rozwiniętej tradycji demokratycznej mogła oszukać taka prymitywna i ordynarna inscenizacja „*wyrażania woli narodu*” z jednym kandydatem na kartce wyborczej i niezmiennym 99,9 procent „*za*”? Tak czy owak te wybory z komiczną powagą przeprowadzono. W pełnej zgodzie z Wielką Konstytucją Stalinowską. Nasi prawnukowie zapewne po prostu nie uwierzą w coś takiego, ale my widzieliśmy to na własne oczy!

Czy Stalin mógł zniszczyć fizycznie swoich przeciwników bez sądu i dochodzenia, nie stosując tragifarsy „*jawnego procesu sądowego*”? Oczywiście, mógł. Liczni (absolutna większość ofiar Wielkiej Czystki) tak właśnie zostali zlikwidowani: bez jakiegokolwiek sądu, orzeczeniem „*trójki*” albo po prostu zamęczeni na śmierć podczas śledztwa. To fakt. Niemniej jednak odbyły się przecież jawne „*moskiewskie procesy*” lat 1936–1937, co też jest faktem. Praktycznie niewytłumaczalnym w ramach normalnej logiki ludzkiej, ale jednak jak najbardziej realnym. Stalin w jakimś celu wywłócił

najbliższych współpracowników Lenina na jawny sąd, przed którym — w obecności setek dziennikarzy, w tym również zagranicznych — przyznawali się oni do tego, że tłukli szkło i sypali je do masła ludzi pracy. Po co?

4 maja 1941 roku Politbiuro KC (z podpisem „*sekretarz KC WKP(b) — J. Stalin*”) zwróciło się do członków KC z pytaniem, czy zgadzają się, by Józef Stalin został mianowany przewodniczącym Rady Komisarzy Ludowych ZSRS. Głosowanie odbyło się metodą pisemnej okólnej deklaracji. I dopóty, dopóki 71 członków KC nie podpisało, że się zgadza, decyzja o mianowaniu Józefa Stalina szefem rządu była tylko „*projektem uchwały*”. Trudno w to uwierzyć, ale odpowiednie dokumenty zostały odtajnione i opublikowane. Po co? Po co była potrzebna ta zbędna krzątanina z pisemnym głosowaniem (przecież wszystkie te papierki wożono pocztą kurierską, z ochroną, zużywając cenną benzynę)? Stalin chciał „*naradzić się z towarzyszami*”? Ale przecież w maju 1941 roku mógł, nikogo nie pytając o radę, mianować się Imperatorem Wszechrosji, Synem Boga Ra i nowym Buddą zarazem. Taka decyzja, jedynie słuszna i na czasie, spotkałaby się z powszechną aprobatą ludzi pracy Kraju Rad.

Na wszystkie te i tysiące innych pytań jest jedna odpowiedź: bo tak mu się podobało. Stalin lubił kancelaryjny porządek. Takie miał dziwactwo. Każdy dziwaczy po swojemu. Akakij Akakijewicz lubował się w literkach z pism urzędowych, które przepisywał. Jak pamiętają ci, którzy czytali **Płaszcz** Gogola miał on swoje ulubione litery, które witał i kaligraficznie wypisywał ze szczególną radością. Wielki Stalin był strasznym potworem, nieprawdopodobną hybrydą Dżingis–chana i Akakija Akakijewicza. Stalin mordował ludzi na taką skalę, że Dżingis–chanowi coś takiego nawet się nie śniło, a przy tym rozkoszował się trafnością i biurokratyczną kształtnością swoich pomysłów. Dlatego też z równą satysfakcją tępił byłych przyjaciół i współbojowników, ale przy tym nie zapominał prosić o pozwolenie wszystkich, na razie jeszcze żywych, członków KC. Żądał, by „*swoją decyzję*” podali w formie pisemnej. I składał te papierki do swoich „*teczek specjalnych*”. Wiele mówi już sam ten termin „*teczka specjalna*” przyjęty w imperium stalinowskim na oznaczenie dokumentów przenaajwyższej tajności.

Towarzysz Stalin miał własne wyobrażenie o tym, w jakich mianowicie formach kancelaryjnych ma się wyrażać „*niezmiennie pokojowa polityka zagraniczna*”. I te wyobrażenia z bezlitosną wytrwałością wprowadzał w

życie. Wszystko ma być poprawne. Związek Sowiecki nie może napaść na Finlandię: Armia Czerwona kładzie kres prowokacjom fińskich białogwardzistów, którzy zdradziecko ostrzelali sowieckie terytorium — tak można. Ale samemu napadać — nie wolno. Rząd sowiecki może pomóc fińskim ludziom pracy, którzy powstali przeciwko krwawej bandzie Rytiego–Tannera i już utworzyli swój rząd ludowy. To można. Można pomóc temu rządowi ludowemu przenieść się do Helsinek, ale nikt nigdy nie wydał rozkazu o zagarnięciu Helsinek i okupowaniu Finlandii. Szanowny czytelniku, zapewne myślisz, że sobie kpię? Nic podobnego. Po prostu przekazuję tekst otwartego listu donosu, w którym trzech emerytowani pułkownicy i jeden komandor zwrócili się do gubernatora naszego obwodu samarskiego. Prosili, aby położyć kres działaniom falsyfikatora (czyli mnie), który ośmiela się publicznie w gazecie „**Wołzskaja Kommuna**” podawać w wątpliwość, że w listopadzie 1939 roku białogwardyjska fińska soldateska zagroziła miastu Lenina, kolebce Rewolucji. Skoro w 2004 roku znaleźli się ludzie wciąż jeszcze wierzący w grube, toporne, niedbale zmajstrowane stalinowskie fałszywki, to czego można się było spodziewać po śmiertelnie zastraszonych „*budowniczych socjalizmu*” z 1941 roku? Oto, dlaczego właśnie nie należy się dziwić, że domniemane prowokacje były szyte grubymi nićmi. To jest ten fason i sznyt, który lubił towarzysz Stalin. Ordynarnie, głupio, niechlujnie uszyte prowokacje. Podczas jawnych „*procesów moskiewskich*” 1936 roku oskarżeni przyznawali się do potajemnych spotkań z dawno zmarłymi ludźmi, które miały się rzekomo odbywać w dawno zburzonych hotelach. Szefem „*ludowego rządu demokratycznej Finlandii*” został ogłoszony sekretarz Komitetu Wykonawczego Kominternu, członek KC WKP(b) „*pan Kuusinen*”, mieszkający na stałe w Moskwie od 1918 roku. „*Jubilerska precyzja hipopotama, którą tak bardzo wyróżniał się Stalin*” (A. Sołżenicyn). I nic. Ludzie pracy na spontanicznych wiecach gorąco aprobowali i w pełni popierali...

Pierwsza część, pierwszy etap Wielkiej Inscenizacji w rzeczywistości się odbył. To nie hipoteza. To fakt. 13 czerwca 1941 roku został sporządzony, a 14 czerwca opublikowany sławetny komunikat TASS. Tak, tak, właśnie ten:

„*TASS oświadcza, że według informacji, jakie ma ZSRS, Niemcy tak samo nieugięcie przestrzegają warunków niemiecko–sowieckiego paktu o nieagresji jak Związek Sowiecki, a zatem, zdaniem kół sowieckich, pogłoski, jakoby*

Niemcy zamierzały zerwać pakt o nieagresji i przedsięwziąć napaść na ZSRS, Pozbawione są podstaw (...). ZSRS, jak to wynika z jego pokojowej polityki, przestrzegał i zamierza nadal przestrzegać warunków sowiecko–niemieckiego paktu o nieagresji, tak więc Pogłoski, jakoby ZSRS szykował się do wojny z Niemcami, są kłamliwe i prowokacyjne”.

Lektorzy radiowi wygłaszali ten tekst z towarzyszeniem stukotu kół. Dziewięćset eszelonów kolejowych (nie wagonów, ale właśnie eszelonów) z dywizjami drugiego rzutu strategicznego, łomocząc na rozjazdach, mknęło na zachód. Dywizje okręgów pogranicznych, skrycie maszerując nocą, za dnia chowając się w lasach, zmierzały ku granicy. Wszystko to zostało już odtajnione przeszło piętnaście lat temu, ale nawet i dziś niektórzy „historycy” komunikat TASS z 13 czerwca wciąż traktują jako przejaw Stalinowskiego „umiłowania pokoju”, a w najlepszym razie jako dowód „zatroskania wobec nadciągającej inwazji”.

Po pierwszym etapie prowokacji nieuchronnie musiał nastąpić drugi: bombardowanie sowieckich miast przez niemieckie samoloty. W odpowiedzi na jak najbardziej pokojowy komunikat TASS — bomby w słoneczny dzień niedzielny. Zdradzieckie i podłe zabójstwo cywilnych obywateli sowieckich. Z jednej strony śnieżnobiałe gołębki pokoju, z drugiej — czarne kruki. A dopiero potem powszechna mobilizacja. „*Powstań, kraju ogromny, wstań na śmiertelny bój! Nie będą ptaki czarne nad Ojczyznę latać!*” Ordynarnie? Zbyt nachalnie? Owszem, ale taki właśnie gust miał zamawiający prowokację. Stalin lubił częstować gości mocno doprawionymi potrawami...

Teza o wyznaczonej na 22 czerwca prowokacyjnej inscenizacji nie tylko odpowiada ogólnemu stylowi Stalinowskich „wyzwoleń” (napaść na Finlandię też poprzedzał „ostrzał pozycji wojsk sowieckich w Majnile”), ale również pozwala wyjaśnić za jednym zamachem kilka „niewy tłumaczalnych” faktów sprzed dnia wybuchu wojny.

Przede wszystkim stają się zrozumiałe z pozoru niefrasobliwe działania (poczynając od „wielkiego wieczoru teatralnego” 21 czerwca, aż do wycofania dywizji artylerii przeciwlotniczej z miejsca postoju wojsk i ogłoszenia dnia wolnego w jednostkach sił powietrznych Zachodniego SOW) z 20 i 21 czerwca. Dla osiągnięcia lepszego efektu propagandowego bomby miały spaść na spokojne miasto (miasta?) w czas pokoju. W jednostkach bojowych — dzień wolny. Dowództwo rozkoszuje się wysoką sztuką

teatralną, szeregowi uczestniczą w komsomolskich biegach na przełaj i rywalizują w siatkówce. Jesteśmy ludźmi pokoju, a nasz pociąg pancerny rdzewieje na boczniczy. I w tym sensie odwieczne zakłęcie sowieckiej historiografii „*Stalin obawiał się dać Hitlerowi pretekst do napaści*” okazuje się niemal prawdziwe! Pozostaje nam tylko odrobinę uściślić to zdanie: „*Stalin starannie aranżował sytuację, w której jego oburzenie i szlachetna pasja wyglądałyby na nieskazitelnie szczere*”.

Oprócz demonstracyjnej, lipnej strony sprawy obniżenie gotowości bojowej (przede wszystkim sił powietrznych i obrony przeciwlotniczej) w przeddzień zaplanowanej prowokacji miało też zupełnie konkretny sens funkcjonalny. Aby prowokacyjne bombardowanie odbyło się bez przeszkód, należało zmniejszyć (a w rejonie bombardowania zmniejszyć do zera) możliwość przeciwdziałania zbrojnego. I tu właśnie wypada przypomnieć zagadkowe wydarzenia, do których doszło wieczorem 21 czerwca 1941 roku w 122. pułku myśliwskim (11. Dywizja Lotnicza, Zachodni SOW):

„Dziesiątego maja nasz pułk przerzucono z Lidy na lotnisko Nowy Dwór, nieco na zachód od Grodna. Na północy granica z Niemcami była w odległości piętnastu kilometrów (sądząc z mapy, mniej więcej trzydzieści kilometrów od granicy z 1941 roku — M. S.). W jasny dzień z wysokości dwóch tysięcy metrów widzieliśmy niemieckie lotnisko wypełnione różnymi maszynami. A dwudziestego pierwszego czerwca — ściślej, wieczorem, gdy zakończyliśmy loty — otrzymaliśmy rozkaz: zdemontować z samolotów działka, kaemy i wraz z amunicją oddać do magazynu.

— Ależ to jest... Nawet strach powiedzieć... Wygląda na zdradę!

Wszyscy byli zdumieni, próbowaliśmy się dowiedzieć, o co chodzi, ale wytłumaczono nam: to jest rozkaz dowódcy okręgu, a rozkazów się nie kwestionuje”.

Ten dość krótki wywiad z Siergiejem Fiodorowiczem Dołguszynem 18 grudnia 2001 roku opublikowała główna wojskowa gazeta kraju — „**Krasnaja Zwiezda**”. S. F. Dołguszyn na początku wojny był młodym lotnikiem w 122. pułku myśliwskim, tytuł Bohatera Związku Sowieckiego otrzymał już po bitwie o Moskwę, w latach wojny odbył ponad 500 lotów bojowych, sam stracił 17 niemieckich samolotów i jeszcze 11 do spółki z innymi. Od porucznika doszedł do generała porucznika, przez wiele lat był szefem katedry taktyki w Akademii im. Nikołaja Jegorowicza Żukowskiego.

Historyk z Grodna W. Bardow łaskawie udostępnił mi nagranie swojej wielogodzinnej rozmowy z Siergiejem Fiodorowiczem. W tej obszernej opowieści o wydarzeniach 21–22 czerwca pojawiają się jeszcze bardziej zadziwiające szczegóły:

„Wieczorem w sobotę 21 czerwca 1941 roku rozbrojono nas; nakazano zdjąć działka, kaemy, wyciągnąć amunicję i złożyć w magazynach. Naradziłem się z chłopakami i zdemontowaliśmy działka i kaemy — musieliśmy. A skrzynki z nabojami zostawiliśmy (...). Samopoczucie takie, jakby się gołym zostało (...). Spytaliśmy: «Kto dał taki idiotyczny rozkaz?» A dowódca pułku Mikołajew oznajmił dowódcom eskadr, oni zaś z kolei nam: «To jest rozkaz dowódcy Białoruskiego Okręgu Wojskowego D. G. Pawłowa». Poprzedniego dnia przyjechał on na nasze lotnisko wraz z dowódcą sił powietrznych okręgu generałem majorem Kopcem. Przedtem była u nas komisja z Moskwy, przyleciała Li-2. Samolot stał sobie na lotnisku — Niemcy spalili go w pierwszej kolejności, a ci samochodem odjechali, cała ta moskiewska komisja (...). Na jej czele stał pułkownik, szef zarządu operacyjnego Sił Powietrznych”.

Z jakiegoż to powodu w jednym, niczym się nie wyróżniającym pułku myśliwskim zgromadziło się tyle najważniejszych person lotnictwa wojskowego? Informacja: zgrupowanie sowieckich sił powietrznych na zachodnim teatrze działań wojennych bezpośrednio przed wojną liczyło około 111–130 gotowych do boju pułków, w tym 52 myśliwskie (i to nie licząc kilkudziesięciu formujących się w okręgach zachodnich). Dlaczego właśnie 122. pułk ściągnął na siebie taką uwagę? I najważniejsze w jakim celu z samolotów myśliwskich zdemontowano uzbrojenie? Jeszcze jedna techniczna informacja niezbędna do zrozumienia całej absurdalności tej sytuacji: I-16 (jak każdy inny myśliwiec owych czasów) nie miał podwieszanego uzbrojenia — działka na amen mocowano w skrzydłach, a kaemy mocno przykręcano pod pokrywą silnika. Demontaż uzbrojenia żadną miarą nie wchodzi w zakres zwykłych, planowych czynności obsługi technicznej. Prócz wszystkiego innego, po powtórny zamontowaniu działka trzeba je było jeszcze przystrzelać (w określony sposób zharmonizować oś lufy z osią symetrii samolotu i celownika), a to złożona i pracochłonna operacja, wymagająca specjalnego oprzyrządowania. Przeglądu, smarowania, obsługi technicznej samego działka dokonywało się w samolocie — w tym celu w konstrukcji

skrzydła przewidziano specjalne pokrywy techniczne. 122. pułk myśliwski (stacjonujący 70 km od granicy, za którą „zasadnicza część niemieckiej armii w pasie naprzeciwko Zachodniego SOW zajęła pozycje wyjściowe”) wieczorem 21 czerwca 1941 roku właśnie rozbrojono, a nie „wyprawiono do remontu i przebrojenia”.

Zagadkowe „zdradzieckie” działania dowódcy okręgu (frontu), dowódcy lotnictwa okręgu i „komisji moskiewskiej” z szefem zarządu operacyjnego sił powietrznych Armii Czerwonej na czele stają się zupełnie logiczne, jeżeli przypuścimy, że to właśnie Grodno i jego mieszkańcy mieli się stać ofiarą krwawej gry Stalina. Tak, oczywiście, można się było ograniczyć do wielce surowego rozkazu: „22 czerwca żadnemu samolotowi 122. pułku nie wolno startować!” Ale nie wszystkie rozkazy się wykonuje, a „cena pytania” w tym wypadku była wyjątkowo wysoka. Dobrze jeszcze, gdyby bombowce zostały stracone, kiedy dolatywałyby do Grodna, przed bombardowaniem, ale co by było, gdyby — po nim? Albo gdyby uszkodzony bombowiec z fałszywymi znakami rozpoznawczymi (i w dodatku z sowiecką załogą na pokładzie) spadł na terytorium sąsiedniego państwa i został pokazany dziennikarzom całego świata? Stalin nie lubił ryzykować, toteż i tym razem kazał rozwiązać problem „z jubilerską precyzją słonia”: rozbroić stojący najbliżej Grodna pułk myśliwski i po sprawie.

Wybór Grodna jako obiektu prowokacyjnego bombardowania też wygląda dość logicznie. Logicznie z punktu widzenia skuteczności następnych działań (początku operacji osłonowej i uderzenia sowieckich sił powietrznych na „wyznaczone lotniska i bazy przeciwnika”). „Występ suwalski” był w owych dniach dosłownie naszpikowany niemieckimi samolotami, czołgami piechotą. Na wąskim pasie (mniej więcej 35 na 35 km) stłoczyły się cztery dywizje pancerne (20., 7., 12., 19.), trzy zmotoryzowane (14., 20., 18.), dziewięć dywizji piechoty (26., 6., 35., 5., 161., 28., 8., 256., 162.). Na lotniskach wokół Suwałk bazowały cztery grupy (pułki) nurkujących junkersów (przeszło połowa wszystkich Ju 87 na całym froncie wschodnim), pięć grup myśliwskich i dwie grupy szturmowe wyposażone w dwusilnikowe Me 110. Nigdzie później nie było takiej koncentracji sił. Nie było też tak dogodnego obiektu do miażdżącego pierwszego uderzenia lotnictwa sowieckiego.

Niewykluczone, że z zamierzoną prowokacyjną inscenizacją bombardowania Grodna wiąże się też śmierć dowódcy sił powietrznych Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego (Frontu Zachodniego). Według przyjętej wersji — a raczej narzuconej w epoce chruszczowskiej krytyki „*krótkowzrocznej ufności Stalina*” — generał major Iwan Iwanowicz Kopiec zastrzelił się w swoim służbowym gabinecie 22 czerwca 1941 roku. Do tej hipotezy (stała się ona aksjomatem jedynie na skutek wielokrotnego powtarzania, bo żadnych dokumentów w tej sprawie dotychczas nie opublikowano) nie pasuje to, co najważniejsze w wypadku samobójstwa: cechy osobowości zmarłego. Bohater Związku Sowieckiego, kawaler Orderu Lenina i Orderu Czerwonej Gwiazdy, uczestnik dwóch wojen (hiszpańskiej i fińskiej), trzydziestoczteroletni generał Iwan Kopiec nie był byłym pilotem myśliwskim. Latał do ostatniego dnia. Marszałek Skripko w swoich pamiętnikach nawet z pewną dezaprobatą zauważa, że dowódca lotnictwa okręgu Kopiec większą część czasu spędzał na lotniskach, na które nie przyjeżdżał zisem, lecz przylatywał myśliwcem I-16. Zresztą i tytułu Bohatera Związku Sowieckiego dowódca eskadry Kopiec nie dostał w prezencie „*na jubileusz*”, ale za męstwo, którym się wykazał na niebie Madrytu, gdzie zestrzelił sześć frankistowskich samolotów.

Dla człowieka o takim życiorysie i takim charakterze byłoby o wiele naturalniejsze, gdyby rachunki z życiem — jeżeli rzeczywiście miał zamiar je sobie odebrać — skwitował w powietrzu, w kabine samolotu bojowego, zabierając ze sobą kilku zestrzelonych wrogów. Dowódca tej rangi miał samolot myśliwski do własnej dyspozycji. Niemieckich maszyn na niebie nad Białorusią 22 czerwca było aż nadto. Szok psychiczny po nieudanym początku działań bojowych nie mógł się stać przyczyną samobójstwa po prostu dlatego, że w południe pierwszego dnia wojny nie było ani pogromu sił powietrznych okręgu, ani podobnych informacji w jego sztabie (a mit o samolotach zniszczonych na „*lotniskach pogrążonych we śnie*” pojawił się jakieś dwadzieścia lat później). Najpewniej 22 czerwca 1941 roku po dowódcę lotnictwa frontu przyjechali. Przyjechali ludzie o gorących sercach, „*przyjaciele ludu*”. Do tej wizyty mogły doprowadzić co najmniej dwie przyczyny. Pierwsza — powszechna fala aresztowań, która w końcu maja 1941 roku toczyła się po wyższej kadrze sowieckich sił powietrznych (24 czerwca aresztowano byłego ich dowódcę Ryczagowa, 26 czerwca 1941 roku

— dowódcę lotnictwa Nadbałtyckiego SOW Jonowa, 27 czerwca: szefa sztabu sił powietrznych Armii Czerwonej Wołodina, zastępcę dowódcy sił powietrznych do spraw bombowców dalekiego zasięgu Proskurowa, dowódcę sił powietrznych Kijowskiego SOW Ptuchina). Mogła być jednak i inna przyczyna, związana z nie wykonaną prowokacją na niebie nad Grodnem: do dowódcy sił powietrznych przyjechała grupa „likwidatorów” działająca wedle zatwierdzonego planu, która — nie bacząc, że wojna się zaczęła — zabijała bezpośrednich uczestników i organizatorów owej inscenizacji. Nie można stwierdzić czegokolwiek kategorycznie, ale i dziwnych zbiegów okoliczności jest w tej sprawie zbyt wiele...

Podczas gdy w Moskwie i Mińsku kończyły się ostatnie przygotowania do ogromnych wydarzeń, które miały nastąpić 22–23 czerwca, po drugiej stronie granicy ostatnie przygotowania się zaczynały. To już nie hipoteza, to tragiczny fakt.

O pierwszej po południu w sobotę 21 czerwca do sztabów jednostek Wehrmachtu nadszedł umowny sygnał „*Dortmund*” i niemieckie wojska przystąpiły do „*jawnego wykonania rozkazów*”. Tajemnica, którą poznały (wprost lub przynajmniej pośrednio) trzy miliony żołnierzy i oficerów, po kilku godzinach przestała być tajemnicą również dla dowództwa Armii Czerwonej. Wiadomo o co najmniej dwóch uciekinierach, którzy przepłynęli Bug Zachodni w pasie Kijowskiego SOW i donieśli o rychłym rozpoczęciu wojny. Trudno uwierzyć i w to, że sowiecki wywiad nie miał innych źródeł informacji w wojskach przeciwnika. Tak czy owak wieczorem 21 czerwca po przejściu przez pół tuzina instancji informacja ta dotarła i do Moskwy. W powszechnie znanej wersji G. K. Żukowa wydarzenia rozwijały się następująco:

„Wieczorem 21 czerwca zadzwonił do mnie szef sztabu Kijowskiego Okręgu Wojskowego generał porucznik M. A. Purkajew i zameldował, że u pograniczników zjawił się uciekinier — niemiecki feldfebel, który twierdzi, że niemieckie wojska zajmują rejony wyjściowe do natarcia, które rozpocznie się rano 22 czerwca. Natychmiast zameldowałem komisarzowi ludowemu i J. W. Stalinowi to, co przekazał M. A. Purkajew.

— *Za jakieś 45 minut przyjeżdżajcie z komisarzem obrony na Kreml — powiedział Stalin.*

Zabrałem ze sobą projekt dyrektywy dla wojsk i wraz z komisarzem ludowym i generałem porucznikiem N. F. Watutinem pojechalśmy na Kreml. Po drodze umówiliśmy się, że za wszelką cenę uzyskamy decyzję o doprowadzeniu wojsk do gotowości bojowej.

J. W. Stalin spotkał się z nami sam. Był wyraźnie zatroskany.

— A czy to nie niemieccy generałowie podrzucili nam tego uciekiniera, żeby sprowokować konflikt? — zapytał.

— Nie — odpowiedział S. K. Timoszenko — uważamy, że uciekinier mówi prawdę.

Tymczasem do gabinetu Stalina weszli członkowie Politbiura. Stalin krótko ich poinformował.

— Co zrobimy? — zapytał Stalin.

Odpowiedzi nie było.

— Trzeba natychmiast wydać dyrektywę o doprowadzeniu wszystkich wojsk okręgów pogranicznych do pełnej gotowości bojowej — stwierdził Stalin. — Czytajcie — powiedział.

Przeczytałem projekt dyrektywy. J. W. Stalin zauważył:

— Wydawanie takiej dyrektywy jest teraz przedwczesne, może sprawę uda się jeszcze załatwić w drodze pokojowej. Trzeba wydać krótką dyrektywę i wskazać w niej, że napaść może się rozpocząć od prowokacyjnych działań jednostek niemieckich. Wojska okręgów pogranicznych nie powinny ulegać żadnym prowokacjom, aby nie wywołać komplikacji.

Nie tracąc czasu, wraz z N. F. Watutinem wyszliśmy do drugiego pokoju i szybko sporządziliśmy projekt dyrektywy komisarza ludowego. Gdy wróciliśmy do gabinetu, poprosiliśmy o pozwolenie zameldowania. J. W. Stalin wysłuchał projektu dyrektywy i sam ją przeczytał, wnosząc pewne poprawki, i przekazał do podpisu ludowemu komisarzowi obrony”.

Jedynym dokumentem, który pozwala zweryfikować tę wersję wydarzeń, jest znowu kremlowska księga wejść i wyjść. Zapis narady nie istnieje (albo do dziś nie został odtajniony). Jeżeli chodzi o wspomnienia, to ani Stalin, ani Timoszenko, ani Watutin ich nie pozostawili. Sądząc z księgi wejść i wyjść, Timoszenko i Żukow weszli do gabinetu Stalina o 20.50. Razem z nimi o 20.50 u Stalina stawił się też marszałek Budionny (o którego obecności Żukow nie powiedział ani słowa). Watutin nie wszedł do gabinetu (zresztą niewykluczone, że przynajmniej w tym Żukow nie skłamał, i Watutin, który z

nim przyjechał, po prostu został w sekretariacie). Stalin nie był sam. W gabinecie razem z nim znajdowały się jeszcze cztery osoby: Mołotow, Beria, Malenkow i sowiecki attache morski w Niemczech, skromny komandor Woronow. Innych „członków *Politbiura*” tam nie było.

O 21.55 do gabinetu Stalina wszedł jeszcze jeden człowiek. Nie był on członkiem *Politbiura*, a zajmował w owym czasie stanowisko ludowego komisarza kontroli państwowej. Przy omawianiu tajnych zagadnień wojskowych szczególnej wagi komisarz kontroli państwowej zdecydowanie nie miał nic do roboty. Jego pracą było sprawdzanie stołówek zakładowych, przestrzeganie zasad handlu sowieckiego w sklepach wiejskich czy wilgotności ziemniaków w magazynach. Ale nazywał się on Mechlis i poczynając od 1924 roku, tuż obok Stalina pełnił niejawną funkcję szczególnie zaufanego człowieka do tajnych i brudnych spraw. O 22.20 wojskowi wyszli z gabinetu.

Na tym dostępne dla nas fakty się kończą i wracamy do hipotezy numer trzy, która z kolei opiera się na zasadniczych tezach hipotezy numer jeden, a mianowicie: Timoszenko i Żukow bardzo nisko oceniali zdolność bojową Armii Czerwonej, a Stalin — bardzo wysoko.

Opierając się na własnej ocenie zdolności bojowej Armii Czerwonej, Timoszenko i Żukow wcale nie wątpili, że rozwiniętych wzdłuż sowieckich granic 115 niemieckich dywizji wystarczy, by doszczętnie rozgromić „niezwycięzoną i legendarną”. Oto dlaczego uwierzyli nieznanemu niemieckiemu feldfeblowi. Całkowicie i od razu. W tym samym momencie ze zgrozą zapewne pomyśleli i o tym, że w pułkach lotniczych Zachodniego SOW ogłoszono dzień wolny, że jeden z dwunastu pułków myśliwskich jest rozbrojony i że artyleria przeciwlotnicza została wyprowadzona na okręgowy poligon. Całkiem wyraźnie zapachniało piwnicą, gdzie się rozstrzeliwuje. Obaj doskonale rozumieli, że „*inspiratorem i organizatorem*” zwycięstwa Stalin ogłosi siebie, winowajców rozgromienia poszuka zaś w najbliższym otoczeniu, a w tej kolejce oni są pierwsi. Toteż o 20.50 weszli do gabinetu „*Gospodarza*” z rozpaczliwą determinacją, aby „*za wszelką cenę uzyskać decyzję*”. Jaką decyzję? „*O doprowadzeniu wojsk do gotowości bojowej*”? Sześć stron wcześniej Żukow bez najmniejszego skrępowania pisze, że nie musiał zbyt długo namawiać Stalina w tej sprawie: „*Sztab Generalny o dniu napaści dowiedział się od uciekiniera dopiero 21 czerwca, o czym natychmiast*

zameldowaliśmy J. W. Stalinowi. Od razu się zgodził (podkreślenia moje — M. S.) na doprowadzenie wojsk do gotowości bojowej”. O czym więc przez półtorej godziny z takim napięciem dyskutowano? O czym mówiła dyrektywa, którą Stalin od razu odrzucił, rozkazując sporządzenie nowej, a potem coś jeszcze w niej poprawił? Jest oczywiste (to słowo do hipotezy niezbyt pasuje, ale w tym wypadku jest bardzo trafne), że spór dotyczył wprowadzenia w życie planu osłonowego i natychmiastowego ogłoszenia powszechnej mobilizacji, a nie tego ogryzka działań pod literacką nazwą „*doprowadzenie wojsk do gotowości bojowej*”.

Niemieckiemu uciekinierowi Stalin absolutnie nie uwierzył. Po pierwsze dlatego, że sam był bezgranicznym kłamcą i nie wierzył nikomu. Pierwszy i najważniejszy pomysł, jaki mu zaświtał po meldunku Timoszenki, był taki: „*Kto podesłał tego feldfebla? Po co? Czy może sam Timoszenko wszystko to zmyślił? Albo Purkajew? Przesłuchać podleca stronnictwo i rozstrzelać*”. I to, niestety, nie jest kpina, ale cytatem (co prawda o innym uciekinierze i innego dnia). Znamienne jest również to, że do dziś nic nie wiadomo o losie dwóch uciekinierów, którzy wieczorem 21 czerwca, ryzykując życie i wystawiając na straszliwą groźbę własne rodziny, usiłowali pomóc „*ojczyźnie światowego proletariatu*”. Po drugie dlatego, że taka zbieżność dat (zamierzonej przez Stalina prowokacji i rzeczywistego niemieckiego ataku) była zbyt nieprawdopodobna. Jak w kinie, ale czegoś takiego nawet w filmach nie ma. To przecież to samo, co w pojedynku trafić kulą w kulę przeciwnika. Jak to u nas mówią: czegoś takiego być nie może, bo nigdy nie może być. Po trzecie... To „*po trzecie*” może pojąć tylko ktoś, kto miał szczęście zajmować się jakimś rodzajem twórczości. Na przykład grasz na skrzypcach *Poloneza* Ogińskiego — a tu sąsiad zaczyna dziurawić ścianę wiertarką... Rozumiecie? Tak samo zareagował Stalin na propozycję Timoszenki, żeby wziąć i rozwalić piękny plan towarzysza Stalina: prowokacja u progu mobilizacji. Obawiam się, że „*Gospodarz*” posłał Timoszenkę z Żukowem w to samo miejsce, dokąd kazał Mierkułowowi posłać „*źródło ze sztabu niemieckiego lotnictwa*”. Stalin nie wierzył ludziom, ale bezwzględnie ufał swej logice, którą bardzo się chełpił.

Wieczorem 21 czerwca 1941 roku rozumował (i doszedł wreszcie do wniosku) absolutnie logicznie. Niemcy nie zakończyli koncentracji wojsk. Połowa dywizji Wehrmachtu jest jeszcze na Zachodzie. Nacierać takimi

siłami na Armię Czerwoną — to szaleństwo. Liczebność niemieckiego lotnictwa przy naszych granicach jest znikoma. Przeciw Francji, na froncie o długości 300 km, w maju 1940 roku samolotów było o 50 procent więcej! Takimi wątłymi siłami, z taką osłoną lotniczą Niemcy nie mogą nacierać. I nie będą. Mamy jeszcze w zapasie 7–10 dni. A potrzebny jest właściwie zaledwie jeden jedyny dzień, 22 czerwca. Tylko jeden dzień. Ulotki o ogłoszeniu powszechnej mobilizacji z datą 23 czerwca już się drukują...

Najmniej pojętnym mogę jeszcze raz powtórzyć:

Wersja tradycyjna: *„Stalin uwierzył w podpisy Ribbentropa na pakcie o nieagresji i dlatego nie wierzył, że Hitler napadnie na Związek Sowiecki”*.

Moja wersja: *„Stalin wierzył w potęgę Armii Czerwonej i dlatego nie uwierzył w doniesienia, że Hitler postanowił rozpocząć atak 22 czerwca, przed zakończeniem koncentracji przy granicy ZSRS takich sił armii niemieckiej, które — zdaniem Stalina — trzeba było niezbędnie skoncentrować do wojny z potężną Armią Czerwoną. Zamiar Hitlera, żeby rozpocząć atak 24, 25, 26 czerwca czy któregośkolwiek z następnych dni, już nie niepokoił Stalina”*.

Timoszenko rozumiał, że taka właśnie będzie reakcja Stalina. Dlatego też wziął z sobą Budionnego: starego towarzysza z Pierwszej Konnej, gdzie Budionny dowodził armią, a Timoszenko dywizją kawalerii. Marszałek Budionny formalnie uchodził za zastępcę Timoszenki, ale jako jeden z niewielu ocalałych „bohaterów wojny domowej” miał dostęp do „Gospodarza” i w złożonym systemie dworskich intryg ważył więcej niż ludowy komisarz obrony. Żukow natomiast był człowiekiem nowym, w oczach otoczenia Stalina — kimś o małym autorytecie (nie był nawet członkiem KC, nie mówiąc już o Politbiurze), toteż nie mógł pomóc namówić Stalina i Mołotowa. Z upływem lat Żukow doskonale się zorientował we wszystkich tych grach, toteż w swojej małostkowej ambicji wyeliminował Budionnego. Nie z życia, ale przynajmniej z najważniejszej części swoich wspomnień.

Ciężka rozmowa Stalina z wojskowymi zakończyła się tym, że Stalin nie dał zgody na wprowadzenie planu osłony, ale pozwolił wysłać do okręgów mętłą i mglistą dyrektywę nr 1. Jeszcze raz przypomnę, że w dyrektywie nr 1 figuruje zdanie: *„wszystkie jednostki doprowadzić do gotowości bojowej”*. Aczkolwiek deprecjonuje się je wielokrotnymi żądaniem, by *„nie ulegać*

provokacjom”. W tych wszystkich chytrych grach z prowokacjami i inscenizacjami marynarka wojenna nie uczestniczyła, dlatego Nikołaj Gierasimowicz Kuzniecowa po prostu przestawił ją z gotowości nr 2 na gotowość nr 1. Nikt mu tego nie zabraniał.

Skończywszy z dyskusjami, Stalin niezwykle wcześnie zakończył pracę i pojechał na bliską daczę. Spać. W możliwość napaści Niemiec nie uwierzył, a 22 czerwca miał być bardzo napięty (rano — bombardowanie Grodna, w dzień — rozkaz o rozpoczęciu operacji osłonowej, wieczorem — pierwszy nalot na niemieckie lotniska, późnym wieczorem — „*analiza lotów*” i ostatnie przygotowania do ogłoszenia mobilizacji). Przed takim dniem trzeba się było należycie wyspać.

CZEŚĆ 3. KŁĘSKA

ROZDZIAŁ 13. GŁOSY CZTERDZIESTEGO PIERWSZEGO

„W nocy na 22 czerwca czołgi przekroczyły granicę i ruszyły po drogach Litwy w kierunku na Dyneburg (...). Siedzę, wysunąwszy głowę z wjazdu, i widzę: wzdłuż naszej monstrualnie długiej kolumny, poruszającej się bez jednego wystrzału drogą na Wschód, naprzeciwko nam idą w szeregu czerwonoarmiści z bronią. Mijają nas. Nie wytrzymuję i krzyczę: «Czołem, chłopaki!» Pierwszą reakcją na moje słowa jest pytanie: «Gdzie się oddać do niewoli?!» To szła kolumna sowieckich jeńców. Szli sami, bez niemieckich konwojentów. I to z bronią”.

wspomnienia G. N. Czawczawadze, dowódcy zwiadu LVI Korpusu Pancernego Wehrmachtu

„Do dowódcy 10. Armii

Dlaczego korpus zmechanizowany nie nacierał, kto jest winien, natychmiast zaktywizujcie działania i nie wpadajcie w panikę, ale kierujcie. Trzeba bić wroga w sposób zorganizowany, a nie uciekać bez dowodzenia. Musicie wiedzieć o każdej dywizji, gdzie jest, kiedy i co robi, jakie są rezultaty. Dlaczego nie daliście zadania korpusowi zmechanizowanemu, żeby atakował? Znaleźć, gdzie są dywizje strzeleckie 49. i 113., i wyprowadzić. Naprawcie swoje błędy. Załadujcie amunicji i paliwa. Żywność bierzcie lepiej na miejscu. Zapamiętajcie: jeżeli nie będziecie działać aktywnie — Rada Wojenna nie będzie tego tolerować.

Pawłow, Fominych”

rozkaz dowódcy Frontu Zachodniego bez numeru, 23 czerwca 1941 roku

„Rano 23 czerwca ostrzelało nas niemieckie lotnictwo. Czołgi mieliśmy najnowsze, wszystkie, co do jednego, T-34 i KW. Ukrywaliśmy się w lasach. W tym czasie naszym batalionem jeszcze dowodził kapitan Rassadniew, ale od południa 23 czerwca już go nie widziałem, ponieważ kilka razy tego dnia rozbiegaliśmy się w różne strony. Wycofywaliśmy się lasami, przez bagna, bezdroża, ponieważ wszystkie drogi zajęli Niemcy. Opuściliśmy Wołkowysk, Słonim, Baranowicze... Zdaje mi się, że panikę wzniesli sami oficerowie. Na oczach żołnierzy zrywali oficerskie dystynkcje. Zabronili strzelać nawet do

samolotów. A przecież było tyle wojska, samoloty latały nad głowami... W ten sposób doszliśmy prawie do Smoleńska, a tam też zostawiliśmy mnóstwo sprzętu! Wszyscy uciekali, a sprzęt i uzbrojenie (czołgi, armaty) porzucali. Nie mogę poinformować, gdzie się toczyły walki, ponieważ prawie ich nie było. Na naszym kierunku tylko jedną noc przebijaliśmy się przez desant niemiecki. To było pod Słonimem albo pod Stołpcami”.

wspomnienia S. A. Afanasjewa.

4. Dywizja Pancerna (VI KZmech, Front Zachodni)

„Doświadczenie pierwszego dnia wojny wykazuje niezorganizowanie i beztroskę wielu dowódców, w tym też wysokiego szczebla. O zapewnieniu paliwa, amunicji zaczynają myśleć dopiero wtedy, kiedy naboje już są na wyczerpaniu, podczas gdy ogromna masa samochodów zajęta jest ewakuacją rodzin dowódców, którym w dodatku towarzyszą czerwonoarmiści, którzy powinni walczyć. Rannych z pola walki się nie ewakuuje.

nie organizuje się odpoczynku żołnierzom i oficerom. Cofając się, bydło i żywność pozostawia się wrogowi.

Rozkazuję:

1. Każdy dowódca ma obowiązek zapewnić amunicję do przyszłej walki. Zmusić zaopatrzeniowców, aby co godzina organizowali zaopatrzenie walk w amunicję. Odpowiedzialnością obarczam wyższych dowódców.

2. Wstrzymać ewakuację rodzin samochodami.

3. Wszyscy muszą pełnić obowiązki według zajmowanego stanowiska.

4. Zorganizować ewakuowanie rannych z pola walki. Ani jeden ranny dowódca i żołnierz nie może dostać się w ręce wroga”.

dyrektywa rady wojennej Frontu Zachodniego, bez numeru, 23 czerwca 1941 roku

„Jednostki 4. Armii po bandyckim nalocie przeciwnika wycofały się, stawiając opór na rubieżach obrony i do 18.00 24.6.41 r. wycofały się z resztkami korpusów do rejonu Wojtki, Mazurki i Siniawka, gdzie umocniły się do dalszego stawiania oporu. Resztki jednostek 6. i 42. Dywizji Strzeleckiej XXVIII Korpusu Strzeleckiego po wielu walkach obronnych około godz. 18.00 wycofały się do rejonu Rusinowicze, Talminowicze, gdzie doprowadzają się do porządku. Te resztki nie są zdolne do walki... Na skutek stałych, okrutnych bombardowań piechota jest zdemoralizowana i nie wykazuje uporów w obronie. Dowódcy wszystkich formacji muszą powstrzymać i odsyłać z powrotem na

front bezładnie cofające się pododdziały, a niekiedy i całe jednostki, aczkolwiek te działania, nawet mimo użycia broni, nie przyniosły pożądanego efektu”.

komunikat operacyjny nr 01 sztabu 4. Armii (Front Zachodni) z 24 czerwca 1941 roku

„Dowódca 5. Dywizji Pancерnej Frontu Północno–Zachodniego doniósł dowodzącemu wojskami 13. Armii, że 23.6.41 r. o godz. 17.00 Wilno zostało zajęte przez Niemców, którzy nadal nacierają. 5. Dywizja Pancerna poniosła wielkie straty. Część tyłów dywizji pancерnej znajduje się w Mołodecznie. Zdaniem dowódcy 9. Dywizji wojsk NKWD o godz. 19.30 Wilno nie jest zajęte, trwają walki 20 km na zachód od Wilna. Cała droga od Wilna do Mołodeczna jest zatłoczona cofającymi się oddziałami piechoty, artylerii i czołgów”.

komunikat operacyjny nr 04 sztabu Frontu Zachodniego na godz. 10.00 24 czerwca 1941 roku

„Lotnictwo przeciwnika pod koniec dnia 23.6.41 r. wraz z oddziałami pancernymi atakowało nasze jednostki na rubieży rzeki Jasiołda. Rozproszone jednostki XXVIII Korpusu Strzeleckiego i XIV Korpusu Zmechanizowanego, które nie zdążyły zorganizować obrony, nie wytrzymały tego ataku, wspieranego przez wielką liczbę samolotów, i rozpoczęły odwrót, który mimo wielu miejsc sprzyjających obronie przemienił się w chaotyczny powszechny odwrót przemieszanych jednostek za rzekę Jasiołdę (...).

Rano 24.6.41 r. armii została podporządkowana 55. Dywizja Strzelecka, która o 13.00 24.6.41 r. zastąpiła 205. Dywizję Zmotoryzowaną i zorganizowała obronę wzdłuż rzeki Szczary (...). Jednakże o godz. 14.00 24.6.41 r. po przygotowaniu artyleryjskim i lotniczym przeciwnik przeszedł do natarcia na pozycje 55. Dywizji Strzeleckiej, mając przed sobą grupę czołgów (20–30 sztuk). Jednostki dywizji nie wytrzymały i mimo wprowadzenia do walki drugich rzutów pułków, choć miały wsparcie czołgów XIV Korpusu Zmechanizowanego (około 25 maszyn), rozpoczęły odwrót i na godz. 18 wycofały się za rzekę Szczarę. Resztki niezdolnych do walki jednostek XXVIII Korpusu Strzeleckiego, 42. i 6. Dywizji Strzeleckiej, XIV Korpusu Zmechanizowanego gromadzą się w rejonach, jak podano w komunikacie operacyjnym nr 01. Brak danych o dokładnym położeniu 75. i 49. Dywizji Strzeleckiej”.

raport bojowy nr 07 sztabu 4. Armii na godz. 19.50 24 czerwca 1941 roku

„Wszędzie szli, jechali, biegli ludzie, ratując się przed Niemcami. Zamiast armii szedł tłum. Gdzieś niedaleko od Baranowicz i obok Słonima drogi z Brześcia i Białegostoku zbiegły się klinem w wielkim lesie. Było tam kilkaset (jeśli nie kilka tysięcy) samochodów. Tu po raz pierwszy zobaczyłem, jak jakiś pułkownik usiłuje powstrzymać bezsensowną ucieczkę. Stał na pace ciężarówki, krzyczał, że to hańba, że musimy zorganizować obronę. Tylko nieliczni podchodzili do samochodu, gdzie stał pułkownik, i słuchali go. Zasadnicza masa ludzi przechodziła obok, wypatrując, dokąd by uciec. Większość wojskowych nie miała broni (...). Pod wieczór 24 czerwca można już było napotkać żołnierzy przebranych w cywilne ubrania i bez broni”.

wspomnienia F. J. Czerona

„Przed południem na stanowisko dowodzenia korpusu został doprowadzony generał bez broni, w rozdartej bluzie, umordowany i opadły z sił, który opowiedział, że wykonując instrukcję sztabu frontu, na zachód od Równego zobaczył pędzące na wschód, jedna za drugą, ciężarówki z naszymi żołnierzami. Generał stwierdził panikę i postanowił zatrzymać któryś z samochodów. W końcu mu się to udało. W samochodzie siedziało około 20 ludzi. Zamiast odpowiadać na pytania, dokąd uciekają i z jakiej są jednostki, wciągnęli generała do samochodu i chórem zaczęli go przesłuchiwać. Następnie uznali go za przebrano dezertera, odebrali dokumenty, broń i od razu uchwalili wyrok śmierci. Generał sprytnie wyskoczył w biegu i stoczył się z drogi w gęste żyto (...). Również na innych odcinkach zdarzały się przypadki strzelania do osób, które starały się zatrzymać panikarzy. Uciekający z frontu postępowali tak widocznie z obawy, by ich nie zawrócono na front (...).

24 czerwca w rejonie Klewani (150 km od granicy — M. S.) zebraliśmy wielu pożałuj Boże żołnierzy, wśród których znalazło się niemało oficerów. Większość tych ludzi nie miała broni. Ku naszemu wstydowi wszyscy oni, w tym oficerowie, odpruli dystynkcje. W jednej z takich grup moją uwagę zwrócił siedzący pod sosną starszy człowiek, ze sposobu zachowania nie wyglądający na żołnierza. Obok niego siedziała młodziutka sanitariuszka. Zwracając się do siedzących, a była ich co najmniej setka, rozkazałem oficerom podejść do mnie. Nikt się nie ruszył. Podniesionym głosem powtórzyłem rozkaz po raz drugi i trzeci. Znów w odpowiedzi milczą i nie

ruszają się. Wtedy podszedłem do starszego i kazałem mu wstać. Następnie zapytałem, jaki ma stopień. Odpowiedź pułkownik wycisnął z siebie tak obojętnie, a zarazem z takim bezczelnym wyzwaniem, że jego wygląd i ton doprowadziły mnie do wybuchu. Wyciągnąłem pistolet i gotów byłem zastrzelić go na miejscu. Apatia i zuchwałość w mig opadły z pułkownika. Zrozumiał, czym to się może skończyć, padł na kolana i zaczął prosić o litość”.

Konstanty Rokossowski, Żołnierski obowiązek.

„Czwartego albo piątego dnia wojny, rano, nasza kolumna dotarła do Wołkowyska. W pobliżu miejsca naszego postoju znajdował się szpital wojskowy, w którym było wielu rannych. Prawdopodobnie personel wszystko porzucił w pośpiechu, uciekł i dlatego ze szpitala ruszyła na drogę kolumna rannych, wielu o kulach. Poruszali się z trudem. Tłum obandażowanych, okrwawionych ludzi zatrzymał się na poboczu drogi, wielu z nich błagało: «Braciszkanie, nie porzucajcie nas, zabierzcie nas ze sobą». Nikt nie reagował na błagania o pomoc.

Wtedy grupa rannych weszła na jezdnię, zagradzając ją swoimi ciałami. Kilka samochodów z cywilami z impetem wjechało w tłum. Rozległ się trzask łamanych kul, gruchot ludzkich kości, powstała krwawa miazga krzyczących i jęczących ludzi, ale nikt na nich nie zwracał uwagi, auta pędziły na wschód”.

wspomnienia J. S. Astaszkina

„Wieczorem 26 czerwca Rada Wojenna 5. Armii wysłuchała raportu szefa wydziału organizacyjno–mobilizacyjnego pułkownika Szczerbakowa i zastępcy szefa sztabu armii do spraw zaplecza pułkownika Fiedorczenki z przebiegu mobilizowania wojsk i oddziałów zaplecza 5. Armii. Ustalono, że mobilizacja wojsk i zaplecza armii, która według planu mobilizacji miała się zakończyć o godz. 24.00 25 czerwca, czyli w trzecim dniu mobilizacji (ogłoszonej od godz. 0.00 23 czerwca), faktycznie nie doszła do skutku.

Psychologiczne oddziaływanie niespodziewanej napaści przeciwnika na nastroje ludności miejscowej, szybkie przerwanie linii frontu na wschód oraz działania dywersyjne wrogiej agentury na naszym terytorium doprowadziły do tego, że zasadnicza masa szeregowych rezerwistów, pochodzących z zachodnich obwodów Ukrainy, albo nie zdążyła zjawić się w jednostce, albo nie stawiała się po mobilizacji... Nieliczny tabor samochodowy miejscowych zakładów pracy nie dotarł do wojska, ponieważ został użyty do ewakuacji na

wschód rodzin sowieckich urzędników i robotników. Kadra dowódcza i personel techniczny spośród rezerwistów, transport zmechanizowany i kierowcy z obwodów wschodnich też nie stawili się do wojska”.

A. W. Władymirski (podówczas szef wydziału operacyjnego sztabu 5. Armii), Na kierunku kijowskim.

„26 czerwca rano 8. Dywizja Pancerna zbliżyła się do Dyneburga (Daugavpils). O 8.00 rano, gdy byłem w jej sztabie otrzymałem informację, że oba wielkie mosty przez Dźwinę są w naszych rękach. Toczyła się walka o miasto położone na drugim brzegu. W nasze ręce wpadł wielki most, w ogóle nie uszkodzony (...). Przed natarciem pytano mnie, czy zamierzamy i w jakim czasie dotrzeć do Dyneburga. Odpowiedziałem że jeżeli nie uda się tego zrobić w ciągu czterech dni, to chyba nie uda się nam zdobyć mostów w stanie nie uszkodzonym. Teraz uczyniliśmy to w ciągu czterech dni i pięciu godzin, lecąc od rozpoczęcia natarcia, przelamaliśmy opór przeciwnika, pokonując 300 km w nieprzerwanym rajdzie. Sukces nie byłby chyba możliwy, gdyby wszyscy dowódcy i żołnierze nie byli ogarnięci jednym celem: zdobyć Dyneburg, i gdybyśmy się nie odważyli na wielkie ryzyko, żeby osiągnąć ten cel. Teraz odczuwaliśmy wielką satysfakcję, wjeżdżając ogromnymi mostami do miasta, którego większą część przeciwnik, niestety, spalił. Sukces ten został osiągnięty za cenę niewielu ofiar”.

Manstein, Utracone zwycięstwa.

„Sytuacja na froncie.

8. Armia, która miała ponad 40 procent strat, wycofała się na północny brzeg Dźwiny.

2. Dywizja Pancerna prawdopodobnie została rozbita. Położenia 5. Dywizji Pancерnej i 84. Dywizji Zmotoryzowanej nie znam. 11. Armia jako formacja nie istnieje. Położenia dywizji strzeleckich: 5., 33., 188., 128., 23. i 126. — nie znam.

XLI Korpus Strzelecki — stanu nie znam.

Brak mi łączności do sprawnego dowodzenia. Rada Wojenna w pełni zdaje sobie sprawę ze znaczenia rubieży Dźwiny”.

meldunek dowódcy Frontu Północno-Zachodniego.

bez numeru, 28 czerwca 1941 roku

„Obok nas nieprzerwanym strumieniem przejeżdżały samochody, traktory, wozy konne wypełnione ludźmi. Próbowaliśmy zatrzymać

wojskowych, którzy jechali i szli wraz z uciekinierami. Nikt jednak nie chciał nas słuchać. Niekiedy w odpowiedzi na nasze żądania rozlegały się strzały. Wszyscy twierdzili, że już zajęty jest Słonim, że przed nami wylądowały niemieckie desanty i osłaniają czołgi, które się wdarły, że obrona nie ma tu żadnego sensu. 28 czerwca, zaraz po wschodzie słońca, lotnictwo wroga rozpoczęło zmasowane bombardowanie brzegów Rosi i rejonu Wołkowyska. Tego dnia w istocie jako regularne formacje przestały istnieć jednostki 10. Armii. Wszystko się przemieszało i ogromną falą płynęło na wschód (...). Gdy nasza niewielka grupa 30 czerwca doszła do dawnej granicy, panował tu taki sam chaos jak na brzegach Rosi. Wszystkie zagajniki były zatłoczone samochodami, wozami konnymi, szpitalami, uciekinierami, rozproszonymi oddziałami i grupami naszych wojsk”.

wspomnienia Greczaniczenki, podówczas szefa sztabu 94. pułku kawalerii 6. Dywizji Kawalerii, Front Zachodni

„Zdradziecko porzuciliście wojska na pastwę losu i ratujecie własną skórę. Do takiej odpowiedzialnej operacji jak odwrót całej armii trzeba było sporządzić plan, wycofywać wojska od rubieży do rubieży i sprawnie kierować odwrotem każdej jednostki. Żądam, abyście natychmiast to zrobili. Grupa operacyjna sztabu ma wrócić do Mitawy i kierować odwrotem. Lewoskrzydłową 11. Dywizję Strzelecką natychmiast skierować na Jekabpils (...). Przez generała porucznika Safronowa przekazacie plan działań. Utrzymujcie łączność radiową ze sztabem frontu. Uchylacie się od łączności widocznie dlatego, że nic nie wiecie i nie chcecie wiedzieć o swoich wojskach.

28 i 29.6.41 r. kontynuujcie odwrót, zakończcie 30.6.41 r., wyprowadźcie wszystkie wojska ugrupowania. Dodajcie żołnierzom otuchy. Zachowajcie ich zdolność bojową i czekajcie w Rydze”.

dyrektywa dowódcy Frontu Północno-Zachodniego, bez numeru, 28 czerwca 1941 roku

„Melduję sytuację określającą możliwości wykonania Waszego rozkazu bojowego nr 05 z 27.6.41 r.

1. Bezpośrednio naprzeciw rzeki Berezyny nie ma dużych oddziałów przeciwnika. Na głównych szlakach komunikacyjnych działają pojedyncze oddziały pancerne poprzedzane przez pojedyncze patrole osłonowe (częściej tankietek) w sile od drużyny do plutonu. Wykonany przeze mnie zwiad, za pomocą patroli złożonych z dwóch samochodów pancernych, na Borysów,

Smolewicze i Zagorje na odcinku bliższym niż 30–40 km nie napotkał patroli przeciwnika.

2. *Garnizon, którym dysponuję do obrony rzeki Berezyny i miasta Borysów, posiada jednostkę bojową skleconą tylko ze słuchaczy szkoły pancernej (około 4000 ludzi). Pozostały skład (żołnierze i dowódcy) to zbieranina panikarzy z tyłów zdemoralizowanych z powodu opisaney powyżej sytuacji, dowódców oddziałów tyłowych poszukujących swoich żołnierzy (którzy byli w delegacjach, na urlopach, na kuracji) oraz znaczny odsetek agentów niemieckiego wywiadu i kontrwywiadu (szpiegów, dywersantów itp.), którzy się wkręcili do naszych wojsk. Wszystko to sprawia, że garnizon jest niezdolny do walki. Zdarzają się ucieczki żołnierzy i dowódców, prowokacyjne nocne paniki w postaci nocnych ostrzałów jednostek czołowych przez jednostki drugiego rzutu, jak w nocy z 25 na 26 i z 26 na 27.6.41 r., gdy były ofiary — polegli i ranni. 27.6.41 r. zdarzyła się ucieczka osoby z dowództwa posiadającej listę imienną jednego z oddziałów (...).*

3. *Brak 3. wydziału oraz trybunału (do czasu powołania ich przeze mnie osobiście). Znacznie osłabła zdolność bojowa jednostek garnizonu, i tak mało zdolnych do walki”.*

meldunek dowódcy garnizonu w Borysowie nr 03 z 28 czerwca 1941 roku

„Egzekutywa komitetu obwodowego partii w Homlu informuje Was o pewnych faktach, które zdarzyły się od początku działań wojennych i trwają obecnie.

Demoralizujące zachowanie bardzo znacznej liczby kadry dowódczej: odejście z frontu dowódców pod pretekstem towarzyszenia rodzinom ewakuowanych, gromadne ucieczki z jednostek — działa demoralizująco na ludność i sieje panikę na tyłach. 27 czerwca grupa kolchoźników z kornalińskiej rady wiejskiej zatrzymała i rozbroiła około 200–osobową grupę wojskowych, którzy opuścili lotnisko i uciekali do Homla. Kilka niewielkich grup i pojedynczych dezertersów rozbroili kolchoźnicy z rejonu Uwarowicze”.

meldunek homelskiego komitetu obwodowego do KC WKP(b) z 29 czerwca 1941 roku

„Teraz od Drohiczyzna do Łunińca i dalej na zachód do Żytkowiczy (odpowiednio 100–200–260 km na wschód od granicznego Brześcia — M. S.) stawiają opór przeciwnikowi pojedyncze jednostki, a nie jakaś zorganizowana

armia (...). Miejsce pobytu dowódcy 4. Armii dotychczas nie jest znane, nikt nie kieruje rozmieszczeniem sił, Niemcy mogą bez przeszkód wkroczyć do Łunińca, co może stworzyć kocioł dla całego kierunku pińskiego (...). Prowadzona w naszym rejonie mobilizacja nie odniosła skutku. Ludzie błąkają się bez celu, brak uzbrojenia i amunicji, by wyprawić ich na front. W mieście pełno jest dowódców i żołnierzy z Brześcia i Kobrynia, którzy nie wiedzą, co mają począć, i jadą samochodami na wschód bez jakiegokolwiek rozkazu (...). W Pińsku sami wysadzili w panice składy z amunicją artyleryjską i z paliwem, a ogłosili, że to Niemcy zniszczyli je bombami, a dowódca garnizonu i komitet obrony partii (brzeski) uciekli do nas, do Łunińca (...). Te fakty podrywają zaufanie ludności. Świadczą o jakiejś nieopisanej rozlazłości”.

telefonogram sekretarza Komitetu rejonowego z Łunińca na Białorusi do KC WKP(b) z 29 czerwca 1941 roku

„W wyniku jednodniowej walki z jednostkami pancernymi przeciwnika zbiorczy oddział generała Powietkina wycofał się na rubież rzeki Oła, ponosząc ogromne straty podczas przygotowania lotniczego i artyleryjskiego. 21. pułk drogowy w liczbie 100 osób poniósł straty i rozbiegł się po wsiach. Oddział stracił wszystkie czołgi (6), z 18 dział stracił 11, z 6 dział artylerii pułkowej stracił 2, a z 6 tankietek — 2. Bataliony podchorążych trzymały się wytrwale, poniosły duże straty, łączność z nimi przerwana. Zbiorczych batalionów wysłanych na front samochodami nie da się utrzymać, gdy tylko rozpoczyna się przygotowanie artyleryjskie i lotnicze. Dzięki osobistej ingerencji członków Rady Wojennej odwrót powstrzymano na rzece Oła. Mosty na niej zostały spalone. Nie ma pewności co do wytrwałości oddziału, bije się tylko sama artyleria i tylko ona powstrzymuje natarcie czołgów”.

meldunek dowódcy 4. Armii, bez numeru, 30 czerwca 1941 roku

„Uważamy za nadzwyczaj nieodzowne powiadomić Politbiuro KC, że sukcesom Niemców pod wieloma względami (jeśli nie całkowicie) sprzyjała panika panująca na szczytach dowództwa poszczególnych jednostek wojskowych i paniczna bezczynność organów lokalnych (...).

Od 22 czerwca nie otrzymujemy żadnych wytycznych w sprawie naszego działania. Ani sekretarz smoleńskiego obkomu, ani przewodniczący komitetu wykonawczego obwodu nie dali żadnej wskazówki czy rady i nawet nie odpowiadają na zapytania telefoniczne. Niemal jedyna dyrektywa, którą

otrzymaliśmy 27 czerwca, jest datowana 23 czerwca. W piśmie komitet wykonawczy żąda informacji o stanie cerkwi i domów modlitwy (...).

Nawet wąski krąg kierowniczy nie ma przynajmniej przybliżonych informacji o sytuacji na pobliskich frontach, prócz tego widać, że ze Smoleńska ludzie uciekają, a władze obwodowe milczą, więc trudno się zorientować i odróżnić prawdę od prowokacji (...). Jeżeli nadal każdy działacz państwowy i partyjny będzie się zajmował ewakuacją własnych rodzin, to nie będzie miał kto bronić Ojczyzny”.

list członków sztabu obrony miasta Jelnia do KC WKP(b) z 30 czerwca 1941 roku

„Wrażenie zaniedbania jest dominujące w tym kraju. Jest ono tym większe, że niezwykle dużo domów spalono (...). Stosunek ludności do tego, co się dzieje, waha się od zadziwiającej obojętności do zazwyczaj bojaźliwej ciekawości i ufności. W związku z tym, że bardzo dużo domów jest zburzonych, wielu uciekinierów porusza się ze swoim dobytkiem, ale nie stwierdzono rabunku domów. Na terytorium, które przedtem należało do Polski (czyli na tak zwanej Białorusi Zachodniej — M.S.), żołnierzy niemieckich witano z zachwytem, jako wyzwolicieli. Ale i na byłym terytorium rosyjskim zdarza się, że ludzie rzucają kwiaty i witają ich przyjaźnie. Zaufanie ludności przejawia się głównie w tym, że zakopaną żywność i inną własność odkopują, kiedy my przechodzimy, bo niemiecki żołnierz oczywiście jej nie odbierze.

Ludność ze strachu często wydaje rosyjskich maruderów, bo rzecz jasna mogą się oni utrzymać przy życiu, tylko grabiąc ludność.

Aktów sabotażu ze strony ludności w pasie korpusu nie zauważono. Przeciwnie, w tych wypadkach, gdy zastraszona ludność w ogóle ośmiela się mówić cokolwiek, wyraża wiele niezadowolenia z ustroju kolchozowego i z całego bolszewickiego panowania. Generalnie dowództwo korpusu uważa, że groźba wojny partyzanckiej z udziałem ludności jest niewielka. Na obszarach, przez które przeszliśmy, ludzie — sądząc po zachowaniu i wypowiedziach — nie sprawiają wrażenia, że są fanatycznie owładnięci jakąkolwiek ideą”.

raport generała Heidera, dowódcy IX Korpusu Armijnego (Grupa Armii „Środek”), koniec czerwca 1941 roku

„Jednostki korpusu są zdolne do walki i gotowe zniszczyć wroga. Aby działania były bardziej skuteczne, należy uwolnić jednostki korpusu od przydzielonego im składu osobowego z obwodów zachodnich, ponieważ ten

ostatni okazał się niewytrzymały w walce, wykazał zdradzieckie zamiary, zdarzały się zabójstwa kadry dowódczej. Wydanie broni przydzielonemu składowi stworzyło rezerwę bandytyzmu w rejonie działań korpusu. Zdecydowanymi działaniami należy zabezpieczyć wojska przed aktami dywersji ze strony ludności miejscowej. Niedoinformowane i chwiejne elementy na kolei dezorganizują pracę na tyłach”.

komunikat operacyjny nr 14 sztabu 5. Armii (Front Południowo–Zachodni), godz. 11.00 2 lipca 1941 roku

„Ścisłe tajne.

Państwowy Komitet Obrony. Zgodnie z wolą ludzi pracy i propozycjami organizacji samorządowych, partyjnych, związkowych oraz komsomolskich Moskwy i obwodu moskiewskiego Państwowy Komitet Obrony postanawia:

1. Zmobilizować do dywizji pospolitego ruszenia w Moskwie 200 tys. osób, a w obwodzie moskiewskim 70 tys. osób. Kierowanie mobilizacją i formowaniem powierza się dowodzącemu wojskami Moskiewskiego Okręgu Wojskowego, generałowi porucznikowi tow. Artiemiewowi (...).

4. Do kierowania mobilizacją ludzi pracy do dywizji pospolitego ruszenia i ich materialnego zabezpieczenia w każdym rejonie powołuje się nadzwyczajną trójkę na czele z pierwszym sekretarzem KR WKP(b) w składzie: rejonowy komendant uzupełnień i szef rejonowego oddziału NKWD. Nadzwyczajna trójka przeprowadza mobilizację pod kierunkiem sztabu Moskiewskiego OW, a następnie załatwia formalności mobilizacyjne za pośrednictwem rejonowej komendy uzupełnień.

5. Formowanie przeprowadza się przez mobilizację ludzi pracy w wieku od 17 do 55 roku życia. Z mobilizacji zwolnieni są objęci obowiązkiem wojskowym 1. kategorii rekruci mający w ręku powołania mobilizacyjne, jak również robotnicy i urzędnicy ludowych komisariatów: przemysłu lotniczego, uzbrojenia, amunicji, zakładów obrabiarkowych, a także robotnicy niektórych zakładów, co do których trójka uzna, że wykonują zamówienia szczególnie ważne dla obronności”.

postanowienie GKO nr 10 z 4 lipca 1941 roku

„Coraz bardziej nasilają się nastroje niepewności, panika, zamieszki, bezsensowna, niepotrzebna ewakuacja. Taka sytuacja powstała w wyniku niewłaściwych działań organów obwodowych i obkomu, a w pozostałych przypadkach — zaniechań tych organów i obkomu. Obwodowy komitet

wykonawczy rozwiązał swoje wydziały. Większość pracowników wraz z rodzinami wyjechała. Rady rejonowe też nie funkcjonują i nie pilnują porządku w mieście. Teraz w Witebsku nie ma żadnej instytucji, która by funkcjonowała. Zamknięto lub poddano samolikwidacji wszystkie instytucje, w tym sąd obwodowy, sądy ludowe, prokuraturę obwodową, obwodowy wydział zdrowia, związki zawodowe itd. (...). Strach i panika nasiliły się jeszcze przez to, że w mieście dowiedziano się, iż odpowiedzialni pracownicy instytucji obwodowych sami ewakuują swoje rodziny z majątkiem, otrzymawszy na stacji kolejowej samodzielne wagony, przy czym żony tych pracowników z NKWD, obwodowego komitetu wykonawczego, organów partyjnych i innych samowolnie porzuciły pracę (...). Tak więc na przykład opuszczone zostały telegraf, telefony, szpitale i inne instytucje (...). 3, 4, 5 — lipca wokół obwodowego komitetu wykonawczego stały tłumy kobiet w oczekiwaniu na zezwolenie i przepustki na wyjazd, a gdy odmawiano im zezwoleń, pytały: «Dlaczego wyjechali komuniści, ich żony z dziećmi i bagażem?» Wśród poszczególnych grup robotników, być może zacofanych, zaczęły się pojawiać szkodliwe nastroje i niegodne okrzyki, że uciekają komuniści, administracja i tak dalej (...).

Zostało zlikwidowane więzienie. Milicja działa kiepsko, a NKWD też likwiduje swoją pracę. Wszyscy myślą, jak by się tu samemu ewakuować, i nie zwracają uwagi na pracę własnej instytucji (...). Przewodniczący Witebskiej Rady Miejskiej Azarienko załadował do przygotowanej dla niego ciężarówki beczkę piwa, żeby oddawać się pijaństwu w drodze, tak jak to robi zazwyczaj w mieście, podczas pracy...”

meldunek towarzysza Glinki, prokuratora wojskowego garnizonu witebskiego, 5 lipca 1941 roku

„W niektórych rejonach organizacje partyjne i samorządowe wykazują wyjątkowe bezhołowie i panikę. Niektórzy szefowie rejonów wyjechali wraz z rodzinami na długo przed ewakuacją rejonów. Kadra kierownicza rejonu grodzieńskiego, nowogrodzkowołyńskiego, korosteńskiego, tarnopolskiego uciekła w panice na długo przed wycofaniem się naszych jednostek, przy czym zamiast wywozić majątek państwowy, taborem, którym dysponowała, wywoziła rzeczy osobiste. W rejonie korosteńskim w nie zamkniętych pokojach pozostawiono archiwum rejonu KP(b) i różne akta rejonowych instytucji”.

raport Michałowa, szefa zarządu propagandy politycznej Frontu Południowo–Zachodniego, 6 lipca 1941 roku

„101. Dywizja Strzelecka w nocy na 6 lipca bez szczególnego powodu, niemal przy braku przeciwnika, nie kierowana przez dowódców, opuściła broniony odcinek frontu i w panice wycofała się na wschodni brzeg rzeki Wielikaja, powodując wyrwę na odcinku 30 km. Wskutek tego pozostałe jednostki XXIV Korpusu Strzeleckiego zostały przesunięte na wschodni brzeg rzeki Wielikaja. Zbieranie jednostek, które się rozbiegły, trwa już drugą dobę, ale dywizja nie zebrała się jeszcze całkowicie”.

rozkaz dowódcy 27. Armii generała majora Bierzarina, bez numeru, 7 lipca 1941 roku

„Naczelne Dowództwo oraz Państwowy Komitet Obrony absolutnie nie są zadowolone z pracy dowództwa i sztabu Frontu Północno–Zachodniego.

Po pierwsze, dotychczas jeszcze nie zostali ukarani dowódcy, którzy nie wykonali waszych rozkazów, jak zdrajcy porzucili stanowiska i bez rozkazu wycofali się z rubieży obronnych. Jeżeli będziemy tacy liberalni wobec tchórzów, to nie damy sobie rady z obroną. Oddziały niszczycielskie do dziś u was nie funkcjonują, nie widać wyników ich pracy, a skutkiem beczynności dowódców dywizji, korpusów, armii i frontu jest to, że jednostki Frontu Północno–Zachodniego przez cały czas staczają się do tyłu.

Czas już skończyć z tą haniebną sprawą. Dowódca i członkowie rady wojennej, prokurator i szef zarządu 3. mają natychmiast wyjechać na front i na miejscu rozprawić się z tchórzami i zdrajcami”.

dyrektywa Naczelnego Dowództwa, 10 lipca 1941 roku

„Należy zauważyć, że wielu pracowników instytucji partyjnych i samorządowych porzuciło rejony na pastwę losu i ucieka wraz z ludnością, siejąc panikę. Sekretarz KR KP(b)U i przewodniczący rejonu Chmielnickiego 8.7. opuścili rejon i uciekli. 5 lipca kierownictwo rejonu januszpolskiego też uciekło w panice. 7 lipca sekretarz ułanowskiego komitetu rejonowego KP(b)U, przewodniczący rejonowego komitetu wykonawczego, prokurator, szef milicji haniebnie uciekli z rejonu. Bank Państwowy został porzucony na pastwę losu. W rejonowym wydziale łączności pozostały kosztowności, przekazy pieniężne, paczki itp.

W rejonie tym oddział milicji zostawił bez ochrony około stu karabinów”.

meldunek Michajłowa, szefa zarządu propagandy politycznej Frontu Południowo–Zachodniego, 11 lipca 1941 roku

„Wojska Frontu Północno–Zachodniego, nie zawsze stawiając właściwy opór przeciwnikowi, często porzucają pozycje, nawet nie podejmując decydującego starcia. Poszczególni panikarze i tchórze nie tylko samowolnie opuszczają front, ale i sieją panikę wśród uczciwych i wytrwałych żołnierzy. Dowódcy i komisarze polityczni w wielu przypadkach nie tylko nie udaremniają paniki, nie organizują i nie prowadzą swych jednostek do boju, ale swoim haniebnym postępowaniem niekiedy jeszcze bardziej wzmagają dezorganizację i panikę na linii frontu”.

rozkaz Woroszyłowa, głównodowodzącego Kierunku Północno–Zachodniego, nr 3 z 14 lipca 1941 roku

„Często, gdy pojawiają się na tyłach pojedynczy motocykliści albo pojedyncze czołgi czy samochody pancerne, wysocy dowódcy donoszą o okrążeniu, proszą o pomoc lub nawet o zezwolenie na odwrót (...). Czas wreszcie, by dowódcy wszystkich szczebli zrozumieli, że takie wojowanie nie jest godne dowódcy Robotniczo–Chłopskiej Armii Czerwonej.

Sztaby jednostek i formacji zamiast spokojnie i głęboko przeanalizować sytuację i właściwie informować zwierzchników, same w wielu wypadkach ulegają tym dezorganizującym doniesieniom i bez kontroli przekazują je do sztabów wyższego szczebla. Tak na przykład 15 lipca na odcinku LXV Korpusu Strzeleckiego, według doniesienia samego dowódcy korpusu.

niejednokrotnie wdzierały się i wchodziły na tyły wielkie kolumny przeciwnika, a w rzeczywistości nic takiego się nie zdarzyło. W wyniku wywołania niewiary w siebie i we własne wojska niekiedy dowódcy, wykonując rozkazy bojowe, wszelkimi sposobami spowalniają swoje działania, co faktycznie prowadzi do niewykonania rozkazów. Swoje kunktatorstwo, a raczej tchórzliwą ostrożność, często starają się tłumaczyć brakiem paliwa do pojazdów lub innymi przyczynami. Można przytoczyć wiele faktów, gdy poszczególni dowódcy z fałszywego strachu przed nieprzyjacielem proszą o zezwolenie na odwrót, motywując prośby brakiem amunicji, podczas gdy ich oddziały mają po półtorej jednostki ognia”.

dyrektywa sztabu 27. Armii (Front Północno–Zachodni), bez numeru, 19 lipca 1941 roku

„Doświadczenie wykazało, że niefortunne dowodzenie wojskami w znacznej mierze było wynikiem kiepskiego funkcjonowania łączności, a przede wszystkim wynikiem ignorowania łączności radiowej jako najskuteczniejszej formy łączności (...). Niedocenienie łączności radiowej jako podstawowego środka dowodzenia wojskami jest wynikiem zacofania naszych sztabów, niezrozumienia przez nie znaczenia łączności radiowej w ruchomych formach współczesnej walki.

Stalin, Żukow”.

rozkaz Ludowego Komisariatu Obrony nr 0203 z 23 lipca 1941 roku

„W wielu jednostkach frontu niektórzy dowódcy i komisarze polityczni brutalnie naruszają elementarne zasady dyscypliny Armii Czerwonej. Nie przestrzegają ustalonych przepisów mundurowych, na bluzach i szynelach nie mają dystynkcji.

Rozkazuję:

1. Dowódcy i komisarze wojskowi związków i jednostek zobowiążą wszystkich dowódców i komisarzy politycznych pod ich osobistą odpowiedzialnością w ciągu trzech dni do naszywania na szynele i bluzy wszystkich dystynkcji. Komisarz wojskowy Frontu Północno–Zachodniego zapewni związkom i jednostkom wszelkie niezbędne emblematy.

2. W przyszłości wszystkie osoby z kadry dowódczej, które dopuszczają się naruszeń formy ubioru, usuwają dystynkcje, traktować jak tchórzy i panikarzy hańbiących wysoką rangę dowódcy Armii Czerwonej i pociągnąć ich do surowej odpowiedzialności aż do stawiania przed trybunałem wojskowym.

3. Dowódcy i komisarze wojskowi związków i jednostek uświadomią wszystkich dowódców i oficerów politycznych, że tego rodzaju naruszenia przepisów mundurowych są absolutnie niedopuszczalne, a w stosunku do naruszających społeczność oficerów winna wykazać nietolerancję”.

rozkaz dowódcy Frontu Północno–Zachodniego generała porucznika Sobiennikowa nr 144 z 26 lipca 1941 roku

„Lokalne organy samorządowe i partyjne znajdujące się 70–100 km od linii frontu pozostają bierne (...). Ich szefowie w panice ewakuują własne rodziny, na pastwę losu pozostawiając ludność podlegającą ewakuacji (...). Większość cywilnych organizacji samorządowych i partyjnych jest całkowicie

zagubiona. Szefowie rejonów siedzą na walizkach, przestają działać i pierwsi uciekają na długo przed pojawieniem się wroga w ich rejonach.

W rejonie szpotańskim w wyniku tego, że rejonowe instytucje zostały pozbawione kierownictwa, ewakuacja przemieniła się w paniczną ucieczkę. Uciekło wielu przewodniczących kolchozów, rad wiejskich, zagarniając przy tym środki kolchozowe i społeczne. Rozbiegli się pracownicy rady miejskiej (pozostał tylko przewodniczący), uciekł rajkom Komsomołu. Wśród ludności wywołało to panikę (...).

W Zwienigorodku, gdy tylko zjawili się motocykliści wroga, rozbiegli się dosłownie wszyscy z wyjątkiem jednej dziewczyny — telegrafistki, dzięki której właśnie udało się ustalić sytuację w Zwienigorodku. Z miasta Bałta władze uciekły w panice, gdy wróg był jeszcze daleko. Sklepy pozostawiono bez żadnej opieki. W fabryce odzieżowej pozostawiono ogromne ilości uszytej bielizny żołnierskiej. Wszystko to rabowali łotry i złodzieje (...).

Bezczynność władz miejscowych, ucieczka przy pojawieniu się pierwszych pogłosek o nadchodzącym nieprzyjacielu stwarzają możliwości prowadzenia agitacji antysowieckiej. W rejonie szpotańskim podczas kopania rowów przeciwczołgowych wystąpił pewien były kulak, który otwarcie nawoływał: «Rzucicie tę robotę, przecież Hitler idzie nas wyzwolić. Wkrótce dostanę swoje 30 ha ziemi, swoje konie, krowy i resztę».

Wobec tego typu nie zastosowano żadnych represji”.

meldunek szefa zarządu politycznego Frontu Południowego nr 6194 z 6 sierpnia 1941 roku

„Naczelne Dowództwo żąda natychmiastowych informacji:

1. Czy nasze jednostki porzuciły Kijów czy nie?
2. Jeżeli wojska opuściły Kijów, to czy wysadzono mosty czy nie?
3. Skoro mosty zostały wysadzone, to kto zaręczy, że rzeczywiście je wysadzono?”

dyrektywa Naczelnego Dowództwa z 21 września 1941 roku (pełny tekst, bez skrótów i poprawek)

„Drogi Józefie Wissarionowiczu! Wy lepiej niż ja powinniście wiedzieć, że gospodarka socjalistyczna, rozwój przemysłu daleko wyprzedziły, prześcignęły świadomość ludzi (...). Tak samo jest w wojsku. Nasze uzbrojenie w niektórych dziedzinach pod względem jakości przewyższa niemieckie (pistolety maszynowe, artyleria, granaty, «katusze»). Teoretycznie, kierując

się wypowiedziami Engelsa, Lenina, Waszymi, naród nasz powinien być na początku wojny, od pierwszych jej chwil, wykazać się nadzwyczajnym męstwem, oddaniem, wytrwałością, bohaterstwem i temu podobnymi. I wykazał się. Ale nie w wielkiej mierze, lecz w masie ograniczonej.

Byłem na pierwszej linii od sierpnia 1941 r. nie tylko po prostu jako wojskowy, ale też jako pisarz, jako psycholog, jako naukowiec badający wydarzenia. Widziałem mnóstwo przykładów bohaterstwa, ale widziałem też, jak całe plutony, kompanie przechodziły na stronę Niemców, oddawały się do niewoli z bronią bez jakichkolwiek «zewnętrznych» powodów. Skoro nie było zewnętrznych, to znaczy, że były wewnętrzne. I to zmusza mnie do refleksji nad tym, co się dzieje. Tak, Józefie Wissarionowiczu! świadomość zbyt daleko pozostała w tyle za gospodarką socjalistyczną, a dotyczy to zwłaszcza kolchoźników. Robotnicy nie poddawali się Niemcom, a poddawali się, przechodzili na stronę wroga kolchoźnicy o mentalności chłopów (...). Byłem w okrążeniu. Dwa miesiące znajdowałem się na terytorium okupowanym. Przeszedłem przez kilkadziesiąt wsi obwodów orłowskiego i tulskiego, rozmawiałem z setkami kolchoźników, «okrążęńców», nosząc swoją legitymację partyjną i książeczkę wojskową. Słyszałem i widziałem, jak dusza drobnego właściciela, chłopca, w wielu ludziach brała górę, nastawiała ich przeciwko władzy sowieckiej. Z satysfakcją pospiesznie rezygnowali z kolchozów, dzielili się końmi, zabierali uprzęż, inwentarz, zbiory, doprowadzali do porządku swoje chaty, obejścia, pola (...). A dopóki istnieje chata, warzywnik, krowa, Świnia, owce, kury itd., dopóty będzie też istnieć wśród chłopów ideologia drobnego właściciela. Stąd też się bierze ich stosunek do socjalizmu, komunizmu”.

list członka WKP(b) N. Bogdanowa do J. W. Stalina

„W wielu fabrykach włókienniczych obwodu iwanowskiego ostatnio zdarzyło się maruderstwo pojedynczych grup robotników, którzy samowolnie porzucali pracę przed końcem dnia roboczego. Takie fakty zdarzyły się w trzech fabrykach rejonu wiczugskiego... w dwóch fabrykach rejonu furmanowskiego... i w niektórych innych zakładach obwodu iwanowskiego... Działacze partyjni ostatnio bali się chodzić na wydziały, ponieważ nie wiedzieli, co mają odpowiadać robotnikom na wiele pytań, na przykład dlaczego nasza armia się cofa, oddaje miasta itd. Byliśmy świadkami takich faktów. Tylko na jednym wydziale na 30–40 minut przed rozpoczęciem pracy

nocnej zmiany zebrano się ze 120 robotników, rozbili się na trzy grupy, a w każdej toczyła się ożywiona rozmowa. W jednej omawiano kwestię, z kim lepiej żyć, z władzą sowiecką czy z Hitlerem, a w innej twierdzono, że z wojny zwycięzcą wyjdzie Hitler. W trzeciej grupie oznajmiali, że nasza armia głoduje, jest goła, nie uzbrojona i że naszych czerwonoarmistów «koszą jak łą». Wśród robotników nie znalazł się ani jeden agitator, który mógłby wyjaśnić, odpowiedzieć na nurtujące ludzi pytania, dać odprawę oszczercom i zuchwalcom... Na zebraniu robotników fabryki im. Nogina robotnica Kulakowa oświadczyła: «Hitler przecież nie brał zboża na siłę, samiśmy mu dawali, a teraz nam nie dają, dla niego oszczędzają czy co?» Robotnica Łabowa powiedziała: Chodzimy głodni, nie mamy sił pracować. Władza dostaje w specjalnym sklepie, oni to mogą żyć». Pomocnik mistrza Sobolew i mistrz Kisielow oznajmili: «Jeśli nas zabiorą do wojska, to pokażemy komunistom, co to znaczy morzyć nas głodem». Robotnica przędzalni kombinatu «Bolszewik» oświadczyła komunistce Agapowej: «Boże, uchwaj od zwycięstwa władzy sowieckiej, a was, komunistów, wszystkich powywieszamy». Komsomołka Czemyzowa oznajmiła: «Żeby tylko ktoś zaczął strajk, to my poprzemy». Zwyczajne rozmowy w fabrykach, przekazywanie jeden drugiemu, że w którejś fabryce zastrajkowali i zwiększono im przydział chleba do 1 kilograma”.

**notatka służbowa pracowników działu organizacyjno–instruktorskiego
KC WKP(b), 10 września 1941 roku**

ROZDZIAŁ 14. POMÓR CZOŁGÓW 1

W ślad za głosami czterdziestego pierwszego wyraźnie słyhać głosy roku 2007: „*To nie są żadne dowody! Skąd tego ponabierałeś? Cóż to za pasja kolekcjonowania wszelkich obrzydliwości! Dlaczego autor widzi tylko negatywy? A gdzie jest bohaterska obrona twierdzy brzeskiej, gdzie czyn 28 bohaterów panfilowców...*”

Rozumiem oburzenie czytelników. Przecież ja też urodziłem się w ZSRS. Ale do przeprosin się nie kwapię. Elementarny zdrowy rozsądek podpowiada, że skoro ogromna, po zęby uzbrojona największa armia świata w ciągu kilku tygodni została rozbita, rozgromiona i odrzucona o setki kilometrów od granic zachodnich, to bohaterskie epizody działań bojowych były raczej wyjątkami na tle ogólnego katastrofalnego rozpadu. Jeżeli natomiast idzie o „*twierdzę brzeską*”, czyli Brzeski Rejon Umocniony (RU nr 62), to smutna (żeby nie powiedzieć haniebna) historia jej rozgromienia została opisana jeszcze w 1961 roku w tajnym (w momencie wydania) studium **Działania bojowe 4. Armii** napisanym przez generała pułkownika Sandałowa — byłego szefa sztabu tejże 4. Armii Frontu Zachodniego, w której pasie obrony znajdował się właśnie RU nr 62. Do 1 czerwca 1941 roku na stuosiemdziesięciokilometrowym froncie Brzeskiego Rejonu Umocnionego powstało 128 bunkrów ogniowych, a pozostałych 380 budowano. Było ich tak mało dlatego, że większa część z owych 180 kilometrów przypadała na absolutnie nieprzebyte bagna białoruskiego Polesia i węzły obronne rejonu umocnionego osłaniały jedynie rzadkie w tych miejscach możliwe do przekroczenia odcinki granicy.

Niemcy praktycznie nawet nie zauważyli istnienia Brzeskiego Rejonu Umocnionego. W doniesieniu sztabu Grupy Armii „*Środek*” (22 czerwca 1941 roku, godzina 20.30) znajdujemy tylko krótkie stwierdzenie: „*Umocnienia pograniczne zostały przerwane na odcinkach wszystkich korpusów 4. Armii*” (to jest właśnie pas obronny Brzeskiego RU). We wspomnieniach Guderiana, którego grupa pancerna w pierwszych godzinach wojny nacierała na kierunku brzeskim, nie znajdziemy ani jednej wzmianki o jakichkolwiek walkach podczas przerywania obrony Brzeskiego Rejonu Umocnionego. Bezpośredni uczestnicy zdobycia Brześcia pozostawili takie wspomnienia:

„Rano 45. batalion zwiadowczy (proszę ocenić siły wydzielone do zajęcia najważniejszego węzła drogowego — M. S.) otrzymał zadanie oczyszczenia miasta Brześcia Litewskiego, unieszkodliwienia grupy przeciwnika, znajdującej się prawdopodobnie na dworcu głównym, i zabezpieczenia obiektów w najbliższej okolicy (...). W samym mieście, wśród wstrząśniętej i wystraszonej ludności cywilnej, nie było żadnego przeciwnika. Następnie silna grupa uderzeniowa udała się do koszar, położonych na przedmieściu, gdzie według słów jednego cywila, grupa rosyjskich żołnierzy przygotowała się do obrony. Ale i ten budynek był opustoszały i tylko w jednym z pomieszczeń znaleźliśmy w szafie 150 nowiutkich zeissowskich lornetek opieczętowanych sowieckimi gwiazdami. Widocznie zapomniano je zabrać, gdy się wycofywano”.

Czy można wierzyć opowieściom „cwanych żołdaków hitlerowskich”? W tym wypadku — można. W raporcie bojowym 4. Armii nr 05 (z 22 czerwca, godzina 11.55) czytamy: *„6. DS była zmuszona o 7.00 po walkach oddać Brześć (ileż to minut trwały te „walki”... — M. S.), a rozproszone jednostki 42. DS zbierają się na rubieży Kurnieszcza Wielkie, Czerne, Chwetkowiż i doprowadzają się do porządku...”.* Co się zaś tyczy obrony samej cytadeli brzeskiej, to w swojej monografii Sandałow pisze niedwuznacznie: *„Twierdza brzeska stała się pułapką i odegrała na początku wojny fatalną rolę dla wojsk XXVIII Korpusu Strzeleckiego i całej 4. Armii (...). Duża liczba składu osobowego jednostek 4. i 42. DS pozostała w twierdzy nie dlatego, że miała zadanie jej bronić, lecz dlatego, że nie mogła z niej wyjść”.* Co jest absolutnie logiczne. Twierdzę właśnie tak się buduje, żeby do niej trudno się było dostać. Skutkiem tego z każdej twierdzy trudno wyprowadzić od razu dużo ludzi i sprzętu. Sandałow pisze, że z twierdzy brzeskiej w kierunku wschodnim prowadziła tylko jedna, północna brama, a dalej trzeba się było przeprawić przez rzekę Muchawiec, która twierdzę opasuje. I właśnie przez to ucho igielne pod gradem wrażeń pocisków usiłowały się wydostać dwie dywizje strzeleckie — bez mała 30 tysięcy ludzi. Absolutnie nielogiczna była decyzja zapędzenia do pułapki zmurszałych bastionów twierdzy brzeskiej dwóch dywizji, ale dlaczego to zrobiono, chyba nigdy nie uda się ustalić. Wynik jest znany: *„Ciężkie walki w twierdzy trwały jeszcze 7 dni, zanim 7 tysięcy ocalałych czerwonoarmistów, wygłodniałych, skrajnie wyczerpanych rozpaczliwą walką, oddało się do niewoli. Straty 45. Dywizji Piechoty*

Wehrmachtu wyniosły 482 zabitych i 1000 rannych”. Jakaż to obrona twierdzy, skoro straty nacierających są kilka razy mniejsze niż obrońców?

Niedrogo zapłacił przeciwnik również za przerwanie Brzeskiego Rejonu Umocnionego. *„Duża część składu osobowego 17. batalionu karabinów maszynowych cofała się w kierunku Wysokiego, gdzie znajdował się sztab 62. RU. W tym samym kierunku wycofywała się grupa żołnierzy 18. bat. kaemów z rejonu Brześćcia*”. Tak oto, spokojnie i melancholijnie, opisuje Sandałow masową dezercję w pierwszych godzinach wojny. Zdarza się. Na wojnie jak na wojnie. W każdej armii świata zdarzają się i dezorientacja, i panika, i ucieczki. Ale po to w armii są dowódcy, żeby w takich sytuacjach jednym dodać otuchy, innym zastrzelić, ale wyegzekwować wykonanie zadania bojowego. A co zrobił dowódca 62. Rejonu Umocnionego, gdy do jego sztabu w Wysokim przybiegły tłumy czerwonoarmistów, którzy porzucili swoje bunkry? *„Dowódca Brzeskiego RU generał major Puzyriew z częścią oddziałów, które przysły do niego do Wysokiego, zaraz pierwszego dnia wycofał się na Bielsk (40 km od granicy), a następnie dalej na wschód*”. Tak po prostu wziął i się wycofał. Pułki lotnicze Frontu Zachodniego, jak nam opowiadano, *„przebazowały się”* na głębokie tyły, żeby odebrać tam nowe samoloty. W miejsce wcześniej porzuconych na lotniskach. A cóż zamierzał *„odebrać”* na tyłach towarzyszy Puzyriew? Nowy bunkier na kółkach? Możliwe, że ktoś zadał mu takie pytanie. Ale odpowiedzi do dziś nie znamy. *„Ur. w 1890 roku. Komendant 62. RU, umarł 18 listopada 1941 roku. Danych o miejscu pochówku brak*” — oto wszystko, co komunikuje czytelnikom **„Wojenno–istoriczeskij żurnal”**. Jak, gdzie, w jakich okolicznościach umarł generał Puzyriew, dlaczego jesienią 1941 roku wciąż jeszcze występował jako *„komendant”* nie istniejącego rejonu umocnionego — wszystko to nadal kryją mroki tajemnicy państwowej. Zwierzchnik generała Puzyriewa, zastępca dowódcy Frontu Zachodniego do spraw rejonów umocnionych generał major I. P. Michajlin, zginął od przypadkowego odłamka wczesnym rankiem 23 czerwca 1941 roku. We wspomnieniach I. W. Bołdina (byłego zastępcy dowódcy Frontu Zachodniego) odnaleziono pewne szczegóły tego nieszczęśliwego wypadku: *„Wycofując się wraz z wojskami, generał major Michajlin przypadkiem dowiedział się, gdzie jestem, i przyjechał na mój punkt dowodzenia...”*

(Jenerał Michajlin nie wycofywał się „wraz z wojskiem”. Wyraźnie je wyprzedził. 23 czerwca 1941 roku punkt dowodzenia Bołdina znajdował się 15 km na północny wschód od Białegostoku, czyli ponad 100 km od granicy. Żołnierze na własnych nogach w ciągu dwóch dni tyle nie przemaszerują...

A jednak niektóre bunkry Brzeskiego Rejonu Umocnionego walczyły do końca czerwca 1941 roku. Niemcy zajęli już Białystok i Mińsk, posunęli się w kierunku Bobrujska, zaczęli forsować Berezynę, a tymczasem 3. kompania 17. batalionu fortecznego karabinów maszynowych utrzymywała cztery bunkry na brzegu Buga pod polskim miasteczkiem Siemiatycze do 30 czerwca! Betonowe sklepienia wytrzymywały wszystkie ostrzały artyleryjskie i dopiero gdy Niemcom udało się okrążyć bunkry i rozbić ich ściany ciężkimi pociskami burzącymi złamali opór garstki bohaterów...

Kończąc ze wszystkimi „żywymi obrazami”, postarajmy się teraz przejść od szczegółów do uogólnienia, od subiektywnych opinii i pojedynczych epizodów wojny do suchych i konkretnych liczb. Zaczniemy od rzeczy najprostszych. Od buchalteryjnego rachunku przedmiotów nieożywionych, ale bardzo drogich — czołgów. Było ich nie tak wiele (nie miliony, ale tysiące zaledwie), więc pewne ilościowe oceny ich wykorzystania są możliwe. Je. żeli nie we wszystkich 29 korpusach zmechanizowanych Armii Czerwonej, to przynajmniej w kilku najmocniejszych.

Na pierwszym miejscu, jeśli chodzi o sprzęt bojowy i doświadczoną kadrę dowódczą, był VI Korpus Zmechanizowany Frontu Zachodniego. Jeszcze raz przypomnijmy, że żadna z sowieckich armii pancernych, które w 1945 roku „dobiły faszystowską bestię w jej barłogu”, nie miała tyle sprzętu pancernego (1130 czołgów), ile VI Korpus w czerwcu 1941 roku. 4779 samochodów, 1042 motocykle i 294 ciągniki czyniły go niebywale zmechanizowanym (na pięciu ludzi przypadał jeden pojazd). Wskazane będzie też porównanie z przeciwnikiem. Latem 1943 roku całe niemieckie ugrupowanie pancerne na Łuku Kurskim miało 347 czołgów nowych typów (147 tygrysów oraz 200 panter). Każdy pilny uczeń powinien wiedzieć, że niemieckie dowództwo wiązało wielkie nadzieje z takim zmasowanym użyciem tych nowych czołgów. Teza ta jest niezmiennie obecna w każdym tekście poświęconym bitwie na Łuku Kurskim, którą historycy sowieccy nazwali — i do dziś nazywają — największą bitwą pancerną II wojny światowej. VI Korpus Zmechanizowany był uzbrojony w ponad 400

najnowszych czołgów KW i T-34. Zarówno ze względów technicznych (opancerzenie odporne na trafienia pociskami przeciwpancernymi podstawowych kalibrów), jak i psychologicznych (wyłonienie się z gęstwiny białoruskich lasów pięćdziesięciotonowych pancernych monstrów) spotkanie z VI Korpusem Zmechanizowanym powinno być dla niemieckiej piechoty zaskakujące i wstrząsające.

VI Korpus Zmechanizowany nie wykonał jednak żadnego z postawionych mu zadań i został całkowicie rozgromiony w niecały tydzień. Nie zachowały się niemal żadne dokumenty, na podstawie których można by odtworzyć obraz tej nieprawdopodobnej klęski (przynajmniej nie ma ich w 42 tomach **Zbioru dokumentów bojowych**). Literatura wspomnieniowa tym bardziej nie może tu być pomocna — nie miał kto napisać wspomnień. Dowódca VI Korpusu Zmechanizowanego generał major Chachilewicz zginął wraz ze swoimi żołnierzami 25 czerwca 1941 roku. Dokładne okoliczności jego śmierci do dziś nie są znane. Kilka dni później pod miasteczkiem Klepacze w rejonie słonimskim został ostrzelany samochód pancerny, którym oficerowie sztabu VI Korpusu Zmechanizowanego usiłowali wywieźć ciało poległego dowódcy. Został przy tym śmiertelnie ranny dowódca artylerii korpusu, generał major A. S. Mitrofanow. Szef sztabu korpusu pułkownik J. S. Kowal zaginął. Dowódca 4. Dywizji Pancерnej VI Korpusu generał major A. G. Potaturczew dostał się do niewoli, po wyzwoleniu z obozu koncentracyjnego w Dachau aresztowali go funkcjonariusze NKWD i zmarł w więzieniu w lipcu 1947 roku. Został zrehabilitowany pośmiertnie w 1953 roku. Dowódca 29. Dywizji Zmotoryzowanej VI Korpusu Zmechanizowanego generał major I. P. Bikzanow dostał się do niewoli, po wyzwoleniu do grudnia 1945 roku „*był poddawany specjalnemu sprawdzaniu w organach NKWD*”. W kwietniu 1950 roku przeszedł w stan spoczynku „*z powodu choroby*”. Dożył 93 lat, ale pamiętników nie opublikował. Spośród starszych dowódców VI Korpusu Zmechanizowanego udało się wyjść z okrażenia tylko dowódcy 7. Dywizji Pancерnej generałowi majorowi S. W. Borziłowowi (zginął w bitwie pod Perekopem 28 września 1941 roku). Sporządzony przezeń 4 sierpnia 1941 roku raport dla Głównego Zarządu Pancerno-Samochodowego Armii Czerwonej o działaniach bojowych 7. Dywizji Pancерnej jest, jak dotąd, jedynym dostępnym dokumentem na ten temat. Dlatego też zacytujmy go dość szczegółowo:

„Na 22 czerwca 1941 roku stan osobowy dywizji był następujący: szeregowych — 98 proc., kadry młodszych dowódców — 60 proc., kadry dowódczej — 80 proc. Część materialna: czołgi ciężkie — 51, czołgi średnie — 150, BT-5 i BT-7 — 125, T-26 — 42 (tak więc w jednej tylko dywizji Borziłowa było dwieście najnowszych czołgów T-34 i KW — M. S.). Na 22 czerwca dywizja była zaopatrzona w: amunicję 76 mm — 1 jednostka ognia, amunicję przeciwpancerną 76 mm — brak, amunicję 45 mm — 1,5 jednostki ognia, benzynę do B-70 i KB-70 — 3 tankowania, olej napędowy — 1 tankowanie (...).

22 czerwca o godz. 2 za pośrednictwem delegowanego oficera łączności otrzymaliśmy hasło do alarmu bojowego i otwarcia «czerwonej koperty». Po 10 minutach ogłoszono alarm bojowy dla jednostek dywizji i o godz. 4.30 jednostki ześrodkowały się na punkcie zbornym... O godz. 22.00 22 czerwca dywizja otrzymała rozkaz przejścia do nowego rejonu ześrodkowania — stacja Wołpa — i następane zadanie: zniszczyć dywizję pancerną, która wdarła się w rejon Białegostoku (...). Wykonując rozkaz, dywizja natknęła się na zatory, które utworzyły się na drogach z powodu chaotycznego odwrotu tyłów armii z Białegostoku. Dywizja, będąc w marszu i w rejonie koncentracji od godz. 4 do 9 i od godz. 11 do 14 22 czerwca, przez cały czas była bombardowana przez lotnictwo przeciwnika. Podczas marszu i pobytu w rejonie ześrodkowania do godz. 14 dywizja poniosła straty: uszkodzone czołgi — 63, rozbite tyły pułków (...). Dywizji pancernej przeciwnika nie było w rejonie Bielska, dzięki czemu dywizja nie została wykorzystana”.

W przekładzie z rosyjskiego na rosyjski znaczy to, że przez cały pierwszy dzień wojny dywizja była bezczynna. Na drugi dzień dowódca 10. Armii Gołubiew z powodu panicznych doniesień podwładnych skierował ją na południe, do Bielska, ale ponieważ żadnych jednostek pancernych przeciwnika w pasie 10. Armii po prostu nie było, Borziłow nie mógł ich znaleźć.

„24–25 czerwca, wykonując rozkaz dowódcy korpusu i marszałka tow. Kulika, dywizja nacierała: 14. pułk pancerny — na Stare Dubno i dalej na Grodno, 13. pułk pancerny — na Kuźnicę i dalej na Grodno z zachodu, gdzie zostały zniszczone dwa bataliony piechoty i dwie baterie artylerii przeciwnika (to wła ściwie pierwsza i jedyna wzmianka o udziale 7. Dywizji Pancernej w przeciwnatarciu korpusów zmechanizowanych Frontu Zachodniego — M. S.).

Po wykonaniu zadania (jeszcze bardzo daleko było do wykonania zadania: przejść przez Grodno do przepraw na Niemnie pod Mereczem i uderzyć na skrzydło i tyły 3. Grupy Panczernej Wehrmachtu — M. S.) jednostki dywizji skoncentrowały się w rejonie Kuźnic i Starego Dubna, przy czym straciły czołgów 18 sztuk, które splonęły i ugrzęzły w bagnach (...). W jednostkach dywizji kończyły się paliwo i smary, nie było żadnej możliwości tankowania, ponieważ brakowało beczek i magazynów czołowych, ale udało się zapewnić jedno tankowanie ze spalonych składów w Kuźnicy i Krynkach (w ogóle paliwo i smary zdobywaliśmy jak się dało).

Pod koniec dnia 25 czerwca otrzymaliśmy rozkaz dowódcy korpusu do odwrotu za rzekę Świsłocz. (Rozkaz ten, prawdopodobnie ostatni w swoim życiu, Chachilewicz wydał, wykonując polecenie dowódcy Frontu Zachodniego, Pawłowa. A ten, 25 czerwca o 16.45, działał na podstawie dyrektywy Naczelnego Dowództwa i jego przedstawiciela w sztabie Frontu Zachodniego marszałka Szaposznikowa. Szaposznikow wydał rozkaz wycofania wszystkich wojsk frontu na linię rzeki Szczary, czyli o 100–150 km na wschód od granicy. Co prawda później okazało się, że rozkaz do powszechnego odwrotu jedynie «zalegalizował» rozpoczętą bezładną ucieczkę — M. S.). Według wstępnych danych 4. Dyw. Panc. VI KZmech w nocy na 26 czerwca wycofała się za rzekę Świsłocz, w wyniku czego odkryła skrzydło 36. Dywizji Kawalerii (...). O godz. 21.00 26 czerwca jednostki 36. Dyw. Kaw. i 29. Dyw. Strzelców Zmotoryzowanych (VI KZmech) rozpoczęły bezładny odwrót. Podjąłem działania, żeby przywrócić sytuację, ale nie odniosły one skutku. Wydałem rozkaz osłaniania cofających się jednostek i w rejonie miejscowości Krynki uczyniłem drugą próbę ich zatrzymania, udało się zatrzymać 128. pułk strzelców zmotoryzowanych (Borziłow usiłuje zatrzymać nie nieprzyjacielski, ale nasz pułk z własnego VI Korpusu — M. S.) i w nocy na 27 czerwca przeprowadziłem przez Świsłocz, co było początkiem powszechnego bezładnego odwrotu (...). 29 czerwca o godz. 11.00 z resztkami sprzętu (3 maszyny) oraz oddziałem piechoty i konnicy zbliżyłem się do lasu w pobliżu Słonima, gdzie prowadziłem walkę 29 i 30 czerwca. 30 czerwca o godz. 22 ruszyliśmy z oddziałem do lasów i dalej, na pińskie bagna, na trasie Homel–Wiaźma (...). Cały sprzęt pozostał na terytorium zajęтым przez przeciwnika, od Białegostoku do Słonima. Pozostawiony sprzęt uszkodzaliśmy.

Sprzęt ten zostawiliśmy z powodu braku paliwa i smarów oraz możliwości remontu”.

Teraz nabierzmy oddechu i spróbujmy podsumować najprostsze wyniki arytmetyczne. Z początkiem działań bojowych w 7. Dywizji Pancерnej było 368 czołgów. Jeszcze przed pierwszymi nalotami dywizja opuściła miejsce stałej dyslokacji i żadnych odczuwalnych strat z powodu „naglej napaści” 22 czerwca nie odniosła. Znamienne jest jednak, że nawet 19 marca 1999 roku „**Krasnaja Zwięzda**” opisywała te wydarzenia w zwykłym dla niej duchu: „*Ogień trawił czołgi. Miotając się przez jakiś czas w bezsilnej rozpacz, niemal bezbroni (??? — M. S.) czołgiści wraz z piechotą i pogranicznikami ruszyli w drogę. Niemieccy lotnicy bezlitośnie (główna gazeta wojskowa uważa, że cofającym się przeciwnik powinien okazać litość? — M. S.) bombardowali i rozstrzeliwali ludzi z lotu nurkowego”.*

Prowadząc kontrnatarcie 24–25 czerwca, 7. Dywizja Pancerna walczyła z piechotą przeciwnika w sile jednego pułku (można domniemywać, że był to 482. pułk piechoty 256. Dywizji Piechoty Wehrmachtu, który rzeczywiście 24–25 czerwca walczył z sowieckimi czołgami w rejonie Kuźnicy), tracąc przy tym 18 czołgów; nie wszystkie zostały zniszczone przez niemiecką artylerię przeciwpancerną — kilka maszyn, jak pisze dowódca dywizji, po prostu ugrzęzło w bagnach. Borziłow w raporcie nie precyzuje, jakie mianowicie czołgi utracił. Niemniej, znając możliwości artylerii przeciwpancernej niemieckich dywizji piechoty i przydzielonych im jednostek artylerii szturmowej, uzbrojonych w krótkolufę „niedopałki” kalibru 75 mm, można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że podstawowa siła uderzeniowa dywizji — najnowsze czołgi T-34 i KW — pozostała w całości i nie uszkodzona. W drugim raporcie, z 28 lipca 1941 roku, generał Borziłow napisał: „*Gdy pojawiły się nasze czołgi, czołgi przeciwnika (w rzeczywistości były to samobieżne działa szturmowe — M. S.) nie podejmowały walki, ale cofały się w pośpiechu (...). Czołg T-34, nie mówiąc już o KW, doskonale znosi uderzenia pocisków kalibru 37 mm”.* Nawet uwzględniając, że 63 czołgi zostały utracone w marszu, rano 25 czerwca w 7. Dywizji Pancерnej powinno być jeszcze 287 maszyn. Zauważmy nawiasem, że żadna z 17 dywizji pancernych Wehrmachtu nie miała 22 czerwca 1941 roku tylu czołgów (średnio na jedną przypadają 192), nie wspominając już o ich jakości... I oto po trzech dniach odwrotu, praktycznie bez kontaktu z przeciwnikiem (zresztą

niemiecka piechota nie mogła, mimo że chciała, doścignąć cofającej się zmotoryzowanej armii), z całej 7. Dywizji Pancерnej pozostał „oddział piechoty z trzema czołgami”.

Zresztą raport Borziłowa wskazuje też obiektywną — na pierwszy rzut oka — przyczynę rozgromienia dywizji i utraty całego sprzętu: „*brak paliwa i smarów*”. Zdawałoby się, że nie ma o czym dyskutować. Nie ma paliwa, to nie ma dywizji pancерnej zdolnej do walki. Niestety, przy całym szacunku dla pamięci generała Borziłowa, nie wyciągajmy pochopnych wniosków, lecz posłużmy się kalkulatorem i własną głową. Paliwa dieslowskiego przed rozpoczęciem działań bojowych dywizja miała na jedno tankowanie, benzyny zaś na ponad trzy. Teraz przeliczmy to na kilometry. Najbardziej przestarzały z czołgów 7. Dywizji, T-26, na jednym tankowaniu mógł przejechać 170 km. Trzy tankowania to pół tysiąca kilometrów. Najpotężniejszy (50 ton stali) i najnowocześniejszy KW z pełnym bakiem przejechałby 180 km. Dwa tankowania dla napędzanego ropą KW — to 360 km. Szybkie BT i średnie T-34 raz zatankowane mogły przebyć 300 km i więcej. Praktycznie 7. Dywizja Pancerna, bezładnie krążąc po trasie Białystok–Wołpa–Sokółka–Wołkowysk–Słonim, pokonała od 22 do 29 czerwca nie więcej niż 250 km. Było zupełnie niemożliwe, żeby przy tym porzucić cały sprzęt „z braku paliwa i smarów”. Co więcej, „*występ białostocki*” był dosłownie zawałony składami paliwa i amunicji. Bezpośrednio w strefie, gdzie „*blądził*” VI Korpus Zmechanizowany, znajdowało się 12 magazynów paliw. A mianowicie: 9205 i 10 405 (Białystok), 925 i 10 385 (Bielsk), 9235 i 10 195 (Mońki), 9195 i 10 205 (Grodno), 9295 i 10 335 (Mosty), 9225 i 10 445 (Wołkowysk). Odległości między tymi składami nie przekraczały 60–80 km. Nawet dla starej „*półtoratonówki*” z cysterną to nie więcej niż dwie godziny jazdy. Czy w tych składach było paliwo? Jeszcze w latach największego zastoju „**Wojenno–istoriczeskij żurnal**” (nr 8/1966) donosił czytelnikom, że: „*29 czerwca na terytorium Białorusi, zajętych przez przeciwnika, pozostało ponad 60 magazynów okręgu, w tym 25 składów paliw (...). Ogólne straty do tego czasu wyniosły: paliw — ponad 50 000 t (50 proc. zapasów)*”. Kompletny korpus zmechanizowany na 100 km marszu potrzebował mniej niż 300 t paliwa. Na tych zapasach paliw, które pozostały na zajętych terytorium obok porzuconych czołgów, VI Korpus Zmechanizowany mógł zajechać do Władystoku i wrócić do Białegostoku. Natomiast według współczesnych

danych na terenie Zachodniego SOW znajdowały się mobilizacyjne zasoby paliw w jeszcze większej ilości — 264 tysiące ton. Chyba nie przypadkiem szef Sztabu Generalnego Wehrmachtu Franz Halder w notatce z 1 lipca zauważył, że „około jednej trzeciej zużycia paliwa zaspokajano zdobycznymi zapasami”. W liczbach absolutnych oznacza to, że Niemcy codziennie brali z teoretycznie nieznanych im i teoretycznie zniszczonych podczas odwrotu sowieckich magazynów średnio po 2900 ton paliwa. Dywizje pancerne VI Korpusu Zmechanizowanego nie potrafiły odnaleźć dziesiątej jego części, aby przynajmniej w sposób zorganizowany się wycofać. Wraz z czołgami...

Sytuacja na Froncie Południowo–Wschodnim znacznie się różniła od tego, co się działo w pierwszych tygodniach wojny na Froncie Zachodnim. Na Białorusi Niemcy, nacierając dwiema grupami pancernymi od Brześcia i Wilna na Mińsk, zdołali okrążyć większą część sił Armii Czerwonej. Rozgromienia wojsk na polu bitwy dopełnił pogrom, którego dokonał Stalin w dowództwie Frontu Zachodniego. W wyniku tego prawie nic nie pozostało z dokumentów sztabowych i dobrze poinformowanych świadków. Historyk musi więc rekonstruować wydarzenia jak paleobiolog dociekający wyglądu dinozaura na podstawie paru skamieniałych kości. Na Ukrainie Zachodniej natomiast wydarzenia toczyły się inaczej. Na całym południowym teatrze działań wojennych, od bagien Polesia do brzegów Morza Czarnego, dowództwo Wehrmachtu miało do dyspozycji jedną jedyną grupę pancerną i Niemcom nie udało się przeprowadzić wielkiej operacji okrążenia sowieckich wojsk w pierwszych dniach wojny. Nawet te korpusy zmechanizowane, które straciły niemal cały sprzęt bojowy, zdołały wycofać się na wschód, zachowując dowództwo, sztandary i dokumenty. I reakcja Stalina na klęskę Frontu Południowo–Zachodniego była niezwykle łagodna. W wyniku tego historycy dysponują dokładnymi, nieraz kilkudziesięciostronicowymi, raportami o działaniach bojowych korpusów zmechanizowanych i licznymi wspomnieniami uczestników zdarzeń. Słowem — mają materiał do pracy.

Zauważmy od razu, że wszystkie liczby dotyczące przedwojennego stanu związków pancernych Armii Czerwonej należy traktować tylko jako orientacyjne. Mało było porządku w tych papierach. Na przykład przytoczona poniżej liczba czołgów VIII Korpusu Zmechanizowanego została podana na podstawie solidnej monografii. We wspomnieniach byłego dowódcy VIII Korpusu Zmechanizowanego generała Riabyszewa znajduje się liczba 932;

według danych Kijowskiego Muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej w składzie tego korpusu było 813 czołgów, a w znanej najwcześniej jawnej publikacji o liczebności sowieckich korpusów zmechanizowanych („*Wojenno–istoriczeskij żurnal*” 4/1989) figuruje 858... To samo dotyczy innych korpusów.

Przypomnijmy raz jeszcze przedwojenne ugrupowania wojsk Pancernych Kijowskiego SOW (Frontu Południowo–Zachodniego). W pierwszym rzucie frontu (armie: 5., 6., 26., 12.) w odległości 70–130 km od granicy państwa rozwijały się (z północy południe) następujące korpusy zmechanizowane:

	rejon dyslokacji	czołgi ogółem	w tym KW i T–34	samochody pancerne	samochody	ciągniki
XX KZmech	Włodzimierz Wołyński	712	31	82/78	1226	114
XV KZmech	Brody– Krzemieniec	749	136	160/94	2035	165
IV KZmech	Lwów	979	414	175/89	2854	274
VIII KZmech	Drohobycz– Stryj	899	169	172/87	3237	359
XVI KZmech	Stanisławów– Czerniowce	478	4	118/71	1777	193

Uwaga: samochody pancerne: pierwsza liczba — ogółem; druga — w tym BA–10 — uzbrojone w armatę.

Nawet gdyby ta tabela była jedynym źródłem informacji na ten temat, to i ona starczyłaby do wyciągnięcia wniosku o jednoznacznie ofensywnych planach sowieckiego dowództwa. Jest zupełnie oczywiste, że na samym szpicu „*występu lwowskiego*” stało potężne ugrupowanie uderzeniowe złożone z trzech korpusów (którego podstawą był IV Korpus Zmechanizowany, pod względem liczby najnowszych czołgów równy wszystkim pozostałym korpusom łącznie).

Równie oczywiste jest też to, że na najgroźniejszych kierunkach — przy północnej i południowej podstawie „*występu*” — rozwinięto znacznie słabsze korpusy zmechanizowane (XX i XVI). Warto również odnotować, że liczba ciągników we wszystkich wymienionych korpusach znacznie przewyższała etatową liczbę dział korpusu zmechanizowanego (24 armaty kalibru 76 mm i 76 haubic kalibru 122 mm i 152 mm). A przecież same czołgi KW i T–34 z

ich pięćsetkowym silnikiem wysokoprężnym mogłyby niczym piórko holować dywizyjną „trzycałówkę” (1,5 tony) lub haubicę 122 mm (2,5 tony). W drugim rzucie szyku operacyjnego Frontu Południowo-Zachodniego znajdowały się jeszcze trzy korpusy zmechanizowane (IX, XIX i XXIV) z około 1000 czołgów, co prawda znacznie słabszych (lekkie T-26 i BT), a w XIX Korpusie — również uzbrojone w kaemy 152 pływające tankietki T-37 i T-38, których wykorzystanie jako czołgów liniowych było sprzeczne z wszelkimi normami.

Trzeba również powiedzieć parę słów o siłach pancernych przeciwnika. W skład Grupy Armii „Południe” wchodziła 1. Grupa Pancerna Wehrmachtu licząca trzy korpusy pancerne (III, XLVIII i XIV). Łącznie — pięć dywizji pancernych, które na początku działań bojowych miały 728 czołgów, w tym 100 „ciężkich” PzKpfw IV i 255 „średnich” PzKpfw III z armatą kalibru 50 mm. Faktycznie XIV Korpus Pancerny wraz z wchodzącą w jego skład 9. Dywizją Pancerną zjawił się na terytorium sowieckim dopiero 27–28 czerwca. Tak więc w pierwszych dniach wojny na całym południowym teatrze działań wojennych były cztery niemieckie dywizje pancerne, które miały nie więcej niż 600 czołgów (przy uwzględnieniu dział szturmowych, samobieżnych armat przeciwpancernych na podwoziu czołgów lekkich i zdobywczych czołgów francuskich Wehrmacht mógł ich tam zgromadzić około 700). Każdy z „trzech siłaczy” (XV, IV i VIII Korpus Zmechanizowany) górował nad całą 1. Grupą Pancerną Wehrmachtu pod względem liczby czołgów i znacznie ją przewyższał, gdy chodzi o ich wartość bojową. To tylko w wypracowaniach sowieckich „historyków” istniało sławetne „dwuletnie doświadczenie w prowadzeniu nowoczesnej wojny” rzekomo nagromadzone przez niemieckich czołgistów. Spośród pięciu dywizji pancernych 1. Grupy Pancernej w kampanii polskiej nie uczestniczyła żadna, w uderzeniu na Francję — tylko dwie (9. i 11.), 14. Dywizja Pancerna przed „Barbarossą” zdążyła powalczyć tydzień w Jugosławii, 13. i 16. Dywizja Pancerna (utworzone w październiku 1940 roku z dywizji piechoty) przed 22 czerwca 1941 roku nie brały jakiegokolwiek udziału w działaniach bojowych.

1. Grupa Pancerna uczyniła wiele „nieszczęść”. Rozgromiła i odrzuciła o kilkaset kilometrów od granicy korpusy strzeleckie i zmechanizowane Frontu Południowo-Zachodniego, przerwała linię umocnień na dawnej granicy i w połowie lipca dotarła do Kijowa i Białej Cerkwi. Następnie niemieckie

dywizje pancerne zrobiły zwrot o 90 stopni i runęły na południe Ukrainy, na tyły bezładnie cofających się jednostek 6. i 12. Armii, które to armie (a ściślej ich resztki) zostały okrążone w rejonie Humania i się poddały. Do niewoli dostało się około stu tysięcy czerwonoarmistów, łącznie z dowódcą 12. Armii generałem majorem Poniedielinem i dowódcą 6. Armii generałem porucznikiem Muzyczenką. Na początku września 1. Grupa Pancerna sforsowała Dniepr w rejonie Krzemieńczuka i skierowała się na północ, wychodząc naprzeciw nacierającej przez Desnę 2. Grupie Pancерnej.

15 września niemieckie jednostki pancerne połączyły się w rejonie Łubnie–Łochwica (170 km na wschód od Kijowa), okrążając 21., 5., 26. i 38. Armię. W gigantycznym worku kijowskim do niewoli niemieckiej, według komunikatu dowództwa Wehrmachtu, dostało się przeszło 600 tysięcy ludzi. Nie poprzestając na tym, co osiągnęła, 1. Grupa Pancerna znów skręciła, tym razem o 180 stopni i, praktycznie bez pauzy operacyjnej, 24 września rozpoczęła natarcie na południe, w stronę Morza Azowskiego. Przesunawszy się o 450 km w ciągu 15 dni, Niemcy w rejonie Melitopola okrążyli i wzięli do niewoli jeszcze 100 tysięcy żołnierzy. Następnie, skręciwszy o 90 stopni, przebyli 300 km na wschód i do 21 listopada 1941 roku zajęli Taganrog. Łącznie pokonali ponad półtora tysiąca kilometrów (nie licząc niezbędnego w działaniach bojowych manewrowania) po „*przeciwpancernych*” sowieckich drogach, na czołgach o wąskich gąsienicach i ze słabowitymi silnikami benzynowymi.

W połowie tej „*wielkiej wyprawy*” (w końcu sierpnia i pierwszych dniach września) bezpowrotne straty czołgów w 1. Grupie Pancерnej wyniosły: 33 PzKpfw IV, 101 PzKpfw III, 37 lekkich PzKpfw II, 12 dowódczych PzBfWg. Razem — 183 czołgi w ciągu dwumiesięcznych walk. Prócz tego znaczna liczba czołgów została uszkodzona i tymczasowo wycofana z jednostek. W wymienionym okresie 1. Grupie Pancерnej w wyniku uszkodzeń ubyło 198 czołgów (ogółem maszyn trafionych i naprawionych w ciągu dwóch miesięcy było, ma się rozumieć, jeszcze więcej). Tak więc liczba czołgów gotowych do walki w 1. Grupie Pancерnej do początku września zmniejszyła się przeszło dwukrotnie, do 370. Przyjmując te liczby do wiadomości jako podstawę porównawczą, przystąpmy teraz do analizy strat trzech najsilniejszych, uzbrojonych w setki najnowszych czołgów, korpusów zmechanizowanych Frontu Południowo–Zachodniego.

Zacznijmy od najpotężniejszego IV Korpusu Zmechanizowanego. W jego skład wchodziły, zgodnie z planem, trzy dywizje: dwie pancerne (8. i 32.) i jedna zmotoryzowana (81.). W poniższej tabeli podana została liczba czołgów, w które na początku działań bojowych uzbrojone były te dywizje (nie licząc pływających tankietek T-37 i T-38):

	KW	T-34	T-28	BT	T-26	razem
8. Dywizja Pancerna	50	140	68	31	36	325
32. Dywizja Pancerna	49	173	0	31	70	323
81. Dywizja Zmotoryzowana	0	0	0	270	0	270
ogółem	99	313	68	332	106	918

Najbardziej zdumiewającą liczbą w tej tabeli jest numer dywizji, która pośród wszystkich dywizji Frontu Południowo-Zachodniego miała najwięcej czołgów nowych typów. 32. Pancerna była dywizją nową — zaczęła się formować w kwietniu 1941 roku, w wyniku zagadkowej decyzji o utworzeniu dwudziestu nowych korpusów zmechanizowanych. Z IV Korpusu, który nie zaliczał się do „noworodków”, przekazano do jednego z nowych korpusów (XV Zmechanizowanego) kompletną i dobrze wyszkoloną 10. Dywizję Pancerną, a na jej miejsce dostał on właśnie 32. Dywizję. Jak napisał w raporcie z 2 sierpnia 1941 roku dowódca 32. Dywizji Pancerniej pułkownik Puszkina (zginął w randze generała porucznika wojsk pancernych 11 marca 1944 roku): *„Stan osobowy szeregowych pochodził w zasadzie z kwietniowego i majowego poboru 1941 roku. Z powodu nieskompletowania kadry dowódczej i krótkiego okresu szkolenia sztaby jednostek nie zostały sformowane Przygotowanie bojowe przyspieszono. Brak było podręczników i pomocy naukowych. W celu przyspieszenia szkolenia załóg zatrudniono specjalne brygady robotników i inżynierów z zakładów produkujących czołgi (...). 32. pułk artylerii haubic nie zdążył przeprowadzić ani jednego strzelania z dział. Składu osobowego nie przygotowano do strzelania w warunkach polowych. Niewystarczające było techniczne wyszkolenie składu osobowego, zwłaszcza kierowców”*.

W rezultacie 32. Dywizja Pancerna na początku działań bojowych dysponowała rekordową liczbą najnowszych czołgów, na których miały wojować, mówiąc kolokwialnie, „zielone szczawiki” — mimo że w Armii Czerwonej służyły tysiące czołgistów z doświadczeniem bojowym z Hiszpanii, znad Chałchyn-gołu i z Finlandii. Dziwną tę dysproporcję powiększał dotkliwy w dywizji niedostatek samochodów i ciągników. Z

łącznej liczby 2854 samochodów IV Korpusu Zmechanizowanego 32. Pancernej przydzielono tylko 420 pojazdów, a spośród 274 ciągników — zaledwie 24. Trudno w to uwierzyć, ale właśnie takie liczby figurują w raporcie dowódcy dywizji.

Według przedwojennych planów IV Korpus Zmechanizowany miał działać na kierunku głównego uderzenia, nacierając w składzie „*armii konno-zmechanizowanej*” z rejonu Żółkiewka w stronę „*z zadaniem wkroczenia do rejonu Kraśnika, Lublina i we współdziałaniu z 5., 6. i 19. Armią oraz lotnictwem frontu zniszczyć lubelskie zgrupowanie przeciwnika, a równocześnie częścią sił zdobyć zachodni brzeg Wisły pod Puławami, Solcem i Annopolem*”. Praktycznie takie samo zadanie postawiono wojskom Frontu Południowo-Zachodniego w sławetnej dyrektywie nr 3 (wysłanej do sztabów frontów 22 czerwca 1941 roku o 21.15): „*Armie Frontu Południowo-Zachodniego, mocno trzymając granicę państwa z Węgrami, koncentrycznymi uderzeniami w ogólnym kierunku na Lublin siłami 5. i 6. Armii, co najmniej pięcioma korpusami zmechanizowanymi i całym lotnictwem frontu, okrążają i niszczą zgrupowanie przeciwnika nacierające na froncie Włodzimierz Wołyński, Krystynopol i do końca dnia 24.6 zdobywają rejon Lublina*”.

Zauważmy nawiasem, że w porównaniu z przedwojennymi planami dyrektywa nr 3 była jeszcze dokumentem ostrożnym, umiarkowanym i powściągliwym, ponieważ zakładała zadanie tylko jednego ciosu (na Lublin), a nie trzech (na Kraków-Katowice, Sandomierz-Kielce oraz Lublin) przewidzianych w „*Opiniach o planie rozwinięcia strategicznego*” z maja 1941 roku. Wszystkie te plany z chwilą rozpoczęcia prawdziwej wojny utrzymały się zaledwie kilka godzin. Już w nocy z 22 na 23 czerwca na stanowisku dowodzenia Frontu Południowo-Zachodniego w Tarnopolu, przy udziale szefa Sztabu Generalnego, Żukowa (jednego z tych, co podpisywali dyrektywę nr 3), który przybył z Moskwy, zostały podjęte zasadniczo odmienne decyzje.

Sowieccy generałowie zrezygnowali z zamiaru narzucenia przeciwnikowi własnych reguł gry i dobrowolnie oddali mu inicjatywę.

Postanowiono zaniechać głębokiej operacji ofensywnej (której teoretyczne opracowanie wszystkie grube księgi podają jako przykład najwyższego poziomu sowieckiej nauki wojennej) na korzyść pośpiesznego łatania dziur zaimprovizowanymi kontratakami pancernymi. Te uderzenia na

nacierające w pasie Luck–Radziechów dwa korpusy pancerne Wehrmachtu miały wykonać XXII i XV Korpus Zmechanizowany. IV i VIII Korpus Zmechanizowany, znajdujące się na samym czubku „występu lwowskiego”, miały się wycofać o 100–150 km na wschód od granicy, dopędzić niemiecki klin pancerny, który wdarł się w głąb szyku operacyjnego wojsk sowieckich, i uderzyć nań ze skrzydła i tyłu. Co prawda w tym celu należało jeszcze wiedzieć dokładnie, dokąd mianowicie ów klin dotrze po przerwaniu umocnień pogranicznych...

„Wróg, który niespodziewanym uderzeniem rozpoczął wojnę, dyktował nam własną wolę, niweczył nasze plany”.

Tak oto, używając zaledwie tuzina słów, Mikołaj Kiryłowicz Popiel (latem 1941 roku komisarz VIII Korpusu Zmechanizowanego) powiedział prawie wszystko: i o przedwojennych planach (wedle których jego korpus zaraz w pierwszych godzinach wojny ruszył na przeprawy przez pograniczną rzekę), i o tym, że niemiecki atak w tych planach nie był w ogóle przewidywany, i o dowództwie frontu, które pozwoliło wrogowi od pierwszych dni wojny *„dyktować własną wolę”*.

Wykonanie decyzji szefa Sztabu Generalnego i dowódcy frontu natychmiast zniweczył dowódca 6. Armii, Muzyczenko. Zignorował on wielokrotnie powtórzone żądanie przełożonych i *„nie oddał swojego”* IV Korpusu Zmechanizowanego. Co więcej, spróbował nawet (i to nie bezskutecznie!) *„wyprosić”* u dowództwa frontu *„obcy”* VIII Korpus Zmechanizowany. Ale o tym nieco później. Ostatecznie najpotężniejszy IV Korpus Zmechanizowany nie pokwapił się, ani by zdobyć Lublin *„do końca dnia 24 czerwca”*, ani by ganiać i gromić 1. Grupę Pancerną Wehrmachtu. Ogromne, wielokilometrowe kolumny czołgów, samochodów, ciągników IV Korpusu Zmechanizowanego miały się w *„zaklętym trójkącie”* Niemirów–Mościska–Lwów w charakterze straży pożarnej, za pomocą której Muzyczenko usiłował powstrzymać niemiecką piechotę idącą na Lwów. Dowódca 32. Dywizji Pancernej tak to opisał w raporcie:

„23.6.41 r.

Dywizja otrzymała rozkaz, by we współdziałaniu z 8. Dywizją Pancerną i 81. Dywizją Strzelców Zmotoryzowanych okrążyć i zniszczyć przeciwnika w rejonie (...). Zanim przeszła 30 km, o godz. 10 otrzymała podczas marszu drugie zadanie: zniszczyć czołgi przeciwnika w rejonie Mosty Wielkie.

Kolumny dywizji przyszło nam zawrócić na jednej drodze o 180 stopni. Po przybyciu dywizji do rejonu Mosty Wielkie czołgów przeciwnika nie zauważono.

O godz. 17 otrzymaliśmy nowy rozkaz dowódcy 6. Armii, aby zniszczyć desant powietrzny i 300 czołgów przeciwnika w rejonie Kamionka Strumiłowa. Jednostki dywizji oraz grupa pancerna Golias zaczęły wykonywać ten nowy rozkaz, ale nie wykryto tam czołgów przeciwnika, a w Kamionce Strumi łowej były nasze jednostki (...). Przemarsz pułków pancernych dywizji w ciągu doby wyniósł średnio 100 km (...).

24.6.41 r.

Do godz. 1 w nocy dywizja ześrodkowała się w rejonie (...). O godz. 11 otrzymaliśmy nowy rozkaz, aby do godz. 15 24.6. ześrodkować się w rejonie (...) z zadaniem, by współdziałając z 8. Dywizją Pancerną i 81. Dywizją Strzelców Zmotoryzowanych, zniszczyć przeciwnika w rejonie Olszyna, Chotyńiec, Młyny. 32. pułk strzelców zmotoryzowanych na rozkaz dowódcy IV KZmech został odesłany do odwodu armii do Lwowa (czyli Muzyczenko pozostawił 32. Dywizję Pancerną bez piechoty — M. S.). Wykonując marsz po ulicach Lwowa, dywizja zetknęła się z idącym z naprzeciwka strumieniem wozów bojowych i transportowych VIII KZmech (VIII Korpus posuwał się na wschód, aby doścignąć niemieckie czołgi, a 32. Dywizja Pancerna po raz kolejny zawracała na zachód, ku granicy — M. S.).

Na ulicach Lwowa toczyły się walki uliczne z dywersantami (w mieście zaczęło się prawdziwe powstanie zbrojne i jedynie to, że schowani na strychach banderowcy nie mieli granatników przeciwpancernych — pancerfausty stworzono dopiero trzy lata później — uratowało wtedy dwie sowieckie dywizje pancerne od całkowitego zniszczenia przez «dywersantów» — M. S.). Z wielkim trudem pokonując zatory na drogach, o godz. 2.00 25.6.41 r. dywizja skoncentrowała się w rejonie (...).

25.6.41 r.

O godz. 10 dywizja otrzymała rozkaz dowódcy IV KZmech, zgodnie z którym miała rozwinąć uderzenie VI Korpusu Strzeleckiego, ale sztab VI Korpusu Strzeleckiego postawił dywizji pancernej samodzielne zadanie: atakować w kierunku silnie umocnionego rejonu przeciwpancernego, gdzie była rzeka i teren podmokły, nie wspierając działań dywizji ani piechotą, ani artylerią (...).

26.6.41 r.

O godz. 4 dywizja otrzymała rozkaz dowódcy IV Korpusu Zmechanizowanego, żeby wkroczyć do rejonu Gródek Jagielloński, Sądowa Wisznia z zadaniem rozgromienia kolumny 300 czołgów przeciwnika ciągnących z Mościsk na Lwów. Do godz. 18 dywizja skoncentrowała się w Zamłynie, ale czołgów przeciwnika w tym rejonie nie odnaleziono (w rejonie działań 6. Armii, na szpicu «występu lwowskiego», nie było żadnych niemieckich jednostek pancernych — M. S.).

W ciągu doby dywizja wykonała 85–kilometrowy marsz.

O godz. 17 otrzymaliśmy rozkaz, by skoncentrować dywizję w rejonie Obroszyna i być w gotowości do działań na Lubień Wielki.

27.6.41 r.

Do godz. 7 dywizja skoncentrowała się w rejonie Konopnica, Zastawie, Obroszyn, mając zadanie zniszczenia przeciwnika w kierunku na Lubień Wielki. Dywizja wykonała 40–kilometrowy marsz nocny (...). Według danych sztabu korpusu w rejonie Lubienia Wielkiego ustalono obecność ugrupowania przeciwnika, faktycznie natomiast tego ugrupowania nie było”.

Aczkolwiek wymiary trójkąta, w którym miotała się 32. Pancerna, były całkiem nieduże (jego boki miały mniej więcej po 50–60 km), to — sądząc z raportu dowódcy — dywizja „w ciągu pierwszych trzech dni 23–25.6 przebyła łącznie 350 kilometrów, bez normalnego wypoczynku dla załóg i przeglądów sprzętu. Maszerowano i dniem, i nocą. Przebieg marszu był zadowolający, mimo że kierowcy nie mają dostatecznego wyszkolenia. W tym okresie dywizja nie prowadziła działań bojowych ze względu na brak przeciwnika we wskazanych rejonach”.

Następnie zaczął się bezustanny odwrót. Wedle komunikatu operacyjnego nr 6 sztabu 6. Armii z 27 czerwca:

„IV KZmech, po nocnym marszu z rejonu Sądowej Wiszni, od godz. 6 rozpoczął koncentrację w rejonie lasu na północ od Obroszyna (odejście o 40 km ku przedmieściom Lwowa — M. S.) (...) przed frontem korpusu 26.6.41 r. działały oddziały przeciwnika mniej więcej w sile batalionu. W rejonie Mościsk obecności przeciwnika nie stwierdzono. Korpus nie podjął walki”.

Piechota, z której batalionem 26 czerwca walczył IV Korpus Zmechanizowany, nie była zwyczajna, ale górską (1. i 4. Dywizja Górską). Znacząco to, że w jej uzbrojeniu nie było ciężkich armat kalibru 105 mm i 150

mm, które przynajmniej teoretycznie mogły wykorzystywać zwykłe dywizje piechoty Wehrmachtu do walki z KW i T-34. Natomiast standardowa niemiecka armata przeciwpancerna kalibru 37 mm w walce z nowymi czołgami sowieckimi była praktycznie bezużyteczna, czego dowodzą relacje z obu stron frontu. Dowódca 32. Dywizji Pancерnej pisze w raporcie: *„Pancerza naszych czołgów nie da się przebić z niemieckich armat 37 mm; były przypadki, że czołg KW dostał około 100 trafień, a pancerz nie został przebity”*. A oto, jak opisano walki na zachodnich przedpolach Lwowa w kronice 1. Dywizji Górskiej Wehrmachtu:

„(...) wczesnym rankiem 25 czerwca rosyjskie czołgi jeden za drugim pojawiają się na skraju lasu w rejonie miejscowości Jazów Stary (...). Nasza armata przeciwpancerna 3,7 cm spokojnie odczekuje, aż czołgi zbliżą się na odległość wystarczającą do strzału. Kiedy dystans skraca się do 600 m, działo otwiera ogień. Praktycznie każdy strzał trafia w cel. Wyraźnie widoczne są ślady po pociskach. Jednak potem przestajemy wierzyć własnym oczom: nasze pociski przeciwpancerne po prostu odskakują od czołgów. Nieprzyjacielskie czołgi nie zatrzymują się, wciąż zbliżają się do nas, prowadząc ogień ze wszystkich luf. Potem następuje coś niespodziewanego: ochłonawszy ze strachu przed stalowymi kolosami, nasi piechurzy zaczynają atakować, zarzucając maszyny granatami ręcznymi. W 2. plutonie 13. kompanii 98. pułku służy nasz mistrz świata w narciarstwie alpejskim Bauer, który wskoczył na jeden z T-34 i wsadził granat w lufę. Jeden po drugim czołgi przeciwnika są niszczone — żołnierzom trzeba oddać honor za niezwykle męstwo i stanowczość”.

Nawet najnowsza (latem 1941 roku) niemiecka armata przeciwpancerna kalibru 50 mm okazała się mało przydatna w walce z czołgami IV Korpusu Zmechanizowanego. W opisie działań bojowych 4. Dywizji Górskiej Wehrmachtu czytamy:

„Grupa przednia wyszła na szosę Gródek Jagielloński–Lwów. W rejonie miejscowości Zimna Woda grupa natknęła się na nieprzyjacielskie czołgi. Pociski dział przeciwpancernych 3,7 cm i 5 cm nie były w stanie przebić ich pancerzy. Mężni artylerzyści wciąż prowadzili ogień z armat 5 cm, nawet wówczas, gdy czołgi znajdowały się już o 5 metrów od nich. Czołgi miażdżyły działa. Straty materialne były ogromne”.

Aleksiej Isajew, z którego książki zacytowaliśmy te fragmenty, opatruje pierwszy z nich następującym komentarzem:

„W tym opisie widoczna jest jedna z odpowiedzi na pytanie «gdzie się podziały sowieckie czołgi?» Nic dziwnego, że skład osobowy 1. Dywizji Górskiej nie rzucił się do ucieczki, gdy pojawiły się czołgi T-34, ale zdecydowanie atakował je z bliska, korzystając z tego, że czołgom nie towarzyszyła piechota”.

Rzeczywiście, co w tym dziwnego? Gdy żołnierz zobaczy czołg, którego pancerza nie przebija armata przeciwpancerna, to podbiega, wskakuje i wtyka do lufy granat... No, a odpowiedź na pytanie *„dlaczego nic takiego nie przytrafiło się czołgom niemieckim?”* jest oczywista: miały za wąskie lufy, kalibrów 20, 37, 50 mm — do takiej lufy granatu nijak nie da się wcisnąć...

W poszukiwaniu innych odpowiedzi na pytanie *„gdzie się podziały sowieckie czołgi?”* sięgnijmy znowu do raportu dowódcy 32. Dywizji Pancерnej. Zsumowanie strat poniesionych przez tę dywizję w walkach z niemiecką piechotą od 23 do 29 czerwca daje 23 czołgi. Ponadto 11 czołgów straciły dwa bataliony pancerne wieczorem 22 czerwca wysunięte do rejonu Radziechowa, gdzie 23 czerwca stoczyły walkę z oddziałami niemieckiej 11. Dywizji Pancерnej. Razem 34 czołgi. Następnie rozpoczął się wielodniowy marsz na wschód, przy czym z każdym dniem nieprzerwanie narastało tempo odwrotu: 29 czerwca IV Korpus Zmechanizowany porzucił Lwów, 3 lipca był już w Zbarażu (135 km na wschód od Lwowa), poranek 9 lipca zastał go w rejonie miasteczka Iwanopol (180 km od Zbaraża). Wreszcie 12 lipca resztki IV Korpusu przeszły przez kijowskie mosty na Dnieprze i skoncentrowały się w rejonie Priłuki (120 km na wschód od Dniepru, 650 km od granicy). Podczas tego gwałtownego *Drang nach Osten* 32. Dywizja Pancerna miała liczne potyczki z przednią strażą ścigających ją niemieckich jednostek zmotoryzowanych. Pułkownik Puszkin tylko raz podaje w raporcie konkretne wielkości strat w tych potyczkach:

„10.7.41 r. Grupa czołgów kapitana Karpowa (10 czołgów i dwa samochody pancerne) skoncentrowała się w rejonie Beżymowki i o godz. 20 zaatakowała przeciwnika w kierunku na Olszankę, ale nie wsparta przez piechotę o godz. 23 wycofała się i zajęła pozycje obronne w odległości 300–400 m na południe od Olszanki. Następnego dnia grupa prowadziła nierówną walkę w tym samym rejonie i w rezultacie ucieczki z frontu 32. pułku strzelców

zmotoryzowanych została zniszczona i pozostawiona na polu walki, z wyjątkiem jednego czołgu”.

A zatem 43 czołgi zostały stracone w walce. Można przypuszczać, że jakaś porównywalna liczba strat znalazła odzwierciedlenie w opisie działań bojowych dywizji. Jednakże w załączonym do raportu „**Zbiorczym wykazie sprzętu**” figurują zupełnie inne dane: 37 KW, 146 T-34, 28 BT-7, 58 T-26, razem: 269 czołgów (nie licząc pływających tankietek T-37). Zresztą i ten wykaz zadziwiających strat czołgów z nieprzebijalnym pancerzem nie zgadza się z pozostałymi. Zwyczajna arytmetyka wykazuje, że nawet po stracie 37 KW w 32. Dywizji Pancерnej powinno zostać jeszcze 12 takich czołgów. Ale w podpisanym 15 lipca 1941 roku raporcie szefa wojsk pancerno-samochodowych Frontu Południowo-Zachodniego „**O stanie posiadania sprzętu korpusów zmechanizowanych frontu**” czytamy: „*IV KZmech przystąpił do wycofania swych jednostek do rejonu Priłuki. Stan posiadania sprzętu IV KZmech: KW — 6, T-34 — 39, BT — 23, razem 68 czołgów*”. W całym korpusie, a nie w jednej tylko 32. Dywizji Pancерnej, pozostało 6 z 99 czołgów KW. Co prawda już po dwóch dniach, 17 lipca, ten sam generał major Morgunow podpisał następny raport, z którego wynika, że w IV Korpusie Zmechanizowanym, który wycofał się za Dniepr, odnaleziono jeszcze więcej czołgów: „*KW — 10 sztuk, T-34 — 49 sztuk, BT-7 — 23 sztuki, T-26 — 18 sztuk*”. 10 to oczywiście więcej niż 6, ale jednak nie 12.

O tym, że większej części strat czołgów nie spowodował przeciwnik, świadczy również stosunek strat w ludziach i sprzęcie. Według raportu dowódcy 32. Dywizji Pancерnej, 63. pułk pancerny tej dywizji od 22 czerwca do 30 lipca 1941 roku stracił 17 zabitych i 63 rannych. W tym samym czasie utracono 4 KW (spośród 18), 61 T-34 (spośród 71), 42 T-26 (spośród 42), 19 T-37 (spośród 19), 9 samochodów pancernych (spośród 10), a ogółem 145 pojazdów pancernych. Aby zrozumieć, co się kryje za tymi liczbami, trzeba wspomnieć, że w skład pułku pancernego wchodzi nie tylko załogi czołgów, a więc czołgiści stanowią tylko część wymienionych strat. W 64. pułku pancernym 32. Dywizji Pancерnej zabito 47 i zraniono 64 żołnierzy. Stracono przy tym 148 czołgów (23 KW, 85 T-34, 5 BT-7, 16 T-26, 19 T-37) i 6 samochodów pancernych. Łącznie 32. Dywizja Pancerna straciła przez cały czas walk w czerwcu-lipcu 1941 roku 139 zabitych i 356 rannych. Zapewne

można to nazwać małym przelewem krwi, tyle tylko, że ta dziwna wojna nie toczyła się na cudzej, ale na własnej ziemi...

W odróżnieniu od „*noworodka*” — 32. Dywizji Pancерnej — 8. Pancerna była praktycznie całkowicie skompletowaną „*starą*” dywizją kadrową. Wyróżniała się tym, że miała 68 trzywieżowych czołgów T-28. Krótkolufa armata kalibru 76 mm w głównej wieży i dwie osobne wieże z kaemami czyniły tę maszynę groźnym przeciwnikiem dla piechoty. Dzięki szerokim gąsienicom T-28 miał mniejszy jednostkowy nacisk na grunt (0,72 wobec 1,03), a zatem lepszą zdolność pokonywania terenu niż jego niemiecki konkurent PzKpfw IV. Zresztą główną bronią dywizji nie były egzotyczne czołgi trzywieżowe, ale 50 KW i 140 T-34. Pod względem liczby najnowszych czołgów (190) sama tylko 8. Dywizja Pancerna przewyższała cztery korpusy zmechanizowane Okręgu Leningradzkiego i Nadbałtyckiego łącznie. A oto, jak N. K. Popiel opisuje dowódcę 8. Dywizji Pancерnej: „*Patrzę na niego i się zachwycam: natura niczego nie poskąpiła temu człowiekowi: ani urody, ani rozumu, ani odwagi, ani uroku... Czerwonoarmiści opowiadają legendy o jego bohaterskich czynach w Hiszpanii i Finlandii. Fotczenkow ma już cztery orderzy. Podlegli mu dowódcy w mig chwytają każde jego słowo*”. Pułkownik Piotr Siemionowicz Fotczenkow poległ w sierpniu 1941 roku w kotle umańskim. Do tego czasu dywizja praktycznie już nie istniała jako formacja pancerna.

W pierwszych dniach wojny 8. Dywizja Pancerna, podobnie jak 32. Pancerna, miotła się na froncie w rejonie Jaworów–Niemirów. Rano 24 czerwca nadszedł rozkaz dowódcy frontu, by przekazać ją do dyspozycji dowódcy XV Korpusu Zmechanizowanego, generała Karpezo. Dowódca 6. Armii Muzyczenko przekazał ten rozkaz, ale „*na pożegnanie*” urwał 8. Dywizji Pancерnej pułk strzelców zmotoryzowanych, który 25 czerwca otrzymał rozkaz utworzenia (wraz z 445. pułkiem artylerii z odwodu Naczelnego Dowództwa) obrony na szosie Gródek–Lwów. 8. Dywizja Pancerna przybyła w rejon Radziechów–Łopatyn (60 km od Lwowa) dopiero rano 28 czerwca. Do tego czasu z całej dywizji pozostał tylko jeden zbiorczy pułk pancerny, który miał zaledwie 65 czołgów! W raporcie o działaniach bojowych XV Korpusu Zmechanizowanego stwierdzono, że „*dzięki aktywnym działaniom 8. Dywizji Pancерnej lewe skrzydło korpusu było zabezpieczone od zachodu i 10. oraz 37. Dywizja Pancerna mogły się wycofać*

na rubież rzeki Radostawki”. To nie błąd drukarski. Za wynik „aktywnych działań” dywizji pancernej w natarciu uważa się to, że dwie inne dywizje pancerne ścigane przez piechotę przeciwnika mogły z jej pomocą bezpiecznie się wycofać. Chociaż i to osiągnięcie nie jest bezdyskusyjne. I tak w raporcie o działaniach bojowych 10. Dywizji Pancernej czytamy coś wręcz przeciwnego: „Drogi odwrotu dywizji zostały odcięte przez czołgi i piechotę przeciwnika, ponieważ 8. DPanc (sąsiad z lewej strony), której zadaniem była osłona od zachodu działań dywizji, nie potrafiła przebić się przez silnie umocniony rejon przeciwpancerny”. To dziwne. Szósty dzień wojny, a Niemcy w głębi sowieckiego terytorium mają już gotowy rejon przeciwpancerny, a w dodatku „silnie umocniony”...

Podczas walk 28 czerwca 8. Dywizja Pancerna straciła 12 czołgów, a 24 czerwca w rejonie Niemirowa piechota przeciwnika pozbawiła ją jeszcze 19 T-34. Gdzież więc są pozostałe 294 czołgi jednej z najpotężniejszych dywizji pancernych Armii Czerwonej? Raport dowódcy 8. Dywizji Pancernej zawiera rozwiniętą i szczegółową odpowiedź na to pytanie. Nadzwyczajną odwagę miał autor tego dokumentu, bez owijania w bawełnę posługując się terminem „porzucone”. Aby ułatwić sobie pracę, ujmijmy dane z tego raportu w tabelę:

	KW	T-34	T-28	BT-7	T-26	ogółem
początkowa liczba 22 czerwca 1941 r.	50	140	68	31	36	325
zniszczone	13	54	10	2	6	85
porzucone, zaginione, ugrzęzły na bagnach i inne	27	51	27	15	15	135
odesłane do zakładów, zużyte częściowo	8	32	0	3	5	48
reszta arytmetyczna	2	3	31	11	10	57

Tak więc jedna z najlepszych dywizji Armii Czerwonej porzuciła 107 czołgów, zaginęło jej 10, a 6 ugrzęzło na bagnach.

12 czołgów, w tym 10 najnowszych T-34, zniknęło nie wiadomo gdzie („inne”). Brak też odpowiedzi na pytanie, gdzie się podziało 31 pozostałych — jak wynika z rachunków — T-28 (w komunikatach dowództwa frontu z 15–17 lipca już ich nie ma). Według miar ubogiego Wehrmachtu 31 takich maszyn powinno było starczyć na wyposażenie w „czołgi ciężkie” dywizji pancernej (w 1. Grupie Pancernej Wehrmachtu było zaledwie 20 PzKpfw IV na dywizję, w rekordowej pod względem liczby tych maszyn 18. Dywizji

Pancernej 2. Grupy Pancernej — 36). Zresztą i pozostałe 57 czołgów istnieje, niestety, tylko arytmetycznie: 7 lipca, na początku walk o Berdyczów, 8. Dywizja Pancerna miała zaledwie 32 czołgi... Na tle takiego „porządku” wątpliwości budzi wiarygodność informacji o 54 zniszczonych w ciągu dwutygodniowych walk T-34, które praktycznie były nieosiągalne dla armat przeciwpancernych kalibru 37 mm niemieckich dywizji piechoty. Ta liczba (zniszczonych 54 spośród 140 T-34) wygląda bardzo dziwnie na tle znacznie mniejszych (zarówno w wielkościach bezwzględnych, jak i procentowo) liczb zniszczonych BT-7 i T-28, które miały znacznie cieńszy pancerz...

Opis działań bojowych trzeciej z kolei dywizji IV Korpusu Zmechanizowanego nie zajmie nam, niestety, wiele miejsca. Gdyby opiewane przez pana Isajewa struktury organizacyjne i „złote podziały” miały jakikolwiek realny wpływ na zdolność bojową dywizji Armii Czerwonej wzoru 1941 roku, to 81. Dywizja Zmotoryzowana powinna była dotrzeć co najmniej do Lublina. Nie została „przeciążona czołgami” (jeden pułk pancerny na dwa pułki strzelców zmotoryzowanych), a po przydzieleniu jej korpuśnego 441. pułku artylerii wyposażonego w potężne haubicoarmaty MŁ-20 kalibru 152 mm, również pod względem siły ognia górowała ona nad jakąkolwiek niemiecką dywizją pancerną. Pod względem liczby czołgów (270 szybkich BT) także od początku przeważała ona nad największą na całym Froncie Wschodnim niemiecką 7. Dywizją Pancerną (265 czołgów). Niestety „właściwie zestrukturyzowana” 81. Dywizja Zmotoryzowana nie stała się „czarodziejskim mieczem”. 24 czerwca trzy pułki (pancerny, artylerii i 323. strzelców zmotoryzowanych) dywizji zostały okrążone przez niemiecką piechotę w rejonie Niemirowa. Nie bardzo wiadomo, jak piechota może „okrążyć” pułk pancerny, ale pod wieczór pogrom się zakończył. Cały ciężki sprzęt stracony, przepadła bez wieści większość żołnierzy, zginął dowódca 323. pułku strzelców zmotoryzowanych, zaginęli: dowódca dywizji pułkownik Woropajew, jego zastępca pułkownik Barabanow, szef sztabu dywizji pułkownik Spiesiwcew, szefowie zarządów operacyjnego i zwiadu, szef artylerii dywizji, dowódca pułku artylerii, szef sztabu 323. pułku strzelców zmotoryzowanych. Oczywiście nie pozostawiono żadnych raportów i sprawozdań na temat przyczyn utraty czołgów 81. Dywizji Strzelców Zmotoryzowanych.

Warto zauważyć, że za to wszystko nie ukarano generała Własowa (on właśnie był dowódcą IV Korpusu Zmechanizowanego). To znaczy potem go oczywiście powieszono, ale za coś zupełnie innego. A latem 1941 roku został nawet awansowany i otrzymał dowództwo najpotężniejszej na Froncie Południowo–Zachodnim 37. Armii. Kiedy się to porówna z tragicznym losem całego dowództwa Frontu Zachodniego (rannego w walce dowódcę XIV Korpusu Zmechanizowanego, S. I. Oborina, zabrano na egzekucję wprost ze szpitala), to wypada przyznać, że towarzysz Stalin był zaiste wielkim człowiekiem. Nikomu nie jest sądzone zrozumieć logiki jego wyroków śmierci i łask...

Dla amatorów teorii spiskowych „*rozszyfrujmy*” jeszcze kilka nazwisk i stanowisk. Dowódca 6. Armii Muzyczenko oddał się do niewoli 6 sierpnia 1941 roku w kotle pod Umaniem, gdzie zostały rozgromione resztki 6. Armii. Szef zarządu operacyjnego sztabu 6. Armii Meandrow poddał się Niemcom, został jednym z twórców i dowódców armii Własowa, powieszony w 1946 roku. Szef sztabu VI Korpusu Strzeleckiego — ten sam, który „*postawił dywizji pancernej samodzielne zadanie: atakować w kierunku silnie umocnionego rejonu przeciwpancernego, gdzie jest rzeka i teren podmokły, nie wspierając działań dywizji ani piechotę, ani artylerię*” — generał major Richter, oddał się do niewoli, aktywnie współpracował z niemieckimi specsłużbami (według niektórych informacji stanął na czele warszawskiej szkoły wywiadowczo–dywersyjnej Abwehry), został rozstrzelany w sierpniu 1945 roku. Sąsiadem z prawa był XXVII Korpus Strzelecki (5. Armia). Dowódca korpusu generał major Artemienko poddał się, w czerwcu 1950 roku rozstrzelany, w czerwcu 1957 roku — zrehabilitowany. Sąsiadem z lewa był XIII Korpus Strzelecki (12. Armia). Dowódca korpusu generał major Kiryłow oddał się do niewoli, w sierpniu 1950 roku rozstrzelany, zrehabilitowano go w 1957 roku.

ROZDZIAŁ 15. POMÓR CZOŁGÓW 2

Drugim, jeśli chodzi o siły i wyposażenie w najnowszy sprzęt, był na Froncie Południowo–Zachodnim VIII Korpus Zmechanizowany. W poniższej tabeli podajemy liczbę i typy jego czołgów (nie licząc pływających tankietek T–37 i T–38).

	KW	T–34	T–35	BT–7	T–26	ogółem
12. Dywizja Pancerna	61	100	0	147	61	369
34. Dywizja Pancerna	8	0	49	26	292	375
7. Dywizja Zmotoryzowana	0	0	0	115	0	115
ogółem	69	100	49	288	353	859

Jak widzimy, VIII Korpus składał się z dwóch nierównych części: „starej” dywizji kadrowej (12. Pancerniej), wyposażonej w KW, T–34 i czołgi szybkie BT–7, oraz nowej, 34. Dywizji Pancerniej sformowanej na wiosnę 1941 roku, uzbrojonej głównie w lekkie i niewątpliwie już przestarzałe T–26. 34. Dywizję wyróżniało to, że miała wręcz egzotyczny sprzęt: pięciowieżowe czołgi ciężkie T–35. Pod względem uzbrojenia (krótkolufa armata kalibru 76 mm, dwie armaty czołgowe 20K kalibru 45 mm i dwie wieże z karabinami maszynowymi) jeden czołg T–35 równał się pięciu czołgom niemieckim (jeden PzKpfw IV, dwa PzKpfw III i dwa PzKpfw I), a dwa bataliony czołgów ciężkich (zaledwie 48 sprawnych T–35) łącznie pod względem liczby armat czołgowych przewyższały każdą z dywizji pancernych 1. Grupy Pancerniej Wehrmachtu.

Podczas gdy IV Korpus Zmechanizowany miotał się krótkimi skokami w zaklętym trójkącie Lwów–Jaworów–Niemirów, VIII Korpus Zmechanizowany generała Riabyszewa posuwał się do rejonu działań bojowych szerokim, zamaszystym zygzakiem, niczym narciarz w slalomie gigancie. Wczesnym rankiem 22 czerwca VIII Korpus, działając według przedwojennych planów, po sygnale alarmu wyruszył przez Sambor ku Sanowi.

22 czerwca o 22.40 nadszedł nowy rozkaz: 23 czerwca korpus ma do 12.00 ześrodkować się w rejonie Kurowicz (25 kilometrów na wschód od Lwowa). Z tego rejonu wyjściowego korpus miał razem z XV i IV Korpusem

Zmechanizowanym uderzyć na skrzydło i tyły niemieckiego klina pancernego, który przebił obronę 5. Armii w pasie Łuck–Radziechów. W nocy na 23 czerwca wielokilometrowe kolumny VIII Korpusu Zmechanizowanego ruszyły na wschód, zataczając stu pięćdziesięciokilometrowy łuk na trasie Sambor–Drohobycz–Stryj–Lwów.

23 czerwca, w połowie dnia, kiedy główne siły dywizji pancernych znajdowały się mniej więcej na rubieży Nikołajewa (38 km szosą na południowy zachód od Lwowa), a 7. Dywizja Zmotoryzowana już wkroczyła na przedmieścia Lwowa, Muzyczenko kazał zawrócić VI Korpus Zmechanizowany i do 19.00 ześrodkować się w lesie na południe od Jaworowa (czyli w tym samym rejonie, dokąd wbrew rozkazom dowództwa frontu skierował również główne siły IV Korpusu Zmechanizowanego). Stalowy sznur setek czołgów, ciężarówek, ciągników, samochodów pancernych po raz drugi tej doby wykonał zwrot niemal o 180 stopni i znów ruszył na zachód, ku granicy. Po męczącym nocnym marszu VIII Korpus Zmechanizowany wyszedł na Jaworów, w pasie obrony 6. Armii. Tam późno wieczorem dowódca korpusu wręczono kopertę z nowym–starym zadaniem dowództwa frontu: znowu zawrócić korpus i 24 czerwca, pod koniec dnia, w rejonie Brodów połączyć się z XV Korpusem.

Praktycznie równocześnie z tym Muzyczenko podjął ostatnią próbę zachowania dla siebie przynajmniej jednej dywizji VIII Korpusu. Zgodnie z rozkazem dowódcy 6. Armii nr 003 z 23 czerwca 1941 roku „*34. Dywizja Pancerna wchodzi w skład 6. Armii z bezpośrednim podporządkowaniem Radzie Wojennej Armii. Dywizja ma być gotowa do uderzenia na kierunkach: Niemirów, Jaworów, Krakowiec*”.

Ta próba samowoli okazała się nieudana i 34. Dywizja Pancerna pozostała w korpusie. Dopiero przed szóstą rano 26 czerwca 12. i 34. Dywizja Pancerna wkroczyły w rejon Brodów, a trzecia dywizja VIII Korpusu, 7. Zmotoryzowana, znajdowała się jeszcze w tym czasie w rejonie Buska, 85 km za nimi. Chociaż odległość od Drohobycza do Brodów nie jest większa niż 150 km w linii prostej, dywizje VIII Korpusu Zmechanizowanego pokonały (jak wynika z raportu jego dowódcy z 18 lipca 1941 roku) 500 kilometrów, „*pozostawiając na drogach podczas marszu do 50 proc. sprzętu bojowego*”. Z takiej oceny „*strat marszowych*” wyraźnie przebija zamiar usprawiedliwienia się za rozgromienie korpusu, co podczas pisania raportu było już faktem

dokonanym. Tak więc w innym tekście Riabyszew pisze, że „*podczas marszu na dystansie prawie 500 kilometrów korpus stracił około połowy czołgów przestarzałej konstrukcji*”. Wreszcie zwykle zsumowanie strat oraz pozostałych w szeregu czołgów KW i T-34 pozwala wyciągnąć wniosek, że nawet po walkach i stratach pierwszego dnia natarcia, 26 czerwca, korpus miał jeszcze 141 czołgów nowych typów, co stanowi 83 procent ich początkowej liczby. Tak czy owak forsowny pięćsetkilometrowy marsz musiał doprowadzić do wielkiej liczby awarii, a biorąc pod uwagę, że obszar, po którym przez trzy dni i noce miotał się VIII Korpus Zmechanizowany, po trzech–czterech dniach został zajęty przez przeciwnika, to wszystkie czołgi, które tymczasowo uległy awarii, przeszły do kategorii „*strat bezpowrotnych*”.

Konkretne wyobrażenie, jak odbywał się ten „*pomór*” czołgów VIII Korpusu, daje dokument umieszczony na stronie internetowej „*Korpusy zmechanizowane RKK*”. Jest to pełny opis losów wszystkich ciężkich pięciowieżowych T-35 34. Dywizji Pancерnej ze wskazaniem daty, miejsca i przyczyny unieruchomienia czołgu. Te unikatowe maszyny (w lecie 1941 roku oczywiście przestarzałe) łączyły bardzo silne uzbrojenie ze słabym pancerzem. Pocisk niemieckiej armaty przeciwpancernej kalibru 37 mm mógł przebić boczne opancerzenie tego potwora trzymetrowej wysokości. Wydawałoby się, że właśnie wśród czołgów tego typu straty w boju powinny być szczególnie duże. W rzeczywistości jednak tylko 6 czołgów spośród 47 zostało „*trafionych podczas walki 30 czerwca*” (była to ostatnia bitwa 34. Dywizji Pancерnej pod Dubnem). Gdzie więc i jak stracono wszystkie pozostałe?

Jeden czołg „*zaginął*”, dwa „*ugrzęzły w bagnie*”, dwa „*spadły z mostu do rzeki*”. Pozostałe 36 stracono z powodu wszelkiego rodzaju usterek technicznych. Na przykład czołg nr 715/62 został porzucony przez załogę we Lwowie z powodu „*awarii zasilania wentylatora*”, przy czym zdarzyło się to 29 czerwca, czyli pięć dni po tym, jak 34. Dywizja Pancerna opuściła ten rejon i wyruszyła do Brodów. Czołg nr 744/63 porzucono 1 lipca podczas marszu ze Złoczowa do Tarnopola (czyli na polu walki pod Dubnem nie był on nigdy), gdyż „*zatarły się tłoki silnika*”. Czołg nr 234/42 pozostawiono na północnym przedmieściu Lwowa z powodu „*przepalenia się głównego sprzęgła*”, ale zdarzyło się to rzekomo 3 lipca, czyli cztery dni po zajęciu tego miasta przez Niemców! W ogóle historia i geografia w tym raporcie

kategorycznie się ze sobą nie zgadzają. W wypadku co najmniej 12 czołgów jako miejsca, gdzie je utracono, podaje się rejony opuszczone przez dywizję kilka dni wcześniej. Jako główną usterkę techniczną, w wyniku której utracono 22 czołgi, wymienia się awarię układu przeniesienia napędu („*spalone sprzęgło*”), co w równej mierze może być związane ze zużyciem sprzętu, jak z nieumiejętnymi (albo umyślnymi) działaniami kierowcy–mechanika. Dwa ostatnie z kolei „*lądowe krążowniki*” zepsuły się podczas odwrotu 9 lipca w rejonie Wołoczysk (100 km na południe od Dubna) i na tym zakończyła się historia bojowego użycia T–35. W Armii Czerwonej, ale nie w Wehrmachcie. W kwietniu 1945 roku jeden zdobyczy T–35 wziął udział w bojach o Berlin. Mimo że „*skrajnie zawodny*” i „*beznadziejnie przestarzały*”, stalowy potwór doczołgał się na pole bitwy, gdzie został zniszczony.

Zgodnie z rozkazami dowódcy Frontu Południowo–Zachodniego nr 0015 z 24 czerwca i nr 0016 z 25 czerwca VIII Korpus Zmechanizowany przeszedł do natarcia o dziewiątej rano 26 czerwca, czyli praktycznie z marszu bez rozpoznania terenu i przeciwnika. Po tym, jak stracił cztery dni na bezsensowne forsowne marsze, dowództwo frontu teraz bardzo się spieszyło. Tylko pośpiechem właśnie można wytłumaczyć co najmniej dziwny wybór kierunku głównego uderzenia: od Brodów na Beresteczko. Nawet na mapie samochodowej Ukrainy z 2002 roku między tymi miastami nie da się odnaleźć żadnej przyzwoitej drogi, teren pokrywają lasy z mnóstwem drobnych rzeczek. A od Brodów na Dubno biegnie główna szosa, przy czym przechodzi przez zupełnie otwarty teren — żadnej zielonej plamy na mapie. Najważniejsze jednak, że właśnie 26 czerwca natarcie na Dubno z północnego wschodu rozpoczęła 43. Dywizja Pancerna pułkownika J. G. Cybina. XIX Korpus Zmechanizowany, w którego skład wchodziła ta jednostka, należał do „*zredukowanych w pierwszej kolejności*” i planowany termin jego sformowania był wyznaczony na koniec 1942 roku. Mimo że w 43. Dywizji Pancernej liczba czołgów nowych typów była mniejsza niż palców w jednej ręce, a przeciwpancernej amunicji kalibru 76 mm nie było wcale, dywizja gromiła i pędziła przeciwnika:

„O godz. 14.00 26 czerwca czołgi dywizji przystąpiły do ataku prowadzone przez dwa KW i dwa T–34. Rozwinęły się z marszu i huraganowym ogniem zdeorganizowały system obrony ppanc i szyk bojowy

wrogiej piechoty, która bezładnie zaczęła się cofać na zachód. Nasze czołgi, ścigając piechotę przeciwnika, zostały powitane ogniem czołgów przeciwnika z zasadzek i z terenu otwartego, ale KW i T-34, które wyrwały się do przodu, zaatakowały czołgi przeciwnika, a za nimi do walki włączyły się również T-26 (...). Nie wytrzymał ogień i szybkiego ataku czołgów, czołgi przeciwnika rozpoczęły odwrót, zatrzymując się na skrzydłach, ale szybko były wybijane przez nasze czołgi, które manewrowały na polu walki! Czołgi KW i T-34 (cztery — M. S.), nie mając wystarczającej liczby naboju przeciwpancernych, prowadziły ogień pociskami odłamkowymi i własną masą gniotły i niszczyły czołgi przeciwnika oraz działa ppanc (...). Wycofując się z Dubna, przeciwnik wysadził za sobą mosty, pozbawiając tym samym dywizję możliwości wdarcia się do Dubna na karku cofającej się piechoty”.

Może mniej dokładnie, ale za to o wiele bardziej obrazowo opisuje ten dzień dowódca batalionu zwiadu 43. Dywizji Pancerniej Wasilij Siergiejewicz Archipow (który rozpoczął wojnę z tytułem Bohatera Związku Sowieckiego i zakończył ją podwójnie odznaczony tym orderem). W swoich wspomnieniach pisze on:

„Kiedy wieczorem 26 czerwca pędziliśmy faszystów do Dubna, nie był to już odwrót, ale prawdziwa ucieczka. Jednostki niemieckiej 11. Dywizji Pancerniej przemieszały się, ogarnęła je panika. Wyraziła się ona i w tym, że oprócz setek jeńców zdobyliśmy wiele czołgów i transporterów opancerzonych oraz około 100 motocykli, porzuconych, całkiem sprawnych (...). Jeńcy z reguły spieszyli się z oświadczeniem, że nie należą do narodowych socjalistów, i bardzo chętnie zeznawali. Tego rodzaju stan psychiczny wojsk hitlerowskich, przygnębienie i panikę, ponownie było mi dane obserwować o wiele, wiele później — dopiero po Stalingradzie i Bitwie Kurskiej”.

Podczas gdy 43. Dywizja Pancerna (której dowódca nie miał żadnych informacji o tym, co robią VIII i XV Korpus Zmechanizowany) wkraczała na północne przedmieścia Dubna, stalowa lawina czołgów VIII Korpusu (którego dowódca dopiero 27 czerwca dowiedział się o działaniach bojowych XIX Korpusu Zmechanizowanego) przez bagnisty las runęła na Beresteczko. Oceny skuteczności tego natarcia bardzo się różnią w rozmaitych źródłach. Najbardziej pogardliwą opinię dano w komunikacie operacyjnym sztabu Frontu Południowo-Zachodniego nr 09 z godziny 20.00 26 czerwca 1941 roku:

„VIII Korpus Zmechanizowany o 9.00 26.6.41 r. niezdecydowanie zaatakował zmechanizowane jednostki przeciwnika z rejonu Brodów w kierunku Beresteczka i nie mając wystarczającego wsparcia lotnictwa i sąsiada z lewej, XV Korpusu Zmechanizowanego, został zatrzymany przez przeciwnika w rejonie wyjściowym do ataku”.

W raporcie dowódcy VIII Korpusu Zmechanizowanego z 18 lipca 1941 roku opisano to bardziej wymijająco:

„Korpus zaatakował broniące się jednostki 16. Dywizji Pancерnej przeciwnika w ogólnym kierunku Brody, Beresteczko, ale napotkawszy zorganizowany opór przeciwnika osłoniętego niedostępną dla czołgów bagnistą rzeką, po zniszczeniu przez wroga wszystkich przepraw przez tę rzekę nie potrafił rozwinąć tempa natarcia”.

Natomiast w swoich powojennych pamiętnikach generał Riabyszew napisał:

„Rano rozpoczęło się natarcie. Ale rozwijało się ono nie tak, jak by się chciało. 12 Dywizja Pancerna nie potrafiła z marszu przerwać obrony wroga (...). Jednakże strzelcy zmotoryzowani 12. Dywizji Pancерnej generała majora wojsk pancernych T. A. Miszanina przy wsparciu artylerii pokonali bagnisty teren, sforsowali rzekę Słonówkę, zdobyli zburzony most i przyczółek na drugim brzegu (...). Do godziny 16 w zaciętym boju została zdobyta wieś Leszniew (...). Jednostki XLVIII Korpusu Zmechanizowanego przeciwnika, ponosząc wielkie straty, pod naporem jednostek 12. i 34. Dywizji Pancерnej wycofały się na prawy brzeg rzeki Plaszewka i przeszły do obrony (...). W ten sposób 26 czerwca korpus przesunął się o 8–10 km w kierunku Beresteczka i pod wieczór, napotkawszy silny opór przeciwnika, zmuszony był przejść do obrony i odpierać jego ataki (...). Wysyłając do sztabu frontu doniesienie o pomyślnych działaniach korpusu, sądziłem, że dowódca zdecyduje się wykorzystać powodzenie korpusu, rozgromić wroga i odrzucić go ku granicy”.

Czytelnik prawdopodobnie już się domyślił, dlaczego tak dokładnie analizujemy w istocie drobną kwestię, czy VIII Korpus Zmechanizowany posunął się o 10 km do przodu, czy też „został zatrzymany przez przeciwnika w rejonie wyjściowym do ataku”. 26 czerwca był pierwszym, jedynym i ostatnim dniem, gdy VIII Korpus Zmechanizowany uczestniczył jako całość w kontruderzeniu wojsk sowieckich. O 2.30 w nocy 27 czerwca Riabyszew otrzymał rozkaz dowódcy Frontu Południowo–Zachodniego: „VIII Korpus

Zmechanizowany cofa się za linię Poczajew, Podkamień, Złoczew (25–50 km na południowy wschód od Brodów — M. S.) (...). Wymarsz rozpocząć natychmiast". Tak samo jak w wypadku VI Korpusu Zmechanizowanego Frontu Zachodniego, rozpoczęte natarcie korpusu powstrzymał rozkaz wyższego dowództwa. Tak samo jak na Froncie Zachodnim, rozkaz odwrotu stał się impulsem do zapoczątkowania rozpadu formacji. Już nazajutrz, 27 czerwca, sytuacja w 12. Dywizji Pancerniej, jak można sądzić ze wspomnień Popiela, była taka: *„Dywizja Miszanina zeszła z linii frontu (...). Po drodze kilkakrotnie natykaliśmy się na żołnierzy Miszanina. Leżli bezładnie. Dowódców nie było widać*". Demoralizacja 12. Dywizji Pancerniej zaszła tak daleko, że jej ciężko kontuzjowanego podczas bombardowania dowódcę po prostu zaniesiono do porzuconego czołgu i pozostawiono samego w Brodach, pod *„opieką*" równie poszkodowanego ordynansa.

O szóstej rano 27 czerwca do VIII Korpusu Zmechanizowanego nadszedł nowy (drugi w ciągu ostatnich czterech godzin) rozkaz dowódcy Frontu Południowo–Zachodniego, nr 2121, datowany tego samego dnia. Tym razem odwrot został odwołany, a korpusowi postawiono zadanie, by do końca dnia *„ześrodkować się w rejonie Dubno, Wołkowyje, Werba*". Ześrodkować się w Dubnie można było tylko po zdobyciu tego miasta. I aczkolwiek tym razem kierunek uderzenia był rozsądny (od Brodów na Dubno idzie szosa, równoległe do niej linia kolejowa, teren jest otwarty, sprzyjający natarciu czołgów), to odległość od Brodów do Dubna wynosi 62 km szosą. Takie zadanie było mało realne dla korpusu, którego jednostki w wyniku karuzeli rozkazów dowództwa frontu dzieliły dziesiątki kilometrów. 12. Dywizja Pancerna zadziwiająco szybko wykonała nocny rozkaz odwrotu, w wyniku czego *„27.6.41 r. znajdowaliśmy się w rejonie Podkamienia, gdzie doprowadziliśmy się do porządku i pod koniec dnia skoncentrowaliśmy się w lasach na północny wschód od Brodów*". Próba wykonania rozkazu nr 2121 doprowadziła do tego, że korpus został rozerwany (jak się okazało po kilku dniach — na zawsze) na dwie części. Grupa pod dowództwem komisarza korpusu Popiela, w której skład weszła 34. Dywizja Pancerna, wzmocniona 40 czołgami KW i T–34 z 12. Dywizji Pancerniej (ogółem 217 czołgów i do 9 tysięcy ludzi), ruszyła szosą na Dubno. Pozostałe jednostki korpusu (12. Dywizja Pancerna, 7. Dywizja Zmotoryzowana, jednostki korpusne) pod dowództwem Riabyszewa ześrodkowały się 27 czerwca w rejonie Brodów.

Grupa Popiela, tocząc walki, dotarła do przedmieść Dubna (osiedle Małe Sady na południowym skraju miasta), przecinając tym sposobem główne trasy komunikacyjne, którymi szło zaopatrzenie 1. Grupy Pancерnej Wehrmachtu. Zresztą, sądząc z doniesień sztabu Frontu Południowo–Zachodniego do Sztabu Generalnego Armii Czerwonej, „według danych na godz. 14.00 28.6.41 r. VIII Korpus Zmechanizowany zajmuje miasto Dubno”. O tym, że czołgiści VIII Korpusu Zmechanizowanego zdobyli rano Dubno, pisze w swoich wspomnieniach również sam Popiel. Tak czy owak niemieckie dowództwo właściwie oceniło powstałą groźbę i podciągnęło w rejon Brody–Dubno część sił 6. Dywizji Pancерnej i 16. Zmotoryzowanej, a także część czterech dywizji piechoty (111., 44., 57. i 75.). Zauważmy nawiasem, że samo pojawienie się niemieckiej piechoty 120 km od granicy już w piątym–szóstym dniu wojny zupełnie jednoznacznie świadczy o tym, jaki był w rzeczywistości „zacięty opór” sowieckich wojsk. Dla piechoty pokonującej na własnych nogach 20 km dziennie jest to tempo forsownego marszu. W październiku 1939 roku na tym terenie, na terytorium okupowanej Polski, w celu wyprowadzenia niemieckich i sowieckich wojsk na uzgodnioną linię nowej granicy, ustalono taki właśnie — 20 km dziennie — harmonogram przemarszów kolumn pieszych. Przy takim tempie ofensywy niemiecka piechota po prostu nie miałaby czasu walczyć...

Otoczona w rejonie Dubna grupa Popiela została właściwie porzucona na pastwę losu. O 10 km od Dubna znajdowały się dwie dywizje strzeleckie (140. i 146.), ale wbrew rozkazowi dowódcy frontu nr 018 z 28 czerwca nie udzieliły żadnej pomocy grupie Popiela. Nie podjęły współdziałania z XIX, IX i XXII Korpusem Zmotoryzowanym, które toczyły walki o kilkadziesiąt kilometrów na północ od Dubna. W ciągu czterech dni — od 27 do 30 czerwca — grupa Popiela nie otrzymała od dowództwa frontu żadnej informacji, żadnej pomocy, żadnych wskazówek, jak wyjść z okrążenia. Późnym wieczorem 30 czerwca żołnierze oddziałów tyłowych, batalionu medycznego, czołgiści pozbawieni maszyn przy wsparciu 60 czołgów przebili pierścień okrążenia i po kilku dniach na szosie Tarnopol–Proskurów (Chmielnicki) połączyli się z cofającymi się na wschód resztkami VIII Korpusu Zmechanizowanego. Główne siły grupy Popiela (które do tego czasu zmniejszyły się do 80 czołgów i kilku baterii artylerii) prowadziły zacięte walki do końca 1 lipca. W walkach o Dubno zginął dowódca 34. Dywizji

Pancernej pułkownik I. W. Wasiliew, zaginęli zastępca dowódcy dywizji do spraw politycznych M. M. Niemcew i dowódca 24. pułku pancernego 12. Dywizji Pancernej podpułkownik P. I. Wołkow. Zginęły, zaginęły, trafiły do niemieckiej niewoli tysiące żołnierzy i dowódców. Pozostali przy życiu (około tysiąca ludzi) pod dowództwem Popiela, do których dołączały grupy okrążonych z innych jednostek, przeszli, walcząc, 250 kilometrów ogromnym łukiem Dubno–Sławuta–Korosteń i pod koniec lipca 1941 roku połączyli się z 5. Armią w rejonie Biełokorowiczy.

Główne siły VIII Korpusu Zmechanizowanego, choć dysponowały potężnym pancernym taranem (prócz 200 czołgów lekkich w 12. Dywizji Pancernej pozostało jeszcze około 46 KW i 49 T–34), nie potrafiły przebić się przez oddziały osłonowe niemieckiej 16. Dywizji Pancernej oraz 57. i 75. Dywizji Piechoty. Chociaż i w tych walkach z bezlitosną oczywistością ujawniła się przewaga techniczna nowych sowieckich czołgów. I tak 28 czerwca duża grupa niemieckich czołgów wdarła się na punkt dowodzenia dywizji pancernej Miszanina. *„Obserwowałem — pisze w swoich wspomnieniach Riabyszew — jak faszystowskie czołgi z czarnymi krzyżami miały się między naszymi ogromnymi KW, szukając ratunku. Próbowaly manewrować, żeby zdobyć możliwość strzelania do słabego bocznego opancerzenia. Ale i to nie pomogło: KW i T–34 zręcznie prowadziły ogień do czołgów wroga ze swoich armat 76 mm (...). W ten sposób 6 KW i 4 T–34 zniszczyły 40 niemieckich czołgów, a same nie poniosły strat”*. Wieczorem 28 czerwca niemiecka piechota przedostała się na tyły VIII Korpusu Zmechanizowanego, odcinając drogę odwrotu szosą na Brody. Znow zaczęła się panika. Zginął generał Miszanin, który pieszo prowadził żołnierzy do ataku. W oficjalnym raporcie o działaniach bojowych korpusu Riabyszew zapisał krótko: *„Oddziały 7. Dywizji Strzelców Zmotoryzowanych wydostały się z okrążenia w różnych kierunkach. Tracąc wielką liczbę czołgów, artylerii i samochodów, o 24.00 28.6.41 r. dywizja wydostała się z okrążenia i ześrodkowała się na południowy zachód od Brodów”*. Popiel podaje w pamiętnikach o wiele żywsze obrazy tego, co kryło się za skąpym zdaniem *„wydostały się z okrążenia w różnych kierunkach”*:

„Riabyszew wsiadł do «emki» i pomknął do Brodów. Po drodze napotykał błakających się tłumnie żołnierzy, płonące pojazdy, leżących w rowach rannych. Rubieży wyznaczonej 12. Dywizji Pancernej nikt nie zajął (...). Jacys

błędni czerwonoarmiści powiedzieli, że piechota zmotoryzowana pognąła na południe, chyba do Tarnopola. Dowódca korpusu skręcił na szosę prowadzącą na południe i po 20 kilometrach dogonił ogon rozciągniętej kolumny. Nikt nic nie wiedział. Riabyszew próbował zatrzymać pojazdy. Z kabiny półtoratonówki dobiegł spokojny zaspany głos:

— *Jaki tam dowódca korpusu? Nasz generał jest zdrajcą. Dał nogę do faszystów.*

Riabyszew szarpnął za klamkę drzwi, chwycił mówiącego za pas i wywłókł z kabiny.

— *Ja jestem waszym dowódcą korpusu.*

Nie chowając pistoletu do kabury, Riabyszew poruszał się wzdłuż kolumny, zatrzymywał kompanie, bataliony, nakazywał zorganizowanie obrony frontem na północny zachód (...). W sztabie frontu, dokąd wezwano dowódcę korpusu, panowała nerwowość i niepewność. W zamieszaniu i powszechnej krzątaninie w biegu wydawano sprzeczne rozkazy, które często po dziesięciu minutach odwoływano. W ślad za pierwszym oficerem łączności biegł drugi (...). Sztab frontu wycofywał się do Proskurowa”.

Teraz od tragicznej historii zagłady VIII Korpusu Zmechanizowanego wróćmy do zwykłej arytmetyki. Pierwszego dnia natarcia, 26 czerwca, straty czołgów w porównaniu z ich początkową liczbą w VIII Korpusie były znikome. Dowódca korpusu podaje w raporcie takie liczby: „*W 12. DPanc 8 czołgów zniszczono w walce, 2 czołgi ugrzęzły w bagnie (...). 34. DPanc straciła 5 czołgów, z których 4 zniszczył przeciwnik, a 1 czołg się spalił*”. Nieporównanie większe — 86 czołgów — okazały się straty 12. Dywizji Pancernej i 7. Dywizji Zmotoryzowanej, odniesione w czasie nieskutecznych walk i panicznego odwrotu do Tarnopola 28–30 czerwca. Jednak i po takich stratach VIII Korpusu Zmechanizowanego pod względem liczby sprawnych czołgów (207) przewyższał on każdą dywizję 1. Grupy Pancernej Wehrmachtu. „*1 lipca 1941 r. VIII KZmech, składający się teraz z 12. Dywizji Pancernej i 7. Zmotoryzowanej, miał ponad 19 tys. żołnierzy i dowódców, 207 czołgów, w tym 43 KW, 31 T-34, 69 BT-7, 57 T-26, 7 T-40, a także 21 samochodów pancernych.*

Później nasz korpus zaprzestał działań bojowych (podkreślenie moje — M. S.), wykonał marsz do rejonu Nieżyna (100 km na wschód od Kijowa — M. S.), gdzie od 14 lipca (od 8 lipca, jeśli sądzić z raportu szefa broni

pancernej frontu — M. S.) *był w odwodzie dowódcy frontu*”. Właśnie podczas tego ustawicznego odwrotu na wschód ostatecznie zniknęły czołgi VIII Korpusu Zmechanizowanego.

12. Dywizja Pancerna i 7. Dywizja Zmotoryzowana	KW i T-34	BT-7 i T-26	T-37, T-38, T-40	razem
22 czerwca 1941 r.	161	323	46	530
straty w walce 26 czerwca	9	?	?	10
przekazano do grupy Popiela 27 czerwca	40	6		46
ogólne straty bojowe 26–30 czerwca	21	75	0	96
reszta arytmetyczna 1 lipca	100	242	46	388
faktyczna pozostałość 1 lipca	74	126	7	207
faktyczna pozostałość 17 lipca	28	29	0	57

Arytmetyka rozmija się z faktyczną pozostałością czołgów w dwóch dywizjach VIII Korpusu Zmechanizowanego (12. Pancerniej i 7. Zmotoryzowanej) o 331 maszyn. I to, jeżeli nie brać pod uwagę, że około 60 czołgów z grupy Popiela wydostało się z okrążenia i połączyło z głównymi siłami VIII Korpusu. Półtorej setki czołgów (w tym 29 KW i 17 T-34) zaginęło tuż po 1 lipca, czyli po faktycznym zakończeniu działań bojowych korpusu. Łącznie nie wiadomo, gdzie od 22 czerwca do 17 lipca podziały się 72 najnowsze czołgi KW i T-34. Te same, które — jeżeli wierzyć relacji Riabyszewa — w dziesiątkę zniszczyły 40 niemieckich czołgów bez żadnych strat własnych. Ogółem niebojowe straty czołgów wynoszą trzy czwarte (331 spośród 427) ogólnej liczby strat. I to, jeżeli naiwnie uznamy za „*bojowe*” wszystkie straty (86 czołgów) dnia pogromu — 28 czerwca.

Najpełniej ze wszystkich jest udokumentowany pogrom XV Korpusu Zmechanizowanego. Dysponujemy aż trzema raportami o działaniach bojowych (zarówno korpusu jako całości, jak i każdej z jego dywizji pancernych). Niestety, pozorna obfitość informacji wcale nie ułatwia zrozumienia sytuacji. Przeciwnie: liczby i fakty (jeżeli tylko są to „*fakty*”, a nie zmyślane później „*usprawiedliwione przyczyny*” rozgromienia najpotężniejszej sowieckiej formacji pancerniej) są sprzeczne zarówno ze sobą nawzajem, jak i ze zdrowym rozsądkiem. Nie mówię już o tym, że liczba

czołgów w dywizjach korpusu w rozmaitych dokumentach różni się o dziesiątki, chociaż, wydawałoby się, autorzy raportów nie liczyli papierków po cukierkach, ale bardzo kosztowny i „deficytowy” na wojnie sprzęt bojowy. Na podstawie dokumentów nie sposób, nawet w ogólnych zarysach, wyjaśnić nieszczęsnej kwestii wyposażenia XV Korpusu Zmechanizowanego w samochody i ciągniki artyleryjskie. Znowu nie chodzi o wspólny dla całej Armii Czerwonej „*cud*”, w wyniku którego dysponujące ogromną liczbą pojazdów samochodowych (jeszcze przed ogłoszeniem jawnej mobilizacji na każdą z 303 sowieckich dywizji — łącznie z formującą się daleko na Syberii dywizją strzelecką — przypadało po 900 samochodów, 112 ciągników gaśnicowych i traktorów) korpusy zmechanizowane pierwszego rzutu wojsk okręgów pogranicznych nie miały etatowej liczby ciągników, ciężarówek i cystern samochodowych. Rażąco niezgodne są liczby podane w raportach dowódców jednej i tej samej formacji. Ogółem na 10 czerwca 1941 roku (czyli jeszcze przed rozpoczęciem wojny i mobilizacji sprzętu gospodarki cywilnej) XV Korpus Zmechanizowany miał 2035 samochodów (każdego typu i przeznaczenia), 50 ciągników artyleryjskich (woroszyłowców, kominternów, C-2) oraz 115 traktorów. Według sprawozdania p.o. dowódcy 10. Dywizji Pancерnej na początku działań bojowych były w niej (ogółem, uwzględniając sprzęt niesprawny) 962 samochody i 30 ciągników. Pytanie dla ucznia drugiej klasy: ile samochodów i ciągników przypadało w udziale dwóm pozostałym dywizjom korpusu? Sięgamy do sprawozdania p.o. dowódcy XV Korpusu Zmechanizowanego i czytamy:

„212. Dywizja Zmotoryzowana, mając niemal pełny skład osobowy czerwonoarmistów, nie miała wcale (podkreślenia moje — M. S.) samochodów do przewozu składu osobowego, nie mogła nawet zapewnić sobie środków transportu do dowożenia amunicji, żywności oraz paliw i smarów, a także do przewozu uzbrojenia. Pułk artylerii miał 8 dział 76 mm, 16 dział 122 mm i 4 działa 152 mm, a środków pociągowych miał tylko na 1 dywizjon, i to bez zaplecza (...). Dywizjon przeciwpancerny 112. DZmot nie miał środków pociągowych”.

Gdzież się wałęsały pozostałe 1073 samochody, 20 wyspecjalizowanych ciągników i 115 traktorów? Może wszystkie one znalazły się w innej dywizji pancерnej korpusu?

„Pułk strzelców zmotoryzowanych 37. Dywizji Panczernej znajdował się w odległości 160 km od dywizji (??? — M. S.) i nie miał środków transportu. Pułk artylerii 37. DPanc miał w składzie 12 dział 122 mm bez kątomierzy działowych (??? — M. S.), 4 działa 152 mm i zaledwie 5 traktorów”.

Według raportu p.o. dowódcy korpusu w pułku artylerii 37. Dywizji Panczernej na początku działań bojowych było 12 haubic kalibru 122 mm i 4 haubice kalibru 152 mm. W raporcie dowódcy 37. Dywizji liczba jej dział została wyrażona w procentach. Można przypuścić, że w procentach w stosunku do etatu. Konkretnie: *„haubice 122 mm — 56 %, haubice 152 mm — 33,3 %”*. 33 procent etatowej liczby haubic kalibru 152 mm to, mówiąc po prostu, 4 działa. Liczba zgodna z raportem p.o. dowódcy korpusu. Ale oto 56 procent etatowej liczby haubic kalibru 122 mm stanowi 6,72 haubicy. To już z niczym się nie zgadza. Między innymi nie zgadza się z dalszym tekstem raportu dowódcy 37. Dywizji Panczernej, z którego wynika, że do marszu wyprowadzono 4 haubice 122 mm, a 21 haubic tego kalibru pozostawiono w miejscu stałej dyslokacji dywizji. Razem — 25 dział z liczby nie wiadomo ilu posiadanych...

Jest to oczywiście czepianie się drobiazgów, liczba 21 stanowi raczej błąd drukarski. Ale czy za mało ważny drobiazg można uważać takie informacje (jeżeli są one zgodne z rzeczywistością):

„Artyleria pułkowa została rozestana do pułków prawie w całości niesprawna (...). Skład osobowy korpusnego pułku motocyklowego ani razu nie strzelał (...). Przydzielonych z gospodarki cywilnej samochodów dywizja nie otrzymała. Do punktu odbioru przydzielonych samochodów w Szepietówce posłano 8 ludzi, ale po kilkudniowym tam pobycie wrócili oni bez żadnego samochodu i oznajmili, że samochody przeznaczone dla naszej dywizji poszły do jednego z rejonów umocnionych (tabor przeznaczony dla formacji zmotoryzowanej przejęło ugrupowanie nieruchome z definicji? — M. S.) (...). Przez cały okres walk dywizja nie mogła znikąd otrzymać żadnego naboju do armat przeciwlotniczych kalibru 37 mm (...). Danych rozpoznania lotniczego nie mieliśmy do 25.6.41 r., a potem też (...). Wsparcia dywizji ze strony naszego lotnictwa nie było przez cały okres działań bojowych”.

W jednym z najpotężniejszych korpusów zmechanizowanych Armii Czerwonej nie było amunicji przeciwpancernej. Albo prawie nie było. Trudno stwierdzić dokładnie. W raporcie dowódcy 10. Dywizji Panczernej (63 czołgi

KW i 38 T–34) czytamy: „*W pierwszych trzech dniach walk dywizja nie miała ani jednego naboju przeciwpancernego do armat 76 mm*”. Natomiast w raporcie dowódcy korpusu o tym samym mówi się nieco inaczej: „*Przez pierwsze 3 dni walk nie było amunicji przeciwpancernej (w 19. i 20. pułku pancernym 10. DPanc wypadło zaledwie po 96 naboju przeciwpancernych na pułk)*”. Amunicji przeciwpancernej kalibru 76 mm w Armii Czerwonej rzeczywiście było mało. Ale nie aż tak. Według stanu na 1 maja 1941 roku przeciętnie na jedno działo kalibru 76 mm w Kijowskim Specjalnym Okręgu Wojskowym przypadało po 18 naboju przeciwpancernych. Przeciętnie. Natomiast zgodnie z dyrektywą szefa sztabu okręgu nr 0054 z 29 kwietnia 1941 roku ów skromny zapas powinien być rozdzielony rozsądnie, a mianowicie:

„*Jednostkom okręgu zapewnić amunicję przeciwpancerną według następującego rozdzielnika:*

- *na każdą armatę 76 mm dywizji strzeleckich po 6 naboju;*
- *dywizji kawalerii, strzelców zmotoryzowanych oraz jednostek rejonów umocnionych po 12 naboju (...);*
- *na każdą armatę 76 mm na czołgach KW po 25 naboju* (podkreślenie moje — M. S.);
- *na czołgach T–34 po 13 naboju (...)*”.

Jeden–dwa tuziny naboju przeciwpancernych w jednostce ognia czołgu to nie tak mało. Pociskami przeciwpancernymi (w odróżnieniu od odłamkowo–zapalających) nie strzela się dziesiątkami tysięcy „*po powierzchni*”. Jedno trafienie pocisku kalibru 76 mm latem 1941 roku wystarczyło, by zniszczyć każdy niemiecki czołg. Gdyby rozkaz z 29 kwietnia został wykonany do 22 czerwca, to w 10. Dywizji Pancerniej powinno być ponad 2 tysiące naboju przeciwpancernych kalibru 76 mm. Teoretycznie mogło tego starczyć jeżeli nie na całą 1. Grupę Pancerną Wehrmachtu, to przynajmniej na tę jedyną dywizję niemiecką (11. Dywizję Pancerną, 143 czołgi), z którą starła się 10. Pancerna. Ale nie starczyło...

Tradycyjna sowiecka historiografia nazywa to nieprzygotowaniem do wojny. Nie zdążono. „*Historia dała nam za mało czasu*”. Gdybyż wojna rozpoczęła się latem 1942 roku — wtedy w kraju byłby porządek... Żelazny stalinowski porządek...

A propos Stalina. W raporcie dowódcy 10. Dywizji Pancernej wydrukowanym w **Zbiorze dokumentów bojowych nr 33** jest takie zdanie: „*W skomplikowanej sytuacji dywizja nabrała wielkiego doświadczenia bojowego, wychowała dużą grupę bojowego aktywu i jeszcze bardziej zjednoczyła się wokół partii Lenina*”. Tego nie mogło być w dokumencie. Czegoś takiego nie może być, ponieważ nigdy być nie może. To nie jest kwestia strachu, bojaźni przed odpowiedzialnością — czegoś takiego po prostu nie mogło być. Duchowny w świątyni prawosławnej nie może się zwracać do wiernych słowami *Allach akbar*. Ten, do kogo modlą się w cerkwi, nazywa się inaczej. A partia nazywała się partią Lenina–Stalina. Tę zbitkę na amen wbito w głowę i w palce. W 1941 roku nikt nie mógł napisać „*partia Lenina*”. Wszyscy wiedzieli, jak nazywa się partia, która prowadzi nas od zwycięstwa do zwycięstwa. Jeżeli autorzy tajnego zbioru — przeznaczonego, jak powiedziano w przedmowie, dla oficerów i generałów — uważali, że w celu zapewnienia „*poprawności politycznej modelu 1957 roku*” mogą zmienić tekst publikowanego dokumentu w takim mało istotnym drobiazgu, to cóż porobili z bardzo ważnymi liczbami i faktami?

Niemniej jednak będziemy się opierać na tym, co mamy. Zaczniemy, jak i wcześniej, od oceny wyposażenia dywizji w czołgi.

	KW	T-34	T-28	BT-7	T-26	ogółem
10. Dywizja Pancerna	63	38	51	181	30	363
37. Dywizja Pancerna	1	34	0	258	23	316
212. Dywizja Zmotoryzowana	0	0	0	32	5	37
ogółem	64	72	51	471	58	716

Podobnie jak inne korpusy zmechanizowane Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego (Frontu Południowo–Zachodniego), XV Korpus Zmechanizowany składał się z trzech części, bardzo różniących się pod względem gotowości bojowej. 212. Dywizja Zmotoryzowana (jak i inne „*dwusetne*” dywizje zmotoryzowane) była zupełnie surowa — sformowano ją na wiosnę 1941 roku. Brak pojazdów mechanicznych (założmy, że tak było naprawdę) i zaprzęgów konnych przemienił ją w mało ruchliwą dywizję strzelecką, co prawda wzmocnioną 37 czołgami lekkimi oraz 17 pływającymi

tankietkami T-37 i T-40. Zresztą mała ruchliwość 212. Dywizji Zmotoryzowanej w żaden sposób jej nie przeszkadzała. Zgodnie z rozkazem dowództwa frontu została ona na samym początku wojny wyprowadzona z korpusu i pozostawiona na miejscu stałego zakwaterowania w Brodach, z zadaniem obrony tego ważnego węzła komunikacyjnego. Sądząc ze wszystkich raportów, dywizja „bronila” Brodów do 28 czerwca, kiedy to miasto bez walki zajęła niemiecka piechota. Ze wspomnień Riabyszewa i Popiela wynika jednak, że żadnej dywizji w Brodach nie znaleźli. Już 1 lipca, gdy zaczął się gremialny odwrót jednostek XV Korpusu Zmechanizowanego, w rejonie Olejowa zaginęli: dowódca dywizji generał major Baranow i szef sztabu pułkownik Pierszakow. S. W. Baranow został ranny, dostał się do niewoli i umarł na tyfus w obozie jenieckim pod Zamościem w lutym 1942 roku.

Po stracie dowództwa 212. Zmotoryzowana szybko się rozpadła — za Dniepr do Piratyna 12 lipca z całej dywizji, „która miała prawie pełny stan osobowy czerwonoarmistów” i w gruncie rzeczy nie uczestniczyła w wielkich walkach, przedostało się zaledwie 745 żołnierzy.

Działania bojowe dywizji pancernych XV Korpusu Zmechanizowanego rozpoczęły się 22 czerwca o 9.50, kiedy idące w straży przedniej 10. Dywizji Pancernej 3. batalion 20. pułku pancernego i 2. batalion 10. pułku motocyklowego wyszły ku granicy na trasie Złoczów–Radziechów. Wieczorem o dziesiątej napotkały przeciwnika „w sile do dwóch batalionów piechoty z działami przeciwpancernymi” (prawdopodobnie były to oddziały czołowe 57. Dywizji Piechoty Wehrmachtu, która przerwała obronę sowieckich wojsk w rejonie Sokal–Krystynopol). „W wyniku walki zniszczono 6 dział przeciwpancernych przeciwnika oraz około plutonu piechoty. Nasze straty — 2 czołgi. Do końca 22.6 straż przednia zajęła Radziechów”. To był pierwszy i niestety ostatni sukces 10. Dywizji Pancernej oraz całego XV Korpusu Zmechanizowanego.

Tymczasem, o osiemnastej 22 czerwca, w kierunku na Radziechów–Łopatyn zaczęły się wysuwać główne siły 10. i 37. Dywizji Pancernej. Postawiono przed nimi śmiałe zadanie: „zniszczyć sokalską grupę przeciwnika, nie dopuścić do jej odwrotu na zachodni brzeg Bugu” (czyli w pierwszym dniu wojny sowieckie dowództwo przejmowało się, że agresor mógłby się wycofać na sąsiednie terytorium). Na początku pułki pancerne 10.

Dywizji Pancерnej ugrzęzły w bagnach (mniej więcej 15–20 km od miejsc stałej dyslokacji, a oddziały 37. Dywizji Pancерnej „o 14.00 23 czerwca otrzymały od dowódcy XV Korpusu Zmechanizowanego generała majora Karpezo, który właśnie przybył, zadanie zniszczenia czołgów przeciwnika w rejonie Adamy. Później okazało się, że czołgów przeciwnika w rejonie Adamy nie było”.

W tym czasie, gdy jednostki 10. i 37. Dywizji Pancерnej błąkały się po lasach i bagnach, 11. Dywizja Pancerna Wehrmachtu o godz. 5.15 23 czerwca spotkała się na przedmieściach Radziechowa ze strażą przednią 10. Dywizji Pancерnej. Wywiązała się walka, w której Niemcom stawiał opór nie XV Korpus Zmechanizowany ani nie jedna z jego dywizji, lecz jedynie dwa bataliony bez amunicji przeciwpancernej do T-34. „Wynik bitwy: zniszczono 20 czołgów przeciwnika, 16 dział przeciwpancernych i około plutonu piechoty. Utracono: czołgów BT — 20 sztuk, T-34 — 6 sztuk, zabitych — 7, rannych — 11, zaginionych — 32”. Wreszcie o trzeciej po południu do miejsca walki zbliżyły się dwa pułki 10. Dywizji Pancерnej (19. pułk pancerny wciąż taplał się w bagnach i jeszcze nie pokonał 40 km od Brodów do Radziechowa.

„Atak pułku strzelców zmotoryzowanych oraz 20. pułku pancernego 10. Dywizji Pancерnej, bez wsparcia artylerii, wobec zdecydowanie przeważających sił przeciwnika zajmujących korzystną rubież, był niepomysłny i Radziechów pozostał w jego rękach. Zniszczono 5 czołgów przeciwnika i 12 dział przeciwpancernych (...)”. O stratach własnych dywizji podczas tej bitwy raport dowódcy nic nie mówi.

Ta dziwna bitwa z 23 czerwca, podczas której sowieccy czołgiści zmuszeni byli drapać pancerze wrogich czołgów pociskami odłamkowymi, okazała się pierwszym i jedynym starciem XV Korpusu Zmechanizowanego z niemieckimi formacjami pancernymi (ściślej mówiąc, w połowie lipca 1941 roku resztki XV Korpusu w postaci oddziału złożonego z 21 czołgów i batalionu zbiorczego piechoty zmotoryzowanej pod komendą dowódcy 10. Dywizji Pancерnej generała majora Ogurcowa wzięły udział w wielodniowej bitwie pancерnej pod Berdyczowem). Niemcy, gdy poczuli wzrastający nacisk na południowe skrzydło 1. Grupy Pancерnej, wycofali się z Radziechowa do Beresteczka (gdzie już wieczorem 23 czerwca zdobyli najważniejsze przeprawy na Styrze) i dalej szosą na Dubno. A w tym czasie jednostki XV Korpusu Zmechanizowanego (pląsające jak bokser na ringu, nim zada cios)

wykonywały jakieś chaotyczne ruchy wewnątrz trójkąta Radziechów–Brody–Busk. Oddziały 10. i 37. Dywizji Pancерnej, nieprzerwanie zmieniając się na różnych rubieżach wyjściowych, poganiane rozkazami dowództwa korpusu i frontu, to szykowały się do natarcia na Beresteczko, to do powtórnego natarcia na Radziechów, to znów do odparcia ataku nie istniejącego przeciwnika, „który się przebił na Brody”, albo zgoła do odejścia do Tarnopola... Aczkolwiek boki owego trójkąta nie miały więcej niż 50–60 km, 10. i 37. Dywizja Pancerna wyrabiały (sądząc z raportu dowództwa XV Korpusu Zmechanizowanego) po 10–13 motogodzin dziennie.

Cały ten bałagan zakończył się o szóstej wieczorem 26 lipca sceną zaiste z horroru.

W raporcie o działaniach bojowych XV Korpusu Zmechanizowanego czytamy:

„18 samolotów nieprzyjacielskich przeprowadziło ciężki nalot na punkty dowodzenia korpusu (...). Bombardowanie trwało 50 minut, w jego wyniku zostało rannych 2 czerwonoarmistów, a 1 został zabity”.

18 samolotów, pięćdziesięciminutowe bombardowanie, a straty — trzech ludzi? W tym nalocie zginął dowódca korpusu, generał major Ignatij Iwanowicz Karpezo. Towarzysze natychmiast pochowali go w pobliskim lesie pod Toporowem. Ale wtem na rozbite stanowisko dowodzenia korpusu przybył Iwan Wasiliewicz Łutaj, zastępca dowódcy do spraw politycznych, prościej mówiąc — komisarz korpusu. Przybył, wysłuchał meldunku o śmierci dowódcy i kazał rozkopać świeży grób. Pisarz frontowiec Władimir Wasiliewicz Karpow, członek KC KPZR ostatniej kadencji, ostatni pierwszy sekretarz zarządu Związku Pisarzy ZSRS, w swojej znanej książce — peanie ku czci mądrego Marszałka Zwycięstwa — tak tłumaczy postępowanie komisarza: Iwan Wasiliewicz rzekomo z tego nieszczęścia stracił panowanie nad sobą i zaczął rozpaczać nad grobem jak histeryczna panna... Trudno w to uwierzyć. Nasi komisarze i życiorysy, i wychowanie mieli zbyt surowe, żeby można ich było sobie wyobrazić w takiej scenie. Pośpiech podwładnych widocznie zaniepokoił Łutaja, który — raczej z naganem w dłoni niż ze łzami w oczach — postanowił osobiście upewnić się co do Przyczyny śmierci dowódcy korpusu. Grób rozkopano — Karpezo był żywy, co prawda bez przytomności, ciężko kontuzjowany. Czujność i upór Łutaja ocaliły życie generała (I. I. Karpezo dożył 1987 roku i odszedł na tamten świat w wieku 89

lat), ale nikomu nie udało się ocalić XV Korpusu Zmechanizowanego od klęski, ku której niepowstrzymanie się staczał.

Gdy dwie dywizje pancerne XV Korpusu miały się po bagnistym lesie, rejon Radziechów–Beresteczko zajęli Niemcy (262., 297., 57. i 75. Dywizja Piechoty), którzy korzystając z kunktatorstwa dowództwa XV Korpusu Zmechanizowanego, pośpiesznie utworzyli rubież obronną na brzegach drobnych leśnych rzeczek Radostawki, Słonówki i Plaszewki. Kontuzja dowódcy korpusu i trwająca od 26 czerwca karuzela rozkazów dowództwa Frontu Południowo–Zachodniego (cofać się na Tarnopol czy nacierać na Beresteczko?) doprowadziły do tego, że dywizje pancerne XV Korpusu dopiero rano 28 czerwca przeszły do ogólnego natarcia.

I oto zbliżyliśmy się do głównej kwestii: w jakim składzie 10. i 37. Dywizja Pancerna rozpoczęły natarcie 28 czerwca? Straty 10. Dywizji Pancernej w bitwie z 23 czerwca i w następnych starciach z przeciwnikiem opisano — szczegółowo, uwzględniając każdy dzień i każde starcie — w raporcie podpisanym 2 sierpnia przez pułkownika Jermołajewa, który po ranieniu Karpeza objął obowiązki dowódcy XV Korpusu Zmechanizowanego. Co się tyczy 37. Dywizji Pancernej, to do 28 czerwca wcale nie miała ona kontaktu bojowego z przeciwnikiem, a zatem i strat własnych — w tym spowodowanych atakami z powietrza. Zestawmy wszystkie dostępne informacje w dwóch tabelach:

10. Dywizja Pancerna	KW	T-34	T-28	BT-7	T-26	ogółem
było w dywizji wg stanu na 22 czerwca	63	38	51	181	30	363
z nich sprawne i wymaszerowały	63	37	44	147	27	318
straty bojowe 22–26 czerwca	13	6	0	32	2	53
faktyczny stan na koniec 26 czerwca	10	5	4	20	0	39
	40	26	40	95	25	226

37. Dywizja Pancerna	KW	T-34	BT-7	T-26	ogółem
było w dywizji wg stanu na 22 czerwca	1	34	258	23	316
pozostawiono w Krzemieńcu	1	0	15	10	26
straty bojowe 22–26 czerwca	0	0	0	0	0
faktyczny stan na koniec 26 czerwca	0	29	185	7	221
		5	58	6	69

A zatem najsilniejsza w XV Korpusie Zmechanizowanym (oraz jedna z najlepiej wyposażonych i wyszkolonych w całej Armii Czerwonej) 10. Dywizja Pancerna w ciągu pięciu dni zamieniła się w mocno wystrzępiony batalion pancerny. Z 318 czołgów sprawnych 22 czerwca w szyku do końca 26 czerwca pozostało zaledwie 39. Straty „nieznanego pochodzenia” wyniosły 226 czołgów. W ciągu pięciu dni. Nawet jeżeli przypuścimy, że w raporcie dowódcy dywizji przeoczono jakieś straty bojowe w epizodycznych starciach z niemieckimi jednostkami piechoty, to owa niedokładność w żaden sposób nie tłumaczy różnicy między stratami bojowymi (53 czołgi) i ogólnymi (279 czołgów). Wrażenie sprawia zwłaszcza dynamika i struktura strat trzywieżowych T-28, które znikają po cichu, choć zapewne nawet nie zdążyły oddać jednego strzału do przeciwnika. Jeżeli wierzyć raportowi, czterdziestośmiotonne KW z grubym na 75 mm pancierzem ani trochę pod względem żywotności nie górowały nad lekkimi BT-7 i T-26 z opancerzeniem chroniącym ledwie przed ogniem broni strzeleckiej. A najbardziej zadziwiające jest to, że ani w raportach p.o. dowódcy dywizji, ani w raporcie p.o. dowódcy korpusu tych krzyczących faktów ani słowem się nie komentuje!

W 37. Dywizji Pancerniej na razie sprawy miały się znacznie lepiej. 221 z 316 czołgów gotowych było do walki. 26 innych czekało na swój czas w miejscu stałej dyslokacji dywizji w Krzemieńcu. Trzy czwarte ogólnej liczby „beznadziejnie przestarzałych” BT-7 wytrzymało wielodniowe bezsensowne miotanie się po leśnych drogach i sądząc z raportu dowódcy dywizji, na razie jeszcze były sprawne.

Rano 28 czerwca XV Korpus Zmechanizowany (wraz z przydzieloną mu 8. Dywizją Pancerną z IV Korpusu Zmechanizowanego, która, jak już napisałem, „skurczyła się” do 65 czołgów) przeszedł do natarcia w ogólnym kierunku Busk-Łopatyn-Beresteczko. Do tego czasu czołgi przeciwnika odjechały już od Beresteczka daleko na wschód, do Równego i Ostroga, więc XV Korpus Zmechanizowany mógł napotkać tylko poszczególne oddziały 297. i 262. Dywizji Piechoty Wehrmachtu. Relacje o bitwie 28 czerwca w raporcie p.o. dowódcy XV Korpusu Zmechanizowanego poprzedza długa lista wyjaśnień, dlaczego uderzenie pięści pancernej było skazane na klęskę. A przecież korpus, nawet po zagadkowych zniknięciach, wciąż miał przeszło 300 czołgów. Oto niektóre przyczyny:

„*Teren. W pasie natarcia korpusu do Beresteczka jest pięć poważnych przeszkód wodnych, rzeki: Radostawka, Ostrówka, Rzeczka, Łoszówka i Sokołówka. Brzegi wszystkich tych rzek są bagniste i trudno dostępne dla czołgów. Cały teren w pasie natarcia jest lesisto–bagienny, dominujące wzniesienia leżą po stronie przeciwnika. Wniosek? Teren nie sprzyja natarciu*”.

Z takim wnioskiem nie ma co dyskutować. Pozostaje tylko pytanie: w jakim terenie nacierały dywizje 1. Grupy Pancерnej Wehrmachtu? Jak im udało się pokonać potężne leśne ruczaje nie naniesione na żadną mapę (Radostawkę, Ostrówkę, Rzeczkę, Łoszówkę i Sokołówkę), a także Bug Zachodni, Styr, Horyń, Słucz, potem zaś również Dniepr? Skąd w bagnistym lesie pojawiły się „*dominujące wzniesienia*” i dlaczego znalazły się one w rękach przeciwnika, który pojawił się w tym lesie zaledwie kilka dni (albo nawet godzin) wcześniej? Zresztą w tej kwestii dowódca korpusu wzorem przełożonych wyższej rangi jedynie płynął w „*ogólnym nurcie*” narzekań na teren i na wstrętne przeciwnika. I tak jeszcze 3 lipca 1941 roku szef zarządu pancerno–samochodowego Frontu Południowo–Zachodniego w raporcie dla Głównego Zarządu Pancerno–Samochodowego Armii Czerwonej tłumaczył „*ogromne straty i brak zdolności bojowej sprzętu, który pozostał*”, tym... że korpusom zmechanizowanym wypadło działać „*na terenie lesisto–bagiennym, prawie niedostępnym dla czołgów, w warunkach zaciętego oporu ze strony przeważających sił (??? — M. S.) przeciwnika i braku amunicji przeciwpancernej do KW i T–34*”. To ostatnie bezsprzecznie jest prawdziwe. Ale kto powinien był zatroszczyć się o to, by chociażby mała część ze 132 tysięcy nabojów przeciwpancernych kalibru 76 mm została dostarczona do tego okręgu wojskowego, który otrzymał więcej czołgów KW i T–34 niż wszystkie pozostałe okręgi wojskowe razem wzięte? Jak szef zarządu pancerno–samochodowego Kijowskiego SOW mógł spokojnie jeść, spać, wykonywać obowiązki małżeńskie i służbowe, wiedząc, że dywizje pancerne stacjonujące nad granicą nie mają amunicji przeciwpancernej? A może dowiedział się o tym dopiero 3 lipca?

Opisy walk 28 czerwca w raportach dowódców XV Korpusu Zmechanizowanego oraz 10. i 37. Dywizji Pancерnej są bardzo rozwlekłe i zawikłane. Krótki konspekt wygląda mniej więcej tak:

„W ciągu dnia jednostki toczyły walkę o zdobycie Łopatyna (...). Nacierające jednostki 10. DPanc zostały zatrzymane przed torfowymi bagnami, w których rejonie jedyna droga okazała się zupełnie nieprzejezdna dla czołgów (...). Podczas walk o Łopatyn, na rubieży rzeki Ostrówka, jednostki nacierające zostały okrążone przez piechotę przeciwnika (? — M. S.). Bezcelowe (??? — M. S.) było pozostawianie 10. DPanc w tym rejonie na noc, będąc w okrążeniu. Mogło to doprowadzić do utraty całej dywizji (...).

Ponosząc znaczne straty i nie mając wystarczającego wsparcia czołgów (??? — M. S.), pułk strzelców zmotoryzowanych 37. DPanc zmuszony był wstrzymać natarcie i przejść do obrony na zachodnim brzegu rzeki Styr (...). Na skutek czasowej utraty dowodzenia 73. pułkowi pancernemu 37. DPanc z trudem udało się przepłynąć na zachodni brzeg Styru (...). To umożliwiło resztkom batalionu przeciwnika broniącego przeprawy przy Stanisławczyku (batalion piechoty przeciwko dywizji pancernej — M. S.) wycofanie się do lasu (...). Próba przepłynięcia się mostami przez rzekę Ostrówkę była bezskuteczna, ponieważ 2–3 czołgi prowadzące, które podeszły do mostu, zostały momentalnie trafione i zapaliły się. Kilka czołgów usiłowało ominąć most z prawa i z lewa, ale okazało się to niemożliwe: czołgi ugrzęzły w bagnie i zostały zniszczone przez artylerię przeciwnika (...). Z takiej sytuacji jasno wynikało, że nie ma sensu kontynuować ataku bez artylerii, piechoty i lotnictwa. Z drugiej strony ryzykowne było również pozostawianie na osiągniętej rubieży na południowym brzegu rzeki Ostrówka (...).

Z nadejściem zmroku dowódca XV KZmech wydał rozkaz wycofania jednostek 10. DPanc na wschód do rejonu 37. DPanc, a następnie, w związku z tym, że 37. DPanc już zeszła z pola walki (??? — M. S.), wydał rozkaz wycofania się i powrotu na pozycje wyjściowe”.

Trudno uwierzyć, że wszystko to działo się na własnym terenie, w rejonie stałej przedwojennej dyslokacji XV Korpusu Zmechanizowanego, gdzie dowódcy powinni doskonale znać każdą drogę, ścieżynę, rów i most. Trudno uwierzyć, że mamy przed sobą opis działań bojowych korpusu, w którego składzie były oddziały pontonowo–mostowe, inżynieryjne, remontowo–ewakuacyjne, zwiadowcze. Na każdy czołg w XV Korpusie Zmechanizowanym przypadało (1 czerwca 1941 roku) 45 żołnierzy. Spośród nich do załogi czołgu należało nie więcej niż pięciu (w KW; w BT — trzech). Pozostali mieli zabezpieczać działania bojowe czołgistów zwiadem,

remontem, paliwem, amunicją, mostami, przeprawami i — najważniejsze — dowodzeniem...

Straty czołgów 10. Dywizji Pancерnej wykazano konkretnie: 1 KW, 1 T-34, 7 BT-7. Zbiorczy pułk 8. Dywizji Pancерnej stracił 11 czołgów nie wymienionych typów. O stratach czołgów 37. Dywizji Pancерnej brak danych, ale sądząc z opisu walk, straciła ona nie więcej niż 15–20 maszyn. Rano 29 czerwca XV Korpus Zmechanizowany został przeniesiony do „*odvodu frontu*”, co praktycznie oznaczało nieustanny odwrót w stronę Dniepru. W dniu dziwnej bitwy z 28 czerwca 10. Dywizja Pancerna straciła (sądząc z raportu dowódcy) 7 żołnierzy: 1 został zabity, 6 odniosło rany. Natomiast ogółem w ciągu kilku dni walk i wielodniowego marszu na wschód dywizja straciła 210 zabitych, 587 rannych i 3353 zaginionych, „*opóźnionych w marszu*” i innych.

37. Dywizja Pancerna, której cały udział w tym, co nazwano kontruderzeniem korpusów zmechanizowanych Frontu Południowo-Zachodniego, sprowadził się do bezradnych prób odrzucenia batalionu niemieckiej piechoty od przeprawy pod miasteczkiem Stanisławczyk, straciła 75 procent składu osobowego. Do rejonu koncentracji pod Piratynem (za Dnieprem) doszło 467 oficerów starszych, 423 młodszych i 1533 szeregowych. Mówiąc prościej, cofając się do Dniepru, dywizja niemal cała się rozplynęła.

Stan taboru pancernego XV Korpusu Zmechanizowanego był następujący:

10. Dywizja Pancerna	KW	T-34	T-28	BT-7	T-26	ogółem
stan faktyczny na koniec 26 czerwca	10	5	4	20	0	39
straty bojowe 28 czerwca	1	1	0	7	0	9
stan faktyczny 6 lipca	2	3	1	12	2 (?)	20

37. Dywizja Pancerna	T-34	BT-7	T-26	ogółem
stan faktyczny na koniec 26 czerwca	29	185	7	221
straty bojowe 28 czerwca				20
stan faktyczny 6–8 lipca	2	12	0	14

Gdy p.o. dowódcy 10. Dywizji Pancерnej podpisywał raport, czołgów w dywizji już nie było. Ani jednego. Napisano to w samym raporcie. Znajduje się w nim również tabela z „*wyjaśnieniem*”, dlaczego doszło do utraty czołgów. Ale pierwsze, co się rzuca w oczy, to ogromna różnorodność

przyczyn. Zamiast jasnej i zrozumiałej klasyfikacji: zniszczone przez przeciwnika, utracone z przyczyn technicznych, porzucone — autorzy wymyślili zawiły podział na dziesięć kategorii przyczyn:

- 1) rozbite i spalone na polu bitwy;
- 2) unieruchomione podczas wykonywania zadania bojowego i pozostałe na terenie zajęтым przez przeciwnika;
- 3) nie wróciły z załogami z pola bitwy po ataku;
- 4) spłonęły w wyniku bombardowań (od razu zauważmy, że w tej kategorii był tylko jeden czołg, BT-7 — M. S.);
- 5) pozostały z załogami w okrążeniu z powodu usterek technicznych lub braku paliwa i smarów;
- 6) pozostały z powodu braku paliwa i niemożności dostarczenia go, ponieważ rejon był zdobyty przez przeciwnika;
- 7) zaginęły z załogami;
- 8) zniszczone na punktach zbornych maszyn uszkodzonych w związku z niemożnością ich ewakuowania podczas odwrotu;
- 9) pozostawione podczas odwrotu z usterkami technicznymi oraz z braku możliwości ewakuacji;
- 10) ugrzęzły na przeszkodach, bez możliwości wyciągnięcia i ewakuowania.

Do strat spowodowanych przez przeciwnika wyraźnie należą tylko punkty 1 i 4. O co konkretnie chodzi w punktach 2 i 3, nie bardzo wiadomo. Jeżeli czołg nie „spłonął w wyniku bombardowań” (punkt 4) lub nie został „rozbity i spalony na polu bitwy” (punkt 1), to z jakiejż to przyczyny „nie wrócił z załogą z pola bitwy po ataku”? Czołg nie jest przecież bombowcem dalekiego zasięgu, który poleciał na tyły wroga i nikt go więcej nie widział, bitwa pancerna odbywa się na oczach tysięcy ludzi... Czym punkt 2 różni się od punktu 1? Ściślej, poczynając od rana 22 czerwca, wszystkie straty czołgów można sprowadzić do kategorii „unieruchomione podczas wykonywania zadania bojowego”. Po gwałtownym (w poszczególnych dniach po 150–200 km) lipcowym odwrocie na wschód wszystkie bez wyjątku czołgi pozostały „na terenie zajęтым przez przeciwnika”. Nie należy również zapominać, że raport ten pisano w końcu lipca 1941 roku, kilkaset kilometrów od miejsca zdarzeń, w warunkach, które zupełnie wykluczały możliwość obejrzenia

utraconych maszyn i zweryfikowania podanych przyczyn zniknięcia trzystu czołgów...

Aby ta statystyka nabrała jakiegokolwiek sensu, należy połączyć punkty 4–10 („nie zniszczone przez przeciwnika”). W takim wypadku rysuje się następujący obraz:

10. Dywizja Pancerna	KW	T-34	T-28	BT-7	T-26	ogółem
sprawne i weszły do boju 22 czerwca	63	37	44	147	27	318
straty bojowe	11	20	4	54	7	96
domniemane bojowe	11	4	4	5	5	29
nie zniszczone przez przeciwnika	34	8	36	41	12	131
	7	5	0	47	3	62

Tak więc dwie trzecie czołgów, które wieczorem 22 czerwca były całkowicie sprawne, utracono bez udziału przeciwnika.

Między innymi 41 spośród 63 „nieprzebijalnych” czołgów KW. Znamienne, że dla wytłumaczenia przyczyn utraty 62 czołgów (tyle liczyła brygada pancerna według etatu z jesieni 1941 roku) nie nadaje się żadne z owych dziesięciu sformułowań. Te straty autorzy raportu po prostu przemilczeli.

Liczby w raportach i sprawozdaniach z 1941 roku należy sprawdzać, a nie po prostu w nie wierzyć. Kolejnym potwierdzeniem tego są napotykanne w tych raportach zupełnie fantastyczne doniesienia o stratach przeciwnika:

„W wyniku działań bojowych 32. Dywizja Pancerna (IV KZmech) od 22.6 do 14.7.41 r. zniszczyła ogółem 113 czołgów, 96 dział przeciwpancernych, 463 motocykle, 4 samochody osobowe, 93 samochody ciężarowe, 3 ciągniki, 8 samolotów, 80 dział, 10 moździerzy, 3916 żołnierzy i oficerów przeciwnika (...).

10. Dywizja Pancerna zniszczyła: czołgów — 128, dział przeciwpancernych — 198, innych dział — 117, samolotów — 20, ciężarówek — 81, moździerzy — 26 i piechoty do 2,5 tysiąca ludzi (...).

Łącznie w okresie od 22.6 do 10.7.41 r. jednostki 37. Dywizji Pancерnej zniszczyły: około 4 batalionów piechoty, 24 czołgi, 8 tankietek, 16 dział przeciwpancernych, 4 działa 76 mm, 44 pojazdy transportowe, 19 motocykli,

20 samolotów, 1 samochód pancerny, 1 cysterne, 2 samochody osobowe, około dywizjonu artylerii (...).

Wojska VIII Korpusu Zmechanizowanego, bez grupy N. K. Popiela, zniszczyły 4 bataliony motocyklowe i 5 batalionów piechoty, około 200 czołgów, ponad 100 dział różnych kalibrów, 9 samolotów i wzięły do niewoli przeszło 300 żołnierzy i oficerów przeciwnika (...). Grupa N. K. Popiela w walkach pod Dubnem zniszczyła przeszło 200 czołgów i około 5 batalionów piechoty przeciwnika”.

W sumie trzy korpusy zmechanizowane Frontu Południowo–Zachodniego (IV, VIII i XV KZmech) „zniszczyły” w czasie pierwszych dwóch tygodni wojny — i to jeszcze bez uwzględnienia „sukcesów” 8. Dywizji Pancерnej oraz 81. i 212. Dywizji Zmotoryzowanej — 665 czołgów, 8 tankietek, 611 dział, a nawet 48 samolotów przeciwnika. Tymczasem w dwóch dywizjach pancernych Wehrmachtu (11. i 16.), z których oddziałami przynajmniej teoretycznie mogły się zetknąć IV, VIII i XV Korpus Zmechanizowany, było zaledwie 289 czołgów. Ich rzeczywiste nieodwracalne straty do początku września (czyli dwa miesiące po tak zwanej bitwie pancерnej na Ukrainie Zachodniej) wyniosły:

— 39 czołgów (4 PzKpfw IV, 24 PzKpfw III, 10 PzKpfw II, 1 PzBfWg)

11. Dywizji Pancерnej;

— 66 czołgów (10 PzKpfw IV, 36 PzKpfw III, 16 PzKpfw II, 4 PzBfWg) 16. Dywizji Pancерnej.

ROZDZIAŁ 16. O MOŹDZIERZACH I „PÓŁTORATONÓWKACH”

Dokumenty ujawniające szczegóły fenomenalnego „pomoru” czołgów, który w pierwszych tygodniach wojny padł na Armię Czerwoną, zostały odtajnione ponad czterdzieści lat temu. Na tym egzemplarzu **Zbioru dokumentów bojowych nr 35 Wielkiej Wojny Ojczyźnianej**, którym się posługiwałem i z którego zaczerpnąłem większą część informacji podanych w dwóch poprzednich rozdziałach, przybito niebieską pieczęć: „*Odtajniono. Dyrektywa SzG nr 203995 z 30.11.65 r.*” Jednakże w naszym kraju odtajnienie i udostępnienie to wcale nie to samo. W gruncie rzeczy po dziś dzień dokumenty te nie są znane — a szczerze mówiąc, również niedostępne — „*szerokiej publiczności*”. Ale co ciekawe: sowieccy „*historycy*”, wciąż z upojeniem kłamiąc „*o wielokrotnej przewadze liczebnej czołgów przeciwnika*”, zaczęli zawczasu szykować się na to, że szydło jednak wyjdzie z worka. Jeszcze w latach największego „*zastoju*” zdążyli ogłosić miastu i światu, że sowieckie czołgi były zawodne, prymitywne, zużyte, przeterminowane, słowem — rozpadały się w biegu. Takimi czołgami nie tylko nie można było walczyć, ale nawet przejechać 100 km od punktu A do punktu B...

Niestety to nie żarty. W ciągu czterdziestu lat rozpowszechniano brednie, że na początek wojny „*trzy czwarte czołgów starych typów wymagało remontu*”, w tym 29 do 44 procent — „*remontu kapitalnego*”. Tak pisano nie w fabrycznej gazetce ściennej, ale w wydawnictwach z pretensjami do fundamentalności. To smutne, lecz nawet autorzy takiej autorytatywnej pracy jak **Nadruk „tajne” usunięty** nie zawahali się donieść czytelnikom, że z 14,2 tysiąca sowieckich czołgów, które 22 czerwca 1941 roku były w służbie czynnej, „*całkowicie gotowych do walki było 3,8 tys.*”. I chociaż rzeczywiste dane o stanie technicznym czołgów znane są co najmniej od listopada 1993 roku (kiedy to w numerze 11 „**Wojenno–istorieskiego zurnała**” ukazała się znana publikacja N. Zołotowa i S. Isajewa ***Byliśmy gotowi do boju***, to trzy czwarte niesprawnych czołgów wciąż pełza po stronach najnowszych książek i artykułów. N. Zołotow i S. Isajew ukazali również ów zaiste kunsztowny sposób, za którego pomocą zbudowano tę trwającą przez lata falsyfikację.

Chodzi o to, że na podstawie rozkazu nr 15 z 10 stycznia 1940 roku wydanego przez Ludowy Komisariat Obrony ZSRS przewidywano podział sprzętu pancernego na następujące pięć kategorii:

1. Nowe, nie będące w eksploatacji i całkowicie nadające się do wykorzystania zgodnie z przeznaczeniem;
2. Znajdujące się w eksploatacji, całkowicie sprawne i nadające się do wykorzystania zgodnie z przeznaczeniem;
3. Wymagające naprawy w warsztatach okręgu (remont średni);
4. Wymagające naprawy w warsztatach centralnych i fabrykach (remont kapitalny);
5. Niezdatne (czołgi tej kategorii wycofywano z użytku i nie wpisywano ich do rejestru).

Mam nadzieję, że czytelnik już się domyślił, w jaki sposób mieszały mu w głowie sowieccy „historycy”: za gotowy do walki uznali tylko sprzęt pierwszej kategorii, czyli zupełnie nowe czołgi, a maszyny drugiej kategorii zaliczyli do wymagających naprawy. Aby w pełni to pojąć, wyobraźcie sobie, że drogówka wydaje świadectwo przeglądu technicznego tylko właścicielom nowych aut, którymi nie jeżdżono nawet jeden dzień...

Ostatni przed wojną *„Rejestr posiadania i stanu technicznego pojazdów bojowych wg stanu na 1 czerwca 1941 roku, (CAMO, t. 38, op. 11353, d. 924, s. 135–138, d. 909, s. 2–19)* świadczy o tym, że w pięciu zachodnich okręgach pogranicznych były (nie licząc tankietek T-27, przestarzałych i usuniętych z jednostek bojowych) 12 782 czołgi, spośród których „zdatnych do wykorzystania zgodnie z przeznaczeniem” było 10 540 czołgów (82 procent całego taboru). Między innymi Kijowski Specjalny Okręg Wojskowy (przyszły Front Południowo–Zachodni) miał 5465 czołgów, spośród nich do pierwszej i drugiej kategorii zaliczono 4788 (87,6 procent). Liczby te nie obrazują jednak stanu technicznego czołgów znajdujących się w korpusach zmechanizowanych Kijowskiego SOW. Chodzi o to, że czołgów było w okręgu więcej. Osiem (XX, XV, IV, VIII, XVI, IX, XIX i XXV) korpusów zmechanizowanych Kijowskiego SOW miało „tylko” 4808 czołgów z 5465 należących do okręgu. Ponad sześćset znajdowało się w batalionach zwiadu dywizji strzeleckich, w pułkach pancernych dywizji kawalerii, w ośrodkach szkoleniowych, bazach remontowych i magazynach. Mamy wszelkie podstawy, by przypuszczać, że właśnie do korpusów zmechanizowanych,

wcale nie do dywizji strzeleckich, nadeszły nowe (lub prawie nowe) czołgi, odpowiednio więc i odsetek maszyn „zdatnych do wykorzystania zgodnie z przeznaczeniem” w korpusach zmechanizowanych był jeszcze wyższy niż przeciętnie w okręgu.

Teraz „podkreśmy powiększenie” i zobaczmy, jak się miały sprawy ze stanem technicznym i naprawami sprzętu w jednym ze związków taktycznych Armii Czerwonej, a mianowicie 10. Dywizji Pancerniej XV Korpusu Zmechanizowanego — tej, o której mówiliśmy w końcu poprzedniego rozdziału, że poniosła nieprawdopodobne straty w sprzęcie. Z ogólnej liczby 363 czołgów rano 22 czerwca było sprawnych i wyszło w pole 318 (88 procent). Czy mogły zajechać daleko? Otwieramy „*Raport o działaniach bojowych 10. Dywizji Pancerniej na froncie walki z niemieckim faszyzmem*” i czytamy: „(...) czołgi KW i T-34 Wszystkie bez wyjątku były nowe i do chwili rozpoczęcia działań bojowych przepracowały do 10 godzin (w zasadzie zostały dotarte — M. S.) (...).

Czołgi T-28 miały resurs silnika przeciętnie do 75 motogodzin (...).

Czołgi BT-7 miały resurs silnika od 40 do 100 motogodzin (...).

Czołgi T-26 były w zasadzie w dobrym stanie technicznym i przepracowały zaledwie po 75 motogodzin”.

W wydanej w 1938 roku *Instrukcji eksploatacji i obsługi taboru* ustalono następujące minimalne przebiegi międzyremontowe silników:

- dla T-28 — 200 motogodzin;
- dla BT-7 — 200 motogodzin;
- dla T-26 — 150 motogodzin.

Liczby te wcale nie mówią o tym, że w 151 godzinie przebiegu silnik czołgu T-26 niechybnie musi się zepsuć. Nic podobnego, chodzi jedynie o to, że co 150 godzin pracy silnika należy przeprowadzić zespół czynności, na które składa się remont średni. Regularne prowadzenie remontów średnich zapewnia silnikowi pracę w ciągu przepisowych 600 godzin przed remontem kapitalnym (400 godzin dla T-28, 600 godzin dla BT-7). Remont średni wykonuje się w wojskowych warsztatach naprawczych i bazach, a tylko na przeprowadzenie remontu kapitalnego należy czołg załadować na platformę kolejową i wyprawić do fabryki albo do dużych, centralnych ośrodków naprawczych. I tak w 10. Dywizji Pancerniej w pierwszych trzech tygodniach wojny wykonano 240 bieżących i 61 średnich napraw czołgów — i to podczas

katastrofalnego pogromu i odwrotu! Nie ma się co dziwić: w dywizji pancernej na jeden czołg przypadało 30 ludzi. Miał się kto zająć remontem, obsługą techniczną, profilaktycznym przeglądem sprzętu bojowego.

Teraz od resursu przejdźmy do — zrozumiałych dla każdego — kilometrów. Przy bardzo skromnej (a dla czołgu szybkiego BT absurdalnie niskiej) prędkości marszowej 10 km/h „żałosna resztką” 75–100 godzin pracy silnika zamienia się w 750–1000 km. Dla autobusu, który od rana do wieczora wozi pasażerów, jest to dystans znikomy. Dla czołgu — więcej niż wystarczający. Na wojnie czołgi tak długo nie „żyją”. Wielka operacja ofensywna w skali frontu wymaga pokonania 200–300 kilometrów. Z uwzględnieniem manewrowania — niezbędnego w warunkach wielodniowych walk — liczby te należy zwiększyć 1,5–2 razy, do 500–600 km. Koniec. Czołg, który „dożył” do końca wielkiej operacji frontowej, całkowicie zwrócił koszty swojej produkcji i eksploatacji. Później można go z czystym sumieniem skreślić z rejestru albo posłać do remontu kapitalnego. A co z wojną? Wojna — ściślej ofensywa — i tak się zatrzymała. Oprócz międzyremontowych okresów pracy sprzętu są jeszcze „okresy międzyoperacyjne”, przerw w operacjach, nie określone w żadnej instrukcji.

Podczas II wojny światowej żadna armia (z jednym znanym wyjątkiem z lata i jesieni 1941 roku) nie mogła nacierać bezustannie. Uważny czytelnik zapamiętał, że według sowieckich normatywów trzeba było zużyć kilotonę amunicji haubicznej, by unieszkodliwić środki ogniowe dywizji piechoty Wehrmachtu. Ale wielka operacja ofensywna w skali frontu przewiduje zniszczenie nie jednej, lecz kilkudziesięciu dywizji przeciwnika. I ogień do przeciwnika mają prowadzić nie tylko haubice, ale też karabiny maszynowe, moździerze, armaty dywizyjne, przeciwpancerne i przeciwlotnicze. A zatem do rejonu koncentracji i rozwinięcia nacierających wojsk trzeba dostarczyć dziesiątki i setki tysięcy ton pocisków, bomb lotniczych, żywności, paliw (na „łuk kurski” przyjechało ponad 9 tysięcy pociągów — nie wagonów, ale właśnie pociągów — z amunicją.). Te cyklopowe góry drewnianych skrzyń trzeba zawieźć koleją na ustalone w planie operacji stacje zaopatrzeniowe, wyładować z wagonów, załadować do samochodów, dowieźć do pozycji ogniowych każdej baterii... Oto dlaczego wojny połowy XX wieku odbywały się w „reżimie częstotliwościowo-impulsowym”: jeden–dwa miesiące gromadzenia zapasów, a następnie miesiąc walk ofensywnych — i wszystko

powtarza się od nowa. Właśnie podczas tych absolutnie niezbędnych przerw operacyjnych miały się odbywać średnie i kapitalne naprawy ocalałych i nadających się jeszcze do naprawy czołgów.

W rzeczywistości lat 1943–1945 odbywało się to tak:

„Podczas walk dostawy czołgów do jednostek były zjawiskiem bardzo rzadkim. Dlatego odbudowa uszkodzonego sprzętu pancernego w trakcie walk i szybki jego powrót na front to najważniejszy środek uzupełniania strat czołgów. Na przykład w 3. Gwardyjskiej Armii Pancerniej podczas operacji lwowsko–sandomierskiej” (latem 1944 roku) liczba wyremontowanych czołgów i dział samobieżnych znacznie przewyższała liczbę maszyn bojowych, które miała ta armia na początku operacji. Inaczej mówiąc, w ciągu jednej operacji każdy czołg (działo samobieżne) „był unieruchomiony dwa–trzy razy (tu i dalej podkreślenie moje — M. S.) i tyleż razy wracał do walczących jednostek (...).

Analiza strat armii pancernych w 11 operacjach ofensywnych pozwala dostrzec kilka ważnych elementów rozpatrywanego problemu.

Po pierwsze, bezpowrotne straty armii pancernych w operacji ofensywnej, która trwała przeciętnie 15–20 dni, wynosiły około 25 procent początkowej liczby czołgów i dział samobieżnych, a ogólne straty — około 82 proc.

Po drugie, pojazdy bojowe wymagające odbudowy stanowiły do 70 proc. strat łącznych (czyli 57 procent początkowej liczby czołgów — M. S.). Wśród maszyn przeznaczonych do odbudowy było mniej więcej 70 proc. czołgów i dział samobieżnych unieruchomionych na skutek uszkodzeń w boju, a 30 proc. (czyli zaledwie 17 procent wielkości początkowej — M. S.) na skutek ugrzęźnięcia i usterek technicznych (...). Remonty w stosunku do liczby czołgów i dział samobieżnych posiadanych na początku operacji stanowiły od 115 proc. (operacja biełgorodzko–charkowska, 1. Gwardyjska Armia Pancerna) do 221 proc. (operacja wiślańsko–odrzańska, 2. Gwardyjska Armia Pancerna)”.

Są to wyjątki z monografii **Uderzenie pancerne**. Autor — generał armii Aleksiej Iwanowicz Radziejewski, rektor Akademii Wojskowej im. Frunzego, podczas wojny szef sztabu 2. Gwardyjskiej Armii Pancerniej. Wśród mnóstwa innych dokumentów zamieścił on w tej monografii wielce ważne — dla

zrozumienia przyczyn i okoliczności „pomoru” czołgów w czerwcu 1941 roku — dane o stratach ludzkich wojsk pancernych w bitwach lat 1943–1945.

„Straty armii pancernych w operacjach ofensywnych wahały się od 7,2 do 24,9 procent stanu osobowego z początku ofensywy. Między innymi 3. Gwardyjska Armia Pancerna straciła w operacji lwowsko–sandomierskiej 14,5 procent żołnierzy, a 4. Armia Pancerna w operacji brzesko–lubelskiej — 10,2 procent. Straty bezpowrotne stanowiły od 16 do 30,8 procent strat ogólnych (największe poniosła 1. Armia Pancerna w operacji biełgorodzko–charkowskiej — 60 procent stanu wyjściowego — M. S.). Szczególnie należy podkreślić, że mniej więcej 90 proc. strat stanowił stan osobowy oddziałów i jednostek strzelców zmotoryzowanych. Natomiast czołgiści ponosili mniejsze straty. Stosunek między stratami bojowymi czołgów i samobieźnych dział ppanc a stratami w stanie osobowym w operacjach ofensywnych wynosił 1:6 (wiślańsko–odrzańska, proskurowsko–czemiowiecka), 1:4 (lwowsko–sandomierska, berlińska)”.

Podsumujmy pierwsze wnioski. Charakterystyki ilościowe (straty w czołgach i ludziach) tak zwanego przeciwnatarcia korpusów zmechanizowanych Armii Czerwonej z czerwca 1941 roku absolutnie nie układają się w ramy „normalne”, potwierdzone wieloletnim doświadczeniem wojny i statystyką dziesiątków operacji ofensywnych. Normalna (o ile w ogóle to słowo można odnieść do wojny) jest sytuacja, w której odsetek żołnierzy formacji pancernych zabitych podczas wielkiej operacji frontowej podaje się w liczbach jednocyfrowych, a ogólne straty (polegli i ranni) wynoszą przeciętnie 10–15 procent stanu wyjściowego. Liczba trafionych czołgów jest ogromna, często kilkakrotnie przewyższa początkową. Ale dzięki nieprzerwanym naprawom bezpowrotne straty czołgów w okresie operacji nie przewyższają 25 procent stanu wyjściowego. Główna przyczyna unieruchomienia czołgów to oczywiście działania przeciwnika. Niesprawność techniczna i ugrzęźnięcie w terenie stanowią mniej niż jedną piątą początkowej liczby czołgów. Tak wojuje armia walcząca.

W czerwcu 1941 roku wszystko było inaczej. W każdym punkcie. Wszystkie wspomniane w poprzednich rozdziałach korpusy zmechanizowane (VI, IV, VIII i XV) bezpowrotnie straciły 90 i więcej procent czołgów. Straty spowodowane przez nieprzyjaciela są 3–4 razy mniejsze od strat niebojowych. Z przyczyn „technicznych” nie utracono 17, ale 70 i więcej procent sprzętu

bojowego. Straty w ludziach w ogóle trudno opisać jednoznacznie. W tych wypadkach, kiedy — w dostępnych dokumentach — wymienia się stan osobowy dywizji i korpusów w połowie czerwca, nie przewyższa on 30–50 procent początkowego, przy czym w kilku związkach (VI KZmech, 212. DZmot i 37. DPanc XV KZmech, 81. DSZmot IV KZmech, 34. DPanc VIII KZmech) straty w ludziach wynoszą 75–90 i więcej procent, a zarazem w konkretnych starciach są nawet mniejsze niż liczba utraconych czołgów!

„Najwygodniejszym” wytłumaczeniem wszystkich tych ponurych cudów jest — zdaniem wielu współczesnych autorów — wymówienie na głos czarodziejskiego słowa „odwrót”. I wszyscy od razu wszystko „rozumieją”. „Dotkliwy brak środków ewakuacji, brak mocnych ciągników doprowadził do tego, że unieruchomione czołgi trzeba było zostawiać na terenie zajęтым przez nieprzyjaciela”. Dziwne, ale nikt z propagatorów takiego podejścia do oceny wydarzeń z początku wojny nie wskazał na razie, jak można było zapobiec temu smutnemu rozwojowi wydarzeń. A środki ratunkowe, moim zdaniem, były dwa:

1) jeszcze przed rozpoczęciem wojny wycofać wszystkie czołgi za Dniepr, a z początkiem działań bojowych ruszyć na Jenisej. Niewykluczone, że w tym wypadku Niemcy nie zdołaliby ich dogonić;

2) mniej radykalną, jednak skuteczną metodą byłaby zmiana struktury organizacyjnej formacji pancernych. Gdyby na każdy czołg w dywizji przypadły dwa ciągniki, to może nie byłoby trzeba zostawiać czołgów „na terenie zajęтым przez nieprzyjaciela”. Ciągniki co prawda też się psują i na dwa zwykłe dobrze byłoby mieć cztery superciągniki do ich wyciągania...

Poważne podejście do sprawy zaczyna się od przestudiowania regulaminu. W Regulaminie bojowym PU–39 bardzo wyraźnie powiedziano, do jakich zadań tworzy się jednostki i związki pancerne. Stosunek sił na południowym teatrze działań wojennych niewątpliwie umożliwił przeprowadzenie wielkiej operacji ofensywnej w kierunku Lwowa i Lublina, jak przewidziano w przedwojennych planach i w dyrektywie nr 3 z 22 czerwca 1941 roku. Najpewniej również w tym wypadku wszystkie czołgi, co do jednego, utracono by w walce, a nie na „terenie zajęтым przez nieprzyjaciela”. Zresztą działania czołgów w operacji obronnej, którą rzekomo usiłowało przeprowadzić dowództwo Frontu Południowo–Zachodniego, też zostały przewidziane w PU–39:

„391. Czołgi znacznie wzmacniają obronę i są niezawodnym środkiem rażenia przeciwnika, który wdarł się w głąb obrony. Wielkie zdolności manewrowe, potencjał ogniowy i uderzeniowy czołgów powinny być w pełni wykorzystane do działań aktywnych (podkreślenie moje — M. S.). Podstawowymi zadaniami czołgów w obronie są:

a. rozgromienie przeciwnika, który wdarł się w pas obrony, a w pierwszej kolejności jego czołgów:

b. zniszczenie przeciwnika obchodzącego skrzydła obrony”.

Regulamin nie zaleca takiego wariantu wykorzystania wielkich związków pancernych jak wycofanie się za Dniepr, podczas którego czołgi (a ściślej — resztki żołnierzy byłych dywizji pancernych i zmotoryzowanych) wyprzedziły własną piechotę o 200 km w przestrzeni i o dwa miesiące w czasie. Żadna rozsądna, dopuszczalna liczba ciągników nie wystarczyłaby do przeholowania 90 procent czołgów dywizji na 500–600 km. Śmiem was zapewnić, szanowni czytelnicy, że pogotowie ratunkowe waszego miasta (nawet jeżeli jest to bogata Moskwa) nie da sobie rady w sytuacji, kiedy nadejdą do niego wezwania od 90 procent mieszkańców. Co więcej, miejska sieć telefoniczna nie potrafi zapewnić łączności, gdy 90 procent abonentów jednocześnie wybierze numer pogotowia.

Wróćmy jeszcze raz do danych z monografii Aleksieja Iwanowicza Radziejewskiego. „Normalne” średnie straty czołgów wynoszą 3–7 procent dziennie. Jeśli idzie o 10. Dywizję Pancerną XV Korpusu Zmechanizowanego, byłoby to 10–20 czołgów dziennie. Maksimum. Dywizja miała 29 potężnych ciągników Woroszyłowiec. Takimi siłami w pełni można ewakuować uszkodzone czołgi z pola bitwy. Ewakuować do najbliższego punktu zbiorczego uszkodzonych maszyn, a nie holować przez 650 km za Dniepr, do Piratyna.

Najgorszym ze wszystkich sensownych wariantów, ale i tak znacznie lepszym od tego, co zrobiono w rzeczywistości, byłoby wykorzystanie czołgów (zwłaszcza ciężkich KW, T–28, T–35) jako nieruchomych punktów ogniowych. Rzecz jasna nie po to budowano te kosztowne maszyny („wielkie zdolności manewrowe, potencjał ogniowy i uderzeniowy czołgów powinny być w pełni wykorzystane do działań aktywnych”). Niemniej przekształcenie niesprawnych czołgów w zaimprovizowane stacjonarne punkty ogniowe

wcale nie jest niewczesnym pomysłem dyletanta. To niemal standardowa praktyka wojenna:

„Posłałem na zwiad majora A. Jefimowa. Po jakichś dwóch godzinach radośnie zameldował: jest 16 czołgów T-28 bez motorów, ale ze sprawnymi armatami (...). Była to dla nas po prostu gratka. Jasne, że trzeba te czołgi wykorzystać jako nieruchome punkty ogniowe, wkopać w ziemię i ustawić w kierunku Borodino–Możajsk, gdzie wróg zada główne uderzenie pancerne (...). Przeciwnik usiłował dostać się do rejonu Możajska, ale powitano go ogniem na wprost z naszych wkopanych czołgów T-28 (...). Straciwszy wiele sprzętu, wróg zatrzymał się na krótko”.

Są to fragmenty wspomnień generała armii D. D. Leluszenki, dowodzącego w październiku 1941 roku 5. Armią, która podjęła walkę z niemieckimi dywizjami pancernymi na legendarnym Polu Borodińskim pod Moskwą. Skoro 16 T-28 bez silników było — zdaniem walecznego generała — *„po prostu gratką”*, to co dopiero 278 KW, 215 trzywieżowych T-28 i 48 pięciowieżowych T-35 wkopanych w ziemię na skrzyżowaniach głównych dróg Ukrainy Zachodniej! Iluż problemów mogły one przysporzyć zmechanizowanemu wojskom Wehrmachtu, raźnie pracującym do przodu we francuskich autobusach...

Zresztą propozycja wkopywania czołgów w ziemię nie jest pomysłem niewczesnym, lecz przeciwnie — przedwczesnym. Nikt dotychczas jeszcze nie dowiódł, że czołgi rzeczywiście się zepsuły i w ciągu 5–10 dni utraciły zdolność samodzielnego ruchu. Ten dziwny domysł, sprzeczny z logiką i doświadczeniem, z twierdzenia, które trzeba jeszcze dowieść, stał się aksjomatem tylko dzięki ogromnym nakładom sowieckiej makulatury historycznowojskowej. Autorzy niemakulaturowych opracowań po prostu i rozumnie omijali kwestię strat z czerwca 1941 roku. Na przykład w tejże opasłej monografii Radziejewskiego **Uderzenie pancerne**, wydanej w 1977 roku, całemu rokowi 1941 poświęcono zaledwie kilka wierszy:

„Rozpętana przez faszyzm 22 czerwca 1941 roku wojna przeciwko Związkowi Sowieckiemu wymagała od naszego narodu ogromnego wyężenia wszystkich sił fizycznych i moralnych. Z wielu przyczyn Armia Sowiecka była zmuszona początkowo cofać się w głąb kraju. W ciężkich starciach obronnych sowieccy żołnierze, a wśród nich dzielni czołgiści, zadając przeciwnikowi znaczne straty w sile żywej i sprzęcie, mężnie bronili miast i wsi ojczystej

ziemi. Przechodząc pod Moskwą do kontrofensywy, Armia Sowiecka rozwiła mit niepokonanych wojsk faszystowskich”.

„Z wielu przyczyn...” Mądry stary generał doskonale rozumiał, że nawet jemu — szefowi głównej uczelni wojskowej kraju — nie wolno tych „przyczyn” rozważać publicznie. Teraz mamy wolność, ale już nie ma czego rozważać. Nie ma czołgów. Te, których nie przetopiono w niemieckich piecach martenowskich, zostały przetopione na Uralu i Zaporozżu. Nigdy nie było żadnych świadectw przeglądu technicznego dokonanych przez niezależnych ekspertów (lepiej i precyzyjniej mówiąc, oddział specjalny i prokuraturę wojskową). I dowódcy byłych korpusów zmechanizowanych, którzy w końcu lipca 1941 roku pisali swój „Raport o działaniach bojowych”, i ci, którzy ten raport odbierali, rozumieli, że niczego nie można już sprawdzić. Kwestia, kiedy Armia Czerwona powróci na terytorium „byłej Polski” — i czy w ogóle powróci — była wtedy otwarta. Nieskończony szereg „spalonych sprzęgła” w tych raportach jest równie niewiarygodny jak podana w tymże raporcie liczba zniszczonych niemieckich czołgów. A zupełnie już nie można sprawdzić, dlaczego tarcze sprzęgła się spaliły — „spaliły na panewce” — i pogięły w marszu na pole walki. A z „zatarciem się tłoków silnika” wszystko, mam nadzieję, jest zrozumiałe. Albo zabrakło oleju w karterze, albo wody w chłodnicy, a jeszcze pewniej jednego i drugiego... Zresztą i na „palenie się sprzęgła” przestano się godzić już miesiąc po tym, jak zaczął się masowy „pomór” czołgów:

„Rozkazuję:

1. Za wypadek nadzwyczajny uważać unieruchomienie maszyn z następujących przyczyn:

- gięcie się tarcz sprzęgła;
- gięcie się cięgieł w skrzyni biegów;
- unieruchomienie rozrusznika.

Dowódcy jednostek o każdym poszczególnym wypadku mają meldować mi przez mojego zastępcę do spraw technicznych” (rozkaz dowódcy 50. Dywizji Pancерnej z 25 lipca 1941 r.).

Przechodząc od mętnych domysłów do niezachwianych faktów, można śmiało stwierdzić, że ani przed latem 1941 roku, ani nigdy potem nie zanotowano tak masowego „pomoru” sowieckich czołgów. Jeszcze podczas pierwszych prób BT-5 jesienią 1933 roku pięć czołgów przejechało trasę

Charków–Moskwa (795 km) w ciągu 57 godzin. Przeciętna prędkość (nie uwzględniając przystanków) wyniosła 35 km/h. A ogólna przeciętna prędkość przejazdu — 14 km/h.

Czołgów BT pierwszy raz użyto w boju podczas wojny w Hiszpanii. Z 50 maszyn uformowano pułk pancerny armii republikańskiej, który w październiku 1937 roku wkroczył do rejonu działań bojowych nad Ebro, pokonując w ciągu dwóch i pół dnia 630 kilometrów. Najcięższą chyba próbą możliwości jezdnych BT stał się Chałchyn–goł. W końcu maja 1939 roku 6. i 11. Brygada Pancerna wykonały bezprzykładny ośmiusetkilometrowy marsz po rozpalonym mongolskim stepie (temperatura powietrza w tamtych dniach sięgała 40 stopni, a tego, co się działo w rozpalonych słońcem stalowych pudłach, można się tylko domyślać) do rejonu przyszłych działań bojowych. Tak opisuje te zdarzenia Bohater Związku Sowieckiego Konstantin Nikołajewicz Abramow — dowódca batalionu pancernego 11. Brygady:

„Sygnał alarmu bojowego zabrzmiał dla naszej brygady 28 maja. Na zebranie się w trybie alarmowym dano nam półtorej godziny. Batalion był gotów do drogi w ciągu 55 minut. Mieliśmy przed sobą niebywale wyczerpujący i długi 800–kilometrowy marsz po bezwodnym mongolskim stepie (...). Kolumna posuwała się po ledwie widocznej drodze stepowej wydeptanej przez karawany wielbłądów. Gdzieniegdzie droga znikwała — zasypywał ją piasek. Aby pokonać odcinki piaszczyste i bagniste, trzeba się było przestawić z trakcji kołowej na gąsienicową. Pracę tę wyszkolone załogi wykonywały w ciągu 30 minut”.

Pod koniec dnia 31 maja batalion w pełnym składzie wyruszył do wyznaczonego rejonu. Nieco więcej czasu, sześć dni, zajęło pokonanie tych 800 km 6. Brygadzie Pancerniej. Sześć lat po walkach nad Chałchyn–gołem, w sierpniu 1945 roku, czołgi BT–7 6. Gwardyjskiej Armii Pancerniej wzięły udział w tak zwanej mandzurskiej operacji strategicznej. Brygady pancerne pokonały wtedy 820 km przez łańcuch górski Wielki Chingan w przeciętnym tempie 180 km dziennie. Z 1019 czołgów wszystkich typów w tej operacji utracono zaledwie 78 (siedemdziesiąt osiem)! Stare „beteszki” (najnowsze z nich zostały wyprodukowane pięć lat wcześniej) wytrzymały tę próbę. A przecież, nawet jeżeli założymy, że przez sześć lat czołgi te po prostu stały zakonserwowane, to ich stan techniczny mógł się tylko pogorszyć: sparciały gumowe węże, „odkleiły się” uszczelki, korozja zżarła styki. I wyda się

zupełnie nieprawdopodobne, że po niezwykle ciężkim, forsownym marszu, po walkach z poszczególnymi grupami wojsk japońskich odsetek sprawnych czołgów Frontu Dalekowschodniego — według stanu na 3 września 1945 roku — wynosił ponad 80 procent.

	ogółem wg spisu	sprawne	w procentach
T-34	1899	1794	94
BT-7	1030	797	77
T-26	1461	1272	87
T-38	325	304	94
ogółem czołgi wszystkich typów	5548	4841	87
działa samobieżne wszystkich typów	1422	1393	98

Historia T-34, jak napisano o tym we wszystkich książkach, zaczęła się od tego, że w marcu 1940 roku dwa pierwsze czołgi doświadczalne o własnych siłach przejechały 3000 km na trasie Charków–Moskwa–Kijów–Charków. Przejechały w czasie wiosennych roztopów, drogami polnymi (poruszanie się po głównych drogach, a nawet korzystanie podczas dnia z mostów było zabronione ze względu na tajemnicę wojskową). Owszem, taki marsz nie przyszedł czołgom łatwo, spaliły się tarcze głównych sprzęgieł, wykryto odpryski na kołach zębatych skrzyń biegów, przypaliły się hamulce... W końcu resurs dla czołgów seryjnych ustalono nie na 3000 km (taką właśnie fantastyczną liczbę przewidziano w zadaniu technicznym), ale „zaledwie” 1000 km. Podczas styczniowych mrozów 1943 roku, w trakcie ofensywnej operacji „Don”, sowieckie brygady pancerne przeszły ponad 300 km po zaśnieżonym stepie za Donem i rozgromiły siły niemieckiej Grupy Armii „A”, która latem 1942 roku przedarła się do roponośnych rejonów Mozdoku i Groźnego. Latem 1944 roku, podczas operacji „Bagration” (rozbięcie niemieckiej Grupy Armii „Środek” na Białorusi), 5. Gwardyjska Armia Pancerna, nacierająca bezdrożami, pośród lasów i bagien, przeszła 900–1300 km ofensywy w tempie do 60 km dziennie i zużyła 160–170 godzin resursu silników. W maju 1945 roku czołgi 3. i 4. Gwardyjskiej Armii Pancerniej przeszły 400 km od Berlina do Pragi. Po terenie górzysto–lesistym, w ciągu pięciu dni, a przy tym bez istotnych strat technicznych. Legendarna „trzydziestkaczwórka” służyła całą wojnę, była w uzbrojeniu wielu armii

świata do połowy lat pięćdziesiątych. W armii fińskiej zdobyczne sowieckie czołgi i lekkie ciągniki artyleryjskie Komsomolec służyły aż do 1961 roku! Bez części zamiennych, bez instrukcji obsługi, pośród fińskich śniegów i bagien. I jakoś nikt się nie skarżył, że sowiecki sprzęt pancerny rozsypuje się po przejechaniu 60 km (odległość od Brodów do Radziechowa).

Jeszcze bardziej zadziwiające potwierdzenie niezawodności i żywotności sowieckiego sprzętu możemy znaleźć, analizując straty Armii Czerwonej w 1944 roku, ale nie czołgów, lecz samochodów.

Sięgnijmy jeszcze raz do raportu dowódcy 10. Dywizji Pancерnej. Przed rozpoczęciem działań bojowych dywizja miała 864 sprawne ciężarówki i autocysterny. Spośród nich za Dniepr do Piratyna dojechało 613 samochodów. 71 procent! Czego można chcieć więcej? Bez mała trzy czwarte wyjściowej liczby samochodów przebyło co najmniej 500 km (w raporcie jest mowa aż o 3000 km) od granicy do Dniepru, i to po zdewastowanych drogach gruntowych, pod bombami przeciwnika, bez służb remontowych i części zamiennych. By wyczerpać obowiązkowy sowiecki zestaw przyczyn rozgromienia i utraty czołgów, należałoby jeszcze dodać parę słów o „*braku paliw i smarów*”. Ale tak być nie może, bo nie może być, trzeba więc przyznać, że dla ciężarówek benzyna się znalazła. Skoro z 864 samochodów dojechało do Piratyna 613, to znaczy, że straty też były. Z arytmetyki wynika 251, w raporcie wykazano przyczyny utracenia 293 samochodów. Ta rozbieżność może być rezultatem między innymi tego, że oprócz samochodów ciężarowych w dywizji było też kilkadziesiąt osobowych. Nie czepiajmy się jednak tych drobiazgów, ważniejsze jest co innego — jaka była struktura strat.

„240 samochodów utracono w wyniku walk, 34 auta pozostały wraz z kierowcami w okrążeniu z powodu usterek technicznych i braku paliwa, 2 auta skasowano na punkcie zbornym samochodów uszkodzonych w związku z niemożnością ewakuacji przy powszechnym odwrocie jednostki, 6 samochodów ugrzęzło na przeszkodach i nie dało się ich naprawić”.

A zatem z powodu usterek technicznych utracono najwyżej 77 aut — mniej niż 9 procent. To wspaniałe wskaźniki niezawodności technicznej. Cóż to były za superniezawodne samochody? Raport odpowiada na to pytanie: 503 GAZ-AA oraz 297 ZIS-5.

GAZ-AA była to amerykańska „półtoratonówka” Ford-A. Zwyczajna, „budżetowa”. Prosta i tania, jak na początek lat dwudziestych, kiedy to

została opracowana i skierowana do produkcji. Na początku lat czterdziestych można ją było już umieścić w muzeum techniki. Przedni most na jednym resorze (zresztą i on był w poprzek ramy), most tylny zwisał na dwóch półresorach, wał napędowy bez kardana, gaźnik bez filtra powietrza (po prostu dziurka do zasysania powietrza, nic więcej). Tylko głęboka koleina mogła utrzymać ten samochód w linii prostej przy zawrotnej prędkości 40 km/h. Po dwóch, trzech „rajzach” z kołchozowego pola do miejskiego elewatora kierowca mógł — w poczuciu spełnionego obowiązku — oddać wóz do naprawy: wymienić łożyska, przepłukać „odkurzaczowy” gaźnik i tak dalej. Czyżby to ubożuchne auto było bardziej niezawodne, odporne na ataki z powietrza i lepiej radziło sobie na bezdrożach niż opancerzone gąsienicowe maszyny, z których część (BT-7, T-34) według wszelkich wskaźników trakcyjnych mogła być uważana za najlepsze czołgi świata?

Czy można wyciągać daleko idące wnioski na podstawie danych o stratach jednej jedynej dywizji? Oczywiście, że nie, dlatego idziemy dalej. 37. Dywizja Pancerna tegoż XV Korpusu Zmechanizowanego: ile dokładnie samochodów miała na początku działań bojowych, nie podano ani w raporcie dowódcy dywizji, ani w sprawozdaniu p.o. dowódcy korpusu. Są tylko skargi, że „pułk strzelców zmotoryzowanych nie został wyposażony w samochody”. 15 lipca 1941 roku dywizja skoncentrowana w Piratyniu liczyła „czołgów T-34 — 1, czołgów BT-7 — 5, samochodów pancernych BA-10 — 11, pojazdów kołowych — 173”. Sto siedemdziesiąt trzy samochody. I sześć czołgów spośród 316.

Weźmy raport dowódcy 32. Dywizji Pancerniej IV Korpusu Zmechanizowanego. Z 420 samochodów wszystkich typów (osobowe, ciężarowe, specjalne, cysterny) utracono 133. 32 procent stanu początkowego. Czołgów, przypomnę, dywizja straciła 269 z 323. 83 procent stanu początkowego.

W VIII Korpusie Zmechanizowanym, jak wynika z „*Informacji szefa zarządu pancerno-samochodowego Frontu Południowo-Zachodniego*” z 17 lipca 1941 roku, pozostało 1348 samochodów (41 osobowych, 864 GAZ-AA oraz 479 ZIS-5). Jeżeli to porównamy z początkową liczbą aut w całym VIII Korpusie Zmechanizowanym (3237), to zachowało się ich „zaledwie” 44 procent. Ta liczba znacznie się zwiększy, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że jedna z dywizji korpusu, 34. Pancerna, z przydzielonymi jej oddziałami 12.

Dywizji Panczernej przestała istnieć okrążona w rejonie Dubna, gdzie zostały wszystkie jej auta.

XVIII Korpus Zmechanizowany Frontu Południowego. Podobnie jak inne wyższe związki taktyczne tego frontu, przystąpił on do działań bojowych i został rozgromiony kilka tygodni później niż korpusy zmechanizowane Frontu Południowo–Zachodniego. W końcu lipca XVIII Korpus jeszcze istniał. Pozostały mu tylko 43 czołgi BT i 19 T–26, a także 100 samochodów osobowych i 1771 ciężarowych oraz specjalistycznych „półtoratonówek” GAZ–AA.

Znacznie potężniejszy przed rozpoczęciem wojny był II Korpus Zmechanizowany Frontu Południowego, który w dodatku zdążył odebrać 60 czołgów nowych typów (KW i T–34). Według stanu na 1 sierpnia korpus ów miał 136 czołgów (26 procent liczebności początkowej) i 3294 samochody (87 procent stanu wyjściowego).

Teraz przejdźmy do najbardziej uogólnionych danych. W tym celu znowu sięgnijmy do najbardziej oficjalnego źródła: wielokrotnie cytowanej monografii rosyjskiego Sztabu Generalnego **Nadruk „tajne” usunięty**. Autorzy tej pracy nieźle się natrudzili. Na czternastu stronach wymieniają straty uzbrojenia i sprzętu w rozbiciu na lata wojny. Czołgi — oddzielnie, armaty — oddzielnie, haubice kalibru 122 mm — oddzielnie od haubic kalibru 152 mm i tak dalej. Przy czym straty podali nie tylko w liczbach absolutnych, ale również w procentach od „zasobów”, czyli całego sprzętu posiadanego przez wojska na początku omawianego okresu i nadesłanego z przemysłu (z Land–Lease’u, z remontu). I oto w drugim półroczu 1941 roku straty są potwornie wielkie: 73 procent czołgów, 70 procent armat przeciwpancernych, 60 procent haubic kalibru 122 mm, 63 procent haubic kalibru 152 mm, 62 procent karabinów maszynowych, 65 procent ciężkich karabinów maszynowych, 61 procent moździerzy... Notabene co się może zepsuć w moździerzu? Rura jak rura. Na tym ponurym tle rzucają się w oczy dwa jasne punkty: działa wielkiego i szczególnie wielkiego kalibru (203 mm i więcej) oraz... samochody. Bardzo małe (9,1 procent) straty artylerii ciężkiej odwołu Naczelnego Dowództwa (OND) są charakterystycznym przykładem tego, co nazywamy wyjątkiem potwierdzającym regułę. Oczywiście moździerze (karabiny maszynowe, armaty) się nie zepsuły. One „pozostały na terytorium zajęтым przez przeciwnika”. Ciężka artyleria (a naprawdę była

ciężka — działa miały od 17 do 45 ton) nie „pozostała”, bo już w pierwszych dniach wojny została wycofana z zachodnich okręgów wojskowych na głębokie tyły. Marszałek artylerii Mikołaj Dmitriewicz Jakowlew, szef Głównego Zarządu Artylerii w latach wojny, wspomina:

„Największym przedsięwzięciem, z którego jestem dumny po dziś dzień, było przyjęte z mojej rekomendacji kategoryczne zarządzenie Naczelnego Dowództwa o wycofaniu na tyły całej artylerii wielkiej i specjalnej mocy. Przy czym odwrót miał być natychmiastowy, bez powoływania się na niezwykle trudną sytuację pierwszych dni wojny. Toteż mimo oburzenia naszych wspaniałych artylerzystów, którzy pragnęli zarzucić wroga swoimi ciężkimi pociskami, musieli oni ładować się do pociągów i wywozić działa na wschód (...). Wszystkie działa kalibru 203 i 280 mm, a także armaty dalekonośne kalibru 152 mm (utracono ich zaledwie kilka) wraz z kadrową obsługą we właściwym czasie znalazły się na głębokich tyłach”.

Trudno powiedzieć, czy należało być dumnym z takiej decyzji, ale została ona podjęta i z 1018 ciężkich dział utracono nie więcej niż setkę. Z jakiejż to jednak przyczyny rekordowo niskie (33 procent) były straty samochodów?

Jak to możliwe? Prymitywne „półtoratonówki” i niewiele od nich lepsze zisy dwukrotnie bardziej niezawodne i trwalsze niż moździerze? Kabiny z dykty mocniejsze od stalowych korpusów czołgów? I benzyna potrzebna, by te samochody odjechały we właściwym czasie „z terytorium zajętego przez przeciwnika”, też się znalazła? Samochód to przecież nie koń, a tym bardziej nie czerwonoarmista — choćby nie wiem ile by mu się „przemawiało do rozumu”, to bez paliwa nie ruszy... Ale może my czegoś ważnego nie rozumiemy? Może istnieje jakieś nie znane nam prawo wojny, zgodnie z którym żywotność bojowa samochodów z dykty jest większa od żywotności czołgów?

Te wątpliwości nie dawały mi spokoju, dopóki nie sięgnąłem do znanej specjalistom monografii generała Klause Reinhardta **Zwrot pod Moskwą**. W końcu tej książki zamieszczona jest tabelka strat uzbrojenia i sprzętu bojowego (w tym samochodów) Wehrmachtu na froncie wschodnim w 1941 roku. I ostatnie wątpliwości się rozwiały. Nie ma cudów: straty samochodów w walczącej armii kilkudziesięciokrotnie przewyższają straty czołgów.

	czołgi	samochody	współczynnik strat
Armia Czerwona	20 500	159 tys.	8
Wehrmacht	2831	116 tys.	41

Różnica w liczbach jest przerażająca. Na razie nie omówimy tego, że straty cofającej się Armii Czerwonej były większe niż nacierającego Wehrmachtu. W tej kwestii można znaleźć lub wymyślić mnóstwo przyczyn „obiektywnych”. Ale w Wehrmachcie na 1 stracony czołg przypada 41 samochodów, a w Armii Czerwonej zaledwie 8. I to wszystko przeciętnie, w drugim półroczu 1941 roku. Lecz w Armii Czerwonej, w przeciwieństwie do Wehrmachtu, czołgi „skończyły się” o wiele wcześniej, toteż takie szacunki bardzo zniekształcają obraz. Jeżeli natomiast będziemy rozpatrywać strukturę strat korpusów zmechanizowanych Frontu Południowo-Zachodniego w pierwszych trzech tygodniach wojny (dopóki jeszcze istniały), to tam liczba utraconych samochodów i czołgów jest praktycznie równa, a czołgów, w liczbach absolutnych, stracono nawet więcej niż samochodów!

Równie wyrazisty jest stosunek strat moździerzy i samochodów w obu armiach. Wehrmacht stracił zaledwie 17 moździerzy na tysiąc straconych samochodów, a Armia Czerwona — 116 na tysiąc.

	moździerze 89 mm	samochody	współczynnik strat
Armia Czerwona	18 500	159 tys.	9
Wehrmacht	1974	116 tys.	59

Wszystko jest bardzo proste. Wehrmacht walczy. Owszem, robi to, żeby ograbić cudzą ziemię, wykonując występne rozkazy nieludzkiego reżymu. Ale walczy i dlatego przede wszystkim oszczędza swoje czołgi i moździerze.

A samochody? Będzie, co będzie. Oto dlaczego ich ople, daimlery i mercedesy psują się 59 razy częściej niż rury moździerzy. To zupełnie logiczne i technicznie uzasadnione. Armia Czerwona już w pierwszych godzinach wojny zamieniła się w tłum uzbrojonych uciekinierów. A dla zdemoralizowanego, ogarniętego paniką tłumu czołgi, armaty, karabiny maszynowe, moździerze stają się zbędnym balastem. Toteż pod wszelkim pretekstem starają się ich pozbyć. Ciężarówkę natomiast, nawet słabiutką, trzeba oszczędzać. W wyniku tego dwie trzecie przedpotopowych gazików w Armii Czerwonej ocalało, a dwie trzecie rur moździerzowych zepsuło się i gdzieś zapodziało.

ROZDZIAŁ 17. CENA KLĘSKI

Skończywszy z bardzo ważnymi sprawami szczegółowymi, jak wielkość i struktura strat czołgów i samochodów w korpusach zmechanizowanych Armii Czerwonej, zajmijmy się teraz ogólną charakterystyką wydarzeń z pierwszych tygodni i miesięcy wojny.

Zadanie postawione w planie „*Barbarossa*” — „*główne siły rosyjskich wojsk lądowych w zachodniej Rosji mają być zniszczone w śmiałych operacjach dzięki głębokiemu, szybkiemu wysunięciu klinów pancernych*” — Wehrmacht wykonał już do połowy lipca 1941 roku. Wojska Nadbałtyckiego i Zachodniego Okręgu Wojskowego (ponad 70 dywizji) zostały rozgromione, odrzucone o 350–450 km na wschód od granicy, rozproszone po lasach albo wzięte do niewoli. Nieco później to samo się stało z nowymi 60 dywizjami wprowadzonymi w skład Frontu Północno–Zachodniego i Frontu Zachodniego od 22 czerwca do 9 lipca. Przeciwnik zajął Litwę, Łotwę, prawie całą Białoruś, sforsował Bug, Niemen, Dźwinę, Berezynę i Dniepr. 9 lipca Niemcy zajęli Psków, 16 lipca — Smoleńsk. Dwie trzecie odległości od granicy zachodniej do Leningradu i Moskwy przeszli w niespełna miesiąc. Wojska Frontu Południowo–Zachodniego bezładnie wycofały się na linię dawnej granicy sowiecko–polskiej, w połowie lipca 1941 roku jednostki pancerne Wehrmachtu zajęły Żytomierz oraz Berdyczów i wkroczyły na przedmieścia Kijowa.

Wojska okręgów zachodnich utraciły praktycznie cały sprzęt techniczny i ciężkie uzbrojenie. Do 6–9 lipca Front Północno–Zachodni, Zachodni i Południowo–Zachodni straciły 11,7 tysiąca czołgów, 19 tysięcy dział i moździerzy, ponad milion sztuk broni strzeleckiej. Szczególnie ciężkie, praktycznie nieodwracalne straty poniosły wojska pancerne. Już 15 lipca 1941 roku resztki korpusów zmechanizowanych zostały oficjalnie rozformowane.

To, co sowieccy historycy skromnie nazwali niepowodzeniem pogranicznego starcia, w rzeczywistości oznaczało rozgromienie pierwszego rzutu strategicznego Armii Czerwonej (liczbą dywizji bił on na głowę jakąkolwiek armię Europy, a jeśli chodzi o liczbę czołgów — przewyższał je wszystkie razem). Do 10–15 lipca Niemcy zajęli, a właściwie przeszli przez terytorium o powierzchni 700 tysięcy km kwadratowych, czyli około trzech

razy większe od terytorium Polski okupowanej przez Wehrmacht od września 1939 roku, i sześć razy większe od terytorium Belgii, Holandii i kawałka północnej Francji zdobytych w maju 1940 roku.

Na porównaniu wydarzeń maja 1940 i czerwca 1941 roku warto zapewne zatrzymać się nieco dłużej. Przez kilkadziesiąt lat sowiecka propaganda historyczna rozpowszechniała brednie o „*tryumfalnym marszu*” Wehrmachtu przez „*powaloną Francję*”. Ostatnio dźwięki tego „*marszu*” coraz głośniejsze i coraz częściej rozlegają się z kart najnowszych publikacji. To zrozumiałe: po tym, jak skala katastrofalnej klęski Armii Czerwonej stała się znana szerokiej publiczności, autorzy określonej orientacji politycznej bardzo zapragnęli przedstawić porażkę armii francuskiej w jak najjaskrawszych barwach. Tak oto na przykład znany nam Aleksiej Isajew rozpoczyna rozdział „*Debata*”, w którym zamierza podsumować walki na Ukrainie Zachodniej. Cytuje on — w sensie jak najbardziej pozytywnym, bez potępienia lub choćby cienia ironii — pracę pewnego niemieckiego historyka, który głupio w 1958 roku napisał co następuje:

„Minęło pierwszych dziesięć dni kampanii. Po dziesięciu dniach we Francji czołgi niemieckie, rozpędzając przed sobą tchórzliwych Francuzów i Anglików, przemierzyły 800 km i stanęły nad brzegiem Atlantyku. Przez pierwsze dziesięć dni «wyprawy na Wschód» pokonały zaledwie 100 km w linii prostej”.

Czytelnik, u którego zachował się stary szkolny atlas albo globus na podstawce, zrozumie, dlaczego używam tak nieparlamentarnego wyrażenia. We Francji po prostu nie ma takich odległości (od Sedanu do wybrzeża atlantyckiego jest 600 km w linii prostej). Wehrmacht w maju 1940 roku nacierał nie na Zachód, do Atlantyku, ale na północny zachód, do kanału La Manche, na którego brzeg w rejonie Boulogne–Calais czołowe formacje pancerne wyszły 23 maja 1940 roku.

Był to oczywiście olśniewający sukces, ale 350 km w czternaście dni to jednak nie 800 km w ciągu dziesięciu. Aby określić, gdzie znajdowały się niemieckie dywizje pancerne w czternastym dniu „*wyprawy na Wschód*”, sięgnijmy do klasycznego **Dziennika wojennego** szefa Sztabu Generalnego Wehrmachtu Franza Haldera. W ocenach i wnioskach doświadczony niemiecki generał często i bardzo się myli, jednak na pewno wie, gdzie znajdowały się jego własne wojska:

„5 lipca 1941 roku, 14. dzień wojny.

Sytuacja: na wszystkich odcinkach frontu notujemy ruch zgodny z planami (...). Na froncie Grupy Armii «Środek» prawe skrzydło grupy pancерnej Guderiana utrzymało przyczółek (na Dnieprze — M. S.) w rejonie Rogaczowa (450 km od granicy — M. S.). Główne siły grupy pancерnej Guderiana posuwają się powoli, prowadząc zacięte walki między Berezyną a Dnieprem. Grupa pancerna Hotha oprócz Dryssy sforsowała także Dźwinę powyżej Połocka w rejonie Uły (425 km — M. S.) i umocniła się na północnym brzegu rzeki (...). Na froncie Grupy Armii «Północ» grupa pancerna Hoepnera pomyślnie idzie naprzód i lewym skrzydłem zbliża się do Ostrowa (470 km — M. S.) (...).

7 lipca, 16. dzień wojny.

(...) Na froncie Grupy Armii «Południe» nasze wojska przerwały centralny odcinek pasa obrony przeciwnika. 11. Dywizja Pancerna przebiła się na wschód do Połonnego (260 km — M. S.) i teraz toruje sobie drogę na Berdyczów wśród kolumn cofających się wojsk rosyjskich. 16. Dywizja Pancerna znajduje się w Starokonstantynowie (250 km — M. S.), 9. Dywizja Pancerna obecnie uczestniczy w wielkiej bitwie pancерnej w rejonie Proskurowa (290 km — M. S.)”.

Tak więc jeśli mowa o tempie „marszu”, to w maju 1940 roku było ono, ogólnie rzecz biorąc, mniejsze od tempa natarcia Grupy Armii „Północ” i „Środek” w pierwszych dwudziestu dniach wojny na Froncie Wschodnim. Należy przy tym wziąć pod uwagę szerokość frontu natarcia. Działania bojowe w maju 1940 roku odbywały się na „skrawku” Normandii i Flandrii o maksymalnej rozpiętości 300 km wzdłuż frontu i 350 km w głąb. Pod względem powierzchni terytorium to odpowiada mniej więcej rozmiarom Litwy, którą jedna z trzech grup armii, najmniej liczna, GA „Północ”, zajęła w jeden czerwcowy tydzień 1941 roku.

Teraz spójrzmy na pierwsze tygodnie wojny z innej strony. Jakie straty poniósł Wehrmacht, „rozpędzając tchórzliwych Francuzów” i „pokonując zacięty opór” Armii Czerwonej?

W swej znanej monografii Kurt Tippelskirch podał takie liczby dotyczące kampanii francuskiej: 27 tysięcy zabitych, 18,4 tysiąca zaginionych, 11 tysięcy rannych, ogółem 156 tysięcy. Według uściślonych danych przedstawionych w równie znanej, wręcz podręcznikowej pracy Burkhardta

Mülera–Hillebrandta liczba poległych wyniosła 49 tysięcy, czyli więcej, niż podał Tippelskirch.

W dzienniku Franza Haldera porównywalne liczby ogólnych strat (zabici, zaginieni, ranni) Wehrmachtu na froncie wschodnim pojawiają się dopiero w końcu lipca 1941 roku. Gdy przełożymy dane Haldera na bardziej zrozumiałą formę (łącznie straty żołnierzy i oficerów), otrzymamy co następuje:

- 102 588 ludzi (nie licząc chorych) na 16 lipca;
- 179 500 (w tym: Grupa Armii „*Północ*” — 42 tysiące; Grupa Armii „*Środek*” — 79,5 tysiąca; Grupa Armii „*Południe*” — 63 tysiące) osób pod koniec lipca (zapis z 2 sierpnia);
- 21 301 na 31 lipca (zapis z 4 sierpnia).

W końcu lipca Wehrmacht nacierał na gigantycznym froncie od Narwy do Kiszyniowa (1450 km w linii prostej), za plecami nacierających było już terytorium o rząd wielkości rozleglejsze od strefy walk w kampanii francuskiej, straty Armii Czerwonej w tym czasie wielokrotnie przewyższały liczebność wojsk aliantów zachodnich rozgromionych w maju i na początku czerwca 1940 roku. Biorąc to pod uwagę, chyba niezręcznie będzie porównywać niemieckie straty według „*zasady kalendarzowej*”: 35–40 dni na Zachodzie (12 czerwca Paryż został ogłoszony „*miastem otwartym*”, 17 czerwca rząd Petaina poprosił o rozejm) z 40 dniami na Wschodzie. Znacznie poprawniejsze będzie porównanie na zasadzie „*koszt — wynik*”. Według chronologii przyjętej w rodzimej historiografii „*bitwę pograniczną*”, czyli rozgromienie wojsk Okręgu Nadbałtyckiego, Zachodniego i Kijowskiego, ograniczono ramami 22 czerwca–9 lipca. Już na etapie tej „*pogranicznej bitwy*” dokonania niemieckich wojsk (wielkość rozgromionych sił przeciwnika, głębokość natarcia, zdobycze) przewyższyły wszystkie wojskowe (nie mylić z geopolitycznymi) osiągnięcia kampanii francuskiej. A straty Wehrmachtu wyrażały się wówczas w takich liczbach:

- 64 132 (19 789 zabitych i zaginionych, 44 343 rannych) do 6 lipca 1941 roku (zapis z 10 lipca);
- 92 120 do 13 lipca 1941 roku (zapis z 17 lipca).

Tak więc straty Wehrmachtu w ludziach (zarówno ogólne, jak i bezpowrotne) podczas „*tryumfalnego marszu przez Francję*” były dwu–dwiupółkrotnie większe niż straty na froncie wschodnim do 6–13 lipca 1941 roku. Teraz pozostaje nam tylko porównanie liczebności wojsk sowieckich i

aliantów zachodnich. 22 czerwca w składzie czterech zachodnich okręgów Pogranicznych (Nadbałtycki, Zachodni, Kijowski, Odeski) było 149 dywizji (7 dywizji kawalerii i 12 brygad powietrznodesantowych uwzględniliśmy jako 7 „dywizji umownych”). Prócz tego do 22 czerwca na terytorium okręgów zachodnich było skoncentrowane co najmniej 16 dywizji drugiego rzutu. A zatem na początku wojny Armia Czerwona miała na zachodnim teatrze działań 165 dywizji, w tym 40 pancernych i 20 zmotoryzowanych, oraz 10 brygad artylerii przeciwpancernej. Siły zachodnich sojuszników w wypracowaniach sowieckich historyków szacowano tradycyjnie na 135 dywizji. I jest to najprawdziwsza prawda. Jeżeli zsumujemy wszystkie formacje, które w zasadzie istniały (w Afryce Północnej, na Bliskim Wschodzie, na granicy z Włochami w Alpach, w garnizonach Linii Maginota, w ośrodkach szkoleniowych), i dodamy do nich armie Belgii i Holandii w pełnym składzie, to można się doliczyć 135 „dywizji umownych”. I gdyby Chamberlain i Daladier właściwie przygotowali się do wojny, a te umowne jednostki obliczeniowe stały uzbrojone i skoncentrowane na granicy z Niemcami, to wszystko byłoby inaczej. W rzeczywistości Niemcom zadały straty jedynie te dywizje, które znajdowały się na teatrze działań wojennych i wkroczyły do walki od 10 maja do czerwca. Były to:

- 29 dywizji francuskiej 7., 1., 9. i 2. Armii;
- 9 dywizji angielskich;
- 14 dywizji rezerwy rozwiniętych w rejonie Châlons–sur–Marne, Saint–Cantin.

Ogółem 51 dywizji, w tym 3 pancerne, z czego 11 dywizji piechoty sformowanych na początku września 1939 roku z kompletnie nie wyszkolonych rekrutów. Teoretycznie można uwzględnić również 22 dywizje belgijskie i 10 holenderskich, chociaż ich uzbrojenie, przygotowanie i wyposażenie było nieporównywalne z kadrowymi dywizjami Armii Czerwonej. Takimi oto siłami alianci zachodni zadali Niemcom straty dwukrotnie przewyższające straty Wehrmachtu w „przygranicznej bitwie” na froncie wschodnim.

Na uwagę zasługuje też stosunek strat niemieckich czołgów na froncie zachodnim i wschodnim:

	PzKpfw II	PzKpfw 35 i 38(t)	PzKpfw III	PzKpfw IV	PzBfWg	ogółem
--	--------------	----------------------	---------------	--------------	--------	--------

straty we Francji (maj–czerwiec 1940 r.)	240	99	135	97	69	640
front wschodni (koniec lipca 1941 r.)	97	140	153	96	17	503
front wschodni (4–10 września 1941 r.)	152	231	252	125	38	798

Z takimi stratami „niemieckie czołgi rozpędziły tchórzliwych Francuzów i Anglików”. Szczególne wrażenie sprawiają praktycznie równe wielkości strat niemieckich czołgów średnich (PzKpfw III i IV) na froncie zachodnim i wschodnim, i to gdy podstawową bronią francuskiej obrony przeciwpancernej była „Marianna” kalibru 25 mm Hotchkissa, a uzbrojenie przeciwpancerne Armii Czerwonej zaczynało się od armat kalibru 45 mm w dywizjach strzeleckich, kończyło zaś na armatach kalibru 76 mm i 85 mm w brygadach artylerii przeciwpancernej. Nie policzyliśmy tu strat tankietek PzKpfw I uzbrojonych w karabiny maszynowe. Po pierwsze dlatego, że nie były to czołgi, po drugie — ogromne ich straty we Francji (182) czyniłyby porównanie jeszcze bardziej surrealistycznym.

Należy też choćby pokrótce wspomnieć o wynikach działań powietrznych. W pierwszych trzech tygodniach wojny na froncie zachodnim (od 10 do 31 maja 1940 roku) bezpowrotne straty Luftwaffe samolotów wszystkich typów wyniosły 978 maszyn. W pierwszych trzech tygodniach wojny na froncie wschodnim (od 22 czerwca do 12 lipca 1941 roku) natomiast — 550 (sumując zaś liczby z cotygodniowych komunikatów sztabu Luftwaffe — 473). Czyli dwa razy mniej niż na niebie Normandii i Flandrii. Ogółem podczas całej kampanii na Zachodzie (od 10 maja do 22 czerwca) Luftwaffe bezpowrotnie straciła 1401 samolotów. Straty personelu latającego (właśnie latającego, a nie naziemnego i artylerii przeciwlotniczej) Luftwaffe wyniosły 4417 ludzi (1092 zabitych, 1395 rannych, 1930 zaginionych). W porównywalnym okresie (od 22 czerwca do 2 sierpnia 1941 roku) bezpowrotne straty lotnictwa niemieckiego na froncie wschodnim wyniosły 968 samolotów. A zatem w każdym z rozpatrywanych przedziałów czasu straty Luftwaffe na froncie zachodnim były większe niż na wschodnim.

W maju 1940 roku, gdy lotnictwo francuskie i bazujące we Francji myśliwce brytyjskie (około 700–750 lotników) jeszcze mogły stawiać zorganizowany opór, niemieckie straty były dwukrotnie większe niż w

pierwszych dwóch tygodniach działań bojowych na Wschodzie. Pozostaje nam tylko przypomnieć, że w siłach powietrznych okręgów zachodnich było 3,6 tysiąca lotników myśliwskich (prawie pięciokrotnie więcej, niż mieli sojusznicy), a lotnictwo sowieckie nieprzerwanie się powiększało.

Przy tym wszystkim majowe walki we Francji wcale nie są przykładem skutecznie przeprowadzonej operacji obronnej. Żaden z francuskich polityków, historyków, pisarzy na razie jeszcze się nie odważył nazwać tej hańby Wielką Wojną Ojczyźnianą narodu francuskiego. Przeciwnie, słowa „maj 1940 roku” stały się dla Francuzów synonimem katastrofy i wielkiego upokorzenia.

„*Wstrząśnięty naród trwał w odrętwieniu, armia w nic nie wierzyła i nie miała żadnej nadziei, a machina państwowa kręciła się w warunkach całkowitego chaosu*” — tak maj 1940 roku opisuje w swoich pamiętnikach Charles de Gaulle. Churchill wspomina, jak rano 15 maja 1940 roku obudził go telefon: szef rządu francuskiego Paul Reynaud na początku szóstego dnia wojny spieszył mu donieść, że „*wszystko przepadło*”... I te straty, które francuscy, angielscy, belgijscy, holenderscy żołnierze potrafili zadać wtedy Wehrmachtowi, to było minimum minimorum, które można było osiągnąć w powszechnym chaosie, panice i przy paraliżu woli najwyższych władz państwowych.

Wróćmy teraz do wydarzeń lata 1941 roku i porównajmy ogólne straty Wehrmachtu w ludziach (64 tysiące żołnierzy) ze stratami Armii Czerwonej w „*bitwie nadgranicznej*”. Wojska Frontu Północno–Zachodniego, Zachodniego i Południowo–Zachodniego od 22 czerwca do 6–9 lipca straciły 744 tysiące ludzi — zabitych, rannych i zaginionych. Ta liczba nie zawiera strat jednostek i związków drugiego rzutu strategicznego, które na początku lipca wzięły udział w działaniach bojowych, nie uwzględnia strat Frontu Północnego (Leningradzki OW) i Frontu Południowego (Odeski OW), które aktywne działania bojowe rozpoczęły odpowiednio 29 czerwca i 2 lipca. Liczba ta jest niewątpliwie pomniejszona — przynajmniej w tym, co dotyczy strat Frontu Północno–Zachodniego. Na stronie 162 zbioru statystycznego Kriwoszejewa (skąd zaczerpnęliśmy wyżej przytoczone wielkości strat) znajduje się informacja, że wojska Frontu Północno–Zachodniego (ich liczebność na początku działań bojowych autorzy określili na 440 tysięcy ludzi) od 22 czerwca do 9 lipca podczas „*operacji obronnej na Litwie i Łotwie*” straciły 87

208 zabitych, rannych i zaginionych, czyli 20 procent stanu początkowego. Czy to może odpowiadać rzeczywistości? Oczywiście, że nie. Wszystkie dokumenty, wspomnienia, studia, do których mamy dostęp, zgodnie stwierdzają: front został rozgromiony. Pobity na głowę. Po większości dywizji pozostały tylko numery oraz 1–2 tysiące ludzi. *„Stan jednostek 8. Armii charakteryzują następujące dane: 10. Dywizja Strzelecka: 98. pułk strzelecki niemal całkowicie zniszczony; z 204. pułku strzeleckiego pozostało 30 ludzi bez sprzętu; 30. pułk artylerii ma jedno działo; 140. pułk haubic z 36 dział stracił 21, oddziałów i dowództwa 90. Dywizji Strzeleckiej dotychczas nie udało się odnaleźć. Pojedynczy żołnierze dywizji zostali wcieleni do 90. Dywizji Strzeleckiej. Dane o stanie pozostałych jednostek armii nie nadeszły”*. Wreszcie, jak komunikat o stracie 87 tysięcy ludzi można skojarzyć ze stratą w tym samym okresie 341 tysięcy sztuk broni strzeleckiej?

Ale nawet nie uwzględniając wszystkich tych dziwnych rozbieżności, straty nacierającego (przy tym bardzo pomyślnie, po 20–30 km dziennie) Wehrmachtu i broniącej się Armii Czerwonej wynoszą 1 do 12. Jest to „*cud*”, który obala wszelkie kanony nauki wojennej. Według logiki — oraz wszelkiej praktyki wojen i konfliktów zbrojnych — straty nacierającego powinny być większe od strat broniącego się. Stosunek strat 1 do 12 możliwy był chyba tylko wtedy, gdy biali kolonizatorzy, którzy przyплыnęli do Afryki z armatami i karabinami, natarli na tubylców broniących się dzidami i motykami. Ale latem 1941 roku na zachodnich granicach ZSRS była zupełnie inna sytuacja: broniąca się strona nie ustępowała przeciwnikowi ani liczebnie, ani pod względem uzbrojenia, znacznie przeważała nad nim, gdy chodzi o środki pozwalające zadawać silne uderzenia — czołgi i samoloty — do tego jeszcze potrafiła zbudować swoją obronę na systemie potężnych przeszkód naturalnych i stałych fortyfikacji.

Niemniej wymowne są też liczby charakteryzujące stosunek strat sprzętu bojowego. Jak podaliśmy wyżej, Armia Czerwona już do 9 lipca straciła 11,7 tysiąca czołgów, a bezpowrotne straty dywizji pancernych Wehrmachtu na koniec lipca wyniosły 503 czołgi. Do tej liczby należy dodać 21 dział szturmowych StuG III. Można też uwzględnić 92 utracone tankietki PzKpfw I. Nawet przy takim podejściu stosunek bezpowrotnych strat czołgów obu stron wynosi 1 do 19. Równie jaskrawe jest zestawienie strat uzbrojenia

artyleryjskiego i strzeleckiego. Na koniec 1941 roku straty obu stron wyrażały się w takich liczbach:

	Niemcy	ZSRS	stosunek
działa 150 i 152 mm	856	4700	1 do 5,5
haubice 105 i 122 mm	1103	6000	1 do 5,4
armaty 75 i 76 mm	919	12 300	1 do 13,4
moździerze 81 i 82 mm	1974	18 500	1 do 9,4
moździerze 50 mm	3162	38 000	1 do 12,0
armaty 37 i 45 mm	3349	12 000	1 do 3,6
erkaemy i cekaemy	21 062	189 400	1 do 9,0

Porównajmy teraz straty Wehrmachtu z jego liczebnością. W tym celu znów sięgnijmy do **Dziennika wojennego** szefa Sztabu Generalnego Wehrmachtu:

— zapis z 3 lipca: „od 22.6 do 30.6 nasze straty osobowe wynoszą ogółem 41 087 ludzi = 1,64% stanu”;

— zapis z 6 lipca: „na 3.07 ogółem straciliśmy około 54 000 ludzi = 2,15% z 2,5 miliona. Godna uwagi jest znaczna liczba chorych, których jest prawie tyle, ilu utraciliśmy w boju”;

— zapis z 17 lipca: „od 22.6 do 13.7 ogółem ubyło z szeregów 92 120 ludzi, co stanowi 3,68% ogólnej liczby żołnierzy”.

A zatem w połowie lipca 1941 roku straty Wehrmachtu wynosiły mniej niż 4 procent stanu. Niewątpliwie nie są to małe, lecz bardzo małe straty. Nawet ci, którzy nie kończyli akademii wojskowej, powinni zrozumieć, że armia, która musi pokonywać „zacięty opór przeciwnika”, ponosi zupełnie inne straty. Objaśnijmy to na dwóch konkretnych przykładach.

Operacja „*Bagration*” (rozbięcie niemieckich wojsk na Białorusi latem 1944 roku). Armia Czerwona miała 156 dywizji strzeleckich i 12 kawaleryjskich, 2 brygady strzeleckie, 18 brygad pancernych i zmotoryzowanych, 2332 tysiące ludzi. Liczebność ugrupowania przeciwnika (3. Armia Pancerna, 4., 9. i 2. Armia Polowa): 45 dywizji, 442 tysiące ludzi. Mimo przygniatającej przewagi liczebnej Armii Czerwonej jej straty wyniosły 33 procent ogólnej liczebności ugrupowania (179 tysięcy zabitych i zaginionych, 587 tysięcy rannych i chorych).

Operacja lwowsko–sandomierska (wyzwolenie Ukrainy Zachodniej w lecie 1944 roku). Straty Armii Czerwonej (65 tysięcy zabitych i zaginionych, 224 tysiące rannych i chorych) wyniosły 29 procent stanu wyjściowego

ugrupowania (72 dywizje strzeleckie i 6 kawalerii, 7 korpusów pancernych i 3 korpusy zmechanizowane, 4 samodzielne brygady pancerne, 1 mln ludzi).

Ogółem podczas wyzwiania republik nadbałtyckich, Białorusi, zachodnich obwodów Ukrainy, Mołdawii (w rodzimej historiografii nazywa się to ofensywnymi operacjami strategicznymi: nadbałtycką, białoruską, lwowsko–sandomierską i jasko–kiszyniowską) Armia Czerwona straciła 1400 tysięcy ludzi (318 tysięcy zabitych i zaginionych, 1084 tysiące rannych i chorych). Sprecyzuję, że nie są tu uwzględnione straty Armii Czerwonej w dwóch operacjach wyzwoleniczych na Ukrainie Zachodniej: rówieńsko–łuckiej i proskurowsko–czerniowieckiej; nie dysponuję danymi na ten temat). Porównując te straszliwe liczby ze stratami, które poniósł Wehrmacht, zajmując te same obszary w czerwcu i na początku lipca 1941 roku, stwierdzamy, że w roku 1944 łączne straty nacierającej Armii Czerwonej okazały się piętnasto–dwudziestokrotnie większe niż straty przeciwnika nacierającego w lecie 1941 roku na tym samym terenie.

Wiele można się dowiedzieć, uciekając się do porównania. Sensowne jest zestawienie strat uzbrojenia Armii Czerwonej 1941 roku ze stratami w innych okresach wojny. Zaczniemy od najprostszego i najważniejszego — od karabinu. Na stronie 367 wielokrotnie wspomnianego tu zbioru statystycznego **Nadruk „tajne” usunięty** napisano, że w 1941 roku Armia Czerwona straciła 6290 tysięcy sztuk broni strzeleckiej. Ściślej mówiąc, tylko ta jedna liczba daje wyczerpującą odpowiedź, co się stało z Armią Czerwoną w 1941 roku. Najbardziej rozpowszechnionym modelem broni strzeleckiej był karabin Mosina. Broń ta była i pozostanie niedościgłym wzorem niezawodności i trwałości. Można ją było utopić w bagnie, zakopać w piasku, zalać słoną wodą morską — a ona wciąż strzelała i strzelała. Masa tego istnego arcydzieła myśli inżynierskiej wynosi 3,5 kg bez naboju. Znaczy to, że każdy młody i zdrowy mężczyzna (a właśnie z takich składała się Armia Czerwona w 1941 roku) mógł bez szczególnego wysiłku wynieść z pola walki 3–4 karabiny. A już najchudsza kołchozowa szkap zaprzężona do zwykłej chłopskiej fury mogła wywieźć na tyły setkę mosinów pozostałych po zabitych i rannych. I jeszcze coś. Karabinów tak zwyczajnie się nie rozdaje. Każdy ma swój indywidualny numer, odebranie każdego trzeba potwierdzić własnoręcznym podpisem. Każdemu, nawet najbardziej zielonemu rekrutowi, wyjaśniano, że za utratę

broni osobistej pójdzie pod sąd. Jak więc mogło się zagubić 6 milionów karabinów i karabinów maszynowych?

Nie komplikujmy sprawy. Na wojnie jak na wojnie. Nie zawsze uda się pozbierać na polu bitwy wszystkie karabiny co do jednego.

Podczas działań bojowych nie każda ciężarówka i nie każdy wagon z bronią dociera do miejsca przeznaczenia. Wreszcie ileś karabinów i pistoletów maszynowych rzeczywiście mogły zniszczyć ogień, wybuch, polarne zimno. Czy można orientacyjnie oszacować wielkość strat broni strzeleckiej „normalnych” dla Armii Czerwonej (w Wehrmachcie były one nieporównanie mniejsze)? Oczywiście, można. Pobawiwszy się parę chwil kalkulatorem i zajrzawszy do zbioru **Nadruk „tajne” usunięty**, dowiadujemy się, że w latach 1944–1945 milion żołnierzy „gubił” miesięcznie 36 tysięcy sztuk broni strzeleckiej. A zatem w ciągu sześciu miesięcy 1941 roku „normalne” straty nie powinny były przewyższyć 650–700 tysięcy. Faktycznie zaś utracono 6,3 miliona. Mamy do czynienia z „ponadnormatywną utratą” ponad 5,6 miliona sztuk broni strzeleckiej.

Równie „nienormalne” okazały się straty innych rodzajów uzbrojenia. I tak w ciągu sześciu miesięcy 1941 roku utracono 24 400 dział polowych (ta liczba nie zawiera armat przeciwpancernych i moździerzy), co stanowiło 56 procent wszystkich zasobów. Przez dwanaście miesięcy roku 1943 stracono natomiast 6700 dział (9,7 procent zasobów). Tak więc „średniomiesięczne” straty 1941 roku okazały się 8,5 razy większe niż w 1943 roku. Jeszcze bardziej zdumiewające są proporcje strat armat przeciwpancernych. Według stanu na 22 czerwca 1941 roku Armia Czerwona miała 14 900 armat przeciwpancernych (w rzeczywistości było ich jeszcze więcej, ponieważ autorzy zbioru **Nadruk „tajne” usunięty** nie wiadomo dlaczego nie uwzględnili armat kalibru 76 mm i 85 mm, w które uzbrojone były samodzielne brygady artylerii przeciwpancernej). W uzupełnieniu tej kolosalnej liczby (po pięć armat na jeden niemiecki czołg) w ciągu sześciu miesięcy 1941 roku sowiecki przemysł dostarczył wojsku jeszcze 2500 armat przeciwpancernych. Łącznie więc było 17 400 dział, z których 70 procent (12 tysięcy) utracono. A przez cały rok 1943 — przez wszystkie jego dwanaście miesięcy — Armia Czerwona straciła 5500 armat przeciwpancernych, co stanowiło zaledwie 14,6 procent stanu na 1943 rok. Nieprzypadkowo do tego porównania wybrałem rok 1943. Był to rok wielkich bitew pancernych na

„łuku kurskim”, rok, w którym Niemcy rozpoczęli masową produkcję ciężkich czołgów *Tiger* i *Panther*, przeciwko którym nasze „czterdziestki” (a to właśnie one stanowiły 95 procent wszystkich armat przeciwpancernych w 1943 roku) były niemal bezradne. Niemniej jednak w 1943 roku Armia Czerwona traciła po 460 armat miesięcznie, a w 1941 roku — w tym czasie, gdy dwa z trzech niemieckich czołgów na froncie wschodnim były lekkimi maszynami ze słabym opancerzeniem — traciła do 2000 miesięcznie. 4,5 razy więcej. Ale i ten rachunek jest absolutnie błędny. Nie było żadnej „równomierności strat” po dwa tysiące armat co miesiąc — była masowa utrata większej części uzbrojenia przeciwpancernego w pierwszych tygodniach wojny. Doszło do tego, że już 5 lipca 1941 roku wydano, podpisaną przez Nikołaja Watutina, *Instrukcję walki z czołgami przeciwnika*, w której zalecano „przygotowanie zapasów błota–gliny do obrzucania szczelin obserwacyjnych czołgów”.

Błoto i glina przeciw czołgom. Po dwóch tygodniach od rozpoczęcia wojny. W kraju, który z wściekłym uporem totalitarnego despoty szykował się do wojny, gromadząc góry broni...

ROZDZIAŁ 18. NAJWAŻNIEJSZY ROZDZIAŁ

Amatorzy starej, solidnej literatury science fiction pamiętają zapewne powieść Stanisława Lema **Niewyciężony**. Tym, którzy nie zdążyli jeszcze jej przeczytać, pokrótce o niej opowiem. Ekipa poszukiwawczo–ratownicza na statku kosmicznym **Niewyciężony** wyrusza na poszukiwanie innej wyprawy kosmicznej, która zaginęła bez śladu na odległej planecie Regis. Przybywszy na nią, ratownicy dość szybko odnajdują statek i ciała Ziemiaków. Równie szybko i łatwo lekarze oraz biochemicy ustalają bezpośrednią przyczynę zagłady tych ludzi. Jest ona banalna, a przez to szczególnie straszna: głód. Żadnych śladów zatrucia, promieniowania, żadnych znamion przemocy. Wszyscy umarli z głodu. Obok lodówek wyładowanych żywnością na statku ze sprawnie funkcjonującym zasilaniem, środkami łączności, z laserami obronnymi i innymi cudami techniki. Skrupulatne oględziny statku nie wyjaśniają, dlaczego do tego doszło, lecz jedynie zwiększają liczbę ponurych zagadek: dziennik pokładowy zapisany dziecinnymi kulfonami, kawałki mydła ze śladami zębów, książki podarte na strzępy... Kosztem ogromnego wysiłku, tracąc część ludzi, załoga **Niewyciężonego** dowiadyuje się wreszcie prawdy. Okazuje się, że planetę spowił jakiś „obłok” biomechaniczny. Miał on zdolność generowania supermocnego pola magnetycznego, co pozwalało mu wymazywać z pamięci istot żywych całą wiedzę, umiejętności, nawyki. Taki właśnie los spotkał uczestników pierwszej ekspedycji. Stracili rozum, przemienili się w bezradne niemowlęta niezdolne ani nadać sygnału SOS, ani wyciągnąć jedzenia z lodówki.

Ta ponura fantazja powstała w wyobraźni Stanisława Lema jest świetną metaforą tego, co się stało z Armią Czerwoną latem 1941 roku. Największa armia lądowa świata okazała się w równej mierze niezdolna do obrony i do natarcia. Ani wielokrotna przewaga liczebna w lotnictwie, ani wielokrotna przewaga liczebna (przy znacznej technicznej) w czołgach, ani dwie linie żelbetonowych bunkrów nie zapobiegły niebywalej klęsce. Główna siła uderzeniowa Armii Czerwonej — ogromne korpusy zmechanizowane uzbrojone w najlepsze na świecie czołgi T-34 i KW — rozpadła się, zniknęła, pozostawiając sterty porzuconych czołgów i samochodów pancernych, które tarasowały potem wszystkie drogi Litwy, Białorusi i Ukrainy Zachodniej.

Przez większą część umocnionych rejonów Linii Mołotowa i Linii Stalina Niemcy przemaszerowali, nie zwracając uwagi na szare pudła bunkrów opustoszałych po panicznej ucieczce. Przez inne przedarli się, walcząc; co prawda walki te trwały nie dłużej niż dwa–trzy dni (mówimy tu o przerwaniu frontu rejonów umocnionych jako całości, nie zapominając jednak o tym, że bohaterskie załogi pojedynczych bunkrów Grodzieńskiego, Brzeskiego i Rawskoruskiego Rejonu Umocnionego walczyły całkowicie odcięte do 27–30 czerwca 1941 roku).

Co prawda wkrótce niemieckie dowództwo miało się dowiedzieć, że okrążone i rozgromione armie czterech zachodnich okręgów wojskowych są tylko częścią „*głównych sił rosyjskich wojsk lądowych*”. A w miejsce rozgromionych dywizji z głębi ogromnego kraju nadchodziły coraz to nowe i nowe formacje. Do 10–15 lipca zostało zasadniczo zakończone przegrupowanie na teatrze działań wojennych wojsk drugiego rzutu strategicznego (16., 19., 20., 21., 22., 24. i 28. Armia). W połowie lipca na froncie — mimo ogromnych strat z pierwszych tygodni wojny — było już około 234 dywizji. Do końca lipca sformowano 29., 30., 31., 32., 33., 43. i 49. Armię. Ogółem podczas dwumiesięcznej bitwy smoleńskiej wprowadzono do boju 104 dywizje i 33 brygady. W porównywalnym okresie (zapis w **Dzienniku wojennym** Franza Haldera z 2 sierpnia) wszystkie formacje Wehrmachtu na Froncie Wschodnim dostały tylko 47 tysięcy ludzi uzupełnienia. Odpowiada to trzem „*dywizjom umownym*”.

Ogółem do 1 grudnia 1941 roku na zachodni kierunek strategiczny Naczelne Dowództwo skierowało 150 dywizji i 44 brygady strzeleckie, na kierunki leningradzki i kijowski 140 dywizji i 50 brygad strzeleckich.

A przecież oprócz formacji strzeleckich (piechoty), formowały się również dywizje i brygady kawalerii, pancerne, artylerii. Aleksiej Isajew donosi, niestety nie podając źródła, że „*do 31 grudnia sformowano lub przeformowano 483 dywizje strzeleckie, 73 pancerne, 31 zmotoryzowanych, 101 kawaleryjskich oraz 266 brygad pancernych, strzeleckich i narciarskich*”. Prócz tego nieprzerwanie uzupełniano stan osobowy setek jednostek już istniejących. Ogółem do końca 1941 roku do wojska skierowano 2250 tysięcy ludzi uzupełnienia marszowego. W tym czasie do 31 grudnia niemiecka Grupa Armii „*Środek*”, choć rosły jej straty, otrzymała zaledwie 192 tysiące ludzi uzupełnienia. Ogółem od 22 czerwca do początku bitwy o Moskwę na froncie

wschodnim pojawiły się tylko dwie nowe dywizje pancerne (2. i 5.) i 24 dywizje piechoty z odwołu Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu.

Przyczyna zwiększenia liczebności Armii Czerwonej w rozmiarach zupełnie niedostępnych przeciwnikowi jest banalnie prosta. Ta liczba dywizji, którą Wehrmacht mógł skoncentrować przy granicach Związku Sowieckiego, stanowiła maksimum możliwości osiemdziesięciomilionowych Niemiec w drugim roku po rozpoczęciu mobilizacji powszechnej. Z drugiej strony półtorej setki dywizji pierwszego rzutu strategicznego, które Armia Czerwona zgromadziła w zachodnich okręgach w połowie czerwca 1941 roku, stanowiło minimum, które liczący 200 milionów mieszkańców Związek Sowiecki mógł postawić pod bronią i wysunąć ku granicy w ramach ukrytej mobilizacji jeszcze przed ogłoszeniem jawnej mobilizacji powszechnej, która zaczęła się 23 czerwca 1941 roku. Już do 1 lipca sowieckie siły zbrojne zasiłło 5,3 miliona ludzi, co oznacza dwukrotne zwiększenie ogólnej liczby żołnierzy w porównaniu ze stanem na 22 czerwca. Ale 1 lipca mobilizacja oczywiście się nie zakończyła. Dopiero się zaczynała. Na pierwszym etapie — zgodnie z dekretem z 22 czerwca — powołano 14 roczników podlegających obowiązkowi wojskowemu, czyli 10 milionów ludzi. Na drugim etapie, zgodnie z decyzją Głównego Komitetu Obrony nr 459 z 11 sierpnia 1941 roku, zostały powołane podlegające obowiązkowi wojskowemu starsze roczniki (1895–1904). W rezultacie do końca 1941 roku zmobilizowano ogółem 14 milionów ludzi.

Dysponując takimi ogromnymi zasobami ludzkimi, dowództwo Armii Czerwonej mogło zarówno uzupełniać straty jednostek frontowych, jak i formować coraz to nowe jednostki. I całe to nieprzeliczone wojsko zostało rozgromione, okrążone i wzięte do niewoli w nowych kotłach — pod Smoleńskiem i Rosławiem, Humanem i Kijowem, Wiaźmą i Briańskiem. Do początku zimy Niemcy zajęli Charków i Odessę, Taganrog i Krym, wysunęli się ku Moskwie i Tichwinowi.

Jeśli zapomnimy na chwilę, że chodzi o cierpienia i zagładę milionów ludzi, spustoszenie kraju i obrócenie tysięcy miast i wsi w perzynę, jeśli zapomnimy o tym wszystkim i rozważymy sprawę cynicznie, z zimną krwią, zmuszeni będziemy stwierdzić, że w 1941 roku sowiecka machina wojenna działała rekordowo mało efektywnie. Nie wykonując ani jednego z postawionych zadań, oddając wrogowi ogromne terytoria, Armia Czerwona

poniosła gigantyczne straty, w wielu pozycjach dziesięciokrotnie przewyższające straty przeciwnika. Z drugiej strony straty mało licznego (w porównaniu z zasobami ludzkimi Armii Czerwonej) i nie mającego żadnej istotnej przewagi w sprzęcie (a w niektórych jego rodzajach wyraźnie jej ustępującego) przeciwnika okazały się kilkudziesięciokrotnie mniejsze niż te, które parę lat później poniosła Armia Czerwona, odbijając w wieloletnich walkach to, co utraciła w ciągu kilku miesięcy 1941 roku. Nawet słabe, kiepsko uzbrojone i zdemoralizowane wojska lądowe i lotnictwo Francji w maju–czerwcu 1940 roku zadały Niemcom straty większe aniżeli te, które w lecie 1941 roku potrafiła zadać wrogowi Armia Czerwona.

Takie są fakty. Są one wiarygodne, jest ich bardzo dużo i wymagają jakiegoś racjonalnego, logicznego wytłumaczenia. Przedstawione wcześniej objaśnienia — „*niespodziewana napaść*”, „*wielokrotna przewaga liczebna przeciwnika*”, „*beznadziejnie przestarzały sprzęt bojowy Armii Czerwonej*” — albo nie odpowiadają rzeczywistości (mówiąc prościej, są kłamliwe), albo nie wystarczają, by wyjaśnić katastrofę wojenną o takiej skali. Ogromna praca wykonana przez rosyjskich historyków w ostatnim dwudziestoleciu, podczas której dokładnie zbadano przebieg większości bitew początkowego okresu wojny, krytycznie przeanalizowano strategiczne i operacyjne decyzje dowództwa Armii Czerwonej, jedynie potwierdza — moim zdaniem — wniosek, że odpowiedź na pytanie o przyczyny katastrofy 1941 roku znajduje się poza sferą problemów sztuki operacyjnej lub techniki zbrojeniowej.

Uważam, że odpowiedź na pytanie o przyczyny klęski można sprowadzić najkrócej do czterech słów: ARMIA CZERWONA NIE WALCZYŁA. Na polach bitew 1941 roku nie spotkały się dwie armie, ale zorganizowane i działające jak w zegarku siły zbrojne faszystowskich Niemiec z jednej strony i niemal niesterowalny uzbrojony tłum z drugiej. To założenie pozwala od razu racjonalnie wyjaśnić „*nieprawdopodobne*” proporcje strat obu stron: rzecz jasna w konflikcie zbrojnym armii i tłumy straty tłumy muszą być kilkudziesięciokrotnie większe. Ma się rozumieć, że ogromna liczba najlepszych czołgów, samolotów, dział i karabinów maszynowych nie może o wiele zwiększyć zdolności bojowej niesterowalnego tłumy.

Zaproponowane wyjaśnienie tylko pozornie jest proste. Z jednej strony popycha ono do karykaturalnie głupiego objaśnienia wojennej katastrofy o niesłychanej skali jako następstwa rzekomego „*braku środków łączności*”

radiowej” i poprzecinania przewodów przez dywersantów. W związku z tym powtórzę raz jeszcze, co napisałem wcześniej: łączności nie zapewniają przewody, lecz ludzie. Osławiony „*brak łączności*” nie był przyczyną, lecz nieuchronnym skutkiem przemiany wielomilionowej armii w uzbrojony tłum. Przepadło dowództwo, przepadły sztaby, przepadła wszelka dyscyplina — i jako następstwo oraz element tego rozpadu, prócz wszystkiego innego, przepadła również łączność.

- 163 dowódców dywizji (brygady);
- 221 szefów sztabu dywizji (brygady);
- 1114 dowódców pułków.

To jest wykaz dowódców wojsk lądowych (a więc bez dowódców sił powietrznych, którzy nie powrócili z lotu bojowego) zaginionych przez wszystkie lata wojny. Biorąc pod uwagę, że według etatu jedna dywizja strzelecka potrzebowała jednego dowódcy, jednego szefa sztabu i pięciu dowódców pułków, dochodzimy do wniosku, że przepadł korpus oficerski więcej niż wystarczający do całkowitego obsadzenia wyższych stanowisk dowódczych wszystkich dywizji pięciu zachodnich okręgów wojskowych ZSRS. Warto odnotować i to, że nawet do początku lat dziewięćdziesiątych nie były znane miejsca pochówku 44 generałów Armii Czerwonej (i to nie licząc rozstrzelanych albo zmarłych w więzieniach, łagrach i w nieprzyjacielskiej niewoli). 44 generałów — wśród nich 20 dowódców szczebla korpusu, a nawet armii — zaginęło bez śladu w odmętach wojny. Jak to możliwe? Jak mógł zagiąć bez śladu generał, dowódca dywizji bądź korpusu? Pytanie w pełni uzasadnione: dowódcy nie walczą samotnie. Dowództwo i sztab dywizji liczyły według etatu z kwietnia 1941 roku 75 osób (nie uwzględniając wydziału politycznego, trybunału i plutonu wartowniczego). W sztabowych strukturach korpusu i armii jest jeszcze więcej ludzi. Do jakich granic musiały dojść chaos, panika, dezorganizacja i utrata dyscypliny, żeby bez śladu „*zapodział się*” dowódca korpusu bądź dywizji?

Z drugiej strony moje stwierdzenie „*Armia Czerwona nie walczyła*” nie wyjaśnia mechanizmu gwałtownego rozkładu Armii Czerwonej. I chociaż mnóstwo przedstawionych wyżej faktów (podkreślam — faktów, a nie cytatów, opinii, relacji) daje już całkiem jednoznaczną odpowiedź, to jednak możemy ustalić prawdę, nie uciekając się do żadnych domysłów. Wszystko,

co trzeba zrobić, to jeszcze raz sięgnąć do zbioru **Nadruk „tajne” usunięty**. Tam zupełnie jasno napisano, gdzie i jak zaginęła Armia Czerwona.

Na stronach 234–246 owego zbioru przytoczono dane o stratach frontów w 1941 roku. Wyjątkowość tych strat polega na tym, że liczby (proszę cię, szanowny czytelniku, abyś na jakiś czas zapomniał o tragedii, która kryje się za nimi, i skupił się na czystej arytmetyce) poległych i zaginionych nie zostały połączone obłudnym spójnikiem „oraz”, ale podano je oddzielnie. Przy czym otwartym tekstem napisano: „*zaginęło, dostało się do niewoli, straty niebojowe*”. Co więcej, na stronie 338 autorzy zbioru nie ulękli się równie bezpośrednio donieść, że spośród 4559 tysięcy żołnierzy odnotowanych w doniesieniach sztabów jako „*zaginieni*” 4059 tysięcy (czyli 89 procent) było w niewoli. Uwzględniając te wyjaśnienia, ujmijmy zgromadzone informacje w kolejną tabelę:

	straty ogółem tys. ludzi/%	polegli %	straty sanitarne %	zaginęło, straty niebojowe i inne %
Front Północny	148/100	15,1	42,4	42,6
Front Północno–Zachodni	270/100	11,7	32,5	55,8
Front Zachodni	1298/100	8,2	26,3	65,4
Front Południowo–Zachodni	852/100	7,1	15,7	77,2
Front Południowy	312/100	10,4	23,6	66,0
Front Centralny	143/100	6,4	22,4	71,2
Front Briański	198/100	7,2	21,5	71,3

Jak widzimy, z wyjątkiem skrzydła północnego (Front Północny i Północno–Zachodni) liczba jeńców i zaginionych siedmio–dziesięciokrotnie przewyższa liczbę poległych. Albo, inaczej mówiąc, masowe oddawanie się do niewoli i dezercja były główną przyczyną bezpowrotnych strat Armii Czerwonej 1941 roku. Sytuacja na froncie północnym w pełni mieści się w określeniu „*wyjątek potwierdza regułę*”. Ani warunki terenowe, ani uzbrojenie małej armii fińskiej nie umożliwiły jej prowadzenia wielkich operacji okrążania przeciwnika. Działania bojowe miały charakter powolnego wypychania Armii Czerwonej poza linię granicy 1939 roku. Zresztą i podczas tego wypychania w niewoli u Finów znalazło się 64 188 żołnierzy sowieckich.

Czy te bolesne i haniebne liczby są wiarygodne? Najpewniej nie. Są one wyraźnie zaniżone. Do takiego przypuszczenia skłania już tylko jedno proste porównanie wykazanych w zbiorze **Nadruk „tajne” usunięty** strat w ludziach i broni strzeleckiej. Nie podejmuję się rozsądzania, co w Armii Czerwonej zostało zorganizowane bardziej skandalicznie: ewidencja strat w ludziach czy dbanie o broń osobistą, ale liczby charakteryzujące oba te rodzaje strat zupełnie nie przystają do siebie:

	ogólne straty w ludziach w tys.	straty broni strzeleckiej w tys.	stosunek strat
Wehrmacht, front wschodni 22 czerwca–31 grudnia 1941 r.	831	82	10 do 1
nadbałtycka operacja obronna 22 czerwca–9 lipca	88	341	1 do 3,9
bitwa smoleńska 10 lipca–10 września	760	233	3,3 do 1
leningradzka operacja obronna 10 lipca–30 września	345	733	1 do 2,1
kijowska operacja obronna 7 lipca–26 września	701	1765	1 do 2,5

Co do wiarygodności ewidencji strat w ludziach, budzi wątpliwość również rezultat końcowy (przez cały okres działań bojowych w 1941 roku), przytoczony na stronie 152 (tabela 72. „*Straty składu osobowego czynnych frontów i poszczególnych armii*”). Autorzy zbioru **Nadruk „tajne” usunięty** przytaczają takie liczby strat Armii Czerwonej:

łącznie straty 4308 tysięcy ludzi, w tym:

- straty sanitarne 1314 tysięcy;
- straty bezpowrotne 2994 tysiące.

Gdyby to było prawdą, gdyby straty bezpowrotne 1941 roku stanowiły „jedynie” (jeszcze raz proszę wybaczyć wymuszony brak taktu) 3 mln ludzi, to pod koniec roku skład jednostek bojowych powinien był wielokrotnie się zwiększyć (w porównaniu ze stanem z 22 czerwca 1941 roku) i sięgnąć 7–8 mln. Jest to bardzo proste, szkolne zadanie, w którym jedną rurą ciec wlewa się do basenu, a drugą wylewa. Ilu ludzi w drugiej połowie 1941 roku otrzymały jednostki i formacje bojowe armii Związku Sowieckiego? Dziwne, ale nie ma bezpośredniej, wyraźnej odpowiedzi na to pytanie. Wypada nam jej poszukać drogą okrężną. Ogółem zmobilizowano 14 mln ludzi, przy czym nie

byli to ludzie „zbędni”. „Już w sierpniu całkowicie wykorzystano resztki wszystkich zmobilizowanych roczników (1918–1905)”. Jak wykazano powyżej, chodziło o 10 mln rezerwistów powołanych w pierwszym etapie mobilizacji na podstawie dekretu z 22 czerwca. Następnie powołano jeszcze 4 miliony. Oczywiście nie wszyscy oni trafili do jednostek frontowych. Jednostki takie to tylko jedna z części składowych sił zbrojnych. Są jeszcze jednostki zaplecza i szkoleniowe, poligony doświadczalne, są magazyny i bazy, szpitale, lotniska na tyłach. Na przykład w Niemczech siły zbrojne liczyły łącznie 7,25 mln ludzi, a w jednostkach bojowych na wszystkich frontach w czerwcu 1941 roku było 3,8 mln (52 procent).

W Związku Sowieckim w trzech ostatnich latach wojny w jednostkach bojowych służyło 57–58 procent łącznej liczby wojskowych. Uzasadnione jest przypuszczenie, że wielkości te można zastosować również do 1941 roku. W takim wypadku z ogólnej liczby 14 mln osób powołanych na podstawie mobilizacji w skład jednostek bojowych powinno być wejść co najmniej 8 mln ludzi. Jest to szacunek minimalny. Nie zapominajmy, że w skład frontów latem 1941 roku weszły również armie drugiego rzutu strategicznego, następnie — dawniej uważane za tyłowe wojska okręgów wewnętrznych, a pod koniec roku — jednostki Frontu Dalekowschodniego i tak zwane dywizje pospolitego ruszenia.

Cała ta nieskomplikowana arytmetyka prowadzi nas do tego, że w jednostkach frontowych pod koniec 1941 roku powinno być co najmniej o 5 mln osób więcej ($8 - 3 = 5$). Nawet jeśli przyjmiemy, że żaden ranny do końca 1941 roku nie wrócił do szeregów, i na tej podstawie odejmiemy z końcowej liczby wszystkie straty sanitarne (1,3 mln), to i wówczas przyrost powinien być wynieść około 4 mln żołnierzy.

Natomiast faktycznie (według zbioru statystycznego Kriwoszejewa, s. 152) średnia miesięczna liczebność formacji bojowych pod koniec 1941 roku nie tylko się nie zwiększyła, ale nawet zmniejszyła o 0,5 mln żołnierzy! Z 3 334 400 do 2 818 500.

Jedynym możliwym wytłumaczeniem takiej dynamiki jest to, że rzeczywiste straty przewyższyły uzupełnienia („z basenu wylało się więcej, niż się do niego wlało”). Inaczej mówiąc, rzeczywiste bezpowrotne straty Armii Czerwonej w 1941 roku wyniosły bynajmniej nie 3 miliony, ale około 8–8,5 miliona ludzi.

Czy można zrobić choćby minimalnie wiarygodny wykaz strat? Można, i to w pełni. Smutne doświadczenia licznych konfliktów wojennych XX wieku dowodzą, że istnieje pewien bardzo stabilny stosunek liczby zabitych i rannych w działaniach bojowych. Szacunek ten wynosi 1 do 3. Na jednego zabitego przypada trzech rannych. Między innymi takie były dokładnie proporcje strat Wehrmachtu w 1941 roku: 209 595 zabitych i zaginionych, 621 308 rannych. Podane powyżej w tabeli liczby strat frontów w 1941 roku (zabici i straty sanitarne) również układają się w proporcję 1 do 3. Podobna była też struktura strat Armii Czerwonej w największych operacjach lat 1944–1945 (operacja dniesprzańsko–karpacka — 1 do 3,1; białoruska operacja „*Bagration*” — 1 do 3,3; operacja lwowsko–sandomierska — 1 do 3,5; operacja berlińska — 1 do 3,5). Stabilność tych liczb jest zadziwiająca, ale fakty są właśnie takie. Prawdopodobnie odzwierciedlają one jakiś fundamentalny stosunek między wytrzymałością ludzkiego organizmu a porażającym działaniem broni tamtej epoki.

Straty sanitarne (ranni i chorzy, którzy trafili na leczenie do szpitali) w 1941 roku są znane (1314 tysięcy osób) i dość wiarygodne: na głębokich tyłach i porządku było więcej, i ewidencję prowadzono co najmniej podwójnie (podczas przyjmowania do szpitala i przy wypisie). Biorąc za punkt wyjścia proporcję między zabitymi a rannymi jak 1 do 3, można założyć, że zginęło około 500 tysięcy ludzi. Natomiast sumaryczne straty bezpowrotne 1941 roku nie mogły być (ze wskazanych wyżej względów arytmetycznych) mniejsze niż 8 mln osób. A zatem nie mniej niż 6–7 mln żołnierzy i oficerów „*zagięło*”.

Sześć–siedem milionów ludzi. Tyłu, ilu było w jednostkach bojowych 22 czerwca 1941 roku, i jeszcze raz tyle.

Otrzymana przez nas z tego rachunku liczba „*zaginionych*” (czyli jeńców, dezertersów oraz zabitych i rannych nie uwzględnionych w doniesieniach sztabów) dość dobrze koreluje z innymi, w pełni wiarygodnymi informacjami. Na przykład z podaną wyżej liczbą łącznych strat broni strzeleckiej (6,3 mln sztuk). Dalej. Niemieckie dowództwo odnotowało wzięcie do niewoli w 1941 roku 3,8 mln byłych żołnierzy Armii Czerwonej. Liczba ta, jak słusznie precyzują sowieccy historycy, może być nieco zawyżona z tego powodu, że Niemcy do jeńców zaliczali też żołnierzy wojsk budowlanych (a niekiedy po prostu cywilów zmobilizowanych do kopania

okopów i rowów przeciwczołgowych). To prawda, ale prawdą jest też to, że chodzi zaledwie o kilka procent ogólnej liczby jeńców. Niemcy nie mieli żadnej potrzeby wyławiania cywilnych budowlanych i zaliczania ich do jeńców. Co więcej, jeńców było tak wielu, że Wehrmacht nie miał możliwości utrzymania ich wszystkich. Doszło do tego, że 25 lipca 1941 roku generalny kwatermistrz wydał rozkaz nr 11/4590, zgodnie z którym zaczęło się masowe zwalnianie jeńców kilku narodowości (Ukraińców, Białorusinów, Bałtów). W okresie obowiązywania tego rozkazu, czyli do 13 listopada 1941 roku, rozpuszczono do domów 318 770 byłych czerwonoarmistów (głównie Ukraińców — 277 761 osób).

Według danych przytoczonych w zbiorze **Nadruk „tajne” usunięty** (czyli przynajmniej nie zawyżonych w celu „złośliwego skalowania Armii Czerwonej”) sowieckie dowództwo i organy NKWD wykryły i osądziły za dezercję 376 tysięcy byłych wojskowych. Jeszcze 940 tysięcy osób zostało „powołanych po raz drugi”. Tym dziwnym terminem oznaczono tych żołnierzy i dowódców Armii Czerwonej, którzy z różnych przyczyn „zostali w tyle” za swoją jednostką i znaleźli się na terytorium okupowanym przez Niemców. Gdy w latach 1943–1944 Armia Czerwona odzyskiwała utracony teren, byli oni powtórnie powoływani pod broń. Przy tym nie należy zapominać, że wyjściowa liczba tych, którzy „zostali w tyle”, była znacznie wyższa: jedni zginęli z nędzy, głodu, od ostrzału, rozstrzeliwań i bombardowań, inni poszli do partyzantów i polegli w walce, inni wstąpili do niemieckich formacji „policyjnych” i odeszli z cofającymi się jednostkami Wehrmachtu.

Chyba niezbyt się pomylimy, szacując łączną liczbę dezertersów (jeżeli tylko ten termin można zastosować w sytuacji powszechnego rozpadu armii) na 1,3–1,5 miliona ludzi. I ta liczba jest raczej za niska niż za wysoka. Podana na stronie 140 zbioru **Nadruk „tajne” usunięty** sumaryczna liczba ludzi wszystkich kategorii, których straciła Armia Czerwona — zabitych, zmarłych, zaginionych, jeńców, osadzonych i wysłanych do GUŁagu (a nie do batalionów karnych, które były częścią armii), zdemobilizowanych z powodu ran i chorób oraz „innych” — nie jest zbieżna z podaną na stronie 139 łączną liczbą tych, którzy z różnych przyczyn ubyli z sił zbrojnych: 2248 tysięcy. Sami autorzy zbioru taką rozbieżność tłumaczą wprost „znaczłą liczbą nie odnalezionych dezertersów”.

Wreszcie, i to jest chyba najstraszniejsza prawda o początku wojny, co najmniej 1–1,5 mln „zaginionych” byli to zabici i ranni porzuceni podczas panicznej ucieczki i nie odnotowani w doniesieniach sztabowych. Przynajmniej arytmetyka wymaga właśnie takiego ilościowego oszacowania. Zresztą jeszcze sowieccy historycy w swoich elaboratach bez cienia wstydu komunikowali czytelnikom, że „ranni, których nie udało się ewakuować, zostali oddani pod opiekę miejscowej ludności”. Czy warto się zastanawiać, jak miejscowa ludność mogła wziąć pod opiekę ciężko rannych żołnierzy, skoro nie miała żadnych medykamentów ani nawet zbędnej szklanki mleka? 17 listopada 1941 roku szef zarządu politycznego Frontu Zachodniego, komisarz dywizyjny Lestiew w referacie *O polityczno–moralnym stanie wojsk* pisał: „Ciężko rannych lub rannych w nogi, którzy nie mogą chodzić, a nawet się czolgać, w najlepszym wypadku pozostawiano we wsiach, albo po prostu porzucano na polu bitwy, w lasach, gdzie ginęli powolną śmiercią z głodu i upływu krwi. Wszystko to odbywało się na oczach ludzi i było jedną z przyczyn, że liczni czerwonarmiści i dowódcy starali się uchylać od walki, bo wiedzieli, że jeśli zostaną ranni, to niechybnie zginą”. Według danych, które przytacza Kriwoszejew, 200 szpitali wojskowych zaginęło bez śladu, 17 wyszło z okrążenia z „wielkimi stratami”.

Obraz bezprzykładnej moralno–politycznej degrengolady będzie niepełny, jeżeli choćby pokrótce nie wspomnimy o masowej współpracy z wrogiem.

Już po kilku miesiącach od rozpoczęcia wojny, jesienią 1941 roku, niemieckie dowództwo przystąpiło do planowego formowania z byłych obywateli radzieckich (jeżeli w ogóle słowo „obywatel” można odnieść do poddanych imperium Stalina) „narodowych” jednostek pomocniczych. Utworzono ogółem około 90 tak zwanych batalionów wschodnich: 26 „turkiestańskich”, 13 „azerbejdżańskich”, 9 „krymskotatarskich”, 7 „wołżańsko–uralskich”, i tak dalej. W następnym, 1942 roku, po przebiciu się niemieckich wojsk za Don i Kubań, zaczęło się tworzenie „ochotniczych” ugrupowań kozackich. I tak w maju 1942 roku w 17. Armii Polowej Wehrmachtu wydano rozkaz tworzenia przy każdym korpusie armijnym po jednej kozackiej sotni i jeszcze dwóch sotni przy sztabie armii. Kozacka sotnia pojawiła się we wrześniu 1942 roku nawet w składzie włoskiej 8.

Armii. Na wiosnę 1943 roku w Wehrmachcie walczyło ponad 20 pułków kozackich liczących około 30 tysięcy ludzi.

Najbardziej rozpowszechnioną i masową formą kolaboracji byłych wojskowych Armii Czerwonej z okupantami była ich służba w regularnych jednostkach Wehrmachtu jako „*dobrowolnych pomocników*” (*Hilfswillige* lub w skrócie *Hiwi*). Początkowo hiwisi służyli jako magazynierzy, kierowcy, sanitariusze, saperzy, tragarze, uwalniając „*prawdziwych Aryjczyków*” do bezpośrednich działań bojowych. Potem, w miarę zwiększania się strat Wehrmachtu, rosyjskich „*ochotników*” zaczęto uzbrajać. W kwietniu 1942 roku niemiecka armia liczyła 200 tysięcy hiwisów. W okrążonej pod Stalingradem 6. Armii Paulusa w listopadzie 1942 roku było ich 51 800, a w 71., 76., i 297. Dywizji Piechoty tej armii „*Rosjanie*” (tak nazywano wszystkich byłych Sowieców) stanowili do 40 procent składu osobowego. Latem 1942 roku w 11. Armii Mansteina było 47 tysięcy „*ochotników*”. W końcu skala masowej kolaboracji z okupantami stała się tak wielka, że Naczelne Dowództwo Wehrmachtu utworzyło specjalną funkcję generalnego inspektora wojsk wschodnich. W lutym 1943 roku pod dowództwem generała Köstringa w szeregach Wehrmachtu, SS i obronie przeciwlotniczej służyło około 750 tysięcy ludzi. Od października 1943 roku hiwisi zostali włączeni do standardowego etatu niemieckiej dywizji piechoty w liczbie 2 tysięcy na dywizję, co stanowiło 15 procent całego stanu osobowego.

Takie liczby wymieniają zagraniczni historycy. Całkowicie zgadzają się z nimi również historycy wojskowi rosyjskiego Sztabu Generalnego, autorzy zbioru **Nadruk „tajne” usunięty**. Na stronie 385 czytamy: „*Liczebność stanu osobowego wojskowych formacji tzw. dobrowolnych pomocników Niemiec, włącznie z policjantami i pracownikami pomocniczymi, w połowie lipca 1944 r. przekraczała 800 tysięcy ludzi. Tylko w Waffen SS w okresie wojny służyło ponad 150 tys. byłych obywateli ZSRS*”. Na stronie 334 podano, że w latach 1942–1944 spośród znajdujących się w niemieckich obozach jenieckich w związku z wstąpieniem do „*formacji ochotniczych*” zwolniono około 500 tysięcy ludzi. A przecież jeńcy byli wprawdzie ważnym, lecz wcale nie jedynym źródłem rekrutacji. Niemcy mieli do usług również setki tysięcy dezertersów oraz miliony podlegających służbie wojskowej, którzy uchylili się od mobilizacji na początku wojny. Mieli też kilkudziesięciu byłych generałów Armii Czerwonej.

Za dobrowolne oddanie się do niewoli i współpracę z okupantem po wojnie rozstrzelano lub powieszono 23 byłych generałów Armii Czerwonej (i to nie licząc o wiele większej grupy tych, którzy dostali za zdradę ciężkie wyroki łagrowe). Wśród zdrajców byli też dowódcy najwyższej rangi:

- szef wydziału operacyjnego sztabu Frontu Północno–Zachodniego, Truchin;
- dowódca 2. Armii Uderzeniowej, Własow;
- szef sztabu 19. Armii, Małyszkin;
- członek rady wojennej 32. Armii, Żylienkow;
- dowódca IV korpusu strzeleckiego (Front Zachodni), Jegorow;
- dowódca XXI Korpusu Strzeleckiego (Front Zachodni), Zakutnyj.

Owszem, dziesięciu spośród straconych generałów w końcu lat pięćdziesiątych zrehabilitowano. Nie należy jednak zapominać, że rehabilitację przeprowadzono wtedy według tych samych reguł co represje lat trzydziestych. Całą listą, bez żadnej obiektywnej rozprawy sądowej, według bezpośrednich instrukcji „organów dyrektywnych”...

Straceni generałowie znani są z nazwiska. O szeregowcach, jak zawsze, mówią tylko sumaryczne liczby. W ciągu niecałych czterech miesięcy wojny — od 22 czerwca do 10 października 1941 roku — z wyroku trybunałów wojennych i wydziałów specjalnych NKWD zostało rozstrzelanych 10 201 czerwonoarmistów. A ogółem w latach wojny tylko trybunały wojenne, nie licząc NKWD, osądziły ponad 994 tysiące sowieckich żołnierzy, spośród nich 157 593 rozstrzelano. Dziesięć dywizji...

Masowe dezercje i oddawanie się do niewoli były zarazem przyczyną i skutkiem oraz istotą procesu przemiany Armii Czerwonej w niesterowalny tłum. Tylko takim, na pierwszy rzut oka rozmyślnie „dialektycznym”, stwierdzeniem można opisać niebywałe wydarzenia lata–jesieni 1941 roku.

Nie było ani wieców, ani „komitetów żołnierskich”. Bardzo rzadko dochodziło do grupowego i zorganizowanego przechodzenia na stronę wroga. „Typowy schemat” rozgromienia i zniknięcia jednostki wojskowej Armii Czerwonej — jak wynika z licznych wspomnień, książek, dokumentów — był taki:

Punkt pierwszy. Utrata dowódcy. Przyczyny mogły być najróżniejsze: poległ, został ranny, pojechał wyjaśnić sytuację do nadrzędnego sztabu, zastrzelił się, uciekł. Co do jednostek sformowanych w zachodnich

„wyzwolonych”⁷ regionach ZSRS, do tej listy można dodać: zabity przez podwładnych. Utrata dowódcy była najczęstszym, ale nie jedynym impulsem prowadzącym do gwałtownego rozpadu jednostki wojskowej.

Takim impulsem mogło też być wyjście czołgów wroga na skrzydło czy tyły, ostrzelanie z broni maszynowej przez nieliczną grupę niemieckich motocyklistów, a nawet po prostu czyjś przenikliwy wrzask: „*Jesteśmy okrążeni!*”

Punkt drugi. Młodzi oficerowie, którzy przejęli dowodzenie pozbawionej dowódcy jednostki wojskowej, podejmują decyzję, aby przebijać się na wschód. To jednak nie wróżyło ocalenia. „*Odwrót jest jednym z najbardziej skomplikowanych manewrów*” — mówi artykuł 423 regulaminu bojowego. Na piechotę oderwać się od zmotoryzowanego przeciwnika nie można, a środki transportu i paliwo w pozbawionej łączności i zaopatrzenia jednostce wojskowej szybko się kończą. Oddziały, które opuszczają umocnienia polowe i porzucają większą część ciężkiego uzbrojenia, zamieniają się w bezbronny cel dla lotnictwa i artylerii wroga. Wreszcie sama atmosfera odwrotu, poczucie słabości wobec przeciwnika demoralizują żołnierzy. Pomyślny odwrót wymaga dyscypliny podwładnych i kunsztu dowódców, czyli właśnie tego, czego w opisywanej sytuacji brakuje.

Punkt trzeci. Po kilku nieudanych próbach przebicia się ci, którzy ocaleli, postanawiają „*cofać się w drobnych grupach*”. To już koniec. Po kilku dniach lub godzinach były batalion, pułk czy dywizja rozsypują się w proch.

Punkt czwarty. Ogromna liczba samotnych „*wędrowców*” błąka się bez celu, sensu i jedzenia. Wreszcie wychodzi na wieś, do ludzi. A we wsi są Niemcy. Dalej nie ma już wielkiego wyboru: litościwa wdówka, obóz jeniecki, służba w formacjach policyjnych okupanta. I to wszystko.

Jak mamy prawo nazwać tych ludzi? Dezerterzy; zdrajcy Ojczyzny; maruderzy; zaginionieni; ci, co się oddali do niewoli; więźni do niewoli? Na jakiej wadze zważyć, jakim cyrklem wymierzyć, czego w tym schemacie jest więcej: „*nie umieli*” czy „*nie chcieli*”? Tego, że dowódcy nie umieli dowodzić czy że żołnierze nie chcieli walczyć? Czy zresztą można rozdzielić te kategorie — umiejętność i chęć, kwalifikację i motywację — w czymś takim jak wojna, gdzie od człowieka nieustannie żąda się, by pokonywał dominujący u wszystkich istot żywych instynkt samozachowawczy? Ta

⁷ — Spod władzy Polski w 1939 roku (przyp. tłum.).

właśnie zasadnicza nierozdzielność pojęć „*nie chcieli walczyć*” i „*nie umieli walczyć*”, wcale nie dążenie do „*poprawności politycznej*”, nie pozwala nam sprowadzić wszystkich przyczyn katastrofy wojennej 1941 roku do karykaturalnie uproszczonej formuły: „*Armia uchyliła się od walki za Stalina*”.

Z jednej strony żadna, nawet najwyższa „*motywacja*” nie pomoże zatrzymać czołgów przeciwnika, skoro obsługa armaty przez trzy lata służby strzelała z niej raptem trzy razy; skoro do baterii zapomniano dowieźć amunicję przeciwpancerną; skoro bateria znajduje się w jednym miejscu, ciągniki bez paliwa — w drugim, niemieckie czołgi wdzierają się w trzecim, a sztab dywizji w ogóle nie wiadomo gdzie jest. Z drugiej strony absolutnie niedorzeczne jest sprowadzanie całej analizy przebiegu działań bojowych tylko do rozważania psychologicznych efektów i afektów. Armie opierają się nie tyle na „*opinii publicznej*”, ile na rozkazie i dyscyplinie. Rola dowódcy — zarówno w szkoleniu bojowym powierzonej mu jednostki, jak i w decydujących chwilach walki — jest ogromna i tam, gdzie kadra dowódcza umiała zaprowadzić porządek i uchronić żołnierzy od zakażenia powszechną paniką, tam Armia Czerwona stawiała godny opór agresorom już od pierwszych dni wojny. 831 tysięcy żołnierzy i oficerów Wehrmachtu samo nie wyłączyło się z walki. Co czwarty najeźdźca, który w czerwcu 1941 roku przekroczył granicę ZSRS, znalazł się w grobie albo na łóżku szpitalnym właśnie dlatego, że nie cała Armia Czerwona, nie wszystkie jednostki „*drobnymi grupami rozpierzchły się po lasach*”.

„*W polu są dwie wole*” głosi stare i mądre rosyjskie przekadło. Wehrmacht też składał się z żywych ludzi nie wyzbytych instynktu samozachowawczego. Więcej niż skuteczne działania bojowe armii niemieckiej, która praktycznie do ostatnich tygodni wojny wcale nie pierzchała do lasu i na pola, również świadczą o tym, że utrzymanie porządku i dyscypliny w walczącej armii jest z zasady możliwe. Owszem, to skomplikowane, trudne, wymaga żmudnego wieloletniego szkolenia i wychowania ludzi — od szeregowca do generała — ale jest możliwe. Sądzę, że tym wnioskiem wyczerpałem wszystko, na co może sobie pozwolić w tego rodzaju teoretycznych rozważaniach człowiek, który nie jest ani zawodowym wojskowym, ani wysokiej klasy specjalistą od psychologii społecznej.

Jako historyk mogę jedynie wyrazić przypuszczenie, że dwadzieścia lat dyktatury „partii Lenina–Stalina” wielce sprzyjało moralnemu rozkładowi armii; że rozkułaczanie, śmiertelny głód i system niewolnictwa kołchozowego wyraźnie zmniejszyły gotowość zmobilizowanych chłopów do walki o takie życie i o taką władzę. Moim zdaniem nie budzi wątpliwości i to, że masowe represje lat 1937–1938 przemieniły znaczną część kadry dowódczej Armii Czerwonej w ludzi śmiertelnie i do końca życia przestraszonych, co w wojskowości oznacza całkowitą nieprzydatność zawodową. Dzikie podrygi i skoki polityki zagranicznej lat 1939–1941, gdy władcy ZSRS raz ogłaszali Hitlera ludożercą, a innym razem publicznie gratulowali mu zwycięstw w Europie, również nie sprzyjały zwiększeniu gotowości żołnierzy Armii Czerwonej, by oddać życie w kolejnej bijatyce o podział rozbójniczej zdobyczy pomiędzy Hitlerem a Stalinem.

Czy te okoliczności stanowią wyczerpujące wytłumaczenie przyczyn przemiany Armii Czerwonej w niesterowalny tłum, która to przemiana stała się zasadniczą przyczyną katastrofy wojennej? Oczywiście, że nie. Historia Rosji nie zaczęła się w 1917 roku. Co więcej, nieszczęsne wydarzenia 1917 roku nie były przypadkowe — długo i boleśnie dojrzewały w społeczeństwie. Zresztą i sami panowie Uljanow, Bronstein i Dżugaszwili nie spadli przecież do Smolnego z księżycą, ale wyrosli w Rosji, gdzie znaleźli tysiące zwolenników. Wracając do tematu, warto przypomnieć, że brak organizacji i bałaganiarstwo nie były zjawiskami tak bardzo rzadkimi w wojskowej historii Rosji. W drugiej połowie XVII wieku Iwan Pososzkow w traktacie *O zachowaniu rycerskim* pisał:

„Piechota miała oręż kiepski i nie umiała nim władać, broniła się tylko w boju ręcznym, pikami i berdyszami, w dodatku tępymi, i w bojach zamieniali swoich głów po trzy, po cztery i więcej za jedną nieprzyjacielską głowę. Na konnicę wstyd patrzeć: konie niezdatne, szable tępe, sami są wzrostu nikczemnego, odzieży biednej, strzelbą władać nie umiejący, niejeden szlachcic nawet piszczela załadować nie umie, a co dopiero strzelać do celu. Zabiją dwóch albo trzech Tatarów i chętną się wielkim sukcesem, a swoich choćby setkę położono — nic to! Nie dbają o to, żeby nieprzyjaciela zabić, jedną tylko troskę mają — żeby do domu co rychlej. W czasie boju oglądają się tylko, gdzie by tu za krzaki się schować”.

Warto przypomnieć, że po tryumfie 1812 roku armia rosyjska przygnębiająco często osiągała mizerne rezultaty przy potwornych stratach. *„Rosyjska armia nie ma się czym specjalnie chlępić. Przez cały czas istnienia Rosji jako takiej Rosjanie nie wygrali jeszcze żadnej bitwy z Niemcami, Francuzami, Polakami czy Anglikami, gdy nie mieli znacznej przewagi liczebnej. W równych warunkach zawsze ich bito”*. Taką obiektywną opinię swego czasu wyraził Fryderyk Engels. Podzielał ją oponent polityczny Engelsa, rosyjski anarchista Michaił Bakunin. *„Trzeba być ciemnym albo ślepym prowincjonalnym patriotą — pisał on — by nie przyznać, że całe nasze środki wojskowe, nasza sławetna, rzekomo nieprzeliczona armia jest niczym w porównaniu z armią niemiecką. Niemieccy oficerowie przewyższają wszystkich oficerów na świecie teoretyczną i praktyczną znajomością spraw wojska, gorącym i w pełni pedantycznym oddaniem rzemiosłu wojennemu, punktualnością, starannością, opanowaniem, uporczywą cierpliwością, a także względną uczciwością. Dzięki wszystkim tym zaletom organizacja i uzbrojenie niemieckich armii istnieje w rzeczywistości, a nie tylko na papierze, jak to było za Napoleona III we Francji, jak to bywa bardzo często u nas”*.

Z tymi opiniami można się nie zgadzać, ale nie można zaprzeczyć, że I wojna światowa, w której Rosja poniosła większe straty ludzkie aniżeli jej zachodni sojusznicy, zakończyła się dla nich zwycięstwem, a dla Rosji — *„pokojem brzeskim”*, którego warunki niewiele się różniły od kapitulacji. Tak więc pozostaje jeszcze otwarte pytanie, kto bardziej jest winien katastrofy 1941 roku: Stalin, Lenin, Mikołaj II, Piotr I czy — strach powiedzieć — Iwan Groźny.

ROZDZIAŁ 19. WIELKA MĄDROŚĆ TOWARZYSZA STALINA

22 czerwca 1941 roku rano wodzowie Związku Sowieckiego, a także ich drobne lizusy, mieli wielką chęć na strusią modłę schować głowę w piasek. Niektórzy zaspokajali tę chęć jak najdosłowniej. Ambasador ZSRS w Królestwie Włoch, towarzysz Goriełkin, żeby nie kusić losu, pojechał na plażę, gdzie go z trudem znaleziono po przeszło sześciu godzinach od chwili, gdy faszystowski rząd wypowiedział wojnę Związkowi Sowieckiemu. Radio moskiewskie wciąż nadawało skoczną niedzielą muzykę i kolejne komunikaty rolnicze, podczas gdy radiostacje całego świata, przerywając zwyczajne audycje, doniosły o rozpoczęciu wojny i konferencji prasowej Ribbentropa, która się właśnie odbyła. Jednak najbardziej ogłuszające było milczenie Wielkiego Wodza Narodów. Stalin odmówił wystąpienia w radiu z oświadczeniem rządu sowieckiego (którego szefem sam się mianował zaledwie półtora miesiąca wcześniej), odmówił objęcia zwierzchnictwa nad Naczelnym Dowództwem (którego nominalnym szefem 23 czerwca został mianowany Timoszenko). Główna oficjalna gazeta kraju, „Izwestija”, 22 czerwca donosiła o pokojowej twórczej pracy, 23 czerwca, jak zwykle, wzięła sobie wolne i dopiero w trzecim dniu wojny, 24 czerwca, u dołu pierwszej kolumny zamieściła tekst przemówienia Mołotowa, a nad nim ogromną, prawie całostronicową fotografię. Ale nie Mołotowa, co byłoby logiczne, lecz... Stalina. Dzięki temu „obywatele i obywatelki”, którzy nie usłyszeli mocnego słowa otuchy, mogli przynajmniej nacieszyć się widokiem męznego profilu ukochanego wodza.

A tymczasem sam „wódz”, mieszając dzień z nocą (przyjmował w swoim gabinecie raz o 3.20 rano, raz o 7.35 wieczorem), usiłował coś wyczytać w potoku nieprawdopodobnych doniesień napływających z frontu. Oddajmy mu sprawiedliwość: potrzebował zaledwie siedmiu dni, aby pojąć, jaka jest przyczyna niesłychanej klęski. Być może tak szybko i dobrze zrozumiał, co się dzieje, gdyż jego „uniwersytetem” była podziemna robota w wywrotowej organizacji, która już raz rozwaliła rosyjską armię podczas wojny światowej. Towarzysz Stalin wiedział z doświadczenia, jak upadają imperia i znikają wielomilionowe armie. Prawda, która się wówczas objawiła, okazała się zbyt

ciężka nawet dla tego człowieka, mającego doświadczenie ucieczek z syberyjskiego zesłania, krwawej rzezi wojny domowej i śmiertelnie groźnych porachunków z Trockim w latach dwudziestych. W nocy z 28 na 29 czerwca Stalin pojechał na daczę, gdzie w całkowitej prostracji spędził dwa dni — 29 i 30 czerwca — nie odpowiadając na telefony i z nikim się nie spotykając.

Nie wiemy i już nigdy się nie dowiemy, o czym myślał przez te dwa straszliwe dni. Dobrze natomiast wiemy, co wymyślił, siedząc samotnie w pustym domu w Kuncewie. 3 lipca 1941 roku wreszcie zwrócił się przez radio do swoich poddanych z wielką mową. Nie przyznając się do jakiegokolwiek, choćby najmniejszego, błędu, uczciwie przestrzegając: *„Wojny z faszystowskimi Niemcami nie można uznać za zwykłą wojnę. Jest ona nie tylko wojną między dwiema armiami”*. W tymże przemówieniu z 3 lipca 1941 roku przemknęło zdanie dające pierwsze wyobrażenie, jakimi metodami towarzysz Stalin zamierza prowadzić tę niebywałą w dziejach niszczycielską wojnę:

„Przy wymuszonym odwołaniu jednostek Armii Czerwonej (...) nie pozostawiać przeciwnikowi ani kilograma zboża, ani litra paliwa. Kolchoźnicy powinni przepędzić całe bydło, zboże oddawać pod opiekę organów państwowych, aby je wywieźć na tyły. Cały majątek wartościowy, w tym metale kolorowe, zboże i paliwo, którego nie można wywieźć, należy bezwarunkowo zniszczyć”.

Ścisłe wykonanie tego rozkazu (bo przemówienie Stalina, który wyznaczył już siebie na przewodniczącego Państwowego Komitetu Obrony, najwyższego, nadzwyczajnego organu władzy w kraju, było właśnie rozkazem, i to obowiązującym każdego) ściągnęłoby śmierć głodową na 40 milionów cywilów pozostawionych przez wycofującą się Armię Czerwoną na opuszczanych terenach. Rozkazowi zniszczenia wszystkich zapasów żywności nie towarzyszyła (zresztą nie mogła) decyzja o powszechnej ewakuacji ludności. O jakiej powszechnej ewakuacji mogła być mowa, skoro z oddanego wrogowi terytorium nie potrafiono wywieźć nawet składów artyleryjskich (w których stracono 16 milionów naboju do dział i 8 mln granatów moździerzowych). Na skutek chaosu i dezorganizacji tej dyrektywy Stalina nie wykonano w pełnym zakresie, lecz w pełnym zakresie wykorzystała ją hitlerowska propaganda, która wydała miliony ulotek na temat *„Stalin — morderca i podżegacz”*.

Głód — to nie jest jeszcze najstraszniejsze. Nieskończony szereg wojen, buntów, najazdów, nieurodzajów nauczył rosyjskiego chłopca gotować zupę na gwoździu. Las, rzeka, ogród przynajmniej karmiły i nie pozwalały umrzeć z głodu. Ale w Rosji bywa zimno, a zima lat 1941/1942 na nieszczęście była bardzo wczesna i bardzo mroźna. Tę okoliczność też wzięto pod uwagę. 17 listopada 1941 roku Stalin podpisał rozkaz Naczelnego Dowództwa nr 0428:

„Rozkazuję:

1. *Niszczyć i palić doszczętnie całe miejscowości na tyłach niemieckich wojsk w odległości 40–60 km w głąb od linii frontu oraz 20–30 km na prawo i na lewo od dróg. Do niszczenia miejscowości we wskazanym promieniu natychmiast skierować lotnictwo, szeroko wykorzystywać ogień z dział i moździerzy, ekipy zwiadowców, narciarzy i wyszkolone grupy dywersyjne wyposażone w butelki z płynem zapalającym, granaty i materiały wybuchowe”.*

W listopadzie 1941 roku porządku w armii było już nieco więcej i ten rozkaz wykonywano z nie słabnącą wytrwałością. Oto na przykład 25 listopada wydział operacyjny sztabu 5. Armii (Front Zachodni) składa „**Doniesienie o przebiegu wykonania rozkazu ND nr 0428**”. Załączono spis 53 spalonych wsi i osad. Uczciwie i samokrytycznie podano poszczególne niedopatrzienia i niedoróbki („*Kriwoszeino — spalono częściowo, Brylino — zostało 5–6 domów*”). 21 listopada komisarz 53. Dywizji Kawalerii melduje członkowi rady wojennej 16. Armii (Front Zachodni), że dowództwo dywizji zrozumiało i naprawiło swoje błędy.

„*W swoim piśmie nr 018 twierdzicie, że nie wykonujemy rozkazu Naczelnego Dowództwa Armii Czerwonej o niszczeniu wszystkiego, co może być wykorzystane przez przeciwnika, i że przejawiamy w tej kwestii zbędny i szkodliwy liberalizm. Muszę odpowiedzieć, że przed otrzymaniem rozkazu ND w tej sprawie rzeczywiście wykazywaliśmy liberalizm i pozostawialiśmy przeciwnikowi zboże, mieszkanie itd. Teraz w jednostkach naszej dywizji tego nie ma. Tylko 19 i 20 listopada spaliliśmy cztery miejscowości: Griada — zostało tylko kilka nie dopalonych domów, Małoje Nikolskoje — całkowicie, osiedle Lesodołgorukowo i Deńkowo — wyniku pożaru na razie nie znam, ale osobiście obserwowałem, jak te miejscowości ogarnia ogień (...). Wasze wskazania w przyszłości będą wykonywane z jeszcze większą starannością”.*

Głód, chłód i ogień nie wyczerpywały listy „*plag egipskich*”, które Stalin postanowił zesłać na ludność cywilną terenów okupowanych, na starców, kobiety i dzieci, których państwo sowieckie nie potrafiło obronić przed najazdem cudzoziemskich zaborców. Już od początku lipca po linii partyjnej i „czekistowskiej” posyłano grad rozkazów, dyrektyw, decyzji o tworzeniu „*ogólnonarodowego ruchu partyzanckiego*”. I tak 1 lipca 1941 roku KC KP(b) Białorusi wydał dyrektywę, w której wzywał, aby „*niszczyć wrogów, nie dawać im spokoju ani w dzień, ani w nocy, niszczyć ich wszędzie, gdzie uda się ich dopaść, zabijać ich wszystkim, co wpadnie w rękę: siekierą, kosą, łomami, widłami, nożami (...). Likwidując wrogów, nie bójcie się używać różnych środków — duście, rąbcie, podpalajcie, trujcie faszystowskie potwory*”.

Należy zauważyć, że te apele białoruski Komitet Centralny rozsyłał z Witebska, dokąd uciekł 24 czerwca, trzy dni przed pojawieniem się straży przedniej „*faszystowskich potworów*” na przedmieściach Mińska. Uciekł, nawet nie próbując zorganizować ewakuacji ludności i dóbr materialnych.

Za prominentami partyjnymi nie pozostali w tyle i prominenci wojskowi. 6 sierpnia 1941 roku marszałek Timoszenko — tym razem jako dowódca wojsk Frontu Zachodniego — zaapelował „*do wszystkich mieszkańców terytoriów okupowanych przez wroga*”. Marszałek i były głównodowodzący, który zgubił swoją armię, stracił kilkadziesiąt tysięcy czołgów, samolotów, dział, wzywał teraz bezbronnych ludzi do takich działań:

„*Atakujcie, niszczone niemieckie transporty i kolumny, palcie i niszczone mosty, podpalajcie domy i lasy. (...) Bijcie wroga, zamęczcie go na śmierć głodem, palcie go ogniem, niszczone go kulą i granatem. (...) Podpalajcie magazyny, niszczone faszystów jak wściekłe psy*”.

Można dyskutować, czy znalazłaby się na świecie armia, której dowództwo nie odpowiedziałoby brutalnymi represjami na takie działania wobec własnych żołnierzy („*duście, rąbcie siekierami, podpalajcie, trujcie jak wściekłe psy*”). Nie ma jednak wątpliwości, że reakcję dowództwa Wehrmachtu i SS łatwo było przewidzieć. Władze sowieckie nie tylko zdawały sobie sprawę, że następstwem ich apeli będą masowe rozprawy z ludnością — one do tego dążyły. Co więcej, wszystkimi siłami, które miały do dyspozycji, popychały przeciwnika do jak najbrutalniejszego obchodzenia się z ludnością cywilną.

Dokumenty Wehrmachtu, na nieszczęście zbyt liczne i wiarygodne, świadczą, że już w pierwszych dniach wojny, już w czerwcu 1941 roku, nacierające wojska niemieckie w wielu miejscach znajdowały trupy swoich żołnierzy, którzy z różnych Przyczyn dostali się do niewoli (pozostali w tyle, ranni, załogi zestrzelonych samolotów) i zostali zamęczeni z niewyobrażalnie sadystycznym okrucieństwem. Nie do wiary, że czerwonoarmiści, czyli w swojej zasadniczej masie wczorajsi rosyjscy, ukraińscy, białoruscy chłopci, już w pierwszych dniach wojny zdążyli zapalać do wrogów taką szaloną nienawiścią i że oślepiony nią wczorajszy rolnik lub górnik mógłby rannym żołnierzom przeciwnika „wydłubywać oczy, odcinać język, uszy i nosy, a także zdzierać skórę z rąk i nóg”.

O wiele prawdziwsza wydaje się hipoteza, że tych przestępstw dokonywały specjalne oddziały NKWD, by prowokować niemieckie wojska do odwetowych rozpraw z ludnością i jeńcami sowieckimi. Przynajmniej przypuszczenie, że bestialskich zabójstw niemieckich żołnierzy dokonali „przyjaciele ludu” z NKWD, w pełni koreluje z nie wywołującymi już wątpliwości masowymi likwidacjami więźniów w więzieniach Ukrainy Zachodniej i Białorusi, której dokonali „czekiści” także w pierwszych dniach wojny. I tak 12 lipca 1941 roku naczelnik zarządu więziennictwa NKWD Ukrainy, kapitan bezpieczeństwa⁸ A. F. Filipow, meldował do Moskwy o wykonanej robocie:

„Z więzień obwodu lwowskiego ubyło według 1. kategorii⁹ 2466 osób (...). Wszyscy więźniowie, którzy ubyli według 1. kategorii, zostali pogrzebani w dołach wykopanych w piwnicach więzień, w Złoczowie — w ogrodzie. (...) Lokalne organy NKWD wykonanie operacji wg 1. kategorii powierzały w większości pracownikom więzień, a same pozostawały z boku, ponieważ jednak odbywało się to podczas odwrotu pod ogniem przeciwnika, nie wszędzie funkcjonariusze więzień potrafili skrupulatnie zakopać zwłoki i z zewnątrz je zamaskować”.

Bestialska rozprawa we Lwowie z więźniami (z których tylko nieliczni mieli szczęście, że zostali po prostu rozstrzelani) dawno już stała się przedmiotem szczegółowych dochodzeń wojskowo-sądowych, w tym również międzynarodowych, między innymi specjalnej Komisji Kongresu

⁸ — Stopień równy pułkownikowi sił zbrojnych ZSRS (przyp. red.).

⁹ — Czyli zostało zabitych (przyp. tłum.).

USA w 1954 roku. Lwów wcale jednak nie był wyjątkiem. I tak, wnioskując ze wspomnianego raportu kapitana Filipowa, w obwodzie drohobyckim „wg 1. kategorii ubyło” 1101 osób, w stanisławowskim — 1000, w tarnopolskim — 674, rówieńskim — 230, wołyńskim — 231. Masowo rozstrzeliwano w Łucku, Żółkwi, Samborze, Winnicy (gdzie pod nadzorem międzynarodowej komisji sądowo-lekarskiej ekshumowano 9439 zwłok), w Oszmianie, Witebsku, Rydze, Tartu, Rzeżycy, Dyneburgu... Warto wspomnieć i o tym mieście, którego nazwę tak często wymienialiśmy w poprzednich rozdziałach tej książki. Oficerowie XLVIII Korpusu Armijnego Wehrmachtu raportowali, że 26 czerwca w więzieniu w Dubnie znaleziono ponad 500 trupów, w tym 100 kobiet. *„Gdy się weszło do więzienia i cel, obraz był okropny, trudno go opisać słowami... Wszyscy ludzie byli całkowicie rozebrani. W każdej celi głowami w dół wisały 3–4 kobiety przywiązane sznurami do sufitu. O ile pamiętam, wszystkie kobiety miały obcięte piersi i języki”*.

Organizatorzy i wykonawcy tych zbrodni mieli teraz zostać żołnierzami i dowódcami „*mścicieli ludowych*”. Doktor nauk historycznych W. J. Bojarski, członek rzeczywisty Akademii Nauk Wojskowych, a w dodatku były pułkownik KGB, w swoim studium — niezwykłym pod względem liczby przytoczonych materiałów dokumentalnych — pisze:

„To właśnie organy i wojska NKWD odegrały główną rolę w rozwijaniu ruchu partyzanckiego, tworzeniu oddziałów i grup dywersyjnych na pierwszym etapie, czyli do maja 1942 r. (...) Większość oddziałów partyzanckich formowano w całości z funkcjonariuszy NKWD i milicji, nie wciągając mieszkańców lokalnych. (...) Później, gdy obwodowe komitety partyjne tworzyły oddziały partyzanckie spośród aktywu partii i rad lokalnych, to jądro kierownicze nadal składało się z funkcjonariuszy operacyjnych NKWD. (...) W końcu 1941 r. i na początku 1942 r. bazą kadrową do formowania oddziałów partyzanckich wciąż byli żołnierze batalionów eksterminacyjnych, funkcjonariusze operacyjni NKWD i milicji, agentura organów bezpieczeństwa”.

Funkcjonariusze „organów”, w latach dwudziestych i trzydziestych bez zbędnych sentymentów nazywanych „*pacyfikacyjnymi*”, musieli wnieść do ruchu partyzanckiego wszystkie swoje dotychczasowe nawyki, których nabrali w latach masowych represji. Całkowita obojętność wobec ofiar spośród ludności cywilnej, stawianie na terror i prowokację, maruderstwo i

pijaństwo — wszystko to w pewnej mierze objawiało się w działaniach oddziałów partyzanckich naprędce skleconych z „*funkcjonariuszy operacyjnych NKWD*”. Nie należy też zapominać, że system szkolenia dywersantów praktycznie całkowicie zrujnowano w latach Wielkiego Terroru, a duża część doświadczonych żołnierzy do zadań specjalnych została starta na „*łagrowy pył*”. Niekiedy dochodziło do szczytów absurdu. W październiku 1941 roku Główny Zarząd Polityczny rozesłał do armijnych struktur politycznych *Instrukcję organizowania i działania oddziałów partyzanckich* sporządzoną w... 1919 roku! I jeżeli rozesłanie instrukcji z 1919 roku może być zaliczone do kuriozów, to postawione na najwyższym szczeblu zadanie „*kosić Niemców kosami, przebijać widłami*” świadczy co najmniej o zupełnym niezrozumieniu zadań walki zbrojnej na tyłach wroga. Im głębiej w sowieckie terytorium posuwały się wojska niemieckie, tym bardziej rozciągały się ich szlaki komunikacyjne. Każdy nabój musiał przebyć kilka tysięcy kilometrów od zakładów w Niemczech do jednostek frontowych, pokonać dziesiątki rzek i mostów. Te szlaki komunikacyjne przechodziły przez bezludne tereny lesisto–bagniste, którymi sama natura wspomagała działania dywersyjne. Tam też głównie powinny działać starannie wyszkolone grupy dywersyjne. Ale towarzysz Stalin zapewne traktował ludność terenów okupowanych jak bezwartościowe śmieci: nie można jej było wykorzystać ani jako darmową siłę roboczą, ani mięso armatnie. Co gorsza dla niej, mógł ją wykorzystać przeciwnik, toteż zagładę tysięcy takich „*bezpańskich ludzików*” traktowano jako cenę zabicia paru niemieckich żołnierzy, którzy się zagapili, wracając z urlopu...

Skoro taki obojętnie okrutny był stosunek „*Gospodarza*” do ludności cywilnej, absolutnie niewinnej klęski 1941 roku, to do żołnierzy i dowódców, którzy porzucili karabiny i czołgi, towarzysz Stalin żywił znacznie bardziej wyraziste uczucia. Gdy się ocknął po pierwszym szoku, wywołanym zapewne niesłychanym zachowaniem Armii Czerwonej, zaczął zaprowadzać porządek w jedyny znany mu sposób. 16 lipca 1941 roku podpisał rozporządzenie Państwowego Komitetu Obrony nr 169, które zaczyna się dosłownie tak:

„*Państwowy Komitet Obrony stwierdza, że jednostki Armii Czerwonej w walkach z niemieckimi najeźdźcami w większości wysoko dzierżą zaszczytny sztandar Władzy Sowieckiej i zachowują się zadowolająco, a czasem wręcz bohatersko, broniąc ziemi ojczystej przed faszystowskimi grabieżcami. Obok*

tego jednakże Komitet Obrony musi przyznać, że poszczególni dowódcy i szeregowi żołnierze okazują chwiejność, panikarstwo, haniebne tchórzostwo, porzucają broń i zapomniawszy o swoim obowiązku wobec Ojczyzny, łamią przysięgę, zamieniając się w stada baranów w panice uciekających przed rozzuchwalonym przeciwnikiem.

Oddając honor i chwałę odważnym żołnierzom i dowódcom, Państwowy Komitet Obrony uważa zarazem za konieczne podjęcie jak najostrzejszych środków przeciwko tchórzom, panikarzom, dezertrom”.

Dalej szła lista dziewięciu generałów aresztowanych „za hańbiące tchórzostwo, bezczynność, niezaradność, rozkład dowodzenia wojskami, oddawanie broni przeciwnikowi bez walki i samowolne porzucenie pozycji bojowych”.

Najbardziej znanymi wśród nich byli najwyżsi dowódcy Frontu Zachodniego. Nikt nie wie, dlaczego za obiekt pokazowej rozprawy wybrano właśnie dowództwo Frontu Zachodniego (a nie na przykład sąsiedniego Północno-Zachodniego, rozgromionego w tym samym tempie, albo Południowego, który haniebnie uciekł przed słabą armią rumuńską). Natomiast dobór konkretnych generałów Frontu Zachodniego był prosty i zrozumiały: pod nóż poszli ci, którzy zdążyli wyjść z okrążenia do swoich. Dowódcę 4. Armii, na którą uderzyła grupa pancerna Guderiana, rozstrzelano. Dla dowódcy 10., najsilniejszej armii frontu, która znajdowała się na pasywnym (z punktu widzenia nacierającego Wehrmachtu) odcinku granicy, sprawa zakończyła się samym tylko strachem, ponieważ znacznie później wyrwał się z okrążenia. Nic złego nie stało się też marszałkowi Kulikowi, który w pierwszych dniach wojny przybył do sztabu 10. Armii jako pełnomocnik Naczelnego Dowództwa — zwrócono mu nawet gwiazdy marszałkowskie, które wraz ze wszystkimi dokumentami, orderami i dystynkcjami wyrzucił w krzaki. Dowódca 3. Armii Frontu Zachodniego i zastępca dowódcy tego frontu nie tylko nie ponieśli żadnej kary, ale nawet zostali wyróżnieni pochwałą Głównodowodzącego w jego sierpniowym dekreście nr 270. Za zasługę dowódcy 3. Armii uznano to, że „wyprowadził z okrążenia 498 uzbrojonych czerwonoarmistów i dowódców jednostek 3. Armii”, czyli mniej niż 1 procent swoich podkomendnych.

Tego samego dnia, 16 lipca 1941 roku, w Armii Czerwonej została przywrócona instytucja komisarzy. Teraz rozkaz dowódcy jednostki był

nieważny, dopóki nie zatwierdził go przedstawiciel partii. Następnego dnia Stalin podpisał rozporządzenie Państwowego Komitetu Obrony nr 187, zgodnie z którym „*wydziały specjalne*” po raz kolejny zostały wyprowadzone z podporządkowania dowództwa wojskowego i przekazane pod wspólny zarząd NKWD i komisarzy: „*Podporządkować Zarząd Wydziałów Specjalnych i wydziały specjalne Ludowemu Komisariatowi Spraw Wewnętrznych, a pełnomocnika wydziału specjalnego w pułku i wydział specjalny w dywizji podporządkować równocześnie odpowiednio komisarzowi pułku i komisarzowi dywizji*”. Zadania dla „*specjalistów*” sformułowano nadzwyczaj wyraźnie:

„(...) wydziałom specjalnym dać prawo aresztowania dezertersów, a w przypadkach koniecznych rozstrzeliwania ich na miejscu. Zobowiązać NKWD, by oddał do dyspozycji wydziałów specjalnych niezbędne oddziały zbrojne wydzielone z wojsk NKWD”.

Trzy dni później, 20 lipca 1941 roku (tym razem dekretem Prezydium Rady Najwyższej, jako że Stalin ściśle przestrzegał norm stalinowskiej konstytucji), dwa represyjne resorty (NKWD i NKGB) zostały połączone w jeden Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych pod kierownictwem towarzysza Berii.

Po dwóch tygodniach, w pierwszych dniach sierpnia 1941 roku, w rejonie Humania na Ukrainie zostały okrążone i poddały się 6. i 12. Armia. Ogółem, według komunikatów dowództwa Wehrmachtu, Niemcy wzięli do niewoli około 100 tysięcy czerwonoarmistów, w tym dowódców armii Muzyczenkę i Poniedielina, czterech dowódców korpusów i wielu dowódców niższych rangą. Wśród nich był też jeden z oficerów, do których odnosiło się rozporządzenie Państwowego Komitetu Obrony nr 169 z 16 lipca, dowódca 60. Dywizji Strzelców Górskich generał major M. B. Salichow. O dziwo nie został wtedy skazany na rozstrzelanie, lecz tylko zdegradowany do pułkownika i dostał wyrok 10 lat więzienia, który miał odsiedzieć po wojnie. Oddawszy się do niewoli w sierpniu 1941 roku, były generał Salichow został później jednym z organizatorów ROA, Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej Własowa. Po wojnie, 1 sierpnia 1946 roku, powieszono go z wyroku Kolegium Wojskowego Sądu Najwyższego.

5 sierpnia 1941 roku dowódca Grupy Armii „*Środek*” feldmarszałek von Bock wydał rozkaz, w którym oznajmił, że „*trzytygodniowa bitwa pod*

Smoleńskiem zakończyła się olśniewającym zwycięstwem niemieckiego oręża i niemieckiego poczucia obowiązku. Wzięliśmy 309 110 jeńców, zniszczyliśmy lub zdobyliśmy 3205 czołgów (...). Z wdzięcznością i dumą patrzę na wojska, które są zdolne do takich czynów”.

Stalin też uznał za konieczne zareagować na kolejne klęski i okrążenia. 16 sierpnia Naczelne Dowództwo wydało słynny rozkaz nr 270 „**O przypadkach tchórzostwa i oddawania się do niewoli oraz o środkach przeciwdziałania takim przypadkom**”. W dziejach wojen krajów cywilizowanych zapewne nie było podobnego dokumentu. Aby był bardziej przekonujący, rozkaz ów został przypieczętowany podpisami Stalina, Mołotowa, Budionnego, Woroszyłowa, Timoszenki, Szaposznikowa i Żukowa. W części oznajmującej stwierdza się, że „niektórzy dowódcy i oficerowie polityczni swoim zachowaniem na froncie nie tylko nie dają czerwonoarmistom przykładu odwagi, męstwa i miłości do Ojczyzny, ale przeciwnie, chowają się w szczelinach, krzątają po kancelariach, nie widzą i nie obserwują pola bitwy, a przy pojawieniu się pierwszych trudności w walce pasują wobec wroga, zrywają z siebie dystynkcje i dezertują z pola walki”.

W części zarządzającej rozkazu czytamy:

„Rozkazuję:

1. Dowódców i oficerów politycznych podczas walki zrywających z siebie dystynkcje i dezertujących na tyły lub poddających się wrogowi uważać za notorycznych dezertów, których rodziny podlegają aresztowaniu jako rodziny tych, którzy sprzeniewierzyli się przysiędze i zdradzili Ojczyznę.

Zobowiązać wszystkich nadrzędnych dowódców i komisarzy do rozstrzeliwania na miejscu dezertów spośród kadry dowódczej.

2. Jednostki i oddziały, które znalazły się w okrążeniu wroga, mają ofiarnie walczyć do ostatniej możliwości, chronić sprzęt jak źrenicę oka, przebijać się do swoich tyłami wrogich wojsk, zadając klęskę faszystowskim psom.

Zobowiązać każdego wojskowego, niezależnie od jego stanowiska służbowego, aby żądał od przełożonego, gdy jego jednostka znajduje się w okrążeniu, by walczyć do ostatniej możliwości, przebijać się do swoich, a skoro taki przełożony lub część czerwonoarmistów, zamiast stawiać opór wrogowi, woli się poddać — niszczyć ich wszelkimi środkami, zarówno

naziemnymi, jak i powietrznymi, a rodziny czerwonoarmistów, którzy się poddali, pozbawiać zasiłków państwowych i pomocy...

Rozkaz odczytać we wszystkich kompaniach, szwadronach, bateriach, eskadrach, komendach i sztabach”.

O sposobie myślenia towarzysza Stalina bardzo wiele mówi to, że w tym fundamentalnym rozkazie nie uznał on za możliwe i stosowne wspomnieć o takich górnolotnych motywach jak „*obrona zdobyczy Października*”, „*ocalenie ludzkości od faszystowskiego barbarzyństwa*”, nie zająknął się ani o Dymitrze Dońskim, ani o Aleksandrze Newskim, ani o tysiącletniej historii Rosji. Po prostu, bez owijania w bawełnę, żołnierzom Armii Czerwonej przypomniano, że ich rodziny — jeżeli znajdują się one na terytorium kontrolowanym przez NKWD/WKP(b) — są zakładnikami ich postawy na froncie. Po to, by współczesny czytelnik mógł pojąć, co konkretnie znaczyło „*pozbawić zasiłków państwowych i pomocy*”, przytoczmy kilka liczb z raportu Centralnego Zarządu Statystycznego Państwowego Komitetu Planowania, dotyczących cen rynkowych produktów i płac robotników według stanu na lato 1943 roku:

- przeciętna płaca miesięczna ogółem w gospodarce narodowej: 403 ruble;
- przeciętna płaca miesięczna robotników w przemyśle: 443 ruble;
- przeciętna płaca miesięczna pracowników służby zdrowia: 342 ruble;
- przeciętna płaca miesięczna pracowników kołchozów: 203 ruble;
- chleb żytni, 1 kg: 100 rubli;
- cukier, 1 kg: 650 rubli;
- mydło do prania, 400 g: 230 rubli.

Groźba niszczenia oddających się do niewoli „*wszelkimi środkami, zarówno naziemnymi, jak i powietrznymi*” też nie była pustym frazesem. Jesienią 1941 roku sowieckie lotnictwo zbombardowało obozy jenieckie w rejonie Orła i Nowogrodu Siewierskiego. Nie trzeba chyba przypominać ogólnie znanego faktu, że Związek Sowiecki zrezygnował z jakiegokolwiek współpracy z Czerwonym Krzyżem, co uniemożliwiło udzielanie pomocy — przede wszystkim żywnościowej i medycznej — czerwonoarmistom w niewoli niemieckiej. Po ukazaniu się rozkazu nr 270 tylko zwycięstwo, obojętnie czyje — Hitlera czy Stalina — stało się dla żołnierzy Armii Czerwonej jedyną szansą, by zobaczyć bliskich. Wielu w tym okresie bardziej

prawdopodobne wydawało się zwycięstwo Niemiec. I tak towarzysz Stalin 3 września 1941 roku, usiłując zarazem nastraszyć i wzruszyć Churchilla, pisał do niego: *„Bez tych dwóch rodzajów pomocy (chodziło o desant Anglików we Francji i o dostawę dla ZSRS 400 samolotów i 500 czołgów miesięcznie — M. S.) Związek Sowiecki albo poniesie klęskę, albo zostanie osłabiony do tego stopnia, że na długo straci zdolność niesienia pomocy swoim sojusznikom poprzez aktywne działania na froncie walki z hitleryzmem”*.

Nie minął nawet miesiąc od ukazania się rozkazu nr 270, gdy 12 września 1941 roku Naczelne Dowództwo wydało dyrektywę nr 001919. W pierwszych jej słowach, już bez żadnych dwuznaczników, powiedziano dosłownie co następuje:

„Doświadczenie walki z niemieckim faszyzmem wykazuje, że w samych dywizjach strzeleckich jest niemało elementów panikarskich i wprost wrogich, które pod pierwszym naporem przeciwnika rzucają broń i zaczynają krzyczyć: «jesteśmy okrążeni!» pociągając za sobą pozostałych żołnierzy. W rezultacie dywizja rzuca się do ucieczki, porzuca sprzęt, a potem pojedynczo zaczyna wychodzić z lasu. Tego rodzaju zjawiska zdarzają się na wszystkich frontach”.

Tym razem walki z *„tego rodzaju zjawiskami”* nie zamierzano ograniczać tylko do gróźb masowych rozstrzeliwań, ale stworzono też w tym celu odpowiednie struktury organizacyjne — oddziały zaporowe w takiej liczbie, że przypadała co najmniej jedna kompania na pułk strzelecki! Niestety, wszystko na próżno. Na początku września Niemcy z marszu, praktycznie bez poważnej walki, sforsowali Dniepr w rejonie Krzemieńczuka i przerzucili półtorakilometrowe mosty pontonowe, po których dywizje pancerne przejechały na wschodni brzeg. Grupa pancerna Guderiana przebyła Desnę po nie wysadzonym moście pod Makoszynem (do dziś ukazują się książki i filmy, w których tę hańbę tłumaczy się tym, że *„most został zdobyty przez wielki oddział niemieckich spadochroniarzy”*). Dwa dni po podpisaniu dyrektywy nr 001919, wieczorem 14 września, w rejonie Łochwicy spotkały się czołowe oddziały 2. Grupy Pancerniej (3. Dywizja Pancerna) i 1. Grupy Pancerniej (9. Dywizja Pancerna) Wehrmachtu. To oznaczało, że zamknięty został gigantyczny kocioł kijowski. Warto co prawda zauważyć, że przed rozpoczęciem natarcia niemiecka 3. Dywizja Pancerna miała 41 sprawnych czołgów (5 PzKpfw IV, 6 PzKpfw III, 30 PzKpfw II), a 9. Dywizja Pancerna 51 czołgów (6 PzKpfw IV, 31 PzKpfw III, 14 PzKpfw II). Ogromne

półmilionowe ugrupowanie wojsk sowieckich stawiało zorganizowany opór krócej niż tydzień. Naczelne Dowództwo Wehrmachtu zakomunikowało, że Niemcy wzięli 665 tysięcy jeńców i zdobyli 3718 dział oraz 884 czołgi.

Październik 1941 roku rozpoczął się od okrążenia głównych sił Frontu Zachodniego, Rezerwowego i Briańskiego (67 dywizji strzeleckich i 6 kawaleryjskich, 13 brygad pancernych) w dwóch ogromnych kotłach pod Wiaźmą i Briańskiem. Wedle Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu do niewoli dostało się 658 tysięcy żołnierzy sowieckich, zdobyto 5396 dział i 1241 czołgów. Październikowa katastrofa była znacznie większa od klęski Frontu Zachodniego z czerwca 1941 roku. Jeszcze jedną różnicą jakościową kotła wiaziemskiego w stosunku do kotła mińskiego było to, że w niewoli niemieckiej znalazło się mnóstwo generałów najwyższego szczebla. Wśród nich: dowódca 19. Armii Łukin, dowódca 20. Armii Jerszakow, dowódca 32. Armii Wiszniewski, szef sztabu 19. Armii Małyszkin, członek rady wojennej 32. Armii Żylenkow, szefowie artylerii 20. oraz 24. Armii Prochorow i Moszenin. A ogółem w ciągu sześciu miesięcy 1941 roku do niemieckiej niewoli dostało się 63 generałów Armii Czerwonej...

Środki represyjne w stosunku do wojskowych okazały się, jak widać, bezskuteczne, a bezlitosna polityka wobec ludności terenów okupowanych przyniosła negatywny skutek. Żądanie Stalina, aby zamienić całe okupowane przez Niemcy terytorium w wypaloną pustynię, i prowokacyjne działania „partyzantów spod znaku NKWD” doprowadziły do — początkowo spontanicznego — tworzenia na wsiach oddziałów samoobrony, które strzegły mieszkańców i ich mienia przed zbrojnymi bandami jakichkolwiek orientacji. Władzom okupacyjnym pozostawało jedynie przejście wszystkich tych „szużb porządkowych” i „drużyn obronnych”. Legendarny patriarcha sowieckich dywersantów, uczestnik czterech wojen pułkownik Ilia Grigoriewicz Starinow w artykule napisanym w 2000 roku stwierdził: *„Niemcy szybko wykorzystali tę sytuację. Że niby, jeśli nie chcecie znaleźć się z dziećmi na trzydziestostopniowym mrozie, to idźcie się sami bronić przed podpalaczami. Wyszło na to, że sami popchnęliśmy lokalnych mieszkańców ku Niemcom. (...) Gdy pojawiło się hasło «Wyganiaj Niemca na mróz», Niemcy utworzyli policję liczącą około 900 tys. ludzi”. Liczba ta jest wielokrotnie przesadzona. Odzwierciedla raczej osobiste wrażenia praktyka wojny partyzanckiej, że „policjanci byli na każdym kroku”. Ale te wrażenia wcale nie są aż tak mylne.*

Według początkowego zamiaru władz sowieckich niewielkie „czekistowskie” grupy (liczyły one z reguły po 20–25 osób) miały pełnić funkcję „ośrodka kondensacji”, wokół którego zbiorą się, mówiąc w przenośni, partyzanckie „chmury”.

Faktycznie jednak stosunek mieszkańców terenów okupowanych do „ludowych mścicieli” wywodzących się spośród „agentury organów bezpieczeństwa” był taki, że liczebność partyzantki nie tylko się nie zwiększyła, ale do lata 1942 roku znacznie się zmniejszyła. I to mimo że obszar terytoriów okupowanych po charkowskiej katastrofie i przebicium się Niemców w kierunku Stalingradu znacznie się powiększył. *„NKWD obwodu leningradzkiego skierował na tyły przeciwnika 287 oddziałów liczących łącznie 11 733 ludzi. Do 7 lutego 1942 r. pozostało z nich zaledwie 60 oddziałów liczących 1965 ludzi, czyli około 17 proc. (...) Na Ukrainie organy bezpieczeństwa pozostawiły na tyłach wroga i przerzuciły tam 778 oddziałów partyzanckich i 622 grupy dywersyjne liczące 28 753 ludzi. Jednak według stanu na 25 sierpnia 1942 r. utrzymano łącznie tylko z 216 oddziałami (...). Aktywne były tylko 22 oddziały liczące 3310 ludzi. A zatem w ciągu 12 miesięcy wojny ocalało mniej niż 3 proc. oddziałów partyzanckich i grup spośród rzuconych na tyły wroga w 1941 roku. (...) Nie lepiej było na Białorusi. (...) Do stycznia 1942 r., spośród 437 grup i oddziałów, które rzucono na tyły przeciwnika, przestało istnieć 412, czyli 95 proc. (...) Natomiast podczas pierwszej wojennej zimy prawie wszystkie większe oddziały, liczące po kilkadziesiąt osób, zostały zniszczone albo rozpadły się na małe grupki”.*

Tonący brzytwy się chwyta. Po tym, jak setki dywizji Armii Czerwonej nie potrafiły zatrzymać tryumfalnego marszu Wehrmachtu, towarzysz Stalin postanowił zrobić to, o co oskarżono i za co rozstrzelano kilkadziesiąt tysięcy ofiar Wielkiego Terroru: wezwał brytyjskich imperialistów do inwazji na kraj zwycięskiego proletariatu. Już 13 września prosił Churchilla, by „wysadzić 25–30 dywizji w Archangielsku lub przeprowadzić je przez Iran do południowych rejonów ZSRS”. Wstrząsający pomysł, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę, że przed rozpoczęciem wojny stosunek liczebny armii lądowych Związku Sowieckiego i Wielkiej Brytanii wynosił około 10 do 1... Jak należało oczekiwać, propozycja wysłania wszystkich sił, jakie miały brytyjskie wojska lądowe, do Archangielska nie wywołała w Londynie

pozytywnej reakcji. Wykazując tradycyjną angielską flegmę, Churchill nie przypomniał swojemu nowo objawionemu sojusznikowi, że jeszcze kilka miesięcy temu z ambasadorem Wielkiej Brytanii w Moskwie nawet nie chciano rozmawiać, a tym bardziej dawać mu jakiegokolwiek wyjaśnienia, po czyjej stronie w wojnie światowej znajduje się rząd sowiecki. W odpowiedzi Churchill ograniczył się do chłodnego stwierdzenia, że „*akcja prowadząca jedynie do kosztownego fiaska — jakkolwiek chwalebne byłyby jej motywy — może być korzystna tylko dla Hitlera*”.

Ratunek przyszedł stąd, skąd Stalin go nie oczekiwał. To cudowne ocalenie od niechybnej zagłady tak wstrząsnęło „*Wodzem Narodów*”, że nie mógł się powstrzymać i roztrąbił o nim na cały świat. Co prawda szybko oprzytomniał i nigdy więcej czegoś takiego nie ogłosił. Ale w listopadzie 1941 roku, przemawiając na akademii poświęconej kolejnej rocznicy przewrotu bolszewickiego, powiedział prawdę: „*Głupia polityka Hitlera uczyniła narody ZSRS zawziętymi wrogami obecnych Niemiec*”.

Lepiej nie można tego ująć. Hitler popełnił mnóstwo krzyczących głupstw wówczas, gdy zwycięstwo nad stalinowskim imperium dosłownie samo wpadło mu w ręce. Najważniejszym błędem było strategiczne nastawienie na wyłącznie militarne rozgromienie przeciwnika. Półtorej setki niemieckich dywizji nie mogło okupować kraju, który rozciąga się od Brześcia do Władywostoku i od Murmańska do Aszchabadu. Jeżeli Związek Sowiecki mógł upaść, to tylko od wewnętrznego wybuchu — co nastąpiło ledwie pół wieku później — i jedynym sensem operacji wojskowej mogło być li tylko zainicjowanie tego wybuchu. Ale Hitler, ten zakochany w sobie okrutnik, który uroił sobie, że jest „*narzędziem Opatrzności*”, nie potrafił (albo nie chciał) zrozumieć tak oczywistej prawdy. Niemniej jednak, niezależnie od pierwotnych planów władz hitlerowskich, wewnętrzny rozkład państwa sowieckiego ruszył w narastającym tempie. Na narodowych krańcach ZSRS (kraje nadbałtyckie, Ukraina Zachodnia, później północny Kaukaz i Kubań) zaczęły się wielkie powstania zbrojne, które doprowadziły do proklamowania we Lwowie, Rydze i Kownie rządów samowładnych „*państw*”. Duża część ludności centralnych regionów kraju witała Niemców bez kwiatów, ale z mieszanymi uczuciami — nieufności i oczekiwania. Już na początku jesieni w niemieckiej niewoli znalazło się półtora miliona byłych żołnierzy Armii Czerwonej, a we wrześniu i październiku liczba ta zwiększyła się więcej niż

dwukrotnie. Faktycznie był to ogromny kontyngent rekrutów z gotową kadrą dowódczą, ze specjalistami wojskowymi wszystkich rodzajów oraz cyklopowymi górami amunicji i broni — od karabinów po czołgi KW włącznie. Ta potężna góra nie wyparowała przecież bez śladu, lecz pozostała na terytorium kontrolowanym przez Wehrmacht. Byli wreszcie i generałowie gotowi stanąć na czele antysowieckiej armii rosyjskiej.

Spośród wziętych do niewoli generałów Armii Czerwonej, którzy omawiali z niemieckim dowództwem (sądząc z protokołów ich przesłuchań) możliwość, a nawet konieczność powołania antystalinowskiego „*rządu*” i podporządkowanej mu armii złożonej z jeńców czerwonoarmistów, Joachim Hoffman wymienia między innymi dowódcę 5. Armii Potapowa, dowódcę 20. Armii Jerszakowa, dowódcę 19. Armii Łukina, dowódcę VIII Korpusu Strzeleckiego Sniegowa, dowódcę 9. Dywizji Pancerniej Ogurcowa, dowódcę 72. Dywizji Strzelców Górskich Abramidze. Wymieniam tu nazwiska tylko tych generałów, którzy — w odróżnieniu od wielu innych — nie podjęli jednak w końcu czynnej współpracy z wrogiem. Jerszakow zginął w kaciecie, Ogurcow uciekł z niewoli, wstąpił do oddziału partyzanckiego i zginął w walce, Potapow, Sniegow i Abramidze po wyzwoleniu i „*specjalnym sprawdzeniu*” zostali przywrócenii do służby, a nawet odznaczeni najwyższymi orderami.

Aby ocenić stan umysłów sowieckiej generalicji, warto szczególnie prześledzić losy generała porucznika Michaiła Fiodorowicza Łukina. Ciężko ranny i nieprzytomny, wybitny dowódca, bohater walk pod Szepietówką, Smoleńskiem i Wiaźmą, dostał się do niewoli i w niemieckim szpitalu amputowano mu nogę. Podczas specjalnego sprawdzania ujawniono jakieś fakty świadczące o jego „*działalności antysowieckiej*”, ale 31 sierpnia 1945 roku w raporcie do Stalina szef Smiersza Abakumow napisał: „*biorąc pod uwagę, że w wyniku ran został kaleką, uważam, że celowe byłoby zwolnienie go, ale należy objąć go obserwacją agenturalną*”. Następnie generał Łukin powoli, ale pewnie zaczął się przemieniać w plakatowy wzorzec niezłomnego bohatera, który znalazłszy się w niemieckiej niewoli, „*z pogardą odrzucił wszystkie obietnice i groźby wroga*”. Michaił Łukin w 1946 roku został odznaczony Orderem Lenina, dwukrotnie — w roku 1947 i 1948 — Orderem Czerwonego Sztandaru, a w roku 1947 Orderem Czerwonej Gwiazdy. Nadano mu tytuł honorowego obywatela Smoleńska, jego imieniem nazwano ulicę w

tym mieście. Pojawiła się i popłynęła z jednej publikacji do drugiej legenda, jak to Stalin powiedział generałowi, który wrócił z niewoli: „*Dzięki za ocalenie Moskwy*”. W 1966 roku marszałkowie Timoszenko, Rokossowski i Koniew wystąpili o nadanie Łukinowi tytułu Bohatera Związku Sowieckiego, ale ta propozycja została wtedy odrzucona. Wreszcie w 1993 roku przyznano mu pośmiertnie tytuł Bohatera Rosji. Mniej więcej w tym samym czasie przetłumaczono na rosyjski i opublikowano — dawno już znany zachodnim historykom — protokół przesłuchania z 14 grudnia 1941 roku, podczas którego jeniec generał Łukin prowadził z Niemcami takie rozmowy:

„Komuniści obiecali chłopom ziemię, a robotnikom fabryki i zakłady, dlatego lud ich poparł. Oczywiście był to potworny błąd, ponieważ dziś chłop w porównaniu z przeszłością nie ma w ogóle nic, a przeciętna płaca robotnika wynosi 300–500 rubli miesięcznie, ale niczego za nią nie może kupić. Kiedy nie ma co jeść i panuje ciągły strach wobec systemu, to oczywiście Rosjanie byliby bardzo wdzięczni za zburzenie go i wybawienie od reżymu Stalina. (...) Jeżeli zostanie jednak utworzony alternatywny rząd rosyjski, to wielu Rosjan zastanowi się nad następującymi sprawami: po pierwsze, czy rząd antystalinowski będzie reprezentował Rosję; po drugie, czy Niemcy rzeczywiście walczą tylko przeciwko systemowi, nie przeciw Rosji, a po trzecie — czy po naszej stronie też są Rosjanie, którzy nie występują przeciwko Rosji, ale w imię Rosji. Taki rząd mógłby się stać nową nadzieją dla narodu. (...) Gdyby Budionny i Timoszenko stanęli na czele powstania, może niewiele krwi by się polało. Ale i oni powinni być pewni, że będzie Rosja i rosyjski rząd. Nowa Rosja niekoniecznie musi być taka jak stara. Może być nawet bez Ukrainy, Białorusi, krajów bałtyckich, w dobrych stosunkach z Niemcami. Ale siły potrzebne, by pomóc stworzyć taką Rosję i rząd, macie tylko wy, nie my”.

Generałowie Wehrmachtu, którzy dobrze znali sytuację w Armii Czerwonej i w obozach jenieckich, niejednokrotnie zwracali się do Hitlera, żeby wykorzystał tę niepowtarzalną okazję szybkiego wyłączenia ZSRS z wojny. Zupełnie realna wydawała się możliwość powtórzenia doświadczeń z lat 1917–1918, gdy Niemcy, popierając zmianę rządu w Rosji, zawarły z nowym rządem separatystyczny pokój brzeski, co rozwiązało im ręce i pozwoliło przejść do natarcia na froncie zachodnim. Niemcy mogli zastosować wobec reżymu bolszewickiego w Rosji formułę Tarasa Bulby „*ja cię urodziłem i ja cię zabiję*”. Na gruzach Związku Sowieckiego utworzyliby

kilka sprzymierzonych „*niezawisłych państw*” w rodzaju Słowacji czy Chorwacji, które zapewniałyby Wehrmachtowi dostawy żywności, surowców dla przemysłu wojennego i rekrutów dla pomocniczych formacji wojskowych. Jednakże Hitler, w którego chorym mózgu rasistowskie brednie o „*niepełnowartościowych Słowianach*” dziwnie się mieszały ze strachem przed wschodnim gigantem, odpowiedział, że nie potrzebuje sojuszu ze słowiańskimi „*podludźmi*”, a od Wehrmachtu wymaga, żeby szybko i bez problemów rozgromił Armię Czerwoną. Potem już całkiem przestał odpowiadać. Kiedy dowódca Grupy Armii „*Środek*”, von Bock, wysłał do Berlina projekt utworzenia „*armii wyzwoleńczej*” złożonej z 200 tysięcy ochotników i sformowania rosyjskiego rządu w Smoleńsku, w listopadzie 1941 roku zwrócono mu go z adnotacją Keitla: „*takich pomysłów z Führerem omawiać nie należy*”.

Najbardziej uprzedzonym i nieuważnym czytelnikom wyjaśniam: to, co przedstawiłem, nie jest relacją o tym, „*jak dobrze mogłoby być*”. Są to smutne refleksje nad tym, że mogło być jeszcze gorzej, niż było, chociaż wydawało się, że gorzej już być nie może. W rzece ognia wojny światowej nie było brodu. Klęska Stalina oznaczałaby tylko bolesne umocnienie pozycji Hitlera, w którego rękach mogły się znaleźć gigantyczne zasoby surowcowe najbogatszego kraju świata, no i jeszcze miliony posłusznych i niewymagających pracowników. Reżym, który mógł zostać zaprowadzony na terytorium „*wyzwolonym*” od władzy NKWD/WKP(b), różniłby się od stalinowskiego zapewne jedynie kolorem sztandarów i tabliczkami na drzwiach szefowskich gabinetów. Niewykluczone, że nazwiska gospodarzy gabinetów mogłyby pozostać te same. W każdym razie po dwudziestu latach okrutnego terroru i sztucznej selekcji negatywnej, podczas których wyganiano i tępiono wszystkich, u których domniemywano posiadanie rozumu, honoru i sumienia, nie można było mieć nadziei na żywiołowe powstanie władzy pełnowartościowej i zdolnej do działania. A już tym bardziej nie leżało w interesie Hitlera utworzenie władzy demokratycznej w wasalnych „*księstwach moskiewskich*”. Lepiej mogło być jedynie w tym wypadku, który opisałem w „*Zbędnym rozdziale*”. Ale to nigdy nie mogło się zdarzyć i dlatego ten rozdział jest zbędny...

Jeńców czerwonoarmistów, których wyrzekło się państwo sowieckie, spędzono jak bydło na ogromne, otoczone drutem kolczastym polany, gdzie

umierali z głodu trawieni czerwonią. Faszystowscy przywódcy lepiej od wszystkich agitatorów Głównego Zarządu Politycznego pokazali i wykazali żołnierzom Armii Czerwonej, że niewola też nie ratuje przed śmiercią, do której „pozostawały im cztery kroki”, obojętnie w którą stronę¹⁰... 13 listopada 1941 roku wstrzymano rozpoczęte swego czasu przez dowództwo armii niemieckiej zwalnianie jeńców kilku narodowości. A potem nadeszła wczesna i sroga zima, podczas której z zimna, głodu i chorób zmarły dwie trzecie jeńców wziętych w kampanii 1941 roku. Tak samo kategorycznie okupacyjne władze administracyjne uświadomiły oszołomionej ludności, że o formule „*Niemcy to kulturalny naród*” należy zapomnieć i przyzwyczaić się do „*nowego ładu*”: okazał się on nawet prostszy od dawnego: rozstrzelanie na miejscu za jakiegokolwiek przewinienie. Z wyzywającą szczerością ogłoszono ludziom, że usługiwanie przedstawicielom „*wyższej rasy*” stanie się od teraz jedyną treścią życia dla tego, komu pozwoli się żyć.

Hitler przegapił jakże bliską i realną możliwość likwidacji frontu wschodniego na drodze politycznej. Nie raczył też wykorzystać całego niemieckiego potencjału wojskowego do osiągnięcia zwycięstwa na polu bitwy. Kilkadziesiąt dywizji Wehrmachtu, kilkaset tysięcy żołnierzy, miliony rezerwistów na dalekich tyłach szykowały się do operacji po „*Barbarossie*”, podczas gdy wojska na froncie wschodnim miesiącami bez przerwy toczyły zacięte walki. W szczytowym momencie bitwy o Moskwę 6 grup (pułków) myśliwskich Luftwaffe spośród 22, które od początku wojny walczyły na froncie wschodnim, przerzucono na śródziemnomorski teatr działań wojennych. Nawet tych stosunkowo umiarkowanych strat ponoszonych przez wojska niemieckie w lecie 1941 roku nie kompensowano całkowicie uzupełnieniami. Nawet gdy fiasco początkowego planu zniszczenia Armii Czerwonej „*w krótkotrwałej kampanii*” stało się oczywiste, Hitler i jego poplecznicy wcale nie kwapili się, by wykorzystać wszystkie zasoby Niemiec do przełamania sytuacji. Wystarczy wymienić trzy liczby, by stała się oczywista cała głębia przepaści między możliwościami gospodarki niemieckiej a ich rzeczywistym wykorzystaniem w 1941 roku:

— średnia miesięczna produkcja czołgów w Niemczech w 1944 roku: 1530;

¹⁰ — Aluzja do popularnej pieśni wojskowej (przyp. tłum.).

— średnia miesięczna produkcja czołgów w Niemczech w 1941 roku: 340;

— dostawy czołgów na front wschodni (lipiec–sierpień 1941 roku): 89.

Niemcy nie doszli do Moskwy — doczołgali się do niej ostatnim tchem. Pięć dywizji pancernych 2. Armii Pancernej Guderiana do 16 października 1941 roku liczyło 271 czołgów, z których większa część była niezdolna do walki; trzy dywizje pancerne 1. Armii Pancernej tego dnia liczyły 165 czołgów. W XXXIX Korpusie Pancernym Hotha w końcu października pozostało po 60 ludzi w batalionie. Na dobitkę Hitler znalazł sobie „*wiernego sojusznika*” w postaci japońskiej soldateski. W tym czasie (październik–listopad 1941 roku), gdy setki eszelonów wiozły z Dalekiego Wschodu pod Moskwę ostatnią strategiczną rezerwę Związku Sowieckiego — kompletne dywizje Frontu Dalekowschodniego (Syberyjskiego i Zabajkalskiego Okręgu Wojskowego) — Japończycy kończyli ostatnie przygotowania do agresji na... USA! Po Pearl Harbour Hitler, wierny obowiązkowi sojusznika, oficjalnie wypowiedział wojnę Ameryce i w ten sposób, z zamarzającymi w rosyjskich śniegach resztkami Armii Wschodniej, wplątał się w przewlekłą, wyniszczającą wojnę przeciwko ZSRS, USA i Imperium Brytyjskiemu. Przypomnijmy, że wtedy składało się ono nie tylko z małych, choć bardzo dumnych Wysp Brytyjskich, lecz również z Kanady, Indii, Australii, Afryki Południowej, a także kilkudziesięciu kolonii i półkolonii w Afryce, na Bliskim Wschodzie i w Azji Południowo–Wschodniej. Oczywiście i po tym rozgromić Rzeszę nie było łatwo, jednak po zimie przełomu roku 1941 i 1942, gdy na wszystkich frontach wojny światowej przelano rzeki krwi, ostateczny wynik walk nie budził już wątpliwości...

Reżym stalinowski skończył wojnę w atmosferze wielkiego tryumfu. „*Gospodarza*” ogłoszono genialnym wodzem wszech czasów i narodów. Zachwyceni i oczarowani satrapowie nadali mu najwyższy stopień wojskowy generalissimusa. Niebagatelne były podstawy tryumfu: wzrost militarno–gospodarczej potęgi reżymu komunistycznego. Bezspornie zwiększano jego możliwości, by cały świat przyprawić o dygotanie ze strachu. Na brzegach Dunaju i Łaby stała gigantyczna armia (odrzucając niepotrzebne już ostatnie wspomnienia o rewolucyjnej przeszłości, przestano ją nazywać czerwoną). Z powalonych Niemiec wywożono tysiące ton dokumentacji technicznej, a nawet całe zespoły naukowo–badawcze i konstruktorskie.

U ufnych wrogów–sojuszników, nie przebierając w środkach, kupowano, zdobywano, kradziono najnowsze technologie wojskowe. Zdobyć była ogromna: silniki odrzutowe, rakiety przeciwlotnicze, radary, rakiety balistyczne, celowniki na podczerwień... A wreszcie — szczyt wszelkich wysiłków — dwadzieścia tysięcy stron opisów technicznych amerykańskiej bomby atomowej, skopiowanej i pomyślnie wypróbowanej zaledwie cztery lata po upadku Berlina.

Życie poddanych imperium także było bezprzykładne. Powiedzmy uczciwie: w „Rosji, którą straciliśmy”¹¹, zwykły człowiek żył niezbyt dostatnio, a raz na 5–7 lat, po kolejnym kaprysie przyrody i spowodowanym nim nieurodzaju, niemal głodował. Problemy mieszkaniowe, które zaostrzyły się w latach forsownej industrializacji, zmusiły dziesiątki milionów „wszechwładnych gospodarzy kraju”, by ustawiali się w kolejce do wspólnego wychodka. Wszystko to oczywiście nie skłaniało do radości, toteż propaganda musiała przypominać ze szczególną gorliwością, że „życie stało się lepsze, życie stało się radośniejsze”. Nigdy jednak obywatele sowieccy nie żyli w tak potwornej nędzy jak w końcu lat czterdziestych. Setki miast i dziesiątki tysięcy wsi zrównała z ziemią cofająca się armia niemiecka, która otrzymała od swojego dowództwa taki sam rozkaz niszczenia wszystkiego jak oddziały sowieckie, ale w odróżnieniu od nich wykonywała go z niemiecką pedanterią. Miliony rodzin pozostały bez mężczyzn, pracowników i żywicieli, miliony inwalidów stały się gorzkim ciężarem i dla siebie samych, i swoich bliskich. Ludzie żyli w barakach, ziemiankach, szopach, piwnicach, z „wygodami” na dworze i kranem wodociągowym w sąsiedniej dzielnicy. I z tych bezgranicznie zmęczonych, umordowanych, obszarpanych i głodnych ludzi wypruwano żyły, zmuszając ich do pracy ponad siły. Nie, Stalin nie był zły z natury, dałby (może) swoim niewolnikom odsapnąć, ale nie było takiej możliwości. Trzeba się było śpieszyć, bo stracono mnóstwo czasu: Amerykanie mieli bomby atomowe (co prawda nikt nie wiedział dokładnie ile) i lada chwila miały się pojawić niedosięte środki ich przenoszenia. Czasu na drugą — i jak doskonale wiedział Stalin, ostatnią w jego życiu — próbę podboju świata pozostało niewiele. Dlatego też od świtu do świtu huczały i grzmiały hale wielkich zakładów zbrojeniowych, znowu każdy poranek witał

¹¹ — Nawiązanie do filmu Stanisława Goworuchina o tym tytule (przyp. tłum.).

chłodem wyciśniętą jak cytryna nocną zmianę, która zwolniła właśnie miejsca przy warsztacie dla nowej zmiany skazanych „oswobodzicieli”.

Stalin nie miał zbędnych zasobów pozwalających nakarmić, ubrać i obuć w nowe rzeczy, dać normalne mieszkanie i taniutkiego volkswagena każdemu, kto przeżył urządzoną przezeń światową rzeź zwycięzców. Ale postąpił mądrzej. Przejawił wielką mądrość i uczynił jeden, za to wielki prezent wszystkim: podarował swoim poddanym bajkę. Bajka to była piękna i straszna zarazem. Opowiadała o młodym, przepięknym kraju, w którym pośród bezkresnych pól i rzek ludziom oddycha się niezwykle lekko i szczęśliwie. W tym kraju wszyscy byli równi, wolni, nie było tam zawiści, donosów, tortur, rozstrzeliwań, obozów koncentracyjnych. Cerkwie i więzienia zlikwidowano, pokojowa, twórcza, bezpłatna praca stała się panią tej ziemi i uniosła nad nią swój symbol: tarczę i miecz. Lecz pewnego razu, słonecznym letnim rankiem, ciemne siły nieoczekiwanie i zdradziecko napadły na ten piękny kraj. A wtedy cały naród jak jeden mąż powstał do śmiertelnego boju. Był to zaiste bój śmiertelny, ponieważ nieprzeliczone hordy wrogów uzbrojono w najnowszą broń. Mądry władca pięknego kraju często występował na arenie międzynarodowej, gdzie prowadził nieodmiennie pokojową politykę zagraniczną i o żadnej wojnie nigdy nawet nie pomyślał. W tym miejscu bajka traci już ostatnie okruchy zdrowego rozsądku (albowiem na czymże polegała mądrość mądrego władcy, skoro źli ludzie wystrychnęli go na dudka niczym dziecko), ale czyż bajki kocha się za godny pogardy zdrowy rozsądek? Szlachetna wściekłość spokojnych ludzi zapieniła się niczym fala morska i runęła na przekłętą horde najeźdźców. Obrońcy cudownego kraju nie mieli czołgów, nie mieli samolotów, zwykłych karabinów też nie mieli, mieli za to bezprzykładny w historii masowy heroizm. Rzucili się piersią na wroga cekaemy, z butelkami rzucili się pod wraże czołgi i stojąc na szafocie, krzyčili w twarz oprawcom: „*Jest nas dwieście milionów! Wszystkich nie powywieszacie!*” I uciekały lękliwe czarne hordy z tego kraju, i cały świat z podziwem witał armię mądrego władcy kwiatami i zdobycznym akordeonem.

Dorośli ludzie słuchali tej czarodziejskiej bajki — i zapomnieli wszystko, co widzieli na własne oczy, a kiedy krwiożerczy i podły bazarz umarł (albo został we właściwym czasie otruty przez swoich towarzyszy z Politbiura), miliony ludzi szlochały i miotwały się w histerycznych konwulsjach.

Chruszczow nie bał się zmienić wielu rzeczy w kraju, na którego czele stanął nieoczekiwanie dla samego siebie. Mocno ryzykował, sprowadzając z powrotem miliony więźniów Kołymy. Mocno ryzykował, kiedy w gronie swoich współpracowników publicznie nazwał zbrodnie zbrodniami. Nie uląkł się nawet wyciągnąć z mauzoleum i publicznie spalić mumii Stalina. Ale i Chruszczow nie chciał zmienić urzędowej wersji historii wojny, nie zaryzykował poważnego i bezstronnego zbadania rzeczywistych przyczyn wojennej katastrofy 1941 roku. Bo też i po co? Żeby ustalić prawdę? Życiorys towarzysza Chruszczowa tak się ułożył, że chyba nie pamiętał on, ani nie rozumiał, co znaczy słowo „prawda”. Żeby ukarać winnych? Bez żadnego dochodzenia było wiadomo, że wśród głównych winowajców znajdzie się też Żukow, bez którego Chruszczow nie utrzymałby się u władzy. Znalazłby się wśród nich zresztą i sam Chruszczow, jako jeden z wiernych współtowarzyszy Stalina. Każde bezstronne dochodzenie jako najgłówniejszego winowajcę wskazałoby jednak reżym komunistyczny, którego Chruszczow wcale nie zamierzał burzyć. Dlatego postanowiono postawić wielką kropkę, a raczej wielki wykrzyknik, który od tamtego czasu wypełniał setki stron milionów tomów „*studiów historycznowojaskowych*”. I nawet gdy pod nadrukiem „*do użytku służbowego*” tłumaczono i wydawano w nikłych nakładach poważną pracę zachodniego historyka, od razu na pierwszej stronie pojawiała się srogie ostrzeżenie:

„Ze względu na swe ograniczenia i przynależność klasową autor nie potrafił wskazać prawdziwego źródła wysokich walorów moralnych radzieckiego żołnierza, którymi są: trwałość i wielkie zalety socjalistycznego ustroju społecznego i państwowego, przyjaźń narodów ZSRS, sowiecki patriotyzm i internacjonalizm proletariacki, niepodzielne kierowanie przez Partię Komunistyczną wszystkimi dziedzinami życia kraju w latach wojny”.

Zresztą niektóre utwory niektórych zachodnich historyków nie wymagają propagandowych komentarzy. Osławiona „*polityczna poprawność*”, od której powoli wariuje świat współczesny, wraz ze starczą „*chorobą lewicowości*” zachodnich intelektualistów sprzyjają absolutnie bezkrytycznej percepcji i mnożeniu wojennych mitów sowieckiej propagandy daleko, daleko od Moskwy.

Wbrew wszelkim kontrargumentom i już w okresie, gdy towarzysz Stalin był od dawna zdemaskowany, a Związek Sowiecki toczył się ku zagładzie,

jeszcze w październiku 1991 roku na międzynarodowej konferencji zorganizowanej we Freiburgu przez historyczny ośrodek badawczy Bundeswehry mówiono „o masowym bohaterstwie, odwadze i nieustępliwości” wszystkich bez wyjątku czerwonoarmistów od samego początku wojny. Skoro takie twierdzenie przyjmowano tam bez słowa sprzeciwu, nawet oklaskami, choć słuchacze wydawali się kompetentnymi naukowcami, to czego można się spodziewać od szerokiej publiczności, której wiedza historyczna opiera się w zasadzie tylko na powierzchownych doniesieniach dziennikarzy, jeszcze mniej kompetentnych, za to jednoznacznie ukierunkowanych politycznie?

Skoro stosunkowo wolna prasa zachodnia zasługuje w tej kwestii na taką opinię, to jak nazwać to, co od dziesięcioleci propagandyści zwalali na świadomość ludzi sowieckich we wszystkich świetlicach ZSRS? Nie wyolbrzymiajmy jednak ponad miarę roli propagandy. Propagandzie wierzy się wówczas, kiedy bardzo się chce w nią wierzyć. „*Ach, okłamać mnie nietrudno — sama chętnie się okłamuję*”¹². Tępej i prymitywnej propagandzie sowieckiej wcale nie zawsze wierzono. Jakkolwiek dużo gędzono w radiu i telewizji o „*gniciu Zachodu i trzecim etapie powszechnego kryzysu kapitalizmu*”, ludzie i tak szukali okazji, żeby na ten „*zgnity Zachód*” prysnąć, jeżeli już nie na zawsze, to choćby na wycieczkę turystyczną po dzinsy i japońskie magnetofony. Jakkolwiek wszystkowiedzący specjaliści i umiarkowanie przyzwoici politycy ostrzegali, że gospodarka rynkowa to nie kraina mlekiem i miodem płynąca, a w walce konkurencyjnej nie może „*zwyciężyć przyjaźń*”, nikt ich nie słuchał i im nie wierzył. W bohaterskie mity sowieckiej historii wierzą tylko ci, którzy bardzo chcą w nie wierzyć. No i czymże innym, jak nie strasznymi bajkami może się pocieszyć ta część współczesnej rosyjskiej publiki, której kompleks niższości spowodowany postępującym zacofaniem już nie tylko wobec Europy Zachodniej, ale i wobec burzliwie rozwijających się krajów Azji i Ameryki Łacińskiej dziwacznie splata się z wielkomocarstwowymi, imperialnymi ambicjami? Z czego jeszcze może być dumna? Z obecnego statusu, przepraszam za wyrażenie, „*wielkiego mocarstwa energetycznego*”? Z moskiewskich biurowców zbudowanych z fińskich i włoskich materiałów, niemieckim sprzętem i przez tureckich budowlańców, w których to biurowcach kilka tysięcy „*menedżerów średniego*

¹² — Słowa z popularnej piosenki (przyp. tłum.).

szczebla” wysiaduje importowane krzesła, na chińskim komputerze obliczając dochody z eksportu rosyjskiej ropy?

Prawda nie zwycięża — prawda pozostaje. Prawdziwa, bezstronna, oparta na dokumentach i faktach kronika Wielkiej Wojny Ojczyźnianej niechybnie zostanie napisana. Kiedy? Odpowiedź na to pytanie jest prosta. Nie wcześniej, ale i nie później, niż zakończy się obecny, zbyt długo się ciągnący „*czas zamętu*”, i Rosja zajmie wreszcie godne miejsce we wspólnym szeregu krajów cywilizowanych. Dopiero wtedy zdołamy uczciwie przyznać, że w historii naszego kraju były nie tylko sławne zwycięstwa, ale też haniebne klęski.

ZAŁĄCZNIKI

ZAŁĄCZNIK 1. WOJSKOWE TERMINY I DEFINICJE

1. Struktura wojsk lądowych

Podstawą sił zbrojnych ZSRS i Niemiec były wojska lądowe. Niemieckie nosiły nazwę Wehrmacht. Co się tyczy Związku Sowieckiego, to terminy Armia Czerwona, Robotniczo–Chłopska Armia Czerwona, RKKK, mogły się odnosić zarówno do całości sił zbrojnych, jak i tylko do wojsk lądowych.

Lotnictwo wojskowe Niemiec zazwyczaj oznacza się terminem Luftwaffe.

Cechą szczególną niemieckich sił powietrznych było włączenie w ich skład naziemnej obrony przeciwlotniczej (OP, OPL): jednostek artylerii przeciwlotniczej, reflektorowych i radiolokacyjnych.

2. Pododdziały, oddziały, związki taktyczne i operacyjne

Podstawowa „komórka” struktury wojskowej to pułk. Jest to oddział wojskowy z własnym indywidualnym numerem i sztandarem. Strukturalnymi pododdziałami pułku (zgodnie ze zmniejszającą się liczbą żołnierzy) są: batalion, kompania, pluton, drużyna. Pododdziały nie mają własnych, „osobistych” numerów i oznacza się je liczebnikami porządkowymi, na przykład: „3. pluton 2. kompanii 1. batalionu 486. pułku strzeleckiego”. Orientacyjna liczebność oddziałów i pododdziałów strzeleckich:

- pułk: 3–4 tysiące ludzi;
- batalion: 700–800 ludzi;
- kompania: 200 ludzi;
- pluton: 50 ludzi;
- drużyna: 10 ludzi.

W Armii Czerwonej istniały pułki strzeleckie (ps), strzelców zmotoryzowanych (pszmot), pułki pancerne (ppanc). Pułki artylerii, w zależności od używanego uzbrojenia, czasem oznaczano jako pułk artylerii armat (paa) lub pułk artylerii haubic (pah). Pułk artylerii dzielił się na dywizjony i baterie. Skład i liczebność uzbrojenia pułku artylerii były bardzo różnicowane i jedynie jako przykład można podać taką strukturę:

- 4 działa w baterii;
- 12 dział w dywizjonie (3 baterie);
- 36 lub 48 dział w pułku (3–4 dywizjony).

Kilka pułków łączyło się w związek taktyczny — dywizję. W dywizji strzeleckiej (DS) Armii Czerwonej były trzy pułki strzeleckie i dwa artyleryjskie, łącznie 14 483 żołnierzy. W dywizji zmotoryzowanej Armii Czerwonej były dwa pułki strzeleckie, jeden pancerny i jeden pułk artylerii. Obok dywizji (podstawowego związku taktycznego) w Armii Czerwonej były brygady (strzeleckie, pancerne, artylerii). Brygada jest mniejsza od dywizji, zazwyczaj w jej składzie są 2–3 pułki (lub 4–5 samodzielnych batalionów).

Kilka dywizji łączyło się w korpus strzelecki (KS). Korpus strzelecki w Armii Czerwonej nie miał ustalonej liczebności i mógł się składać z dwóch do czterech dywizji strzeleckich. Prócz tego w skład korpusu wchodziły organiczne jednostki wsparcia (jeden, dwa pułki artylerii, dywizja artylerii przeciwlotniczej, batalion pontonowo–mostowy i inne).

Korpusy zmechanizowane (KZmech) składały się z dwóch dywizji pancernych i jednej dywizji zmotoryzowanej, samodzielnego pułku motocyklowego, oddziałów wsparcia.

W stosunku do Wehrmachtu zastosowano to samo nazewnictwo i skróty, tylko zamiast terminu „*strzelecki*” stosuje się określenie „*piechoty*”: pułk piechoty (pp), dywizja piechoty (DP). Dywizja piechoty Wehrmachtu liczyła 16 589 ludzi, włączając trzy pułki piechoty i jeden pułk artylerii, kilka samodzielnych batalionów i dywizjonów. Korpus analogiczny do czerwonoarmijnego korpusu strzeleckiego w Wehrmachcie nazywano korpusem armijnym (KA). Korpusy pancerne Wehrmachtu (KPanc) nie miały ustalonej struktury, z reguły w ich składzie były dwie dywizje pancerne i jedna lub dwie dywizje zmotoryzowane.

W Armii Czerwonej kilka korpusów łączyło się w związek operacyjny — armię. W tekście książki oznaczono je tak: 5. Armia, 10. Armia... W czasie pokoju armia była największą formacją w składzie Armii Czerwonej. Podczas wojny (lub w przededniu niej) kilka armii, samodzielnych dywizji i korpusów łączyło się w wyższy związek operacyjny — front. W Wehrmachcie analogiczna do frontu była grupa armii. Do ataku na Związek Sowiecki rozwinięto trzy grupy armii: „*Północ*” (z zadaniem natarcia przez republiki nadbałtyckie na Leningrad), „*Środek*” (do natarcia na Mińsk–Smoleńsk) i „*Południe*” (miała zdobyć Ukrainę i we współdziałaniu z armią rumuńską — Mołdawię).

W Armii Czerwonej nie było wyższych związków pancernych niż korpus zmechanizowany. Wehrmacht natomiast miał cztery grupy pancerne (GP): 1. Grupa Pancerna w Grupie Armii „*Południe*”, 2. i 3. w Grupie Armii „*Środek*” i 4. w Grupie Armii „*Północ*”. W ich składzie były dwa (4. i 3. GP) lub trzy (2. i 1. GP) korpusy pancerne.

3. Artyleria

Działa dzielą się zasadniczo na armaty i haubice. Główna zewnętrzna różnica to długość lufy: armaty mają lufę długą (40–50 kalibrów), haubice krótką (20–30 kalibrów). Różne długości lufy warunkują różnicę prędkości początkowej pocisku: 650–750 m/s dla armat, 350–500 m/s dla haubic. Naturalnie pocisku nie rozpędza lufa, ale ładunek miotający, który w naboju armatnim (jego podstawowymi elementami są: pocisk, zapalnik i ładunek miotający) jest znacznie silniejszy niż w haubicznym. Większa siła (czyli większa masa ładunku miotającego) naboju armatniego pociąga za sobą większą masę i większe rozmiary zamka, lufy, oporopowrotnika i wszystkich innych elementów armaty. W rezultacie armata waży kilkakrotnie więcej niż haubica tego samego kalibru. Na przykład najbardziej rozpowszechniona w Armii Czerwonej haubica M–30 kalibru 122 mm miała masę (w stanie bojowym, czyli bez uwzględnienia masy przodka — dwuosioowego wózka, na którym podczas holowania opiera się łożo działa) 2200 kg, a armata A–19 tego samego kalibru — 7080 kg.

Duża prędkość początkowa pocisku armatniego zapewnia znacznie większy zasięg strzelania (i tak maksymalna donośność haubicy 122 mm wynosiła 8,9 km, a armaty A–19 tegoż kalibru — 20,4 km). Przy strzelaniu na krótki dystans armata (dzięki dużej prędkości początkowej pocisku) umożliwia prowadzenie celnego ognia na wprost (trajektoria lotu pocisku jest niemal prostoliniowa i prawie równoległa do powierzchni ziemi). Haubica natomiast prowadzi ogień stromotorowy (pocisk jest wyrzucany pod kątem 30–45 stopni i leci parabolą), co często jest ważną taktyczną zaletą (możność strzelania do niewidocznych celów na przeciwstokach wzniesień, rażenie żołnierzy ukrytych w okopach).

Swoistą odmianą dział artyleryjskich były tak zwane armaty pułkowe i górskie. Są to lekkie, krótkolufowe działa o niskiej (charakterystycznej raczej dla haubic) prędkości początkowej pocisku, ale przeznaczone (w odróżnieniu od

haubic) zarówno do strzelania stromotorowego, jak i na wprost na małych (400–500 m) dystansach.

Moździerz to rura prowadząca pocisku (granatu) moździerzowego, który de facto jest niesterowaną raketą. I chociaż rura ta jest zaślepiona od dołu, ciśnienie gazów wyrzucanych do niej z dyszy silnika raketowego granatu jest o kilka rzędów wielkości mniejsze niż w lufie armaty czy haubicy. W rezultacie lufa moździerzowa (i cały moździerz) jest wielokrotnie lżejsza. I tak na przykład moździerz kalibru 120 mm ważył w stanie bojowym zaledwie 275 kg. Do ujemnych cech szczególnych moździerza należy zaliczyć małą celność wskutek niestabilnej szybkości i trajektorii pocisku, zasadniczą niemożność prowadzenia ognia na wprost nawet z minimalnej odległości, znacznie mniejszą w porównaniu z pociskami armatnimi i haubicznymi tego samego kalibru masę ładunku wybuchowego i odpowiednio mniejsze oddziaływanie rażące.

4. Armaty i pociski przeciwpancerne

Do walki z czołgami (i innymi celami opancerzonymi) opracowano specjalne działa — armaty przeciwpancerne. Dopóki podstawowym rodzajem pocisku przeciwpancernego był stalowy „wlewek” przebijający pancerz czołgu dzięki własnej energii kinetycznej, głównym wymogiem wobec armaty przeciwpancernej była jak największa prędkość początkowa pocisku. Pod względem konstrukcyjnym wymaga to lufy wyjątkowej długości (60 i więcej kalibrów). Duża zdolność przebijania pancerza jest najważniejszym, ale nie jedynym wymogiem wobec armaty przeciwpancernej i pocisku przeciwpancernego. Czołg potrafi manewrować zarówno w sensie operacyjnym (czołgi mogą się pojawiać niespodziewanie na różnych odcinkach frontu), jak i taktycznym (bezpośrednio na polu walki). Tak więc środek walki z czołgiem, na przykład armata przeciwpancerna, powinien mieć jak największą zdolność manewru „kołami i ogniem”. Znaczy to, że armata przeciwpancerna musi być dość lekka, by jej obsługa mogła ręcznie obrócić ją na stanowisku ogniowym i przetoczyć na inne. Prócz tego jej trakcja powinna umożliwiać holowanie z dużą prędkością w terenie pofałdowanym.

Wszystkie wyżej wymienione wymogi doprowadziły do tego, że jako przeciwpancernych używano armat stosunkowo małego (37–57 mm) kalibru, ale z długimi lufami, co umożliwiało osiągnięcie początkowej prędkości pocisku od 750 do 1150 m/s (jest to 3,3 razy więcej niż prędkość dźwięku nad

samą ziemią). W początkowym okresie II wojny światowej szeroko wykorzystywano również systemy jeszcze mniejszego kalibru (20–25 mm) oraz rusznice przeciwpancerne kalibru 8–15 mm. Jednakże dalszy rozwój techniki pancerniej uczynił bezużytecznymi nie tylko superlekkie systemy, ale też najbardziej rozpowszechnione armaty przeciwpancerne kalibru 37, 45 i 50 mm. Pod koniec wojny kaliber armat przeciwpancernych zwiększył się do 75, a nawet 88 mm. Umożliwiło to całkowite rozwiązanie problemu (niemiecka armata przeciwpancerna PaK 43 kalibru 88 mm przebijała z małej odległości pancerz o grubości 180 mm), ale przy tym masa działa przekroczyła wszelkie rozsądne granice (PaK 43 ważyła 3700 kg, co niemal unieruchamiało ją na polu walki). W istocie artyleria przeciwpancerna znalazła się w ślepych zaułku, z którego wyjście stało się możliwe dopiero po opracowaniu pocisków kumulacyjnych, dla których szybkość dotarcia do pancerza już nie miała wielkiego znaczenia. Właśnie to umożliwiło w okresie powojennym zastąpienie armaty przeciwpancernej rakieta niesterowaną (moździerz przeciwpancerny) lub zdalnie sterowaną.

5. Czołgi, tankietki, działa samobieżne, samochody pancerne, transportery opancerzone

Czołg to pojazd bojowy mający trzy cechy charakterystyczne:

- korpus pancerny;
- trakcja gąsienicowa;
- działo (armata) w ruchomej wieży.

Dość rozpowszechnioną na początku II wojny światowej odmianą czołgów były czołgi miotacze ognia (lub „chemiczne”). Zamiast armaty w ruchomej wieży takiego czołgu instalowano urządzenie wyrzucające kilka litrów cieczy (mieszanka ogniowa lub rzadka materia trująca w rodzaju iperytu) na odległość 50–80 m. Czołgi z miotaczami ognia miały być używane do walki z piechotą ukrytą w okopach oraz załogami bunkrów.

Umieszczenie działa artyleryjskiego w niedużej obrotowej wieży jest wielce skomplikowanym zadaniem inżynierskim. Toteż na początku wojny czołgi uzbrojono w armaty małego kalibru (37–50 mm) lub krótkolufę (strzelającą celnie na niewielką odległość) armaty kalibru 75 i 76 mm. Zastosowanie bojowe wykazało, że działo o takich parametrach jest niewystarczające do skutecznego wspierania piechoty na polu bitwy. Dlatego też zostały opracowane opancerzone pojazdy gąsienicowe nowego typu —

działa samobieżne (szturmowe). Zewnętrznie różnią się one od czołgu tym, że nie mają wieży (działo instaluje się na nieruchomym przedziale bojowym, czasem nawet otwartym z tyłu). Wszystkie działa samobieżne można umownie podzielić na dwie grupy: działa wsparcia piechoty i niszcyciele czołgów. W pierwszym wypadku uzbrojenie składa się z potężnej armaty (lub haubicy kalibru do 152 mm) oraz karabinów maszynowych, w drugim — z armaty przeciwpancernej i szczególnie grubego pancerza.

W latach trzydziestych masowo produkowano tankietki (lekkie małe czołgi) uzbrojone w karabiny maszynowe. W Związku Sowieckim takie pojazdy (T-37, T-38, T-40), przeznaczone dla pododdziałów zwiadowczych dywizji pancernych i strzeleckich, mogły się też poruszać po wodzie (czołgi pływające). Jednakże w miarę nasycania piechoty środkami obrony przeciwpancernej wykorzystanie tankietek stawało się coraz mniej sensowne. Pod koniec II wojny światowej praktycznie zniknęły one jako samodzielna klasa pojazdów bojowych.

Samochód pancerny jest to kołowy, zakryty, opancerzony pojazd bojowy uzbrojony w karabiny maszynowe (a często również w działko lub armatkę). Najmocniejszymi samochodami pancernymi były sowieckie BA-10, zbudowane na podwoziu trzyosiowego samochodu o zwiększonych właściwościach terenowych i uzbrojone w armatę kalibru 45 mm w obrotowej wieży lekkiego czołgu. Mimo potężnego (jak na owe czasy) uzbrojenia samochody pancerne uzbrojone w działa nie zyskały większej popularności, ponieważ znacznie ustępowały czołgom pod względem zdolności poruszania się w terenie pofałdowanym. Z drugiej strony jednak rozmaite modele lekkich samochodów pancernych (zwiadowczych, dowódczych, łączności radiowej) z powodzeniem wykorzystywano podczas wojny.

Transporter opancerzony, mimo że często opracowywano go na podwoziu tego samego pojazdu co samochód pancerny, radykalnie się od niego różnił, tak pod względem przeznaczenia, jak i wyglądem zewnętrznym. Transportery opancerzone okresu II wojny światowej były z reguły odkrytymi pojazdami półgąsienicowymi z opancerzonymi bokami i kabiną kierowcy, uzbrojonymi w karabiny maszynowe albo bez jakiegokolwiek uzbrojenia. Służyły do przewozu pododdziałów piechoty dywizji pancernych (zmotoryzowanych). Transporter opancerzony owych czasów nie był bojowym wozem piechoty (bwp), jego zadaniem było jedynie dowożenie piechoty do rejonu rozwinięcia,

a na polu walki poruszała się ona na własnych nogach, niekiedy korzystając ze wsparcia ogniowego transportera.

ZAŁĄCZNIK 2. SKŁAD I UZBROJENIE WOJSK PANCERNYCH WEHRMACHTU I ARMII CZERWONEJ BIORĄCYCH UDZIAŁ W DZIAŁANIACH BOJOWYCH OD 22 CZERWCA DO 10 LIPCA 1941 R.

Grupa Armii „ <i>Północ</i> ”		Front Południowo–Zachodni	
4. Grupa Pancerna XLI Korpus Pancerny (1. i 6. DPanc)	390/114/155/121	XII Korpus Zmechanizowany (23. i 28. DPanc, 202. DSZmot)	730/0
		III Korpus Zmechanizowany (2. i 5. DPanc, 84. DSZmot)	672/110
LVI Korpus Pancerny (8. DPanc)	212/64/118/30	I Korpus Zmechanizowany (3. DPanc, 163. DSZmot)	666/5
		XXI Korpus Zmechanizowany (42. i 46. DPanc, 185. DSZmot)	120/0
ogółem czołgów	602		2188

Grupa Armii „ <i>Środek</i> ”		Front Zachodni	
3. Grupa Pancerna		XI Korpus Zmechanizowany (29. i 33. DPanc, 204. DSZmot)	414/20
XXXIX Korpus Pancerny (7. i 20. DPanc)	494/145/288/61	VI Korpus Zmechanizowany (4. i 7. DPanc, 29. DSZmot)	1131/452
LVII Korpus Pancerny (12. i 19. DPanc)	448/169/219/60	XIII Korpus Zmechanizowany (25. i 31. DPanc, 208. DSZmot)	282/0
2. Grupa Pancerna		XIV Korpus Zmechanizowany (22. i 30. DPanc, 205. DSZmot)	518/0
XLVII Korpus Pancerny (17. i 18. DPanc)	420/134/99/187	VII Korpus Zmechanizowany (14. i 18. DPanc, 1. DSZmot)	959/103
XLVI Korpus Pancerny (10. DPanc)	182/57/0/125	V Korpus Zmechanizowany (13. i 17. DPanc)	861/17
XXIV Korpus Pancerny (3. i 4. DPanc)	392/125/60/207	samodzielną 57. DPanc	200/0
ogółem czołgów	1936		4365

Grupa Armii „ <i>Południe</i> ”		Front Południowo–Zachodni i Front Południowy	
1. Grupa Pancerna		XXII Korpus Zmechanizowany (19. i 41. DPanc, 215. DSZmot)	712/31
III Korpus Pancerny (13. i 14. DPanc)	296/114/42/140	XV Korpus Zmechanizowany (10. i 37. DPanc, 212. DSZmot)	749/136
XLVIII Korpus Pancerny (11. i 16. DPanc)	289/107/135	IV Korpus Zmechanizowany (8. i 32. DPanc, 81. DSZmot)	979/414
XIV Korpus Pancerny (9. DPanc)	143/52/11/80	VIII Korpus Zmechanizowany (12. i 34. DPanc, 7. DSZmot)	899/171

		IX Korpus Zmechanizowany (20. i 35. DPanc, 131. DSZmot)	316/0
		XIX Korpus Zmechanizowany (40. i 43. DPanc, 213. DSZmot)	453/5
		XVI Korpus Zmechanizowany (15. i 39. DPanc, 240. DSZmot)	478/4
		XXIV Korpus Zmechanizowany (45. i 49. DPanc, 216. DSZmot)	222/0
		V Korpus Zmechanizowany (109. DSZmot)	209/0
		II Korpus Zmechanizowany (11. i 16. DPanc, 15. DSZmot)	527/60
		XVIII Korpus Zmechanizowany (44. i 47. DPanc, 218. DSZmot)	282/0
ogółem czołgów	728		5826
razem	3266 czołgów		12 379
w tym	1081 tankietek 1039 czołgów lekkich 1146 czołgów	w tym	1526 T-34 i KW

Uwagi:

1. Liczbę czołgów w formacjach Wehrmachtu wykazano w następujący sposób: ogółem czołgów w korpusie (tankietki/czołgi lekkie/czołgi średnie).

2. Do kategorii „*tankietek*” zaliczono PzKpfw I, PzKpfw II i czołgi dowodzenia uzbrojone w karabiny maszynowe; do „*czołgów lekkich*”: czeskie PzKpfw 38(t) i PzKpfw III pierwszych wersji z działem 37 mm; do „*czołgów średnich*”: PzKpfw III z armatą kalibru 50 mm oraz PzKpfw IV;

3. Liczbę czołgów w korpusach zmechanizowanych Armii Czerwonej wykazano w następujący sposób: ogółem czołgów w korpusach zmechanizowanych (w tym T-34 i KW).

4. Liczebność I KZmech podano bez uwzględnienia 1. DPanc, która do końca lipca 1941 r. znajdowała się za kołem podbiegunowym.

5. W tabeli nie uwzględniono XVII KZmech i XX KZmech Frontu Zachodniego, które były w stadium organizacji, oraz X KZmech (Leningradzki OW), działającego na froncie fińskim.

1. Zgodnie z faktycznym przebiegiem działań bojowych 109. DZmot (V KZmech) została włączona w skład wojsk Frontu Południowo-Zachodniego, odpowiednio więc liczbę czołgów V KZmech podano bez uwzględnienia tej jednostki.

2. Wszelkie liczby określające skład i uzbrojenie korpusów zmechanizowanych Armii Czerwonej należy traktować jako orientacyjne. W rozmaitych źródłach różnią się one o 10–20 procent. Między innymi odnosi się to do liczby czołgów nowych typów (KW, T-34), które nieprzerwanie były dostarczane do uzbrojenia jednostek. Tak na przykład w podanej wyżej tabeli w składzie XXI KZmech nie ma czołgów nowych typów, ale w dokumentach bojowych pierwszych tygodni wojny mówi się o czołgach KW XXI Korpusu.

ZAŁĄCZNIK 3. SKŁAD I STRATY GRUP PANCERNYCH WEHRMACHTU NA FRONCIE WSCHODNIM

	1. GP	2. GP	3. GP	4. GP	razem
stan na 22 czerwca 1941 r.	66	919	780	563	2928
straty bezpowrotne	71	235	233	121	760
otrzymane nowe czołgi	20	25	42	2	89
czołgi gotowe do walki 4–10 września	327	344	362	375	1406
czołgi czasowo niesprawne	187	378	223	71	859

Uwaga: nie uwzględniono stanu i strat tankietek PzKpfw I i czołgów dowodzenia PzBfWg.

	PzKpfw II	PzKpfw 35/78 (t)	PzKpfw III	PzKpfw IV	razem
stan na 22 czerwca 1941 r.	743	780	966	439	2928
straty bezpowrotne	152	231	252	125	760
otrzymane nowe czołgi	0	44	35	10	89
czołgi gotowe do walki 4–10 września	458	393	362	193	1406
czołgi czasowo niesprawne	146	193	387	133	859

Uwaga: nie uwzględniono stanu i strat tankietek PzKpfw I i czołgów dowodzenia PzBfWg.

ZAŁĄCZNIK 4. STAN I PODZIAŁ NA RZUTY CZOŁGÓW ARMII CZERWONEJ 1 CZERWCA 1941 R.

	KW	T-34	T-28	BT-5/7	T-26	ogółem
okręgi zachodnie	473	837	432	4656	5103	11 501
Daleki Wschód	0	0	0	1757	3017	4774
okręgi wewnętrzne	31	55	10	409	1399	1898
ogółem	504	892	442	6822	9513	18 173

Uwagi:

— do okręgów zachodnich włączono Leningradzki, Nadbałtycki, Zachodni, Kijowski, Odeski, a także Moskiewski Okręg Wojskowy, którego korpusy zmechanizowane (VII i XXI) wzięły udział w działaniach bojowych pierwszych tygodni wojny;

— do ogólnej liczby czołgów BT-5 i BT-7 włączono 704 czołgi BT-7M z silnikami wysokoprężnymi;

— na 1 lipca 1941 r. ogólna liczba wyprodukowanych czołgów nowych typów wyniosła 636 KW i 1225 T-34;

— prócz tego w uzbrojeniu Armii Czerwonej znajdowało się 59 pięciowieżowych czołgów ciężkich T-35, 589 lekkich BT-2, 3447 tankietek pływających T-37, T-38 i T-40, 3258 samochodów pancernych BA-10 uzbrojonych w armatę 45 mm;

— według tak zwanych przeliczonych danych Głównego Zarządu Pancerno-Samochodowego Armii Czerwonej. Ogólna liczba czołgów na 1 stycznia 1941 r. wyniosła 7817 BT i 11 090 T-26.

ZAŁĄCZNIK 5. PODSTAWOWE CHARAKTERYSTYKI TAKTYCZNO-TECHNICZNE CZOŁGÓW ARMII CZERWONEJ I WEHRMACHTU

	KW	T-34	T-28	PzKpfw IV F	PzKpfw III J	BT-7	PzKpfw 38 (t)	T-26	PzKpfw II C
masa (t)	48	28,5	27,8	22,3	21,6	13,8	9,4	9,75	9,5
kaliber działa (mm)	76,2	76,2	76,2	75	50	49	37	45	20
pancerz czołowy/ /boczny (mm)	75-76	45-40	30-20	50-30	50-30	2-13	5-15	15-15	30-20
moc (KM)	600	500	500	300	300	450	125	90	140
prędkość (km/h)	35/16	50/25	40/20	42/20	40/20	2/35	42/15	30/15	45/25
zasięg na szosie (km)	250	300	220	200	145	30	250	180	190

Uwaga: w rubryce „prędkość” pierwsza liczba — prędkość maksymalna na szosie; druga — przeciętna prędkość w terenie pofałdowanym.

**ZAŁĄCZNIK 6. DOSTAWY AMUNICJI WG STANU NA
22 CZERWCA 1941 R. W PROCENTACH OD
OGÓLNEJ LICZBY**

	okręgi zachodnie	Daleki Wschód	okręgi wewnętrzne	zapasy centrum	ogółem w Armii Czerwonej %/mln szt.
naboje artyleryjskie	44	23	13	20	100/62,3
granaty moździerzowe	61	13	17	9	100/24,9
naboje karabinowe	46	26	17	11	100/6809

DYNAMIKA DOSTAW, STRAT I ZUŻYCIA BOJOWEGO AMUNICJI ARTYLERYJSKIEJ W 1941 R.

amunicja (mln szt.) do:	stan na 26.06.41 r.	zużycie bojowe	straty niebojowe	ogólne zużycie	otrzymano 1.06–31.12	stan na 01.01.42 r.	współ czynnik
moździerz 50 mm	14,51	4,06	3,28	7,34	7,57	14,74	1,02
moździerz 82 mm	11,34	3,80	4,36	8,16	3,77	6,95	0,61
armata ppanc 45 mm	25,65	4,72	7,13	11,87	7,02	20,80	0,81
armata pułkowa 76 mm	4,90	2,21	2,50	4,71	1,52	1,71	0,35
armata dywizyjna 76 mm	8,78	2,47	2,25	4,72	1,93	5,99	0,68
haubica 122 mm	6,56	1,78	2,32	4,10	2,62	5,08	0,77
haubica 152 mm	2,64 ¹³	0,63	0,61	1,24	0,93	2,33	0,88
działo przeciwlotnicze 76 mm	5,03	0,59	0,86	1,45	1,72	5,30	1,05

NORMATYWY Z 1941 R. ZUŻYCIA AMUNICJI „NA DZIEŃ WZMOŻONEJ BITWY”

broń	nabojów
karabin ¹⁴	20
erkaem ¹⁵	620
cekaem ¹⁶	1400
armata przeciwlotnicza 76 mm	84
armata przeciwpancerna 45 mm	80
armata pułkowa 76 mm	100
armata dywizyjna 76 mm	100
haubica 122 mm	88
haubica 152 mm	72
haubicoarmata 152 mm	80

Źródło: Zaopatrzenie artyleryjskie w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej w latach 1941–1945, t. I, Główny Zarząd Artylerii, Moskwa–Tuła 1977.

¹⁴ — normatyw z 1938 r.

¹⁵ — normatyw z 1938 r.

¹⁶ — normatyw z 1938 r.

ZAŁĄCZNIK 7. TRAKTAT O PRZYJAŹNI I GRANICY MIĘDZY ZSRS I NIEMCAMI

Moskwa

28 września 1939 r.

Rząd ZSRS i rząd Niemiec po rozpadzie byłego Państwa Polskiego traktują jako wyłączne własne zadanie przywrócenia pokoju i porządku na tym terytorium i zapewnienia narodom tam mieszkającym pokojowego współistnienia odpowiadającego ich cechom narodowym. W tym celu doszły one do porozumienia w następujących sprawach:

Artykuł I

Rząd ZSRS i rząd Niemiec w charakterze granicy między obopólnymi interesami na terytoriach byłego Państwa Polskiego ustalają linię, która zostanie naniesiona na mapę załączoną do niniejszego dokumentu, a dokładniej zostanie ona opisana w protokole dodatkowym.

Artykuł II

Obie strony uznają ustaloną w artykule I granicę obopólnych interesów państwowych za ostateczną i odrzucają wszelką ingerencję mocarstw trzecich w tę decyzję.

Artykuł III

Niezbędną przebudowę państwową na terytorium położonym na zachód od linii ustalonej w art. I wykonuje rząd Niemiec, na terytorium położonym na wschód od tej linii wykonuje rząd ZSRS.

Artykuł IV

Rząd ZSRS i rząd Niemiec traktują wyżej wymienioną przebudowę jako niewzruszony fundament dalszego rozwoju przyjaznych stosunków między obu narodami.

Artykuł V

Układ ten podlega ratyfikacji. Wymiana aktów ratyfikacji powinna się odbyć jak najprędzej w Berlinie.

Układ wchodzi w życie z chwilą jego podpisania.

Sporządzony w dwóch oryginałach w języku niemieckim i rosyjskim.

Z upoważnienia Rządu ZSRS

Za Rząd Niemiec

W. Mołotow

J. Ribbentrop

TAJNY PROTOKÓŁ DODATKOWY DO UKŁADU O PRZYJAŹNI I GRANICY

Moskwa

28 września 1939 r.

Podpisani poniżej pełnomocnicy podczas zawarcia sowiecko–niemieckiego układu o granicy i przyjaźni porozumieli się w sprawie następującej:

Obie strony nie dopuszczą na swoich terytoriach do żadnej polskiej agitacji, która oddziałuje na terytorium innego państwa. Zlikwidują one zarodki tego rodzaju agitacji na swoich terytoriach i będą się informować nawzajem o właściwych do tego przedsięwzięciach.

Z upoważnienia Rządu ZSRS
Za Rząd Niemiec

W. Mołotow
J. Ribbentrop

OŚWIADCZENIE RZĄDÓW ZSRS I NIEMIEC

Po tym, jak rząd Niemiec i rząd ZSRS w podpisanym dzisiaj układzie ostatecznie uregulowały kwestie wynikające z rozpadu Państwa Polskiego, a tym samym utworzyły trwałe fundament długotrwałego pokoju w Europie Wschodniej, za obopólną zgodą wyrażają opinię, że zakończenie obecnej wojny między Niemcami z jednej strony a Anglią i Francją z drugiej odpowiadałaby interesom wszystkich narodów. Dlatego też oba Rządy poczynią wspólnie wysiłki, w razie potrzeby za zgodą innych zaprzyjaźnionych państw, ażeby jak najszybciej osiągnąć ten cel.

Jeżeli jednak te wysiłki obu Rządów okażą się bezskuteczne, to w ten sposób zostanie ustalony fakt, że Anglia i Francja ponoszą odpowiedzialność za kontynuowanie wojny, przy czym w razie kontynuowania wojny Rządy Niemiec i ZSRS będą się konsultowały nawzajem o niezbędnych przedsięwzięciach.

Z upoważnienia Rządu ZSRS
Za Rząd Niemiec

W. Mołotow
J. Ribbentrop

OŚWIADCZENIE MINISTRA SPRAW ZAGRANICZNYCH NIEMIEC P. VON RIBBENTROPA

30 września 1939 r.

Przed odjazdem do Moskwy minister spraw zagranicznych Niemiec p. von Ribbentrop złożył dziennikarzowi TASS następujące oświadczenie:

„Mój pobyt w Moskwie znowu był krótki, zbyt krótki. Mam nadzieję, że następnym razem będę tu dłużej. Niemniej dobrze wykorzystaliśmy te dwa dni. Zostały wyjaśnione następujące sprawy:

1. Przyjaźń niemiecko–sowiecka została zawarta ostatecznie.

1. Obie strony nigdy nie dopuszczą do ingerencji państw trzecich w kwestie środkowoeuropejskie.

2. Oba państwa pragną, aby pokój został przywrócony i ażeby Anglia oraz Francja zaprzestały absolutnie bezsensownej i nie rokującej perspektyw walki przeciw Niemcom.

3. Jeżeli jednak w tych krajach wezmą górę podżegacze wojenni, to Niemcy i ZSRS będą wiedziały, jak na to zareagować”.

Minister wskazał dalej na osiągnięte wczoraj między rządami Niemiec i ZSRS porozumienie o obszernym programie gospodarczym, który przyniesie korzyść obu państwom. Na zakończenie p. von Ribbentrop oświadczył:

„Rozmowy odbywały się w rzeczywistości przyjacielskiej i wspaniałej atmosferze. Jednak przede wszystkim chciałbym odnotować wyjątkowo serdeczne przyjęcie, które okazał mi rząd sowiecki, a zwłaszcza panowie Stalin i Mołotow”.

ZAŁĄCZNIK 8. KONTRPROPOZYCJE RZĄDU SOWIECKIEGO W SPRAWIE WARUNKÓW PRZYSTĄPIENIA ZSRS DO TRÓJPRZYMIERZA

Przekazane przez Przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych W. M. Mołotowa ambasadorowi Niemiec w ZSRS Schulenburgowi 25 listopada 1940 r.

ZSRS zgadza się w zasadzie przyjąć projekt paktu czterech mocarstw w sprawie ich współpracy politycznej i gospodarczego współdziałania przedstawiony przez p. Ribbentropa w jego rozmowie z W. M. Mołotowem w Berlinie 13 listopada 1940 roku, składający się z czterech punktów, pod następującymi warunkami:

1. Jeżeli wojska niemieckie zostaną natychmiast wycofane z Finlandii, która stanowi strefę wpływów ZSRS, zgodnie z porozumieniem niemiecko-sowieckim z 1939 roku. ZSRS zobowiązuje się przy tym do zapewnienia pokojowych stosunków z Finlandią, a także zapewnienia interesów gospodarczych Niemiec w Finlandii (wywóz drewna, niklu);

2. Jeżeli w najbliższych miesiącach zostanie zapewnione bezpieczeństwo ZSRS w cieśninach w drodze zawarcia porozumienia między ZSRS a Bułgarią (która pod względem swego położenia geograficznego znajduje się w sferze bezpieczeństwa granic czarnomorskich ZSRS) oraz urządzenia bazy sił lądowych i marynarki wojennej ZSRS w rejonie Bosforu i Dardaneli na zasadach dzierżawy długoterminowej;

3. Jeżeli za ośrodek dążeń terytorialnych ZSRS zostanie uznany rejon na południe od Batumi i Baku w ogólnym kierunku Zatoki Perskiej;

1. Jeżeli Japonia zrezygnuje ze swoich praw koncesyjnych na węgiel i ropę na Sachalinie Północnym na warunkach sprawiedliwej rekompensaty.

Zgodnie z powyższym należy zmienić przedstawiony przez p. Ribbentropa projekt protokołu do Układu Czterech Mocarstw, dotyczący rozgraniczenia stref wpływu, w duchu określenia dążeń terytorialnych ZSRS na południe od Batumi i Baku w ogólnym kierunku Zatoki Perskiej.

Dokładnie tak samo powinien zostać zmieniony przedstawiony przez p. Ribbentropa projekt protokołu lub układu między Niemcami, Włochami,

ZSRS i Turcją w duchu zapewnienia ZSRS bazy sił lądowych i marynarki wojennej pod Bosforem i Dardanelami na zasadach dzierżawy długoterminowej. Równocześnie w wypadku, gdy Turcja zgodzi się przystąpić do Paktu Czterech, trzy mocarstwa (Niemcy, Włochy, ZSRS) gwarantują niepodległość i integralność terytorialną Turcji.

Protokół ten powinien przewidywać, że jeśli Turcja odmówi przyłączenia się do czterech państw, Niemcy, Włochy i ZSRS ustalają opracowanie i wprowadzenie w życie niezbędnych przedsięwzięć wojskowych i dyplomatycznych, w której to sprawie powinno zostać zawarte odrębne porozumienie.

Należy również przyjąć:

- trzeci tajny protokół między ZSRS a Niemcami w sprawie Finlandii;
- czwarty tajny protokół między ZSRS a Japonią o rezygnacji Japonii z koncesji na węgiel i ropę naftową na Sachalinie Północnym;
- piąty tajny protokół między ZSRS a Niemcami i Włochami uznający, że Bułgaria z powodu jej położenia geograficznego znajduje się w strefie bezpieczeństwa granic czarnomorskich ZSRS, w związku z czym za politycznie konieczne należy uznać zawarcie paktu o pomocy wzajemnej między ZSRS a Bułgarią, co w żadnej mierze nie powinno naruszać ani wewnętrznego ustroju Bułgarii, ani jej suwerenności i niepodległości.

ZAŁĄCZNIK 9.¹⁷ OPINIE W SPRAWIE PLANU ROZWINIĘCIA STRATEGICZNEGO SIŁ ZBROJNYCH ZWIĄZKU SOWIECKIEGO NA WYPADEK WOJNY Z NIEMCAMI I ICH SOJUSZNIKAMI

Tylko osobiście

Jedyny egzemplarz

Do Przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych ZSRS tow. Stalina

Zgłaszam do rozpatrzenia przez Was opinie w sprawie rozwinięcia Sił Zbrojnych Związku Sowieckiego na wypadek wojny z Niemcami i ich sojusznikami.

I. Obecnie Niemcy *według danych Zarządu Wywiadu Armii Czerwonej* mają rozwiniętych 230 dywizji piechoty, 22 pancerne, 20 zmotoryzowanych, 8 spadochronowych i 4 kawaleryjskie, ogółem 284 dywizje.

Spośród nich na granicy ze Związkiem Sowieckim, według stanu na 15.05.41 r., skoncentrowano około 86 dywizji piechoty, 13 pancernych, 12 zmotoryzowanych i 1 kawaleryjską, ogółem około 112 dywizji. Przypuszcza się, że w dzisiejszej sytuacji Niemcy w razie napaści na ZSRS mogą wystawić przeciwko nam około 137 dywizji piechoty, 19 pancernych, 15 zmotoryzowanych, 4 kawaleryjskie i 5 spadochronowych, ogółem 180 dywizji.

Pozostałe 104 dywizje będą się znajdowały *w centrum kraju w rezerwie: 22 dyw. piechoty, 1 dyw. kawalerii, 1 dyw. pancerna, 1 spadochronowa, razem 25 dywizji; w Danii, Belgii, Holandii i Francji — 40 dyw. piechoty, 2 dyw. kawalerii, 1 dyw. pancerna, 2 dyw. spadochronowe, razem 45 dywizji; Jugosławia: 7 dyw. piechoty, razem 7 dywizji; Grecja: 7 dyw. piechoty, 1 dyw. kawalerii, razem 8 dywizji; Bułgaria: 3 dyw. piechotyf razem 3 dywizje; Afryka: 5 dyw. piechoty, 1 dyw. kawalerii, 1 dyw. pancerna, razem 7 dywizji; Norwegia: 9 dyw. piechoty, razem 9 dywizji; ogółem 93 dyw. piechoty, 5 dyw.*

¹⁷ — Uzupełnienia w tekście podane są kursywą. Wykreślona część tekstu ujęto w nawiasy kwadratowe.

kawalerii, 3 dyw. pancerne, 3 dyw. spadochronowe; w sumie — 104 dywizje [w centrum kraju na granicach zachodnich, w Norwegii, w Afryce, w Grecji i Włoszech].

Najprawdopodobniej główne siły armii niemieckiej w składzie: 76 dywizji piechoty, 11 pancernych, 8 zmotoryzowanych, 2 kawalerii i 5 spadochronowych, razem około 100 dywizji, zostaną rozwinięte na południe od Dębłina, w celu zadania ciosu w kierunku: Kowel, Równe, Kijów. Uderzeniu temu prawdopodobnie będzie towarzyszyć uderzenie na północy z Prus Wschodnich na Wilno i Rygę, a także krótkie, skoncentrowane uderzenia od strony Suwałk i Brześcia na Wołkowysk, Baranowicze. Na południu należy oczekiwać uderzenia [jednoczesnego z armią niemiecką ataku armii rumuńskiej, wspieranej przez niemieckie dywizje, które przejdą do natarcia w ogólnym kierunku na Żmerynkę. Nie wyklucza się także możliwości wspierającego natarcia Niemców zza rzeki San w kierunku Lwowa]:

a) w kierunku Żmerynki — armii rumuńskiej wspieranej przez dywizje niemieckie;

b) w kierunku Mukaczewa, Lwowa;

c) Sanoka, Lwowa.

Domniemani sojusznicy Niemiec mogą wystawić przeciwko ZSRS: Finlandia — około 20 dywizji piechoty, Węgry — 15 dywizji piechoty, Rumunia — około 24 dywizji piechoty. Ogółem Niemcy wraz z sojusznikami mogą skierować przeciwko ZSRS około 240 dywizji.

Biorąc pod uwagę, że Niemcy mają obecnie armię zmobilizowaną, z rozwiniętymi tyłami, mogą wyprzedzić nas w rozwijaniu wojsk i zadać niespodziewany cios. Ażeby temu zapobiec [i rozgromić armię niemiecką], uważam za konieczne, by w żadnym razie nie oddawać niemieckiemu dowództwu inicjatywy, wyprzedzić przeciwnika w rozwijaniu wojsk i zaatakować armię niemiecką, gdy będzie się ona znajdować w stadium rozwijania i nie zdąży jeszcze zorganizować frontu i współdziałania rodzajów wojsk.

II. Jako pierwszy cel strategiczny działań wojsk Armii Czerwonej należy postawić: rozgromienie głównych sił armii niemieckiej rozwijanych na południe od Dębłina i 30 dnia operacji wyjść na front Ostrołęka, rzeka Narew, Łowicz, Łódź, Kluczbork, Opole, Ołomuniec. *Następny cel strategiczny: natarciem z rejonu Katowic w kierunku północnym i północno-zachodnim*

rozgromić wielkie siły Środka i Skrzydła Północnego frontu niemieckiego i opanować terytorium byłej Polski i Prus Wschodnich.

Najbliższe zadanie: rozgromić niemiecką armię na wschód od Wisły i na kierunku krakowskim, wyjść nad rzeki Narew, Wisła i opanować rejon Katowic, w tym celu:

a) główny cios siłami Frontu Południowo–Zachodniego zadać w kierunku Krakowa, Katowic, odcinając Niemców od ich południowych sojuszników;

b) wspomagający cios lewym skrzydłem Frontu Zachodniego zadać w kierunku Siedlec, Dębłina w celu unieruchomienia ugrupowania warszawskiego i wsparcia Frontu Zachodniego w rozgromieniu lubelskiego ugrupowania przeciwnika;

c) prowadzić aktywną obronę przeciwko Finlandii, Prusom Wschodnim, Węgrom i Rumunii i być gotowym do zadania ciosu Rumunii w sprzyjającej sytuacji;

W ten sposób Armia Czerwona rozpocznie działania ofensywne z frontu Czyżów, Lutowiska siłami 152 dywizji przeciwko 100 dywizjom niemieckim. Na pozostałych odcinkach granicy państwowej przewiduje się aktywną obronę.

III. Opierając się na wskazanym zamiarze rozwinięcia strategicznego, przewiduje się następujące zgrupowania sił zbrojnych ZSRS:

1. Siły lądowe Armii Czerwonej w składzie: 198 dyw. strzeleckich, 61 dyw. pancernych, 31 dyw. zmotoryzowanych, 13 dyw. kawalerii (razem 303 dywizje i 74 pułki artylerii Odvodu Naczelnego Dowództwa) podzielić w sposób następujący:

a) Główne siły w składzie 163 dyw. strzeleckich, 58 dyw. pancernych, 30 dyw. zmotoryzowanych i 7 dyw. kawalerii (razem 258 dywizji) oraz 53 pułki artylerii OND należy mieć na Zachodzie, spośród nich w składzie Frontu Północnego, Północno–Zachodniego, Zachodniego i Południowo–Zachodniego — 136 dyw. strzeleckich, 44 dyw. pancernych, 23 dyw. zmotoryzowanych, 7 dyw. kawalerii (razem 210 dywizji) i 53 pułki artylerii OND; w składzie Odvodu Naczelnego Dowództwa za Frontem Południowo–Zachodnim i Zachodnim — 27 dyw. strzeleckich, 14 dyw. pancernych, 7 dyw. zmotoryzowanych (razem 48 dywizji);

b) Pozostałe siły w składzie 35 dyw. strzeleckich, 3 dyw. pancernych, 1 dyw. zmotoryzowanej, 6 dyw. kawalerii (razem 45 dywizji) i 21 pułków artylerii OND, przeznaczają się do obrony granic ZSRS: dalekowschodniej, południowej, północnej, spośród nich na Dalekim Wschodzie i w Zabajkalskim OW: 22 dyw. strzeleckie, 3 dyw. pancerne, 1 dyw. zmotoryzowana, 1 dyw. kawalerii (razem 27 dywizji) i 14 pułków artylerii OND;

— w Azji Środkowej: 2 dyw. strzelców górskich i 3 dyw. kawalerii (razem 5 dywizji);

— na Zakaukaziu: 8 dyw. strzeleckich i 2 dyw. kawalerii (razem 10 dywizji) i 2 pułki artylerii OND;

— w obronie wybrzeża czarnomorskiego Kaukazu Północnego i Krymu: 2 dyw. strzeleckie;

— na wybrzeżu Morza Białego: 1 dyw. strzelecka.

Szczegółowe ugrupowanie sił zostało przedstawione na załączonej mapie.

2. Siły powietrzne Armii Czerwonej w składzie posiadanych i zdolnych do walki od zaraz 97 pułków lotnictwa myśliwskiego, 75 pułków bombowców bliskiego zasięgu, 11 pułków lotnictwa szturmowego, 29 pułków bombowców dalekiego zasięgu, 6 pułków bombowców ciężkich (razem 218 pułków lotniczych) podzielić w sposób następujący:

a) Siły główne, w składzie 66 pułków myśliwskich, 64 pułków bombowców bliskiego zasięgu, 5 pułków szturmowców, 25 pułków bombowców dalekiego zasięgu, 5 pułków bombowców ciężkich (razem 165 pułków lotniczych) rozwinąć na Zachodzie, spośród nich:

— w składzie Frontu Północnego, Północno–Zachodniego, Zachodniego i Południowo–Zachodniego — 63 pułki myśliwskie, 64 pułki bombowców bliskiego zasięgu, 5 pułków szturmowców, 11 pułków bombowców dalekiego zasięgu i 1 pułk bombowców ciężkich, razem 144 pułki;

— w składzie Odwołu Naczelnego Dowództwa za Frontem Południowo–Zachodnim i Zachodnim — 14 pułków bombowców dalekiego zasięgu i 4 pułki bombowców ciężkich, razem 21 pułków;

b) Pozostałe siły w składzie 31 pułków myśliwskich, 11 pułków bombowców bliskiego zasięgu, 6 pułków szturmowców, 4 pułki bombowców dalekiego zasięgu i 1 pułk bombowców ciężkich — razem 53 pułki lotnicze

pozostawić do obrony granic: dalekowschodniej, południowej i północnej oraz obrony przeciwlotniczej Moskwy, spośród nich:

— na Dalekim Wschodzie i w Zabajkalskim OW — 14 pułków myśliwskich, 9 pułków bombowców bliskiego zasięgu,

5 pułków szturmowców, 4 pułki bombowców dalekiego zasięgu i 1 pułk bombowców ciężkich, razem 33 pułki;

— w Środkowoazjatyckim OW — 1 pułk myśliwski i 1 szturmowców, razem 2 pułki;

— w Zakaukaskim OW — 9 pułków myśliwskich, 2 pułki bombowców bliskiego zasięgu, razem 11 pułków;

— w Archangielskim OW — 1 pułk myśliwców.

Szczegółowe zgrupowanie sił przedstawiono na załączonej mapie.

Oprócz podanych sił powietrznych mamy obecnie w stadium formowania i zupełnie jeszcze nie gotowych do walki 52 pułki myśliwskie, 30 pułków bombowców bliskiego zasięgu, 4 pułki szturmowców, 7 pułków bombowców dalekiego zasięgu i 22 pułki bombowców ciężkich, razem 115 pułków lotniczych, na których pełną zdolność bojową można liczyć do 1.01.42 r.

Te pułki w miarę osiągnięcia przez nie gotowości zamierza się rozdzielić w sposób następujący:

— na zachód przeznaczyć 41 pułków myśliwskich, 30 pułków bombowców bliskiego zasięgu, 4 pułki szturmowców, 5 pułków bombowców dalekiego zasięgu, 14 pułków bombowców ciężkich, razem 94 pułki, spośród nich:

— w skład frontów: 41 pułków myśliwskich, 33 pułki bombowców bliskiego zasięgu, 4 pułki szturmowców, 7 pułków bombowców ciężkich, razem 87 pułków;

— w składzie Odvodu ND — 4 pułki myśliwskie, 4 pułki bombowców dalekiego zasięgu, razem 8 pułków;

— pozostawić dla Frontu Dalekowschodniego oraz Zabajkalskiego SOW 10 oraz w Zakaukaskim OW — 6 pułków lotniczych;

— do obrony Moskwy — 5 pułków myśliwskich.

Orientacyjne terminy osiągnięcia gotowości bojowej przez te pułki lotnicze — zgodnie z tabelą na mapach.

IV. Skład i zadania frontów rozwijanych na zachodzie (mapa 1:1 000 000):

Front Północny (Leningradzki OW) — 3 armie, w składzie 15 dywizji strzeleckich, 4 pancernych i 2 zmotoryzowanych, razem 21 dywizji, 18 pułków lotniczych i Flota Północna Marynarki Wojennej.

Z podstawowymi zadaniami: obrona Leningradu, portu Murmańsk, Kolei Kirowskiej i wraz z Flotą Bałtycką Marynarki Wojennej zapewnienie nam całkowitego panowania na wodach Zatoki Fińskiej. W tym samym celu przewidziano przekazanie Frontowi Północnemu z Nadbałtyckiego SOW obrony północnego i północno–zachodniego wybrzeża Estońskiej SRS.

Granica frontu z lewej strony — Ostaszków, Ostrów, Wyry, Viljandi, zatoka Matsalu, z wyłączeniem wysp Sarema i Hiuma.

Sztab frontu — Pargołowo.

Front Północno–Zachodni (Nadbałt. SOW) — trzy armie w składzie 17 dyw. strzeleckich [z nich 6 narodowych], 4 pancerne, 2 zmotoryzowane, razem 23 dywizje i 13 pułków lotniczych, z zadaniami: uporczywą obroną skutecznie osłonić kierunki ryski i wileński, nie dopuszczając do ataku przeciwnika z Prus Wschodnich. Przez obronę zachodniego wybrzeża i wysp Sarema oraz Hiuma nie dopuścić do lądowania desantu morskiego przeciwnika.

Granica frontu z lewej strony: Połock, Oszmiana, Druskienniki, Olecko, Giżycko.

Sztab frontu — Poniewież.

Front Zachodni (Zach. SOW) — cztery armie, w składzie — 31 dyw. strzeleckich, 8 pancernych, 4 zmotoryzowanych i 2 kawalerii, razem 45 dywizji i 21 pułków lotniczych.

Zadania:

— uporczywą obroną na froncie Druskienniki, Ostrołęka skutecznie osłaniać kierunki lidzki i białoruski;

— wraz z przejściem armii Frontu Południowo–Zachodniego do ofensywy uderzeniem lewego skrzydła frontu w kierunku na *Warszawę*, Siedlce, Radom *rozbić warszawskie ugrupowanie i opanować Warszawę* [przyczynić się] *we współdziałaniu* z Frontem Południowo–Zachodnim do rozbicia lubelsko–radomskiego ugrupowania przeciwnika, *wysunąć się nad Wisłę i mobilnymi jednostkami zdobyć Radom* [zabezpieczyć tę operację od strony Warszawy i Prus Wschodnich].

Granica frontu z lewej strony — Prypeć, Pińsk, Włodawa, Dęblin, Radom.

Sztab frontu — Baranowicze.

Front Południowo–Zachodni — osiem armii, w składzie 74 dyw. strzeleckich, 28 pancernych, 15 zmotoryzowanych i 5 kawalerii, razem 122 dywizje i 91 pułków lotniczych z najbliższymi zadaniami:

a) koncentrycznym uderzeniem armii prawego skrzydła frontu okrążyć i zniszczyć zasadnicze ugrupowanie przeciwnika na wschód od Wisły, w rejonie Lublina;

b) jednocześnie uderzeniem z frontu Sieniawa, Przemyśl, Lutowiska rozbić siły przeciwnika na kierunkach krakowskim oraz sandomiersko–kieleckim i opanować rejony Kraków, Katowice, Kielce, mając na uwadze późniejsze natarcie z tego rejonu w kierunku północnym lub północno–zachodnim w celu rozgromienia wielkich sił północnego skrzydła frontu przeciwnika i opanowania terytorium byłej Polski i Prus Wschodnich;

c) skutecznie bronić granicy państwa z Węgrami i Rumunią i być gotowym do zadania koncentrycznych ciosów przeciwko Rumunii z rejonów Czerniowców i Kiszyniowa, z najbliższym celem rozgromienia północnego skrzydła rumuńskiej armii i wysunięcia się na rubież rzeki Mołdowa, Jassy.

Żeby zapewnić wykonanie przedstawionego wyżej zamiaru, należy zawczasu podjąć następujące przedsięwzięcia, bez których nie jest możliwe zadanie niespodziewanego ciosu przeciwnikowi zarówno z powietrza, jak i na lądzie:

1. Przeprowadzić ukrytą mobilizację wojsk pod pozorem ćwiczeń rezerwistów;

2. Pod pozorem wymarszu do obozów dokonać ukrytej koncentracji wojsk w pobliżu granicy zachodniej, w pierwszej kolejności ześrodkować wszystkie armie Odwodu Naczelnego Dowództwa;

3. Potajemnie ześrodkować lotnictwo z oddalonych okręgów na lotniskach polowych i od razu rozpocząć rozwijanie tyłów lotnictwa;

4. Stopniowo, pod pozorem obozów szkoleniowych i ćwiczeń na tyłach, rozwijać tyły i bazę szpitalną.

V. Zgrupowanie Odwodu Naczelnego Dowództwa.

W Odwodzie Naczelnego Dowództwa ma się znaleźć 5 armii i należy je ześrodkować:

— dwie armie w składzie 9 dywizji strzeleckich, 4 pancernych i 2 zmotoryzowanych, razem 15 dywizji w rejonie Wiaźma, Syczewka, Jelnia, Briańsk, Suchinczy;

— jedną armię w składzie 4 dywizji strzeleckich, 2 pancernych i 2 zmotoryzowanych, razem 8 dywizji w rejonie Wilejka, Nowogródek, Mińsk;

— jedną armię w składzie 6 dywizji strzeleckich, 4 pancernych i 2 zmotoryzowanych, razem 12 dywizji w rejonie Szepietówki, Proskurowa, Berdyczowa;

— jedną armię w składzie 8 dywizji strzeleckich, 2 pancernych i 2 zmotoryzowanych, razem 12 dywizji w rejonach Biała Cerkiew, Zwienigorodok, Czerkasy.

VI. Osłona ześrodkowania i rozwinięcia.

Aby zabezpieczyć się przed możliwym i niespodziewanym uderzeniem przeciwnika, osłonić koncentrację oraz rozwijanie naszych wojsk i przygotowanie ich do przejścia do ofensywy, należy:

1. Zorganizować trwałą obronę i osłonę granicy państwowej, wykorzystując w tym celu wszystkie wojska okręgów pogranicznych i niemal całe lotnictwo przeznaczone do rozwinięcia na zachodzie;

2. Opracować szczegółowy plan obrony przeciwlotniczej kraju i zapewnić pełną gotowość środków obrony przeciwlotniczej.

W tych sprawach wydałem polecenie i opracowanie planów obrony granicy oraz obrony przeciwlotniczej zostanie całkowicie ukończony do 01.06.41 r.

Skład i zgrupowanie wojsk osłonowych — zgodnie z załączoną mapą.

Jednocześnie należy ze wszech miar forsować budowę i uzbrojenie rejonów umocnionych, rozpocząć budowę rejonów umocnionych w 1942 roku na granicy z Węgrami, a także kontynuować budowę rejonów umocnionych na linii dawnej granicy państwa.

VII. Zadania dla Marynarki Wojennej postawiono zgodnie z zatwierdzonymi przez Was moimi raportami.

VIII. Rozwijanie wojsk i ich działania bojowe zapewniają posiadane zapasy:

amunicji artyleryjskiej:

— małego kalibru na trzy tygodnie;

- średniego kalibru na miesiąc;
- ciężkiego kalibru na miesiąc;
- granaty moździerzowe na pół miesiąca;

amunicji przeciwlotniczej:

- 37 mm — na 5 dni;
- 76 mm — na półtora miesiąca;
- 85 mm — na 11 dni;

amunicji lotniczej:

- bomby burzące na miesiąc;
- przeciwpancerne na 10 dni;
- przebijające beton na 10 dni;
- odłamkowe na miesiąc;
- zapalające na półtora miesiąca;

paliw i smarów:

- benzyna B-78 na 10 dni;
- benzyna B-74 na miesiąc;
- benzyna B-70 na 2,5 miesiąca;
- benzyna do aut na 1,5 miesiąca;
- paliwo dieslowskie na miesiąc.

Zapasy paliw przeznaczone dla okręgów zachodnich, dostarczone eszelonami w znacznej ilości, (z braku możliwości składowania na ich terenie) zostały zmagazynowane w okręgach wewnętrznych.

IX. Proszę:

1. Zatwierdzić przedstawiony plan rozwinięcia strategicznego Sił Zbrojnych ZSRS oraz plan działań bojowych na wypadek wojny z Niemcami;
2. Zawczasu pozwolić na konsekwentne prowadzenie utajonej mobilizacji i utajonego ześrodkowania, w pierwszej kolejności wszystkich armii Odwołu Naczelnego Dowództwa i lotnictwa;
3. Zażądać od Ludowego Komisariatu Komunikacji, aby w pełni i we właściwym czasie wykonał budowę szlaków kolejowych wg planu na rok 1941, zwłaszcza na kierunku lwowskim;
4. Zobowiązać przemysł do wykonania planu produkcji czołgów i samolotów, a także produkcji oraz dostaw amunicji i paliw ściśle w wyznaczonym terminie. *Zatwierdzić propozycję budowy nowych rejonów umocnionych.*

ZAŁĄCZNIKI:

1. Schemat rozwinięcia na mapie 1:1 000 000 w 1 egz.
2. Schemat rozwinięcia osłony na 3 mapach.
3. Schemat stosunku sił w 1 egz.
4. Trzy mapy bazowania sił powietrznych na zachodzie.

Ludowy komisarz obrony ZSRS
Marszałek Związku Sowieckiego S. Timoszenko
Szef Sztabu Generalnego Armii Czerwonej
generał armii G. Żukow

Odręczny dopisek: „*Ludowy komisarz obrony ZSRS*”
wykonany przez A. M. Wasilewskiego
bez numeru, nie wcześniej niż 15 maja 1941 r.

ZAŁĄCZNIK 10. LIST HITLERA DO MUSSOLINIEGO Z 21 CZERWCA 1941 R.

Duce!

Piszę do Pana ten list w chwili, gdy trwające od miesiący męczące rozmyślenia, a także wieczne nerwowe wyczekiwanie zakończyły się podjęciem decyzji najtrudniejszej w moim życiu. Sądzę, że nie mam prawa dłużej znosić tego stanu po tym, jak przedstawiono mi ostatnio mapę sytuacji w Rosji, a także gdy zapoznałem się z innymi doniesieniami. Przed wszystkim uważam, że nie ma już innego sposobu zażegnania tego niebezpieczeństwa. Dalsze wyczekiwanie doprowadzi najpóźniej w tym lub w następnym roku do zgubnych następstw.

Sytuacja. Anglia tę wojnę przegrała. Z rozpaczą tonącego chwyta się ona każdej słomki, która w jej oczach może służyć jako deska ratunku. To prawda, że niektóre jej rachuby i nadzieje nie są pozbawione pewnej logiki. Dotychczas Anglia zawsze prowadziła swe wojny za pomocą krajów kontynentalnych. Po zniszczeniu Francji — i w ogóle po likwidacji wszystkich ich zachodnioeuropejskich pozycji — brytyjscy podżegacze wojenni przez cały czas kierują swój wzrok tam, skąd usiłowali rozpocząć wojnę: na Związek Sowiecki.

Oba te państwa, Rosja Sowiecka i Anglia, są w równej mierze zainteresowane Europą rozpadającą się, osłabioną przez długotrwałą wojnę. Za plecami tych państw w pozie wyczekującego podżegacza stoi Związek Północnoamerykański. Po zlikwidowaniu Polski w Rosji Sowieckiej przejawia się konsekwentny kierunek, którym rozsądnie i ostrożnie, ale nieprzerwanie nawraca się do starej bolszewickiej tradycji rozszerzania Państwa Sowieckiego. Przewlekane wojny niezbędne do osiągnięcia tych celów zamierzają osiągnąć, nadkruszając niemieckie siły na Wschodzie, ażeby niemieckie dowództwo nie odważyło się na wielką ofensywę za Zachodzie, zwłaszcza w powietrzu. Mówiłem Panu niedawno, Duce, że pomyślny eksperyment na Krecie dowiódł, jak konieczne jest w wypadku o wiele większych operacji przeciwko Anglii użycie wszystkiego, do ostatniego samolotu. W tej decydującej walce może się zdarzyć, że zwycięstwo zostanie osiągnięte dzięki przewadze zaledwie paru eskadr. Ani na chwilę się przed

tym nie zawaham, jeżeli, nie mówiąc o wszelkich innych przesłankach, zabezpieczę się od niespodziewanej napaści ze Wschodu, a nawet od groźby takiej napaści.

Rosjanie mają ogromne siły — kazałem generałowi Jodłowi przekazać Pańskiemu attache u nas, generałowi Marrasowi, ostatnią mapę sytuacyjną. U naszych granic znajdują się właściwie wszystkie wojska rosyjskie. Wraz z nastaniem ciepłej pogody w wielu miejscach prowadzi się roboty obronne. Jeżeli okoliczności zmuszą mnie, bym rzucił przeciwko Anglii niemieckie lotnictwo, to powstanie niebezpieczeństwo, że Rosja ze swej strony zacznie wywierać na południu i północy nacisk, wobec którego będę zmuszony cofać się w milczeniu z tego prostego powodu, że nie będę dysponować przewagą w powietrzu. Nie potrafiłbym wtedy rozpocząć natarcia znajdującymi się na Wschodzie dywizjami przeciwko umocnieniom obronnym Rosjan bez wystarczającego wsparcia lotnictwa. Jeżeli nadal będziemy tolerować tę groźbę, to trzeba będzie prawdopodobnie stracić cały 1941 rok, a przy tym ogólna sytuacja ani trochę się nie zmieni. Przeciwnie, Anglia jeszcze bardziej będzie się opierała zawarciu pokoju, ponieważ wciąż jeszcze będzie liczyła na partnera rosyjskiego. W dodatku ta nadzieja zacznie wzrastać w miarę umacniania się gotowości bojowej rosyjskich sił zbrojnych.

Sytuacja staje się tym groźniejsza, że od 1942 roku spodziewane są masowe dostawy materiałów wojskowych z Ameryki.

Nie mówiąc już o tym, Duce, że trudno przypuszczać, aby dano nam więcej czasu. Przy tak gigantycznej koncentracji sił z obu stron — ja przecież też byłem zmuszony rzucić na granicę wschodnią siły pancerne oraz zwrócić uwagę Finlandii i Rumunii na zagrożenie — istnieje możliwość, że w jakimś momencie armaty same zaczną strzelać. Mój odwrót spowodowałby ciężką utratę naszego prestiżu. Byłoby to szczególnie przykre, biorąc pod uwagę ewentualny wpływ na Japonię. Dlatego też po długich rozważaniach doszedłem do wniosku, że lepiej rozerwać tę pętlę, zanim zostanie zaciągnięta. Uważam, Duce, że w ten sposób chyba okażę największą przysługę, jaka w ogóle jest możliwa, naszemu wspólnemu prowadzeniu wojny.

A zatem moja ocena ogólnej sytuacji sprowadza się do następujących wniosków:

1. Francja wciąż jeszcze pozostaje niepewna. Brak określonych gwarancji, że jej Afryka Północna nie znajdzie się raptem we wrogim obozie.

2. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, Duce, Pańskie kolonie w Afryce Północnej, to do wiosny znajdą się one chyba poza wszelkim zagrożeniem. Uważam, że Anglicy swoją ostatnią ofensywą chcieli odblokować Tobruk. Nie sądzę, żeby w najbliższym czasie zdołali to powtórzyć.

3. Hiszpania się waha i obawiam się, że dopiero wtedy przejdzie na naszą stronę, gdy cała wojna zostanie rozstrzygnięta.

4. W Syrii francuski opór chyba nie potrwa długo — z naszą pomocą czy bez niej.

5. O ofensywie na Egipt przed jesienią w ogóle nie może być mowy. Jednak, biorąc pod uwagę sytuację ogólną, uważam, że koniecznie trzeba pomyśleć o skoncentrowaniu w Trypolisie zdolnych do walki wojsk, które w razie potrzeby można będzie rzucić na Zachód. Rzecz jasna na temat tych opinii należy, Duce, zachować całkowite milczenie, w przeciwnym bowiem razie nie będziemy mogli liczyć na to, że Francja zezwoli na przewóz broni przez swoje porty.

6. Czy Ameryka przystąpi do wojny czy nie — jest to obojętne, ponieważ ona już wspiera naszych wrogów wszystkimi siłami, które potrafi zmobilizować.

7. Sytuacja w samej Anglii jest kiepska, zaopatrzenie w żywność i surowce stale się pogarsza. Wolę walki podtrzymują w istocie już tylko nadzieje. Te nadzieje opierają się wyłącznie na dwóch czynnikach: Rosji i Ameryce. Nie mamy możliwości wyeliminowania Ameryki. Ale mamy moc pozwalającą wyeliminować Rosję.

Likwidacja Rosji spowoduje zarazem znaczną poprawę sytuacji Japonii w Azji Wschodniej i tym samym stworzy możliwość utrudnienia działań Amerykanów dzięki ingerencji japońskiej.

W tych warunkach postanowiłem, jak już wspomniałem, położyć kres obłudnej grze Kremla. Sądzę, a raczej jestem przekonany, że w tej walce, która kiedyś w końcu wyzwoli Europę od wielkiego zagrożenia, wezmą udział Finlandia, a także Rumunia. Generał Marras oznajmił, że Pan, Duce, wystawi co najmniej korpus. Jeżeli ma Pan taki zamiar, Duce — ja przyjmuję go, ma się rozumieć, z wdzięcznym sercem — to na realizację tego zamiaru będzie wystarczająco dużo czasu, gdyż na tym ogromnym teatrze działań wojennych

nie można rozpocząć ofensywy wszędzie jednocześnie. Decydującej pomocy może Pan udzielić, Duce, w ten sposób, że zwiększy Pan swoje siły w Afryce Północnej, jeżeli to możliwe, z perspektywą natarcia z Trypolisu na zachód; i że następnie rozpocznie Pan tworzenie zgrupowania wojsk, na razie choćby niewielkiego, które w razie zerwania paktu z Francją mogłoby niezwłocznie wkroczyć do niej wraz z nami, a wreszcie w ten sposób, że wzmoże Pan wojnę przede wszystkim powietrzną oraz, w miarę możliwości, podwodną na Morzu Śródziemnym.

Co się tyczy ochrony terytoriów na Zachodzie, od Norwegii do Francji włącznie, to jesteśmy tam, jeżeli chodzi o wojska lądowe, wystarczająco silni, żeby błyskawicznie zareagować na jakąkolwiek niespodziankę. Jeśli zaś chodzi o wojnę powietrzną przeciwko Anglii, to przez pewien czas będziemy się trzymać obrony. Ale to nie znaczy, że nie możemy odpierać brytyjskich nalotów na Niemcy. Przeciwnie, mamy możliwość, jeżeli to będzie konieczne, tak jak i przedtem, zadawania brytyjskiej metropolii bezlitosnych ciosów bombowych.

Nasza obrona myśliwska też jest wystarczająco silna. Dysponuje najlepszymi eskadrami, jakie tylko mamy.

Jeżeli chodzi o walki na Wschodzie, Duce, to z pewnością będą one ciężkie. Ale ani przez sekundę nie wątpię, że przyniosą one wielki sukces. Przede wszystkim mam nadzieję, że w rezultacie wojny uda się nam na długo zapewnić na Ukrainie wspólną bazę żywnościową. Będzie ona dla nas dostawcą zasobów, które mogą nam być potrzebne w przyszłości. Śmiem dodać, że jak można dziś sądzić, tegoroczne niemieckie zbiory zapowiadają się bardzo dobrze. Jest bardzo prawdopodobne, że Rosja spróbuje zniszczyć rumuńskie pola naftowe. Stworzyliśmy obronę, która, mam nadzieję, uchroni nas przed tym. Zadanie naszych armii polega na tym, żeby jak najszybciej zażegnać takie niebezpieczeństwo.

Jeżeli dopiero teraz, Duce, wysyłam Panu to przesłanie, to tylko dlatego, że ostateczna decyzja została podjęta dopiero dziś o 7 wieczorem. Toteż proszę serdecznie, aby nikogo Pan o tym nie informował, zwłaszcza Pańskiego ambasadora w Moskwie, ponieważ nie ma absolutnej pewności, że nasze zaszyfrowane listy nie mogą zostać rozszyfrowane. Nakazałem, by mojego własnego ambasadora poinformowano o podjętych decyzjach dopiero w ostatniej chwili.

Materiał, który zamierzam opublikować, jest tak obszerny, że świat będzie bardziej zdumiony naszą długotrwałą cierpliwością niż naszą decyzją — jeżeli świat ten nie należy do wrogo nastawionej wobec nas części społeczeństwa, dla której argumenty nie mają żadnego znaczenia.

Cokolwiek się teraz zdarzy, Duce, nasza sytuacja się od tego ani na jotę nie pogorszy; może się tylko poprawić. Gdybym nawet został zmuszony zostawić do końca tego roku w Rosji 60 lub 70 dywizji, mimo wszystko będzie to tylko część tych sił, które muszę teraz stale utrzymywać na granicy wschodniej. Niech Anglia spróbuje nie wyciągnąć wniosków z groźnych faktów, przed którymi stanie. Wówczas będziemy mogli, uwolniwszy swoje siły, ze wzmożoną mocą runąć na przeciwnika, aby go zniszczyć. To, co zależy od nas, Niemców — mogę Pana, Duce, zapewnić — zostanie uczynione.

O wszystkich Pańskich życzeniach, opiniach i pomocy, której Pan, Duce, zechce nam udzielić w zbliżającej się operacji, proszę informować mnie osobiście lub uzgodnić te kwestie, za pośrednictwem Pańskich organów wojskowych, z moim naczelnym dowództwem.

Na zakończenie chciałbym Panu powiedzieć jeszcze jedno. Po tym, jak podjąłem tę decyzję, wewnątrznie znów czuję się wolny. Współpraca ze Związkiem Sowieckim, przy całym szczerym dążeniu do osiągnięcia ostatecznego odprężenia, często była ciężarem. Wydawało mi się to bowiem zerwaniem z całą moją przeszłością, z moim światopoglądem i dawnymi zobowiązaniami. Jestem szczęśliwy, że udało mi się wyzwolić od tego moralnego brzemienia.

Z serdecznym i koleżeńskim pozdrowieniem
do jego Ekscelencji Głowy Królewskiego Rządu Włoskiego
Benito Mussoliniego w Rzymie

SPIS TREŚCI

23 CZERWCA DZIEŃ „M”	1
PRZEDMOWA	3
CZĘŚĆ 1. SOWIECKI KOŁOS	11
ROZDZIAŁ 1. GŁÓWNA PRZYCZYNA KLĘSKI	13
ROZDZIAŁ 2. „NATARCIE JEST WYRAZEM PRZEWAGI”	25
ROZDZIAŁ 3. „PANCERZ JEST MOCNY, A CZOŁGI NASZE SZYBKIE”	47
ROZDZIAŁ 4. „CZARODZIEJSKI MIECZ” I „ZŁOTY PODZIAŁ”	67
ROZDZIAŁ 5. ZAGADKOWY MP-4	97
CZĘŚĆ 2. „GDY NAS DO BOJU POŚLE TOWARZYSZ STALIN...”	123
ROZDZIAŁ 6. HIPOTEZA NR 1	125
ROZDZIAŁ 7. HIPOTEZA NR 2	147
ROZDZIAŁ 8. ROZWINIĘCIE STRATEGICZNE	163
ROZDZIAŁ 9. „NIECH SIĘ MARTWIĄ INNI”	185
ROZDZIAŁ 10. PLAN OSŁONOWY	197
ROZDZIAŁ 11. 22 CZERWCA — DZIEŃ „M”	215
ZBĘDNY ROZDZIAŁ	239
ROZDZIAŁ 12. HIPOTEZA NR 3	247
CZĘŚĆ 3. KLĘSKA	267
ROZDZIAŁ 13. GŁOSY CZTERDZIESTEGO PIERWSZEGO	269
ROZDZIAŁ 14. POMÓR CZOŁGÓW 1	287
ROZDZIAŁ 15. POMÓR CZOŁGÓW 2	313
ROZDZIAŁ 16. O MOŹDZIERZACH I „PÓŁTORATONÓWKACH”	339
ROZDZIAŁ 17. CENA KLĘSKI	357
ROZDZIAŁ 18. NAJWAŻNIEJSZY ROZDZIAŁ	369
ROZDZIAŁ 19. WIELKA MĄDROŚĆ TOWARZYSZA STALINA	387
ZAŁĄCZNIKI	413
ZAŁĄCZNIK 1. WOJSKOWE TERMINY I DEFINICJE	415
ZAŁĄCZNIK 2. SKŁAD I UZBROJENIE WOJSK PANCERNYCH WEHRMACHTU I ARMII CZERWONEJ BIORĄCYCH UDZIAŁ W DZIAŁANIACH BOJOWYCH OD 22 CZERWCA DO 10 LIPCA 1941 R.	423
ZAŁĄCZNIK 3. SKŁAD I STRATY GRUP PANCERNYCH WEHRMACHTU NA FRONCIE WSCHODNIM	425
ZAŁĄCZNIK 4. STAN I PODZIAŁ NA RZUTY CZOŁGÓW ARMII CZERWONEJ 1 CZERWCA 1941 R.	427
ZAŁĄCZNIK 5. PODSTAWOWE CHARAKTERYSTYKI TAKTYCZNO-TECHNICZNE CZOŁGÓW ARMII CZERWONEJ I WEHRMACHTU	429
ZAŁĄCZNIK 6. DOSTAWY AMUNICJI WG STANU NA 22 CZERWCA 1941 R. W PROCENTACH OD OGÓLNEJ LICZBY	431
DYNAMIKA DOSTAW, STRAT I ZUŻYCIA BOJOWEGO AMUNICJI ARTYLERYJSKIEJ W 1941 R.	433
NORMATYWY Z 1941 R. ZUŻYCIA AMUNICJI „NA DZIEŃ WZMOŻONEJ BITWY”	435
ZAŁĄCZNIK 7. TRAKTAT O PRZYJAŹNI I GRANICY MIĘDZY ZSRS I NIEMCAMI	437
TAJNY PROTOKÓŁ DODATKOWY DO UKŁADU O PRZYJAŹNI I GRANICY	439
OŚWIADCZENIE RZĄDÓW ZSRS I NIEMIEC	441
OŚWIADCZENIE MINISTRA SPRAW ZAGRANICZNYCH NIEMIEC P. VON RIBBENTROPA	443
ZAŁĄCZNIK 8. KONTRPROPOZYCJE RZĄDU SOWIECKIEGO W SPRAWIE WARUNKÓW PRYZYSTĄPIENIA ZSRS DO TRÓJPRZYMIERZA	445
ZAŁĄCZNIK 9. OPINIE W SPRAWIE PLANU ROZWINIĘCIA STRATEGICZNEGO SIL ZBROJNYCH ZWIĄZKU SOWIECKIEGO NA WYPADEK WOJNY Z NIEMCAMI I ICH SOJUSZNIKAMI	447

ZAŁĄCZNIK 10. LIST HITLERA DO MUSSOLINIEGO Z 21 CZERWCA 1941 R. _____	457
SPIS TREŚCI _____	463